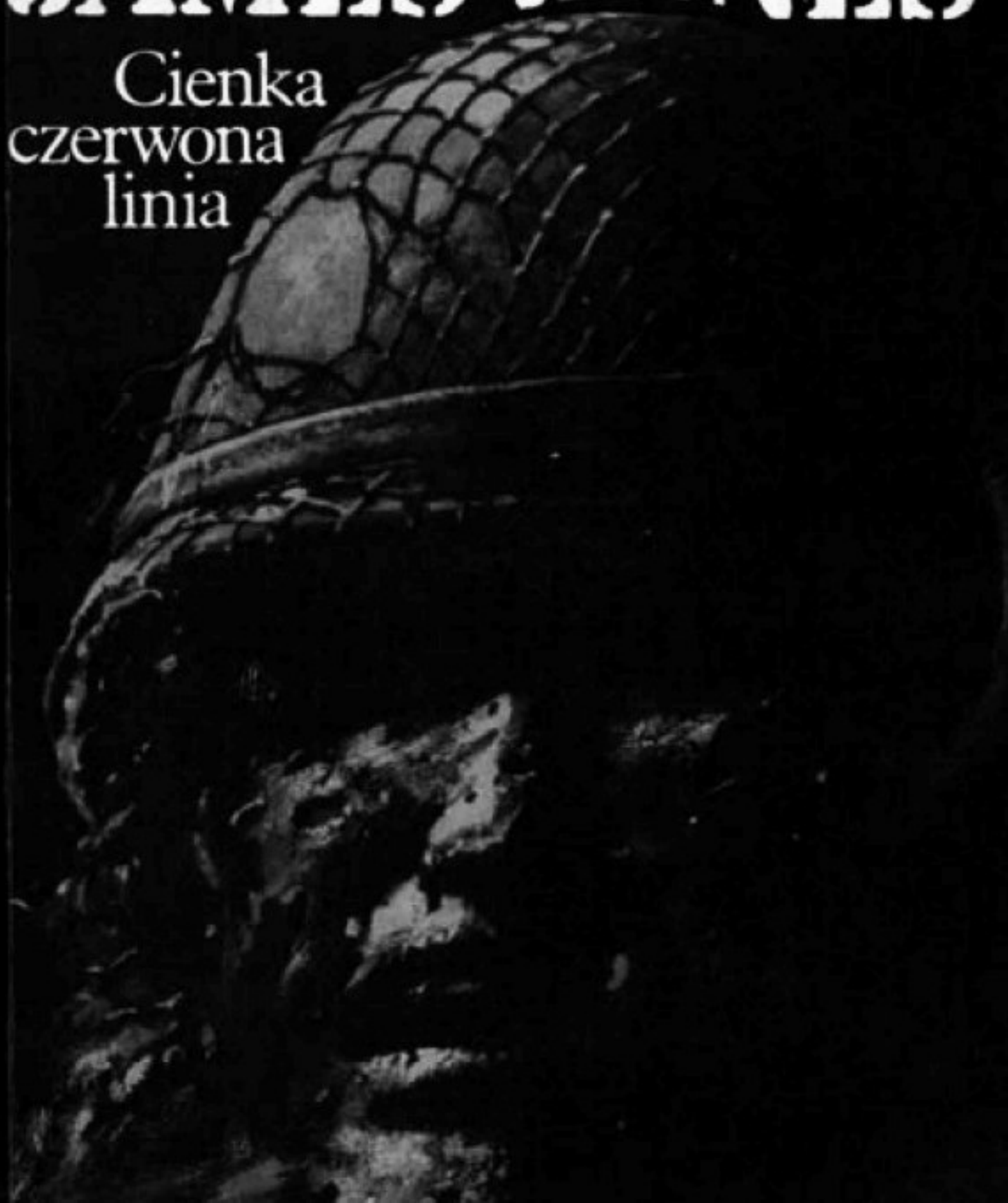


# JAMES JONES

Cienka  
czerwona  
linia





**JONES JAMES**

**Cienka czerwona linia**

**JAMES JONES**

**Tłumaczył**

**Bronisław Zieliński**

**Tytuł oryginału: The Thin Red Line**

**Mówią: „Tommy to i Tommy tamto,**

**Tommy, co z twoją duszą?”**

**Lecz to jest: „Cienka czerwona linia bohaterów”,**

**Gdy bębny warcząc ruszą**

**KIPLING**

**Jest tylko cienka czerwona linia między rozsądkiem a szaleństwem.**

**Stare powiedzenie ze Środkowego Zachodu**

**DEDYKACJA**

**Książkę niniejszą dedykuję z radością tym najwspanialszym i najbardziej heroicznym ze wszystkich ludzkich przedsięwzięć, WOJNIE i WOJOWANIU; by nigdy nie przestały dawać nam przyjemności, podniecenia i adrenalinowych bodźców, których potrzebujemy, ani dostarczać nam bohaterów, prezydentów i przywódców, a także pomników i muzeów, które im wznosimy w imię POKOJU.**

# NOTATKA SPECJALNA

Każdy, kto studiował kampanię na Guadalcanale lub brał w niej udział, rozpozna od razu, że na tej wyspie nie istnieje żaden taki teren, jaki tu został opisany. „Tańczący Słoń”, „Wielka Gotowana Krewetka”, wzgórze dokoła „Wioski Bula Bula”, jak również sama ta wioska, są wytworami literackiej wyobraźni, podobnie jak opisane tu bitwy, rozgrywające się na owym terenie. Postacie biorące udział w akcji tej książki są również zmyślane. Można było stworzyć całkowicie fikcyjną wyspę jako tło tej książki. Ale dla Amerykanów w latach 1942 – 1943 Guadalcanal reprezentował coś bardzo specjalnego. Posłużenie się całkowicie zmyśloną wyspą równałoby się utracie wszystkich szczególnych skojarzeń, które nazwa Guadalcanal budziła w moim pokoleniu. Dlatego pozwoliłem sobie na zniekształcenie tej kampanii i umieszczenie w samym jej środku całej połaci nie istniejącego terytorium.

A naturalnie wszelkie podobieństwo do czegokolwiek gdziekolwiek jest na pewno nie zamierzone.

„Styron's Acres”

Roxbury, Connecticut

Święto Dziękczynienia

1961

## SKŁAD OSOBOWY KOMPANII

(częściowy)

9 listopada 1942

Stein, James L, kpt. d – ca komp. „C”

Band, George R., por., zast. dowódcy

Whyte, William L., ppor., d – ca 1 plut.

Blane, Thomas C., ppor., d – ca 2 plut.

Gore, Albert O., ppor., d – ca 3 plut.

Culp, Robert, ppor., d – ca 4 plut. (broni ciężkiej)

**Welsh Edward, starszy sierżant**

**Sierżanci sztabowi**

**Culn, 1 plut. Spain, 3 plut.**

**Grove, 1 plut. Stack, 3 plut.**

**Keck, 2 plut. Stoorm, kasyno**

**MacTac, zaopatrzenie**

**Sierżanci**

**Beck, d – ca druž. strzel. McCron, d – ca druž. strz.**

**Dranno, kancel. komp. Potts, d – ca druž. strz.**

**Field, d – ca druž. strz. Thorne, d – ca druž. strz.**

**Fox, d – ca druž. strz. Wick, mot.**

**Kaprale**

**Fife, kancel.**

**Jenks, zast. d – cy. druž. strzel.**

**Queen, zast. d – cy druž. strzel.**

**Starsi szeregowcy**

**Arbre, strzelec Fronk, strzelec**

**Bead, kancel. Hoff, strzelec**

**Cash, strzelec Land, 1 kucharz**

**Dale, 2 kucharz Marl, strzelec**

**Doll, strzelec Park, 1 kucharz**

**Earl, strzelec**

**Szeregowcy**

**Ash Kral**

**Bell Krim**

**Carni Mazzi**

**Catch Peale**

**Catt Sico**

**Coombs Stearns**

**Crown Suss**

**Darl Tassi**

**Drake Tella**

**Gluk Tills**

**Gooch Tind**

**Griggs Train**

**Gwenne Weld**

**Jacques Wills**

**Kline Wynn**

# UZUPEŁNIENIA

Spine, Morton W., ppłk, d – ca 1 batal.

Payne, Elman W., ppor., komp. „C”

Bosche, Charles S., kpt., d – ca komp. „C”

Tomms, Frank J., ppor., komp. „C”

Creo, John T., por., komp. „C”

## INNI

Barr, Gerald E., kontradmirał, Maryn. Woj.

Task, Fred W., kpt., d – ca komp. „B”

Grubbe, Tassman S., ppłk., zast. d – cy pułku

Carr Frederick, C., kpt.

Tall, Gordon M.L., ppłk., d – ca 1 batal.

Achs Karl F., ppor., komp., „B”

Gray, Eliah P., ppor., komp „B”

Roth, Norman M., ppłk.

James, sierż., dowództwo bat.

Haines, Ira P., major

Gaff, John B., kpt. zast. d – cy 1bat.

Hoke, szer., komp. dział.

Witt, szer., komp. dział.

## ROZDZIAŁ 1

Obydwa transportowce podpłynęły od południa w pierwszym szarzejącym brzasku, tnąc gładko swoją ciężką masą wodę, której jeszcze potężniejsza masa unosiła je



bezglśnie, równie szare jak przesłaniający je przedświt. Teraz, o świeżym, wczesnym poranku pogodnego, tropikalnego dnia, stały spokojnie na kotwicy w kanale, bliżej jednej wyspy niż drugiej, która była zaledwie mgiełką na horyzoncie. Dla załóg było to zwykłe, dobrze im znane zadanie: dostarczenie świeżych oddziałów posiłkowych. Ale dla ludzi, którzy stanowili ładunek piechoty, rejs ten nie był ani czymś zwykłym, ani znanym i składał się z mieszaniny stężonego niepokoju i napiętego podniecenia.

Zanim tu przybyli, podczas długiej podróży morskiej, ten ludzki ładunek był nastawiony cynicznie – szczerze cynicznie, bez pozy, ponieważ należeli do starej, regularnej dywizji i wiedzieli, że są ładunkiem. Przez całe życie byli ładunkiem, nigdy nadzorcami ładunku. I nie tylko byli w tym zaprawieni, oczekiwali tego. Ale teraz, kiedy znaleźli się tutaj, w obliczu fizycznego faktu tej wyspy, o której wszyscy tyle czytali w gazetach, pewność siebie chwilowo ich opuściła. Bo chociaż należeli do przedwojennej, regularnej dywizji, miał to jednakże być ich chrzest ogniowy.

Kiedy przygotowywali się do zejścia na ląd, żaden w teorii nie wątpił, że przynajmniej jakiś ich odsetek pozostanie martwy na tej wyspie, kiedy już na nią stąpną. Nikt jednak nie przewidywał, że będzie doń należał. Ale była to myśl niepokojąca, toteż gdy pierwsze grupy żołnierzy pobrnęły w pełnym oporządzeniu na pokład, by się ustawić w szyku, oczy wszystkich natychmiast zaczęły przepatrywać tę wyspę, na której miano ich wysadzić i pozostawić i która mogła okazać się grobem jakiegoś przyjaciela.

Widok, który ukazał im się z pokładu, był piękny. W jasnym, wczesnoporannym, tropikalnym słońcu, które iskrzyło się na spokojnej wodzie kanału, rzeźwy morski powiew poruszał liśćmi maleńkich palm kokosowych na brzegu, za płową plażą bliższej wyspy.

Było jeszcze za wcześnie na przytłaczający upał. Czuło się atmosferę rozległych, otwartych przestrzeni i morskiego bezkresu. Ten sam pachnący morzem powiew przenikał łagodnie między nadbudowami transportowców muskając uszy i twarze ludzi. Po porażeniu węchu przez nasycenie go zapachem oddechów, nóg, pach i kroczy w ładowni pod pokładem, ów powiew wydawał się podwójnie świeży w nozdrzach. Za małymi palmami kokosowymi na wyspie masa zielonej dżungli wznosiła się ku żółtym podnóżom wzgórz, które z kolei ustępowały miejsca masywnym górom, błękitnie przymglonym w czystym powietrzu.

–Więc to jest Guadalcanal – powiedział jakiś żołnierz stojący przy relingu i wypluł sok tytoniowy za burtę.

–A tyś co myślał, kurwa? Że to pieprzone Tahiti? – rzekł inny.

Pierwszy westchnął i splunął znowu.

**–Ano, ładny, spokojny poranek jak na to.**

**–O rany, ale ten majdan mi dupę obciąga! – poskarżył się nerwowo trzeci. Podrzucił swój wypełniony plecak.**

**–Niedługo obciągnie ci się coś więcej niż dupa – powiedział pierwszy.**

**Od brzegu już odbijały małe robaczki, w których rozpoznali łodzie desantowe piechoty; jedne krążyły spieszenie, inne zmierzały prosto ku statkom.**

**Ludzie pozapalali papierosy. Gromadzili się powoli, szurając nogami. Ostre okrzyki młodszych oficerów i podoficerów przebijały się przez ich nerwowe rozmowy, spędzały ich do kupy. A kiedy już się zebrali, rozpoczęło się jak zwykle czekanie.**

**Pierwsza łódź desantowa piechoty, która do nich dotarła, okrążyła czołowy transportowiec w odległości około trzydziestu jardów, podskakując ciężko na małych falach, które roztrącała; jej załogę stanowili dwaj ludzie w furażerkach i koszulach bez rękawów. Ten, który nie sterował, trzymał się burty, żeby nie stracić równowagi, i spojrzał w górę na statek.**

**–Patrzcie, co my tu mamy. Nowe mięso armatnie dla Japońców! – zawołał wesóło.**

**Człowiek stojący przy relingu chwilę poruszał szczękami żując tytoń, po czym wypluł za burtę ciekłą brunatną strużkę. Na pokładzie wszyscy dalej czekali.**

**Poniżej drugiej przedniej ładowni, kompania C pierwszego pułku, przezywana C – jak – Charlie. kotłowała się w zejściówce i przejściach między swoimi kojami. Kompanię C wyznaczono jako czwartą z kolei do zejścia po siatce ładunkowej na lewej burcie. Ludzie wiedzieli, że będą długo czekać. Z tego powodu nie odnosili się do tego wszystkiego z takim stoicyzmem jak pierwsza fala, która już była na pokładzie i miała wysiadać najpierw.**

**Poza tym w drugiej przedniej ładowni było bardzo gorąco. A kompania C znajdowała się o trzy pokłady niżej. I na dodatek nie było gdzie usiąść. Koje pięciopiętrowe, a nawet sześciopiętrowe, tam gdzie sufit był wyższy, zarzucone były ekwipunkiem żołnierzy piechoty, przygotowanym do nałożenia. Nie było innego miejsca, żeby go porozkładać. Nie mieli więc gdzie usiąść, lecz gdyby nawet mieli, koje nie nadawały się do siedzenia; zawieszane na rurach przymocowanych do pokładu i sufitu, zostawiały zaledwie dość miejsca, by jeden człowiek mógł się położyć pod drugim, a ktoś, kto spróbowałby się usiąść, stwierdziłby nagle, że jego zadek zapada się w brezent rozwieszony na ramie z rur, a nasadą czaszki rąbnąłby o ramę koi powyżej. Jedynym pozostającym miejscem był pokład, pokryty niedopałkami nerwowo palonych papierosów oraz wyciągniętymi nogami. Miało się do wyboru albo to, albo wędrowanie przez dżunglę rur, które zajmowały każdy kawałek miejsca, i przełożenie nad nogami i tułowiami. Smród pierdów, oddechów i spoconych ciał tyłu ludzi**

**cierpiących na niedostateczne wydzielanie podczas długiej podróży morskiej mógłby porazić mózg, gdyby nie to, że nozdrza na szczęście już były nań znieczulone.**

**W tej wąto oświetlonej czeluści piekielnej, silnie nasyconej wilgocią, gdzie każdy dźwięk dudnił o metalowe ściany, ludzie z kompanii C – jak – Charlie wycierali pot z ociekających brwi, odciągali od pach przemoczone koszule, klęli cicho, spoglądali na zegarki i czekali niecierpliwie.**

**–Myślisz, że załapiemy jakiś pieprzony nalot? – zapytał szeregowiec Mazzi siedzącego obok szeregowca Tillsa. Przycupnęli pod grodzią, podciągnąwszy kolana do piersi, zarówno dla moralnego pokrzepienia, jak po to, żeby po nich nie deptano.**

**–Skąd mogę wiedzieć, do jasnej cholery? – odparł Tills gniewnie. Był właściwie kumplem Mazzi. Przynajmniej często chodzili razem na przepustkę. – Wiem tylko, co gadali ci goście z załogi: że za ostatnim rejssem nie mieli nalotu. Ale znów podczas przedostatniego o mało ich nie rozkwasili. Co mam ci powiedzieć?**

**–Ogromnie jesteś pomocny, Tills. Nie, nic mi nie mów. To ja ci coś powiem. Siedzimy tu na tym wielgachnym otwartym oceanie jak dwie tłuste pieprzone kaczki, ot co.**

**–Tyle to i ja wiem.**

**–Tak? No to przetrzaw to sobie, Tills. Przetrzaw to sobie.**

**Mazzi skulił się jeszcze bardziej i konwulsyjnie poruszył w górę i dół brwiami, co nadało jego twarzy wyraz wojowniczego oburzenia To samo pytanie przeważało w umysłach wszystkich ludzi z kompanii C – jak – Charlie. W rzeczywistości wcale nie była ostatnia w kolejce. Ogólna liczba sięgała siedmiu czy ośmiu. Ale nie było to żadnym pocieszeniem. Kompania C nie troszczyła się o tych pechowców, którzy mieli wysiadać po niej; to już był ich problem.**

**Obchodzili ją tylko ci szczęśliwcy, co wysiadali przed nią, a także to, żeby się pospieszyli, oraz jak długo przyjdzie jej czekać.**

**Poza tym było jeszcze jedno. Kompania C nie tylko była czwarta w kolejce na wyznaczonym jej miejscu, co miała za złe, ale jeszcze z jakiejś przyczyny została ulokowana między obcymi. Z wyjątkiem jeszcze jednej kompanii daleko na rufie, C – jak – Charlie była jedyną z pierwszego pułku przydzieloną na pierwszy statek, wskutek czego nie znała żywej duszy w kompaniach, które sąsiadowały z nią po obu stronach, i to też miała za złe.**

**–Jeżeli mnie rozpierdzielą – dumiał posępnie Mazzi – to nie chcę, żeby moje bebechy i mięso pomieszały się z bandą obcych facetów z innego pułku, takich jak te lebiegi. Wolałbym, żeby to była moja własna jednostka.**

**–Nie gadaj tak, kurczę blade! – krzyknął Tills.**

**–Ano... – rzekł Mazzi. – Jak sobie pomyślę o tych samolotach, które już może są w górze...**

**–Ty po prostu nie jesteś realista, Tills.**

Ludzie z kompanii C, każdy na swój sposób, zmagali się z tym samym problemem wyobraźni, jak który potrafił. Ze swego punktu obserwacyjnego pod grodzia zejściówki Mazzi i Tills widzieli, co robiła przynajmniej połowa kompanii. W jednym miejscu rozpoczęto partyjkę dwadzieścia jeden, przy czym grający zapowiadali, czy biją, czy pasują, w przerwach między ciągłym zerkaniem na zegarki.

Gdzie indziej toczyła się równie urywana gra w kości. Jeszcze gdzie indziej starszy szeregowiec Nellie Coornbs wydobył talię pokerową, z którą się nigdy nie rozstawał (i która, jak wszyscy podejrzewali, chociaż nie mogą tego dowieść, musiała być znaczone), i rozpoczął grę, przebiegle robiąc pieniądze na zdenerwowaniu kolegów, mimo własnego niepokoju.

W innych miejscach potworzyły się małe grupki ludzi, którzy stali albo siedzieli i rozmawiali ze sobą poważnie, z rozszerzonymi, świadomie skupionymi oczami, zaledwie słysząc to, co mówiono. Kilku samotników raz po raz sprawdzało pilnie swe karabiny i oporządzenie albo po prostu siedziało spoglądając na nie. Młody sierżant McCron, notoryczna kwoka, chodził i kontrolował osobiście każdą część ekwipunku każdego żołnierza ze swojej drużyny, złożonej prawie w całości z poborowych, tak jakby od tego zależały jego zdrowe zmysły i życie. Nieco starszy od niego sierżant Beck, zawodowy służbista z sześcioletnim stażem, zajęty był przeglądaniem z ogromną precyzją karabinów swojej drużyny.

Nie było nic do roboty poza czekaniem. Przez zamknięte szyby iluminatorów wzdłuż zejściówki dochodził przytłumiony stukot kroków oraz okrzyki, a z góry, z pokładu, jeszcze bardziej zgłuszone odgłosy, świadczące, że wykrętowanie postępuje naprzód. Z luku za otwartą grodzia wodoszczelną dolatywała wrzawa i stłumione przekleństwa innej kompanii, wspinającej się po metalowych schodach na miejsce tej, która już zeszła ze statku. Nieliczni ludzie, którzy zdołali się docisnąć do zamkniętych iluminatorów i mieli ochotę popatrzeć, widzieli ciemne, obładowane sylwetki żołnierzy w pełnym oporządzeniu, złączonych po siatce, która zwisała na zewnątrz, a także od czasu do czasu odbijającą łódź desantową. Wykrzykiwali pozostałym relacje o tym, co się działo -. Raz po raz jakaś łódź desantowa, ustawivszy się źle na fali, łomotała o kadłub wypełniając ciasną przestrzeń mrocznej ładowni szczękiem udręczonej stali.

Starszy szeregowiec Doll, szczupły, o długiej szyi, pochodzący z południa, z Wirginii, stał razem z kapralem Queenem, ogromnym Teksasńczykiem, oraz kapralem

Fife'em, kancelistą.

–Ano, niedługo się dowiemy, jak to jest „ – rzekł łagodnie Queen, sympatyczny olbrzym, o kilka lat starszy od obu pozostałych.

Zazwyczaj Queen nie bywał łagodny.

–Jak co jest? – zapytał Fife.

–Kiedy do człowieka strzelają – odrzekł Queen. – Strzelają na serio.

–Do mnie już strzelali, cholera – powiedział Doll, rozchylając wargi w wyniosłym uśmiechu. – A do ciebie nie, Queen?

–No, mam tylko nadzieję, że nie będzie dziś samolotów – rzekł Fife. – To wszystko.

–Chyba każdy z nas też ma tę nadzieję – odparł Doll bardziej przyciszonym tonem.

Doll był bardzo młody, miał lat dwadzieścia, może dwadzieścia jeden, podobnie jak większość szeregowców w C – jak – Charlie. Przesłużył w kompanii przeszło dwa lata, tak jak wielu zawodowych.

Spokojny młodzieniec o niewinnej twarzy, dosyć naiwny, mówił niewiele i nieśmiało, i zawsze pozostawał w tle, ale ostatnio, w ciągu minionych sześciu miesięcy, coś zaczynało powoli z nim się dziać, zmieniał się i bardziej wysuwał na pierwszy plan. Nie był przez to sympatyczniejszy.

Teraz, po przyciszonym wypowiedzeniu tych słów o samolotach, znowu rozchylił wargi w swoim – wyniosłym uśmiešku. Całkiem świadomie uniósł jedną brew.

–Ano, jeżeli mam sobie skombinować pistolet, muszę się wziąć do tego – uśmiechnął się do nich i spojrzał na zegarek. – Do tej pory wszyscy już muszą być podkręceni, dostatecznie zdenerwowani – powiedział roztropnie i podniósł wzrok. – Chce któryś pójść ze mną?

–Lepiej zrób to na własną rękę – mruknął Queen. – Dwaj goście szukający dwóch pistoletów będą dwa razy bardziej rzucali się w oczy.

–Chyba masz rację – rzekł Doll i odszedł. Był szczupłym, wąskim w biodrach, naprawdę przystojnym młodym mężczyzną. Queen popatrzał za nim, a jego teksańskie oczy zasnuły się niechęcią do tego, co mógł uważać jedynie za afektację, po czym obrócił się znowu do kancelisty Fife'a, gdy Doll wychodził spomiędzy koi na zejściówkę.

Na zejściówce pod grodzią Mazzi i Tills nadal siedzieli z podciągniętymi nogami i

rozmawiali. Doll zatrzymał się przed nimi.

–Nie chcecie obejrzeć tej pieprzonej draki? – zapytał wskazując mniej lub więcej obłążone iluminatory.

–Mnie to nie ciekawi – odparł posępnie Mazzi.

–Zdaje się, że tam jest dosyć tłoczno – powiedział Doll, nagle mniej wyniośle. Pochylił głowę i wierzchem dłoni otarł pot z brwi.

–Nie ciekawiłoby mnie to, nawet gdyby nie było – rzekł Mazzi i mocniej podciągnął kolana.

–Idę skombinować sobie ten pistolet – powiedział Doll.

–Tak? To będziemy mieli ubaw – odparł Mazzi...

–Aha, ubaw – dodał Tills.

–Nie pamiętacie? Mówiliśmy, że któregoś dnia skombinujemy sobie pistolet – rzekł Doll.

–Tak mówiliśmy? – powiedział zimno Mazzi patrząc na niego.

–Jasne – zaczął Doll. A potem zamilkł uświadamiając sobie, że go wrabiają i lekceważą, i uśmiechnął się tym swoim nieprzyjemnym, wyniosłym uśmiechem. – Wy też chcielibyście mieć spluwę, jak zejdziemy na ląd i natkniemy się na którąś z tych samurajskich szabel.

–Ja tylko chcę już zejść na ląd – powiedział Mazzi. – Wydostać się z tej zasranej tłustej kaczki, na której sterczymy tu, na tej gładkiej wodzie.

–Słuchaj, Doll – rzekł Tills. – Rusz się. Myślisz, że możemy dziś złapać jakiś nalot, zanim zejdziemy z tej przeklętej łajby?

–Skąd mogę wiedzieć, do cholery? – odparł Doll. Znowu uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Może tak, a może nie.

–Dziękuję – powiedział Mazzi.

–Jak złapiemy, to złapiemy. A bo co? Masz pietra?

–Pietra? Jasne, że nie. A ty?

–Skąd!

**–No to dobra. Zamknij się – powiedział Mazzi. Pochylił się, wysunął szczękę i wojowniczo poruszył w górę i w dół brwiami spoglądając na Dolla z jakąś komiczną drapieżnością. W gruncie rzeczy nie była ona zbyt efektowna. Doll tylko odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.**

**–Do zobaczenia, panowie – powiedział i przelazł przez wodoszczelne drzwi w grodzi, o którą byli oparci.**

**–Co to za pieprzenie z tymi „panami”? – zapytał Mazzi.**

**–Na tym statku jest sporo Australijczyków – odrzekł Tills. – Pewnie się z nimi zadawał.**

**–Ten gość po prostu nie jest równiacha – powiedział zdecydowanie Mazzi. – Nie znoszę ludzi, którzy nie są równi.**

**–Myślisz, że zachachmęci sobie pistolet? – zapytał Tills.**

**–Nie. cholera, nie trafi żadnego.**

**–A może?**

**–Skąd – powiedział Mazzi. – To menda. „Panowie”!**

**–Guzik mnie to obchodzi w tej chwili – rzekł Tills. – Czy on skombinuje sobie pistolet, czy ktokolwiek inny, ze mną włącznie.**

**Chcę tylko zleźć z tego zasranego statku.**

**–Ano, nie jesteś jeden – powiedział Mazzi, kiedy następna łódź desantowa rąbnęła o kadłub. – Patrz, co tam się wyrabia.**

**Obaj obrócili głowy, spojrzeli między koje i przytrzymując nerwowo kolana obserwowali resztę kompanii C wykonującej swe najróżniejsze, wyłączające wyobraźnię czynności.**

**–Wiem tylko jedno – powiedział Mazzi – że nigdy nie nastawiałem się na coś takiego, kiedy przed wojną zapisywałem się do wojska w naszym cholernym Bronxie. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie ta dymana wojna, co? Sam powiedz.**

**–Mnie to mówisz – odparł Tills. – Ty przecież jesteś tu ten cwaniak.**

**–Wiem tylko, że kompania C zawsze dostaje w dupę – rzekł Mazzi. – Zawsze. I mogę ci powiedzieć, czyja to wina. Tego starego Cioty Steina. Najpierw wsadza nas na ten statek, gdzie żywej duszy nie znamy, z daleka od naszej własnej jednostki. Potem wpycha nas na czwarte miejsce do zejścia z tego draństwa. Tyle ci mogę powiedzieć.**

–Ale są gorsze miejsca od czwartego – odpowiedział Tills. – Przynajmniej nie jesteśmy na siódmym czy ósmym, cholera. Przynajmniej nie wtrącił nas na ósme.

–To już nie jego wina. Jedno jest pewne: że nie dał nas na pierwsze. Popatrz na tego skurwysyna; udaje dzisiaj, że jest jednym z nas. – Mazzi wskazał głową drugą grodz na przeciwnym końcu zejściówki, gdzie kapitan Stein, jego zastępca i czterej dowódcy plutonów przykucnęli naradzając się nad mapą rozłożoną na pokładzie.

–Widzicie więc, panowie, gdzie dokładnie będziemy – mówił kapitan Stein i podniósłszy wzrok znad ołówka spojrzał pytająco na oficerów swymi dużymi, łagodnymi, piwnymi oczami. – Oczywiście będą przewodnicy z armii czy z piechoty morskiej, którzy pomogą nam dostać się tam z jak najmniejszym trudem i w najkrótszym czasie. Sama linia, obecna linia, jest tutaj, jak wam już pokazałem – wskazał ołówkiem. – O osiem i pół mili. Wykonamy forsowny marsz w pełnym oporządzeniu polowym, około sześciu mil w drugim kierunku. – Stein wstał i pięciu oficerów powstało także.

–Są jakieś pytania, panowie?

–Tak jest – powiedział podporucznik Whyte z pierwszego plutonu. – Mam jedno, panie kapitanie. Czy będzie jakiś wyraźny rozkaz co do biwaku, kiedy tam dojdziemy? Ponieważ tu obecny Blane z drugiego i ja będziemy prawdopodobnie na czole, więc chciałbym się dowiedzieć.

–No cóż, myślę, że będziemy musieli zobaczyć, jaki jest teren, kiedy już tam dotrzemy, prawda? – odrzekł Stein i podniósł mięsistą prawą dłoń do okularów o grubych szklach, przez które patrzył na Whyte'a.

–Tak jest, panie kapitanie – powiedział Whyte czując, że został skarcony, i rumieniąc się lekko.

–Jeszcze jakieś pytania, panowie? – zapytał Stein. – Blane?

Culp? – Rozejrzył się dokoła.

–Nie, panie kapitanie.

–W takim razie to już wszystko, proszę panów – rzekł Stein.

–Na razie. Wstał, złożył mapę, a kiedy się wyprostował, uśmiechnął się ciepło zza grubych okularów. Było to wskazówką, że koniec z oficjalną sztywnością, że wszyscy mogą się odprężyć.

–No, jak tam, Bili? – zapytał Stein młodego Whyte'a i poklepał go serdecznie po plecach. – Dobrze się czujesz?



**–Jestem trochę zdenerwowany, Jim – uśmiechnął się Whyte.**

**–A ty, Tom? – zapytał Stein Blane'a.**

**–Dobrze, Jim.**

**–No, chyba powinniście teraz rzucić okiem na swoich chłopców, prawda? – powiedział Stein i pozostał ze swoim zastępcą, porucznikiem Bandem, spoglądając za odchodzącymi czterema dowódcami plutonów.**

**–Uważam, że to są dobrzy chłopcy, nie, George? – powiedział.**

**–Tak, Jim, tak myślę – odrzekł Band.**

**–Zauważyłeś, jak Culp i Gore wszystko chłonęli? – zapytał Stein.**

**–Jasne, Jim. Tylko że są z nami dłużej niż te młodziaki.**

**Stein zdjął okulary i starannie przetarł je w upale dużą chustką, po czym nasadził mocno na nos i parokrotnie poprawił ujmując oprawkę czterema palcami i kciukiem prawej dłoni i jednocześnie patrząc przez nie.**

**–Liczę, że to potrwa z godzinę – powiedział w zamyśleniu. – Albo najwyżej godzinę i kwadrans.**

**–Mam tylko nadzieję, że przedtem nie będziemy tu mieli któregoś z tych grup bombardujących z wysokiego pułapu – powiedział Band.**

**–Ja też – odrzekł Stein, a jego duże, łagodne, piwne oczy uśmiechnęły się za szklami.**

**Niezależnie od swoich krytycznych uwag i ich słuszności czy niesłuszności szeregowiec Mazzi miał rację co do jednego:, to kapitan Stein wydał rozkaz, żeby oficerowie kompanii C pozostali tego rana w ładowni ze swymi ludźmi. Stein – którego przydomek „Ciota”, używane przez żołnierzy, wywodziło się z często cytowanej uwagi pewnego bezimiennego szeregowca, który zobaczywszy swego dowódcę kroczącego przez plac ćwiczeń powiedział, że „chodzi tak, jakby miał kaczan kukurydzy wsadzony w dupę” – uważał, że w takim dniu oficerowie powinni być ze swymi ludźmi, dzielić ich trudy i niebezpieczeństwa, a nie siedzieć na górze, w kabinie klubowej, gdzie spędzili większą część rejsu, i poinformować o tym swych podkomendnych. Wprawdzie żaden nie wydawał się zbyt z tego zadowolony, ale nikt nic nie powiedział, nawet Band. A Stein był przekonany, że to musi dobrze wpłynąć na morale. Kiedy spoglądał na zatłoczoną spoconymi ludźmi dżunglę koi i rur, gdzie jego żołnierze spokojnie, bez hysterii, sprawdzali i oglądali swoje oporządzenie, był jeszcze bardziej przeświadczony, że miał rację.**

Stein, który był młodszym wspólnikiem znakomitej, dużej firmy adwokackiej w Clevelandzie, przeszedł gładko w college'u przeszkolenie dla oficerów rezerwy i został zwerbowany wcześniej, na przeszło rok przed wojną. Na szczęście nie był żonaty. Przez sześć miesięcy służył oszołomiony w jednostce Gwardii Narodowej, zanim go przeniesiono do tej regularnej dywizji, jako porucznika i dowódcę kompanii, po czym raz pominięto go przy awansie i miał nad sobą starego, steranego kapitana, zanim sam dobił się kapitaństwa. W tym okropnym okresie wciąż sobie powtarzał: „Boże, co na to powie ojciec”, ponieważ jego ojciec był majorem podczas pierwszej wojny światowej. Teraz, poprawiwszy znów okulary, obrócił się do swego starszego sierżanta, który nazywał się Welsh i był istotnie pochodzenia walijskiego, a przez cały czas odprawy stał w pobliżu, z wyrazem chytrego rozbawienia na twarzy, czego Stein nie omieszkał zauważyć.

–Myślę, że nasza jednostka wygląda dosyć sprawnie, dosyć solidnie, prawda, sierżancie? – powiedział nadając swemu głosowi pewną autorytatywną nutę, ale bez przesady.

Welsh tylko uśmiechnął się do niego zuchwale.

–Owszem, jak na bandę łachmytów, którym mają odstrzelić tyłki – odpowiedział. Był wysokim, wąskim w biodrach, trzydziestoletnim mężczyzną, którego walijska krew ujawniała się w nim całym – w jego smagłej cerze i czarnych włosach, w pokrytych ciemnym, niebieskawym zarostem szczękach i przenikliwych czarnych oczach, w posępnym, groźnym wyrazie, który nigdy nie opuszczał jego twarzy, nawet kiedy uśmiechał się tak jak teraz.

Stein nic mu nie odpowiedział, ale nie odwrócił wzroku. Czuł się nieswojo i był pewny, że widać to po jego twarzy. Ale nie dbał o to w gruncie rzeczy. Welsh był wariat. Niepoczytalny. Istny szaleniec – i Stein nigdy go nie rozumiał. Nie miał szacunku dla nikogo i niczego. Ale to właściwie nie było ważne. Stein mógł przymykać oczy na jego impertynencje, bo taki był dobry w swojej robocie.

–Mam bardzo szczere poczucie odpowiedzialności wobec nich – powiedział.

–Tak? – odparł miękko Welsh; dalej uśmiechał się do niego z tym swoim beczelnym, chytrym wyrazem rozbawienia, i nie powiedział nic więcej.

Stein zauważył, że Band przygląda się Welshowi z jawną niechęcią, i zapamiętał sobie, żeby poruszyć to z Bandem. Band będzie musiał zrozumieć sytuację z sierżantem Welshem. Sam Stein nadal patrzył na Welsha, który także spoglądał na niego z uśmiechem, i kapitan, który rozmyślnie nie odwrócił przedtem wzroku, znalazł się w głupiej sytuacji uczestniczenia w potyczce spojrzeń, tej dawnej, śmiesznej, młodzieńczej rozgrywce o to, kto pierwszy spuści oczy. Było to idiotyczne i naiwne. Rozdrażniony szukał jakiegoś sposobu przerwania z godnością tego

dziecinnego impasu.

Właśnie w tej chwili żołnierz z kompanii C wyminął ich na zejściówce. Stein z ulgą obrócił się do niego i szorstko kiwnął głową.

–Czołem, Doll. Jak idzie? Wszystko w porządku?

–Tak jest, panie kapitanie – odrzekł Doll. – Przystanął i zasalutował z nieco zaskoczoną miną. Oficerowie zawsze wprawiali go w zakłopotanie.

Stein mu odsalutował. – Spocznij, – mruknął i uśmiechnął się zza okularów. – Jesteście trochę zdenerwowani?

–Nie, panie kapitanie – odpowiedział Doll z wielką powagą.

–To dobrze, chłopcze. – Stein kiwnął głową odprawiając go.

Doll zasalutował znowu i wyszedł przez wodoszczelne drzwi. Stein obrócił się do Welsha i Banda czując, że tamto głupie zwanie spojrzeń zostało przerwane bez ujmy. Sierżant Welsh nadal stał uśmiechając się do niego, w zuchwałym milczeniu, ale teraz z oślim wyrazem małostkowego, chytrego tryumfu. Naprawdę był stuknięty. I dziecinny. Stein rozmyślnie mrugnął do niego.

–Chodźmy – powiedział do Banda z lekkim rozdrażnieniem. – Rozejrzyjmy się.

Starszy szeregowiec Doll, wylazszy przez wodoszczelne drzwi, skręcił w prawo i poszedł koło luków ku przedniej ładowni. Nadal rozglądał się za pistoletem. Rozstawszy się z Tillsem i Mazzim dokonał długiej wędrówki na rufę i przemierzył całą tylną część statku na tym pokładzie; teraz zastanawiał się, czy nie zrobił tego zbyt pośpiesznie. Sęk w tym, że nie wiedział dokładnie, ile ma czasu.

Dlaczego ten Ciota Stein zatrzymał go i spytał, czy jest zdenerwowany? Co to znowu za bzdety? A może wiedział, że chce sobie skombinować pistolet? Czyżby o to chodziło? Czy też Ciota chciał wykazać, że on, Doll, jest spietrany albo co? Na to wyglądało. W Dollu wezbrał gniew i zraniona wrażliwość.

Wściekły, zatrzymał się w owalnych, wodoszczelnych drzwiach przedniej ładowni, aby przepatrzeć ten kolejny teren polowania.

Ładownia była bardzo mała w porównaniu z przestrzenią, którą już obszukał. Rozpoczynając te łowy Doll miał nadzieję, że jeżeli po prostu powalęsa się z otwartą głową i otwartymi oczami, to w końcu nadarzy się właściwa chwila, odpowiednia sytuacja, i wtedy potrafi ją rozeznąć i wykorzystać. Stało się jednak inaczej i teraz zaczynał z desperacją czuć, że czas mu ucieka.

Obszedłszy całą rufę, Doll natknął się tylko na dwa wolne pistolety, których nikt nie miał na sobie. To nie było zbyt dużo. Obydwa postawiły go w obliczu decyzji: powinien czy nie powinien? Wystarczyłoby zabrać pas razem z pistoletem, nałożyć go i odejść.

Za jednym i drugim razem było w pobliżu kilku ludzi i Doll nie mógł się oprzeć przemożnemu poczuciu, że nadarzy się lepsza okazja.

Nie nadarzyła się jednak i teraz musiał się zastanawiać równie usilnie, czy nie przesadził w ostrożności, ponieważ się bał. Była to myśl trudna do zniesienia.

Jego kompania mogła każdej chwili zacząć wchodzić na górę.

Z drugiej strony dręczyła go myśl o Mazzim, Tillsie i innych, kiedy zobaczą go wracającego bez pistoletu.

Ostrożnie otarł pot z oczu i przekroczył próg. Poszedł prawą stroną przedniej ładowni przeciskając się między tłumem obcych z innej jednostki, szukając ciągle.

Doll nauczył się czegoś w ciągu minionych sześciu miesięcy swojego życia. Nauczył się głównie tego, że każdy żyje jakąś wybraną fikcją. Nikt w gruncie rzeczy nie jest taki, jak udaje. Każdy wymyśla jakąś fikcyjną opowieść o sobie, a potem po prostu udaje przed wszystkimi, że jest właśnie taki. I wszyscy mu wierzą, albo przynajmniej akceptują tę jego opowieść. Doll nie wiedział, czy każdy dowiadyje się tego o życiu dochodząc do pewnego wieku, ale przypuszczał, że tak. Po prostu ludzie nie mówią tego nikomu. I słusznie. Bo oczywiście gdyby się komuś zwierzyli, ich zmyślona opowieść o sobie samych nie byłaby już prawdziwa. Dlatego każdy musi sam się tego nauczyć. A potem oczywiście udawać, że się nie nauczył.

Pierwsze zetknięcie się Dolla z tym zjawiskiem wynikło albo przynajmniej zaczęło się od walki na pięści, którą stoczył przed sześcioma miesiącami z jednym z najroślejszych, najtwardszych ludzi w kompanii C, kapralem Jenksem. Walczyli ze sobą bez końca, bo żaden nie chciał dać za wygraną, aż wreszcie ogłoszono coś w rodzaju remisu przez wyczerpanie. Jednakże nie tyle to, co nagła świadomość, że kapral Jenks jest tak samo jak on zdenerwowany walką i w gruncie rzeczy nie ma większej niż on ochoty się bić, otworzyła nagle Dollowi oczy. Gdy raz dojrzał to w Jenksie, zaczął to widzieć wszędzie, w każdym.

–Kiedy Doll był młodszy, wierzył we wszystko, co ktoś mu mówił o sobie. I nie tylko mówił – bo najczęściej ludzie nie mówili, ale pokazywali. Pozwalali niejako dojrzeć to przez swoje postępowanie. Odgrywali coś, co chcieli, żeby o nich myślano, tak jakby naprawdę byli tacy. Kiedy Doll widział kogoś, kto był odważny, kto był czymś w rodzaju bohatera, naprawdę wierzył, że nim jest.

I oczywiście przez to Doll czuł się nic nie wart, bo wiedział, że sam nigdy nie potrafi

**być taki. O rany, nic dziwnego, że przez całe życie siedział w tylnych rzędach!**

**Było to dziwne, ale wydawało się, że jeżeli ktoś był uczciwy i przyznawał się, że nie wie, czym jest naprawdę, albo nawet czy w ogóle czymś jest, to nikt go nie lubił, wszyscy czuli się nieswojo i nie chcieli się z nim zadawać. Natomiast kiedy wymyślił taką fikcyjną historię o sobie i o tym, jakim jest wspaniałym facetem, a potem udawał, że taki jest naprawdę, wówczas wszyscy to akceptowali i wierzyli mu.**

**Kiedy by wreszcie znalazł pistolet – jeżeliby go znalazł – Doll nie miał zamiaru przyznać się, że był w strachu czy niepewny siebie, czy niezdecydowany. Zamierzał udawać, że było to łatwe, że odbyło się tak, jak sobie wyobrażał, nim do tego przystąpił.**

**Ale najpierw musiał dostać ten pistolet, cholera jasna!**

**Doszedł już prawie na sam dziób, kiedy zobaczył pierwszy, którego nikt nie miał na sobie. Doll przystanął i popatrzał nań chciwie, zanim się opamiętał i rozejrzał dokoła, jaka jest sytuacja. Pistolet wisiał na końcu ramy łóżka. O trzy koje dalej grupa ludzi zgromadziła się w duchocie wokoło nerwowej gry w kości. Czterech czy pięciu innych stało w samej wejściówce rozmawiając o piętnaście stóp od nich. Ogółem biorąc, nie było to z pewnością wcale mniej ryzykowne niż z tamtymi dwoma, które widział na rufie.**

**Może nawet trochę bardziej.**

**Z drugiej strony Doll nie mógł zapomnieć tego jątrzącego poczucia uciekania czasu. Mógł to być jedyny pistolet, jaki tu zobaczy.**

**Ostatecznie widział tylko dwa na całej rufie. W desperacji doszedł do wniosku, że trzeba zaryzykować. O ile mógł się zorientować, nikt nie zwracał na niego uwagi. Podszedł niedbale i oparł się na chwilę o ramę koi, tak jakby to było jego miejsce, po czym zdjął pistolet i przypasał go sobie. Tłumiąc instynkt, który mu nakazywał ucieczkę, zapalił papierosa, zaciągnął się parę razy głęboko i ruszył niespiesznie ku drzwiom, tam skąd przyszedł.**

**Był już w połowie drogi i nawet zaczynał myśleć, że mu się udało, gdy wtem usłyszał dwa głosy wołające za nim. Nie było wątpliwości, że są skierowane do niego.**

**–Hej, wy tam!**

**–Hej, żołnierzu!**

**Doll obrócił się z miną winowajcy, czując, że oczy mu się zapadają, a serce zaczyna bić mocniej, i ujrzał idących ku niemu dwóch ludzi, szeregowca i sierżanta. Czy go wydadzą? Czy spróbują go pobić? Żadna z tych perspektyw nie nękała Dolla ani w**

połowie tak jak ta, że zostanie potraktowany jak złodziej, którym istotnie był.

Tego właśnie się bał; przypominało to koszmar, który każdy miewa, że zostanie złapany, chociaż nie wierzy, że mi się to naprawdę przydarzy.

Obaj szli groźnie ku niemu, rozzłoszczeni, z twarzami omroczoneymi słusznym oburzeniem. Doll kilkakrotnie zamrugał szybko oczami usiłując zmyć z nich wyraz stropienia i winy. Zauważył, że za tymi dwoma inne twarze obróciły się, aby popatrzeć.

–To mój pistolet macie na sobie, żołnierzu – powiedział szeregowiec. W jego głosie było pełne urazy oskarżenie.

Doll nic nie odpowiedział.

–On widział, jak go zdejmowaliście z koi – rzekł sierżant – więc nie próbujcie się wyłgiwać.

Przywoławszy całą swoją energię – czy odwagę, czy cokolwiek to było – Doll nadal nie odpowiadał i przymusił swą twarz do powolnego, cynicznego uśmiechu patrząc na nich teraz bez zmrużenia oka. Z wolna odpiął pas i oddał go.

–Jak długo jesteś w wojsku, koleś? – wyszczerzył zęby. – Powinieneś wiedzieć, kurwa, że nie zostawia się tak swojego sprzętu. Możesz go kiedyś stracić. – Patrzył na nich dalej, nieporuszony.

Obaj patrzyli na niego także, a ich oczy zaczęły się lekko rozszerzać w miarę jak nowa myśl, nowa postawa, zaczynała zastępować ich sprawiedliwe oburzenie. Obojętność i pogodny brak winy Dolla wystrychnęły ich na dudków i nagle obaj uśmiechnęli się niemrawo, urzeczeni tą uwielbianą we wszystkich armiach postacią twardego, zadziornego, cynicznego żołnierza, który zagarnia wszystko, co mu trafi pod rękę.

–No, lepiej nie miejcie takich lepkich palców, żołnierzu – powiedział sierżant, ale nie zabrzmiało to już tak dobitnie. Usiłował powściągnąć uśmiech.

–Wszystko, co leży luzem na otwartym miejscu, jest dla mnie dozwoloną zwierzyną – powiedział Doll wesoło. – I dla każdego innego starego żołnierza też. Powiedz pan swojemu chłopakowi, że nie powinien tak kusić ludzi.

Za nimi inne twarze także zaczęły się uśmiechać ku zmieszaniu szeregowca. Miał teraz głupią minę, tak jakby to on był winny.

Sierżant obrócił się do niego.

**–Słyszałeś, Drake? – uśmiechnął się. – Pilnuj lepiej swojego pieprzonego sprzętu.**

**–No! Pewnie, że powinien – rzekł Doll – bo inaczej nie będzie go miał długo. – Odwrócił się i odszedł niespiesznie do drzwi nie zatrzymywany przez nikogo.**

**Znalazłszy się na zewnątrz Doll przystanął i wydał z siebie długie, świszczące westchnienie. Potem oparł się o grodz, bo kolana mu drżały. Gdyby zachował się jak winowajca – którym naprawdę się czuł – daliby mu szkołę. I to niezłą. Ale nadrobił miną i teraz ten szeregowiec wyszedł na winnego. Doll wybuchnął nerwowym, roztrzęsionym śmiechem. A to wszystko było jednym wielkim kłamstwem! Obok strachu czuł wielkie rozradowanie i dumę. Pomyślał nagle, że w jakimś sensie naprawdę jest takim facetem, typem takiego faceta, jakiego tam udawał. A dawniej nim nie był.**

**Jednakże wciąż nie miał pistoletu. Przez chwilę spoglądał na zegarek zastanawiając się z niepokojem, ile zostało czasu. Nie chciał odchodzić z tego pokładu, tak się oddalać od kompanii C. A potem, na jeszcze trochę trzęsących się nogach, ale w tryumfalnym nastroju, zaczął wchodzić po schodach na wyższy pokład z ogromnym poczuciem własnej wartości.**

**Od chwili kiedy Doll znalazł się między kojami na wyższym pokładzie, wszystko zaczęło grać na jego korzyść. Był jeszcze trochę roztrzęsiony i o wiele bardziej płochliwy niż przedtem. Nie miało to znaczenia. Wszystko ułożyło się doskonale dla niego i jego zamiaru.**

**Nie mogłoby ułożyć się doskonale, nawet gdyby osobiście poprosił Boga o taką kolejność wydarzeń. Doll nie wiedział, dlaczego; sam nic nie zrobił po temu, a gdyby przyszedł o minutę wcześniej czy o minutę później, z pewnością wypadłoby inaczej. Ale nie przyszedł ani za wcześnie, ani za późno. A nie miał zamiaru zatrzymać się i zastanawiać nad tym zrzędzeniem losu. Była to właśnie ta idealna sytuacja i układ, który sobie pierwotnie wyobrażał, i teraz rozpoznał je błyskawicznie.**

**Nie postąpił nawet trzech kroków, kiedy zobaczył nie jeden, ale dwa pistolety leżące prawie obok siebie na tej samej koi, tuż przy zejściówce. W tym końcu pomieszczenia nie było nikogo poza jednym człowiekiem, a zanim Doll zdążył postawić następny krok, człowiek ten wstał i odszedł na drugi koniec, gdzie gromadzili się inni.**

**To było wszystko. Doll musiał tylko podejść, wziąć jeden z pistoletów i przypasać go. Z tym cudzym pistoletem ruszył dalej między kojami. Na drugim końcu po prostu zeszedł po schodach luku, skręcił w lewo i już był bezpieczny między kompanią C – jak – Charlie.**

**Kompania jeszcze nie zaczęła się ruszać i wszystko było tak samo jak wówczas,**

kiedy odchodził. Tym razem specjalnie przeszedł blisko Tillsa i Mazziego, czego rozmyślnie unikał, gdy wrócił z pustymi rękami z rufy.

Tills i Mazzi nie ruszyli się ze swojego miejsca i nadal siedzieli oparci o grodz, z nogami podciągniętymi do piersi, pocąc się w upale.

Doll przystanął przed nimi wzięwszy się pod boki, z prawą dłonią opartą na pistolecie. Nie mogli go nie zauważyć.

–Cześć, chłopczyku – powiedział Mazzi, Tills zaś uśmiechnął się.

–Widzieliśmy, jakeś się tędy niedawno przekradał. Wracając z rufy. Kiedy „Ciota” cię podłapał. Gdzie byłeś?

Oczywiście żaden nie miał zamiaru wspomnieć o pistolecie. Ale Doll o to nie dbał. Podniósł kaburę i strzepnął nią parę razy o nogę.

–Chodziłem sobie – powiedział unosząc brew i wargę w wyniosłym uśmiechu. – Chodziłem. No, co wy na to?

–Na co? – zapytał Mazzi niewinnie.

Doll uśmiechnął się znowu tym swoim nieprzyjemnym uśmiechem.

–Nic. Wojna – powiedział drwiąco, zawrócił na pięcie i ruszył między kojami ku swojej własnej i reszcie kompanii C. Była to reakcja, którą przewidywał. Ale nadal nie dbał o to. Miał pistolet.

–No, i co teraz powiesz, cwaniaku? – zapytał Tills patrząc za Dollem.

–To samo, co przedtem, cholera – odrzekł Mazzi obojętnie – Ten gość to menda.

–Ale pistolet ma.

–Więc Jest menda z pistoletem.

–A ty jesteś cwaniak bez pistoletu.

–Słusznie – odparł twardo Mazzi. – Co to jest, pieprzony pistolet? Ja...

–Chciałbym mieć taki – rzekł Tills.

–...mógłbym go sobie skombinować, kiedy bym zechciał – ciągnął niewzruszenie Mazzi. – Ten gość łazi i szuka zasranego pistoletu kiedy wszyscy tutaj czekamy, aż nam zrzucą bomby na dupę.



**–I przynajmniej będzie miał pistolet, jak zejdziemy na ląd – upierał się Tills.**

**–Jeżeli zejdziemy na ląd.**

**–Ano, jak nie, to i tak nie będzie ważne – powiedział Tills – przynajmniej coś robił, a nie siedział tu z założonymi rękami, tak jak ty i ja.**

**–Daj spokój, Tills, daj spokój – powiedział Mazzi z uporem. – Chcesz coś zrobić, to idź i rób.**

**–Chyba pójdę – odrzekł gniewnie Tills wstając. Zaczął odchodzić, po czym nagle zawrócił. – Wiesz, że nie mam ani jednego przyjaciela? Ani jednego. Ty nie masz, ja nie mam. – Tills zatoczył głowę – jakieś szaleńcze koło ogarniając całą kompanię za sobą.**

**–i nie ma żaden facet w tym oddziale. Ani jednego. A jeżeli nas zabiją? – Tills urwał raptem na tej pytającej nucie, która zawisała w powietrzu wokół jego głowy, donośna i nie dokończona, podobnie jak rozbrzmiewające długo echem zgrzyty udręczonej stali kiedy łodzie desantowe uderzały o statek. – Ani jednego – dodał nieprzekonująco.**

**–Ja mam przyjaciół – powiedział Mazzi.**

**–Ty masz przyjaciół! – wykrzyknął gwałtownie Tills. – Ty masz przyjaciół! Ha! – A potem jego głos opadł, zwisł. – Idę pograć w pokera. – Odwrócił się.**

**–Jeżeli tylko nie będziesz pożyczął od nich pieniędzy. Albo im – powiedział Mazzi. – Chcesz pieniędzy? Chcesz pieniędzy, Tills? – zawołał za nim i wybuchnął śmiechem. Znowu podciągnął kolana | do piersi śmiejąc się głośno, odrzuciwszy w tył głowę z gwałtownym uznaniem dla swego dowcipu.**

**Pokera, do którego przyłączył się Tills, prowadził mały Nellie Coombs. Nellie, drobny, wąty blondyn, rozdawał jak zwykle karty i pobierał od dziesięciu do dwudziestu pięciu centów od osoby. W zamian za to dostarczał grającym papierosów i nigdy nie pozwalał nikomu rozdawać kart. Tills nie miał pojęcia, dlaczego ktokolwiek z nim grywał. Nie miał pojęcia, dlaczego sam to robił. Zwłaszcza że go podejrzewano o oszustwo przy rozdawaniu. O kilka kroków dalej szła inna, normalna gra z kolejnym rozdawaniem, ale Tills wydobył portfel, wyjął z niego kilka banknotów i zasiadł do partii Nelliego. Żeby tylko skończyło się to cholerne czekanie.**

**Doll myślał to samo. Szukanie pistoletu zajęło go tak całkowicie, że chwilowo zupełnie zapomniał o możliwości nalotów. Odszedłszy od Mazziego i Tillsa myszkował po zatłoczonych przejściach, dopóki nie odnalazł Fife'a i Dużego Queena i nie pokazał im pistoletu.**

**W przeciwieństwie do Mazziego i Tillsa okazali się zadowolająco przejęci jego**

wyczynem, a także tym, jak łatwo mu poszło, kiedy im wszystko opisał. Jednakże przyjemność, jaką Doll odczuwał, nie mogła go uwolnić od żrącej myśli o możliwości nalotów. Jeżeli po zdobyciu tego cholernego pistoletu i w ogóle mieli zostać i tak zbombardowani... Nie mógł znieść tej myśli. Do diabła, może go nigdy nie użyć. Było to bardzo przygnębiające i obudziło w Dollu bezdenne poczucie daremności wszystkiego.

Zarówno Queen, jak Fife napomknęli, że może też poszukają sobie pistoletu, ponieważ wydawało się to takie łatwe. Jednakże Doll ich nie zachęcał, z uwagi na czynnik czasu, jak powiedział. Nie wspomniał im też o drugim pistolecie, który widział na górze. Bądź co bądź sam musiał znaleźć sobie swój, więc dlaczego nie mieliby też tak zrobić? A zresztą jeżeli tamci na górze zauważyli brak jednego pistoletu, na pewno będą mieli się na baczności, więc mogło to być niebezpieczne dla jego kolegów. Doprawdy wyświadczył im przysługę, że nic nie powiedział. Zniechęciwszy ich, Doll ruszył do swojej Koi, by sprawdzić oporządzenie, z braku czegoś innego do roboty.

Wtedy nagle znalazł się naprzeciw rozwichrzonych włosów, groźnej postaci i chytrej, obłąkanej, ponurej twarzy starszego sierżanta Welsha.

–Co ty tu robisz z tym pieprzonym pistoletem, Doll? – zapytał Welsh szczerząc obłąkańczo zęby.

Pod tym wzrokiem zwiędła nowo nabyta pewność siebie Dolla, a jego odczucia roztopiły się w mętlik speszenia.

–Jakim pistoletem? – wymamlał.

–Tym pistoletem! – krzyknął Welsh i postąpiwszy naprzód chwycił za kaburę wiszącą na biodrze Dolla. Przyciągnął go nią powoli do siebie, aż znaleźli się ledwie o parę cali jeden od drugiego, i uśmiechnął się przebiegle, zuchwale, prosto w twarz Dolla. Z łagodną przemocą potrząsnął Dollem trzymając go za kaburę. – O ten pistolet mi idzie – powiedział. – Ten pistolet.

Bardzo powoli uśmiech zniknął z twarzy Welsha pozostawiając na niej wyraz czarnej, złowieszczej gwałtowności – przeszywające, mordercze wejrzenie, które jednakże było zarazem chytre.

Doll był dosyć wysoki, ale Welsh wyższy, co było niekorzystne.

I choć Doll wiedział, że to powolne zanikanie uśmiechu było rozmyślnie, stanowiło teatralną zagrywkę, poraziło go jednak lekkim paraliżem.

–Ano, ja... – zaczął, ale Welsh mu przerwał. I dobrze się stało.

**Nie miał żadnych słów w głowie.**

**–A jeżeli ktoś tutaj przyjdzie do Steina i zechce zrewidować tę jednostkę w poszukiwaniu skradzionego pistoletu? No? – Welsh podciągnął do góry Dolla za kaburę, tak że ten musiał wspiąć się na palce. – Pomyślałeś o tym? Co? – wysyczał ze złowieszczą łagodnością. – A jeśli wtedy ja, wiedząc, kto go ma, będę zmuszony powiedzieć Steinowi, gdzie jest? Co? Pomyślałeś o tym?**

**–Zrobiłby pan to, szefie? – zapytał słabym głosem Doll.**

**–Możesz się założyć, kurwa, że tak! – ryknął mu Welsh prosto w twarz z zaskakującą nagłością.**

**–Ano... Myśli pan, że ktoś przyjdzie? – zapytał Doll.**

**–Nie! – wrzasnął mu w twarz Welsh. – Nie myślę!**

**A potem, równie powoli, jak zniknął, ów chytry, złowrogi uśmieszek powrócił na twarz sierżanta. Przytrzymawszy go chwilę na twarzy Welsh opuścił Dolla na pięty i tym samym ruchem odepchnął od siebie kaburę z pistoletem tak, jakby nie była przypasana do nikogo. Doll odleciał w tył razem z nią o pół kroku i ujrzał Welsha stojącego przed nim, z rękami swobodnie opartymi na biodrach, uśmiechającego się tym swoim chytrym, obłąkanym uśmiechem.**

**–Oczyść go – powiedział Welsh. – Pewnie jest brudny. Ktoś, kto tak zostawia byle gdzie pistolet, musi być zasranym żołnierzem.**

**–Nadal stał uśmiechając się obłąkańczo do Dolla.**

**Znowu nie mogąc spojrzeć mu w oczy, Doll, pełen szalonej wściekłości, ruszył ku swojej koi, do której miał dosyć daleko. W gruncie rzeczy ustępował z pola i jego ambicja była silnie zraniona. Najgorsze, że działo się to wśród tłumu ludzi, co było dla niego szczególnie bolesne, chociaż nastąpiło tak nagle i szybko, że mało kto coś zauważył poza tymi, którzy znajdowali się w pobliżu.**

**Szlag by trafił Welsha; miał oczy jak sokół, widział wszystko. Ale jedyną myślą, która pozostała w umyśle Dolla jako najważniejsza, było to, co Welsh powiedział o wyczyszczeniu pistoletu. Zaskoczyło to Dolla. Nigdy by mu nie przyszło do głowy. Rzecz ciekawa, nie mógł pobudzić w sobie złości na Welsha, choć tego pragnął, i to go napełniało jeszcze większą wściekłością. Wściekłością nie wymierzoną w nikogo i dlatego zawiedzioną. Bo kto mógł się złościć na człowieka obłąkanego? Każdy wiedział, że to szaleniec. Kompletny wariat. Dwanaście lat w wojsku pozbawiło go mózgu. Gdyby Welsh chciał go ujaść za ten pistolet, to dlaczego nie poszedł na całego i nie odebrał mu go? Każdy normalny podoficer tak by zrobił; samo to dowodziło, że jest stuknięty. Wróciwszy na swoją koję Doll zaczął rozbierać swój**

nowy pistolet, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście jest brudny. Bardzo pragnął udowodnić, że Welsh się myli. Z tryumfem stwierdził, że pistolet bynajmniej nie jest brudny. Był czysty jak ła.

Starszy sierżant Welsh po odejściu Dolla nadal stał w przejściu i uśmiechał się chytrze, Nie miał po temu szczególnej przyczyny już przecież załatwił Dolla i zapomniał o nim, ale sprawiało mu to przyjemność. Po pierwsze peszyło wszystkich, którzy byli w pobliżu, a Welsh to lubił. Nadal stał z rękami opartymi na biodrach, lekko pochylony na rozstawionych nogach, czyli dokładnie w tej samej pozycji, jaką przybrał odepchnąwszy Dolla od siebie; postanowił przekonać się, jak długo potrafi stać nie poruszając niczym prócz oczu. Na oczy sobie pozwalał. Nie mógł podnieść ręki, by spojrzeć na zegarek, bo wtedy by się poruszył, ale nad grodzią wisiał duży zegar okrętowy, więc mógł sprawdzać czas według niego. Nieruchomy jak posąg zerkał to tu, to ówdzie ponad swym chytrym uśmieszkiem pod czarnymi, ściągniętymi brwiami, a wszędzie, gdzie padał jego wzrok, ludzie kręcili się pod nim niepewnie, spuszczali oczy i zabierali się do czegoś – poprawienia jakiegoś rzemienia, sprawdzania linki, przecierania osady karabinu. Welsh obserwował ich z rozbawieniem. Byli żałośni pod każdym względem. Niemal na pewno prawie wszyscy będą nieżywi, zanim ta wojna się skończy, z nim samym włącznie, a żaden nie miał tyle oleju w głowie, żeby to wiedzieć. No, może paru. Dla nich ta wojna właściwie dopiero się zaczynała, a mieli w niej tkwić do końca. Mało który był zdolny czy gotów przyznać albo zrozumieć, jak niepokojąco mały przez to ich szansę. Zdaniem Welsha zasługiwali na wszystko, co miało ich spotkać. A to obejmowało i jego samego. I to też go bawiło.

Welsh nie był nigdy w boju. Ale obcował długo z wieloma takimi, co byli. I właściwie utracił zarówno wiarę, jak respekt dla mistyki ludzkiej – walki. Przez całe lata przesiadywał i upijał się z weteranami z pierwszej wojny światowej oraz młodszymi ludźmi, którzy walczyli z piętnastym pułkiem piechoty w Chinach, i słuchał ich pijackich opowieści o smętnej brawurze. Obserwował, jak te historie rozrastały się z biegiem lat, podczas pijatyk, i zdołał dojść tylko do jednego wniosku, a mianowicie, że każdy stary weteran jest bohaterem. Welsh nie potrafił powiedzieć, jakim sposobem tylu bohaterów pozostało przy życiu, a tylu niebohaterów zginęło. Ale każdy weteran był bohaterem. Jeżeli im się nie wierzyło, wystarczało ich spytać, lub jeszcze lepiej – spić ich i nie pytać. Po prostu nie było innych. Jednym z hazardów zawodowej żołnierki było to, że co dwadzieścia lat, regularnie jak w zegarku, ta część rodzaju ludzkiego, do której się należało, musiała, bez względu na poglądy polityczne czy ideały humanitarne, zostać uwikłana w wojnę i wtedy mogło się być zmuszonym w niej walczyć. Bodaj jedynym sposobem uniknięcia tego matematycznego hazardu było zaciągnąć się zaraz po jednej wojnie, w nadziei, że będzie się za starym na następną; to mogło się udać. Ale żeby to osiągnąć, należało być w określonym wieku akurat w odpowiednim momencie, a to zdarzało się rzadko.

Jednakże miało się do wyboru albo to, albo wstąpienie do kwatermistrzostwa czy

innej podobnej służby. Welsh zrozumiał to wszystko już wtedy, gdy zaciągał się w 1930 roku, dokładnie między wojnami, mając lat dwadzieścia, ale zaciągnął się mimo to. I zaciągnął się do piechoty. Nie do służby kwatermistrzowskiej. I pozostał w piechocie.

To także go bawiło.

Welsh uważał, że tym sposobem pokonał kryzys w swoim kraju i przechytrzył naród, a teraz, dzisiaj, 10 listopada 1942 roku, przygotowywał się do zapłacenia za to. I to też go bawiło.

Wszystko bawiło Welsha. Albo przynajmniej miał taką nadzieję.

Bawił go fakt, że pozostał w piechocie – chociaż, gdyby ktoś go zapytał, nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, dlaczego to zrobił, poza tym, że go bawiło. Bawiła go polityka, bawiła religia, a zwłaszcza ideały i prawość, ale nade wszystko bawiły go ludzkie zalety. Nie wierzył w nie i nie wierzył w żadne inne takie słowa. Jeżeli go naciskano, co często czynili zirytowani przyjaciele, prosząc, żeby powiedział, w co właściwie wierzy, odpowiadał natychmiast, tak jak to często robił: „We własność”. To na ogół rozwścieczało każdego, ale Welsh mówił tak nie tylko w tym celu, chociaż sprawiało mu przyjemność rozwścieczanie wszystkich. Urodziwszy się w gorliwie protestanckiej, czcigodnej rodzinie, której zarówno protestantyzm, jak czcigodność były fałszywe, choć miała duże posiadłości, przez całe życie przestrzegał zasady własności i nie widział powodu, żeby zmieniać swoje poglądy przez jakiegoś czułościwego miłośnika rodzaju ludzkiego. Własność w takiej czy innej formie była w końcu zawsze tym, dzięki czemu wszystko grało. Bez względu na to, jakimi słowami ludziom podobało się ją nazywać. Tego był pewien.

A jednak sam nigdy nie próbował nabyć własności. W istocie wszelką własność, która mu się trafiała w charakterze produktu ubocznego, zawsze odrzucał albo pozbywał jej się niemal z pośpiechem, jak najprędzej. To również go bawiło, tak samo jak obserwowanie pośpiechu, z jakim się jej wyzbywał.

Za sobą, w korytarzu, Welsh usłyszał zbliżające się kroki, a potem czyjś głos.

–Panie sierżancie, czy mogę o coś zapytać? – Musiał to powiedzieć któryś z poborowych. Służalczo.

Welsh nie poruszył się ani nie przemówił, tylko obrócił oczy na duży zegar nad grodzia. Upłynęła dopiero trochę więcej niż minuta, a to z pewnością nie było dostatecznie długo. Welsh dalej stał nieruchomo. Po chwili głos i kroki oddaliły się. Wreszcie, kiedy zegar wskazał, że minęły dwie minuty i trzydzieści sekund, znudziło się to Welshowi, więc postanowił iść i podogryzać swojemu kanceliście Fife'owi. Kiedy ruszył ku kojom dowództwa kompanii, ludzie wydali z siebie coś w rodzaju

bezglósnego westchnienia ulgi. Welsh nie omieszczał tego zauważyć i napawał się tym ze swoim chytrym, bezczelnym, obłąkanym uśmieszkiem.

Welshowi nie był już teraz potrzebny Doll, tak samo jak kapral Fife, jego kancelista z pierwszego rzutu. Doll był szczeniakiem, który do czasu swojej bójki z Jenksem przed sześcioma miesiącami przynajmniej trzymał się na osobności, nie wchodził nikomu w drogę i nie otwierał ust. Teraz po swoim tak zwanym „tryumfie” zaczął siebie uważać za wspaniałego, dorosłego mężczyznę i stał się kompletnym, dokuczliwym osłem, załazającym każdemu za skórę.

A znowu Fife, choć także szczeniak i osioł, był tchórzem. Welsh nie miał na myśli tchórza w tym sensie, że sfajdałby się w portki i uciekł. Fife by tego nie zrobił; zostałby na miejscu. Dygotałby jak pies, który wysrywa pestkę brzoskwini, i bałby się śmiertelnie, ale by został. A zdaniem Welsha był to jeszcze gorszy rodzaj tchórza.

Kiedy mówił: „tchórz”, miał na myśli to, iż Fife jeszcze się nie nauczył – o ile miał się kiedykolwiek nauczyć – że jego życie, on sam, jego „ja”, nie mają najmniejszego znaczenia dla świata w ogólności, i nigdy mieć go nie będą. Natomiast Doll był za tępy, żeby zrozumieć coś podobnego czy choćby powziąć taką niewiarygodną myśl. Fife był dostatecznie sprytny, by wiedzieć albo przynajmniej nauczyć się tego, ale nie chciał przyznać, że tak jest. A w słowniku Welsha był to najgorszy rodzaj tchórza.

Odnalazł niskiego, lecz barczystego Fife'a siedzącego między kojami z grupką obsługi kuchennej, i podszedł do niego ze swoim chytrym, przebiegłym i niezwykle odpychającym uśmieszkiem.

Kapral Fife siedział z kucharzami i słuchał ich rozmowy, aby oderwać się od nieprzyjemnie nerwowej myśli, że zostanie zbombardowany. Zobaczył nadchodzącego Welsha, i co więcej – zorientował się po wyrazie jego twarzy i swoim znacznym dotychczasowym doświadczeniu, w jakim nastroju jest starszy sierżant. Pierwszym odruchem Fife'a było wstać i oddalić się, zanim Welsh podejdzie.

Ale wiedział, że to na nic się nie zda. Welsh ruszyłby za nim, albo, co gorsze, rozkazałby mu zawrócić. Więc Fife po prostu siedział czując, że na twarzy pojawia mu się dojmujące zakłopotanie, i patrzył na nadchodzącego Welsha. Jeżeli Fife czegoś nienawidził, to zwracania na siebie uwagi, a właśnie to zawsze robił z nim sierżant Welsh, tak jakby przebiegle zdawał sobie z tego sprawę.

Fife dał się przekonać Dollowi, żeby nie próbował ukraść pistoletu. Tak samo jak Teksańczyk, Duży Queen. Obaj byli pewni, że nie wystarczy im czasu. Toteż kiedy Queen odszedł usiłując rozproszyć albo przynajmniej stłumić swoje rosnące zdenerwowanie na myśl o nalocie, Fife zaczął rozglądać się między kojami za pewnym przyjacielem, z którym chciał pogadać, jednym z dwóch przyjaciół, jakich miał kiedykolwiek w kompanii C – jak – Charlie.

Jednego z tych dwóch przyjaciół przeniesiono z kompanii, tak że nawet nie był na statku. Drugim, którego Fife uważał za znacznie bardziej imponującego, był masywny, mówiący cicho, wielkoręki szeregowiec nazwiskiem Bell. Fife znalazł go czekającego spokojnie z paroma – innymi szeregowcami i przyłączył się do nich. Ale wypadło to nie najlepiej, bo prawie nie odezwali się do siebie. Po krótkiej chwili Fife odszedł i wrócił do kucharzy, którzy gadali nerwowo. Ten Bell, którego uważał za takiego fajnego, niezbyt mu dodał otuchy, i Fife zawiódł się na nim.

Bell, który był nowym poborowym, mówił mało, trzymał się na uboczu i z całą pewnością nie miał w sobie nic niezwykłego. Był jednak taki interesujący dlatego, że miał swoją tajemnicę, a przynajmniej miał ją kiedyś, i dwudziestoletni Fife wiedział, na czym polegała. Bell był dawniej oficerem. Był przed wojną porucznikiem w korpusie saperów na Filipinach i podał się do dymisji.

Fife nie mógł zapomnieć uczucia najpierw respektu, a potem zaskoczenia i zdumienia, kiedy w kancelarii przeczytał tę informację w aktach Bella, gdy ten przybył przed trzema miesiącami do kompanii C razem z grupą innych poborowych. Takie sensacyjne historie, jak Fife przekonał się podczas dwóch i pół lat służby w wojsku, istniały jedynie na łamach „Argosy” czy innych podobnych czasopism. Ci oficerowie i żołnierze, których znał, mieli przeszłość dość prozaiczną; tylko nieliczni byli eks – kryminalistami, czy też czymś równie karkołomnym. Ma się rozumieć, Fife był zachwycony, że natknął się na takiego Bella. Jeżeli idzie o respekt, to wszyscy oficerowie napawali Fife'a respektem. Nie lubił ich jako klasy, ale czuł dla nich szacunek, nawet gdy wiedział, iż nań nie zasługują, po prostu dlatego, że sprawowali nad nim taką samą władzę jak rodzice i nauczyciele w szkole, i czynili to bardzo podobnie. To, że ktoś mógł dobrowolnie zrezygnować z tej władzy i samemu się jej poddać, wydawało się Fife'owi zarówno bardzo romantyczne, jak bardzo niemądre.

Fife był naprawdę całkiem inteligentny, chociaż przez swoją pobudliwość najczęściej sprawiał wrażenie, że tak nie jest, i później doszedł do wniosku, iż owego dnia, kiedy zobaczył Bella w stołówce jego twarz musiała zdradzić, czego się dowiedział. Tak czy owak Bell podszedł doń później tamtego popołudnia i przypatrzwszy mu się spokojnie, lecz dość uważnie, odprowadził go na bok i poprosił, żeby nikomu nic nie mówił o tym, co zobaczył w jego aktach. Fife, który przynajmniej dotąd nie miał żadnego świadomego zamiaru mówić komukolwiek, zgodził się skwapliwie, choć z żalem. Później myślał, że może zbyt skwapliwie; mogło się wydać, że rad jest wejść w spisek z Bellem, co w Bellu obudziło wyraźny niesmak. A Fife wcale tego nie chciał; była to znowu ta jego przeklęta pobudliwość. Ale jak miał to wytłumaczyć Bellowi?

Tak czy owak Fife, zgodziwszy się na prośbę Bella, poczuł się ośmielony i poprosił go skwapliwie i z podnieceniem, aby mu opowiedział całą historię. Może była to jakaś nieczysta sprawa. W każdym razie Bell przypatrzył mu się znowu długo, badawczo, spokojnie i najwyraźniej doszedł do wniosku, że musi to zrobić, więc usiadłszy na

łóżku, ugniatając swoje wielkie dłonie z jakąś osobliwą cierpliwością i wpatrując się w nie uparcie, opowiedział mu.

Wszystko stało się przez jego żonę. Razem ukończyli uniwersytet stanu Ohio, on ze stopniem inżyniera. Naturalnie przeszedł przeszkolenie dla oficerów rezerwy, został powołany do wojska w 1940 roku i wysłany na Filipiny. Żona oczywiście pojechała razem z nim. Ale kiedy tam przybył i dostał przydział, wysłano go w dżunglę na innej wyspie, do pracy przy budowie tamy, którą wojsko interesowało się z przyczyn obronnych. Żonom nie pozwalano tam jechać, bo w dżungli były ciężkie warunki, więc żona Bella została w Manili i tak się rozdzielili. Bellowi dano najparszywszą robotę po prostu dlatego, że był tam najnowszy.

–Wiesz, jak wyglądały te przedwojenne kluby oficerskie – mówił Bell ugniatając swoje wielkie dłonie i wpatrując się w nie. – A ona nie знаła nikogo w Manili. Widzisz, myśmy nigdy przedtem się nie rozstawali. Przynajmniej na noc. Wytrzymałem cztery miesiące, a potem to rzuciłem. Podałem się do dymisji.

–Aha – powiedział Fife ze skwapliwą zachętą.

–Zawsze byliśmy bardzo aktywni seksualnie – dodał Bell.

Fife czekał, żeby mówił dalej.

–Aha – uśmiechnął się zachęcająco.

Bell popatrzał na niego prawie gniewnie, z tą szczególną, rozpaczliwą, smutną cierpliwością, bezdennie głęboką.

–To wszystko.

Jakby spokojnie godził się z faktem, że Fife nie potrafi zrozumieć, co powiedział. I Fife myślał, że może to w jakimś sensie prawda, ponieważ sam nie był nigdy żonaty. Ale nie mógł pojąć, co w tym było takiego strasznego, po co ta cała heca.

–Oboje jesteśmy tym rodzajem ludzi, którzy potrzebują masę fizycznej czułości... – Bell urwał, jakby chciał spróbować innego podejścia. – To jest niegodne – powiedział sztywno. – Dla żonatego mężczyzny w moim wieku niegodne jest być oddzielonym od żony.

–Aha – rzekł Fife ze współczuciem. Bell znowu tylko spojrział na niego.

–W każdym razie pracowałem w Manili, dopóki nie uzbieraliśmy dosyć pieniędzy, żeby wrócić do Stanów, a po powrocie znowu zacząłem pracować na dawnej posiadłości. – Rozłożył ręce. – To wszystko. Powiedzieli mi, że nigdy już nie dostanę stopnia oficerskiego, że dopilnują, aby mnie powołano do wojska, a co więcej, że z



całą pewnością będę w piechocie. No i jestem – znowu rozłożył ręce. – Osiem miesięcy trwało, zanim mnie powołali. Mieliśmy osiem miesięcy dla siebie.

–Co za cholerne skurwysyny! – powiedział lojalnie Fife.

–E, nie można ich potępiać. Taki jest ich styl życia. I chyba gwizdałem na to. Przynajmniej z ich punktu widzenia. To nie ich wina.

–Ale parszywe dranie!

Bell nie dał się przekonać.

–Nie. Ja ich nie winię.

–A gdzie ona jest teraz?

Bell znowu popatrzał na niego z tym osobliwym, dziwnym wyrazem.

–W kraju. Wróciła do Columbus. Do swojej rodziny. – Wciąż patrzył na Fife'a, oczy jego przesłoniła jakaś głęboka i przynajmniej dla Fife'a dziwnie dojrzała powściągliwość, za którą kryło się to imponujące, ogromnie głębokie i bolesne, beznadziejne opanowanie. – Ile ty masz lat, Fife?

–Dwadzieścia.

–A ja trzydzieści trzy. Widzisz? No więc masz całą historię.

–Ale dlaczego nie chcesz, żeby inni wiedzieli?

–Ano, po pierwsze dlatego, że szeregowcy nie lubią oficerów, i to byłoby kłopotliwe. A po drugie – powiedział Bell ostrzejszym głosem – mówienie o tym jest dla mnie krępujące.

–Aha. – Fife zarumienił się, skarcony.

–Powiedziałem ci tylko dlatego, żebyś wiedział, czemu nie chcę, by o tym wspomiano. – Bell popatrzał na niego z owym dziwnie powściągliwym, teraz prawie rozkazującym wyrazem.

–Ano, nie ma obawy,, żebym komuś powiedział. Nie powiem – obiecał Fife.

Fife dotrzymał obietnicy. Nie wspomniał o tym nikomu. Ale to nie na wiele się zdało. W końcu wszystko i tak wyszło na jaw. Po tygodniu cała kompania wiedziała o dawnym stopniu Bella. Nikt nie miał pojęcia, jakim sposobem. Ale zawsze tak bywało. Nikt nic nie mówił, a wiadomość i tak się rozchodziła. Oczywiście wszyscy oficerowie o tym wiedzieli, tak samo Welsh i reszta personelu kancelaryjnego. Ciota Stein nawet

wezwał Bella do siebie i miał z nim długą poufną rozmowę, o której treści nic nie było Fife'owi wiadomo. Wszystko razem wzięwszy, wywołało to pewną sensację i Fife po trosze żałował, a po trosze czuł zazdrość, że tak to wyszło na jaw. Dopóki pozostawało tajemnicą, uważał, że ma jakieś osobiste prawo do Bella. Rzecz jasna, zaraz do niego poszedł, kiedy rzecz stała się wszystkim wiadoma, i wyjaśnił, że przeciek nie pochodzi od niego. Bell tylko mu podziękował wpatrując się weń z tą samą dziwnie powściągliwą, rozpaczliwą cierpliwością.

Rozmyślając o tym później, Fife doszedł do wniosku, że nie była to wcale taka sensacyjna historia, jak sobie wyobrażał. Spodziewał się czegoś bardziej dramatycznego, na przykład bójkę na pięści z generałem. Doświadczenie Fife'a z kobietami nie było oczywiście bogate. Dwa razy w życiu związał się poważnie z dziewczynami, jedną w domu, drugą na uniwersytecie w mieście, gdzie stacjonowała dywizja i gdzie chodził czasem na wykłady. Nigdy nie zdołał przespać się z żadną z nich, natomiast sypiał z wieloma kurwami w dnie wypłaty. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż to, co Bell zrobił, tylko dlatego, że pragnął być z żoną, jest raczej oznaką słabości. Z drugiej znów strony musiał oddać Bellowi jedno: z całą pewnością był wierny żonie. Później kilkakrotnie chodził z Bellem na przepustkę, kiedy w końcu się zaprzyjaźnili, i nigdy nie widział go z kobietą czy choćby zalecającego się do którejś. Kiedy inni szli pochędożyć, Bell zostawał sam i popijał. Fife musiał mu to przyznać i nie mógł się oprzeć zaciekawieniu, czy żona Bella jest mu tak samo wierna w kraju. I rozmyślał, czy Bell też się nad tym zastanawia. Prawdopodobnie tak.

Co byłoby gorsze – snuł Fife akademickie rozważania – czy gdyby uczciwie napisała, że chodzi różną się z jakimś gościem lub gośćmi, choć wciąż go kocha? Czy też, żeby robiła swoje, różnęła się z kimś, ale nic nie mówiła, i dalej pisała tak, jakby była wierna, w myśl teorii, że czego nie wiesz, to cię nie boli. Fife nie mógł rozstrzygnąć, co by wolał. Obydwie możliwości sprawiały, że serce mu podskakiwało i robiło mu się trochę mdło, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Czy kobieta rzeczywiście może kochać jednego mężczyznę, a znajdować przyjemność w rżnięciu się z drugim, jeżeli nie ma tego pierwszego pod ręką? Fife przypuszczał, że tak, ale ta myśl zdecydowanie mu się nie podobała. Mężczyzna ma wtedy wrażenie, że jest jakby nagi i bezbronny, i Fife czuł się nieswojo, gdy myślał o postępującej tak kobiecie. A przecież one są tam, w kraju, gdzie mogą wziąć sobie kochanka; rany boskie, a tutaj, w tym zapomnianym przez Boga miejscu, nie ma się nikogo. Bell mówił, że jego żona należy do tych, które potrzebują masę fizycznej czułości, no nie? Fife doszedł do wniosku, iż cieszy się, że sam nie jest żonaty.

W gruncie rzeczy nie było prawie żadnej reakcji, kiedy rozeszła się wiadomość o poprzednim stopniu Bella, a jeżeli ktoś przedtem dawał wyraz jakiemuś zatroskaniu, było to tylko marnowaniem energii. Ludzie przez jakiś czas zerkali na Bella z zaciekawieniem, kiedy uświadamiali sobie, że jest wśród nich były oficer, ale wprędce najwyraźniej o tym zapomniano. W każdym razie stosunek sierżanta Welsha do Bella najbardziej rozjątrzył Fife'a i jego silne poczucie fair play. Welsh zerknął do

akt, po czym rzucił je pogardliwie na biurko wypowiadając jedną z tych swoich kostycznych, w najwyższym stopniu cynicznych uwag, które potrafiły być tak nieludzko miażdżące i rozwścieczały każdego, kto tak jak Fife wierzył w ludzi: „Ano, to jest naprawdę pieprzenie. Ja się na tym znam. Pewnie wyliczył sobie, że nie będzie żadnej wojny, więc po co marnować parę lat. Założę się z tobą, Fife, że nie minie pięć dni i zaczniesz wydawać rozkazy”. Okazało się, że wcale nie miał racji, ale tym Welsh ani trochę się nie przejmował. I właśnie ten człowiek zbliżał się w tej chwili do Fife'a z owym obłądnym, chytrym błyskiem w oku.

Fife gotował się z możliwie największym stoicyzmem do wytrzymania czekających go ciągów. Strapiony spojrzął na kucharzy stłoczonych w nerwowym oczekiwaniu wokoło podoficera kasynowego. Fife był rad, że nie napomknął temu draniowi, Welshowi, o żonie Bella. To by dopiero dało mu temat do drwin. Przynajmniej tego jednego Welsh nie wiedział.

Podoficer kasynowy Storm, siedząc pośród swoich kucharzy, też nie omieszkał zauważyć miny sierżanta Welsha. Storm, który miał dwadzieścia sześć lat i zaciągnął się po raz trzeci, znał nastroje starszego sierżanta równie dobrze jak Fife, jego kancelista, i tak samo był świadom tego, co się szykuje. W ciągu ośmiu lat służby Storm poznał wielu starszych sierżantów, ale nigdy takiego, który byłby podobny do Welsha. W większości byli to dość flegmatyczni, solidni faceci, wytrawni w swej zasadniczej papierkowej robocie, przyzwyczajeni do rozkazywania i do posłuchu. Kilku było starymi pijakami i złodziejami; jechali na swoich dawnych osiągnięciach lub polegali na usługach jakiegoś sprawnego sierżanta sztabowego, który miał kiedyś przyjść na ich miejsce. Tu i ówdzie między tymi dwoma typami można było napotkać faceta, który był zwariowany na jakimś punkcie. Ale nigdy kogoś takiego jak Welsh.

Storm osobiście dawał z nim sobie całkiem dobrze radę. Ich wzajemny stosunek, chociaż nie można by go nazwać zbrojnym rozejmem, był stosunkiem dwóch podejrzliwych psów przyglądających się sobie ostrożnie na ulicy. Storm robił swoje i robił to dobrze, i Welsh zostawiał go w spokoju. A Storm był świadom, że dopóki będzie dobrze pracował, Welsh nadal pozostawi go w spokoju. To wystarczało Stormowi. Jeżeli Welsh chciał być wariatem, to była już jego sprawa.

Z drugiej znów strony Storm nie widział, jakie korzyści dla organizacji czy wydajności mogą wyniknąć z tego, iż się sztorcuje kancelistę bez żadnej innej przyczyny poza tym, że ma się ochotę.

Storm potrafił, i nieraz to robił, spuścić komuś ustne lanie, kiedy to było potrzebne, ale nigdy bez jakiejś konkretnej przyczyny. Bodaj jedyną korzyścią z tego, że Welsh popędziłby kota Fife'owi, było, iż oderwałoby to myśli kucharzy Storma od perspektywy zbombardowania podczas nalotu i rozładowałoby trochę ich zdenerwowanie, co sam Storm próbował osiągnąć. Znał jednak Welsha dostatecznie

**dobrze, by wiedzieć, że nie jest to dla niego jedynym czy nawet głównym powodem. Zbyt często widywał, jak Welsh to robił. Potrafił nawet przewidzieć jego pierwsze, utarte słowa, zanim je wypowiedział.**

**–No dobra, ty pierdoło! Gdzie jest ten zasrany wykaz plutonu, który kazałem ci przygotować?**

**Fakt, że wykaz już został sporządzony i wręczony i że Welsh o tym wiedział, nie miał żadnego znaczenia.**

**–Już go zrobiłem – odrzekł z urazą Fife. – Wypisałem go i doręczyłem panu sierżantowi.**

**–Co takiego? Nie zrobiłeś nic podobnego, Fife. Przecież go nie mam. Rany boskie, te wszystkie...**

**Storm siedział i słuchał popisów sierżanta. Welsh był naprawdę mistrzem w sztuce wyszukanych zniewag. Pewne porównania, które potrafił wymyślić, gdy miał natchnienie, były fantastyczne. Tylko kiedy Fife nauczy się wreszcie nie wściekać i nie oburzać? Kucharze Storma szczyrzyli zęby i bawili się doskonale.**

**Storm ukradkiem spojrzął na nich. Land, ten wysoki, chudy, milczący, sprawny, kiedy był trzeźwy, ale nie mający inicjatywy, żeby coś zrobić sam z siebie, bez wyraźnego rozkazu. Park, pierwszy kucharz, tłusty, leniwy, zręczny, który uwielbiał wydawać rozkazy, ale nie cierpiał ich otrzymywać, i stale narzekał, że podważa się jego autorytet. Dale, mały drugi kucharz, muskularny i twardy jak skała, który pracował bez przerwy, ale robił to z posępnym, nerwowym, gniewnym napięciem, które musiało być anormalne, i zawsze pragnął, zanadto pragnął, uchwycić się każdej odrobiny władzy, jaką mu dawano. Ci trzej byli głównymi indywidualnościami w zespole Storma.**

**Storm nie mógł się oprzeć uczuciu zewnętrźnie twardego, ale wewnątrz czułego i niemal łzawego sentymentu dla wszystkich tych lebiegów. Zgromadził ich tutaj wyczuwając ich zdenerwowanie, a tylko częściowo dlatego, żeby móc mieć na nich oko, i wciągnął w męskie pogaduszki racząc ich zabawnymi opowieściami ze swoich minionych ośmiu lat służby. A wszystko po to, żeby rozproszyć, jak potrafił, tą zbyt napiętą nerwowość, która dawała się we znaki całemu oddziałowi na skutek oczekiwania. I to podziałało, przynajmniej częściowo. A teraz zjawiał się Welsh i zaczął słownie obdzierać żywcem ze skóry biednego małego Fife'a, więc Storm przez jakiś czas nie musiał się wysilać. Mógł pomyśleć o sobie.**

**Storm zrobił właściwie wszystko, co – potrafił, żeby uregulować swoje osobiste sprawy. W czasie koncentracji przed załadowaniem na statki przeznaczył prawie cały swój żołd dla owdowiałej siostry i jej licznej rodziny w Teksasie. Była jego jedyną**

żyjącą krewną i ubezpieczenie wojskowe Storma zostało już wystawione na nią, a tam, gdzie miał teraz przebywać przez dłuższy czas, pieniądze nie były mu specjalnie potrzebne. Przed odpłynięciem napisał do niej długi list wyjaśniając, że wyjeżdża, a także – dwa listy, które wręczył przyjaciółom płynącym na drugim transportowcu, z poleceniem, by je wysłali tylko wtedy, gdyby jego statek został zatopiony albo zbombardowany, a on sam zginął. Jeśliby któryś z tych, listów dotarł do siostry, wyjaśniłby jej, że ma zacząć sprawdzać ubezpieczenie i nagabywać władze, jeszcze zanim przyjdzie ostateczny telegram. Prawie na pewno zainkasowanie należności zabrałoby jej w każdym razie dużo czasu, a mając tyle dzieci do wyżywienia potrzebowałyby pieniędzy, kiedy skończyłby się żołd. Nie był to zbyt zadowalający ani skuteczny sposób załatwienia sprawy, ale w tych okolicznościach Storm nie mógł zrobić nic lepszego. Z chwilą zaś, gdy to uczynił, uznał, że zrobił wszystko, co mógł, i że jest gotowy.

Gotowy na wszystko. Teraz nadal tak uważał, mimo rosnącego zdenerwowania możliwością nalotów. Bawiło go to, że ciągle miał ochotę podnieść rękę i spojrzeć na zegarek. Musiał użyć całej siły woli, by się powstrzymać.

Welsh nadal ochryple wydrwiwał Fife'a, który mocno poczerwieniał na twarzy i był bardzo rozzłoszczony. Storm zastanawiał się, czy nie powinien czegoś powiedzieć, aby to przerwać, zmienić temat.

Nie miał szczególnego upodobania, ani nawet sympatii do Fife'a.

Owszem, był to dosyć porządny chłopak. Po prostu nie dość długo przebywał z dala od domu. A Storm, który zaczął się obijać podczas kryzysu, kiedy miał ledwie czternaście lat, nie mógł uważać takich chłopaków za zbyt interesujących. Jednakże Welsh był człowiekiem, który często nie wiedział, kiedy przestać; zaczynał coś, co mogło być zabawne, ale potem ciągnął to tak długo, że przekraczało granicę zabawności. I chociaż teraz rozweselało to kucharzy Storma i odwracało ich myśli od nalotów, Storm czuł, że pora z tym skończyć. Jednakże konieczność uczynienia czegokolwiek została mu zaoszczędzona przez donośny, wibrujący ryk klaksonu, który rozbrzmiał brzękliwie w przegrzanej ładowni ogłuszając każdego. Ten potężny dźwięk sprawił, że wszyscy podskoczyli, nawet Welsh.

Był to sygnał dla mieszkańców tej właśnie ładowni, by się gotowali do zejścia na ląd, a wraz z tym dźwiękiem wszystko, co się działo, przestało być ważne, wręcz przestało istnieć. Gra w kości i w pokera urwała się w połowie, każdy zaś zgarnął swoją część puli, a nawet trochę więcej, jeżeli tylko zdołał. Rozmowy zamilkły w pół słowa, zapomniano, czego dotyczyły, a Welsh i Fife po prostu patrzyli na siebie nie pamiętając, że Welsh dopiero co ubliżał Fife'owi -, by go rozzłościć. Po tym długim i pełnym napięcia czekaniu było to tak, jak gdyby samo życie przekroczyło jakąś linię tym dźwiękiem klaksonu, a wszystko, co się działo czy istniało przedtem, nie miało i nigdy nie mogło mieć związku z tym, co nastąpi teraz. Wszyscy rzucili się

**pośpiesznie do swego ekwipunku i okrzyki: „No dobra!**

**Jazda!” czy „Puśćcie kutasy, łapcie za pasy!” dobyły się z gardeł szeregowców odbijając się od stalowego sufitu, a w jednej chwili całkowitej, kompletnej ciszy, która jakimś sposobem przymieszała się do tej beładnej kotłowaniny hałasu i wynurzyła z niej nie wiedzieć jakim sposobem, usłyszano” pojedynczy głos któregoś z żołnierzy, cienki i piskliwy, gwałtownie wyjaśniający koledze jakąś deklarację wiary słowami: „Ja ci to gwarantuję – kurwa – tuję!” A potem hałas ucichł, gdy wszyscy wciągali na siebie oporządzenie.**

**Rozdęci na wszystkie strony przez ekwipunek polowy, z trudem wspinali się po wąskich stalowych schodkach, i po trzech nerwowych zakrętach każdy był zasapany. Kiedy zaś wynurzali się na już gorące poranne słońce i świeże morskie powietrze na pokładzie, ich dowódca, kapitan Ciota Stein, stojąc przy luku z torbą polową, mapnikiem, lornetką, karabinem, pistoletem i manierkami, zaglądał w każdą ocienioną hełmem, napiętą twarz i ze ściśniętym gardłem czuł wzbierające łzy, które oczywiście, jako oficer i dowódca, musiał powstrzymać i nie pokazać niczego po sobie. Jego poczucie odpowiedzialności było czymś monumentalnym, nieomal świętym.**

**Cenił je jak skarb. Mało tego, był bardzo rad z siebie, że je posiada. Gdyby ojciec mógł teraz go widzieć!**

**A obok stał jego starszy sierżant, nie wyglądający już jak Welsh, jednostka ludzka, teraz, gdy był w pełnym oporządzeniu i hełmie.**

**On także przypatrywał się twarzom, ale inaczej – w jakiś chytry, przebiegły, wyrachowany sposób, tak jakby wiedział coś, czego nie mogła wiedzieć cała reszta.**

**Drużynami i plutonami przelazili przez burtę i opuszczali się po sieciach z trzypiętrowej wysokości kadłuba statku do nie kończącego się łańcucha łodzi desantowych piechoty, kursujących do brzegu i z powrotem. Tylko jeden z żołnierzy spadł, ale doznał zaledwie lekkiego potłuczenia grzbietu, ponieważ zleciał na dwóch innych, będących już w łodzi, i wszyscy trzej runęli w pełnym oporządzeniu na stalową podłogę, wśród głośnych stęknień i przekleństw. Od pilotów łodzi dowiedzieli się jednak, że liczba poszkodowanych z tego statku osiągnęła już piętnastu, czyli przeciętną, jak oświadczyli z suchym, wesołym cynizmem piloci, którzy mieli w tym doświadczenie. Kompania C usłyszała tę wiadomość i uświadomiła sobie z całą powagą, że ci poszkodowani byli pierwszymi stratami – pierwszymi stratami dywizji w strefie bojowej. Spodziewali się, że poniosą je co najmniej od bomb czy karabinów maszynowych.**

**Ale zlecieć do łodzi? Stojąc i przetrawiając to widzieli brzeg, piaszczystą plażę i palmy kokosowe zbliżające się coraz bardziej. Kiedy znaleźli się jeszcze bliżej,**

**dojrzeni odstrzelone korony licznych palm.**

**W łodzi, na której znalazła się drużyna Dolla, pomocnik pilota z wojsk transportowych, tak jak wszyscy inni, zażartował z uśmiechem, w najlepszym stylu oficerów marynarki:**

**–Witam was na pokładzie, panowie! – po czym dodał rzeczowo i wesoło: – Wasza jednostka ma szczęście. Japońce zjawiają się za...**

**–spojrzał na swój wodoszczelny zegarek -...za jakieś piętnaście minut.**

**–Skąd wiecie? – zapytał sierżant, dowódca drużyny Dolla, który nazywał się Field.**

**–Dopiero co dostaliśmy wiadomość od lotnictwa – uśmiechnął się pomocnik pilota.**

**–No to czy nie spróbują wyprowadzić statków?**

**–Nie można. Za mało czasu. Musimy dalej wylądowywać.**

**Wiadomość ta najwyraźniej niezbyt martwiła pomocnika pilota, natomiast Doll, z dumą obnoszący swój nowy pistolet, przytrzymał się burty, aby zachować równowagę w podskakującej, rozkołysanej łodzi, i spojrzął za siebie na oddalający się statek z uczuciem największej ulgi, jakiej zaznał kiedykolwiek. Miał szczerą nadzieję, że już nigdy w życiu nie zobaczy tej łajby ani żadnego innego statku poza jednym – tym, który zabierze go z tej wyspy.**

**–W tej robocie bierze się wszystko, jak leci – powiedział pomocnik pilota.**

**–Ale czy myśliwce... – zaczął Field.**

**–Spróbują. Nasi zawsze spuszczaają kilka. Ale inne się przedostają.**

**–Hej, Terry, ruszaj! – zawołał pilot łodzi znękany głosem.**

**–Tak jest! – odkrzyknął sucho pomocnik. Przeszedł na rufę.**

**Przed nimi wyspa wciąż rosła i teraz mogli już rozróżnić poszczególnych ludzi krzątających się przy ogromnych stosach zaopatrzenia. Doll patrzył na nich. Powoli stawali się coraz więksi. Doll patrzył nadal. Był urzeczony czymś, czego nawet nie potrafił nazwać. Co każe ludziom to robić? – zastanowił się nagle z podziwem. Co ich tam trzyma? Dlaczego po prostu nie zabiorą się i nie odjadą? Wiedział jedynie, że jest przestraszony, bardziej i inaczej przestraszony niż kiedykolwiek w życiu. To wszystko wcale a wcale mu się nie podobało.**

**–Przytrzymać się i gotować do lądowania! – krzyknął do nich pilot. Doll tak uczynił. Po paru chwilach łódź zazgrzytała o dno, wyrwała się i skoczyła naprzód, zazgrzytała**

znowu, przechyliła się, posunęła z hałasem jeszcze kawałek i stanęła, i Doll znalazł się na Guadalcanale. Tak samo jak wszyscy inni z tej łodzi, ale Doll nie zastanawiał się nad tym. Przednia rampa, którą manipulował, gadatliwy pomocnik pilota, zaczęła się opuszczać, nieomal zanim łódź stanęła.

**–Wszyscy wyskakiwać! – krzyknął pilot. – Żadnych pochylni.**

Za końcem rampy zostało jeszcze pół metra wody, ale było dość łatwo wyskoczyć, i tylko jeden człowiek, który pośliznął się na metalowej rampie, zleciał i zamoczył sobie stopę. Nie Był to Doll.

Rampa już się podnosiła, gdy łódź cofała się odpływając po następny ładunek. A potem pobrnęli przez piach długiej plaży usiłując przedostać się między strumieniami ludzi ku miejscu, gdzie Stein i porucznik Band zbierali kompanię.

Kapral Fife był oczywiście w łodzi, która przywiozła dowództwo kompanii. Jej pilot powiedział im w zasadzie to samo, co pilot Dolla: „Wasza jednostka ma szczęście. Japonce już są w drodze”.

Twierdził, że musieli wypatrzeć transportowce, ale oni wysiedli przed czasem, więc będą bezpieczni. Główną myślą Fife'a było, że wszystko jest takie zorganizowane i wykonywane tak szybko i sprawnie. Jak robota. Jak zwyczajna robota. Jednakże na dnie tego była krew – krew, okaleczenie, śmierć. Fife'owi wydawało się to niesamowite, obłędne. Lotnisko dostało informację, widocznie przez radio z któregoś samolotu, i przekazało ją na plażę, gdzie wszyscy piloci łodzi zostali zawiadomieni – albo też zawiadamiali siebie wzajemnie – i przypuszczalnie dano znać także załogom, jak również dowódcom, jeżeli nie samym żołnierzom znajdującym się na statkach. A jednak najwyraźniej nikt nie mógł nic na to poradzić. Trzeba było czekać, co się stanie. Fife ukradkiem popatrzył na twarze ludzi w łodzi. Ciota Stein zdradzał swoją nerwowość ustawicznym poprawianiem okularów, które ujmował za oprawkę kciukiem i palcami prawej dłoni. Porucznik Band z kolei przejawiał zdenerwowanie ciągłym oblizywaniem warg. Twarz Storma była przesadnie niewzruszona. Drugi kucharz Dale miał roziskrzone oczy i ustawicznie mrugał powiekami. Oczy Welsha, zmrużone do wąskich szparek w jaskrawym słońcu, nie zdradzały w ogóle niczego. Ani rozbawienia, ani czegokolwiek tym razem – nawet cynizmu. Fife miał nadzieję, że jego własna twarz wygląda jak należy, ale zdawało mu się, że brwi ma podniesione może zbyt wysoko. Kiedy już znaleźli się na brzegu i przewodnik prowadził ich do wyznaczonego miejsca na skraju palm kokosowych, które schodziły do samej plaży, Fife powtarzał sobie wciąż od nowa to, co powiedział im pilot, gdy podpływali: „Wasza jednostka ma szczęście. Wsiadacie przed czasem”.

I w pewnej mierze miał zupełną rację. Kiedy nadleciały samoloty, zaatakowały statki, a nie brzeg. Dzięki temu Fife i cała reszta kompanii C uzyskali zupełnie bezpieczne stanowisko obserwacyjne, dogodne miejsce do oglądania całego widowiska. W



rzeczywistości przynajmniej Fife, który kochał ludzi, przekonał się, kiedy już było po wszystkim, iż wolałby nie mieć w ogóle takiego miejsca. Musiał jednak przyznać, że to go jakoś chorobliwie fascynowało.

Najwyraźniej wiadomość niewiele wpłynęła na to, co działo się na plaży. Łodzie desantowe piechoty i mnóstwo innych rodzajów barek wciąż nadpływały z hukiem i wpierały się w brzeg, aby wyrzucić swoje ładunki ludzi i zaopatrzenia, podczas gdy inne odbijały włączając się znowu do kursowania tam i z powrotem. Plaża dosłownie roiała się od ludzi, którzy gdzieś zmierzali, i zdawała się falować pod tą masą własnym życiem, jak czasem plaże, na które wtargnęły całe armie krabów. Linie, szeregi i strumienie ludzi krzyżowały się z gorączkową i na pozór nie kontrolowaną gorliwością. Byli we wszelkich możliwych stadiach ubrania i rozebrania, w koszulach bez rękawów, spodenkach bez nogawek, bez koszul w ogóle, a niektórzy, zwłaszcza ci, co pracowali w wodzie czy w jej pobliżu, byli zupełnie nago albo w białych wojskowych kalesonach, przez które wyraźnie prześwitywała ciemna włochatość ich genitaliów. Zresztą nie było tu nigdzie kobiet i istniało małe prawdopodobieństwo, żeby się jakieś zjawily w ciągu najbliższego czasu. Żołnierze mieli najróżniejsze fantastyczne nakrycia głowy, wojskowe, cywilne oraz własnej roboty, tak że można było zobaczyć któregoś pracującego w wodzie całkiem nago, bez niczego, co by ozdabiało jego osobę poza zawieszonym na szyi znaczkiem rozpoznawczym oraz małą zrudziałą, podwiniętą furażerką lub kapeluszem z liści bananowych na głowie.

Grupy ludzi rozładowały natychmiast barki z zaopatrzeniem na skraju wody, aby mogły zawrócić po następne. Z kolei inni odnosili te pudła, skrzynki i puszki z plaży między drzewa albo ustawiali je rzędem, podając je sobie z rąk do rąk, żeby oczyścić miejsce nad wodą. Dalej na plaży wyładowywano cięższy sprzęt, ciężarówki, działka przeciwpancerne, artylerię, prowadzone przez własnych kierowców albo ciągnięte przez traktory piechoty morskiej. A jeszcze dalej tę samą operację przeprowadzano z drugiego transportowca, zakotwiczonego o dobre kilkaset jardów za pierwszym.

Cała ta akcja trwała w takim tempie od wczesnego rana, i wiadomość o zagrażającym nalocie najwyraźniej nie wpływała na nią w taki czy inny sposób. Jednakże w miarę jak minuty upływały jedna po drugiej, zarysowała się dostrzegalna zmiana w nastroju i podnieceniu na plaży. C – jak – Charlie, ze swego punktu obserwacyjnego na skraju drzew, wyczuwała rosnące napięcie. Spostrzegli wielu ludzi, którzy dotąd spokojnie brodzili po pas w wodzie pośród tej gorączkowej krzątaniny, a teraz spoglądali na zegarki, wychodzili na brzeg i szli nago do swojej odzieży złożonej pod drzewami.

I wtedy, w parę chwil potem, ktoś stojący nad wodą wyrzucił w górę rękę i wykrzyknął: – Są! – a okrzyk ten podchwycili wszyscy na całej plaży.

Wysoko na rozświetlonym niebie małe punkciki sunęły spokojnie ku kanałowi, na którym stały obydwie statki. Po kilku minutach, kiedy już były bliżej, ukazały się

ponad nimi inne punkciki, samoloty myśliwskie, atakujące siebie wzajemnie. W dole, na plaży, ludzie pełniący służbę oraz zespoły robocze powrócili już do swojej pracy, ale gdy inni, w tym również kompania C, wpatrywali się w niebo, mniej więcej połowa walczących myśliwców oderwała się i zawróciła ku północy, najwyraźniej osiągnąwszy granicę zasięgu swego paliwa. Tylko kilka pozostałych ruszyło za nimi w pościg, ale prawie natychmiast dały za wygraną, zawróciły i razem z innymi zaczęły atakować bombowce. Zbliżały się one, rosnąc powoli.

Malutkie komary zniżają się, zakręcały i nurkowały w szalonym, wirującym tańcu wokoło tych cięższych, flegmatycznych gzów, które mimo to sunęły spokojnie i obojętnie naprzód. Po chwili bombowce zaczęły spadać, najpierw jeden, ciągnący za sobą wielką smugę dymu, którą wprędce rozwiały wiatry w górnych warstwach powietrza, potem inny, który nie ciągnąc za sobą dymu zwałił się rozchybotany w dół. Nie oderwały się od nich żadne spadochrony. Bombowce leciały dalej. A potem spadł jeden z komarów, zaś w chwilę po nim gdzie indziej drugi. Z obydwu wynurzyły się spadochrony spływając w rozślonecznionym powietrzu. Komary dalej rzucały się i wirowały.

Znów runął w dół jeszcze jeden okaleczony giez. Jednakże było zaskakujące, przynajmniej dla kompanii C i innych nowo przybyłych, jak wiele ich nie spada. Zważywszy gwałtowność i częstotliwość ataków, wydawało się, że muszą zwalić się wszystkie. Ale tak nie było i cała ta uszykowana masa sunęła powoli ku statkom stojącym na kanale i można było teraz wyraźnie rozeznaczyć zmieniający się dźwięk silników, kiedy myśliwce nurkowały albo pięły się w górę.

W dole, na plaży, dalej mijały minuty, a potem sekundy. Nie było wiwatów, gdy spadał któryś bombowiec. Kiedy zwałił się pierwszy, inna nowa kompania obok C – jak – Charlie popróbowowała wątlęgo wiwatowania, do którego przyłączyło się kilku ludzi z kompanii C.

Jednakże wprędce zamarło ono z braku pożywki i więcej już go nie próbowano. Wszyscy przypatrywali się w milczeniu, skupieni, zafascynowani. A ludzie na plaży pracowali dalej, tylko teraz z większym podnieceniem.

Dla kaprala Fife'a, który stał w napięciu pośród milczącego dowództwa kompanii, ten brak wiwatów wzmagiał tylko jego poprzednie wrażenie, że to wszystko przypomina zwykłą robotę. Normalne czynności robocze, wcale nie wojnę. Ta myśl go przerażała. Było to niesamowite, dziwaczne i jakieś obłędne. A nawet niemoralne. Rzekłbyś: opracowano fachowe, matematyczne równanie ze skalkulowanym ryzykiem: oto były dwa duże, kosztowne statki i wysłano na nie, powiedzmy, dwadzieścia pięć dużych samolotów. Te zaś były chronione, póki się dało, przez mniejsze samoloty, nie tak kosztowne, po czym posłano je dalej już same, w oparciu o założenie, że całość lub część dwudziestu pięciu dużych samolotów jest warta tyle co całość lub Część dwóch dużych statków. Myśliwce z obrony, działając na tej

samej zasadzie, usiłowały utrzymać cenę możliwie jak najwyżej, przy czym ich maksymalną nadzieją było, że strącą wszystkie dwadzieścia pięć dużych samolotów nie płacąc za to częścią ani całością jednego czy drugiego statku. A to, że w tych kosztownych maszynach, które zmagaly się ze sobą, byli ludzie, nie miało znaczenia – poza faktem, że byli potrzebni, aby manipulować maszynami.

Sama ta myśl oraz to, co implikowała, wbiły zimne ostrze grozy w bezbronne organy żywotne Fife'a – grozy nieważności, jego własnej nieważności, i bezsily, jego własnej bezsily. Nie miał na to wszystko żadnego wpływu ani nic do powiedzenia. Nawet wtedy, gdy dotyczyło jego samego, który także był tego częścią. Było to przerażające. Nie miał nic przeciwko śmierci na wojnie, prawdziwej wojnie – przynajmniej tak mu się wydawało – ale nie chciał umierać w ramach – uregulowanego, fachowego przedsięwzięcia.

Owa masa walcząca wysoko w powietrzu zbliżała się powoli, nieubłaganie. Na plaży praca się nie zatrzymała. Tak samo łodzie desantowe i inne barki. Kiedy bombowce już prawie dotarły do statków, jeszcze jeden spadł i rozbił się wybuchając dymem i płomieniami na kanale, w oczach wszystkich. A potem zaczęły przelatywać nad statkami. W powietrzu rozległo się jakby łagodne tchnienie. Z morza wystrzelił wysoko w górę gejzer wody, po nim następny i jeszcze jeden. W parę sekund później huk wybuchów, które je wyrzuciły, zamiótł po plaży i po palmach kokosowych szeleszcząc ich liśćmi. Tamten łagodny poszum stał się głośniejszy, jakby rozdygotany, i inne gejzery zaczęły wytryskiwać z morza dokoła pierwszego statku, a w parę sekund potem dokoła drugiego. Nie można już było rozróżnić poszczególnych bomb, ale wszyscy dojrzeli serię trzech, które trafiły. Niby wymacujące palce, jedna spadła w pewnej odległości przed pierwszym statkiem, a druga bliżej. Trzecia wybuchła prawie – bezpośrednio przy jego burcie. Od statku właśnie odbijała łódź desantowa, mogła być odeń o kilka jardów, i trzecia bomba najwyraźniej wylądowała wprost na niej. Z tej odległości, bodaj tysiąca jardów lub więcej, ludzie na brzegu dosłyszeli jeden, nikły, ale wyraźny krzyk, cienki i przenikliwy, który doleciał do nich dopiero, kiedy gejzer wody już wzbił się w górę, po czym ów głos się urwał, a zaraz po nim dotarła fala dźwiękowa wybuchu.

Był to instynktowny i daremny protest jakiegoś pojedynczego człowieka przeciwko odbieraniu mu życia oraz własnemu pechowi, że znalazł się właśnie tam, a nie gdzie indziej – śmieszny, bezcelowy, ale nie pozbawiony pewnej godności, aczkolwiek, jak na ironię, został usłyszany i doceniony dopiero wtedy, gdy człowiek ów już nie istniał. Ten ostatni krzyk przeżył jego samego.

Kiedy fontanna wody opadła, tak że mogli coś dojrzeć, z łodzi desantowej nie zostało nic. W miejscu, gdzie była, pławiło się w wodzie kilka postaci, których szybko ubywało. Dwie najbliższe barki zawróciły, ruszyły ku temu miejscu i dotarły do nich, zanim zdążyła dopłynąć czekająca mała łódź ratunkowa. Tracąc siły miotali się między falami, podczas gdy żołnierze piechoty ściągali z siebie oporządzenie i

skakali do wody, aby pomóc rannym i nie rannym, którzy nie mieli czasu zrzucić ekwipunku i byli teraz wciągani przezeń pod wodę. Mniej poważnie rannym i tym, co wyszli cało, pomagano wejść na barki po drabinkach sznurowych, które wyrzucili przez burtę piloci, a ciężej poszkodowanych utrzymywano po prostu na wodzie, dopóki nie zdołała dotrzeć na miejsce płynąca tam łódź ratunkowa, zaopatrzona w liny i kosze.

Na brzegu przypatrujący się ludzie – szczęśliwcy, jak powiedzieli – piloci, bo ich to ominęło – usiłowali dzielić swoją uwagę między te poczynania a samoloty wciąż latające w górze. Bombowce, dokonawszy nalotu, zakręciły ku kanałowi i skierowały się z powrotem na północ. Nie próbowały ostrzeliwania bronią pokładową, bo były zbyt zajęte chronieniem się przed myśliwcami, a obsługi dział przeciwlotniczych na statkach i brzegu także nie mogły strzelać obawiając się trafić własne myśliwce. Cała operacja, z wyjątkiem zrzuconych bomb, odbyła się wysoko w powietrzu. Z wolna, spokojnie, bombowce zmierzały na północ, gdzie czekała na nie ochronna osłona własnych myśliwców, i mały powoli coraz bardziej, tak jak przedtem powoli coraz bardziej rosły. Myśliwce wciąż gniewnie bzycały dokoła nich i zanim bombowce zniknęły, spadło ich jeszcze kilka. Przez cały czas akcji myśliwce z obrony miały utrudnione działanie, ponieważ musiały odlatywać na lotnisko polowe dla nabrania paliwa czy amunicji. Uzpełniwszy je wracały. Jednakże liczba samolotów myśliwskich uczestniczących w walce nie była tak duża, jak być mogła. Bombowce najwyraźniej uwzględniały ten czynnik. Tak czy owak powoli zmalały znowu do punkcików, a potem stały się niewidoczne. W końcu myśliwce zaczęły powracać.

Było po wszystkim. Na plaży praca przy rozładunku, która nie ustała podczas ataku, trwała nadal.

Ludzie, którzy byli tu dłużej i stali nie opodal kompanii C, wciąż czekającej i obserwującej ze skraju lasku kokosowego, powiedzieli, że najprawdopodobniej będą w ciągu dnia jeszcze co najmniej dwa naloty. Rzeczą zasadniczą było rozładować te cholerne statki, żeby mogły się stąd wynieść i pozwolić, by wszystko spokojnie wróciło do normy. Rozładowanie było najważniejsze. Należało jednak zakończyć je do zmroku. Statki musiały zabrać się stąd przed zapadnięciem ciemności, rozładowane całkowicie czy nie, ażeby nie ryzykować nocnych nalotów. Gdyby ich nie rozładowano w całości, miały i tak odpłynąć.

Już na długo przed zniknięciem odlatujących bombowców rozeszła się po plaży wiadomość, że pierwszy transportowiec został uszkodzony tą samą bombą, która zniszczyła łódź z piechotą. Było to jeszcze ważniejszą przyczyną, żeby statki odpłynęły. Uszkodzenie było niewielkie, ale bomba rozwaliła kilka płyt i statek nabierał wody, chociaż nie tyle, by pompy nie mogły dać sobie z tym rady.

Na statku zostało też rannych kilku ludzi od odłamków bomb albo kawałków metalu z łodzi, które spadły między gęsto stłoczonych żołnierzy na pokładzie; mówiono też,

że jednemu z nich rozwalił twarz hełm zerwany z głowy któregoś z tych, co byli na łodzi – cały, masywny, nie wgnieciony, nie uszkodzony hełm. Takie bywają niespodzianki życiowe – mówiono. Z łodzi zostały wyrzucone na pokład statku także kawałki ludzkiego mięsa i roztrzaskanego sprzętu, przy czym poszarpane kolby karabinów spowodowały dalsze pomniejsze okaleczenia. Ze statku dano znać, że podobno bomba nie trafiła prosto w łódź, lecz spadła obok jej burty, pomiędzy nią a statkiem. Dlatego został uszkodzony przez wybuch. Gdyby spadła po przeciwnej stronie łodzi czy prosto na nią, ludzie na pokładzie zostaliby zbombardowani znacznie większą ilością mięsa i metalu. Natomiast przy takim ułożeniu bomby zostało to w większości wyrzucone na wodę. Podobno straty na statku wyniosły siedmiu zabitych i dwudziestu dwóch rannych, wśród których był ów człowiek, któremu hełm rozwalił twarz. Wszystkimi zaopiekowano się w lazarecie okrętowym.

Kompania C przyjęła te wiadomości z dziwnym uczuciem. Był to ich statek, a ci zabici i ranni byli ich towarzyszami podróży. Bomba spadła całkiem niedaleko od miejsca ich wyokrętowania. Słuchali przekazywanych ustnie relacji z mieszaniną powagi i nie dającego się opanować lęku, pobudzanego przez wyobraźnię: co by było, gdyby bombowce nadleciały o kilka minut wcześniej? Albo gdyby oni sami wyszli na pokład o kilka minut później? Przypuśćmy, że któraś z poprzedzających ich kompanii wysiadałaby dużo wolniej?

Przypuśćmy, że bomba nie spadłaby o kilka jardów dalej w wodę?

Że trafiłaby o tyleż jardów bliżej burty? Tego rodzaju spekulacje były oczywiście jałowe. A także dojmująco przykre. Ale pełna świadomość tej jałowości nie przyczyniała się do ich przerwania.

Ocalałych ludzi z łodzi desantowej wysadziły na brzeg niedaleko kompanii C dwie barki oraz łódź ratunkowa, które ich wyłowiły, więc kompania mogła obserwować także i tę akcję. Słuchając praktycznych komentarzy stojących w pobliżu ludzi, którzy byli tu dłużej, na temat rozmaitych ran, kompania C przypatrywała się wytrzeszczonymi oczami, jak prowadzono albo niesiono rozbitków z plaży do miejsca, gdzie o świcie został założony polowy punkt opatrunkowy. Niektórzy z nich jeszcze wyrzygiwali wodę morską po swoich ciężkich przejściach. Kilku było w stanie iść o własnych siłach. Jednakże wszyscy cierpieli od szoku i od wybuchu, a wielka troskliwość, z jaką zajęli się nimi najpierw ich wybawcy, a potem sanitariusze, była im całkowicie obojętna i nie miała żadnego znaczenia. Okrwawieni, tocząc oczami i potykając się brnęli pod górę po stoku plaży, by usiąść czy leć na ziemi, otumanieni i obojętni, potulnie pozwalając opatrywać się lekarzom.

Przekroczyli pewną dziwną linię; stali się ludźmi rannymi i wszyscy, włącznie z nimi samymi, zdawali sobie sprawę, że teraz są już inni. Samo to wstrząsające fizyczne doznanie wybuchu, który ich okaleczył, a innych zabił, było prawie identyczne dla nich jak dla tych, co zginęli. Jediną różnicą było, że teraz ci, niespodziewanie i

wbrew logice, stwierdzili, że są znów żywi. Nie prosili o ten wybuch i nie prosili, żeby ich tu przywieziono. W istocie nic nie zrobili. Po prostu zeszli wtedy do łodzi i zasiedli w niej, tak jak im kazano. A potem, bez ostrzeżenia, bez wytłumaczenia, wydarzyło im się to, uszkadzając ich może nieodwracalnie, i teraz byli ludźmi rannymi, i teraz wytłumaczenie było już niemożliwe. Zostali wprowadzeni do dziwnego, obłądnego, mrocznego bractwa, gdzie tłumaczenie miało być niemożliwe na zawsze. Każdy to rozumiał i oni sami też, mgliście.

Nie potrzeba było o tym mówić. Wszyscy nad tym ubolewali, i oni także. Ale nie było na to żadnej rady. Można im było dać jedynie współczucie, a podobnie jak większość samozwańczych ludzkich odczuć, nie miało ono żadnego znaczenia w zestawieniu z intensywnością ich doznań.

Podczas gdy samoloty, które im to zrobiły, były jeszcze widoczne nad kanałem, lekarze szybko przystąpili do prób łątania, zestawiania na powrót i ratowania, ile się dało, z tego, co uczyniły samoloty.

Niektórzy żołnierze zostali dość mocno poszarpani, inni nie tak ciężko.

Było oczywiste, że są wśród nich tacy, co umrą, więc nie należało na nich tracić czasu, który można by poświęcić tym, co mogli wyżyć. Ci, którzy mieli umrzeć, przyjęli tę fachową ocenę lekarzy w milczeniu, tak jak przyjmowali czułe klepanie po ramionach przez przechodzących doktorów, spoglądając niemo z bezdennej, wilgotnej głębi jeszcze żyjących oczu na ich winowajcze twarze.

Kompania C, stojąca nie opodal i już znów rozdzielona na swoją właściwą strukturalną jedność plutonów, obserwowała z bacznością fascynacją to, co się działo na punkcie opatrunkowym. Każdy z jej plutonów oraz dowództwo instynktownie skupiały się razem, jak gdyby chcąc ogrzać się w chłodzie, szukając daremnie pokrzepienia w bliskości innych – pięć osobnych, małych grup zapatrzonych widzów, trawionych chorobliwą, nieomal seksualną ciekawością. Oto tam byli ludzie mający umrzeć, niektórzy na ich oczach. Jak się zachowają?

Czy będą się na to wściekali, tak jak oni sami? Czy też po prostu spokojnie wyzioną ducha, przestaną oddychać, przestaną widzieć?

Kompania C, jak jeden mąż, chciała to ujrzeć – zobaczyć umierającego człowieka. Była ciekawa i pełna milczącego, urzeczonego respektu. Nie mogli się temu oprzeć; świeża krew była taka czerwona, a dziury ziejące w obnażonym ciele stanowiły tak osobliwy, dziwny widok. Wszystko to było jakieś obrzydliwe. Czuli, że nie powinno się na to patrzeć, ale musieli patrzeć, cisnąć się bliżej i badać.

Kompania C uświadomiła sobie nagle, że ciało ludzkie jest doprawdy bardzo kruchym, bezbronny organizmem. A tymi ludźmi mogli być oni sami. Tak jak i

**tamtymi, co teraz leżeli pod wodą, po której nadal sunęły łodzie desantowe, tamtymi, których miano odszukać i wyłowić dopiero, kiedy zakończenie wyładunku dałoby czas i sposobność po temu.**

**Ranni, zarówno ci, którzy mieli umrzeć, jak ci, co mieli wyżyć, przyjmowali to wpatrywanie się w nich z równą obojętnością jak czułość, z którą ich traktowano. Spoglądali na swoich widzów matowymi oczami, oczami, które, choć zmatowiały, były osobliwie klarowne, bo rozszerzone na skutek głębokiego szoku – i jeśli widzieli ich w ogóle, co było wątpliwe, nie docierało to do nich. Dlatego też cała kompania C także wyczuła to, co wiedzieli inni, mający większe doświadczenie: ci ludzie przekroczyli pewną linię i próżno było próbować do nich dotrzeć. Doświadczyli czegoś, czego oni sami nie doświadczyli i mieli usilną nadzieję nigdy nie doświadczyc, ale dopóki by tego nie zaznali, nie mogli porozumieć się z nimi. Godzinę temu – a nawet mniej – ci ludzie byli tacy sami jak oni: nerwowi, pobudliwi, oczekujący zejścia na ląd, pełni niepokoju, jak się zachowają. Teraz dopędzili, a nawet wyprzedzili tych dziwnych, dzikookich, brodatych, cudacznie odzianych żołnierzy piechoty morskiej i innych, którzy tu walczyli z Japończykami od sierpnia, a teraz stali obojętnie, dyskutując fachowo, które z tych ran mogą być śmiertelne, a które nie.**

**Nawet sama armia to rozumiała, jeżeli idzie o nich, tych rannych, i wydała specjalne zarządzenia dotyczące ich nowo nabytego, honorowego statusu. Ci, co nie mieli umrzeć, zostaliby włączeni do wypracowanego wahadłowego ruchu powrotnego z tego najbardziej wysuniętego punktu ofensywy, tak jak niedawno zostali włączeni do ruchu naprzód w jego kierunku. Wycofywano by ich coraz dalej i dalej ku amorficznemu miejscu domniemanego całkowitego bezpieczeństwa. Gdyby życie każdego człowieka w wojsku potraktować jako wykres, zaczynający się na dole od jego poboru i wznoszący się nieprzerwanie do tego punktu, to moment obecny – albo raczej moment samego wybuchu – mógł być uznany za punkt szczytowy, od którego linia opadała z powrotem do samego dołu i ewentualnego zwolnienia z wojska – sekretne go celu rannego żołnierza.**

**Zależnie od powagi jego stanu oraz ilości czasu koniecznego do wyleczenia linia ta zbiegałaby częściowo lub całkowicie na dół. Niektórzy, najlżej ranni, mogli nigdy nie dotrzeć do Nowej Zelandii czy Australii i zakończyć ten swój kurs w dół w szpitalu bazy na Nowych Hebrydach, skąd odesłano by ich z powrotem na front.**

**Inni, nieco poważniej ranni, mogli dostać się do Nowej Zelandii czy Australii, ale nie do Stanów, i też odesłano by ich z powrotem.**

**Jeszcze inni, ciężiej ranni, mogli dojechać do Stanów, ale nie zostaliby zwolnieni z wojska, i odesłano by ich stamtąd do tego ruchomego punktu niebezpieczeństwa, jakim był front, tutaj albo do Europy.**

Wszystkie te linie wykresu wznosiłyby się wtedy znowu, może do jeszcze wyższego szczytu. Oczywiście poległby stwierdziliby, że ich linie urwały się w samym punkcie szczytowym, jak ci, co leżeli pod wodą – albo nieco poniżej niego; jak ci, którzy tu dogorywali.

To wszystko można by opracować matematycznie – zastanowił się nagle młody kapral Fife, gdy odkrył te myśli przebiegające mu przez głowę – i ktoś powinien to zrobić. Wymagałoby to jednak ogromnej ilości pracy, zważywszy wszystkich ludzi we wszystkich armiach świata. Ale może dałoby się skonstruować mózg elektryczny, który by to załatwił.

W każdym razie najlepszym rodzajem rany, jeżeli człowiek w ogóle musiał zostać ranny, była rana tak ciężka, że prawie śmiertelna, po której niedomagałby tak długo, aż wojna by się skończyła, ale która nie uczyniłaby go kaleką czy inwalidą. Albo to, albo lżejsza rana, która uczyniłaby go niezdolnym do służby, czy też okaleczyła trochę, nie czyniąc go całkowitym kaleką. Fife nie mógł się zdecydować, jaką by wolał. W gruncie rzeczy nie wolał żadnej, taka była prawda.

W końcu kompania C ujrzała śmierć trzech ludzi na punkcie opatrunkowym, zanim przybył jeep z przewodnikiem z dowództwa pułku, który miał ją zaprowadzić na biwak. Z tych trzech dwaj skonali bardzo spokojnie, zapadając się powoli coraz głębiej w ten stan nierealności wywołany szokiem i zanikaniem funkcji żywotnych, gdy umysł na szczęście nie pojmuje, co się z nim dzieje. Tylko jeden człowiek wściekał się przeciwko temu, ale zaledwie przez chwilę, wyrwawszy się na krótko z ogarniającej go halucynacji, by wykrzykiwać przekleństwa i obelgi przeciwko temu, co go spotkało, i przeciw wszystkiemu, co się na to złożyło – lekarzom, bombie, wojnie, generałom, państwu – po czym spokojnie zapadł na powrót w ten odrętwiający sen, który miał przejść w śmierć prawie bez żadnego przeskoku. Inni także z pewnością mieli tu umrzeć – tak jak prawie na pewno jeszcze inni, w odlatującym samolocie czy w szpitalu – ale kompania C nie mogła ich widzieć. Wyruszyła już w sześciomilowy marsz do swego nowego biwaku.

Był to marsz, jakiego żaden z nich dotąd nie doświadczył, i nikt nie przygotował ich naprawdę do niego. Mimo że czytali w gazetach relacje o walkach w dżungli. Kiedy ruszyli w głąb wyspy przez gaje kokosowe, punkt opatrunkowy przy plaży wprędce zniknął im z oczu, choć nie z pamięci, i nagle znaleźli się w tym tropikalnym otoczeniu, o którym tyle słyszeli. Tu, gdzie morski powiew od plaży nie mógł do nich dotrzeć, wilgoć była tak przemożna i wisiała w powietrzu tak ciężko, iż zdawała się bardziej jakimś materialnym przedmiotem niż stanem pogody. Najmniejszy wysiłek wyciskał pot ze wszystkich porów. A ponieważ nie mógł on wyparować, więc spływał po ciele przeinaczając na wylot wszystko. Kiedy odzież nim przesiąkała, ściekał do butów wypełniając je, tak że chlupotali we własnym pocie, jak gdyby dopiero co przeszli w bród rzekę. Było już prawie południe i słońce piekło między rzadkimi drzewami nagrzewając hełmy do takiej temperatury, że te stalowe skorupy parzyły im



ręce i dla wygody musieli je pozdejnować i zawiesić na plecach, zostawiając na głowach tylko włókienne podkładki. Brnęli naprzód wśród dziwnej, ciężkiej ciszy, powodowanej przez wilgoć, która tak przesycała powietrze, że fale dźwiękowe nie rozchodziły się, tylko po prostu opadały martwo na ziemię. W tym ciężkim, nieruchomym powietrzu było tyle wody, że maszerujący z trudem chwyтали oddech, zyskując przez ten dodatkowy wysiłek bardzo niewiele tlenu czy ulgi. Wszystko było mokre. Drogi używane przez pojazdy były morzami miękkiego błota, rozbełtanego kołami, i sięgającego po osie dużych ciężarówek. Niepodobieństwem było maszerować po nim – czy raczej w nim. Jedynym sposobem poruszania się w ogóle było iść dwoma rzędami po obu stronach, stąpając po wielkich zwałach schnącego błota, jakby przeoranego pługiem, i bryłowatych kępach trawy między nimi. Z tych kęp wzbijały się wtedy chmury komarów nękając żołnierzy w nieruchomym, ciężkim powietrzu. Kilkakrotnie natknęli się na jeepy, które mając mniejszy rozstaw osi ugrzęzły w błocie aż po podwozia i daremnie usiłowały się wydobyć, a ten, który ich prowadził, musiał bardzo ostrożnie wybierać sobie drogę przez najgorsze miejsca.

Wszędzie mijali wielkie stopy sprzętu i najróżniejszego zaopatrzenia złożonego w wysokie na trzydzieści i czterdzieści stóp kopce, do których wciąż podjeżdżały duże ciężarówki. Musieli maszerować dość długo, zanim dotarli wreszcie tam, gdzie stosów tych już nie było.

Brnąc skrajem drogi w tym niewiarygodnym marszu, tuż za kapitanem Steinem i porucznikiem Bandedem, starszy sierżant Welsh, od czasu do czasu ocierając pot z czoła, nie mógł przestać myśleć o tamtej grupce poranionych zwierząt – bo tym właśnie byli, do tego zostali sprowadzeni – którą widział na punkcie opatrunkowym, i mruzczał cicho do siebie uśmiechając się chytrze do Fife'a: „Własność. Własność. Wszystko dla własności”. Albowiem to było to; o to tylko chodziło. Własność jednego człowieka czy innego człowieka. Jednego narodu czy innego narodu. Wszystko to zrobiono i robiono dalej w imię własności. Jakiś naród pragnął więcej własności, uważał, że jej potrzebuje i pewnie potrzebował, a jedynym sposobem jej uzyskania było odebrać ją innym narodom, które już rościły sobie do niej prawo. Po prostu na tej planecie nie było już własności niczyjej, to wszystko. I na tym rzecz polegała. Welsh uważał to za ogromnie zabawne. „Własność – mruzczał do siebie zbyt cicho, aby ktoś inny usłyszał. – Wszystko dla własności”.

I raz po raz wyjmował z sierżanckiej torby, w której nosił raport poranny i inne raporty, dużą butelkę od eliksiru do ust, napełnioną czystym dżinem i udawał głośne płukanie na nie istniejący ból gardła. Miał jeszcze trzy pełne butelki, starannie, osobno pozawijane w koc, w polowym plecaku, który zwiisał mu ciężko na grzbiecie.

Była to cenna rzecz. Bo w nowym, nieznanym terenie potrzebowałyby zapewne całych dwóch dni, a może i trzech, żeby wyszperać sobie nowe źródło.

Za Welshem i Fife'em brnęli Storm i jego kucharze; maszerowali z opuszczonymi

głowami szukając dogodnego przejścia i mówili niewiele. Także rozmyślali o rannych, ale żaden nie miał na ten temat tak konkretnego poglądu jak Welsh. Prawdopodobnie dlatego maszerowali w milczeniu. W każdym razie jedynie muskularny, energiczny, niski drugi kucharz Dale o wiecznie roziskrzonych oczach wypowiadał jakieś uwagi.

–Powinni byli im dowalić przeciwlotniczymi ze statków! – powiedział nagle pełnym wściekłości, ponurym głosem do wysokiego, chudego Landa, który maszerował obok. – Czy były myśliwce, czy nie! Mogli dorwać ich więcej. Dużo więcej. Ja bym tak zrobił, gdybym tam był. Gdybym tam był i miał pod ręką którąś z tych czterdziestomilimetrówek, przypaskudziłbym im z rozkazem czy bez rozkazu. Tak bym zrobił.

–I zesrałbyś się też – powiedział krótko Storm, który szedł przed nim, i Dale zamilkł z urażoną dumą podwładnego, który uważa, że przełożony oskarżył go niesprawiedliwie.

Prości żołnierze nie byli jedynymi, którzy myśleli o pierwszych prawdziwych rannych dywizji. Tuż przed Welshem kapitan Stein i jego zastępca, porucznik Band, maszerowali długo w milczeniu. Od chwili zebrania i wprawienia w ruch kompanii obaj nie odezwali się ani słowem. W gruncie rzeczy mieli niewiele do roboty poza podążaniem za jeepem, który ich prowadził. Nie musieli więc rozmawiać. Ale prawdziwą przyczyną ich milczenia było to, że i oni także rozmyślali o pokrwawionej, odrętwiałej grupce rannych.

–Niektórzy z tych chłopców byli paskudnie poharatani – powiedział w końcu Band przerywając długie milczenie i przelażąc przez następną kępę trawy.

–Tak – odrzekł Stein omijając wielki zwał błota.

–Jim – powiedział Band po chwili – czy wiesz, ilu oficerów było na tej łodzi?

–Owszem, George. Dwóch – odparł Stein. – Ktoś mi to mówił – dorzucił.

–Też tak słyszałem – rzekł Band. Po chwili zapytał: – Zauważyłeś, że obaj byli między „rannymi”?

–Tak – odparł Stein. – Tak, zauważyłem.

–A czy zauważyłeś, że żaden nie był ciężko ranny?

–Nie wyglądali na to. A byli?

Band chwilę poszperał w kieszeni i powiedział:

–Weź tę gumę do żucia. Mam jeszcze dwie.

**–Dziękuję, George, chętnie – rzekł Stein. – Mnie się skończyła.**

**Dalej w kolumnie, po drugiej stronie drogi maszerował starszy szeregowiec Doll – wyczerpany, zasapany tak jak wszyscy – z prawą dłonią opartą na klapie kabury swego nowego pistoletu – ale jedynym uczuciem, jakiego doświadczał, było gigantyczne, ponure przygnębienie. I na niego także podziałał widok rannych, czego skutek był taki, że niedawne zdobycie pistoletu skurczyło się do całkowitego bezsensu, nicości, „kompletnej nieważności. Oczywiście to, czy ktoś miał pistolet, czy nie, było zupełnie bez znaczenia w takim wybuchu lotniczej bomby. Naturalnie później, na linii frontu, kiedy walczyliby głównie bronią małokalibrową, mogło być inaczej, ale nawet i tam byłyby duże moździerze i ogień artyleryjski. Doll czuł się kompletnie bezbronny. A także wyczerpany. Jak daleko mieli jeszcze maszerować, do cholery?**

**W owym momencie z sześciomilowego marszu zostało jeszcze pięć mil, ale gdyby ktoś to powiedział Dollowi czy komukolwiek innemu z kompanii C – jak – Charlie, nikt by mu nie uwierzył. W kompanii tej byli ludzie, którzy przed wojną, w regularnej armii z czasów pokoju, robili forsowne marsze długości ponad pięćdziesięciu mil, trwające przeszło dwadzieścia cztery godziny. Ale żaden z nich nigdy nie doświadczył Czegoś podobnego. Powoli, bardzo powoli, w miarę jak przechodzili przez gaje kokosowe skrajami tych rzek błota nazywanych drogami, teren zaczął trochę się zmieniać. Ukazały się pasma splątanej dżungli schodzące między palmy kokosowe, a niekiedy można było dojrzeć daleko ponad dżunglą żółte pagórki porośnięte trawą kunai. Brnęli przed siebie potykając się, znużeni, wyczerpani.**

**Przebycie tych sześciu mil zabrało im prawie całe popołudnie i zanim dotarli do wyznaczonego miejsca, jedna trzecia kompanii dała za wygraną i odpadła po drodze. Ci, którzy doszli, zataczali się, dysząc z braku powietrza, prawie nieprzytomni z (wyczerpania).**

**Sprzęt kuchenny kompanii i worki odzieżowe, a także jeden z jej jeepów były już dostawione na miejsce, ale nikt nie mógł nic z tym zrobić przez ponad pół godziny, kiedy nareszcie doszli i osunęli się na ziemię usłyszawszy, że są na miejscu. Potem wysłano jeepa, żeby pozbiarał maruderów na trasie, a sierżant Storm, mając kilku zmordowanych ludzi, którzy pomagali jemu i jego kucharzom, zabrał się do stawiania namiotu kuchennego z klapą nad wejściem, oraz polowych pieców, aby móc wydać wieczorem posiłek. Inni żołnierze, wyczerpani, osłabieni, przystąpili do rozbijania namiotu zaopatrzeniowego i kancelaryjnego. Zanim zdołali wykonać te zadania, zaczął padać deszcz.**

## ROZDZIAŁ 2

O jakieś sto pięćdziesiąt jardów od biwaku było długie pasmo dżungli. Zza palm kokosowych i przez parującą, chłodną zasłonę tropikalnego deszczu wyglądało ono jak jednolita ściana. Gęste i zwarte, ciągnące się do podnóża wzgórz i na sto stóp wysokie, mogło być dawnym, zazielenionym wylewem lawy wyrzuconej przed wiekami przez jakiś wulkan i tworzącym teraz płaskowyż, na którego zielone zbocze można się było wdrapać i przejść przez jego wierzch po gruncie co najmniej równie twardym jak mokra ziemia, na której stali. Prawie niewidoczne w deszczu, majaczyło tam, obce, wyniośle zuchwałe, wyczuwalne dla ludzi, nawet kiedy nie mogli go dostrzec – fragment przyrody taki sam jak góra albo ocean, i równie złowieszczy dla ludzkiej jaźni.

Pracowali uparcie w gaju kokosowym przy zakładaniu obozu.

Deszcz spadał pionowo w dół, nie tknięty żadnym powiewem wiatru.

O ćwierć mili dalej widzieli wilgotne słońce, które świeciło jasno między ciągnącymi się na pozór bez końca palmami kokosowymi.

Natomiast tutaj deszcz lał jak z cebra – ogromnymi, pękatymi kroplami tak gęstymi, że wydawały się zwartą płachtą wody, która spadała na nich z nieba. Wszystko, co nie zostało przypadkowo przykryte, przemokło w kilka sekund. W ciągu paru minut cały teren był już zalany. Myśleć o płaszczach deszczowych byłoby rzeczą śmieszną; ta ulewa przeniknęłaby przez nie na wylot. Zmoczona do nitki, wyczerpana marszem kompania C człapała po terenie, rozrabiła go stopami w rzadkie morze błota, czyniła wszystko, co musiała, dla założenia obozu. Nie miała innego wyjścia.

Było tak źle, wszystko było takie okropne, że nagle, cała sprawa przeobraziła się w zabawę. Rzecz jasna, zabawę czczą i żalostną, kiedy się pomyślało o zabitych, konających i rannych po nalocie, o których nie mogli zapomnieć – ale może właśnie z tej przyczyny błaznowanie i śmiechy jeszcze bardziej się wzmogły, tak że w końcu przypominały histerię. Niektórzy, mniej roztropni i potrafiący zapomnieć, że nawet drelichy bojowe trzeba prac, nie wzdragali się usiąść w błocie i ślizgać w nim tak jak dzieci bawiące się w śniegu. Jednakże nie osłabiło to ich bolesnego, nowego napięcia. Kiedy zmęczyło ich to błaznowanie, stwierdzili, że nerwowość trwa nadal. Wszystkie wrzaski, śmiechy i ślizganie się po błocie nie złagodziły jej w najmniejszym stopniu. A tymczasem deszcz nie ustawał.

W namiocie kuchennym, który właśnie stawiano, gdy zaczął padać deszcz, Storm klnąc i pomstując usiłował rozpalić swoje piece polowe mokrymi zapałkami. Nikt nie miał suchych, gdyby zaś Storm nie rozniecił ognia, nie byłoby gorącego posiłku tego wieczora, a postanowił sobie, że będzie. W końcu zdołał to zrobić pożyczoną

zapalniczką, wiedząc z góry, że jeśli mu się uda, poparzy sobie paskudnie rękę, co w istocie nastąpiło. Ze stoicyzmem owinął ją ręcznikiem i poleciwszy, by osuszono trochę zapalek na rozpalonym piecu, powrócił do swojej roboty o wiele dumniejszy z siebie, niżby się głośno przyznał. Pokaże tym łachudrom, kto ich karmi. Nikt nigdy nie powie, że Storm nie karmił swoich ludzi.

Po bliższym zbadaniu okazało się, że przydzielone kompanii ośmioosobowe namioty nie przyszły ze statku, tak samo jak składane łóżka polowe, które miano w nich rozstawić. Kiedy sierżant Welsh, szczerząc zęby z ogromną satysfakcją, przyniósł tę wiadomość, kapitan Stein nie wiedział, co zrobić. Była to jedna z tych drobnych nieudolności, których zawsze należało się spodziewać, ilekroć duże grupy ludzi usiłowały wspólnie wykonać skomplikowaną operację. Ale Stein uważał, że tego właśnie dnia, w tym deszczu, była ona dla niego szczególnie dotkliwa. Logicznie rozumując mógł wydać tylko jeden rozkaz, a mianowicie – żeby ludzie rozpakowali plecaki i rozłożyli indywidualne płachty namiotowe, i taki właśnie rozkaz wydał. Ale czy logiczny, czy nie, rozkaz ten był jednak absurdalny i Stein z przykrością zdawał sobie z tego sprawę. Siedział z gołą głową w nowo wzniesionym, stosunkowo suchym namiocie kancelaryjnym, przemoczony i zziębnięty, i szperał w swoim worku odzieżowym usiłując znaleźć suchy mundur, gdy przyszedł do niego Welsh, i Stein ujrawszy na jego mokrej twarzy wzgardliwy uśmiezek rozbawienia tym rozkazem, tak się wściekł, że zapomniał o swojej polityce ojcowskiej tolerancji wobec tego zwariowanego sierżanta.

–Do jasnej cholery, sierżancie, ja też wiem, że to jest śmieszny rozkaz! – krzyknął. – A teraz proszę iść i powiedzieć ludziom!

To rozkaz!

–Tak jest, panie kapitanie – uśmiechnął się Welsh salutując mu zuchwale, i odszedł. Z sardoniczną uciechą.

Żołnierze wysłuchali rozkazu z obojętnymi minami i nielicznymi komentarzami, stojąc przygarbieni na deszczu. A potem wzięli się do jego wykonania.

–To wariat! – warknął szeregowiec Mazzi do szeregowca Tillsa ocierając wodę z twarzy, kiedy zestawiał ich paliki namiotowe. – Zwyczajny pieprzony wariat!

Mieli spać razem i Tills siedział na pięciogalonowym pojemniku z wodą spinając na deszczu ich płachty namiotowe. Nic nie odpowiedział.

–No, czy nie mam racji? – zapytał Mazzi, kiedy rozstawił paliki i zaczął odwijać zwój sznurów. – Czy nie mam racji, do cholery? Co, Tills?

–Nie wiem – odrzekł Tills i znowu pogрузzył się w milczeniu.

Był jednym z tych, którzy dali się wciągnąć w to baraszkowanie w błocie, i teraz tego – żałował. W szczytowym momencie pajacowania, siedząc w błocie, nawet umazał sobie twarz. Do tej pory jednak deszcz i pocieranie zmyły mu je częściowo z rąk, a przy pewnym jego staraniu także i z twarzy; natomiast poza tym był jedną wielką mazią wstrętnego, cuchnącego, tropikalnego błota.

–A co innego mógł zrobić? – dodał apatycznie po chwili.

–Skąd, do jasnej cholery, mogę wiedzieć, co mógł zrobić? Nie jestem dowódcą kompanii. – Mazzi zebrał dziesięć ich kołków namiotowych naciągawszy mokre sznury najlepiej, jak mógł, i zaczął rozkładać płachty.

–Myślisz, że te cholerne kołeczki będą się trzymały w tej brei? – zapytał. – Gdybym dowodził tą kompanią, zmieniłaby się tutaj kupa rzeczy, i to kurewsko prędko. Pies cię trącał, Tills, skończyłeś już?

–Pewnie, że by się zmieniła – odrzekł Tills. – Tak, skończyłem. – Wstał, pospinana masa przesiąkniętego płótna opadła mu z kolan na błotnistą ziemię; otarł deszcz z twarzy.

–No to jazda! – Mazzi rzucił mu dwa ostatnie kołki. – On jest menda. Cholerna, pieprzona menda. Taki właśnie jest. Nie potrafi odróżnić własnej dupy od trzeciej bazy i nigdy nie będzie umiał. No, wal, niech to szlag trafi.

–Każdy jest menda – powiedział Tills, ale nie ruszał się z miejsca. Ukradkiem dotknął parę razy twarzy, po czym złożył dłonie i potarł je o siebie. Było to daremne. Cienkie linie rzadkiego, kleistego błota pozostały we wszystkich zmarszczkach i załomkach jego dłoni, a grubsze wałki pod paznokciami i w fałdach naskórka. Dłonie były czyste tylko po brzegach, co nadawało im dziwny, dwuodcieniowy wygląd, jak gdyby próbował naśladować własne odciski palców. Nadal nie ruszał się z miejsca. – Tak jak mówisz.

W przeciwieństwie do niego Mazzi wyglądał niezwykle czysto.

Mimo że był przemoczony do nitki. Nie przyłączył się do zabawy w błocie, chociaż ochoczo śmiał się i wrzeszczał wraz z resztą, i oklaskiwał tych, co to robili.

–Słusznie – przyznał. – Z wyjątkiem mnie i paru moich bliższych znajomych, którzy są tutaj jedyni fajni. No, jazda, mówię, cholera. Postawmy to pierdółstwo.

–Słuchaj, Mazzi – Tills nadal się nie ruszał. – Chcę cię o coś zapytać. Myślisz, że w tym błocie są jakieś pierdolone zarazki?

Mazzi, przykucnięty obok miejsca, gdzie miał stanąć namiot, podniósł wzrok, tak zaskoczony, że na chwilę zaniemówił.

**–Zarazki? – powiedział wreszcie. – Zarazki. – I on też otarł wodę z twarzy zastanawiając się nad tym. – Jasne, że są. Wszystkie rodzaje zarazków.**

**–Naprawdę tak myślisz? – zapytał Tills zatroskanym głosem.**

**Popatrzał na siebie. Na chwilę wyobraźnia uczyniła go całkowicie bezbronnym.**

**Mazzi, wyczuwając to, nadal wpatrywał się w niego, a na twarzy pojawił mu się wyraz zadowolenia. Uśmiechnął się złośliwie.**

**–Oczywiście, psiakrew. Nie czytujesz gazet? Ta wyspa roi się od zarazków wszelkiego rodzaju. Jakiego byś nie chciał, masz go na tej wyspie. A gdzie się znajduje zarazki? W błocie, barani łbie.**

**Jakich zarazków chcesz? – Podniósł dłoń i zaczął odliczać na rozstawionych palcach. – Zarazki malarii...**

**–Zarazki malarii są w komarach – przerwał mu ponuro Tills.**

**–Jasne, ale skąd one je biorą? Z błota. Bo w nim jest...**

**–Nie – przerwał mu znowu Tills. – Od innych ludzi, którzy mają malarię.**

**–Okej, w porządku. Ale skąd się w ogóle biorą zarazki? Każdy to wie. Z błota i brudu. – Dalej odliczał na palcach. – Więc są zarazki febry, zarazki żółtaczk, zarazki czarnej febry, zarazki zgnilizny dżunglowej, zarazki dyzenterii... – Mazzi odliczał teraz na palcach drugiej dłoni. Wciąż uśmiechając się do Tillsa przerwał i wymownie wyrzucił w górę obie ręce. – Jakie jeszcze chcesz, do cholery? Tylko powiedz, a ta wyspa je ma. – Zamilkł na chwilę.**

**–O rany – rzekł wyglądając na zadowolonego z siebie. – Pewnie jutro będziesz chory jak pies.**

**Tills popatrzał na niego bezbrinnie. – Ty jesteś kawał skurwysyna, Mazzi – rzekł po chwili.**

**Mazzi uniósł swoje ruchliwe brwi i pełne wyrazu ramiona.**

**–Kto, ja? A co takiego zrobiłem? Zapytałeś mnie. Odpowiedziałem ci. Najlepiej, jak umiałem.**

**Tills nie odezwał się i nadal stał patrząc na Mazzię uważnie, bezbrinnie, z mokrym, zabłoconym płótnem rozłożonym wokół stóp.**

**Mazzi, wciąż przykucnięty przy kołkach, uśmiechnął się do niego.**

–Nie widziałeś, żebym się tarzał i ślizgał w tym błocie, prawda? Owszem, śmiałem się, wrzeszczałem i podjudzałem ich. To mnie nic nie kosztowało. Z tobą, Tills, jest ta bieda,, że jesteś menda.

Urodzona menda. Zawsze cię w coś wciągają. Dam ci nauczkę, chłopcze. Nie widziałeś, żeby mnie w coś wciągnęli, mnie i moich bliskich kumpli, którzy są fajni. No tak czy nie, Tills?

Dufna protekcyjność ociekała z użytego przezeń słowa „chłopcze”. Mazzi był o kilka lat młodszy. Tills nic nie odpowiedział.

–No chodź. Postawmy to draństwo – rzekł Mazzi. Znowu przymrużył oczy. – Zanim się tak rozchorujesz, że nawet nie będziesz mógł mi pomóc. Jeden gość nie da rady rozstawić sam tego namiotu.

Cholera, jeżeli się naprawdę pochoryjesz, będę miał cały namiot dla siebie. Może będziesz taki chory, że ci się poszczęści i odeślą cię stąd... jeżeli nie wykitujesz.

Nic nie mówiąc Tills pochylił się, zebrał mokrą, sztywną masę płótna i ruszył z nią ku Mazziemmu, który, wciąż uśmiechając się łaskawie, wstał, by mu pomóc ją rozłożyć.

–Popatrz na te cholerne koce – powiedział wskazując je. Kocę wepchnęli pod brezent przykrywający jakiś sprzęt. – Mógłbyś mi powiedzieć, jak człowiek ma spać pod takimi kocami? Mógłbyś, co? – zapytał. Ale kiedy Tills mu nie odpowiadał, nie zadał sobie trudu, aby powtórzyć pytanie, i obaj zaczęli rozciągać płótno na pierwszym paliku.

Wokoło nich ludzie pracowali w deszczu i inne małe namioty wyrastały długimi, równymi rzędami. Wszyscy starali się nie stąpać tam, gdzie miały być postawione, ale to nic nie pomagało. Sama siła deszczu wystarczała, aby przemienić ziemię w grzęzawisko. Nie mając łóżek polowych musieli rozkładać przemoczone koce na tej mazi, a potem chronić na nich tę półsuchą odzież, którą mogli znaleźć. Miała to być paskudna noc dla wszystkich, prócz oficerów, których namioty sypialne, łóżka polowe i pościel zawsze noszono z kompanią, ale niezbyt przyjemna i dla nich.

Była to już ostatnia robota do wykonania, a ponieważ noc jeszcze nie zapadła, więc naturalnie co śmielsi zapragnęli rzucić okiem na dżunglę. Nie mieli nic do stracenia; nie mogli już przemoknąć bardziej. Jednym z nich był Duży Queen, ów olbrzymi Tekskańczyk.

Drugim zaś szeregowiec Bell, były oficer saperów, a trzecim starszy szeregowiec Doll, dumny posiadacz ukradzionego pistoletu. Ogółem było ich dwudziestu.

Doll podszedł do swego kumpla, kaprała Fife'a, z przewieszonym przez lewe ramię karabinem, który przytrzymał kciukiem za ramię, a prawą ręką na kolbie



pistoletu. Był gotów iść. Jego ekwipunku dopełniał hełm i pas amunicyjny. Wszyscy już odłożyli swoje idiotyczne maski gazowe. Byliby je wyrzucili, ale obawiali się, że będą musieli za nie zapłacić.

–Idziesz z nami, żeby pokikować na dżunglę, Fife?

Fife właśnie skończył stawiać namiot, który dzielił ze swoim pomagierem, osiemnastolatkiem z lowy, nazwiskiem Bead. Bead, jeszcze niższy od Fife'a, miał duże oczy, wąskie ramiona, masywne biodra, drobne ręce i był poborowym. Fife zawahał się.

–Nie wiem, czy powinienem. Welsh może mnie do czegoś potrzebować. Jeszcze nie jesteśmy całkiem urządzeni. – Spojrzał na daleką zieloną ścianę. Byłaby to długa i błotnista wędrówka w tym deszczu. Fife był zmęczony i zdeprymowany. W butach chlupotała mu woda. A zresztą co by tam zobaczyli? Kupę drzew. – Chyba jednak nie pójdę.

–Ja pójdę, Doll! Ja pójdę! – To wykrzyknął Bead, którego duże oczy wydały się jeszcze większe za okularami w rogowej oprawie.

–Nikt cię nie zaprasza – wycedził Doll.

–Co to znaczy, nie zaprasza? Każdy może pójść, jeżeli chce, nie? Okej, idę!

–Nigdzie nie idziesz, cholera – odparł Fife krótko. – Zabieraj swój tłusty tyłek do namiotu kancelaryjnego i weź się do roboty, łachudro. Co ty sobie myślisz, że za co ci płacą, kurwa? Jazda!

–targnął głową. – Posuwaj.

Bead nic nie odpowiedział, tylko odszedł przygarbiony, powłócząc nogami jak zwykle.

–Po prostu nie można ich przyzwoicie traktować – rzekł Fife.

–Lepiej chodź z nami – powiedział Doll. – Uniósł brew i górną wargę. – Nie wiadomo, na co tam możemy natrafić czy co znaleźć.

–Może i nie – uśmiechnął się Fife. – Ale rozumiesz, służba.

–Był rad, że tak łatwo się od tego wymigał.

Doll uniósł wargę i brew jeszcze wyżej.

–Pieprzyć służbę! – powiedział kątem ust, z ogromnie cyniczną i świadomą rzeczy miną. Odwrócił się i odmaszerował.

**–Dobrej zabawy! – zawołał za nim Fife cynicznie. Ale powziąwszy decyzję pożałował, że nie jest z nimi, gdy patrzył, jak odchodzili w deszczu.**

**Palmy kokosowe kończyły się zaraz za krańcem biwaku. Dalej nie było nic prócz płaskiego, otwartego terenu, sięgającego aż do dżungli. Zza tej otwartej przestrzeni zielona ściana wyglądała jeszcze groźniej niż spomiędzy drzew. Idący zatrzymali się na ich skraju, aby popatrzeć. A potem, bez płaszców przeciwdeszczowych, lecz przemoczeni tak, że już o tym nie myśleli, podeszli wśród ulewy ostrożnie i z zaciekawieniem do wysokiej ściany dżungli.**

**Stopy mieli oblepione zwałami błota, które wciąż z nich strząsali.**

**Od miesięcy wszyscy czytali o tym w gazetach – o tej dżungli.**

**Teraz widzieli ją z bliska.**

**Zrazu szli ostrożnie tylko jej brzegiem. Z daleka wyglądali zabawnie: grupki zmoczonych ludzi w deszczu, którzy stąpali niepewnie wzdłuż skraju dżungli, pochylając się i zerkając tu i ówdzie.**

**Była to naprawdę ściana, ściana liści, mięsistych, zbitych i zachodzących na siebie prawie bez najmniejszej szczeliny. Patrząc na nie Duży Queen doznawał wrażenia, iż można by nieomal spodziewać się, że któryś ugryzie człowieka, jeżeli go się trąci. Rozsunąwszy je w końcu weszli w gąszcz, niejako dając weń nura, i od razu ogarnął ich głęboki mrok.**

**Tutaj deszcz nie docierał. Zatrzymywał go wysoko w górze ten dach z zielonych gontów. Ociekał z niego powoli, z liścia na liść, lub spływał po łodygach i gałęziach. Mimo gęstości ulewy, która szumiała głośno na zewnątrz, tutaj słyszeli jedynie cichy szmer powolnego, sporadycznego kapania. Poza tym panowała zupełna cisza.**

**Kiedy ich oczy przywykły do półmroku, dojrzeli olbrzymie pnącza i liany zwisające wielkimi, łukowatymi festonami, niektóre większe od młodych drzew w kraju. Gigantyczne pnie wystrzelały!**

**prosto w górę, wysoko nad ich głowy, aż do owego dachu, a cienkie, podobne do kling korzenie często sięgały ponad człowieka. Wszystko wszędzie było mokre. Sam grunt był albo gołą ziemią, śliską i grząską od wilgoci, albo nieprzeniknioną wikłaniną zwalonych drzew.**

**Tu i ówdzie nieliczne karłowate, rozłożyste krzaki usiłowały utrzymać się przy życiu prawie bez światła. A młode drzewka, zupełnie pozbawione gałęzi, z nielicznymi liśćmi na czubkach i niewiele szersze od scyzoryka, wspinały się w górę, wciąż w górę, ku temu zamkniętemu sklepieniu i zwartej masie o sto stóp wyżej, gdzie mogły przynajmniej walczyć, zanimby się udusiły tutaj, na dole.**

Niektóre, mające średnicę nie większą od denka szklaneczki do whisky, już osiągnęły wysokość dwukrotnie większą od rosnącego człowieka. A pośród tego wszystkiego nic się nie poruszało. I nie było żadnego odgłosu poza szmerem kapiącej wilgoci.

Ludzie, którzy prześliznęli się przez ochronną ścianę i teraz to zobaczyli, stanęli jak wryci w obliczu ogromu, który im ujawniły przywykające do półmroku oczy. Było to coś więcej, niż się spodziewali. Jakkolwiek można by określić tę zieleń na pewno niepodobna było nazwać jej czymś ucywilizowanym. I dlatego przestraszała ich, jako cywilizowanych ludzi. Najtwardszy knajpiany awanturnik wśród nich odczuwał lęk. Kiedy tam stali bez ruchu, stopniowo dały się znowu słyszeć niewyraźne, nikłe odgłosy. Wysoko w górze szeleściły liście lub drgała gałąź i odzywał się świergot albo szaleńczy, ochryply krzyk, kiedy przelatywał jakiś niewidzialny ptak. Na ziemi zatrząsał się czasem ukradkowo krzak, gdy przebiegało jakieś drobne zwierzę. Ale nie widzieli niczego.

Wchodząc w dżunglę zostali tak nagle i całkowicie – odcięci od biwaku i kompanii, jak gdyby zamknęli drzwi między dwoma pokojami.

Nagłość i zupełność tego odcięcia przestraszyła ich wszystkich. Ale wyglądając pomiędzy liśćmi mogli dojrzeć wysokie, brunatne namioty, stojące w deszczu pośród białych pni palm kokosowych, oraz dalekie, zielono odziane postacie krążące swobodnie i bezpiecznie między nimi. Ten widok ich uspokoił. Postanowili iść dalej.

Kapral Queen szedł z nimi nie mówiąc nic albo przynajmniej bardzo mało. Queen czuł silną niechęć do odłączenia się od innych.

Ta „dżungla nie była w jego guście. Tam na biwaku, w ulewnym deszczu, Queen był w swoim żywiole, rozradowany. Parskał, szczyrzył zęby, wcierał deszcz w siebie, w swoją pierś i odzież, i śmiał się głośno z tych mniej ochoczych, którzy wyglądali jak mokre koty.

Deszcz był dla niego czymś swojskim. W kraju pracował pewien czas jako robotnik na ranczu; nieraz przyłapała go letnia burza i musiał cały dzień jeździć w deszczu. Nie podobało mu się to wówczas, ale teraz wspominał to jako coś przyjemnego, męskiego, pozwalającego wykazać dużą wytrzymałość i siłę. Natomiast ta dżungla była czymś innym. Powracała mu pełna oburzenia myśl, że żaden Amerykanin nie pozwoliłby, aby jego działka leśna doszła do podobnego stanu.

Duży Queen nie przyznałby się nikomu do swego lekkiego strachu, a w istocie nie przyznawał się doń nawet samemu sobie. Odwrócił to. i pogodził się z sytuacją wmawiając sobie, że jest tu na obcym terenie i naturalnie będzie się czuł nieswojo, dopóki się z nim nie zaznajomi. Ale nie mogło to mieć nic wspólnego ze strachem, bo Duży Queen musiał podtrzymać swoją reputację.

**Wysoki (ponad sześć stóp wzrostu, z piersią mającą pięćdziesiąt sześć cali w obwodzie i odpowiednimi rękami i nogami), i wyjątkowo silny nawet jak na te rozmiary, Duży Queen był jedną z osobliwości w jednostce; w kompanii C wytworzył się wokół niego mit.**

**I z chwilą, kiedy Queen wreszcie to odkrył (był niezbyt bystry, jeśli chodziło o pewne rzeczy, które go dotyczyły), starał się z dziwnym, radosnym poczuciem, że nareszcie odnalazł swoją tożsamość – czynić wszystko, co potrafił, aby podtrzymać tę opinię.**

**Gdyby poszukać początków tego mitu, znalazłoby się je prawie na pewno w amorficznym zbiorowisku niskich ludzi w oddziale, ludzi, którzy z uwielbieniem marzyli o wroście i sile jakich sami nigdy nie mogli mieć, i którzy w tym uwielbieniu pozwalali ponieść się swojej twórczej wyobraźni. Bez względu na źródło było to teraz ugruntowane jako fakt, a nie mit, i prawie każdy, z Queenem włącznie, wierzył, że Duży Queen jest niezwykły zarówno duchowo, jak fizycznie.**

**Ta reputacja narzucała Queenowi pewne zobowiązania. Na przykład nie mógł nigdy robić niczego, co nawet w najmniejszej mierze przypominałoby brutalność. Nie zdarzały mu się już bójkę, głównie dlatego, że nikt nie miał ochoty kłócić się z nim. Ale było w tym i coś więcej, ponieważ on sam też nie mógł się kłócić. Wyglądałby bowiem na brutala narzucającego siłą własne zdanie. Przestał wyrażać swoją opinię podczas dyskusji, chyba że chodziło o coś naprawdę bardzo dlań ważnego. Na przykład o prezydenta Roosevelta, którego czcił, czy o katolików, których nienawidził i bał się. Ale i wtedy wypowiadał się spokojnie i bez nacisku.**

**Pamiętanie o tym, jak ma postępować, wymagało od Queena wiele czasu i energii. Stwierdził, że musi myśleć prawie przez cały czas. To go męczyło. I tylko wtedy, gdy chodziło o wyczyny polegające na sile i wytrzymałości, mógł popuścić sobie wodzy i działać bez myślenia. Czasami do nich tęsknił.**

**W tej chwili miał inny problem. Jeszcze jednym zobowiązaniem, jakie mu narzucała jego reputacja, było to, że nigdy nie może wydawać się przestraszony. Dlatego też znalazł się w takiej sytuacji, że musiał brnąć przez te przekłete gąszcze z niewzruszoną twarzą przez wzgląd na innych, podczas gdy jego wyobraźnia obciążała każdy krok najróżniejszymi straszliwymi skutkami. Posiadanie wspaniałej reputacji było czasami bardziej uciążliwe, niż ludzie myśleli. Okropne rzeczy.**

**Na przykład węże. Wszystkim mówiono, że węzów nie ma na Guadalcanale. Ale w ciągu dwóch lat spędzonych w północno – zachodnim Teksasie Queen nabrał więcej niż zdrowego respektu dla grzechotników. Jego lęk przed węzami był jednak bardziej niezdrowy niż zdrowy, gdyż pociągał za sobą prawie nie dającą się opanować skłonność do zastygania w porażony strachem cel ataku.**

A w dżungli wyobraźnia ciągle podsuwała mu obraz własnej obutej stopy opuszczającej się ciężko na zwiniętą masę umięśnionego życia, która wybuchała pod butem wijącą się, syczącą, kłapiącą szczękami zaciekłością, zdolną przebić na wylot brezentowy getr, a nawet i skórzany but. Znał węże. Podczas swoich dwóch lat na tamtym ranczu zabił ich co najmniej sto, chociaż w większości go nie napastowały. Tylko dwa razy znalazł się dostatecznie blisko, by mogły go ugryźć. Wszystkie inne po prostu leżały zwinięte i podejrzliwe, obserwując go paciorkowatymi ślepiami, wywieszając te rozwidlone języki, kiedy wyjmował pistolet. Nie cierpiał ich. A fakt, iż wojsko mówiło, że ich tu nie ma, niczego nie dowodził; Queen nigdy nie widział bardziej odpowiedniego dla nich terenu.

Tak nastawiony Duży Queen szedł omijając wikłaniny zwalonych drzew, mając nadzieję, że nikt nie zdoła wyczytać z jego twarzy, co myśli, i po cichu przeklinał swoją wyobraźnię, żałując, że ją ma, i przypominał sobie węże z dawnych czasów.

Właśnie wtedy, o jakieś dwadzieścia kroków w głąb od skraju dżungli, ktoś znalazł zakrwawioną koszulę. Krzyknął i przystanął.

Ludzie instynktownie rozstawili się na odległość pięciu kroków jeden od drugiego, jak gdyby w tyralierę, aczkolwiek żaden nie zdjął karabinu z ramienia. A potem się zeszli. Kiedy się zebrali, znalazca po prostu stał z zaskoczoną miną i wskazywał miejsce między dwoma wąskimi, sięgającymi do ramion korzeniami jednego z olbrzymich drzew. Reszta stłoczyła się dokoła i przypatrywała z podnieceniem. Queen, który był na prawym końcu linii, doszedł jako jeden z ostatnich.

Innym z nich był szeregowiec Bell, eks – oficer saperów z Filipin.

Szedł trochę w prawo od Dużego Queena. Sam bardzo muskularny, wyglądał przy nim na wątłego. Jednakże dżungle nie były dla Bella czymś obcym. Po czterech miesiącach przeżytych w filipińskiej dżungli (bez żony) to niesamowite, właściwe wszystkim dżunglom otoczenie, jakby z innej planety, nie dawało Bellowi żadnych nowych emocji. Szedł milczący, zamknięty w sobie, na osobności, jak to miał we zwyczaju, bardziej dla dokonywania porównań botanicznych niż czego innego, i nie było w nim nic z niecierpliwości czy przemożnego musu patrzenia, oglądania, któremu ulegali inni. Rzeczą interesującą, którą Bell zauważył już przedtem u żołnierzy amerykańskich, było to, że gdziekolwiek się znaleźli i bez względu na niebezpieczeństwa, jakich się spodziewali, szli gotowi patrzeć i jeśli tylko mogli, utrwalac to, co widzieli. Przynajmniej jedna trzecia każdego oddziału nosiła ze sobą poutykane gdzieś kamery, filtry do obiektywów i światłomierze. Bell nazywał ich walczącymi turystami. Zawsze byli gotowi utrwalac swoje wrażenia dla własnych dzieci, choć mogli zginac, zanim zdążyliby je miec. Sam Bell, choć to wspomnienie bylo dla niego bolesne – czy właśnie z tej przyczyny – pragnal zobaczyc podobienstwo miedzy ta dzungla a jego wlasna, tak dobrze zapamietana (bez zony) z Filipin. Bylo to tak latwe do przewidzenia – i w jego wspomnieniu rownie dojmujaco

bolesne – jak się spodziewał. Ale kiedy podszedł do grupy żołnierzy i spojrzął na przyczynę ich podniecenia, znalazł się na równie nieznanym gruncie jak reszta. Podobnie jak oni, nigdy dotąd nie widział materialnych pozostałości po człowieku poległym w boju piechoty.

Trzeba było bystrych oczu, aby je dojrzeć. W najwyższym punkcie załomu między korzeniami leżała zmięta szmata koloru khaki, tego samego co ziemia. Nie wyglądało na to, żeby ktoś ją rozmyślnie tu złożył, lecz raczej tak, jakby ją ściągnął, zmiął i odrzucił sam jej właściciel albo ktoś, kto się nim zaopiekował – i spadła akurat tutaj. Zaskorupiała, czarna plama upodobniała ją jeszcze bardziej do dżunglowego podłoża.

Nastąpił potok bezładnych, dość bezsensownych komentarzy, dziwnie zdyszanych i pełnych podniecenia.

–Jak myślicie, gdzie on dostał?

–Czy to amerykańskie?

–Jasne, że amerykańskie, kurwa. Japonce nie noszą takiego koloru.

We wszystkich głosach pobrzmiwał ton osobliwego, seksualnego podniecenia, niezdrowej seksualnej ciekawości – nieomal tak, jakby podglądali zza lustra kogoś w trakcie spółkowania – jak gdyby patrząc otwarcie na świadectwo cierpienia i strachu tego nieznanego człowieka, może mimowolnie, ale niepohamowanie go uwodzili.

–To jest zielonkawe! Nawet nie khaki piechoty morskiej! To kolor armii – lądowej! – Usłyszeli głuchy głos.

–Ano, jest tutaj nasza dywizja. Może to któryś z nich.

–Ktokolwiek to był, nielicho oberwał – powiedział Queen.

Odezwał się po raz pierwszy. Czuł się dziwnie, lecz silnie zawstydzony, że patrzy na koszulę zabitego, i że go przy tym ogarnia nerwowe podniecenie.

–Ciekawe, gdzie dostał? – Ten głos jakiś winowajczy, usiłujący brzmieć niedbale.

Po raz drugi o tym wspomniano. Jeden ze stojących najbliżej ale nie znalazca – pochylił się w milczeniu i podniósł koszulę ująwszy ją kciukiem i palcem wskazującym, jak gdyby w obawie, że może zarazić się jakąś straszną chorobą.

–Tu – powiedział i spojrzął nieporadnie na stojącego obok.

Razem rozciągnęli koszulę, odwrócili ją na drugą stronę i z powrotem – dziwnie przypominając dwie ekspedientki w sklepie odzieżowym pokazujące nowy model

ewentualnym nabywcom. Z grupy zebranych doleciał nagle cienki, sztuczny, histeryczny chichot.

–Mamy tu świeżo wypuszczony model z naszej nowej wiosennej kolekcji 1943. Pasuje na każdą figurę. Kto chciałby przymierzyć?

Nikt nie pokwitował tych słów. Chichoczący umilkł. Dwaj żołnierze odwrócili koszulę jeszcze parę razy, podczas gdy inni przypatrywali się w milczeniu.

Podobnie jak wiele koszul, które tutaj widzieli, i ta nie miała rękawów. Jednakże nie była całkiem ich pozbawiona, tak jak inne.

Rękawy odcięto w połowie górnej ich części, a potem starannie pokrajano na strzępki, aż po szew ramieniowy, bardzo ostrym nożem albo żyletką, tak że przypominały frędzle staroświeckiej kurtki kowbojskiej z kozłowej skóry.

Na ten widok Duży Queen, który miał i nosił taką kurtkę przez dwa lata, kiedy pracował na ranchu, doznał dziwnie bolesnego uczucia. Uczucia szczególnej samotności – i czegoś jeszcze. Było to amerykańskie upodobanie do kowbojskich frędzli. Przybliżyło go jeszcze bardziej do zrozumienia tego innego, nieznanego człowieka, którym pragnął być. Był to odruch śmieszny, chłopięcy i Queen intuicyjnie zdawał sobie z tego aż nadto dobrze sprawę. O wiele lepiej, niż chciał to zrozumieć świadomie. Bo odruch ten nic mu nie dał. Nie ochronił go wcale. To było oczywiste.

Kula weszła u dołu płaskiego płata mięśnia piersiowego tuż ponad sutką, trafiła na kość i przewierciła się w dół, wychodząc pod lewą łopatką. Dokoła małej dziurki na przodzie nie było dużo krwi.

Najwięcej jej wypłynęło na plecy. Nosiciel frędzli był bardzo pechowy. Gdyby kula odbiła w górę, mogłaby ominąć płuco. Ale przedarła się do dołu i na wylot przez jego środek, przechodząc na płask, zamiast szpicem, i dlatego czyniąc jeszcze większe spustoszenia w tkankach.

Po chwili dwaj żołnierze trzymający koszulę odwrócili ją jeszcze kilka razy, przy czym jej mokre frędzle trzepotały ciężko. Nadal nikt nic nie mówił.

Bell, zaglądając między hełmami dwóch ludzi stojących przed nim, zamrugał nagle oczyma, tak jakby uderzyła go w twarz morska fala podczas pływania. Całkiem niespodziewanie ujrzał straszliwy, halucynacyjny, podwójny obraz samego siebie i tej koszuli. Zarazem stał mając na sobie tę przedziurawioną, nasiąkniętą życiem koszulę i jednocześnie leżał na ziemi, przeszyty, sam nasiąknięty życiem, odrzuciwszy ją precz – a gdzieś za sobą, poza zasięgiem wzroku, widział jednakże niesamowity, transcendentalny, nakładający się na liściasty półmrok drzew obraz głowy i ramion swej żony, Marty, która smutnie patrzyła na owe dwa obrazy. Mruganie oczami nie pomogło. Obrazy nie zniknęły. „Och, tak mi żal” – usłyszał wyraźnie jej głos.

Nieskończenie, cudownie smutny. „Tak mi żal. Tak mi ciebie żal”. Było to powiedziane z całą prężnością i siłą żywotną, której tyle miała w sobie Marty. „Idź stąd! – zapragnął gorączkowo krzyknąć do niej. – Przecież to nie jest prawda! Odejdź! To nie jest rzeczywistość. Nie patrz! Nie podchodź! Idź! Nie podejmuj dwustu dolarów!” Ale nie mógł już nawet mrugnąć oczami, a cóż dopiero krzyczeć. „Och, tak mi żal – zawołała do niego. – Naprawdę, szczerze żal!” I Bell wiedział nie myśląc o tym, nawet nie śmiał myśleć, iż jej żal wynika częściowo stąd, że Marty wie równie dobrze jak on, iż ta jej potężna, wiecznie afirmowana kobieca siła witalna będzie wymagała, by żyła dalej, nawet choćby tego nie chciała, i aby nadal była kochana przez mężczyznę, innego mężczyznę, nawet choćby wołała, by tak się nie działo. To tkwiło w niej, ta moc kobieca, i było jej naturą, czymś równie niepowstrzymanym jak spływająca w dół woda. „Tak mi żal, John. Tak mi ciebie żal”.

Powoli ten głos rozplynał się miękko w ociekającym mroku dżungli, nieskończenie smutny. Jak oszalały, zdjęty czystą grozą, że stanie w obliczu czystej grozy, Bell zmusił się do zamrugania oczami. A potem zamrugał nimi gorączkowo jeszcze kilka razy. Może ujrzenie dziś znowu dżungli, po Filipinach, po takim długim czasie?... Ale najbardziej przerażające ze wszystkiego było to, że Bell czuł, znów nie śmiał o tym myśleć, iż gdyby był sam w tej chwili, doznałby erekcji. Ze swego bólu, z udręki swej samowiedzy, z nieomylności swej intuicji, doznałby pełnej erekcji. To co najmniej potroiło jego zgrozę. Znowu zamrugął oczami, tym razem rozpaczliwie. Dwaj żołnierze ciągle trzymali koszulę, tę śmiertelną koszulę, i nadal nikt nie odzywał się ani słowem.

–No to co mam z tym zrobić? – zapytał człowiek, który ją podniósł.

Jak gdyby zwolniony z odpowiedzialności przez te pierwsze słowa wypowiedziane wśród głuchoj ciszy, drugi żołnierz natychmiast puścił koszulę i cofnął się. Połowa przemoczonej, zabłoconej szmaty, którą dotąd trzymał, opadła ciężko ku pierwszemu. Ten wyciągnął daleko rękę, aby go nie dotknęła, i trzymał ją nadal. A ona zwisała jak flaga, która już nigdy nie zatrzepocze na wietrze, symbol mroczniejszej, mniej wzniosłej strony patriotyzmu.

–Ano, bo nie wydaje się słuszne... – zaczął i przerwał. Koniec tego zdania zacichł przechodząc w zastanowienie.

–Jak to, nie wydaje się słuszne? – zapytał nagle Queen rozwścieczonym, nieomal piskliwym głosem. Nim skończył, zdołał przywrócić mu normalny, niski ton. – Co nie wydaje się słuszne?

Nikt nie odpowiedział.

–To tylko koszula, nie? Nie ten gość, co w niej był, prawda?



**Co chcesz zrobić? Zabrać ją do kompanii? A tam co z nią zrobisz?**

**Zakopiesz ją? Czy dasz Stormowi do wycierania pieców?**

**Była to bardzo długa wypowiedź jak na Queena. Ale przynajmniej odzyskał panowanie nad swoim głosem, mówił tym głębokim tonem, którego każdy spodziewał się po Dużym Queenie. I znowu nikt nie odpowiedział.**

**–Zostaw ją tam, gdzie ją znalazłeś – powiedział Queen bardzo władczo.**

**Bez słowa ten, który ją trzymał (wciąż kciukiem i palcem wskazującym, jak gdyby bał się zarazy), obrócił się, zamachnął i puścił ją. Spadła w załomek między korzeniami, już nie zwinięta.**

**–Tak, zostawcie ją tam, gdzie ją Pan Jezus rzucił – powiedział ktoś inny. Nikt się nie odezwał.**

**Ów napięty, osobliwie seksualny wyraz pozniakał z wszystkich twarzy. Na jego miejsce pojawił się inny, posępny, pełen seksualnej winy. Nikt nie chciał spojrzeć nikomu w oczy. Dziwnie przypominali grupę chłopców przyłapanych na wspólnym samogwałcie.**

**–No tak. Rozejrzyjmy się jeszcze trochę – powiedział ktoś.**

**–Aha. Może dowiemy się, co tutaj było.**

**Wszyscy pragnęli odejść.**

**I tak się zdarzyło, że w tym nastroju natrafili na pole bitwy, a potem nie opodal na masową mogiłę.**

**Znalezienie koszuli przejęło wszystkich dziwnym uczuciem nierealności. Ociekająca wodą, duszna dżungla, ze swoim katedrowym sklepieniem wysoko w górze, nie przyczyniała się do jego osłabienia. Walka i zabijanie, uderzenia śmiertelnych kul, które przewiercały człowieka, to były fakty. Istniały niewątpliwie. Jednakże nie mogli przyswoić sobie tego wszystkiego i pozostawiło im to jakieś do snu podobne, koszmarne uczucie, z którego nie potrafili się otrząsnąć.**

**Jak oniemiała (bo oczywiście nikt nie chciał się przyznać innemu do tej w zasadzie niemęskiej reakcji) szli dalej w zielonkawym świetle pasma dżungli, w zмовie milczenia. Ich umysły się buntowały. A kiedy umysł tak się buntuje, rzeczywistość staje się bardziej podobna do snu niż koszmar. Ilekroć któryś z nich próbował wyobrazić sobie własną śmierć, przywołać odczucie tej kuli przewiercającej mu płuco, przekonywał się, że umysł go zawodzi. Jedyłą rzeczą, jaką potrafił sobie odmalować, był heroiczny, brawurowy gest, który by uczynił umierając. Natomiast**

reszta była niewyobrażalna. A jednocześnie, gdzieś w głębi każdego umysłu, niby paznokiec niepowstrzymanie rozdrapujący zastrupiała ranę, odzywał się cichy głos, który pytał: ale czy to warto? Czy naprawdę warto umrzeć, być nieżywym jedynie po to, by udowodnić wszystkim, że nie jest się tchórzem?

W milczeniu powrócili prawie dokładnie na swoje miejsca w linii.

Instyktownie i bez żadnego widomego powodu skręcili w lewo, przy czym na osi tego obrotu był Queen. I właśnie tam, na drugim, lewym końcu, znaleźli pierwsze opuszczone, porozwalane stanowiska. Weszli w dżunglę o jakieś trzydzieści jardów za daleko w prawo by je zobaczyć. Gdyby nie znaleźli koszuli, a potem bez żadnej przyczyny nie rozciągnęli linii w lewo, mogliby nigdy nie wiedzieć, że tutaj byli.

Pozycja była niewątpliwie japońska. Jasne też było, że została stracona. Mieli tu kiedyś linię wzdłuż skraju dżungli, a ludzie z kompanii C natrafili na nią w miejscu, gdzie skręcała od tego skraju i wiała się dalej w głąb gęstwiny. Była w okropnym stanie. Kopce, garby, rowy i dziury, które kiedyś były schronami, okopami i przedpiersiami, skotłowane wszędzie w zwały surowej ziemi pomiędzy ogromnymi pniami drzew i kępami podszytu, a dalej gubiące się w półmroku wnętrza dżungli. Nad tym wszystkim wisiała zupełna cisza, poza odzywającymi się czasem krzykami ptaków.

W tym nikłym świetle, radzi, że mogą zapomnieć o koszuli, pospieszyli naprzód i zaczęli wlaźć na kopce, aby zobaczyć – z jakimś rodzajem bolesnego, nieomal lubieżnego masochizmu – co już niedługo będą mieli przeciwko sobie. Właśnie za tymi kopcami, które zasłaniały im widok, była masowa mogiła.

Z czubka kopców wystarczył rzut oka na teren, by stwierdzić, że piechota morska oraz, jak o tym świadczyła koszula, elementy amerykańskiej dywizji atakowały czy też kontratakowały tę linię.

Powoli (to było widoczne) i może kilkakrotnie przemierzali ten sam teren, przez który ludzie z kompanii C dopiero co przeszli.

Kikuty młodych drzew, poszarpany podszyt, pościnane pnącza, leje w ziemi wskazywały na natężenie ognia moździerzy i karabinów maszynowych, któremu został poddany obszar przed pozycją. Już nowy porost skutecznie pokrył większość tych śladów i trzeba było ich szukać, ale jednak tam były. Tylko poharatane, posiekane kulami leśne olbrzymy, stojące niewzruszenie niby zakorzenione kolumny, przetrwały bez zabójczych skutków ten nowy rodzaj tropikalnej burzy.

Niczym rój energicznych mrówek, ludzie rozbiegli się grzebiąc tu, zaglądając tam, przypatrując się wszystkiemu. Pamiątki były teraz tym, co ich zaprzętało. Ale chociaż chciwie szukali, nie pozostało prawie nic do znalezienia. Kwatermistrzowskie

**jednostki zbiórki przeczesaly ten teren gęstymi grzebieniami. Ani jeden kawałek ekwipunku, ani jedno pasmo drutu kolczastego, nawet pusta japońska łuska po naboju czy stary but nie pozostały dla takich czyścicieli jak oni. Kiedy z rozczarowaniem przekonali się o tym, jak gdyby za powszechną zgodą przenieśli swoją skupioną, wciąż jeszcze nieco bojaźliwą uwagę na długą masową mogiłę.**

**Tutaj to właśnie opóźniona reakcja emocjonalna na śmiertelną koszulę dopędziła ich w postaci jakiejś rozhukanej junakierii. Prowodyrem był Duży Queen. Mogiła ciągnęła się na długości jakichś czterdziestu jardów przy samym skraju dżungli, tuż za zbitą zasłoną liści. Wykonano ją przez poszerzenie dawnego okopu japońskiego.**

**Albo była bardzo płytka, albo też zwłoki leżały w kilku warstwach, bo tu i ówdzie jeszcze nie przegniłe kawałki czy mniejsze kanciaste części ciała, jak kolana i łokcie, sterczały z luźnej ziemi, którą je zasypano.**

**Najwyraźniej uczyniono to bardziej dla celów sanitarnych niż jakichkolwiek innych. Co było zupełnie zrozumiałe, jeżeli zważyć żrący, brązowozielony odór, który wisiał nad pozycją i powoli się nasilał, im bliżej podchodzili do skraju wykopu. Zanim pogrzebano tych ludzi, musiał on być piekielny. Leżeli tam oczywiście sami Japończycy. Jakiś były przedsiębiorca pogrzebowy po obejrzeniu zielonkawej, na wpół zaciśniętej dłoni, która sterczała przy skraju, orzekł, że zwłoki są sprzed miesiąca.**

**Duży Queen podszedł i przystanął nad tym wykopem, w miejscu, gdzie wystawała z niego ukośnie masywna noga w japońskim mundurze. Już przedtem kilku żołnierzy, w zapale oglądania, trochę nieopatrznie wstąpiło na samą mogiłę jedynie po to, by stwierdzić, że z wolna pogrążają się po kolana w ziemię i trupy. Jak na ludzi, którym nogi się zapadały nie znajdując żadnego solidnego oparcia, powyskakiwali stamtąd ze zdumiewającą zwinnością. Klnąc dziko i cuchnąc silnie, stali się dla innych, którzy pękali ze śmiechu, lekcją poglądową. Wobec tego Queen nie posunął się dalej.**

**Stojąc czubkami swoich bojowych butów dokładnie na krawędzi twardej ziemi, trochę spocony, z dziwnie napiętym, szerokim uśmiechem, który sprawiał, że jego duże zęby przypominały w zielonkawym świetle lśniąca miniaturową klawiaturę fortepianu, Queen obejrzał się wyzywająco na pozostałych. Jego twarz zdawała się mówić, że wycierpiał dosyć osobistych przykrości na jeden dzień, i jak mu Bóg miły, teraz to sobie powetuje.**

**–Wygląda na to, że ten był zdrowy okaz. Na niektórych powinno być coś wartego zabrania do domu – powiedział w charakterze wstępu i pochyliwszy się chwycił obutą nogę i na próbę pokręcił nią kilka razy chcąc się przekonać, czy dobrze się trzyma, po czym pociągnął mocno.**

**Powierzchnia wykopu zadrgała sejsmicznie, a wzdłuż niej poderwały się bzyząc**

wystraszone muchy, aby posiadać z powrotem, gdy się uspokoiło. Wszyscy przypatrywali się temu w późnopopołudniowym świetle dżungli. Queen nadal trzymał nogę. A noga nadal tkwiła w wykopie. Po martwej sekundzie, podczas której nikt nie poruszył się ani nie odetchnął, Queen pociągnął znowu, jeszcze potężniej, i muchy znów się zerwały w panice. Noga ani drgnęła.

Żeby się nie dać zakasować, inny żołnierz, stojący obok byłego przedsiębiorcy pogrzebowego, wystąpił naprzód i chwycił zielonawą, na wpół zaciśniętą dłoń. Był to starszy szeregowiec Hoff z drugiego plutonu, wiejski chłopak ze stanu Indiana. Ujawszy ją tak, jakby wymieniał uścisk dłoni z jej byłym właścicielem, jak gdyby mu życzył szczęśliwej podróży, Hoff drugą ręką złapał za przegub i pociągnął uśmiechając się głupkowato. I w tym przypadku też nic się nie stało.

Jakby uznając te dwie próby za hasło dla siebie, reszta rozproszyła się wzdłuż krawędzi mogiły. Ogarnęło ich jakieś dziwne zuchwalstwo. Pchali albo ciągnęli tę czy inną odsłoniętą część ciała, walili kolbami karabinów w to czy inne japońskie kolano lub łokieć.

Łazili wszędzie bezczelnie. Popadli w dziwny, rabelaisowski nastrój i nieokiełznane rozpasanie, śmieli się przesadnie. Hałaśliwie bezczęścili japońskie zwłoki wśród głośnych śmiechów, a każdy starał się przewyższyć innego w brawurowaniu.

Wtedy to właśnie znaleźli pierwszą pamiątkę, rdzewiejący japoński bagnet z pochwą. Natrafił nań starszy szeregowiec Doll. Czując coś twardego pod stopą schylił się, aby zobaczyć, co to takiego. Gdy znaleziono zakrwawioną koszulę, Doll pozostał spokojnie na uboczu i nie odezwał się ani słowem. Nie uświadamiał sobie dokładnie, jakie to w nim obudziło uczucie, lecz w każdym razie nie było ono przyjemne. Był taki zdeprymowany, że nawet nie zadał sobie trudu szukania razem z innymi pamiątek pośród kopców. Na widok rowu pełnego martwych Japończyków poczuł się jeszcze gorzej, ale uważał, że nie powinien pokazywać tego po sobie, więc przyłączył się do innych, chociaż bez serca i bez ochoty. Znalezienie czystym przypadkiem bagnetu podniosło go trochę na duchu. Po oczyszczeniu i skróceniu byłby z niego lepszy nóż do noszenia za pasem niż ten tani, który miał. Czując się znacznie lepiej, Doll podniósł bagnet w górę, by go pokazać, i obwieścił o swoim znalezisku.

Dalej, po drugiej stronie wykopu, Queen wciąż wpatrywał się uparcie w japońską nogę. W gruncie rzeczy nie miał zamiaru odgrzebywać tej nogi czy ciała na jej drugim końcu. Po prostu się popisywał. Chciał tylko pokazać innym i sobie, że trupy – nawet japońskie, dotknięte Bóg wie jakimi strasznymi orientalnymi chorobami – wcale go nie przerażają. Ale Hoff się wtrącił i próbował go zakasować... A teraz jeszcze ten pęta Doll musiał znaleźć japoński bagnet...

Sprężywszy swój umysł i uchwyt, zaciskając jeszcze silniej szczęki w tym

**klawiaturowym uśmiechu, Queen znowu szarpnął nogę, jak gdyby rzucając jej ostateczne, definitywne, osobiste wyzwanie.**

**A potem, zaciąwszy odsłonięte w uśmiechu zęby, począł ją ciągnąć całą swoją ogromną siłą.**

**Stojąc z daleka od tego wszystkiego, nie biorąc w tym udziału, Bell przypatrywał się jednak z pełną zgrozy fascynacją. Wciąż jeszcze nie mógł się uwolnić od złudzenia, że ma koszmarne sen, że zaraz obudzi się w domu, w łóżku razem z Marty, i wtuli twarz w miękkość jej piersi, by o tym zapomnieć. A potem osunie twarz w dół, by wdychać jej tworzącą życie i życiem pachnącą, kobiecą woń, która go zawsze uspokajała i koła. Jednocześnie wiedział, że się nie obudzi, i jeszcze raz umysł zwiódł go tym niesamowitym, transcendentalnym obrazem Marty będącej gdzieś blisko, patrzącej na to. Jednakże teraz, zamiast go widzieć jak tę nogę w mogile, tak jak przedtem widziała go w owej koszuli, stała gdzieś w tyle obserwując razem z nim tę scenę. „Bydlaki! Bydlaki! Zezwierzęcone bydlaki! – słyszał jej wołanie. – Dlaczego nic nie robisz? Bydlaki! Nie stój tak! Powstrzymaj ich! Czy nie ma już ludzkiej godności? Bydła – a – aki!” Zabrzmiało mu to w głowie, a potem jakoś niesamowicie roztopiło się w wysokim mroku drzew, on zaś stał dalej i patrzył.**

**Duży Queen był teraz w trakcie podejmowania głównego wysiłku. Twarz miał czerwoną jak burak. Grube żyły nabrzmiały mu na szyi pod hełmem. Duże zęby, teraz już całkiem odsłonięte, błyskały biało w jego twarzy. Z gardła dobywał mu się cienki, przeciągły, na wpół dosłyszalny dźwięk, przypominający owe bezgłośnie gwizdki na psy, kiedy wytężał swą siłę do ostatnich granic.**

**Dla Bella było jasne, że noga nie oderwie się od ciała. Dlatego pozostawały tylko dwie możliwości. Bell rozumiał, nie bez pewnej sympatii, że Queen zaangażował się publicznie. Musiał teraz albo wyciągnąć całe zwłoki, albo się przyznać, że nie ma na to dość siły.**

**Urzeczony czymś znacznie ważniejszym od tego, co widział, Bell patrzył znieruchomiały, podczas gdy Queen walczył o wygraną tej narzuconej samemu sobie próby.**

**„Co mógłbym zrobić, Marty? Ty zresztą jesteś kobietą. Chcesz tworzyć życie. Nie rozumiesz mężczyzn”. Nawet w nim samym obudziły się jakieś elementy dumy i nadziei; nie chciał być świadkiem porażki Queena. Choć taki był odrętwiały i pełen obrzydzenia. Jazda, Queen! – zapragnął nagle dziko wykrzyknąć. – Dalej go, chłopcze! Jestem za tobą!**

**Po drugiej stronie rowu Doll zareagował zupełnie inaczej. Całym sercem i duszą, zaciekle, zazdrośnie, mściwie pragnął, by Queen nie wygrał. Jego nowy bagnet zwisał mu w dłoni, zapomniany; Doll wstrzymywał oddech, a mięśnie brzucha**

napinały mu się z wysiłku, by pomóc trupowi oprzeć się sile Queena. Niech go szlag trafi – myślał z zaciśniętymi zębami – niech go szlag trafi. Dobrze, więc jest silniejszy od nas, no to co?

Queen nie dbał o tę czy tamtą reakcję. Patrzył w dół wybałuszonymi oczyma, z obnażonymi zębami i oddychał świszcząco przez nos z wysiłku. Był zaciekle przeświadczony, że noga się rozciąga. Silnie umięśniona, okręcona wełnianymi owijaczami, koślawą i butną nawet w śmierci, zdawała się równie ufna w swoją niedoścignioną – japońską wyższość, jak musiał być za życia jej właściciel. Queen uświadamiał sobie mgliście, że inni przerwali to, co robili, i teraz się przypatrują. Jednakże zużył już całą swoją siłę. W desperacji odwołał się do rezerwy przekraczającej jego możliwości. Nie mógł dać za wygraną teraz, gdy wszyscy go obserwowali. Kiedyś, będąc w oddziale roboczym, dźwignął na plecy całe drzewo ze świeżo odciętego pieńka. Skoncentrował się na tym wspomnieniu. I oto, jakby cudem, noga zaczęła się poruszać.

Powoli, jak we śnie, litościwie pokryte błotem zwłoki wychynęły z mogiły. Było to jakby obłądną, komicznie nieczystą parodią Zmartwychwstania. Najpierw pokazała się reszta nogi, potem druga noga, odrzucona pod groteskowym kątem, następnie tors, wreszcie ramiona i sztywne, rozpostarte ręce, które wyglądały tak, jakby ów człowiek usiłował przytrzymać się ziemi i nie dopuścić, by go z niej wywleczono, a na koniec pokryta błotem głowa. Queen puścił stopę z potężnym sapnięciem, cofnął się – i o mało nie przewrócił. A potem po prostu przystanął spoglądając na swoje dzieło. Głowa w hełmie była tak oblepiona błotem, że nie można było rozróżnić rysów twarzy. Zresztą błoto tak pokrywało całe zwłoki, iż nikt nie mógł rozeznaczyć, czy mają na sobie jakieś oporządzenie poza mundurem.

A Queen nie zdradzał ochoty, by podejść bliżej. Dalej patrzył oddychając ciężko.

–Ano, chyba się pomyliłem – rzekł wreszcie. – Zdaje się, że ten jednak nie ma na sobie nic, co by warto zachować.

Jak gdyby te słowa wyzwoliły ich ze stanu urzeczenia, patrzący wybuchli nagle spontanicznymi, chociaż wątlymi wiwatami na cześć Queena. W górze zatrzepotały ptaki, zapiszczały w panice i odleciały. W przypiływie skromności Queen odpowiedział nieśmiałym uśmiechem pocąc się obficie. Ale nagle nowe zjawisko sparaliżowało zarówno wiwaty, jak wszelkie inne kolejne poczynania. Nowa woń, różna od poprzedniej, zielonkawej, tak jakby pochodziła z innego źródła, wytoczyła się z mogiły od ubłoconych zwłok niczym oleista mgła i jęła się rozprzestrzeniać. Klnąc ze zgrozy, wydając zdumione okrzyki zawodu i konsternacji, ludzie zaczęli się cofać, a w końcu po prostu odwrócili się i uciekli odrzucając swą godność i wszystko inne. Każdy, kto miał nos, zmuszony był do bezładnego odwrotu przed tym odorem.

Bell, umykając razem z innymi i śmiejąc się bezsensownie jak oni, biegł bez tchu.

**Doznawał dziwnego, surrealistycznego wrażenia i stwierdził, że przelatuje mu uparcie przez głowę tytuł nowej popularnej piosenki – „Nie figluj nigdy ze śmiercią”.**

**Przebiegał mu on wciąż od nowa przez myśl pod melodię jakiejś prawdziwej piosenki, której tytułu nie mógł sobie przypomnieć, gdy teraz układał do niej słowa.**

**Nie figluj nigdy ze śmiercią, Bo tylko się uwalasz.**

**Nie igraj ze Żniwiarką, Bo będziesz potem cuchnął.**

**Jeżeli śmierdzisz potem, Pamiętaj zawsze o tym, By się nie bawić z Kostuchą;  
(ewentualny wariant:)**

**Ponieważ... (słabe uderzenie tonu, pauza)**

**Nie powie ci najlepszy druh: Nie figluj nigdy ze śmiercią, Bo wyjdiesz z tego zbrukany.**

**Bell dotarł do okopów razem z innymi, pogwizdując bezgłośnie przez zęby swoją melodyjkę i patrząc tępo przed siebie, a potem się obejrzał. Oblepiony błotem Japończyk nadal leżał sztywno rozpostarty i rozkraczony nad dołem, obok dziury, którą jego przymusowa ekshumacja otworzyła w głąb mogiły tam, w dżunglowym półmroku. Nie opodal Bell ujrzał Dolla, który wciąż trzymał swój pamiątkowy bagnet i także się oglądał z dziwnym, dalekim wyrazem twarzy.**

**Doll usilnie starał się nie wymiotować. To była przyczyna owego dalekiego wejrzenia, które było wyteżoną koncentracją. Czuł nieprzepartą chęć ciągłego przełykania śliny i starał się to opanować.**

**Nie wystarczało powstrzymywać wymioty; gdyby ciągle tak przełykał ślinę, ktoś by to na pewno zauważył, czy wymiotowałby, czy nie. A to było nie do pomyślenia. Nie mógł do tego dopuścić. Zwłaszcza że Queen stał niedaleko od niego.**

**Kiedy Queen cofnął się od wykopu, natrafił obcasem na coś metalowego za sobą. Wezbrała w nim szalona nadzieja, że może znajdzie japoński cekaem albo jakiś podobny przedmiot zagrzebany w błocie. Przekonał się jednak, że jest to ubłocony hełm. Złapał go i wycofał się na wierzch kopców razem z innymi.**

**Jednakże nie miał tam sposobności obejrzeć swego znaleziska.**

**Wprędce stało się jasne, że wierzch fortyfikacji nie jest dostatecznie daleko. Kiedy tam dotarł ostatni z uciekających, odór, jak niewidzialna chmura, napłynął także, tuż za nim. Nie mieli innego wyjścia poza dalszym odwrotem.**

**Nie było sposobu zwalczania tego zapachu. Różnił się od poprzedniego rodzajem,**

gęstością i posmakiem, tak jak tylko mogły różnić się dwa zapachy. Poprzedni był łagodny, zielonkawobrazowej barwy, gorzki, suchy, tylko z lekka nieprzyjemny. Drugi był mokry i żółtobiały. I nie łagodny. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, mogący odejść, nie zostałby na miejscu, aby go wdychać.

Nie wrócili do miejsca, gdzie znaleźli koszulę, lecz podążyli dalej, do skraju. Wszyscy już mieli dość poszukiwań. Przystanęli przy zbitej zasłonie liści, wciąż śmiejąc się bezsensownie i oglądając za siebie jak karnawałowi figlarze, którzy przed chwilą wywrócili budkę ustępu na farmie. Tam Queen nareszcie mógł obejrzeć hełm.

Była to dosyć licha pamiątka. Wszyscy słyszeli, że oficerowie japońscy mają na hełmach złote lub srebrne gwiazdy. Z prawdziwego złota lub prawdziwego srebra. Jeżeli tak było, to ten hełm należał do prostego szeregowca. Gwiazdę miał żelazną – i to z bardzo cienkiego żelaza i paskudnie pogiętą. Z wierzchu był pokryty błotem, natomiast wewnątrz, choć mocno przeпоcony, nadspodziewanie czysty.

Kiedy Queen go oglądał, przyszedł mu do głowy nagły pomysł.

Czuł się dziwnie przygnębiony po wywleczeniu tych nieszczęsnych, cholernych, ubłoconych japońskich zwłok z miejsca ich ostatecznego spoczynku – tak jakby wiedział, że uczynił coś złego i zostanie wykryty i ukarany. To przygnębienie trochę zelżało podczas bezładnej, roześmianej, zdyszanej wędrówki z powrotem do skraju dżungli.

I teraz instynktownie, w sposób, którego nie potrafiłby sformułować, Duży Queen wyczuł, że ma możliwość przewyciężenia go całkowicie. Robiąc coś komicznego, śmiesznego, mógłby okupić swój czyn, a jednocześnie uniknąć przyznania się, że tego potrzebuje. Zdjął własny hełm, nałożył na głowę japoński i przybrał zabawną pozę wypinając swoją potężną pierś i uśmiechając się głupkowato.

Pozostali ryknęli śmiechem. Queen miał za dużą głowę nawet na hełm amerykański, który nosił na niej wysoko, jak kapelusz.

A japoński, przeznaczony dla ludzi drobnych, w ogóle nie wchodził mu na głowę i siedział na samym jej czubku. Pasek nie sięgał Queenowi nawet do nosa, tylko zwiisał mu przed oczami. Zza niego Queen łypnął na kolegów. Zaczął podrygiwać.

Śmiał się nawet Doll. Tylko jeden Bell nie. Uśmiechnął się, parsknął krótko, ale potem twarz mu spoważniała i patrzył przenikliwie na Queena. Na sekundę spojrzeli sobie w oczy. Ale Queen nie chciał odwzajemnić mu spojrzenia, odwrócił wzrok i unikając oczu Bella ciągnął dalej swą farsę dla innych.

Przestało padać, kiedy byli w dżungli. Ale nie wiedzieli o tym.

Woda deszczowa, uwięziona wysoko w górze i opóźniana w swym opadaniu, kapiała



nadal – i miała kapać jeszcze długo potem – tak jakby na zewnątrz ciągle trwał deszcz. Wyszedszy z gąszczu, ze zdumieniem stwierdzili, że niebo jest znowu niebieskie, a powietrze obmyte i czyste. Niemal natychmiast – jak gdyby Storm wypatrywał przez lornetkę ich wynurzenia się z zielonej ściany – gwizdek na posiłek ozwał się czysto i przenikliwie z gaju kokosowego za otwartą przestrzenią. Słyszany tutaj, ten tak swojski dźwięk, nasycony wspomnieniami bezpiecznych wieczorów, dziwnie ścisnął za serce. Wzbił się i opadł w ciszę w tym czystym, popołudniowym powietrzu wyspy, niosącym zapach morza. I wstrząsnął powracającymi z wyprawy. Popatrzyli jeden na drugiego uprzytomniając sobie, że tamci martwi Japończycy naprawdę są martwi. Od wzgórz doleciał odgłos ognia moździerzy i broni małokalibrowej, wyraźny, choć przytłumiony, umacniając jeszcze tę myśl.

Wrócili na biwak mając na przedzie Queena, który podrygiwał w małym nieprzyjacielskim hełmie. Doll wymachiwał swym nowym bagnetem pokazując go to temu, to owemu. Inni szli za nimi, śmieli się i gadali znowu po przeżytych wstrząsach. Teraz niecierpliwie pragnęli opowiedzieć reszcie kompanii o swojej przygodzie, która ją ominęła.

Do rana odgrzebanie przemocą martwego Japończyka przez Dużego Queena zostało dołączone do legend i mitów kompanii, zarówno jak jego własnych.

Tego wieczora, podczas kolacji, C – jak – Charlie otrzymała pierwsze dawki atabryny. Postanowiono nie wydawać jej nowym żołnierzom przed przybyciem na miejsce, z uwagi na liczne przypadki żółtaczki, jakie powodowała. Pigułki przyniesiono w puszkach z batalionowego sanitariatu.

Storm przystąpił do wydzielania ich osobiście, nieporadnie wspomagany przez pierwszego sanitariusza kompanii, do którego obowiązków to w gruncie rzeczy należało. Stanąwszy u czoła kolejki po posiłek, obok pojemnika z wodą”, ażeby ludzie mogli ją pobierać, i mając za sobą stojącego bezradnie potulnego niemrawego sanitariusza w okularach, Storm wydawał żółte pigułki podkpiwując dobrotliwie z każdego, lecz wojowniczo zdeterminowany, że nikt nie uniknie ich zażycia. Jeżeli jakiś cynik odrzucił w tył głowę z wymowną swobodą, a potem opuścił zaciśniętą dłoń, Storm kazał mu ją otworzyć i pokazać, co w niej ma. Tylko nieliczni próbowali oszukiwać za drugim czy trzecim razem. W końcu, zanim dostali gorące jedzenie, każdy poznał mdlący, gorzki smak, od którego wszystkim zbierało się na wymioty.

A jedzenie było istotnie gorące. Przynajmniej tyle udało się zdziałać Stormowi z jego poparzoną, obandażowaną ręką. Miał tylko do podania smażone konserwy mięsne, suszone kartofle i suszone, krajane jabłka na deser. Ale w tej chłodnej wilgoci ludzie byli mu wdzięczni, choć tylko kawa była prawdziwa. Kawa i atabryna.

–Po cholere zadajesz sobie tyle trudu?

Powiedział to zimno wysoki, czarnobrewy Welsh tuż zza łokcia Storma, kiedy ostatni z żołnierzy został zmuszony do zażycia pigułki i poczłapał do tyłu po błocie. Storm nie miał pojęcia, jak długo Welsh tam stał. Podeszedł po cichu i odsunął łokciem potulnego sanitariusza. Storm nie obrócił się ani nie dał zaskoczyć.

–Bo będzie im potrzeba całej pieprzonej pomocy, jaką mogą dostać – odpowiedział równie zimno.

–Będzie im potrzeba dużo więcej – rzekł Welsh.

–Niż pomocy?

–Aha.

–Wiem o tym.

–No, a to gówno? – zapytał Welsh.

–Przynajmniej to coś jest. – Storm spojrział na puszkę z pigułkami i potrząsnął nią. Przeliczył je był starannie, aby mieć pewność, że każdy dostanie swoją. Zostało ich kilka.

Ostatni człowiek z kolejki przystanął i obejrzał się na nich słuchając. Był jednym z poborowych i wytrzeszczył oczy. Welsh zerknął na niego.

–Przechodź, koleś – powiedział. Tamten odszedł. – Wystawia uszy na milę.

–Niektórzy są tacy durni, że w ogóle by nie zażyli, gdybym ich nie zmusił – powiedział Storm.

Welsh spojrział na niego bez wyrazu.

–No to co? Jakby nie zażyli, może dostaliby takiej zaszranej malarii, że odesłano by ich stąd i uratowaliby swoje pieprzone, bezużyteczne życie.

–Tego się jeszcze nie nauczyli – odrzekł Storm. – Ale się nauczą.

–Tylko że my ich wyprzedzimy, nie? Zmusimy ich do zażywania, prawda? Ty i ja. – Welsh nagle wyszczerzył zęby w swym obłąkańczym, złym uśmiechu, a potem równie szybko i raptownie spowaźniał. Nadal wpatrywał się ponuro w Storma.

–Ja nie – rzekł Storm. – Jak robi się tak źle, przekażę to oficerom.

–A co ty jesteś: pierdolony rewolucyjny anarchista? Nie kochasz swojego kraju?

Storm, który był demokratą z Teksasu i wielbił prezydenta Roosevelta prawie tak

samo jak Queen, nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na takie głupie pytanie. Ponieważ zaś Welsh nie powiedział nic więcej, obaj po prostu stali i patrzyli na siebie.

–Ale my dwaj znamy ten sekret, nie? – rzekł Welsh jedwabistym głosem. – Już wiemy, że nie trzeba ich zażywać, prawda?

Storm znowu nie odpowiedział. Zdawało się, że będą tak patrzyli na siebie bez końca.

–Daj mi jedną – powiedział wreszcie Welsh.

Storm wyciągnął do niego puszkę. Nie odrywając oczu od jego twarzy Welsh sięgnął ręką, wziął pigułkę, włożył ją do ust i przełknął na sucho. Dalej wpatrywał się w Storma.

Ażeby nie dać się zakasować, Storm też wziął pigułkę, połknął ją na sucho tak samo jak Welsh i popatrzył na niego. Czuł, jak w gardle rozchodzi mu się jej żółciowy smak, niewiarygodnie gorzki.

Na szczęście, kiedy nauczył się pić whisky, nauczył się także sztuczki polegającej na przyciskaniu języka do podniebienia, aby nie wpuszczać powietrza. Poza tym, zauważywszy, co zrobił przebiegły Welsh, stał kciukiem z pigułki wierzchni chemiczny pył, gdy ją podnosił do ust.

Z wyrazistością godną kamienia Welsh wpatrywał się w niego jeszcze dwadzieścia sekund, widocznie mając nadzieję, że Storm zacznie się dławić. Potem obrócił się na pięcie i odmaszerował.

Jednakże zanim uszedł trzydzieści kroków, wykonał przepisowo w tył zwrot i zawrócił. Wszyscy byli zajęci jedzeniem. Zostali tylko we dwóch.

–Ty wiesz, jak to jest, prawda? Zdajesz sobie sprawę, co się stało, co się dzieje? – Oczy Welsha przesunęły się w zamyśleniu po twarzy Storma. – Nie ma żadnego wyboru. Nie ma już wyboru dla nikogo. I to nie tylko tu, u nas. Wszędzie. I wcale nie będzie lepiej. Ta wojna to dopiero początek. Ty to rozumiesz.

–Uhm – odrzekł Storm.

–To pamiętaj o tym, Storm. Pamiętaj o tym. – Wszystko to było bardzo enigmatyczne. Welsh odwrócił się i znowu odmaszerował.

Storm patrzył za nim. Zrozumiał. Albo przynajmniej tak mu się wydawało. Ale co z tego? Jeżeli rząd powiedział człowiekowi, że ma iść i bić się na wojnie, to musiał iść i koniec. Rząd był silniejszy od niego i mógł go zmusić. To nawet nie była sprawa

obowiązku; musiało się iść. A jeżeli ktoś był właściwym rodzajem człowieka, to sam chciał iść, bez względu na to, jak bardzo w gruncie rzeczy nie miał ochoty. Nie miało to nic wspólnego z wolnością, na miłość boską! No nie? Storm znowu spojrzał na puszkę. Jeszcze czuł niewiarygodnie gorzki smak suchej pigułki i pohamował mdłości.

Zostało dziewięć pigułek, trzy dla jego kucharzy z tej samej zmiany i sześć dla oficerów. Żeby tylko nie musiał tak lać deszcz, cholera jasna – to najważniejsze. Storm trzepnął komara, który mu usiadł na łokciu, chyba pięćdziesiątego w ciągu godziny. Ano, przynajmniej deszcz ustał.

Storm był nastawiony optymistycznie. To, czy deszcz rzeczywiście przestał padać, nie miało większego znaczenia. Może przyjemniej było nie musieć jeść stojąc na deszczu, ale największa szkoda została już wyrządzona. W tym wilgotnym, nasiąkniętym powietrzu przemoczone mundury dopiero zaczynały obsychać na ludziach. Było prawie niepodobieństwem oczyścić karabin w takim błocie. A po kolacji, mając mokre koce i bez mała pozalewane namioty, nie mieli dokąd iść i nie mogli nic zrobić. A potem zapadła noc. W jednej chwili było w kokosowych gajach pełne światło dzienne – co prawda przedwieczorne, ale jednak dzienne – a w następnej zupełna, czarna noc, i wszyscy chodzili po omacku, zaskoczeni tak, jakby nagle oślepli. Wkrótce po tym nowym doświadczeniu przyszło następne. Po raz pierwszy pokosztowali smaku nocnych nalotów.

W momencie, kiedy noc spadła na nich niczym olbrzymia, płaska płyta, kapral Fife siedział w kącie namiotu kancelaryjnego. Usiłował porozkładać swoje akta i ustawić przenośną maszynę do pisania nie umazując ich błotem. Na to wszystko miał tylko jeden mały składany stolik. Zadanie było podwójnie trudne, bo ten, kto zaprojektował ów stolik, nie przewidział, że może być rozstawiany na błotnistym podłożu. Jedna lub druga noga ustawicznie zapadała się z wolna w błoto przechylając blat i grożąc, że wszystko z niego pozlatuje. Kiedy szybkie, raptowne nadejście nocy oślepiło go, zdesperowany Fife dał za wygraną. Po prostu usiadł złożony uwalane dłonie płasko na przechylonym blacie po obu stronach małej maszyny, niczym narzędzia odłożone na półkę. I przez te pięć minut, których było potrzeba, żeby znaleźć i zapalić osłoniętą dla zaciemnienia latarnię, której inni szukali po omacku, Fife nie ruszył się z miejsca. Od czasu do czasu pocierał ubłoconymi czubkami palców ziarniste drewno blatu stolika.

Fife cierpiał na głęboką depresję o nie znanej mu dotąd sile.

Nawet jego powieki zdawała się unieruchamiać ta przytłaczająca świadomość całkowitej bezradności. Wszystkie drobne życiowe draństwa atakowały go masowo, grożąc mu zniszczeniem, i przerażały go, bo nie mógł nic na to poradzić. Nie mógł nawet utrzymać swoich akt w czystości. Był przemoczony i obrzydliwie brudny. Stopy chlupotały mu w mokrych skarpetach, których nie miał odwagi ani energii

zmienić. Jutro pewnie się rozchoruje. Komary roily się dokoła niego w ciemnościach, gryzły go w twarz, szyje i wierzch dłoni. Nawet nie próbował ich spędzać. Po prostu siedział. Chwilowo przestał funkcjonować. Trwał nieruchomo w gęstym mroku, świadomie pograżając się w rozkład jakiejś nieokreślonej, przyszłej śmierci, i najprzykrzejszą myślą była świadomość, że w końcu będzie musiał się ruszyć. Nadal dotykał blatu ubłoconymi czubkami palców.

Niewątpliwie ta depresja Fife'a wynikała częściowo z faktu, że nie poszedł z innymi obejrzeć dżungli, kiedy Doll go namawiał.

Gdyby był poszedł, mogłoby równie łatwo się zdarzyć, że to on znalazłby bagnet, a nie Doll. Ale nie przypuszczał, że będzie to emocjonujące. Fife'owi wydawało się, że zawsze omijają go wszystkie emocjonujące rzeczy po prostu dlatego, że nie potrafi przewidzieć z góry, które nimi będą. Wymówił się, że Welsh może go potrzebować. Nie miał dość ikry i był zbyt leniwy. I tym sposobem nie tylko ominęło go znalezienie bagnetu, ale i zobaczenie niewiarygodnego wyczynu Queena, który od ich powrotu był tematem wszystkich rozmów.

Fife zagadnął swojego starego przyjaciela, Bella, który tam był i to widział, chcąc poznać naprawdę z pierwszej ręki wszystkie wizualne szczegóły. Ale Bell tylko popatrzał na niego tępo, jakby go nie znał, mruknął coś niezrozumiale i odszedł. To zabolalo Fife'a po wszystkim, co swoim zdaniem uczynił dla Bella.

Jednakże pozostali nie mogli rozmawiać o niczym innym. Nawet teraz, zanim noc spadła na nich tak nagle, oficerowie – którzy sterczeli tutaj tak, jakby to był ich klub – dyskutowali o tym między sobą. A kiedy w końcu zapalono i podkrecono osłoniętą latarnię, mówili o tym dalej. Zupełnie tak, jakby w owej chwili ciemności nie przydarzyło się nic strasznego Fife'owi, który wciąż siedział w swym kącie.

– Szlag by cię trafił, Fife! – wrzasnął na niego oburzony Welsh odwracając się od latarni, gdy tylko zapalono światło. – Mówiłem ci, żebyś tu przyszedł i pomógł mi z tą pieprzoną robotą! A ty sobie po prostu tam siedzisz! Zbieraj dupę i bierz się do roboty!

– Tak jest, panie sierżancie – odrzekł Fife. Jego głos był całkowicie bezbarwny. Ani się nie poruszył, ani nie podniósł wzroku.

Z drugiej strony namiotu Welsh posłał mu nagle, ostre spojrzenie. Przeniknęło ono przez dym tytoniowy i wznowiony hałas rozmów, prosto do jego twarzy. Fife czuł to nawet nie patrząc. Usiłował przygotować się na tyradę. Ale, rzecz osobliwa, Welsh bez słowa odwrócił się na powrót do latarni. Fife dalej siedział czując dlań wdzięczność, ale zbyt odrętwiały w swojej – jak mu się wydawało, ubłoconej – duszy, ażeby myśleć, i tylko słuchał oficerów dyskutujących na temat Dużego Queena i jego wyczynu.

**Nie musiały docierać do jego umysłu słowa, które wypowiadali.**

**Wystarczało obserwować ich twarze i słuchać tonu głosów. Wszyscy bez wyjątku śmieli się z wyraźnym zakłopotaniem, kiedy o tym mówili. Wszyscy bez wyjątku byli dumni z Queena – ale nie mogli być z niego dumni z tą samą hałaśliwą, cyniczną uciechą co żołnierze, toteż w ich przychylniej wesołości pobrzmiwała lekka nuta wstydu. Ale byli dumni. Kapral Queen powinien niedługo dostać sierżanta, tylko patrzeć – myślał z roztargnieniem Fife. Ano, nie szkodzi. Jeżeli ktoś na to zasługiwał, to Duży Queen. I właśnie wtedy, gdzieś daleko wśród nocy, w długich nawach gajów palmowych, odezwały się swym żalobnym, natarczywym wyciem klaksony.**

**Panika i nieokreślony strach chwyciły Fife'a i zerwał się na oślep od zbiornika z wodą. Zanim dopadł do wyjścia z namiotu, ta panika przemieniła się w normalny niepokój i chorobliwą ciekawość zobaczenia, co będzie. Kiedy oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że nie jest sam przy klapach namiotu. Wszyscy inni zrobili to samo i znalazł się w ciżbie.**

**–Czekajcie! – wrzasnął za nimi Welsh. – Czekajcie, cholera jasna! Czekajcie, aż zgaszę tę pieprzoną latarnię!**

**Ten, który stał przed Fife'em – Fife nigdy się nie dowiedział, kto to był – zawahał się przy linkach, jakby ogarnięty ogromnym niezdecydowaniem. A potem namiot pogrążył się w czerń. Przed Fife'em ludzie przepychali się i klęli. Wreszcie wszyscy, zarówno oficerowie jak żołnierze, wypadli na zewnątrz przez otwarte klapy, pod rozwieszonym kocem, w pogodną, świeżą, usianą gwiazdami noc. W ścisku pociągnęli za sobą Fife'a. Nie mógłby zostać w namiocie, choćby chciał. Każdy spoglądał w niebo.**

**Nie byli sami. Wszyscy z kompanii C także powychodzili z najróżniejszych miejsc, w których schronili się, by rozgrzać swoje zziębnięte, zmoczone ciała. Kazano im kopać rowy przeciwodławkowe, ale faktycznie w całej kompanii zrobiono tylko sześć dołów – wszystkie sześć dla oficerów – które wykopali odkomenderowani żołnierze. Stali teraz w błocie, w bezładnym, rozrzuconym tłumie między trzema dużymi namiotami obok rzędów mniejszych, mówili mało i wyciągali szyje ku niebu usiłując coś dojrzeć. Cokolwiek.**

**Tym, co zobaczyli, były dwie czy trzy wiązki promień reflektorów, które niemrawo obmacywały niebo nic nie znajdując, i od czasu do czasu pojedynczy, szybki błysk wybuchającego pocisku przeciwlotniczego.**

**Słyszeli znacznie więcej, niż widzieli. Ale to, co słyszeli, nie mówiło im dokładnie nic. Były więc klaksony, które przez cały czas nalotu ciągnęły swój długi, monotony, obłądny, dudniący protest.**

Były maszynowe, następujące szybko po sobie huki dział przeciwlotniczych różnego kalibru, pompujących swoje bezużyteczne pociski w nocne niebo. I wreszcie był terkotliwy, cienki dźwięk silnika czy silników wysoko – w ciemnościach. Nie można było rozeznąć po odgłosie, czy jest to jeden samolot, czy kilka.

Każdy usiłował – bez większego powodzenia – ukryć swoją nerwowość. Był to „Żółtek Pralka” albo „Węsząca Wesz”, jak go też nazywano mniej dowcipnie. Wszyscy oczywiście o nim słyszeli – tym pojedynczym samolocie, który co noc dokonywał jednego nękającego nalotu i został tak przezwany przez dzielnych amerykańskich żołnierzy. Tę informację podawano we wszystkich komunikatach. I rzeczywiście ze względu na wielką wysokość odgłos ów przypominał terkotanie staroświeckiej, dychawicznej pralki Maytag.

Ale to przezwisko okazało się powszechne; stosowano je bez różnicy do wszystkich nalotów tego typu, bez względu na liczbę samolotów czy ataków danej nocy. Komunikaty miały tendencję do bagatelizowania tej sprawy. W każdym razie było znacznie zabawniej czytać w nich o „Żółtku Pralce” niż dyskutować o nim tutaj, gdy stali wpatrując się w obce, tropikalne konstelacje na nocnym niebie, nasłuchując w oczekiwaniu i z roztargnieniem odpędzając hordy rozżartych komarów.

Wreszcie doleciał ten prawie niedosłyszalny odgłos jakby westchnienia, który ich serca zapamiętały tego rana. Instynktownie pochylili się jak łan na wietrze, ale nikt nie padł na ziemię. Ich uszy nauczyły się rozeznawać, że jeszcze jest zbyt daleko, a ziemia była błotnista. Z oddali, zza gajów w stronie lotniska, doleciały głuchoe wybuchy, zbliżające się powoli wielkimi, gigantycznymi krokami. Naliczyli dwie serie po pięć i jedną serię czterech (być może z niewypałem). Jeżeli „Żółtek Pralka” był pojedynczym samolotem, to musiał być duży. W ciszy, która potem zaległa, śmieszne działa przeciwlotnicze nadal twardo pompowały w niebo jeszcze przez kilka minut swoje komiczne pociski. A potem klaksony wzdłuż całej linii rozpoczęły krótkie, smutne, szczekliwe czkanie, które sygnalizowało odwołanie alarmu.

Ludzie z kompanii C zaczęli się śmiać, parskać i walić jeden drugiego po plecach. W długich nawach palm kokosowych klaksony dalej czekały krótko, maniakalnie. Oficerowie zarówno jak żołnierze jakby winszowali sobie wzajemnie, że zakończyli nalot. Trwało to prawie minutę, po czym oficerowie przypomnieli sobie o swojej godności i odeszli na bok. Klaksony umilkły. W obydwu grupach trwały jeszcze przez kilka minut śmiechy i poklepywanie się po plecach. Wreszcie i to ustało, i krokiem niepewnym ze względu na ciemności pobrnęli zakłopotani z powrotem do swoich schronień mając nadzieję, że żadni prawdziwi weterani nie widzieli tej ich gwałtownej reakcji, po czym znowu zaczęli próbować się zabezpieczyć od chłodu i wilgoci.

Tak spędzili noc. Nikt nie spał. Do rana nastąpiło jeszcze pięć nalotów i jeśli „Żółtek Pralka” był pojedynczym człowiekiem, to z pewnością musiał być energiczny. A także nie mógł zasnąć. Podobnie jak kompania C. Podczas któregoś nalotu ostatnia bomba

**z ostatniej serii spadła o sto jardów przed nimi, uszkodziła stanowisko artylerii przeciwlotniczej i zabiła dwóch ludzi – wszystko oczywiście zupełnym przypadkiem. Było to dostatecznie blisko (ten potężny, ogłuszający, bezosobowy furkot, spadający jak pociąg ekspresowy), by rzucić wszystkich na ziemię, znowu przemoczyć i ubłocić, a następnego rana znaleziono w ścianie namiotu zaopatrzeniowego dwa rozdarcia na wysokości piersi. Wszyscy zastanawiali się nad faktem, że gdyby w tej serii była jeszcze jedna bomba, mogłaby wylądować bardzo blisko środka ich biwaku. Rano, kiedy wyszli na ciepłe, ożywcze, bezpieczne słońce i popatrzeni na swoje obrośnięte, umazane błotem twarze, z których nadal spoglądały ludzkie oczy, stwierdzili, że widzą ludzi odmienionych.**

**W ciągu dwóch następnych tygodni zmienili się jeszcze bardziej.**

**Te dwa tygodnie, określane jako „okres aklimatyzacji” przez plany dywizyjne i wydział szkoleniowy, ułożyły się w szczególny, dwojaki rytm. Z jednej strony były gorące słoneczne dni, stosunkowo bezpieczne, a z drugiej noce wypełnione wilgotnym chłodem, chmarami komarów, klaksonami i grozą. I jedno nie miało z drugim naprawdę nic wspólnego, ani żadnej ciągłości. Za dnia było dużo śmiechów i żartów na temat strachu, bo w świetle słońca noce nie wydawały się wiarygodne. Ale kiedy przychodził zmierzch, ten szybki, fiołkowy zmierzch tropikalny, ludzie, przygotowując się na noc, odsuwali od siebie wszystko to, co wydarzyło się w ciągu dnia, aby powrócić do tego dopiero rano. Dnie mogła wypełniać praca czy próżnowanie, czy może trochę ćwiczeń. Noce były zawsze takie same.**

**Co dzień wszyscy kąpali się w pobliskim strumieniu, którego oficjalna nazwa, jak się dowiedzieli, brzmiała Potok Gavaga. Co wieczór golili się używając wody z tego potoku, nagrzewanej w hełmach nad małymi ogniskami. Za dnia robili nadal wycieczki do dżungli oraz do miejsca wyczynu Queena. Szybko butwiejący Japończyk wciąż leżał na wierzchu wykopu. Ta pozycja, którą odkryli w dżungli, była miejscem ostatniej fazy bitwy na Przylądku Koli.**

**Duże siły japońskie zostały tam otoczone i zniszczone i można było rozeznaczyć całą linię obwodową umocnień japońskich, biegnących przez dżunglę i poza nią wzdłuż Potoku Gavaga. To właśnie robili.**

**Nie miało to wpływu na noce. Były także wycieczki do innych interesujących miejsc. Chodzili na plażę, na sam Przylądek Koli, do dużego domu kierownika plantacji, teraz podziurawionego granatami i opustoszałego. Parę grup, w różne dni, zapuściło się nawet aż do odległego o kilka mil lotniska, dokąd podwoziły je ciężarówki kursujące po roztopianych drogach przez nie kończące się gaje kokosowe. Na lotnisku w gorącym, leniwym słońcu startowały i lądowały bombowce. Obnażeni do pasa mechanicy pracowali w cieniu palm kokosowych. Wracając zostali też podwiezieni. A wszędzie, gdzie się udali czy popatrzyli, zarówno jadąc w tamtą stronę, jak i wracając, wzdłuż całej trasy ciężarówki, ludzie układali ogromne stosy zaopatrzenia**



na nadchodzącą ofensywę. Ofensywę, w której, jak pamiętali, sami mieli wziąć udział. Wszystko to nie wpływało jednak na noc.

Po nocy cudownie było siedzieć i ogrzać się w gorącym, tropikalnym słońcu. Odmładzało ono i odświeżało przynosząc swym ciepłem i światłem codzienny powrót do normalności. Lekki powiew zawsze szeleścił liśćmi palm. Rzuciły na ziemię nakrapiany, rozchwiany cień. A z ziemi wstawała z ciepłą, wilgotną, przemożną siłą cuchnąca woń tropikalnego błota.

Nie wszystko jednak było zabawą. Prawie co dzień przyływały nowe statki wyładowując żołnierzy i zaopatrzenie. Do pomocy przy wyładunku kierowano pododdziały w sile plutonu, dowodzone przez własnych sierżantów.~ Była to ta sama praca, którą z respektem obserwowali w dniu swego przybycia, i oswoili się z nią, tak jak i ze sporadycznymi nalotami dziennymi. W dni, kiedy nie przychodziły statki, te same oddziały były potrzebne do pomocy przy przewożeniu zaopatrzenia z plaży do wielkich składów w gajach. Co rano mieli godzinę intensywnej gimnastyki, śmiesznej dla każdego, ale wymaganej przez rozkaz dywizji. Wykonali kilka małych, próbnych marszów ćwiczebnych, niewiele się różniących od przechadzki. Jeden dzień spędzili w całości na zaimprovizowanej strzelnicy sprawdzając i przestrzeliwując broń. Żadna z tych rzeczy nie miała wpływu na noc.

Nic nie miało wpływu na noc.

Zawsze było tak samo. Najpierw kolacja. Potem jakieś dodatkowe pół godziny spokoju. Następnie przychodził zmierzch, a oni siedzieli i przypatrywali się bezradnie, nie mogąc temu zapobiec. A potem robiła się noc. Rano drugiego dnia wszyscy pokopali rowy przeciwodłamkowe bez żadnych dalszych rozkazów czy przynagleń.

Sypiali teraz gotowi wskakiwać do nich z coraz większą sprawnością, czy były mokre, czy nie, gdy tylko zabrzmiał klakson. Poderwać się jeszcze nie całkiem obudzeni i wywikłać z siatki przeciwmoskitowej (przede wszystkim nigdy nie śpiąc w pełni, tylko na wpół).

A potem pobrnąć po omacku do tego dołu za namiotem. Leżeć tam, drętwi i otępiali, zdenerwowani, wystraszeni, jako cel dla milionów komarów, jeżeli nie dla bomb. A potem odnaleźć w ciemnościach drogę z powrotem do namiotu i usiłować to wyśmiać, chociaż w rzeczywistości czuli się speszeni. Takie były noce. Nie było to heroiczne. Po prostu pozbawione godności. Z każdą nocą nabierali coraz bardziej i bardziej wyglądu podejrzliwych, posępnych kotów.

Patrzyli spode łba, a oczy ich piekły. W końcu robił się dzień i znowu powracali do zwykłego życia.

To dziwne, szizofreniczne życie, ta odrębność nocy i dni jeszcze się wzmogły, kiedy im rozkazano przenieść biwak. Trzy dni strawili na odszukiwaniu zagubionych namiotów, łóżek polowych i siatek przeciwmoskitowych, czwarty na ich rozstawianiu, a korzystali z nich tylko dwa dni. Potem musieli się przenieść i robić wszystko od nowa, co było ciężkim zadaniem, obejmującym długą jazdę ciężarówkami, borykanie się z brezentem, ponowne kopanie rowów.

Utrudniał to jeszcze bardziej fakt, że każdego dnia co najmniej jeden, a zwykle dwa plutony przebywały na plaży. Prawdopodobnie po to, żeby były bliżej miejsca wyładunku i łatwiej osiągalne do roboty.

Ale tego nie wiedzieli, bo nikt im nie mówił. Jacyś eksperci od logistyki opracowali sobie to wszystko na wykresie. Rezultat był taki, iż umieszczono ich znacznie bliżej lotniska, toteż zamiast jednej bomby spadającej czasem w pobliżu, znaleźli się w samym środku walki i bomby przeciwpiechotne, nazywane fachowo „kosiarkami”, wybuchały co noc wszędzie dokoła nich. I chociaż takie przesunięcie z takiej przyczyny mogło mieć z pewnego punktu widzenia swoją komiczną, zabawną stronę, w kompanii C – jak – Charlie nie śmiano się z niego zbytnio.

Na dawnym biwaku miało się pewien element decyzji. Człowiek mógł zadać sobie pytanie, czy iść do rowu, czy nie iść, być dzielnym i zostać w łóżku. Na ogół odpowiedź bywała twierdząca. Większość szła. Ale przynajmniej możliwe było niezdecydowanie. Na nowym biwaku taki wybór nie istniał. Człowiek wychodził i kładł się w swoim dole. I był zadowolony.

Rzecz dziwna, tylko jeden żołnierz został ranny. Mieli wyraźne wrażenie, że powinno ich być dużo więcej. I tak też było w innych sąsiednich jednostkach. Jedynym rannym w kompanii C był starszy szeregowiec Marl, prostak i ubogi farmer z Nebraski. Wysoki, cały sękaty od pracy, poborowy, który nie chciał opuścić farmy ojca, nigdy zbytnio nie lubił wojska. Odlamek „kosiarki” gwizdnął do jego dołu, gdy Marl tam leżał podczas nalotu, i odciął mu prawą dłoń tak gładko jak chirurg nożem. Kiedy Marl ryknął, dwaj ludzie, którzy znajdowali się w pobliżu, wskoczyli do jego dołu i założyli mu turnikiet, dopóki nie zdołał tam przybiec sanitariusz. Bomba spadła o trzydzieści jardów i potem gigantyczne kroki przemaszerowały już dalej.

W ten sposób Marl został pierwszym rannym w kompanii. Był to jego pech. Potraktowano go z tą samą wezbraną, wzorową czułością co tamtych rannych na plaży, ale to mu się tak samo nie podobało jak im. Zrobiono dla niego wszystko, co tylko możliwe, ale Marl popadł w histerię i zaczął chlipać. Nigdy nie będąc bystrym, ani rusz nie mógł wbić sobie do głowy, że mimo wszystko będzie mógł pracować.

–I co ja teraz zrobię? – zawołał z rozdrażnieniem do tych, którzy się nim opiekowali. – Jak będę pracował, co? Jak będę orał, co? O to mi idzie. Co teraz zrobię?

**Sierżant Welsh próbował go uspokoić mówiąc, że teraz ma wszystko za sobą, że może jechać do domu, ale Marl nie chciał tego słuchać.**

**–Zabierzcie to! – krzyknął. – Zabierzcie stąd tę cholere! Nie chcę na nią patrzeć, szlag by to trafił! To jest moja ręka!**

**Rękę zabrał jeden z dwóch kompanijnych sanitariuszy, który powinien był mieć zaprawę do tego rodzaju pracy, ale w rzeczywistości jeszcze jej nie miał, toteż przystanął za drzewem, żeby wymiotować. Ponieważ nikt nie wiedział, co z nią zrobić, a wszyscy uważali, że należy jej się jakiś szacunek, została później zakopana przez Storma za namiotem kantyny, pod kłosem drzewnym. Ale to, że ją zabrano, bynajmniej nie pomogło Marlowi w jego nieszczęściu. Nie dawał się ułagodzić opisami, jakie cudowne protezy robią w dzisiejszych czasach.**

**–Szlag by to trafił, wam łatwo mówić! – krzyczał. – Ale jak ja będę pracował?**

**–Możecie chodzić? – zapytał sanitariusz.**

**–Pewnie, że mogę, cholera jasna. Tak, kurwa, chodzić mogę.**

**Ale jak będę pracował, co? O to idzie.**

**Odprowadzono go w ciemnościach na batalionowy punkt sanitarny i kompania C – jak – Charlie nie zobaczyła go więcej.**

**Wzmoczone bombardowanie oddziaływało na różnych ludzi w różny sposób. Na przykład Fife odkrył, że jest tchórzem. Zawsze uważał, że będzie równie dzielny jak inni, jeżeli nie trochę bardziej.**

**Po dwóch nalotach zdał sobie sprawę ze zdumieniem i zgrozą, że nie tylko nie jest dzielniejszy, ale wręcz mniej dzielny. Było to przykre odkrycie, ale nie miał sposobu go uniknąć. Kiedy śmiał się i żartował po nalocie, było dla niego jasne, że jego śmiech jest mniej szczery niż innych. Na przykład Dolla. Bez wątpienia nie trzęśli się i nie dygotali w swych dołach tak jak on; nie kulili się bez żadnej godności w błocie. Bez wątpienia byli tylko spietrani, gdy tymczasem on był przerażony i dałby wszystko, co posiadał na świecie – czy wszystko, czego nie posiadał, jeśliby tylko zdołał dostać to w swoje ręce – żeby tu nie być i nie bronić swojego kraju. Cholera z krajem. Niech kto inny go broni. Tak szczerze czuł Fife.**

**Nigdy by nie uwierzył, że może zareagować w ten sposób, i wstydział się tego. Wpływało to na jego sposób widzenia wszystkiego w życiu – samego siebie, światła słońca, błękitnego nieba, drzew, drapaczy chmur, dziewczyn. Nic nie było piękne. Chęć znalezienia się gdzie indziej ustawicznie przeplęwała mu w górę i w dół po plecach lekkimi skurczami mięśni, nawet za dnia. Jeszcze gorsza była świadomość, że to gwałtowne, zaciekle mrowienie nie daje mu nic, że niczego nie zmienia, na nic**

nie wpływa. Straszne było musieć przyznać, że jest się tchórzem. To oznaczało, że będzie zmuszony pracować usilniej niż inni nad tym, żeby nie uciekać. Ciężko będzie z tym żyć i wiedział, że powinien trzymać język za zębami i starać się to ukryć.

Natomiast starszy szeregowiec Doll – ten któremu Fife zazdrościł – odkrył w sobie dwie dobre rzeczy, i obie sprawiły mu przyjemność. Pierwszą z nich było to, że jest nienaruszalny. Doll podejrzewał, że tak jest, ale nie chciał zaufać swojej intuicji, dopóki tego nie sprawdził bez cienia wątpliwości. Dwukrotnie – raz owej nocy, kiedy Marl stracił rękę, a Doll był niedaleko – zmusił się do powstania w swym dole, kiedy usłyszał spadające bomby.

Mięśnie pleców drgały mu tak, jakby usiłowały zrzucić jeźdźca, ale i w tym też była łechcząca jądra, podniecająca przyjemność.

Obydwa razy wyszedł nietknięty, aczkolwiek za pierwszym Marl oberwał blisko niego. Doll uważał, że jest to dowód. I że dwa razy wystarczą, by udowodnić to, co pragnął wiedzieć. Zwłaszcza że za drugim nalotem bomby spadły jeszcze bliżej niż te, co trafiły Marla.

Po obu nalotach Doll osunął się w swoim dole, tryumfujący, choć wyczerpany, z dziwnie drżącymi kolanami, i nie powstał więcej niż dwukrotnie, bo za dużo go to kosztowało. Ale był rad, że dowiódł swego.

Doll stwierdził także, iż potrafi każdego przekonać, że się nie bał. Wszystko zaś wywodziło się z tego, czego nauczył się podczas bójk z kapralem Jenksem. Odgrywało się własną fikcyjną historię i wszyscy ją akceptowali. Toteż mógł śmiać – się i żartować z nalotów udając, że, owszem, miał pietra, ale nie był naprawdę przerażony.

I nie miało znaczenia, czy było to prawdą. Doll prawie równie ucieszył się z tego odkrycia, jak z udowodnienia, że jest nienaruszalny.

Trzecim rodzajem była reakcja sierżanta Welsha. Welsh także coś odkrył. Po wszystkich latach zastanawiania się nad tym Welsh odkrył, że jest człowiekiem mężnym. Rozumował w następujący sposób: każdy, kto może być tak przerażony podczas nalotów jak on, i ani nie pada na ziemię i nie umiera, ani po prostu nie wstaje i nie odchodzi na zawsze – taki człowiek musi być mężny, i taki był on. Welsh był rad właśnie dlatego, że zastanawiał się nad tym, i kiedy poświęcił się w imię własności Stanów Zjednoczonych i świata, pragnął móc czynić to z sardonycznym uśmiechem. I teraz czuł, że to potrafi.

Były też inne reakcje. W istocie tyle rozmaitych reakcji, ilu było ludzi pod świszczącymi bombami. Jednakże choć tak różnorodne, wszystkie łączył jeden stały element: każdy pragnął, żeby te nocne naloty się skończyły. Ale się nie kończyły.

W ciągu tych dwóch tygodni mieli jedną noc odprężenia. Dowództwo pułku, funkcjonujące znowu jako jednostka po podzieleniu na eszelony przed załadowaniem na transportowce, otworzyło kantinę. Kompania C dowiedziała się o tym dzięki lojalności swojego głównego kancelisty (sierżanta; Fife był tylko jego podwładnym), Włocha z Bostonu nazwiskiem Dranno (oczywiście przezywanego powszechnie Dranio), który stacjonując z wydziałem personalnym wiedział o tym i przyszedł im powiedzieć. Cały asortyment tej nowej kantyny składał się z dwóch rzeczy: kremu do golenia Barbasol i płynu po goleniu Aqua Velva. Jednakże ta wiadomość wystarczyła, by spowodować run na sklep. W ciągu siedmiu godzin wykupiono cały zapas Aqua Velva, natomiast Barbasolu zostało pod dostatkiem dla tych, co by go chcieli. Kłopot polegał na tym, że inni kanceliści byli równie lojalni wobec swoich jednostek jak Dranio wobec kompanii C. Mimo to członkowie kompanii zdołali nabyć dostateczną ilość butelek Aqua Velva, by każdy mógł się solidnie upić na jedną noc.

Zmieszana z puszkowanym sokiem grejpfrutowym z kuchennego zapasu Storma, nie miała ona wcale smaku płynu po goleniu. Sok grejpfrutowy zabijał cały perfumowany zapach. Wychodził z tego drink dość podobny do „Toma Collinsa”. Wszyscy byli nim zachwyceni. W paru przypadkach ludzie podczas nalotu powskakiwali do cudzych dołów. Kilku skręciło sobie kostki i nadgarstki. A był też jeden przykry incydent, kiedy pijany żołnierz dał przez pomyłkę nura do latryny, gdy się rozległy klaksony. Ale przynajmniej przez jedną noc, tę jedną wspaniałą, pamiętną noc, mieli ulgę od rozpryskujących się „kosiarek”. Wielu przespało wszystkie naloty. A tych, którzy nie spali, guzik to obchodziło – naloty czy co innego – i walili do swoich dołów ze śmiechem i wesołością.

Tymczasem życie za dnia toczyło się dalej. W dwa dni po owym ochlaju Aqua Velva przydarzyła się kompanii C najważniejsza rzecz od czasu jej przybycia. Było nią odkrycie w namiocie niedaleko lotniska składu pistoletów maszynowych Thompsona, na który nasłali ekipę, by je ukradła. Tryumf ten zawdzięczali w dużej mierze Charliemu Dale'owi, wojowniczemu drugiemu kucharzowi Storma, który nie tylko znalazł pistolety, ale jeżeli nawet nie zorganizował tego skoku, to w każdym razie agitował do niego i był jego duszą.

Dale nigdy nie lubił roboty w kuchni. Wynikało to w dużej mierze z konieczności pracowania u Storma, którego Dale uważał za nazbyt władczego. Mógł ciężko harować na swojej zmianie w kuchni, i był z tego znany, a także potajemnie dumny, ale działało się tak tylko dlatego, że nie można było pracować inaczej. Natomiast Storm – Storm miał zwyczaj żądać od swoich ludzi natychmiastowego, ślepego posłuszeństwa, co zdawało się wskazywać, że nie ufa nie tylko ich umiejętnościom, ale nawet ich pobudkom, ich dobrej wierze. Dale miał mu to za złe. Poza tym już od dłuższego czasu wyczuwał, że Storm z jakiegoś powodu go nie lubi. Dwukrotnie pominął go przy awansie na pierwszego kucharza. Obydwa razy Dale powinien był dostać tę funkcję. A jednak Storm nie powiedział mu ani słowa. I tego też Dale mu nie wybaczył.

Podobnie jak – wielu innych Charlie Dale wstąpił do wojska po dwóch latach pracy w ochronie lasów, zaciągawszy się, gdy tylko skończył lat osiemnaście. Nie gotował tam – ani nigdzie indziej – poza usmażeniem sobie od czasu do czasu kilku jajek. Przeszedł do kuchni Storma odsłużywszy sześć miesięcy jako strzelec, bo podczas zwykłej służby – wbrew swoim oczekiwaniom – czuł się zagubiony w tłumie i masie odzianych w mundury, nijakich ludzi.

Gdyby odszedł z kuchni, utraciłby swoją klasyfikację i autorytet i musiałby tam wrócić. A Dale nie miał zamiaru czuć się znów zagubiony. Pozostał w kuchni. Ale nie musiał tego lubić.

Ponieważ nie lubił kuchni, a na Guadalcanale kucharze byli naturalnie zwolnieni od pracy przy wyładunku, Dale zaczął samotnie chodzić na poszukiwania, kiedy miał wolny czas. Właśnie podczas takiej wycieczki pewnego upalnego, cichego popołudnia, kiedy wędrował wzdłuż skraju omiatanego pyłem lotniska w usypiającym słońcu wiecznego lata, natrafił na ów namiot pełen pistoletów.

Dale z początku nie wiedział, co w nim jest, ale uderzył go fakt, że namiot stał na osobności. O jakieś trzydzieści jardów, między palmami kokosowymi, był opuszczony biwak, gnuśniejący w słonecznym żarze. Sam namiot miał wszystkie klapy opuszczone i zasznutowane. Ale nie był zamknięty; jak można zamknąć namiot?

Zaciekawiony Dale ściągnął pętlę z jednego z pali i wśliznął się do środka. W namiocie było duszno i gorąco i w tym przyćmionym, dziwnie przyjemnym, rozleniwiającym świetle słońca świecącego przez płótno wypełniały wnętrza szeregi stojaków z pistoletami jak rzędy ławek w kościele. W jednym z tych rzędów siedmioma wiernymi były pistolety maszynowe Thompsona. Ołtarzem w głębi było podwyższenie, na którym leżały bębny i magazynki z amunicją kalibru 45 oraz brezentowe torby do nich. Zarówno magazynki, jak torby nosiły pieczęcie korpusu piechoty morskiej.

Resztę tej kongregacji stanowiły springfieldy 30 oraz kilka nowych karabinów tego samego kalibru, które dotarły do kompani C dopiero niedawno. Wszystkie trwały w modlitewnym skupieniu wśród gorącego półmroku, podczas gdy Dale się w nie wpatrywał.

Bliższe oględziny ujawniły, że na ich mechanizmach nie ma śladów zużycia. Wszystkie były nowiuteńkie. Jednakże oczyszczono je ze smaru i stały gotowe do natychmiastowego użytku. W namiocie, tak samo jak na zewnątrz, panowała upalna cisza, niczym na niedzielnym zebraniu religijnym.

Dale nie posiadał się z radości. Oto było marzenie każdego starego żołnierza o kradzieży doskonałej. Za dobre, żeby było prawdziwe. I to jeszcze od piechoty

**morskiej! Jeden oczywiście dla niego.**

**Ale co z pozostałymi sześcioma? A te karabiny? Z chciwością i żalem Dale zdał sobie sprawę, że żadną miarą nie mógłby wytaszczyć nawet wszystkich thompsonów. Nie mówiąc już o amunicji do nich.**

**A szkoda by to zmarnować.**

**Poza tym była jeszcze inna sprawa. Gdyby wziął tylko jeden – dla siebie – i trochę amunicji, to co by z tym zrobił? Gdyby pokazał pistolet w kompanii, groziłoby mu, że zostanie skonfiskowany. I wtedy właśnie przyszła mu do głowy myśl, żeby teraz nic nie brać, tylko wrócić tu całą grupą. Mając dość ludzi można by nawet zabrać kilka tych ślicznych karabinów.**

**Gdyby udało się zainteresować jakichś oficerów na tyle, żeby też przyszli wziąć coś dla siebie, nie ośmieliliby się skonfiskować mu pistoletu. Jednocześnie podniosłoby to bardzo reputację człowieka, który znalazł pistolety i wpadł na ten pomysł – a mianowicie Dale'a. Jego. Moją. Jednym z oficerów mógł być młody porucznik Culp z plutonu broni ciężkiej, eks – piłkarz z Dartmouth, który zawsze żartował i śmiał się z żołnierzami. Albo może trzeba by pójść do Welsha. Welsh zawsze byłby chętny do czegoś takiego.**

**W każdym razie Dale nie miał zamiaru nic mówić temu draniowi Stormowi; jeżeli Storm chce mieć thompsona, niech sam go sobie znajdzie.**

**Obmyśliwszy wszystko ku swemu zadowoleniu, Dale wylazł z namiotu i starannie założył z powrotem pętlę na palik. Nie mógł się oprzeć myśli, że zostawia okazję zbyt dobrą, by ją wypuścić z rąk.**

**Może mają tu posterunki, tylko wartownik akurat gdzieś się zadekował i śpi. Mogą więc przyjść i zastać namiot strzeżony, niedostępny. A Dale tak bardzo chciał mieć jeden z tych tomiganów, że aż go ręce świerzbiły. Zwłaszcza że Storm zapowiedział publicznie, iż idzie do linii ze swoją jednostką i zabierze wszystkich kucharzy, którzy zechcą pójść. Ano, kiedy tak postawi sprawę, kto się ośmieli przyznać, że nie chce iść? Na pewno nie Dale. Chociaż na myśl o tym ścisnęło go w żołądku.**

**Postawszy chwilę głęboko zamyślony w upale słonecznego popołudnia, z dłonią spoczywającą na nagrzanym szwie namiotu, Dale zdjął pętlę, dał nura do środka i wybrał sobie jednego z thompsonów. Niosąc go oraz tyle bębnów i magazynków, ile zdołał upchać w dwie brezentowe torby, wylazł na zewnątrz, założył pętlę z powrotem i odszedł między palmy kokosowe. Zmierzał ku biwakowi.**

**Kilku ludzi, których napotkał, popatrzało na niego, lecz najwyraźniej nie uznało jego ekwipunku za dziwny, chociaż niósł także swój karabin. Nie wszedł na biwak, tylko skręcił w stronę dżungli, tam gdzie podchodziła najbliższej do terenu kompanii. W**

dżungli ukrył nowy pistolet, poszedł na biwak po koszulę, wrócił i zawinął w nią starannie pistolet, po czym go schował razem z amunicją pod wysokimi korzeniami jednego z gigantycznych drzew. Dopiero wtedy wkroczył na biwak pogwizdując niewinnie, z rękami w kieszeniach, aby poszukać Welsha lub Culpa.

Znalazł Culpa. Twarz porucznika, szeroka, mięsista, z perkatym nosem, rozjaśniła się radosnym, pożądlivym uśmiechem, kiedy Dale swym chrapliwym, wojowniczym głosem opowiedział mu o znalezisku.

–Ile ich tam jest?

–Siedem. To znaczy sześć.

–Sześć thompsonów – Culp napawał się tym chwilę, po czym gwizdnął cicho. – I powiadacie, że tyle bębnów i magazynków, ile zdołamy unieść? – Przerwał i jakby oblizał się na te myśli. – To będzie wymagało namysłu i zaplanowania. Tak. Tak jest! Namysłu i zaplanowania. – Culp zatarł swoje ręce futbolisty. – Wystarczyłoby trzech ludzi, gdyby szło tylko o pistolety. Ale z amunicją... Będziemy potrzebowali tej amunicji, Dale – powiedział kiwając głową. – Będziemy jej potrzebowali. Każdego naboju i każdego magazynka, jaki się uda dostać. Bo czy możecie sobie wyobrazić, żebym poszedł do dowództwa pułku i poprosił o wydanie amunicji do sześciu thompsonów, których nie powinniśmy mieć? Tak jest! Niech się chwilę namyślę – powiedział, ale nie milczał dłużej niż sekundę. – Obawiam się, że będziemy musieli zwrócić się z tym do kapitana Steina. Tak, chyba trzeba iść do kapitana Steina.

–A on na to pójdzie? – zapytał Dale. Popatrzał na Culpa zimno swymi zwężonymi oczyma, osadzonymi w płaskiej twarzy.

Wcale mu się nie podobał pomysł wciągnięcia w to Cioty Steina.

–Jeżeli dostanie z tego jeden dla siebie? – odparł Culp z przemyślnym uśmiechem. – Nie widzę powodu, żeby się nie zgodził. Ja bym tak zrobił, to pewne. A wy nie?

–Taki mam zamiar – odrzekł Dale sucho.

Culp kiwnął głową, lecz z roztargnieniem i jakimś dalekim, zachłannym wyrazem oczu.

–Tak jest. Tak jest. A zresztą wykryłby to od razu, jakby zobaczył nas paradyjących tutaj z tymi tomiganami, i wtedy co?

Tak, Dale, gdybym miał coś do powiedzenia w tej sprawie, dostalibyście pierwszy na tej wojnie medal w naszej kompanii. Potrzeba nam więcej takich ludzi jak wy.

Dale uśmiechnął się z zadowoleniem. Ale nie podobał mu się jego pomysł.



**–No, a gdyby tak zamiast niego wciągnąć w to sierżanta Welsha?**

**–Jego też. A jakże. Ale musimy powiedzieć kapitanowi Steinowi. Nic się nie martwcie. On na to pójdzie. Zostawcie to mnie.**

**Ja się o wszystko zatroszczę. – Oparł swe wielkie dłonie o kolana i podniósł się. – Chodźcie, Dale. Mamy sporo do zrobienia. Jak myślicie? Ja uważam, że jutro w połowie popołudnia O tej samej porze, kiedy tam byliście, rozumiecie? Noc jest zbyt niebezpieczna, mogliby nas postrzelić. A wieczór też niedobry, bo wtedy wszyscy z jednostki wracają na kolację.**

**Już ruszył w stronę namiotu kancelaryjnego, a Dale mając o wiele krótsze nogi, musiał nieomal biec, by mu dotrzymać kroku.**

**W końcu zebrali siedmiu ludzi. Dale nie potrafił dokładnie powiedzieć, ile tam jest amunicji – tylko że cała masa. Culp chciał mieć pewność, że zabiorą wszystko. Okazało się, że nawet, gdyby wzięli dziewięciu czy dziesięciu, jeszcze by nie zdołali przenieść jej całej.**

**Możliwe, że Stein odmówiłby zezwolenia, gdyby nie hałaśliwy entuzjazm Culpa. Stein bez wątpienia nie bardzo się palił do tego pomysłu. Ale nie można było powstrzymać Culpa. Culp zrobił wszystko, włącznie z przekonaniem Steina. Pomyślał nawet o wypożyczeniu dla nich pistoletów, żeby nie musieli nieść karabinów i dzięki temu zabrać więcej łupów. Wymachiwał po całym namiocie kancelaryjnym swymi masywnymi rękami jak skrzydłami wiatraka. Dale stał pod ścianką w milczeniu, z płaską twarzą starannie ułożoną w maskę, i pozwalał im gadać.**

**Culp i Welsh dobrali sobie ekipę. Naturalnie członkostwo w niej nie wychodziło zbyt daleko poza klub. Dale był jedynym poniżej stopnia sierżanta. I wyczuwał, że nie zaprosiliby go gdyby mogli znaleźć jakieś przyzwoite wyjście. Natomiast to Welsh, a nie Culp, zaproponował, żeby wziąć Storma.**

**Dale był wściekły. Nie śmiał jednak powiedzieć im, że poszedł do Culpa i Welsha przede wszystkim dlatego, by nie dopuścić Storma. Nadal stał w milczeniu pod ścianką namiotu, będąc świadkiem, jak diabli biorą połowę jego własnych powodów do zrobienia tego skoku. Storm, kiedy go wezwano, nic nie powiedział. Ale obrzucił swego drugiego kucharza spojrzeniem, które wskazywało, że zrozumiał. I Dale wiedział, że Storm nieprędko mu przebaczy.**

**Mieli więc ekipę. Należeli do niej Culp, Welsh, Storm, Dale, MacTac, młody sierżant z zaopatrzenia, i dwóch sierżantów z plutonu; jeden oficer, pięciu sierżantów i Dale.**

**Niewiele brakowało, żeby było sześciu sierżantów i Dale. Stein – nawet kiedy pozwolił na ten skok i zgodził się przyjąć jeden z thompsonów – wciąż nie uważał, że powinien zezwolić iść oficerowi. Co będzie, jeżeli ich przyłapią? Jak by to wyglądało**

w batalionie? A w pułku? Oficer kierujący zorganizowanym skokiem w celu ukradzenia broni? Z drugiej znów strony Stein miał przed sobą przykład, jak przypuszczalnie postąpiłby podczas pierwszej wojny jego ojciec, major. Była to trudna decyzja i długo trwało, nim Stein ją powziął.

Steina także denerwowały i rozstrajały naloty. Nie wiedział, czy będąc oficerem i dowódcą powinien zostać na otwartym powietrzu, czy schować się do dołu, jak wszyscy inni. Było to ciągłym zmaganiem się z sobą, każdej nocy i za każdym nalotem. Heroicznie było przechadzać się gardząc osłoną, tak jak robili oficerowie za czasów Napoleona. I potrafiłby to czynić. Ale na tej wojnie rozsądek nakazywał dbać o siebie i chronić to, co własny rząd w nas zainwestował, a nie dać się zabić bez sensu podczas jakiegoś ataku lotniczego. Za każdym nalotem Stein musiał podejmować mozolnie decyzję, zanim w końcu poszedł do swego dołu, i tak samo było teraz z tą decyzją.

W końcu pozwolił Culpowi iść. Culp był doprawdy diabelnie nieposkromiony. Ale ostatecznie o całej sprawie przesądził ojciec Steina, major, i jego przykład. Stein pamiętał opowiadania ojca o podobnych kradzieżach, których dokonywali we Francji. To wytworzyło mu w myśli pewien obraz, zgodnie z którym mógł teraz postąpić. Nie chciał wyglądać na starą pannę, na ponuraka, który psu je całą zabawę nadmierną rozważą. Culpowi, który był młody i nie obciążony żadną odpowiedzialnością, łatwo było pokrzykiwać i entuzjastycznie wymachiwać rękami. Culp nie musiał kierować tą kompanią i odpowiadać za nią. Kiedy Stein patrzył na Culpa, zdawał sobie sprawę z ceny, jaką nieświadomie zapłacił za dowodzenie kompanią, którego kiedyś tak bardzo pragnął. Szorstko, w sposób, który, jak mniemał, skutecznie ukrywał jego smutne, deprymujące poczucie własnego wieku, wyraził zgodę.

– Jest tylko jedna rzecz – powiedział. – Ja oficjalnie nic o tym nie wiem. Za to, co robicie bez mojej wiedzy, nie jestem odpowiedzialny. Jeżeli pójdziecie, to na własną rękę.

Uważał, że jest to dosyć zręcznie sformułowane, mocne przedstawienie własnego stanowiska. Uważał, że powiedział to śmiało i dobrze, i był z tego zadowolony. Ale tę przyjemność przekreślała myśl, która go uderzyła, kiedy przypomniał sobie, że już niedługo będzie prowadził tych nieokiełzanych ludzi do walki – walki, w której część ich na pewno zginie, być może z nim samym włącznie.

Ale po Culpie Stein postawił kropkę. Żaden z innych oficerów nie miał iść. Był to stanowczy rozkaz kapitana i trzem pozostałym młodym dowódcom plutonów wydłużyły się twarze. Wszyscy mieli ochotę wziąć udział w wyprawie.

Jedynym oficerem, który nie chciał iść, był George Band, jego zastępca – niemniej jednak miał chętkę na pistolet maszynowy i dostał go.

**Porucznikowi Bandowi nie odpowiadał i nie podobał się sposób załatwienia przez jego przełożonego całej sprawy wypadu po broń.**

**Band był wysokim, przygarbionym, wychudzonym nauczycielem szkolnym, absolwentem szkoły oficerskiej, którego kręgosłupa nie wyprostowała musztra, i miał dziwne, wylupiane oczy, które wyglądały tak, jakby wymagały okularów, i rzeczywiście tak było.**

**Ale Band uważał, że zna się na wojsku. Jeżeli ktoś ma dowodzić kompanią, to on musi nią dowodzić. Po prostu nie może sprawiać wrażenia, że pozwala podwładnym zachwiać jego decyzją. Tylko unikając tego, czy choćby nawet takich pozorów, można naprawdę dowodzić. A tylko przez dowodzenie można pobudzić i wzmocnić ten bliski, zespalający stosunek prawdziwego koleżeństwa, który powinien łączyć dusze ludzi dzielących ze sobą trudy i grozę walki i który jest jej największą ludzką wartością. Każde inne postępowanie prowadzi do rozczłonkowania, a nie jedności. A właśnie owa jedność jest tym, co różni ludzi od rozmaitych zwierząt tego świata.**

**Dla Banda istniała jakaś tajemna, najgłębsza, najbardziej męska przyjaźń między ludźmi, którzy dzielą ze sobą cierpienia i śmierć, lęk i smutek walki – a także jej radość. Bo była również i radość.**

**Radość z czynienia wszystkiego, na co człowieka stać, radość z walczenia u boku przyjaciela. Band nie wiedział, skąd się bierze ta silna, męska przyjaźń ani co ją właściwie powoduje, ale wiedział, że istnieje, i bywały chwile, kiedy czuł się bliżej związany z ludźmi ze swojej jednostki niż kiedykolwiek z własną żoną.**

**Ale Band rozumiał, że tej bliskości nie można osiągnąć tak, jak tego próbował Stein: popuszczając ludziom wodzy i pozwalając, by robili, co chcą. Należało dać im poznać, gdzie jest ich miejsce. Należało jasno ustalić, co im wolno, a czego nie wolno. Ludzie pragną to wiedzieć. Jeżeli Stein chciał, żeby Culp poszedł, powinien był od razu tak powiedzieć, a nie dać się do tego namówić – albo powinien był sprzeciwić się i nie ustąpić. A także osadzić tego bezczelnego Welsha i podporządkować go sobie, co należało zrobić już dawno.**

**Jednakże Band nic z tego wszystkiego nie powiedział. Nie było jego sprawą się wtrącać – szczególnie w obecności sierżantów i młodszych oficerów. Jedyną rzeczą, jaką wyrzekł na głos, była skromnie wymamrotana prośba o jeden z pistoletów – przy czym wiedział, że Stein mu go da, gdy tylko o to poprosi. I tak też się stało.**

**Po zagarnięciu dwóch thompsonów przez czynniki dowódcze pozostawały cztery. Postanowiono przydzielić je z góry, aby uniknąć sporów później Culp oczywiście dostał pistolet. Dale'owi, który nadal milczał roztropnie i nie napomknął o pistolecie ukrytym w lesie, przyznano też jeden, jako znalazcy. A Welsh i Storm, następnymi w kolejności stopni, otrzymali dwa pozostałe. MacTac, ów młody sierżant z**

zaopatrzenia, w ogóle nie chciał thompsona, ponieważ nie miał iść do linii razem z kompanią; wybierał się na tę wyprawę jedynie dla zabawy. Dwaj sierżanci, szefowie plutonów, musieli zadowolić się karabinami, ale i tak byli radzi, że mają możliwość pójścia.

Wszystko to postanowiono tego południa, kiedy miał odbyć się wypad, a siedmiu jego uczestników stało w podnieceniu przy namiocie kancelaryjnym, z wypożyczonymi pistoletami, na krótko przed wyruszeniem.

Dale nie wspomniał o siódmym thompsonie dlatego, że nie całkiem wierzył w pomyślnie dokonanie wypadu. Wiedziony swą chłopską nieufnością do władzy, obawiał się, że jego thompson może znaleźć się w posiadaniu Steina czy Banda: jeszcze zanim rozpoczną akcję – w którym to przypadku, gdyby się nie powiodła byłyby pokrzywdzony. Po udanym dokonaniu wypadu wyciągnął pistolet z kryjówki niespiesznie i spokojnie, udając naiwne rozbawienie tą swoją nieuczciwością – i w ten sposób podnosząc ją do poziomu żartu, tak że wszyscy zmuszeni byli się roześmiać. Ten dodatkowy, nie przewidziany pistolet przypadł w udziale sierżantowi MacTac, który zmienił zdanie i zdecydował, że kiedy nadejdzie czas, on też wyruszy zobaczyć, jak wygląda walka, tak jak to mieli uczynić Storm oraz wszyscy kucharze.

Czas ten nadszedł znacznie prędzej, niż ktokolwiek spodziewał się czy przewidywał.

Odgłos ognia moździerzy i broni na wzgórzach stawał się z każdym dniem coraz donośniejszy, dudniąc coraz gniewniej. Stopniowo wzrastała liczba i szybkość małych jeepów, które uwijały się po błotnistych drogach wioząc wyższych oficerów z mapnikami. Tyle widziała kompania C – jak – Charlie. A jednak kiedy w końcu przyszedł rozkaz wymarszu, wszyscy byli zdumieni i zaskoczeni. Częściowo oczywiście dlatego, że jakoś nigdy nie wierzyli całkowicie, że ten czas nadejdzie, że ta chwila nastąpi. Rozkaz wymarszu, rzekłbyś, zwałił się na nich nagle i grzmiało, odbijając się echem w ich uszach niby eksplozja w jaskini.

Kapral Fife siedział w słońcu na pojemniku z wodą przed namiotem kancelaryjnym, kiedy z warkotem zajechał kompanijnym jeepem Ciota Stein ze swoim kierowcą oraz mapnikiem na kolanach. Zanim wyskoczyli z wozu, Fife poznał po wyrazie ich twarzy, co przyjechali oznajmić. Zdał sobie wtedy sprawę, że głuchy łomot, który słyszał, nie jest jednak eksplozją w jaskini, tylko powolnym waleniem serca tkwiącego pod jego mechanizmem przelykowym. Niechęć i zarazem wyczekiwanie ciągnęły go podniecająco w dwóch kierunkach. Obawiał się, że gdyby to podniecenie stało się odrobinę silniejsze, mogłoby przemienić się w jawny strach, być może nie do opanowania.

Zaledwie przed kilku dniami Fife pozostawał na uboczu podczas narad na temat wypadu po pistolety. Tego dotąd nie darował Welshowi. Tak bardzo chciał dostać jeden z nich i pójść na ów wypad, że ilekroć o tym myślał, twarz wykrzywiała mu się

w maskę gargulca.

Złamał nawet daną sobie uroczyście obietnicę, że nigdy o nic nie poprosi Welsha. Poprosił go z miejsca. Ma się rozumieć w spokojnej chwili, kiedy nie było nikogo w pobliżu. Nie prosił nawet o pistolet. Chciał jedynie też pójść. Poępny sierżant tylko popatrzał na niego – popatrzał z udanym zdumieniem, a jego czarne oczy zapłonęły morderczo.

–Chłopcze – powiedział. – Chcę mieć książkę chorych z tymi trzema nowymi przypadkami malarii za pięć minut. Dokładnie.

To było wszystko. Fife pomyślał, że nie zapomni tego wstydu do końca życia. Nie przypuszczał, żeby nawet straszliwe wymogi walki mogły zatrzeć to piętno. Na myśl o tym wciąż jeszcze przechodziły mu ciarki po skórze.

W ciągu tych dwóch dni, kiedy kompanii zdarzyło się coś tak ważnego jak wypad po pistolety, mniej ważna rzecz spotkała Fife'a. Odwiedził go drugi jego przyjaciel – to znaczy drugi licząc Bella, też jego przyjaciela. Aczkolwiek ostatnio Fife był prawie gotowy dać za wygraną i przestał zaliczać Bella. Tym drugim przyjacielem był niejaki Witt, którego przeniesiono z kompanii na dwa miesiące przed jej wyruszeniem za morze.

Ten Witt był niskim, chudym chłopakiem z Kentucky, od dawna służącym w wojsku zawodowo i eks – bokserem pułkowym. W kompanii C był od kilku lat. Jego przeniesienie stało się dla Fife'a lekcją poglądową, interesującym studium na temat sposobu funkcjonowania wojska.

Na krótko zanim żołnierze zostali wepchnięci w coś, co się oficjalnie nazywało Końcową Fazą Szkolenia, utworzono w pułku nową kompanię. Istniejąca zrazu na papierze, jako dyrektywa z Departamentu Wojny, i wymyślona z przyczyn w znacznej mierze technicznych i nie interesujących nikogo poza badaczami taktyki, ta nowa jednostka otrzymała nazwę Kompanii Działowej. Była już Kompania Przeciwpancerna. Ale poza używaniem swoich dział nowego typu przeciwko broni pancernej Kompania Działowa mogła podnosić ich lufy jak artyleria i miała stanowić małą siłę artyleryjską w ramach pułku, zdolna do szybkiego kładzenia ciężkiego ognia na cele rozmiarów plutonu albo kompanii.

Wspaniale wykoncypowana na papierze i istniejąca tylko na papierze, Kompania Działowa potrzebowała jednak ludzi, aby się stać czymś realnym. Dokonano tego wewnątrz pułku w drodze procesu, który można by nazwać „odsiewaniem plew”. Fife obserwował, jak to się odbywało. Dowództwo pułku rozesłało okólnik nakazujący każdemu dowódcy kompanii dostarczenie pewnej liczby ludzi. Dowódcy zastosowali się do tego i najgorsi pijacy, najgorsi pederaci, najgorsi awanturnicy zebrali się pod jednym dachem, aby utworzyć Kompanię Działową. Z kolei komendę nad nią

**powierzono oficerowi, którego dowódca pułku lubił najmniej. Witt był jednym z ludzi dostarczonych przez C – jak – Charlie.**

**Witt, chociaż pijak (jak większość), nie był jednym z najgorszych pijaków ani pederastą. Można by go może luźno zaklasyfikować jako awanturnika – ponieważ parokrotnie bywał degradowany, a dwa razy dostał twierdzą z wyroku doraźnego sądu wojskowego. To wszystko czyniło go w oczach Fife'a czymś w rodzaju romantycznego bohatera (choć nie dorównującego Bellowi), natomiast nie budziło sympatii Steina ani Welsha. Ale Witt nie był kimś – wyjątkowym, gdyż inni ludzie, których nie wysłano do Kompanii Działowej, mieli podobną przeszłość. Kłopot z Wittem polegał na tym, że zyskał sobie osobistą wrogość Welsha odszczekując mu, ponieważ go nie lubił. Welsh nie lubił go także. W istocie jeden uważał drugiego za skończonego, obrzydliwego drania, bez żadnych ulg czy zastrzeżeń.**

**Aczkolwiek Witt nie chciał prosić o pozostawienie go w kompanii, był bardzo niezadowolony z przeniesienia. Wszyscy jego kumple służyli w C – jak – Charlie i cieszył się z posiadanej tam opinii. Jego zdaniem każdemu było wiadomo, że uwielbia swoją kompanie, i przeniesienie go przez Welsha, który też o tym wiedział, dowodziło, że słusznie czuł dlań pogardę, a to jeszcze bardziej uniemożliwiało mu prośbę o pozostawienie w kompanii. Toteż dał się przenieść w milczeniu, razem z kilkoma prawdziwymi pijakami i dwoma pederastami. A teraz zjawiał się w odwiedzin.**

**Kompania Działowa wraz z innymi elementami pułku przybyła prawie o miesiąc później, z pierwszym rzutem dywizji. Miała o wiele więcej czasu na „aklimatyzację” i Witt teraz chorował na malarię. Wyglądał mizernie, a jego skóra miała żółtawy odcień. Nigdy nie był gruby, teraz zaś schudł jeszcze bardziej. Wciąż wyczekiwał wiadomości o swojej dawnej kompanii, a ilekroć przybywał transport wojska, usiłował ją odnaleźć. Musiał powtórzyć to ze dwadzieścia razy. W końcu się doczekał. Pracował na plaży tego dnia, kiedy kompania przybyła, ale rozminął się z nią, ponieważ był na drugim końcu, gdzie rozładowywał inny statek. Wyruszył więc na poszukiwania. Było to trudniejsze, niż się wydawało. Wreszcie, po uporczywych wypytywaniach, znalazł kogoś, kto wiedział, gdzie biwakują – jedynie po to, by stwierdzić (wymknąwszy się bez przepustki i dokonawszy długiego marszu w głąb wyspy), że się przenieśli gdzie indziej. Musiał więc zacząć wszystko od nowa. Ten wyczyn świadczył o upartej cierpliwości Witta. Była to zaleta. Fife żałował, że sam nie ma jej w większym stopniu.**

**Fife uradował się na jego widok, zwłaszcza z uwagi na osłabienie w ostatnich czasach jego przyjaźni z Bellem. Poza tym Fife nie był nieświadom faktu, że Witt – z odmiennych przyczyn – podziwia go tak jak on Witta. Fife podziwiał go i heroizował za wszystkie męskie, twarde, wspaniałe cechy, natomiast Witt potajemnie podziwiał Fife'a za jego wykształcenie. Fife bynajmniej nie gardził tym pochlebnym stosunkiem.**

**Tak się złożyło, że Witt zjawiał się tego właśnie popołudnia, kiedy urządzili wypad po**

pistolety. Na krótko przedtem Fife stał i patrzył, jak siedmiu uczestników wyprawy odchodzi bez niego. Być może miało to jakiś związek z tym, co później wydarzyło się między nim a Wittem. Tak czy owak w pół godziny po odejściu ekipy, które kwaśno obserwował, wyszedł na dwór, aby odsapnąć, i usłyszał, że woła go jakiś człowiek stojący w pewnym oddaleniu obok namiotu zaopatrzeniowego, oparty o palmę kokosową. Był to Witt, który postanowił nie zbliżać się do namiotu kancelaryjnego, gdzie mógł być jego arcywrog Welsh, tylko czekać, aż pokaże się jego przyjaciel. Fife nie mógł z daleka rozpoznać, kto to taki.

Podszedł do niego.

–Jak Boga kocham, Witt! Jak się masz! O rany, miło cię widzieć! – zawołał, gdy tylko go poznał i podbiegł uściskać mu rękę.

Witt uśmiechnął się w milczeniu, nie bez pewnego tryumfu. Ale wyglądał na zmęczonego i steranego.

–Cześć, Fife!

Dla Fife'a, na tej parszywej, nawiedzanej przez choroby i śmierć, przerażającej wyspie, było to jak odnalezienie z dawna zagubionego brata. Witt pozwolił Fife'owi potrząsać jego ręką i walić po plecach, przez cały czas się uśmiechając. Potem odeszli i zasiedli w pewnej odległości na pniu zwalonej palmy kokosowej.

Witt przede wszystkim wypytywał o kompanię i o to, kiedy idzie do linii. Widział się już z Dużym Queenem, z Goochem, swoim najbliższym kumplem, ze Stormem (ten zrobił mu kilka gorących sandwichów zamiast obiadu, który go ominął) oraz z kilkoma innymi dawnymi znajomkami. Ale chociaż był rad, że ich zobaczył, nikt nie potrafił powiedzieć mu czegokolwiek o kompanii. Pomyślał więc, że robi to Fife. Chociaż poza tym naturalnie cieszył się, że go widzi, rzecz jasna. Czekał już ponad pół godziny i byłby odszedł nie zobaczywszy go, – Ale czyś ty nie wywiął bez przepustki?

Witt wzruszył ramionami i błysnął swym nieśmiałym, choć dumnym uśmiechem.

–Nic mi nie zrobią. W takiej zaszrannej jednostce.

–Ale dlaczegoś od razu nie wszedł do mnie?

Twarz Witta stężała, tak jakby ktoś wymodelował jego rysy w szybko wiążącym się cemencie, który schnął w oczach Fife'a.

Jego spojrzenie stało się dziwnie płaskie i zabójcze, kiedy popatrzał na przyjaciela.

–Nie będę chodził tam, gdzie jest ten pieprzony, żaloszny skurwysyn.

Fife poczuł chłód w krzyżach. Było w Witcie coś dziwnie węzowego w pewnych momentach, tak jak teraz; przypominał zwiniętego grzechotnika, który jest gotów uderzyć, pewien, że tak trzeba, i choć wiedziony tylko instynktem – czy może właśnie dlatego – jest całkowicie o tym przekonany w swoim maleńkim umyśle.

Wiadomo, że nie ma co się z nim spierać. Poza tym Fife – ponieważ Witt wpatrywał się w niego – nie mógł oprzeć się myśli, iż Witt czuje się osobiście znieważony jego sugestią, że mógłby zechcieć pójść tam, gdzie był Welsh. Fife poczuł się nieswojo.

–No tak – powiedział. Poprawił się na pniu. – Wiesz co, ja myślę, że on trochę się zmienił. Od naszego przyjazdu tutaj.

–W gruncie rzeczy sam w to nie wierzył.

–Ten skurwysyn nigdy się nie zmieni. Pod żadnym względem – stwierdził Witt.

Fife przypuszczał, że ma rację. Zresztą nigdy nie potrafił dyskutować z twierdzeniami.

–Ano, coś ci powiem. To już nie będzie ta sama kompania – wyjaśnił. – Jak tam pójdziemy bez ciebie. Po prostu nie będzie i koniec. Chciałbym, żebyś poszedł z nami. – Pokręcił się na pniu. – I chyba dlatego to powiedziałem. – Bez większego przekonania próbował zażartować. – No, jak tam strzeleckie oko?

Witt był znakomitym strzelcem. Zignorował ten komplement.

–Fife, mówię ci, jak pomyślę, że nasza stara kompania pójdzie beze mnie na tych Japońców, to mi się serce ściska. Naprawdę. – Je – go oczy przybrały znowu swój zwykły wyraz i pochylił się w przód, aby pomówić poważnie. – Służyłem w tej kompanii... ile to będzie? – cztery lata. Wiesz, co dla niej czuję. Każdy wie. To moja kompania. To nie jest w porządku. Nie jest. Kto wie, ilu gości, ilu moich starych kumpli mógłbym uratować, gdybym tam był. Moje miejsce jest w kompanii, stary... – Nagle opadł na pień, głos mu posmutniał, twarz się zasępiła. – I nie wiem, co można poradzić. Faktycznie nie mogę zrobić ni cholery.

–Ano – odezwał się Fife ostrożnie – myślę, że gdybyś poszedł do Steina i powiedział mu, co czujesz, załatwiłby ci przeniesienie z powrotem. Stary wie, jaki z ciebie dobry żołnierz. Co do tego nigdy nie było kwestii. A w tej chwili ma ciepły, serdeczny stosunek do kompanii, no bo wiesz, ma ją prowadzić do boju i w ogóle.

Witt znowu pochylił się w przód, słuchał pilnie, z ciepłym i nieśmiałym wyrazem oczu. Ale kiedy Fife przerwał, Witt wyprostował się i jego twarz znowu stwardniała.

–Tego nie mogę zrobić – powiedział.



**–Dlaczego?**

**–Bo nie mogę. Sam wiesz.**

**–Naprawdę myślę, że przyjąłby cię z powrotem – zaryzykował ostrożnie Fife.**

**Twarz Witta pociemniała, a w jego oczach mignęły nie wyładowane błyskawice.**

**–Przyjąłby mnie z powrotem! Przyjąłby mnie z powrotem! Nie powinni byli mnie puścić! To ich wina, nie moja! – Burza minęła przechodząc do wewnątrz. Ale pozostała chmura, posępna i ciemna. – Nie, tego nie mogę zrobić. Nie pójdę ich prosić.**

**Fife był teraz rozdrażniony, a także czuł się nieswojo. Witt zawsze budził takie uczucie, choć oczywiście nie zamierzone.**

**–Ano... – zaczął Fife. Witt przerwał mu.**

**–Ale chcę, żebyś wiedział, jak bardzo doceniam to, że próbujesz mi pomóc. – Uśmiechnął się ciepło.**

**–Aha.**

**–Naprawdę – powiedział Witt z naciskiem.**

**–Wiem, że tak. – Zawsze istniała ta obawa przed sprzeciwianiem się Wittowi, bo mógł wpaść we wściekłość. – Miałem cię o jedno zapytać. Bardzo chcesz wrócić do kompanii?**

**–Sam wiesz, jak bardzo, stary.**

**–No więc jedyny sposób to iść do Steina i poprosić go.**

**–Wiesz, że nie mogę tego zrobić.**

**–Cholera jasna! – krzyknął Fife. – Tylko w ten sposób możesz wrócić! I musisz zdać sobie z tego sprawę!**

**–To w takim razie nie wrócę! – odkrzyknął Witt.**

**Fife miał tego dosyć. Przecież Widział go po raz pierwszy od miesiący. Nie mógł też przestać myśleć o swojej rozmowie z Welshem i o siedmiu odchodzących uczestnikach wypadu. Ale główną przyczyną było po prostu ogólne rozdrażnienie.**

**–No to chyba będziesz musiał pozostać poza kompanią, nie? – zapytał sucho, prowokacyjnie.**

**–Chyba tak – odrzekł Witt ponuro.**

**Fife spojrział na niego. Witt nie patrzył nań, tylko wpatrywał się posępnie w ziemię. Osowiały, zaciskał kolejno jeden knykciec po drugim.**

**–Mówię ci, że to jest nieuczciwe – powiedział podnosząc wzrok.**

**–Nieuczciwe, jakkolwiek by na to spojrzeć. To nie jest sprawiedliwość. To trawestacja sprawiedliwości.**

**–Trawestacja – poprawił go Fife. Wiedział, jak Witt uważa na to, co mówi. Był bardzo uczulony na punkcie swego słownictwa, bo sam się go wyuczył rozwiązując krzyżówki. – Tra – wes – ta – cja – powtórzył tak, jakby pouczał dziecko.**

**–Co? – Witt spojrział na niego z niedowierzaniem. Dalej rozmyślał o swojej martyrologii.**

**–Powiedziałem, że to się wymawia tra – wes – tac – ja. – Przynajmniej miał atut w zanadrzu. Wiedział, że Witt go nie uderzy. Witt nie uderzyłby przyjaciela bez uprzedniego ostrzeżenia. Było to sprzeczne z jego cholernym, durnym, kentuckyńskim kodeksem postępowania.**

**O ile jednak Fife nie przewidywał uderzenia, to zdumiał się reakcją, jaką wywołał.**

**Witt wpatrywał się weń tak, jakby go nigdy dotąd nie widział.**

**Burzowa chmura z błyskami groźących wyładowań elektrycznych powróciła na jego twarz.**

**–Zjeżdżaj! – warknął.**

**Teraz z kolei Fife zapytał: – Co?**

**–Powiedziałem: zjeżdżaj! Wynoś się! Spieprzaj! Zabieraj się stąd!**

**–A gówno. Mam takie samo prawo tu być jak ty – powiedział Fife, wciąż zaskoczony.**

**Witt ani drgnął. Ale było to jeszcze bardziej złowieszcze, niż gdyby coś zrobił. Na twarzy zapłonęła mu spokojna morderczość.**

**–Fife, jeszcze nigdy w życiu nie uderzyłem przyjaciela. Bez uczciwego ostrzeżenia, że przestał być przyjacielem. I nie chcę teraz zaczynać. Ale to zrobię. Jeżeli zaraz stąd nie odejdziesz, skuję cię na miazgę.**

**Fife spróbował zaprotestować.**

**–Co to za gadanie, do cholery? Co ja takiego zrobiłem, u diabła?**

**–Po prostu idź sobie. Nic nie mów. Już nie jesteśmy przyjaciółmi.**

**Nie chcę z tobą gadać, nie chcę cię widzieć. Jeżeli teraz spróbujesz po tym odezwać się do mnie, zleję cię. Bez słowa.**

**Fife wstał z pnia, wciąż jeszcze zaskoczony i oszołomiony, wciąż zagubiony.**

**–Ale, na rany boskie, ja tylko żartowałem. Ja tylko...**

**–Zjeżdżaj!**

**–Okej, pójdę. Nie mam żadnych szans w walce z tobą i dobrze o tym wiesz. Chociaż jestem wyższy od ciebie.**

**–Trudno. Takie jest życie – odparł Witt. – Powiedziałem ci: idź!**

**–Idę. Ale ty jesteś wariat, jak Boga kocham. Zażartowałem sobie. – Odszedł kilka kroków. Nie mógł się zdecydować, czy postępuje tchórzliwie, czy nie, czy może mężniej byłoby zawrócić, unieść się dumą i dać się pobić. Po kilku dalszych krokach przystanął i obrócił się. – Ale pamiętaj, że jedynym sposobem powrotu do kompanii jest to, co ci powiedziałem.**

**–Zjeżdżaj!**

**Fife odszedł. Wciąż nie był pewny, czy postępuje jak tchórz, czy nie. Myślał, że chyba tak. Czuł się z tego powodu winny. A także strasznie winny jeszcze z jakiejś innej przyczyny, choć nie potrafił powiedzieć dokładnie, co to takiego. Gotów był uznać, że Witt ma rację i że on sam uczynił coś paskudnego, złego i obraźliwego, coś co było zabójcze dla męskości Witta. W każdym razie czuł się tak samo jak wówczas, gdy będąc dzieckiem robił rzeczy, o których wiedział, że są karygodne. W połowie drogi do obozu zatrzymał się znowu i obejrzał. Witt nadal siedział na pniu obalonej palmy kokosowej.**

**–Jazda! Uciekaj stąd!**

**Te słowa doleciały nikło do Fife'a. Ruszył dalej. U wejścia do namiotu kancelaryjnego przystanął i obejrzał się znowu. Witt zniknął.**

**Nie było go nigdzie widać.**

**Stracił zatem drugiego przyjaciela oprócz Bella – któremu także musiał coś zrobić, chociaż mimo całego poczucia winy nie mógł pojąć, co. Dwaj prawdziwi przyjaciele spośród wszystkich tych ludzi – i oto utracił ich obu. W takiej chwili. Teraz został mu**

**Welsh. A to było coś, no nie?**

**Przez kilka dni rozmyślał o tym, o Witcie, próbując wyobrazić sobie, czy mogło się to zakończyć inaczej – rozmyślał codziennie aż do owego dnia, gdy siedząc przed namiotem na pojemniku z wodą zobaczył za szybą przednią wozu Steina i jego kierowcę, i wiedział, z czym przyjechali. I właśnie ten pozbawiony przyjaciół Fife patrzył, jak wysiadali z jeepa i szli ku niemu – a wcale nie był w nastroju odpowiednim do wysłuchania wiadomości, które przynosili.**

**–Kapralu Fife – zaczął Stein energicznie. Był dziś służbisty, oficjalny i sprawny. I taki powinien być, pomyślał Fife, zważywszy wiadomość, z jaką przybył.**

**–Tak, panie kapitanie? – Fife usiłował powiedzieć to głosem gładkim bez drżenia.**

**–Chcę tutaj mieć w ciągu pięciu minut wszystkich oficerów i podoficerów z plutonów, którzy nie pełnią gdzieś służby. Zbierzcie ich wszystkich. Nie pomińcie nikogo. Idźcie po Beada. Jego też tu przyślijcie. – Stein przerwał i nabrał głęboko tchu. – Ruszamy, Fife.**

**Ruszamy do linii. Odmarsz jutro o tej samej porze. Za dwadzieścia cztery godziny.**

**Za nim kierowca kiwał energicznie głową do Fife'a, jakimś nerwowym czy może smutnym potwierdzeniem.**

## ROZDZIAŁ 3

Wzdłuż trasy marszu drogi z ciekłego błota usiane były ciężarówkami, które w nim utknęły. Miejscami stały jedna za drugą: dwie, trzy lub cztery. Większość ich była opuszczona; tkwiły milcząco w błocie czekając na przybycie dużych ciągników, które by je wyholowały. Tu i ówdzie otaczała którąś grupa ludzi wciąż jeszcze beznadziejnie borykających się z nią, po kolana w czarnej zupie.

Wszystkie były załadowane oplecionymi drutem pudłami, zawierającymi racje polowe, albo trójuchwytowymi kanistrami z wodą, brunatnymi skrzyniami z amunicją do broni małokalibrowej czy z granatami, bądź pękami czarnych tekturowych rur, w których były pociski do moździerzy. Najwyraźniej dostawa wielkimi ciężarówkami zawodziła czy już zawiodła.

Maszerujący żołnierze stąpali po schnących zwałach błota i rojących się od komarów kępach wzdłuż skrajów drogi. Ugrzęźnięte ciężarówki to nie była ich sprawa. Obładowani pełnymi plecakami oraz dodatkowymi ładownicami, nie zdołaliby dobrać do nich, nawet gdyby próbowali. Każda kompania maszerowała nierówno gęsiego, rozciągnięta na całą długość, w jednym miejscu stłoczona tak, że trzeba było przystawać, a w innym tak rozwleczone, że zasapani ludzie musieli biec, aby dopędzić innych. W ostrym słońcu przygniatał ich upał i wilgoć, szli zlanymi potem, z piekącymi oczami, chwytając powietrze tam, gdzie tylko zdawało się nieco mniej suche.

Pod pewnymi względami przypominało to trochę galową, generalną, świąteczną defiladę. Jak okiem sięgnąć w obu kierunkach, dwa sznury przeciążonych, zielono odzianych ludzi brnęły z trudem brzegami rzeki błota. Podniecenie jak w święto Czwartego Lipca wysuwało wszędzie swe elektryzujące czułki. Grupy robocze, przerywając pracę dla rozluźnienia mięśni, spoglądały na drogę. Ci, Którzy nie mieli nic do roboty, wychodzili ze swoich biwaków, aby popatrzeć, i stali gromadami na skraju palm kokosowych, rozmawiając ze sobą.

Tylko nieliczni, bardziej zuchwali od innych, zapuszczali się bliżej, aby się lepiej przyjrzeć. Ci obserwowali poszczególne twarze zasapanych maszerujących żołnierzy, jak gdyby chcieli je zapamiętać. Ale poza takimi wampirami wyczuwało się jakiś dziwny szacunek.

Czasem, choć rzadko, któryś z widzów wykrzykiwał słowa zachęty.

Odpowiedzią, jeżeli ją otrzymywał, było znużone pomachanie ręką lub szybkie, posępne spojrzenie i wymuszony uśmiech. Maszerującym potrzebna była każda iskierka posiadanej koncentracji, po prostu żeby iść dalej. Wszelkie myśli poza tym zatrzymywali dla siebie. Po godzinie marszu nawet takie osobiste myśli zanikły.

**Piechota zapomniała, dokąd idzie, wobec pilnego, bezpośredniego problemu, jak się tam dostać, jak brnąć dalej nie odpadając z kolumny.**

**Nie wszyscy go rozwiązywali. Powoli zaczął się tworzyć nowy rząd po obu stronach, między widzami a drogą. Któryś z maszerujących skręcał nagle w bok, występował z szeregu i siadał albo upadał na ziemię. Inni po prostu mdleli. Tych na ogół odciągali na bok idący za nimi. Niekiedy ciągnęli ich ci, którzy sami już byli wyczerpani.**

**Prawie zawsze działało się to w milczeniu. Od czasu do czasu jeszcze maszerujący żołnierz wołał coś z nadzieją do wykończonego kolegi. Ale to było wszystko. Widzowie stojący w półcieniu drzew nie proponowali pomocy. A wycieńczeni ludzie najwyraźniej woleli, że tak jest. Tylko nieliczni usiłowali poczołgać się w cień. Po prostu siedzieli z zamglonymi oczyma oparłszy się o swoje plecaki, jak gdyby zasiedli w fotelach, albo leżeli pod plecakami twarzą do ziemi, albo też jeżeli zdołali się od nich uwolnić, wyciągali się płasko na wznak mrugając powiekami.**

**Długość marszu kompanii C wynosiła siedem i pół mili. O jedenastej rano, spojrzawszy po raz ostatni na rowy przeciwodłankowe, namiot kuchenny i zasznurowane namioty magazynowe, które służyły im za dom, podsunęli się do brzegu drogi wyczekując luki w strumieniu idących ludzi. Do wyznaczonego im punktu dotarli o dziewiętnastej trzydzieści, prawie o zmierzchu, na wpół żywi, a o dwudziestej rozbili obóz w dżungli obok drogi. Odpadło ich ponad czterdzieści pięć procent, a ostatni maruderzy, ludzie powaleni upałem i wyrzucający śniadanie, napływali jeszcze po północy.**

**Był to marsz niewiarygodny. Nikt z kompanii C, nawet stare wygi, które wiele się nachodziły w Panamie i na Filipinach, nie doświadczył nigdy czegoś podobnego. Wczesnym rankiem Stein miał nadzieję – marzył o tym – że doprowadzi swoją kompanię w pełnym składzie, bez jednego brakującego człowieka, że będzie mógł pójść do dowódcy batalionu i zameldować, że on przynajmniej jest obecny i gotowy. Kiedy czoło kolumny, z wyczerpanym Steinem wciąż na przedzie, skręciło z drogi, mógł tylko śmiać się gorzko z samego siebie.**

**Zmordowany, roztrzęsiony, jeszcze spocony po sprawdzeniu rejonów plutonów, poszedł sam jeden drogą zameldować się na punkcie dowodzenia batalionu, znajdującym się bliżej rzeki.**

**Podczas marszu miał dziwny, histeryczny incydent ze swoim kancelistą, Fife'em. Zdenerwowało to, a potem rozwścieczyło Steina, uraziwszy jego ambicję. Teraz też zabarwiało posępny nastrój kapitana, kiedy szedł drogą w gęstniejącym zmierzchu. Cała ta sprawa była dziwna. Już dostatecznie dziwne było przemaszerować siedem i pół mili w osiem i pół godziny. Jeżeli dodać do tego teren, stawało się jeszcze dziwniejsze – ten marsz przez gaje kokosowe między owymi ludźmi, którzy stali z boku i przypatrywali się jak banda zawiedzionych grabarzy, a potem wejście na szlak**

**i pochód w głąb wyspy między napierającymi z obu stron, ciemnozielonymi, rozświetlonymi ścianami dżungli. Do owego momentu maszerowali już prawie od sześciu godzin i wszyscy byli bliscy hysterii. Na czele kolumny odpadło już czterech ze służby kuchennej i dwóch z dowództwa kompanii – mały Bead oraz nowo przybyły poborowy nazwiskiem Weld, którego ze względu na wiek przydzielono do dowództwa, jako coś w rodzaju gońca i jednocześnie pomocnika kancelisty. Wszyscy oni pozostali gdzieś w tyle. Ptaki skrzeczały w górze albo wydawały przenikliwe, ironiczne gwizdy, jak gdyby wymierzone w maszerujących.**

**Fife już od jakiegoś czasu uskarżał się zdyszaniem, zboląłym, gwałtownie wzburzonym głosem, że chyba nie zdoła iść dalej. A potem, po krótkim odpoczynku, nie wstał razem z innymi. Stein zwrócił się do niego chcąc mu dopomóc, dodać zachęty.**

**–No, wstawaj, Fife. Chodź, chłopcze. Chyba teraz nie zrezygnujesz, kiedy uszedłeś taki kawał. Dźwignij się na te swoje biedne, obolałe nogi.**

**Reakcja Fife'a była zaskakująca. Nie wstał. Zerwał się. Jakby ktoś dźgnął go igłą w tyłek. Na trzęsących się nogach, cały rozdygotany, wybuchnął szaleńczą wściekłością i znie wagami.**

**–Pan! Pan mi to mówi! Co pan gada! Będę szedł, kiedy pan będzie już leżał plackiem! Będę szedł, kiedy pan i ci wszyscy – tu jego głowa zatoczyła zaciekle łuk – będziecie na kolanach, wykończeni! Pan i każdy inny cholerny oficer!**

**Drżącymi rękami naciągnął na siebie plecak.**

**–Zamknij się, Fife! – powiedział Stein ostro.**

**–Każdy cholerny, pierdolony oficer na świecie! Będę szedł, póki nie padnę, a i wtedy będę o dziesięć kroków przed pana trupem!**

**Nie martw się pan, że ja wysiądę!**

**Mówił tak dalej, Zataczając się pod plecakiem, pobrnął na skraj drogi. Nie zamilkł.**

**Stein nie wiedział, co począć – Od niego zależało, czy zrobi z tego użytek, czy nie. Fife już nie dbał o nic. Stein znał teorię, że człowieka, który popadł w histerię, należy trzepnąć, aby powrócił do przytomności, ale sam tego nigdy nie robił. Wahał się próbować tego z obawy, że może nie podziałać. Oczywiście mógł kazać zaarrestować Fife'a i oskarżyć go. Miał pod dostatkiem zarzutów. Postanowił jednak tego nie robić. W milczeniu wrócił na swoje miejsce w przedzie kolumny, podniósł rękę i kompania ruszyła.**

**Maszerowali teraz dwoma rzędami po obu stronach tej węższej drogi przez dżunglę.**

Za sobą Stein słyszał ciągle klnącego i wściekającego się Fife'a. Nikt nie przejmował się tym ani nie zwracał na to większej uwagi, bo wszyscy byli zbyt zmęczeni. Ale Stein nie miał pewności, czy nie stracił twarzy wobec swojej kompanii postanawiając zignorować Fife'a. To go dręczyło i uszy paliły go pod hełmem.

Nadal się nie odzywał. Po jakimś czasie Fife przestał gadać sam z siebie. Kolumna maszerowała w milczeniu. Po drugiej stronie drogi Stein kątem oka widział sierżanta Welsha. (Banda posłał do tyłu, żeby spróbował ukrócić rozłazenie się kolumny). Welsh maszerował ze spuszczoną głową, zatopiony w sobie, i wyglądał tak, jakby wyszedł na spacer i przez cały dzień nie czuł zmęczenia. Często pociągał ze swojej napełnionej dzinem butelki od eliksiru, co rozwścieczało Steina. Tak jakby Welsh mógł kogoś nabrać. Z boku drogi, pomiędzy gęstych liści, prawie prosto w ucho Steinowi zawrzeszczał na nich z irytacją jakiś zwariowany tropikalny ptak, a potem zagwizdał przenikliwie, tak jakby zobaczył kobietę.

Gniew Steina, który ogarniał go podczas marszu, przyszedł dopiero w jakiś czas po uspokojeniu się Fife'a. Ale gdy już się pojawił, był potężny. Steinowi nabrzmiała szyja, a cała głowa paliła go pod hełmem. Taki był rozjuszony, że ćmiło mu się w oczach, i poczuł obawę, że się potknie, przewróci i będzie leżał i był nieprzytomnie.

Nienawidził ich wszystkich. Człowiek staje na głowie, żeby się nimi opiekować, być dla nich ojcem. A oni, z twardym, durnym uporem, tylko nienawidzą go za to oraz dlatego, że jest oficerem.

Fife nie odpadł z kolumny.

Stein dalej szedł drogą w zmierzchu. Pograżył się w posępnej melancholii. Szczerze mówiąc, musiał przyznać, że czuje się trochę winny w stosunku do Fife'a. Zawsze miał wobec niego mieszane uczucia. Nie wątpił, że jest to chłopak inteligentny. Dziewięć miesięcy temu zrobił go kapralem właśnie dlatego i ponieważ dobrze pracował – chociaż przez to zastępca dowódcy drużyny musiał pozostać w stopniu starszego szeregowca. Poza tym, odkąd wyszła nowa ustawa o bezpłatnym nauczaniu dla wojskowych, Stein dawał Fife'owi dwa wolne przedpołudnia tygodniowo, aby mógł chodzić na jakieś wykłady uniwersyteckie w mieście, gdzie stacjonowała dywizja.

Lubił tego chłopaka. (I sądził, że tego dowiódł). Ale nie mógł oprzeć się myśli, że Fife jest emocjonalnie niezrównoważony. Był nieobliczalny i dawał się ponieść imaginacji. Wysoce pobudliwy, nie potrafił panować nad swymi uczuciami, przez co brakowało mu zdrowego rozsądku. Ma się rozumieć, był jeszcze młodym chłopakiem. Ale bądź co bądź miał dwadzieścia lat. Stein nie znał dokładnie jego przeszłości, ale przypuszczał, że z jakiejś przyczyny (uczucia matczyne, niemożność dorównania ojcu i tym podobne) Fife miał w wieku młodzieńczym zahamowania. Tylu takich jest dzisiaj w Ameryce. Podczas Wojny Domowej dwudziestoletni ludzie dowodzili



pułkami, a nawet dywizjami. Z praktycznego punktu widzenia było to całkiem nieważne w kompanii. Chłopak robił to, co do niego należało, i poza sporadycznymi wybuchami gniewu na Welsha (czego nikomu nie można było mieć za złe!) trzymał język za zębami. Ale właśnie z tych przyczyn Stein uważał, że nie może z całym przekonaniem zarekomendować Fife'a do Szkoły Oficerskiej.

Za czasów, kiedy Departament Wojny był głęboko zaangażowany w kampanię werbowania uzdolnionych ludzi na dziewięćdziesięciodniowe kursy w Szkole Oficerskiej, Stein zachęcał do tego wielu swoich podkomendnych, absolwentów gimnazjalnych oraz co inteligentniejszych podoficerów. Przyjęto prawie wszystkich i wszyscy z wyjątkiem dwóch ukończyli szkołę ze stopniem oficerskim. Pewnego dnia, w kancelarii, pod wpływem odruchu połączonego z niewczesnym pragnieniem spełniania dobrych uczynków, Stein zaproponował Fife'owi, żeby złożył podanie do Szkoły Służby Administracyjnej a nie do Szkoły Piechoty, bo z uwagi na jego osobowość, tak jak widział, Stein nie sądził, żeby mógł być dobrym oficerem piechoty!

Pierwszą reakcją Fife'a był opór i odmowa i Stein powinien był na tym poprzestać. Ale uważał za oczywiste, że Fife naśladuje swojego bohatera, Welsha, który, ilekroć go namawiano na Szkołę Oficerską, tylko prychał i robił taką minę, jakby miał splunąć na podłogę.

Toteż Stein później spróbował znowu, uważał bowiem, że będzie to dla dobra wojska zarówno jak Fife'a.

Ten drugi raz przesądził sprawę. Stein jeszcze był zły, gdy o tym myślał. Za drugim razem Fife odpowiedział, że zmienił zdanie, że zgłosi się, ale nie do Szkoły Administracyjnej; jeżeli ma w ogóle zostać oficerem – oświadczył z jakimś wysoce tragicznym przejęciem, którego Stein nie rozumiał jasno – to chce być bojowym oficerem piechoty. Stein nie wiedział, co robić. Nie chciał wyznać Fife'owi w oczy, że nie wierzy, by z niego był dobry oficer piechoty. W taką sytuację się wpędził usiłując spełniać dobre uczynki, dopomóc wojsku i Fife'owi.

W końcu pomógł Fife'owi wypełnić podanie, podpisał je i wysłał.

Bądź co bądź każdy żołnierz miał prawo je złożyć. Ale Stein nie uważał, żeby on sam miał moralne prawo być nieuczciwym w swoich rekomendacjach. Przesłał charakterystykę Fife'a oraz swoją uczciwą opinię, która brzmiała, iż nie uważa, by z Fife'a mógł być dobry oficer piechoty. Była to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić.

Podanie wróciło natychmiast. Do niego dołączona była notatka oficera personalnego pułku: „Co za cholera? Nie zasuwasz mi tych wszystkich pro i contra, Jim. Jeżeli nie uważasz, żeby jakiś żołnierz mógł być dobrym oficerem, to po co, u diabła, przysyłasz mi jego podanie?”

Mam teraz tyle papierków, że nie mogę dać sobie z nimi rady”. Stein znowu się rozszłościł, ale tym razem był zakłopotany. Jeżeli ten skubaniec personalny, którego dobrze znał, jako kumpla od popijaw w klubie, nie wie, że każdy żołnierz ma ustawowe prawo złożyć podanie, to jest durny, a jeżeli wie, to jest niemoralny. I znowu Stein znalazł się w takim położeniu, że nie miał pojęcia, co robić. Odłożył podanie do akt, nie wspominając o tym Fife'owi, i raz jeszcze spróbował nakłonić go, by zwrócił się do Szkoły Administracyjnej. Fife odmówił. Powiedział, że woli czekać, aż przyjdzie odpowiedź na pierwsze podanie, i tak też czynił: czekał, co znowu rozgniewało Steina.

Najgorsze było to, że Fife znalazł podanie wraz z dołączoną przez Steina charakterystyką i notatką oficera personalnego. Na dwa tygodnie przed odjazdem porządkowali wszystkie papiery. Fife porządkując akta personalne Steina znalazł to w stosie innych dokumentów. Stein, który siedział przy biurku, wyrwał mu owe papiery, powiedział, że są jego, i zamknął je pod kluczem. Ale był pewien, że Fife miał przedtem sposobność je przejrzeć. W każdym razie Fife popatrzył na niego z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Jak zawsze był przy tym uśmiechnięty Welsh i nic nie uszło jego uwagi. Ale później, z właściwym sobie wysokim – i zazwyczaj tragicznym – napięciem emocjonalnym, którego Stein nigdy nie mógł w pełni zrozumieć, choć je wyczuwał, Fife dalej wypełniał swoje obowiązki i nic nie mówił. I nie powiedział nic od tamtego dnia aż po dzisiejszy. Nigdy o tym nie wspomniał. Ale oczywiście nie trzeba było wielkiego wysiłku umysłowego, by pojąć, że w gruncie rzeczy to kryło się za jego dzisiejszym wybuchem. Punkt widzenia szeregowca! Właśnie ta niesprawiedliwość tak rozgniewała i rozwścieczyła Steina.

Teraz jednakże odczuwał tylko smutek. Zawsze było wstrząsem ponowne odkrycie, jak bardzo szeregowcy nienawidzą oficerów, bo miało się skłonność próbować o tym zapomnieć. A jutro miał ich poprowadzić do walki. Czuł, że nie nadaje się do tego. Szczególnie kiedy wspominał, jak źle wypadł dzisiejszy marsz. Był przerażony i wstrząśnięty tym, co się zdarzyło. Nie zawiódł go żaden z oficerów ani sierżantów – szefów plutonów. Wiedzieli, że nie powinni. Ale kiedy Stein rozmyślał, ilu krzepkich, twardych ludzi z jego jednostki dało za wygraną albo po prostu pomdlało, miał złe przeczucia na przyszłość. Jeżeli taki niedomięśniony, w zasadzie cherlawy mężczyzna, jak on sam, potrafił wytrzymać, a tamci nie mogli, to nie świadczyło dobrze o fizycznej czy umysłowej kondycji jego kompanii.

Bóg świadkiem, że starał się, jak mógł, zaprawić ich ćwiczeniami.

Boże drogi, a co z nich zrobi upał, wyczerpanie i napięcie samej walki! Oczywiście, kiedy się meldował, nie powiedział o tym wszystkiemu dowódcy batalionu, a po zameldowaniu odkrył ze zdumieniem, że te czterdzieści pięć procent, które odpadły z jego kompanii, były najlepszym wynikiem w batalionie. Nie poczuł się przez to lepiej. Dość kwaśne gratulacje dowódcy przyjął ze znużonym grymasem. A potem ruszył z powrotem ciemniejącą drogą spoglądając w zamyśleniu na wysokie drzewa i

**tłustolistny dżunglowy podszyt.**

**Stein, przyświecając sobie latarką, przeprowadził przed swoim namiocikiem odprawę dla oficerów i sierżantów – szefów plutonów.**

**Dziwnie mu było na sercu, kiedy to robił. Pierwszy batalion miał rano być w odwodzie, chyba żeby został wezwany. Po południu mieli posunąć się naprzód i obsadzić pozycje na wzgórzach, które drugi batalion winien był zająć do tej pory. W odbitym blasku latarki Stein przypatrywał się bacznie twarzom obecnych. Welsh był – tam oczywiście, natomiast kancelisty Fife'a, który miał obowiązek znajdować się pod ręką na wypadek, gdyby Stein go potrzebował, nie było nigdzie widać. Prawdopodobnie czuł się zawstydzony. Ano, mniejsza z tym.**

**Nie potrzebował go. I nie było żadnego faktycznego powodu, żeby Fife wysłuchał dyspozycji. Maruderzy wciąż napływali. Stein już pogodził się z faktem, że będzie niewiele spał tej nocy.**

**Przyczyną nieobecności Fife'a na odprawie było to, że poszedł na przechadzkę w dżunglę. Nie miało to nic wspólnego z zawstyżeniem.**

**Fife nie tylko nie wstydział się swojego popołudniowego wybuchu, ale był z niego nawet dumny. Nie przypuszczał, że ma tyle odwagi. A poszedł samotnie na spacer w dżunglę dlatego, że będąc tak zadowolony i zaskoczony własną odwagą, uznał, iż to wszystko nie ma w ogóle żadnego znaczenia.**

**W zestawieniu z faktem, że jutro o tej porze mógł bardzo łatwo nie żyć, to, czy okazał się dziś odważny, czy nie, było nieważne, bezprzedmiotowe. W zestawieniu z faktem, że jutro mógł nie żyć, wszystko było nieważne. Życie było nieważne. Nieważne było, czy patrzył na jakieś drzewo, czy nie. Po prostu nie miało to znaczenia. Nie miało znaczenia dla tego drzewa, dla nikogo z oddziału, dla żadnego człowieka na całym świecie. Kto o to dbał? Nie było nieważne tylko dla niego samego, ale kiedy by zginął, kiedy przestałby istnieć, stałoby się nieważne także dla niego. Co więcej byłoby nieważne nie tylko „Wtedy, ale i przedtem, przez cały czas.**

**Była to myśl niejasna i dosyć trudna do uchwycenia. Zrozumienie jej wymykało mu się ciągle. Migotała zmieniając swój czas i formę.**

**W momentach, kiedy ją rozumiał, budziła w nim uczucie wielkiej pustki.**

**Albowiem z jakiegoś zakamarka na najgłębszym dnie jego umysłu wypłynęła niezbita, bezsporna pewność, że jutro albo najwyżej w ciągu następnych paru dni będzie martwy.**

**To napełniło Fife'a tak ogromnym smutkiem, że w ogóle zapomniał o odprawie i po prostu ruszył sam w dżunglę, aby popatrzeć na te wszystkie rzeczy, które będą**

istniały nadal, kiedy on istnieć przestanie. Było ich wiele. Fife przypatrywał się – im wszystkim. Pozostawały dziwnie nie zmienione przez te jego oględziny.

W gruncie rzeczy nie miało żadnego znaczenia, co zrobi ani czy będzie robił cokolwiek. Fife nie wierzył w Boga. Ani Go nie odrzucał. Po prostu był to problem, który nie miał do niego zastosowania.

Dlatego nie mógł uwierzyć, że na tej wojnie walczy za Boga. I nie wierzył, że walczy za wolność, za demokrację czy za godność rodzaju ludzkiego. Kiedy to analizował, tak jak usiłował robić w tej chwili, znajdował tylko jedną przyczynę swego przybycia tutaj, a mianowicie – że wstydziłby się, gdyby ludzie uznali go za tchórze, wstydziłby się, gdyby wsadzono go do więzienia. Taka była prawda. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego jest to prawdą, skoro już udowodnił sobie, że nie ma żadnego znaczenia, co robi ani czy robi cokolwiek. Po prostu było to faktem.

Fife wychodząc z obozu zdjął karabin z ramienia, bo ostrzeżono ich, że tak blisko frontu mogą przenikać zwiadowcy japońscy. Nie widział, żeby coś się gdziekolwiek ruszało, ale kiedy zmrok w dżungli zgęstniał, Fife poczuł lekki niepokój. Wiedział, że na tym terenie walczonezaledwie przed tygodniem, ale wszystko wyglądało tak, iż można by mniemać, że jest pierwszym człowiekiem, który tu stąpnął. A przecież ktoś, jakiś inny Amerykanin, mógł zginąć w miejscu, gdzie teraz stał. Fife próbował to sobie wyobrazić. Mocniej ścisnął karabin. Niesamowita cisza dżungli gęstniała wokół niego, w miarę jak się ściemniało. Nagle Fife przypomniał sobie, że dziś wieczorem wystawią wokół obozu posterunki. Cholera, może go zabić jakiś zbyt chybki do strzału wartownik. Nie czekając dłużej, zapomniawszy o swoim przeświadczeniu, że wkrótce nie będzie żył, wobec czego nic nie ma znaczenia, zawrócił i podrałował do obozu, rad, że się znajdzie wśród swoich.

Wartowników jeszcze nie wystawiono. Sierżant dowódca warty dopiero ich zbierał. Fife chwilę patrzył na nich osłupiały, tak jakby nie byli realni, i rozmyślał, jak mało brakowało, żeby któryś go zabił przez ten jego głupi emocjonalizm – po czym zameldował się w namiocie Steina. Tam Welsh, który szykował się na nocleg nie opodal, powiedział mu, żeby zabierał się do diabła i poszedł spać.

Przez chwilę, przez krótką chwilę, Fife zastanawiał się, czy nie poprosić go o coś, o jakieś zapewnienie. Pragnął to zrobić. Ale potem uświadomił sobie, że nie wie, o co prosić ani jak sformułować – to, co chciałby powiedzieć, ani nawet co to było. Ostatecznie jakie zapewnienie mógł dostać? Nie chciał, żeby ktoś sobie pomyślał, że jest nerwowym lalusiem czy tchórzem. Więc zamiast coś powiedzieć wrzucił ostentacyjnie ramionami, choć czuł, że jego twarz nie wygląda jak należy, że zbyt zdradza lęk – po czym odwrócił się i odszedł.

Welsh, który siedział po turecku przed swoim namiotem, z karabinem na kolanach, spoglądał za nim przymrużonymi oczami, dopóki Fife nie zniknął za drzewem. Oczywiście

błyszczały mu pod czarnymi brwiami. Więc ten chłopak nareszcie się dowiadywał, jak ważny jest dla świata. Welsh prychnął. Długo to trwało. Było to pojęcie, które każde inteligentne dziecko mogło bez trudu zrozumieć. Tylko że oni po prostu nie chcieli. Więc teraz Fife uczył się tego w sposób uciążliwy.

To boli, no nie? Trochę przestrasza człowieka. Wstrząs dla systemu nerwowego. Każdy by dostał zatwardzenia. Welsh w pewnym sensie współczuł Fife'owi. Ale nie mógł nic zrobić. Ani nikt inny. Poza doradzeniem mu, żeby się cofnął i przyszedł na świat jako tępak.

Własność, chłopcze; wszystko dla własności. Każdy umiera, więc o co idzie? W końcu o co idzie w ogóle? Co pozostaje? Własność. Welsh powrócił do czyszczenia karabinu. Już przedtem sprawdził swego nowego thompsona oraz pistolet, który przywłaszczył sobie ze składu zaopatrzenia MacTaco. Gdyby wydawali oberżnięte strzelby śrutowe, też by wziął sobie taką. Musiał pospieszyć się z karabinem, bo było już prawie za ciemno. Nareszcie zadowolony, podniósł go oburącz i złożył się zeń między drzewa. Garand to było coś w sam raz dla niego. Niech romantyczne chłopaki biorą sobie springfieldy i dopasowują do nich magazynki od browningów. Piechota morska musiała to robić. On wolał garanda. Dać mu siłę ognia, to będzie strzelał na punkt. Nadchodzi epoka siły ognia, a nie precyzji. Welsh złożył karabin w poprzek ud i zwiesił ręce oparte na kolanach. Chętnie by sobie coś dzisiaj pochędożył. Wystarczyłaby koza. Albo schludny staruszek. Siedząc po turecku, z karabinem na udach, Welsh wpatrywał się w ciemne drzewa.

Fife też spał niewiele. Ale z innych powodów niż Stein czy Welsh.

Po rozmówieniu się z Welshem odszukał stos racji żywnościowych. Przeświadczenie, że jutro albo pojutrze będzie martwy, nie umniejszyło jego głodu. Zjadł na zimno puszkę mięsa z fasolą siedząc na ziemi przed namiotem i ze smakiem rozgniatając szczękami twarde jedzenie.

Potem wlaź do środka i położył się, a serce mu zabiło, kiedy nagle pomyślał o jutrze. Umrzeć? Przecież nigdy nie widział Nicei i Monte Carlo. W dwadzieścia minut potem mały Bead, który odpadł podczas dzisiejszego marszu, wczołgał się do namiotu.

Fife widział go przedtem w pierwszym plutonie, kiedy poszedł odwiedzić swojego kumpla, młodego poborowego. Gdy teraz usłyszał Beada, przekręcił się twarzą do ścianki namiotu i udał, że śpi. Bead wlaź bez słowa pod siatkę i obrócił się w swoją stronę, też nie zważając na Fife'a.

Leżeli tak długo, w milczeniu, podczas gdy dokoła nich obóz gotował się do spoczynku. A potem leżeli jeszcze dłużej w ciszy, która zaległa. Powietrze w namiocie było gęste od udawanego snu. W końcu Bead się poruszył. Przekręcił się i zapytał

**ochryplym głosem:**

**–No i jak będzie?**

**Fife nie odpowiedział, tylko nadal udawał, że śpi.**

**–Pytałem, jak będzie – powtórzył Bead bardziej szorstko. Fife milczał.**

**–Nie uważam, żeby któryś z nas miał teraz coś do stracenia.**

**Może to być dla nas obu ostatnia okazja.**

**Głos Beada był chrapliwy, jakby go zeń wywlekano, i nie pozbawiony pewnego podkładu goryczy. Jego oddech rozlegał się głośno w namiocie.**

**Fife nadal nie odpowiadał ani się nie poruszał i Bead nie powiedział nic więcej. Leżał teraz twarzą do pleców Fife'a. Nie przekręcił się na powrót. Nadal oddychał głośno.**

**–Ja go mam i ty go masz – powiedział w końcu mały Bead z lowy, z jakąś zacieklą uczciwością.**

**Była to prawda. I w pewnym sensie wystarczająca odpowiedź. Powoli Fife przekręcił się ku niemu. Leżeli teraz twarz w twarz, o jakąś stopę od siebie. Fife ledwie mógł go rozeznąć w półmroku. Bładoniebieskie oczy Beada zdawały się zbierać skąpe światło i rozjaśniać nim jego twarz.**

**–No? – powiedział Bead.**

**–Co, no? – odparł Fife ze złością. – Któryś z nas musi się położyć odwrotnie.**

**Co do cholery? Bead z tym wystąpił, więc niech się przekłada. Rozległ się szelest i twarz Beada zniknęła mu sprzed oczu. Fife czekał.**

**W zamyśleniu wodził językiem po nie umytych zębach. Przed twarzą ukazały mu się najpierw buty, potem kolana Beada.**

**Rzecz ciekawa, przez następne dziesięć minut Fife rozmyślał o swojej dziewczynie z uniwersytetu, której nigdy nie zdołał uwieść, przypominał ją sobie żywo, nieomal fizycznie. Była masywna, miała duże piersi, grube uda, umięśnione pośladki i wypukły wzgórek łonowy – tylko raz jeden wyczuł to wszystko przez jej suknię pewnej namiętnej nocy, ale nie widział nigdy. Nie zdołał jej uwieść, lecz otrzymał od niej cztery żarliwe listy miłosne od czasu, kiedy dywizja odjechała na front. Odpowiedział na dwa należycie tragicznymi listami, jak przystało na młodego żołnierza piechoty, który miał wkrótce zginąć, ale po trzecim wysiłek okazał się zbyt przykry. Łatwo jej było pisać, iż teraz żałuje, że nie oddała mu się, kiedy miała**

sposobność, natomiast dla Fife'a czytanie o tym było prawie nieznośne. Sympatia z daleka nic mu nie dawała. Mimo to lubił czasem wspominać, jaka była pod suknią, lepsza, obfitsza, soczystsza niż wszystkie kurwy, z którymi kiedykolwiek szedł do łóżka.

Natomiast Fife nie lubił wspominać, jak się zaczęła ta historia z Beadem. Ale czasami, tak jak dzisiaj, nie mógł tego uniknąć. Zaczęło się drugiej nocy na wyspie. Pierwsza była po tamtym dniu, kiedy lał taki deszcz, i wtedy też po raz pierwszy położyli się spać razem w małym namiociku. Druga noc była dużo suchsza, dogodniejsza. Ciota Stein jeszcze nie odnalazł dużych namiotów kompanii. To Bead poruszył ten temat. Wczołgał się do środka w chwili, kiedy Fife, już rozebrany do bielizny, rozmyślał żarliwie o dziewczynach. Fife spieszył się, ale Bead nic nie powiedział. Jednakże rozbierając się zaczął narzekać, jak mu ciężko być gdzieś, gdzie jest pozbawiony usług kobiet. Przecież często chodzili razem na przepustkę i odwiedzali burdele w mieście, gdzie stacjonowała dywizja, więc czy Fife tego nie zauważył? Mały Bead twierdził, że jest ogromnie jurnym typem i potrzebuje masę seksu. W wieku lat osiemnastu mogło to być prawdą i Bead powtarzał to wielokrotnie, ale Fife miał wrażenie, że może trochę się przechwala. W każdym razie Bead mówił, że to jest najgorsze w całej tej wojnie. I co, do cholery, można zrobić? Nic i koniec. Trzepać kapucyna. Albo się obejść. Chyba że ludzie sobie pomogą od czasu do czasu. Albo to, albo znaleźć jakiegoś pedała kucharza czy piekarza, albo w ogóle nic. Bead uważał, że można sobie wzajemnie dopomóc.

–No, wiesz, tak jak to, co się robiło, kiedy byliśmy dziećmi w szkole – uśmiechnął się chytrze.

Tyle tylko powiedział wtedy. Rozebrał się do kalesonów. A potem położył się po swojej stronie małego namiotu i dalej mówił o dziewczynach i kurwach tym swoim prawie dziecinnyim tenorem, którego mając lat osiemnaście jeszcze się nie wyzbył. W końcu przestał mówić. Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie przekręcił się twarzą do Fife'a.

–No, co ty na to? – zapytał wesoło. – Pomożemy sobie? Ja ci to zrobię, jeżeli ty zrobisz mnie.

Fife odgadł, co się szykuje. Mimo to udał zaskoczenie i zakłopotanie. Ale już wiedział, że się zgodzi. A Bead, stwierdziwszy, że go nie odtrącono, stał się ufniejszy i bardziej przedsiębiorczy. Najwyraźniej nie sprawiało mu to różnicy i nie martwił się, że proponuje coś homoseksualnego. A może mając lat osiemnaście, świeżo po szkole, nie widział tego w ten sposób. Jednakże nie mogło być całkiem tak – zastanawiał się później Fife – bo kiedy zaczął się czołgać na stronę Fife'a w małym namiocie, zatrzymał się i powiedział:

–Tylko żebyś nie myślał, że jestem pedał albo co.

**–Ano, ty też nie wyobrażaj sobie, że ja jestem – odrzekł Fife.**

**Tamtym razem Fife także myślał o swojej utraconej dziewczynie.**

**Myślał o niej za każdym razem. Tych razów nie było wiele więcej.**

**Ta pierwsza noc – druga na wyspie – oraz następna, czyli trzecia.**

**Czwartego dnia odnaleziono namioty kompanii, te małe zwinięto i wszyscy przenieśli się do większych, ośmioosobowych. Potem zabrakło okazji. Raz jeden, któregoś popołudnia, kiedy Welsha nie było i nie mieli nic do roboty, poszli przejść się po dżungli wiedząc z góry, co będą robili, ale nie mówiąc o tym, tak że kiedy się stało, gdy byli sam na sam w gęstej, wysoko sklepionej dżungli, wydało się to im obu zupełną niespodzianką. Ale to było wszystko, tylko tamte trzy razy i teraz ten.**

**Zmieniło to oczywiście ich wzajemny stosunek. Fife z zaskoczeniem stwierdził, że staje się bardziej władczy wobec swojego małego towarzysza, niż ośmielał się w życiu być wobec kogokolwiek. Wydawał mu zwięzłe rozkazy, wymyślał za najmniejszy drobiazg, krytykował go ustawicznie, sztorcował coraz częściej, wiecznie mu dogryzał, krótko mówiąc traktował Beada coraz bardziej tak, jak Welsh traktował jego, czego nie znosił. Ze swojej strony Bead zdawał się to rozumieć i, co więcej, akceptował wszystko, tak jakby uważał, że w jakiś sposób to mu się należy. Wysłuchiwał zniewag Fife'a w milczeniu, wykonywał jego wielokrotne rozkazy najlepiej, jak potrafił, i przyjmował ciągle krytyki spokojnie, bez gniewu czy odpowiedzi.**

**A jednak przez cały ten czas Fife nie był w gruncie rzeczy naprawdę zły na niego za cokolwiek. Bead zdawał się to wiedzieć. Fife wiedział także. Ale jego postępowanie było emocjonalną reakcją, której nie potrafił zrozumieć ani opanować.**

**Teraz, kiedy Bead zapadł w głęboki, odprężony sen, Fife leżał i wpatrywał się w ciemność. Przestał próbować jakoś to sobie uporządkować. Wiedział jedynie, że nie ma poczucia winy z powodu tego, co robił z Beadem. Uważał, że powinien czuć się winny. Ale było faktem, że się nie czuł. Ostatecznie jaka jest różnica między robieniem teraz tych samych rzeczy, które robiło się będąc małym chłopakiem czy studentem pierwszego lub drugiego roku? Tylko to całe gadanie o ciotach i pedałach, które słyszało się od tamtego czasu. Fife wiedział, że w wojsku są starzy wyjadacze, którzy mają swoich młodych chłopaczków i sypiają z nimi jak z żonami. W zamian za to młodzi żołnierze otrzymywali od swoich protektorów pewne korzyści, z których nie najmniejszą było więcej pieniędzy do wydania na kobiety w mieście. Tych praktyk nikt nie uważał za homoseksualizm, a władze przymykały na nie oczy. Ale jednak była to pederastia.**

**Z drugiej, znów strony byli jawni homoseksualiści, których liczba znacznie wzrosła**



od czasu poboru cywilów i których wszyscy nie lubili, choć wielu korzystało z ich usług. Takich właśnie dowódcy kompanii starali się pozbyć, ilekroć żądano od nich ludzi. Te dwa rodzaje stanowiły cały zakres wiedzy Fife'a o tej sprawie. Nie mógł uczciwie zaliczyć się do nich, ale był przerażony, że może to uczynić ktoś inny. Tej nocy przed wyruszeniem jego oddziału do pierwszego boju Fife długo leżał nie śpiąc i zastanawiał się, czy jest homoseksualistą. Od czasu do czasu serce ścisnęło mu się nagle, gdy sobie przypominał, że nigdy nie widział Nicei ani Monte Carlo. W każdym razie wiedział, że lubi dziewczyny.

O świcie prawie wszyscy byli już na nogach. Kiedy pierwszy brzask zaczął przesiąkać między wysokimi drzewami, ludzie powypełzali z namiotów, zwinęli je i spakowali plecaki. Nie musiano wydawać im żadnych rozkazów. Niektórzy, jeszcze dotknięci amerykańskim kompleksem czystości, polewali szczoteczki wodą z manierek, żeby umyć zęby. Większość tego nie robiła. Kilku przypominało sobie o posypaniu stóp talkiem. Było bardzo mało pajacowania; przytłaczająca atmosfera zawisała nad wszystkim w tym zielonkawym półświecie dżungli. Śniadanie odbyło się bardzo zwyczajnie. Wszędzie leżały stosy racji polowych i każdy po prostu do nich podchodził, jeżeli miał apetyt, i brał, co chciał. Po jedzeniu usadowili się na swoich plecakach i czekali.

Rozwidniło się na krótko przed piątą. Po wpół do ósmej zjawił się zdyszany przewodnik z rozkazem wymarszu. Czekając słyszeli, ale nie widzieli, jak inne oddziały wyruszały z sąsiednich pozycji wszędzie dokoła w dżungli. Zasapane kompanie piechoty mijaly ich brnąc drogą. Teraz prowadzeni przez przewodnika (który odzyskał dech), wkroczyli na drogę za kompanią z ich własnego trzeciego batalionu, którą rozpoznali. Nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Przewodnik przeszedł z nimi pół mili w ciągu pół godziny. Potem zatrzymał się i wskazał trawiaste miejsce pod drzewami przy skraju drogi. Tam mieli czekać. Mieli odłożyć koce; przygotować sobie tornistry bojowe, usiąść i czekać. Przewodnik zawrócił na pięcie i ruszył w stronę frontu.

–Chwileczkę! – zaprotestował Stein. – Przecież muszą być jeszcze inne instrukcje. Wiem, jakie są dyspozycje. Wiem, co mamy robić.

–Nic mi o tym nie wiadomo, panie kapitanie! – odkrzyknął przewodnik. – Wiem tylko, że miałem przyprowadzić was tutaj i powiedzieć to, co powiedziałem.

–Ale czy nie przyślą nam innego gońca?

–Pewnie tak. Nie wiem. Wiem tylko to, co powiedziałem. Przepraszam pana kapitana, ale muszę tam wracać. – Odwrócił się i zniknął za zakrętem drogi.

Było to tak, jakby kompania C raptem zupełnie wypadła ze świata. Po zniknięciu

przewodnika nie widzieli już żywej duszy. Przedtem maszerowały przed nimi i za nimi kompanie. Teraz nie było nikogo. Ta, która ich poprzedzała, podążyła dalej, a ta, co szła za nimi najwyraźniej udała się jakąś inną drogą. Przedtem załadowane zaopatrzeniem jeepy przedzierały się przez błoto. Teraz nie było nic, żadnego pojazdu. Droga rozpościerała się przed nimi zupełnie pusta. I nic nią nie nadjeżdżało. Nie było nic słycać. Poza normalnymi odgłosami dżungli zdawało się, że zapadli się w jakąś próżnię; jedynym dźwiękiem, który mogli dosłyszeć i który ich uszy zaczęły stopniowo wychwytywać, było dalekie chlupotanie i nikłe głosy ludzi ciągnących coś w górze czy w dole rzeki, gdzieś za zasłoną dżungli.

Pozdejmwali plecaki i porozpinali rzemienie, po czym zasiedli czekając. Przeczekali tak jeszcze półtorej godziny – od dziewiątej do dziesiątej trzydzieści – słuchając chlupotania wody i nikłych okrzyków, które dochodziły od rzeki, i wpatrując się w schludnie ułożone koce, zanim ujrzeli innego człowieka.

Podczas tego czekania niewiele dyskutowano o sytuacji, głównie dlatego, że nikt jej nie znał. Zresztą nie chcieli o niej rozmawiać i woleli o tym nie myśleć. W nielicznych rozmowach występowało nowe słowo, a mianowicie „Słoń”. Ilekroć w ciągu ostatnich dwóch dni wspomniano o grupie bezdrzewnych wzgórz, na które miał nacierać ich pułk, mówiono „Ten Słoń” albo po prostu „Słoń”. Wszyscy szybko przejęli to słowo i używali go, lecz nikt nie wiedział, skąd się wzięło ani co oznacza.

W rzeczywistości kompleks wzgórz został nazwany „Tańczącym Słoniem” przez młodego oficera sztabowego, kiedy studiował zdjęcie lotnicze. Obwiedziona ze wszystkich stron ciemniejszymi dżunglowymi dolinami, ta grupa trawiastych wzgórz rzeczywiście trochę przypominała słonia stojącego na tylnych nogach z przednimi podniesionymi i trąbą nad głową. Tyłne nogi, aż po brzuch, trzymała już piechota morska, a natarcie pułku (minus trzeci batalion, któremu wyznaczono inny cel) miało zacząć się stamtąd i dojść przez resztę grupy wzgórz do Głowy Słonia. Rozpoznanie wymacało Japończyków i wiadomo było, że trzymają co najmniej dwa punkty oporu na Tańczącym Słoniem, z czego wnioskowano, że będą energicznie odpierali wszelkie ataki. Jednym z tych punktów była wysoka, stroma grań, biegnąca w poprzek tułowia Słonia mniej więcej na wysokości łopatki, a drugim sama Głowa Słonia, najwyższy punkt całego masywu wzgórz. Od niego Trąba Słonia schodziła w niską dżunglę dając Japończykom dobrą drogę dla zaopatrzenia – a także dla ucieczki, gdyby okazała się potrzebna. Ta wysoka grań przy Łopatce Słonia oznaczona została jako Wzgórze 209 i właśnie na nią miał dzisiaj nacierać 2 batalion. Jednakże siedząc przy nagle opustoszałej drodze kompania C – jak – Charlie nie miała pojęcia, czy będzie to robiła, czy nie, a jeśli tak, to co się z nią stanie, zaś poza oficerami i sierżantami – szefami plutonów nikt nie znał nawet numeru wzgórza, i mało kogo to obchodziło.

John Bell należał do tych, których to obchodziło. Bell dosyć się nastudiował strategii i taktyki piechoty, by go to ogólnie interesowało. Poza tym, jeżeli jego życie miało być zagrożone z powodu tej akcji, chciał wiedzieć o niej możliwie jak najwięcej.

W każdym razie siedzenie przy tej niesamowicie pustej drodze było szczególnie nieprzyjemne i Bell chciał czymś się zająć. Omawianie akcji wydawało się równie dobre jak co innego.

Bell był w drugiej drużynie drugiego plutonu, czyli drużynie młodego sierżanta McCrona, notorycznej kwoki. McCron był wspaniały, kiedy chodziło o opiekę nad poborowymi, ale nie znał się prawie wcale na taktyce, a przejmował się nią jeszcze mniej. Bell zwrócił się więc do swojego sierżanta – szefa, Kecka. Keck, stary zawodowiec, był szefem tego samego plutonu od 1940 roku. Bell niczego się odeń nie dowiedział. Keck tylko parsknął z irytacją i oświadczył, że 2 batalion atakuje dziś Wzgórze 209 w miejscu nazwanym Słoń (Bóg wie, dlaczego), że dalej jest inne wzgórze nazwane (dosyć stosownie) Wzgórzem 210, na które oni sami będą prawdopodobnie musieli nacierać jutro, jeżeli 2 batalion dziś nie ugrzęźnie, a ponieważ dzisiaj są w odwodzie, więc co za różnica, do cholery? Wszystko to Bell już wiedział. Keck należał do tych zahartowanych podoficerów polowych, którzy wolą zostawiać mapy i planowanie oficerom, dopóki sami nie znajdą się w terenie i nie zobaczą, jakie drobne zadania będzie musiał wykonywać ich pluton. Bell to doceniał, ale nic mu to nie dało.

Jego dowódca plutonu, porucznik Blane, siedział nie opodal, ale Blane zawsze zachowywał dystans wobec Bella. Niewątpliwie przyczyną był dawny stopień Bella, toteż nie miał ochoty go pytać. A potem zobaczył Culp z plutonu broni ciężkiej, siedzącego na wzgórkach nieco dalej. Culp, typowy nieskomplikowany, beztroski piłkarz z college'u, zawsze był dla niego miły. Bell postanowił zapytać jego.

Sam Culp był najwyraźniej trochę zdenerwowany tą dziwnie opustoszałą drogą i czekaniem, bo miał ochotę pogadać. Powiedział Bellowi, że jakiś bystry młody oficer sztabowy (który pewno dostanie podpułkownika za ten swój wyczyn) wykoncypował poetyczną nazwę Tańczący Słoń. Narysował Bellowi patykiem na wilgotnej ziemi uproszczoną mapę, ukazującą główne zarysy Słonia. Kiedy wyczerpali ten temat – aż do punktu wzajemnego zakłopotania – Bell wrócił do swojej drużyny zastanawiając się nad tym. Doszedł do wniosku, że przy zdobywaniu Słonia będą co najmniej dwa dość paskudne zadania. Zabrało mu to dwadzieścia minut. Usiadł przy swojej drużynie i rozmyślał o żonie, Marty, zastanawiając się, co robi w tej chwili.

Teraz w Columbus musiała być noc, no nie? Nagle chwyciło go fizyczne pożądanie, pragnienie, by ją przytrzymać, rozebrać, rozłożyć i wejść na nią – tak silne, że głowa zaczęła mu płonąć gorączką wzburzonej krwi. Było to tak niebywale dotkliwie, iż myślał, że zacznie krzyczeć. Bliski szalu od tej gorączki, nie mógł jej jednak odpędzić. Zaraz potem ogarnął go przejmujący chłód. Bell nie był jednak tak oszalały, aby nie wiedzieć, co to znaczy. Był dziesiątym w ciągu trzech dni.

Malarii nie uważano za chorobę wymagającą umieszczenia w szpitalu, poza najcięższymi przypadkami, a Bell nie był jedynym mającym początki malarii. Wreszcie

zza zakrętu ciągle opustoszałej drogi ukazała się samotna postać. Od miejsca, gdzie siedzieli, droga wznosiła się lekko do owego zakrętu. Za nim skręcała ostro w dół, w prawo. Postać brnęła zza zakrętu dysząc ciężko, na chwilę zatrzymała się na równym terenie, by odsapnąć, a potem drugi raz, gdy ich ujrzała. Nabrawszy dwukrotnie głęboko tchu, człowiek ów ruszył przyspieszonym krokiem, już krzyząc.

–Gdzieście byli, kurwa go mać? Wszędzie szukałem tego oddziału!

Coście robili, cholera? Powinniście być po drugiej stronie rzeki, nie tutaj! Co się stało, kurwa? – Zbliżał się wykrzykując inne pełne rozżalenia słowa.

–No dobra – powiedział z niesmakiem Stein do swojej kompanii.

–Zbiórka, chłopcy, zbiórka!

Nowy przewodnik nie zaprzestał swoich nerwowych napomnień, nawet gdy do nich dotarł, a kiedy się zebrali, poprowadził ich naprzód.

–Uczciwie mówię, panie kapitanie, szukałem wszędzie. Powinniście być po drugiej stronie rzeki. Powiedzieli mi, że tam będziecie.

–Byliśmy dokładnie tam, gdzie nas doprowadził pierwszy przewodnik i gdzie kazał zaczekać – odrzekł Stein. Wszystkie rozliczne części jego oporządzenia, dyndając na swoich paskach, nagle wypadły z rytmu, gdy szedł, i obijały się o siebie i o niego utrudniając mu zachowanie równowagi.

–Widocznie coś pokręcił – rzekł nowy przewodnik.

–Był bardzo pewny tego, co nam mówił – odparł Stein – i bardzo precyzyjny.

–To widać ktoś dał mu niewłaściwy rozkaz. Albo mnie powiedzieli niewłaściwie. – Przewodnik zastanowił się. – Ale ja wiem, że mam rację. Bo cała reszta batalionu jest tam.

Niezbyt dobrze wróżący początek. Ale Stein trapił się jeszcze bardziej innymi rzeczami. Odczekał pełne piętnaście sekund, zanim przemówił.

–Jak tam jest? – Nie mógł całkiem utaić w swym głosie poczucia winy, że o to pyta. Ale przewodnik nic nie zauważył.

–Tam jest... – poszukał słowa -...dom wariatów.

Stein musiał się tym zadowolić. Przewodnik nie wdawał się w szczegóły. George Band szedł obok Steina i wymienili spojrzenia. A potem nagle Band wyszczerzył do niego zęby w wilczym uśmiechu.

**Zastanawiając się, co to znaczy, u licha, Stein skupił myśli na czekającym go zadaniu, bo właśnie doszli do zakrętu.**

**Od zakrętu droga zbiegała prawie prosto w dół do nie nazwanej rzeki, a spadek był stromy. Sama droga, rozbełtana przez pojazdy, była korytem błota, ponurym opadającym tunelem między nieprzenikniętymi ścianami dżungli. Jedynym sposobem zejścia było obrócić się bokiem, jak człowiek schodzący ze stromych schodów, i zapierać się krawędziami stóp. Co najmniej połowa kompanii obalała się w błoto na tyłek, ale było bardzo niewiele śmiechów. A te, co się ozwały, były nerwowe i cienkie, i nie brzmiały naprawdę szczerze.**

**Na dole był most pontonowy, dosyć szeroki i z drewnianymi torami dla jeepów. Grupy ludzi z regulacji ruchu oraz saperzy przypatrywali się kompanii z obu końców mostu z zaciekawionymi, ale współczującymi oczami. Po tym ześlizgiwaniu się, zsuwaniu i wywracaniu rozpęd poniósł kompanię przez most ruchem rwanym, zbyt szybkim i nie zgranym, jak w dawnych filmach Chaplina.**

**Przechodząc na drugą stronę, ujrzeli po raz pierwszy przyczynę owego chlupotania i nikłych okrzyków, które przedtem słyszeli.**

**Grupy nagich lub prawie nagich ludzi brodziły przez rzekę popychając przed sobą łodzie, jeden szereg pod prąd, drugi z prądem – zaimprovizowana linia zaopatrzenia, zastępująca ugrzeźnięte ciężarówki. Łodzie popychane pod prąd były załadowane sprzętem. A w tych, co powracały, kompania C po raz pierwszy ujrzała piechotę poranioną przez piechotę – w większości ludzi ze zmętniałymi oczyma, opartych o ławki, tu i ówdzie owiniętych zaskakująco czystą białą bandażą, przez które przesiąkała jeszcze bardziej zaskakująca czerwień świeżej krwi. Kiedy kompania przechodziła przez most, oczy wszystkich wpatrywały się tępo w rannych. Nie każda powracająca łódź ich wiozła; zaledwie połowa.**

**Kiedy dotarli na drugi brzeg, – zaczęli się wspinać pod górę równie stromo, jak schodzili, lecz ta wspinaczka była dłuższa. Wszędzie widzieli teraz ludzi, którzy biegali na lewo i prawo, pod górę i w dół, i rozmawiali ze sobą. Dla kompanii C, po półtorej godzinie samotności, widok ten był pokrzepiający. Widzieli kompanię D broni ciężkiej z ich batalionu siedzącą razem na stoku w dżungli ze swymi dużymi moździerzami i cekaemami kaliber 50. Było trochę machania rękami i pozdrowień. Powiedziano im, że A i B już poszły wyżej. Wreszcie wynurzyli się z dżungli na trawiaste zbocza. Tak jakby biegła tędy wytyczona przez człowieka linia demarkacyjna, błoto urwało się nagle i przemieniło w twardą, ubitą ziemię, która pokryła kurzem ich twarze. Wspinali się dalej.**

**Tu właśnie znaleźli sierżanta Stacka, który był szefem trzeciego plutonu jeszcze dłużej niż Keck drugiego – szczupłego, surowego, twardego specja od drylu oraz służbistę. Siedział obok ścieżki, z nogami mocno ściśniętymi i karabinem na**

kolanach, i krzyczał do nich w udręce, gdy przechodzili.

**–Nie idźcie tam! Zabiją was! Nie idźcie tam! Zabiją was!**

Cała kompania musiała go minąć po jednym, gęsiego, jak gdyby w jakiejś makabrycznej defiladzie, a on siedział ściskając nogi i krzycząc. Większość prawie go nie słyszała i nie widziała w swym podnieceniu, i tak go tam zostawili. Stack nigdy nie doszedł bliżej frontu i nie widzieli go więcej. Byli w dwóch trzecich drogi pod górę.

Żadna z tych rzeczy, jakie słyszeli czy widzieli podchodząc na zbocze, nie przygotowała ich do tego pandemonium, w którym znaleźli się wyszedłszy na szczyt. Wspinając się z wiatrem nie słyszeli odgłosów bitwy, lecz potem wychynawszy nagle zza ostatniego zakrętu na otwarty wierzch wzgórza, zanurzyli się w piekielny hałas i tumult. Niczym rzeka, która wpływając do bagna rozprasza swój nurt, szeregi idących wylażyły na szczyt i znikwały w ciżbie biegających albo stojących, rozwrzeszczanych i rozgadanych ludzi, którzy usiłowali przekrzyczeć wrzawę.

Niewidoczne, ale niezbyt odległe moździerze 81 – milimetrowe wyrzucały pociski ze swoistym, do gongu podobnym odgłosem. Z bardziej daleka dolatywały potężne huki artylerii strzelającej sporadycznymi salwami. Jeszcze dalej warczące basowo cekaemy wypełniały przerwy między wybuchami. A znacznie słabiej, ale wyraźniej, dolatywały z nie pokrytego dżunglą terenu w przedzie odgłosy broni małokalibrowej i granatów oraz eksplozje spadających pocisków moździerzy i artylerii. Wszystko to, razem z podnieceniem, krzykami i bieraniną, stwarzało obłędny, piekielny zgiełk, którego ogólnym efektem mógł być jedynie szalony zamęt. C – jak – Charlie przybyła na miejsce kilka minut po jedenastej.

Byli na wysokim wzgórzu wznoszącym się ponad szereg trawiastych pagórków i dolinek wybiegających z otaczającego je morza dżungli. Przed nimi stok opadał do niższego pagórka, który dżungla okrążała ciaśniej, co stwarzało w efekcie wąską szyję nie zalesionej ziemi, prowadzącą ku dalszym, szerszym przestrzeniom. Na tym pagórku też stały albo biegały grupy Amerykanów w swoich zielonych drelichach bojowych, ale było ich mniej niż tutaj, bo może trzydziestu. Za drugim pagórkiem stok znowu opadał, nie tak stromo, ale znacznie dalej, do nierównego parowu, porośniętego rzadką trawą; za owym zagłębieniem teren wznosił się ponownie, tym razem stromo, do wysokiego grzbietu, który panował nad okolicą przesłaniając wszystko, co było za nim. Na tym stoku, o jakieś tysiąc jardów i wyżej nawet od pierwotnego punktu obserwacyjnego, walczyła piechota.

Dla tych nielicznych, którzy, tak jak Bell, wiedzieli o terenie zwanym Tańczący Słoń, było jasne, że pagórek, który zajmowali, jest tylną stopą Słonia. Tak więc niższy pagórek przed nimi, będący najwyraźniej stanowiskiem dowodzenia 2 batalionu, stawał się kolanem Słonia i prowadził ku szerszej przestrzeni w przedzie, która

tworzyła tułów. A wysoka grań, gdzie teraz walczyła piechota, była Łopatką Słonia, punktem oporu oznaczonym jako Wzgórze 209.

Widać było, że toczy się tam walka ogniowa. Kilka grup wielkości drużyny albo plutonu, małych z tej odległości, ale widocznych wyraźnie, usiłowało dotrzeć do szczytu i zdobyć go. Amerykanie, znajdujący się zbyt nisko na stoku, aby dorzucić granatami do wierzchołka, musieli zadawać się ogniem karabinowym. Japończycy, także chwilami dobrze widoczni między drzewami, które wznosiły się ponad szczyt z porośniętego dżunglą przeciwnego stoku, nie mieli takiego utrudnienia; mogli po prostu spuszczać w dół granaty, których czarne wybuchy wytryskiwały tu i ówdzie na zboczu. Widziano, jak jeden z Amerykanów, koło którego padł taki granat, obrócił się i po prostu dał susa ze zbocza, jak człowiek zeskakujący z drabiny.

Potoczył się w dół, granat czarno wybuchnął za nim, a on po chwili wstał i zaczął się wspinać z powrotem do swojej grupy.

C – jak – Charlie przybyła akurat w szczytowym momencie. Kiedy stali w kotłującej się na pagórku ciżbie usiłując coś dojrzeć i chłonąc ten widok po raz pierwszy;” grupy na stoku zebrały się w jednolitą linię i pognały ku szczytowi ciskając przed siebie granaty i strzelając. Dotarli na jakieś piętnaście kroków od wierzchu, kiedy ich odparto. Nie wytrzymali ognia karabinów maszynowych, wyraźnie dosłyszalnego na pagórku. Załamali się, poczęli zeskakiwać i złazić w dół, po czym padli na ziemię tak jak przedtem, pozostawiając na zboczu część swoich, mniej więcej jedną dziesiątą. Na pagórku, dokoła kompanii C rozległy się okrzyki przerażenia i gniewne sapania.

Ten chór głosów nie był na pagórku jedyną reakcją na odparcie ataku. Gońcy i młodzi oficerowie sztabowi zaczęli się przepychać przez tłum w różne strony. Ośrodkiem całej tej aktywności była grupka siedmiu mężczyzn, stojąca we wspinałym odosobnieniu na czubku pagórka. Byli to prawie jedyni z tu obecnych noszący jakiegokolwiek insygnia i wszyscy mieli gwiazdki lub orły na kołnierzach zielonych drelichów. Poza tym odróżniali się od innych czystością.

Wszystko to byli ludzie starsi. Od czasu do czasu spoglądali przez lornetki lub wskazywali teren, rozmawiali między sobą albo przez jeden z trzech posiadanych telefonów. Niekiedy któryś z nich mówił coś przez radio umocowane na plecach znacznie młodszego mężczyzny.

Kompania C zdołała rozpoznać wśród nich swojego dowódcę batalionu, dowódcę pułku, a z fotografii dowódców dywizji i korpusu.

Jeden z tych oficerów krzyknął teraz coś z gniewem w telefon.

Poniżej, na drugim pagórku, pułkownik z 2 batalionu odkrzyknął mu w swój aparat. Tamten stojący wyżej, rosły i szczupły, słuchał uważnie, kiwając głową w hełmie.

Potem obrócił się do radia z gniewną i niezadowoloną miną. Skończywszy rozmowę, jął mówić coś przepaszajaco do trzech innych, którzy mieli gwiazdki. On sam miał orły.

Poniżej pułkownik z 2 batalionu rozmawiał teraz przez inny telefon, który trzymał w drugiej ręce.

Po przeciwległej stronie doliny, o osiemset jardów przed nim, za dodatkowym grzbieciem wyrastającym z boku głównego, mieściło się stanowisko dowodzenia kompanii, do której należały odparte plutony.

Nie opodal dwie mniejsze grupki wykonywały ruchy, które mogły jedynie oznaczać, że jest to sekcja moździerzy kompanii, nastawiająca lufy swoich sześćdziesięciomilimetrowych moździerzy, stąd niewidocznych. Kiedy pułkownik rozmawiał, jakaś postać oderwała się od grupy dowództwa, zeskoczyła z wierzchołka i pognęła skokami ku oddziałom, które zostały odparte i teraz sporadycznie strzelały pod górę do Japończyków. Zanim ów człowiek do nich dotarł, zwałił się trafiony. Natychmiast inny zeskoczył z wierzchołka, by go zastąpić.

W momencie, kiedy do nich dobiegał, grupy zaczęły się wycofywać skokami wzdłuż grani osłaniając się wzajemnie ogniem, i dopadły do stanowiska dowodzenia, gdzie nie tracąc czasu dały nura przez wierzch bocznego grzbietu. Wśród stojących na wzgórzu starszych oficerów wyższych stopni jeden jął wymachiwać gniewnie rękami i trzepać się wściekle po udzie. Poniżej pułkownik z 2 batalionu robił to samo. W kilka sekund później granaty artyleryjskie zaczęły spadać wielkimi, wykwitającymi dymem pękami na grań trzymaną przez Japończyków.

Jeżeli na szczycie wzgórza następowały jakieś inne wydarzenia w.

związku z operacją, to kompania C ich nie widziała. Ludzie byli teraz zbyt zaprzątnięci sobą i rolą, którą mieli niebawem odegrać w tym dramacie, by się przyglądać słynnym na całym świecie dowódcom. Podczas akcji Stein poszedł tam zameldować się dowódcy, swego batalionu, który był bardziej studiującym obserwatorem niż integralną częścią tej grupy. Teraz Stein wrócił, 1 batalion bez kompanii D – jak – Dog dostał jako odwód pułku, rozkaz obsadzenia i trzymania głównego grzbietu w lewo za stanowiskiem dowodzenia kompanii F – jak – Fox, które właśnie obserwowali. W tym miejscu główny grzbiet, niższy od Wzgórza 209 po prawej, został nazwany Wzgórzem 208 i tworzył, można powiedzieć, środek i dolną część Kręgosłupa Słonia. Japończycy nigdy go nie zajęli, ale istniała obawa przeciwnatarcia oskrzydłającego. Z rozkazu pułkownika Talla kompanie A – jak – Abel i C – jak – Charlie miały obsadzić tę linię, z kompanią B jako odwodem w parowie. Ponieważ A i B już tam wyruszyły, znaczyło to, że C – jak – Charlie będzie musiała przejść przez B. co zawsze było trudnym manewrem, wymagającym uwagi. Oczy Steina za okularami miały skupiony wyraz bolesnego zatroskania, kiedy to mówił.



**Jego własne dyspozycje brzmiały: 1 i 2 pluton na linii, 3 w odwodzie.**

**Culp miał ustawić swoje dwa cekaemy w wybranych przez siebie punktach linii, a moździerz w pobliżu stanowiska dowodzenia kompanii. Porządek marszu był następujący: pierwszy pluton, drugi pluton, dowództwo kompanii, pluton broni ciężkiej, trzeci pluton. Mieli wyruszyć natychmiast.**

**W rzeczywistości, kiedy się sformowali w plutony, stwierdzono, że nie mogą ruszyć od razu. Ich front przecinała kompania E – jak – Edward odwód 2 batalionu. Została ona skierowana na prawe skrzydło natarcia 2 batalionu, gdzie G – jak – George, niewidoczna za zakrętem dżungli, także utknęła. Kompania C знаła wielu ludzi z E i niektórzy ich pozdrawiali. Ale kompania ta, idąc do pewnego natarcia, a nie na bezpieczną pozycję obronną, wolała to zignorować i spoglądała na nich z mieszaniną zdenerwowania i niechętniej zazdrości. Z wolna pobrnęła naprzód i zniknęła w lesie na prawym stoku wzgórza. Przejście jej trwało piętnaście minut. Potem C – jak – Charlie zaczęła schodzić ze zbocza, z pierwszym plutonem na przedzie.**

**W ciągu tego piętnastominutowego czekania starszy sierżant Welsh wysunął się nagle na pierwszy plan. Do tej pory bardzo się starał pozostawać w tle. Nie miał zamiaru rzucać się w oczy ani angażować, dopóki nie będzie wiedział, jak sprawy stoją. Usiłował się przygotować i dwie z trzech manierek u jego pasa były napełnione dżinem. Poza tym miał swoją butelkę od eliksiru. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, jak na niego podziałały dzisiejsze wydarzenia. Wiedział tylko, że jest śmiertelnie spietrany, a jednocześnie czuł dławiący gniew, że na świecie istnieje przymus społeczny, który może nakazać mu być tutaj. Poza tym ogromne, napięte podniecenie na wzgórzu podziałało na niego potężnie. Nie różniło się to zbyt od atmosfery na stadionie, wytworzonej przez tłum przypatrujący się ważnemu meczowi piłkarskiemu. I właśnie to oburzające porównanie nasunęło mu pomysł uczynienia tego, co uczynił.**

**Stojąc obok Steina i dowództwa kompanii, kiedy E przebiegała przez ich front Welsh wypatrzył na brzegu wzgórza cały stos nie otwartych skrzynek z granatami ręcznymi i jednocześnie uświadomił sobie, że ktoś coś popieprzył, bo kompanii C nie wydano granatów.**

**Uśmiechając się swoim chytrym, wariackim uśmieszkiem postanowił rozdać je sam. Ale w taki sposób, żeby należycie zachować emocjonalne, sportowe oblicze tego dnia. Nie mówiąc nikomu ani słowa przykucnął nagle z dłońmi na kolanach i całą siłą swego rozkazującego głosu huknął: – „Podaj na bramkę!”, po czym okręcił się jak zawodnik grający na beku, pognął do stosu skrzynek wyciągając bagnet i zaczął rozłupywać miękkie sosnowe skrzynki przez środek. Granaty wewnątrz były w czarnych tekturowych tulejkach, który połówki przytrzymała razem żółta taśma klejąca. Welsh zaczął je wyjmować i wrzeszczeć:**

**–Jaja! Świeże jaja! Smaczne świeże jaja prosto z podwórka. Kto chce jaj?**

Ten potężny, grzmiący, rozkazujący głos dosłyszano bez trudu pomimo wrzawy i tumultu. Ludzie z kompanii Welsha zaczęli się obracać i patrzeć. A potem z tłumu jęły wyciągać się ręce. Welsh zaś, wciąż rycząc i szczerząc obłąkańczo zęby, zaczął podawać granaty w tłum.

**–Jajka! Jajka! Piłki! Sammy Baugh! Sid Luckman! Tra – ta – ta!**

**Kto chce piłkę? Bronco Nagurski!**

Jego krzyk rozbrzmiewał wspaniale na całym wzgórzu. Podczas gdy ludzie wszędzie obracali się i patrzyli tak, jakby zwariował, Welsh wrzeszczał dalej i rozdawał granaty swojej kompanii, niczym doskonała karykatura klasycznej postawy piłkarza – lewa ręka wyciągnięta, prawa podniesiona, prawa noga przygięta, lewa wysunięta do przodu.

W dostojnie odosobnionej grupie dowódców jeden z siedmiu starszych panów usłyszał go. Obrócił się, popatrzył i powoli uśmiechnął się z aprobatą. Trącił łokciem któregoś ze swych towarzyszy. Wkrótce już cała grupa obserwowała Welsha z uśmiechem. Oto był typ żołnierza amerykańskiego, którego ci generałowie chętnie widzieli.

A z odległości piętnastu jardów na szczycie wzgórza zatłoczonego amerykańskimi żołnierzami i sprzętem Welsh też uśmiechał się do nich morderczo, z, chytrze przymrużonymi, zuchwałymi oczami, wciąż krzycząc i rozdając granaty.

Być może tylko jeden człowiek zrozumiał to naprawdę, a był nim Storm. Na jego cynicznej twarzy ze złamanym nosem pojawił się uśmiech, i Storm, dobywszy bagnetu, podbiegł, jął rozpruwać skrzynki i podawać Welshowi tuleje.

**–Sammy Baugh! Sid Luckman! Jack Manders! Sammy Baugh!**

**–ryczeli unisono. – Tra – ta – ta!**

W krótkim czasie opróżnili cały stos skrzynek. Do tej pory kompania E już przeszła. Wziąwszy dla siebie po dwa ostatnie granaty i śmiejąc się idiotycznie w rzadkim momencie porozumienia, dołączyli do dowództwa kompanii. Ludzie zdzierali żółte taśmy, otwierali tuleje, prostowali łyżki granatów, zapinali pierścienie zawleczek na guzikach klap kieszeni, tak jak widzieli, że to robiła piechota morska – i kompania C – jak – Charlie ruszyła w dół po stoku.

Jeżeli Ciota Stein spodziewał się uporządkowanego ruchu naprzód poszczególnych elementów, to nie miał szczęścia. Na czele kroczył pierwszy pluton i robił to jak należy: szperacze wysunięci, podwójna linia tyraliery. Ale nim uszli dziesięć jardów,

wszelki porządek zniknął. Nie było sposobu utrzymać jakiegokolwiek szyku na tym zboczach, tak zatłoczonym ludźmi. Niektórzy zachowywali się po prostu jak obserwatorzy; stali i patrzyli. Inni, posuwając się rozciągniętymi liniami, pocili się i okropnie sapali w upale, dźwigając naprzód zaopatrzenie. Wszyscy rozstępowali się szeroko, aby przepuścić rannych, którzy mogli chodzić, a trzy grupy ludzi pocących się wściekle w tropikalnym słońcu niosły na tyły ciężko rannych, którzy jęczeli i stękali, ilekroć szarpnięto ich noszami albo je podniesiono czy opuszczono. Kiedy dotarli do stanowiska dowodzenia 2 batalionu na pagórku, byli już zupełną bandą. Ostatnie pozory porządku pierzchły, gdy przechodzili między obsadą stanowiska dowodzenia.

Za nim było mniej tłoczno, ale szkoda została już wyrządzona.

Wszyscy zanadto się przemieszali, aby sformować jakikolwiek szyk bez dłuższego postojów. Stein mógł tylko kląć bezsilnie i ocierać pot, aby mu nie zalewał okularów. Był boleśnie świadom obecności tych wszystkich wysokich szarż, które go dziś obserwowały. Jedyną jego pociechą było to, że kompanie A i B, wysunięte przed niego i w tej chwili przechodzące przez porośnięte krzakami dno dolinki, nie prezentowały się lepiej. Dokoła jego ludzie postępowali naprzód z zastygłymi, dziwnie nieprzenikniętymi twarzami, a oczy ich, rzekłbyś, usiłowały nie zdradzać żadnego wyrazu, który mógłby zostać wykorzystany przeciwko nim. Ci, co szli na czele, skręcali zgodnie z instrukcją w lewo, za kompaniami A i B, bez konieczności wykrzykiwania rozkazów przez Steina. Był z tego zadowolony.

Jednym z tych ludzi na czele był starszy szeregowiec Doll z 2 drużyny pierwszego plutonu. Doll nie miał pojęcia, jakim sposobem znalazł się na czele i wskutek tego czuł się zdenerwowany i szczególnie odstępny, ale zarazem dumny ze swego miejsca oraz zazdrosny o nie.

Ilekroć ktoś za nim zaczynał zmniejszać odstęp, Doll przyspieszał kroku na chwilę, aby utrzymać się w tej samej odległości w przedzie. To właśnie on, pamiętając o wskazówkach Steina, zaczął skręcać za kompaniami A i B, które teraz zniknęły na dnie dolinki. Doll niósł całe uzbrojenie, na które zdołał położyć rękę. Skradziony pistolet obijał mu się o udo, załadowany, zarepetowany i zabezpieczony, a u pasa zwiślały dwa noże zamiast jednego: jego stary, przywieziony z kraju oraz nowy, długi, który zrobił sobie z japońskiego bagnetu. Dwa granaty miał przyczepione do kłap kieszeni, a dwa inne spoczywały w jego bocznych kieszeniach. Nie zdołał dobrać się do thompsonów tak jak Charlie Dale, ale wciąż miał nadzieję, że później jakiś dostanie, może po zabitym. Szedł ciągle naprzód czując bardzo nieprzyjemne, nieomal mdlące mrowienie w żołądku i zerkając na prawo i lewo, by się upewnić, że nikt go nie dopędza.

Dostawali bardzo niewiele ognia. Od czasu do czasu jakaś pojedyncza kula uderzała w ziemię między nimi i wbijała się w nią albo rykoszetowała jęklonie nie trafiając

nikogo. Żaden nie potrafił rozeznaczyć, czy sąto rykoszety ze Wzgórza 209, czy świadomie wymierzony ogień. Te kule nie raniły nikogo, ale żołnierze mrużyli oczy i uchylali się przed nimi. Od czasu do czasu któryś padał na ziemię, gdy kula uderzała blisko niego, i zaczynał się czołgać, dopóki nie zawstydził go fakt, że inni szli wyprostowani dalej.

Kiedy się opuścili w suchy, bezdrzewny parów, mogli wyrzeć z za załomu Brzucha Słonia. Tam kompania G – jak – George uderzała ponownie na prawe zbocze Wzgórza 209. Podobnie jak Fox po lewej, założyła stanowisko dowodzenia i bazę ogniową na niższym, bocznym grzbiecie, i teraz ostrzeliwała główny wierzchołek moździerzami i karabinami maszynowymi, otrzymując w zamian gęsty ogień moździerzy ze wzgórza. Pod osłoną jej ognia dwa plutony z kompanii G podpełzały pod wierzchołek mijając skulone zwłoki, pozostałe po poprzednich próbach. Kompania C – jak – Charlie zwolniła, aby popatrzeć, a potem zatrzymała się w ogóle, gdy tamte dwa plutony poderwały się, z małymi, czarnymi bagnetami, widocznymi na karabinach na tle burego zbocza, i pognały ku szczytowi. Tym razem prawie doszły. Kilku ludzi na przedzie, może z pół tuzina, wpadło nawet między Japończyków, którzy powstali, by zewrzeć się z nimi na bagnety. Tutaj, na prawej stronie długiego grzbietu, gdzie przeciwległe zbocze nie było pokryte dżunglą, a na szczycie nie rosły żadne drzewa, zmagania ich były wyraźnie widoczne. I znowu przeważał gęsty ogień doskonale rozłokowanych japońskich karabinów maszynowych. Oba plutony załamały się i rzuciły do ucieczki. Mała grupka walcząca wręcz pozostała osamotniona, toteż próbowała oderwać się i także uciec skacząc w dół i koziółkując po zboczu na łeb, na szyję za swymi kolegami. Jednakże dwóm ludziom się nie udało. Widziano, jak Japończycy powlekli ich, żywych i stawiających opór, za grzbiet wzgórza.

Poniżej, w suchej, wąskiej dolince, C – jak – Charlie stała obserwując tę akcję z otwartymi ustami. Starszy szeregowiec Doll czuł, jak serce wali mu w gardle powoli i dudniąc. Z całą szczerością, która była prawie nieznośna, Doll zastanawiał się w duchu, jak ludzie mogą zdobyć się na takie rzeczy i co muszą czuć, kiedy to robią. Znaleźć się twarz w twarz z wrzeszczącym Japończykiem, który pragnie nas zabić, i walczyć z nim na gołe bagnety. To właśnie robiła tam kompania G. Doll znał wielu z nich. W kompanii G miał sporo bliskich przyjaciół. Upijał się z nimi. Ale być wleczonym przez grzbiet wzgórza między tych szwargoczących, wielbiących cesarza dzikusów? Jego prawa ręka ukradkiem sięgnęła do pistoletu. Postanowił zawsze trzymać w nim jedną kulę, przeznaczoną dla własnej głowy. Ale ci chłopcy tam nie zdążyliby użyć pistoletu, nawet gdyby go mieli. Jeśliby posługiwał się karabinem czy bagnetem, to jakże mógłby trzymać w ręce nagotowany pistolet? Wykluczone. Doll doszedł do wniosku, że będzie musiał zastanowić się głębiej nad tym problemem, zastanowić poważnie.

Powyżej, na zboczu, resztki obu plutonów przypadły do ziemi i wtuliły się w nią pod ogniem moździerzy i karabinów maszynowych.

**W tyle kompania C usłyszała krzyk. Obróciwszy się zobaczyli człowieka, który stał na pagórku drugiego batalionu i machał do nich rękami. Zrazu tylko patrzyli. Tamten wciąż krzyczał i wymachiwał rękami. Powoli ocknęli się z transu. Stein, który czuł się tak samo winny jak reszta, nagle odchrząknął i powiedział:**

**–No dobra, chłopcy, idziemy.**

**Zerkając ukradkiem jeden na drugiego, bo żaden nie chciał zdradzić, co czuje, ruszyli znowu, a Doll, ciągle na przedzie, poderwał się w nagłej obawie, że ktoś go może wyminąć.**

**Wzdychając głośno pociski artyleryjskie ciągle nadlatywały łukiem nad nimi i rozbijały się o grzbiet wzgórza. Granaty ze stopięćdziesiątekpiątek i stopiątek wybuchały na szczycie i po obu jego stronach z nieomal nieprzerwanym rykiem. Poniżej C – jak – Charlie posuwała się dalej nerwowo. Za dużo potencjalnie niebezpiecznych przedmiotów latało dziś wszędzie luzem.**

**Jednym z najbardziej zdenerwowanych był młody kapral Fife. Zjawił się późno, bo Stein posłał go do dowództwa batalionu z meldunkiem o miejscu, które wybrał sobie na stanowisko dowodzenia. Poza dwoma żołnierzami łączności, którzy w pewnej odległości za nim rozciągali kabel telefonu kompanii, Fife był ostatni w tej grupie. A ponieważ posuwał się tak wolno, pozostał ostatni. Przed sobą widział Stor ma, który maszerował z wysuniętą masywną szczęką niosąc w jednej ręce thompsona, z karabinem przewieszonym przez ramię, otoczony przez Dale'a z thompsonem i innych kucharzy. Niedaleko od nich szli Welsh, Stein i Band oraz dwaj kanceliści, Bead i Weld.**

**Fife chciał ich dopędzić, ale trudno mu było iść szybciej, bo rozglądał się to tu, to tam, czy ktoś lub coś w niego nie strzeli.**

**Kiedy Fife przeszedł przez grzebień wzgórza na przeciwległy stok, doznał osobliwego uczucia obnażenia. Dotąd tylko raz w życiu czuł się tak całkowicie odsłonięty, a było to na patrolu podczas manewrów, kiedy stanął na szczycie góry i spojrzał w dół, aby zobaczyć, jak daleko może zlecieć, jeżeli się zanadto wychyli. Jednakże dzisiaj temu uczuciu odsłonięcia towarzyszyło inne: całkowitego odosobnienia i bezradności. Za wiele było rzeczy, na które należało uważać.**

**Jeden człowiek po prostu nie mógł śledzić ich wszystkich, aby się chronić. Było mniej więcej równie łatwo zginąć przypadkiem jak wskutek zamierzenia wroga. Usiłował rozglądać się jednocześnie na wszystkie strony i brnął naprzód potykając się o twarde łodygi trawy albo kamienie. Gdy najpierw jedna, a w chwilę potem druga kula wzbijała przed nim kłębki kurzu, padł na ziemię i zaczął się czołgać, przekonany, że jakiś japoński snajper wybrał go sobie za cel. Czołganie się było ciężką pracą. Sięgająca do kolan trawa utrudniała mu orientację, dokąd zmierza. Pot ociekał mu z**

czoła na okulary. Wciąż musiał się zatrzymywać, aby je przetrzeć. W końcu przewiązał sobie czoło brudną chustką. To trochę pomogło. Ale niepokoiło go coś innego: jego granaty. Fife złapał dwa z tych, które Welsh rozdawał ludziom, podniósł oczka zawleczek i zapiął je na guzikach klap kieszeni. Gdy teraz pełzną, granaty podskakiwały i obijały się o ziemię, zahaczając o łodygi trawy. Przerażony myślą, że któraś z zawleczek zostanie wyciągnięta i uruchomi pod nim trzysekundowy zapalnik, wstydząc się tego uważał za swoje nędzne tchórzostwo, ale nie tak dalece, aby wstyd mógł zmyć ten wyimaginowany obraz, Fife odpiął klapy kieszeni, odturlał granaty od siebie, zostawił je i popełznął dalej. Kiedy jednakże podniósł głowę, by się rozejrzeć, zobaczył, że wszyscy żołnierze z kompanii, którzy szli wyprostowani, są niepokojąco daleko przed nim i coraz bardziej się oddalają.

Wtedy to właśnie przyszło Fife'owi powziąć heroiczną decyzję.

Choć strasznie bał się podnieść i zostać ostrzelany przez jakiegoś niewidocznego wroga, jeszcze bardziej lękał się, że mogą go oskarżyć o tchórzostwo. Czując mrowienie w mięśniach pleców powstał i z wahaniem postąpił jeden krok, potem drugi. Nic się nie stało. Ruszył klusem za kompanią, zgięty wpół, trzymając karabin przed sobą.

Kiedy następna kula wyrzuciła ziemię przed nim i odleciała z wyciem, przymknął oczy, potem otworzył je i pokłusował dalej.

Właśnie w owej chwili wszyscy zatrzymali się, aby popatrzeć, jak kompania G uderza na szczyt wzgórza, i Fife zdołał ich dopędzić. On także widział natarcie. Stał razem z innymi, oczy miał wytrzeszczone, usta rozwarte z niedowierzania, dopóki tamten wymachujący rękami krzykacz na pagórku nie przypomniał im, że nie są tu jedynie widzami. Wtedy Fife wybrał sobie miejsce między obsadą dowództwa kompanii i został z nią, bezsensownie pokrępiiony uczuciem, że znajduje się w tłumie. Wprost przed sobą mieli porośnięte krzakami dno parowu.

Kiedy wynurzyli się z zarośli i zaczęli wspinać pod górę, byli już niedaleko osłony bocznego wzgórza, gdzie znajdowało się stanowisko dowodzenia kompanii Fox. Po paru minutach mieli przejść za nie, zupełnie niewidoczni ze Wzgórza 209. I właśnie tutaj został ranny pierwszy żołnierz z kompanii. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy rozmyślnie, czy przypadkowo, bo nikt nie wiedział, czy bezładny ogień był w nich wymierzony, czy też po prostu były to zabłąkane kule z grzbietu wzgórza.

Człowiek ten nazywał się Peale i był już starszy, miał ze trzydzieści pięć lat, jeden z poborowych. Szedł pośrodku ich grupy, niedaleko od Johna Bella i niedaleko od Fife'a, a także obsady dowództwa, kiedy nagle przyłożył dłoń do uda i przystanął, a potem siadł trzymając się za nogę, z drżącymi wargami i zbielełą twarzą. Bell podbiegł do niego wyciągając swój opatrunek.

**–Nic ci się nie stało, Peale?**

**–Dostałem – odrzekł chrapliwie Peale. – Jestem ranny. Dostałem w nogę.**

**Jednakże, zanim Bell zdołał wydobyć opatrunek, zjawił się jeden z kompanijnych sanitariuszy z okładem z gazy, ogromnie przejęty tą pierwszą sposobnością wykonywania swego rzemiosła w boju. Podczas gdy Bell i Peale się przyglądali, rozerwał nogawkę spodni i obejrzał ranę, która krwawiła tylko powierzchownie. Po białej nodze ściekała ciemna strużka. Peale i Bell wpatrywali się w nią. Sanitariusz posypał okład proszkiem sulfamidowym i owinął go na ranie bandażem z gazy. Kula weszła w nogę, ale nie wyszła.**

**Peale zaczął się sztywno uśmiechać. Twarz nadal miał białą, wargi mu drżały, niemniej jednak usta rozciągały mu się w drętwy, ale radośnie cyniczny uśmiech.**

**–Możecie chodzić? – zapytał go sanitariusz.**

**–Chyba nie – odrzekł Peale. – Noga paskudnie mnie boli. Lepiej mi pomóżcie. Zdaje się, że minie dużo czasu, zanim znów będę mógł dobrze chodzić.**

**–No, to dawajcie. Zabiorę was na tyły – powiedział sanitariusz i stękając dźwignął go na zdrową nogę.**

**Za nimi, nadchodzący razem z dowództwem kompanii, Ciota Stein już nawoływał tych, co się zatrzymali, aby ruszali naprzód, szli dalej i nie przystawali. Najpierw jeden, potem drugi zaczął obracać się na powrót ku zboczcu.**

**–Cześć, Peale.**

**–Trzymaj się!**

**–Wszystkiego dobrego!**

**–Cześć, chłopaki! – zawołał za nimi Peale, a jego głos nabrzmiwał, w miarę jak się oddalali. – Cześć! Trzymajcie się, chłopaki!**

**Wszystkiego dobrego. Nie martwcie się o mnie. Minie dużo czasu, zanim znowu będę mógł dobrze łązić. Żaden doktor mi nie powie, że mogę chodzić na tej nodze. Powodzenia, chłopaki!**

**Wszyscy już go minęli wstępując na wzgórze, więc przestał wołać, tak jakby wiedział, że to daremne, i stał patrząc za nimi, a jego uśmiech zanikał. Potem zaś objąwszy jedną ręką szyję sanitariusza, zawrócił, aby zejść w dół. Fife, będąc jednym z ostatnich, którzy go mijali, dosłyszał, co mówił zawracając.**

**–Zarobiłem sobie na Fioletowe Serce – powiedział Peale do sanitariusza – i byłem w boju. Nigdy nie widziałem Japońca, ale nieważne. Jeszcze długo żaden doktor mi nie powie, że mogę chodzić na tej nodze. No, zabierajmy się stąd. Zanim znowu mnie trafią i zabiją. To już byłaby granda, no nie?**

**Fife, zbyt oszołomiony wydarzeniami tego dnia i nadal w stanie szoku, nie wiedział, co o tym myśleć, a zresztą nie myślał w ogóle.**

**Jego ucho po prostu rejestrowało te słowa.**

**Nieco dalej w przedzie John Bell, wspinając się pod górę, wie. dział jedynie, że ma wobec Peale'a dziwne, dwojakie uczucie żrącej zazdrości, a jednocześnie ogromnej ulgi, że to nie on sam został w ten sposób zraniony, okaleczony.**

**Nikt nigdy się nie dowiedział, czy zapowiedź Peale'a co do lekarzy spełniła się, czy nie, ale kompania C – jak – Charlie nie zobaczyła go więcej.**

**Przeszli już teraz za boczny grzbiet wzgórza. Uczucie ulgi, jakiego doznali, było olbrzymie, niewiarygodne. Sądząc po ich minach można by pomyśleć, że zostali przeniesieni daleko, aż do naprawdę bezpiecznej Australii. Przed nimi kompania B, będąca odwodem batalionu, równie odprężona, rozłożyła się na jedynym równym kawałku zbocza i już kopała sobie rowy przeciwodłamkowe na noc.**

**C – jak – Charlie przeszła przez nią wymieniając pozdrowienia nieomal histeryczne w swojej radosnej uldze, że znaleźli się poza linią ognia. Za nimi, teraz już niewidoczna, lecz dosłyszalna, toczyła się na Wzgórzu 209 walka.**

**Miejscem, które Stein wybrał sobie na stanowisko dowodzenia, była mała grań o sto jardów poniżej grzbietu. Tu odłączyła się obsada dowództwa i drużyny moździerzy, a Culp poszedł wyżej z plutonami strzelców, aby rozmieścić swoje dwa karabiny maszynowe...**

**Kiedy czekali, by wrócił i rozlokował granatniki, Mazzi i Tills, którzy byli członkami tej samej drużyny moździerzy, wdali się w dyskusję z Fife'em i Beadem o wydarzeniach tego dnia oraz o przejściu kompanii pod pierwszym ogniem.**

**U wszystkich wciąż przeważał nadmiernie wesoły nastrój ulgi i bezpieczeństwa. Ale gdzieś pod spodem czaiła się nie wypowiedana świadomość, że dziś wcale nie było ciężko, że to bezpieczeństwo jest tylko chwilowe, że szczęście się skończy i ludzie będą umierać. Było to widoczne w ciemnej głębi oczu każdego.**

**–Ten Tills – drwił Mazzi przykucnąwszy obok sześćdziesięciomilimetrowej podstawy płytowej, którą dźwigał. – Więcej czasu spędził brzuchem na tej pieprzonej ziemi niż stojąc. Nie rozumiem, jak mógł za nami nadążyć.**



**Tills, zakłopotany, nie odpowiedział.**

**–Nieprawdę mówię, Tills? – zapytał Mazzi. – Nie było tak?**

**–A tyś się pewnie ani razu nie kładł, co? – odparł Tills.**

**–A widziałeś, żebym to robił?**

**–No, niby nie – przyznał niemrawo Tills.**

**–Pieprzę twoje „niby nie”. Zresztą po co, powiadam? Każdy mógł poznać, że to nie wymierzony ogień, tylko zabłąkane kule od grzbietu. Więc mogło tak samo trafić cię leżącego jak stojącego. Może nawet lepiej.**

**–I pewnie ani razu nie miałeś pietra? – zapytał Tills gniewnie.**

**Mazzi nie odpowiedział, tylko wyszczerzył do niego zęby przechyliwszy w bok głowę i przymrużywszy oczy.**

**–Ano, ja miałem – powiedział wyraźnie Fife. – O mało się nie zesrałem ze strachu. Cały czas. Odkąd stąpnąłem na zbocze aż do chwili, kiedy doszedłem tutaj. Pełznąłem na brzuchu jak wąż. Nigdy w życiu tak się nie bałem.**

**Jednakże powiedzenie tego nic mu nie dało. Stwierdził, że choćby najbardziej to wyolbrzymiał, nie zdołałby przekazać rzeczywistego ogromu swojego lęku. Stawał się on tylko zabawny, kiedy się o nim mówiło. To wcale nie było to samo.**

**–Ja też – wtrącił mały Bead swoim dziecinnym głosem. – Miałem śmiertelnego stracha.**

**Stein akurat stał niedaleko z porucznikiem Bandem i jednym z dowódców plutonów, który zeszedł z grzbietu wzgórza, aby o coś zapytać, i Fife spostrzegł, że kapitan przerywa to, co mówił, i patrzy prosto na niego z zaskoczonym wyrazem niechętniej aprobaty. Było tak, jakby Ciota też chciał powiedzieć to samo, lecz nie mógł, a jednocześnie nie spodziewał się, że coś tak uczciwego wyjdzie od Fife'a. Przez chwilę Fife poczuł przelotną urazę. Potem, biorąc spojrzenie Steina jako wskazówkę, zaczął rozwodzić się o swej przygodzie w marszu pod ogniem. Nie zamierzał nikomu mówić o granatach, lecz teraz to uczynił robiąc z siebie błazna. Niebawem wszyscy już śmieli się do rozpuku, nawet trzej oficerowie i Mazzi, ten cwaniak z Nowego Jorku. Fife był „uczciwym tchórzem”. Jeżeli ktoś chce, żeby go ludzie lubili, niech zgrywa pajaca, z którego mogą się śmiać nie musząc przyznawać się do niczego o sobie samych. Jednakże wcale nie poprawiło mu to samopoczucia, nie złagodziło wstydu, nie usunęło całej nędzy strachu, który czuł nadal.**

**–Jeżeli o to idzie – powiedział wykorzystując nawet ten moment – to ciągle jestem**

**spietrany do zesrania.**

**Jak gdyby na dowód, że ma słusność, w powietrzu ozwał się na chwilę trzepotliwy odgłos, trochę tak, jakby ktoś dmuchał przez dziurkę od klucza, i trzy gejzery ziemi wytrysnęły w górę o trzydzieści pięć jardów od nich, po czym rozległ się jeden donośny huk. Na małym występie rozpoczął się mrówczy ruch, gdy wszyscy przypadali do ziemi na stoku jak najdalej od tej niespodzianki. Szeregowiec Mazzi był wśród nich, jeśli nie pierwszym, to na pewno nie ostatnim, i dzięki temu Tills miał ostatnie słowo.**

**–Ani razu się nie bałeś? – zapytał głośno, gdy wszyscy zaczęli wstawać z głupawymi minami, kiedy nie nadleciało więcej pocisków.**

**Każdy był rad, że może kpić z Mazziego i odwrócić śmieszność od własnego wygłupu. Ale Mazzi się nie śmiał.**

**–A ty „pewnie stałeś jak wielki zasrany bohater, pieprzona mordo – powiedział i tylną nogą kopnął ponuro na Tillsa.**

**Zaczęto coś bąkać o za krótkich strzałach, ale Stein zaraz to przerwał. Każdemu było wiadomo, że Japończycy mają zwyczaj miotać ciężkie pociski z moździerzy, aby wprowadzić zamieszanie, ilekroć zaczynał się ogień zaporowy artylerii amerykańskiej. Jednakże pociski z moździerzy położyły kres dyskusjom. Wszyscy postanowili jednocześnie odtroczyć łopatkami i zacząć kopać doły przeciwodłankowe, którą to ciężką robotę dotychczas odkładali. Bead i Weld zostali wyznaczeni do kopania dołów dla Steina i Banda, którzy zdecydowali, że pora dokonać inspekcji grzbietu wzgórza. Dozorować ich miał kapral Fife.**

**Podczas swego krótkiego komicznego występu w charakterze „uczciwego tchórze” Fife zauważył, że starszy sierżant Welsh był jedynym, który się nie śmiał. Miał tego, stojąc obok Storma (który ryczał ze śmiechu), tylko przypatrywał mu się bystro przenikliwymi, domyślnymi oczami. Teraz Fife, zasadziwszy swych pomocników do roboty przy rowach dla oficerów, podszedł do Welsha i Storma, którzy po dłuższej dyskusji na temat nocnej dywersji gotowali się do kopania sobie wspólnego dołu.**

**–Szefie, to tutaj zdecydowaliście się okopać? – zapytał wesoło.**

**Welsh, który właśnie odpinał łopatkę od plecaka, nie podniósł wzroku ani nie odpowiedział.**

**–Bo właśnie sobie myślałem, że jeżeli tak, to okopię się razem z wami – powiedział Fife.**

**Welsh nie zareagował.**

**–No, bo to jest równie dobre miejsce jak inne – mówił Fife. – Tutaj będziecie kopali, tak?**

**Welsh nadal nie zwracał na niego uwagi.**

**–Okej? – zapytał Fife. Ściągnął swój plecak.**

**Welsh przerwał rozpinanie rzemieni i spojrzał na Fife'a kamiennymi oczyma, z twarzą równie pozbawioną wyrazu jak nie ociosany granit.**

**–Splywaj – warknął. – Spierdalaj stąd. I trzymaj się z daleka ode mnie, chłopcze.**

**Storm przerwał pracę i patrzył.**

**Fife'a odepchnęła o krok złość brzmiąca w replice sierżanta.**

**–O, ho, ho! – Popróbował sarkazmu, który mu nie wyszedł. – Na pewno nie mam zamiaru narzucać się komukolwiek.**

**Welsh łypnął na niego w milczeniu, nie chcąc dać się wciągnąć w żadną małostkową dyskusję.**

**–Ano, chyba wiem, kiedy mnie nie chcą – powiedział Fife siląc się nieporadnie na żartobliwość. Wyraźnie speszony, nie potrafiąc tego ukryć, zawrócił i odszedł niosąc swój plecak za rzemienie.**

**–Dlaczego raz na jakiś czas nie potraktujesz tego chłopaka przyzwoicie? – zapytał Storm. Głos jego był obojętny.**

**–Bo nie mam zamiaru bawić się w niańkę i musieć matkować jakiemuś smarkaczowi, ot dlaczego. Mam dosyć własnych problemów. – Welsh wyprostował się znad plecaka. – O, tu jest trochę ziemi. Bierz łopatkę, a mnie daj motykę.**

**Storm nie odpowiedział, kiedy zamienili się narzędziami. Wyżej za nimi porucznik Culp schodził ze stoku wielkimi susami piłkarza na wakacjach. Prawie nie zatrzymując się przy stanowisku dowodzenia zabrał swą sekcję moździerzy i poprowadził ją do niemal poziomego miejsca o blisko sto jardów niżej. Stąd mogli miotać ponad szczytem pociski na spadziste, porośnięte dżunglą zbocze po drugiej stronie. Rozstawili moździerze i zabrali się do kopania własnego stanowiska obronnego na noc.**

**Przez dłuższy czas wszyscy byli zajęci kopaniem.**

**Szeregowiec Mazzi wciąż jeszcze był wściekły na Tillsa za to, że zrobił go w konia, kiedy upadły pociski z moździerzy. To było nie fair, bo przecież każdy się krył. A z**

drugiej strony podczas marszu Mazzi ani razu nie padł na ziemię. A Tillsa widział padającego co najmniej trzykrotnie. Więc Mazzi miał pełne prawo ośmieszyć Tillsa. A Tills nie miał prawa ośmieszać Mazziego. On i Tills byli jakoby kumplami, ale Tills zawsze wyprawiał Coś takiego.

Mazzi nie wybrał sobie Tillsa na kumpla. Nie miał ochoty przyjaźnić się z takim wsiakiem z zadupia. „Ale w tej drużynie moździerzy nie było wyboru. W tej drużynie moździerzy Tills był tylko nosicielem amunicji. Mazzi został wyznaczony na drugiego celowniczego i nosił płytę oporową. Jednakże w gruncie rzeczy też był tylko nosicielem amunicji, bo sierżant Wick i pierwszy celowniczy, którzy nosili rurę, robili wszystko wspólnie i we dwóch załatwiali całe strzelanie.

Mazzi rzadko mógł dotknąć przyrzędów, celowniczych. A drugi nosiciel amunicji, Tind, był ledwie smarkaczem z poboru. Nie pozostawał więc nikt oprócz Tillsa. Mazzi odnosił się do niego łaskawie, dawał mu mnóstwo dobrych rad i zawsze słusznych, a Tills stale to ignorował i robił coś innego, i zawsze wypadało to źle. Ale nie mógł się nigdy nauczyć i nie chciał przyznać, że Mazzi ma zawsze rację.

Oto jaki był skutek prób przyjaźnienia się z takim prostackim wsiakiem.

Ale tym razem Tills przeholował. Mazzi postanowił, że nie będzie miał więcej nic do czynienia z Tillsem. Porucznik Culp kazał im kopać dwuosobowe doły i zmieniać się – jeden czuwa, drugi śpi.

Mazzi normalnie kopałby razem z Tillsem. Ale teraz głośno zawołał Tinda, żeby z nim kopał, a Tillsa zostawił samego. Kiedy zaś skończył, poprosił Culpa o pozwolenie pójścia na grzbiet wzgórza. Wszyscy jego kumple, chłopaki oblatane, cała paczka z Bronxu i Brooklynu – Carni, Suss, Gluk i Tassi – byli tam z pierwszym plutonem.

Czuł, że Tills za nim patrzy, ale nie zwracał na niego uwagi. Niech sobie myśli, co chce, cholera. Przekona się, jak mu będzie miło. Fakt, że on, Mazzi, bał się, kiedy szli, nie miał z tym nic wspólnego. Nie padał na ziemię, tak czy nie? A bali się wszyscy.

Kiedy Mazzi wspinał się pod górę za stanowiskiem dowodzenia, z wierzchołka potoczył się ku nim po stromym stoku głośny ryk śmiechu. Ludzie z dowództwa powstawali i odchyliwszy głowy daleko do tyłu ujrzeli na wierzchołku, nieomal prosto nad sobą, żołnierzy z plutonu, małych, ale wyraźnie widocznych w świetle słonecznym.

–Co się dzieje, cholera? – zawołał do nich ktoś.

–Nelliemu Coornbsowi stanął! – odkrzyknął z góry jakiś głos. – To jest krzepa, nie? Kiedy tu czeka, żeby mu dupę odstrzelili.

**–Bujda! – zawołał ten z dołu.**

**–Akurat, bujda! – krzyknął głos z góry. – Sam widziałem. Wcale nie bujda.**

**Mazzi, wspinając się dalej, roześmiał się. Seksualne skłonności Nelliego Coombsa były nieomal legendarne i równie dobrze znane jak jego nierzetelne praktyki przy kartach. Wszyscy o tym wiedzieli.**

**A wszyscy tam, w pierwszym plutonie, byli kumplami Mazziego. Mazzi był ciekaw, ilu ich padało na ziemię podczas przejścia.**

**Linia rowów przeciwodłamkowych biegła łukiem wzdłuż pozycyjnego grzbietu wzgórza, równoległe i o kilka jardów niżej od grzbietu właściwego. Po drugiej stronie piętrzyły się nad nim wysokie drzewa dżungli, posplatane lianami. Z tego miejsca nad bocznym grzbietem i ledwie o kilka jardów poniżej najwyższego punktu Wzgórza 209 można było dojrzeć całą nieckę terenu bitwy. Oficerowie wdrapali się tam, aby obejrzeć linię kompanii, jeszcze zanim ukończono rowy, i kapitan Ciota Stein stał długą chwilę spoglądając na tę panoramę operacji wojskowej. Teraz, kiedy rowy już były gotowe, żołnierze z plutonu mogli zasiąść na ich krawędziach niczym na trybunie.**

**Jednakże nie wszyscy mieli na to ochotę i wkrótce na skraju dołu Nelliego Coombsa rozpoczęła się gra w dwadzieścia jeden, w której uczestniczyli Mazzi i jego nowojorscy przyjaciele. Okrzyki: „Biję!” i „Pasuję” współzawodniczyły z odgłosami walki 2 batalionu.**

**John Bell, choć zaproszony do gry, wolał zasiąść na krawędzi swojego rowu i obserwować kotlinę.**

**Był to groźny widok. Prócz stoków Wzgórza 209, ciągle ostrzeliwanych przez Japończyków, cały teren mrowił się od amerykańskich żołnierzy niosących zaopatrzenie i rannych. Drugi batalion nadal uderzał na wzgórze usiłując je zdobyć. Kiedy Stein stał tak długo przypatrując się temu, sytuacja była statyczna. Jednakże teraz, gdy pierwsze popołudniowe cienie zaczęły wypełzać z najgłębszych rozpadlin, nowy ogień artyleryjski zwałił się na prawe zbocze długiego pasma górskiego, gdzie przedtem nacierała kompania G. W kilka minut później nadleciało od zachodu dudnienie narastające w przenikliwe wycie i siedem P – 38 załadowanych bombami głębinowymi ukazało się na niebie, a potem przemknęło w górze. Samoloty dokonały dwóch wstępnych nalotów dla obserwacji, a za trzecim zrzuciły wielkie czarne bębny, które buchnęły oleistymi fontannami płomienia rozrywając się na grzbiecie wzgórza. Ani jeden nie trafił w japońskie zbocze od strony Amerykanów. Samoloty położyły się na skrzydła i odleciały. Piechota tęsknie spoglądała za nimi. Artyleria nadal wgryzała się we wzgórze.**

Japończycy, nie mający wsparcia samolotów ani artylerii, nadal stawiali twardy opór. Bell, który siedząc i patrząc postukiwał rytmicznie, w zamyśleniu, płaską stroną motyki o krawędź zwieszanej stopy, mimo woli czuł, oprócz strachu przed nimi, że mu ich trochę żal. Z drugiej strony był to żal czysto rozumowy. Oni by go nie żalowali, więc niech ich szlag trafi. Ale był rad, że jest po tej, a nie po tamtej stronie. Był także rad, że jest tutaj, a nie przy drugim batalionie. Myślowo współczuł prawie każdemu. Na przykład swojej żonie, Marty. W pewnym sensie ta wojna była cięższa dla niej niż dla niego. Bell wiedział, jak bardzo Marty potrzebuje fizycznej czułości i czerpanego z niej uspokojenia, utwierdzenia własnego istnienia, osobności. W pewnym sensie było dla Marty o wiele ciężiej znajdowała się tam, gdzie były światła, nocne lokale, alkohol, ludzie, niż dla niego być tutaj, gdzie nie miał żadnych pokus. O wiele ciężej.

Ale to wszystko było rozumowe. Emocjonalnie Bell współczuł najbardziej samemu – sobie.

Coś stało się z nim dzisiaj, kiedy Peale odniósł ranę. Może sprawiła to czysta przypadkowość tego zdarzenia. Nie było żadnego dobrego powodu, żeby ta kula trafiła Peale'a, a nie kogoś innego. Jednakże kiedy zobaczył tę małą dziurkę w jego nodze i strużkę krwi ściekającą po białym udzie, ewentualność własnej śmierci, może już wkrótce, a może nie, stała się dla Bella rzeczywistością. To go przeraziło. Bell doceniał przesądny talizman, jaki sobie uczynił z postanowienia, że po powołaniu do wojska nie będzie miał nigdy nic wspólnego z innymi kobietami; nie chciał nawet rozmawiać z nimi z obawy, że może poczuć pożądanie. Teraz dorzucił do tego pierwszego przesądu drugi, a mianowicie – że jeśli on i Marty pozostaną sobie wierni, to uda mu się wrócić z nie naruszonymi genitaliami. Wciąż postukując motyką o but, nadal obserwował kotlinę zastanawiając się, czy ten pierwszy lekki napad malarii, który miał rano, powróci wieczorem. Wszyscy, którzy ją mieli, mówili, że wieczór jest najgorszą porą, jeżeli idzie o ataki.

Samoloty przyciągnęły uwagę wszystkich, nawet grających w karty, i kiedy ogień artyleryjski ustał, każdy, kto był dostatecznie wysoko, zajął się obserwowaniem. Z tego miejsca odległość do Wzgórza 209 była większa, a malutkie, zielono odziane figurki słabiej widoczne. Posuwając się w górę po zboczu znikwały i pojawiały się znowu. Znacznie bliżej, choć także daleko, widać było małe figurki sekcji kompanii Fox na przeciwległym stoku bocznego grzbietu, odpalające zaciekle swoje moździerze. I zresztą na całej drugiej stronie kotliny, podczas gdy cienie wypełzały z zagłębień, wszędzie tam, gdzie była jakaś broń, ludzie obsługiwali ją z zajądłością, kładąc ogień na grzbiet wzgórza.

Tym razem tamci doszli. Malutcy, zielono ubrani Amerykanie starli się pierś w pierś z malutkimi Japończykami, zepchnęli ich i zniknęli za szczytem. Po chwili, kiedy nie ukazali się uciekając do tyłu, w całej kotlinie i na zboczach ozwały się nikłe wiwaty, pobudzane jak gdyby bardziej przez poczucie obowiązku niż jakąś prawdziwą

radość. Bez wątpienia wszyscy, tak samo jak kompania C, która wiwatowała dosyć wążło, myśleli bardziej o tym, co czeka ich jutro, niż o tym, co 2 batalion osiągnął dzisiaj.

Jednakże jutro nie miało być takie złe. Drugi batalion otrzymał rozkaz ponowienia szturm u o świcie, tym razem na Wzgórze 210, Głowę Słonia, najważniejszy cel natarcia pułku. Ta dobra wiadomość dotarła do nich wieczorem, razem ze szczegółami dzisiejszej walki.

Dowódca pułku podyktował biuletyn, który został przepisany odręcznie na miejscu przez kancelistów i rozesłany do wszystkich kompanii. Donosił on, że oręż amerykański zatryumfował. Całe Wzgórze 209 było teraz w rękach Amerykanów. Kompania E (którą ludzie z C – jak – Charlie widzieli przechodzącą przez ich front tak drętwo i milcząco) przemaszerowała tysiãc sto jardów skrajem dżungli pod ostrzałem z dwóch kierunków i straciwszy dwudziestu pięciu ludzi dopełniła z pomocą kompanii G – jak – George okrążenia pozycji japońskich. Zabili pięćdziesięciu Japończyków, zdobyli siedemnaście karabinów maszynowych, osiem ciężkich moździerzy i mnóstwo mniejszej broni. Nie wzięli żadnych jeńców; ci Japończycy, którzy nie wymknęli się na Wzgórze 210, woleli umrzeć. Straty 2 batalionu wyniosły 27 zabitych i 80 rannych, z których wielu pozbierano na zboczach po bitwie. Większość poległych Japończyków nie była w dobrej kondycji fizycznej, a wielu najwyraźniej cierpiało na niedożywienie.

Były to wiadomości oficjalne, do zapisania w dokumentach pułkowych. Kompanii C było to całkiem obojętne. Oczywiście cieszyli się, że 2 batalion zdobył wzgórze. Ale jeszcze bardziej ucieszyła ich wiadomość, że 2 batalion kontynuuje natarcie. To, że Japończykom brakowało żywności, nie interesowało ich wcale. Zainteresowała ich liczba strat, aczkolwiek po tym, co widzieli, wydawało im się, że jest zdumiewająco mała. Tkwiła w tym jakaś nadzieja. Ma się rozumieć, jeżeli powiedziano im prawdę.

Jednakże wiadomość, która zaciekaowała ich najbardziej, była nieoficjalna. Nie została zamieszczona w biuletynie dowódcy pułku, ale przekazywał ją ustnie każdy z gońców roznoszących biuletyn. Była to relacja o tym, co stało się z owymi dwoma ludźmi z kompanii G, których widzieli wleczonych przez Japończyków za wierzchołek wzgórza podczas poprzedniego natarcia. Ich ciała znaleziono na przeciwnym stoku po wycofaniu się Japończyków. Obydwóm zadano liczne rany bagnetami, a jeden został żywcem ścięty szablą. Posuwająca się naprzód kompania E znalazła go z rękami związanymi na plecach i głową położoną na piersi. A jako gest „wyzwania czy nienawiści, czy czegoś takiego, Japończycy po ścięciu go oderżnęli mu genitalia i wsadzili je w usta odrąbanej głowy. O tym, że uczynili to już po śmierci, świadczył brak krwi przy okaleczonym kroczu. A to, że go ścięto za życia, było równie jasne sądząc po ilości krwi, która wsiąkła w ziemię przy przerażanej szyi.

Czyste barbarzyństwo tego postętku podziało na kompanię C jak chluśnięcie

zimną wodą. Po lodowatym, dżgającym w żołądku strachu przyszedł natychmiast wściekły gniew. Ci, z którymi walczyli, byli weteranami z Burmy, Chin i Sumatry. Dobrze wiadano, że jawnie głosili swoją nienawiść do wszystkich białych ludzi. Wiedziano też, że popełniali takie okrucieństwa w Chinach i na Filipinach na swoich ciemnoskórych pobratymcach. Ale żeby ośmielili się zrobić to samo cywilizowanej, białej piechocie amerykańskiej, a zwłaszcza temu pułkowi z tej dywizji – to było właściwie nie do wiary, a już na pewno nie do zniesienia. Burzliwie obiecywano sobie za Boga nie brać jeńców. Wielu poprzysięgło, że od tej pory chłodno i z zimną krwią zastrzelą każdego Japończyka, który im się napatoczy – i to najlepiej w bebechy.

Źródła oficjalne usiłowały zataić sprawę. Może obawiano się, że zbyt zastraszy żołnierzy. Ale raczej uważano zapewne, że jej ujawnienie włączy podstawowe problemy ludzkie do tego, co źródła oficjalne pragnęły przedstawić jako zasadniczo prostą, nieskomplikowaną sytuację wojenną. Stein to wyczuwał, ale nie zgadzał się z tym.

Źródła oficjalne zawsze chciały czystej, wyraźnej, łatwo zrozumiałej kampanii wojskowej, dającej się później bez trudu wyjaśnić w kategoriach strategii oraz taktyki, i takiej, o której generałowie na całym świecie mogliby pisać czysto – a rzecz tego rodzaju była kłopotliwa dla tej koncepcji. Jednakże na przekór źródłom oficjalnym wiadomość rozniosła się błyskawicznie po froncie, a Stein nie zamierzał przyczyniać się do jej przemilczenia. Żołnierze powinni byli wiedzieć, z czym mają do czynienia. Może ci dwaj biedacy niewiele czuli.

Bądź co bądź, przy całej tej adrenalinie, furii i szoku walki wręcz, byli zapewne na wpół szaleni. Stein nie widział żadnej innej nadziei -.

Kiedy goniec, który przyniósł biuletyn, powtórzył bez ogródek w dowództwie tę drugą, nieoficjalną wiadomość, wybuchła nieomal burza morderczej reakcji. Storm, Bead, Culp, Doll, który przyszedł z meldunkiem od 1 plutonu, a także porucznik Band, czynili krwiożercze postanowienia. Storm wydawał się szczególnie morderczy. Tylko Welsh ze swymi chytrymi oczami milczał i nie pokazywał po sobie niczego. Mały Dale, drugi kucharz o przygarbionych ramionach, napiętej, twardej twarzy i płaskich oczach, niemal wychodził z siebie i klął się, że strzeli w bebechy każdemu Japończykowi, który spróbuje podejść do niego, żeby się poddać, a jeszcze przedtem pobawi się z nim pięć minut. Natomiast reakcją młodego kaprala Fife'a (choć nie powiedział ani słowa) był strach, niedowierzenie, a w końcu ogromna zgroza (z zazdrością patrzył na innych), że stworzenia, które mówią jakimś językiem, chodzą na dwóch nogach, noszą ubrania, budują miasta i twierdzą, że są istotami ludzkimi, mogą traktować siebie nawzajem z takim szatańskim, zwierzęcym okrucieństwem. Najwyraźniej jedynym sposobem ostania się na tym świecie tak zwanej ludzkiej kultury, którą stworzyliśmy i z której czujemy się tacy dumni, jest być bardziej niegodziwym, podłym i okrutnym od tych, z którymi się stykamy. I Fife po raz pierwszy w życiu zaczynał przypuszczać, że nie ma twardości charakteru, której



to wymaga.

Starszy szeregowiec Doll był tym, który zaniósł wiadomość na górę, do plutonów w linii. Kiedy wracając do pierwszego plutonu zatrzymał się, by ją przekazać drugiemu, John Bell właśnie stał ze swoim dowódcą drużyny, Matką McCronem, Dużym Queenem i jeszcze jednym żołnierzem nazwiskiem Cash. Queen, którego zrobiono sierżantem po odpadnięciu Stacka, oraz Cash byli obaj z I plutonu.

Drużyny Queena i McCrona znajdowały się na styku obu plutonów, a rowy Bella i Casha stanowiły właściwy punkt połączenia. Sierżanci właśnie mówili im obu, żeby się razem ulokowali na noc, tak aby jeden spał, a drugi czuwał dla ułatwienia łączności między plutonami, kiedy Doll, dysząc ciężko, dotarł na szczyt z wiadomością.

Bell jeszcze nigdy nie widział takich reakcji na ludzkich twarzach.

Duży Queen poczerwieniał z wściekłości jak burak i zaciskając swe wielkie pięści począł mamrotać coś o rozwalaniu czaszek. McCronowi oczy zmętniały i zamglily się, a na twarzy pojawił się mimowolnie wyraz zawstydzenia, tak jakby nie chciał słuchać, gdy smutnie mamrotał: „A to parszywe skurwiele!” Natomiast Cash, wysoki, masywnie zbudowany poborowy z Ohio, który był taksówkarzem w Toledo, a w kompanii nosił po prostu przezwisko „Dryblas”, uśmiechnął się. Miał zimną, radośnie ostrą twarz, twardą i chropawą jak skorupa orzecha, i kiedy się tak uśmiechnął i oblizał wargi przymrużywszy niebieskie oczy, wyglądał zdecydowanie i przeraźliwie morderczo.

Powiedział tylko: „Okej” bardzo cicho, ledwie tchnąwszy to słowo.

Powiedział to kilka razy. Reakcja Bella była taka, że poczuł się chory, fizycznie chory. Nie mówił nic. Ale myślał. Myślał o nowym talizmanie, który mu właśnie dzisiaj przyszedł do głowy, i myślał o swojej żonie, Marty. Ach, Marty. Miał nadzieję, że gdyby mu się przydarzyło coś podobnego, nikt nigdy jej nie napisze ani nie powie, jak skończył ten jego członek i jądra, które tak uwielbiała.

Wieczór tego dnia, jakby w cynicznym kontraście do wiadomości, był śliczny. Tutaj, na wzgórzach, noc nie zapadała tak szybko jak w dole, między drzewami. Zmierzch się ociągał przemieniając wszystko, z powietrzem włącznie, w różowość, tak jakby nie chciał ustąpić i pograżyć ludzi w czerni ich pierwszej nocy w boju. Nie odszedł, dopóki, jakby diabolicznie, nie ukazał im widoku pięknego, znaczonego smugami na niebie, tropikalnego zachodu słońca. Była to pora do rozmyślań o spokoju i o kobietach.

Na krótko przed zapadnięciem ciemności, kiedy przyszedł czas posiłku, stwierdzili, że nie ma wody. Było w bród racji polowych. Ale ludzie przysłani z plutonów

siedzących na szczycie o wiele bardziej pragnęli wody niż jedzenia. Słońce, gorąco, duchota i pocenie się były okropne, a wszystkie manierki puste.

Widzieli przedtem jeepy załadowane pojemnikami z wodą, jadące od rzeki. Ale cokolwiek się z nimi stało – czy skierowano je na tyły, czy woda wylała się na ziemię – nie było ich na froncie. W końcu, po długim handryczeniu się, użeraniu przez telefon i wysyłaniu gońców tam i z powrotem, Stein zdołał wydębić tyle wody, że każdy dostał pół manierki, co miało wystarczyć na cały następny dzień. Kolację zjedli na sucho i na zimno, przelękając ją bez żadnego płynu do popicia.

W nocy dwukrotnie padał deszcz. Nikt nie spał wiele. Rzucono niepotrzebnie dużo granatów. A od czasu do czasu płomieniste wiązki ognia karabinowego rozświetlały noc zdradzając stanowiska, nie trafiając niczego.

O świcie, obrośnięci, zabłoceni, brudni i lepcy, wstając w swych dołach, aby popatrzeć, jak 2 batalion rusza przez szczyt Wzgórza 209, ludzie z kompanii C wyglądali tak, jakby tu żyli od miesięcy.

W chłodnej mgie brzasku, z tak daleka, trudno było dojrzeć tamtych, gdy po jednym, przygięci, trzymając karabiny oburącz lub w jednej ręce, przeskakiwali ostatni kawałek grzbietu i znikali. Wzniosły się urywane radosne okrzyki i ucichły. Potem ci, co zostali na miejscu przypatrywali się już w milczeniu. Po zdobyciu Łopatki Słonia i Wzgórza 209 linia wiała się na długości tysiąca jardów i więcej po konturach kilku grani, które tworzyły grzbiet Tańczącego Słonia.

Kiedy poderwano i posłano naprzód atakujące kompanie 2 batalionu, między obydwoma batalionami otworzyła się luka i C – jak – Charlie musiała w ciągu rana dwukrotnie się przesunąć.

Śniadanie także przełknęli na sucho. Potem nie było już nic do roboty poza siedzeniem i czekaniem. Kiedy przyszły rozkazy, przesunięcie nie było trudne do wykonania. Lewy pluton po prostu cofnął się, przeszedł na tyły prawego i zajął stanowiska w wyznaczonym miejscu. Następnie dołączył do niego przedtem prawy, a obecnie lewy pluton. W lewo od C – jak – Charlie kompania A wykonywała taki sam manewr, a na lewo od niej wchodził batalion pułku odwodowego dywizji.

Mimo tych dwóch przesunięć nie przeszli dość daleko w prawo, aby zobaczyć właściwy teren bitwy. Byli teraz już prawie na Łopatce Słonia i słyszeli ogień moździerzy i karabinów maszynowych. Ale właśnie tutaj, tak jakby Tańczący Słoń przygarbił swój masywny grzbiet, aby zachować równowagę, grań zaginała się do wewnątrz, tworząc załomek dżungli, który przesłaniał widok. Byli teraz na tym samym zboczach co wczoraj, kiedy obserwowali, jak kompania F uderzała na szczyt i została odparta; rozpoznawszy to miejsce z uczuciem niepokoju, usadowili się tam znowu, by patrzeć. Nie byli nieświadomi faktu, że za każdym przesunięciem

przysiężali się do bitwy, a nie oddalali od niej.

W trakcie jednego z tych przerzutów Piłkarz Culp spostrzegł jakiś ruch w zaroślach poniżej, czy też tak mu się tylko wydało. W owej chwili znajdowali się na wprost i nieco powyżej bocznego grzbietu, gdzie wczoraj było stanowisko dowodzenia kompanii F, a u stóp jego przedniego stoku mała, zarośnięta krzakami dolinka opadała stromo do głównego parowu. Culp przystanął, gwizdnął cicho i wskazał ręką. Daleko pod nimi, w kotlinie tak niedawno odebranej nieprzyjacielowi, posuwały się wszędzie rzędy i grupy ludzi niosących zaopatrzenie, ale tu, na przednim stoku bocznego grzbietu, nie było nikogo.

Nikt inny nie dojrzał żadnego ruchu w zaroślach, lecz mimo to zorganizowano ochoczo rodzaj polowania na ludzi. Od wczoraj tych siedmiu, którzy mieli nowe thompsony, zaczęło coraz bardziej i niezależnie od stopnia uważać się za rodzaj prywatnego klubu. Welsh, Storm, Dale, MacTac, oficerowie Stein i Band – wszyscy z wyjątkiem Culpa należeli do dowództwa kompanii, a i Culp, jako komendant plutonu broni ciężkiej, prawie stale przebywał przy dowództwie.

Teraz właśnie ów klub przystąpił do polowania. Rozstawiwszy się tak, by nic w dolince nie mogło ująć przed ich połączonym ogniem, czekali, podczas gdy reszta obsady stanowiska dowodzenia razem z plutonem odwodowym zatrzymała się, aby popatrzeć, a Culp i MacTac ruszyli dolinką jak naganiacze. Choć przeszli już połowę drogi, bacznie obserwowani przez wszystkich, wciąż nic się nie poruszało.

–Uwaga! – zawołał z góry Culp szczerząc wszystkie zęby. – Puszczę po nich ze dwie serie, jeżeli tam są. Zatrzymajcie się.

Przyłożył broń do boku w przepisowy sposób i posiał po krzakach dwiema krótkimi seriami. Kiedy puścił spust, miał zaskoczoną minę.

–Te cholery naprawdę kopią. Bardziej, niż myślałem.

W krzakach nadal nic się nie poruszyło.

–Chodźmy zobaczyć – powiedział MacTac. Obaj zniknęli w zaroślach, które chwiały się nad ich głowami, gdy postępowali naprzód.

Wyszli z głupawymi minami.

–Nic – powiedział Culp. – Ale nigdy nie wiadomo. Mogli tam być. Zwiadowcy, wiecie.

Miał zupełną rację. W rejonie drugiego batalionu nastąpiło w nocy przenikanie nieprzyjaciela. Niemniej jednak było dużo nerwowego śmiechu jego kosztem, kiedy wszyscy wdrapywali się z powrotem do plutonów w linii. Przez chwilę trwało ogromne napięcie nerwowe, które teraz rozładowało się w śmiechu z Culpa. Ku

swemu zaskoczeniu stwierdzili, że żaden z nich nie posługuje się wprawnie bronią. Za dobrze i za długo uczono ich ścisłych zasad bezpieczeństwa na strzelnicy, by czuli się swobodnie strzelając nad głowami kolegów.

Wkrótce po południu nastąpiło japońskie przeciwnatarcie. Kiedy skończył się ogień i zaczęli porównywać swoje spostrzeżenia, odkryli, iż żaden z nich nie mógł uczciwie powiedzieć, że widział Japończyka podczas strzelaniny. Później dowiedziano się, że kompania D po ich prawej rzeczywiście odparła natarcie prawdopodobnie silnego patrolu i zabiła kilku nieprzyjaciół. Jednakże, kiedy zaczęła strzelać, ogień rozprzestrzenił się po całej linii, i w końcu wszyscy, włącznie z batalionem pułku odwodowego daleko po lewej, ciskali granaty i strzelali ponad wierzchołkiem w dżunglę, czy widzieli jakichś Japończyków, czy nie. A nawet później, kiedy już było po wszystkim, co najmniej połowa strzelających uważała, że odparli duże natarcie japońskie. Inni, którzy orientowali się lepiej, przez chwilę wydawali się zakłopotani wśród tego podniecenia, ale nie mogąc się oprzeć wzięli udział w ogólnym rozradowaniu. Kilku może zastanowiło się, co sobie pomyślał patrol japoński widząc, linię długości tysiąca jardów raptem wybuchającą strzelaniną do niczego; musieli serdecznie się uśmieć.

Rzecz dość ciekawa, jednym z owych cyników był kapral Fife.

Wraz z resztą dowództwa kompanii pognął do linii, kiedy zaczął się ogień. Wystrzelał cały magazynek zawierający osiem naboí i już przeładował zamierzając strzelać dalej, gdy wtem tknął go zdrowy rozsądek w postaci głębokiego zgnębienia bezużytecznością tego wszystkiego. Wszędzie dokoła ludzie pokrzykiwali radośnie, ciskali granaty i strzelali. O kilka stóp w lewo Welsh, klnąc wesoło i uśmiechając się w uniesieniu, siał pociskami ze swego thompsona po wszystkim, co było w zasięgu wzroku. Przed nimi pusty podszyt dżungli chwiał się i szeleścił, jak podczas ulewy, a od drzew odpryskiwały kawałki kory i drewna. Fife, ogarnięty depresją, zabezpieczył broń, odczołgał się kilka jardów w tył od linii i usiadł na osobności opierając się na swym karabinie trzymanym między kolanami. Co z nim się działo, cholera? Nie potrafił wziąć udziału nawet w tym radosnym wybuchu bezsensownej strzelaniny. Ale najbardziej go przygnębiała świadomość tych wszystkich nowych sytuacji, w które go rzucono i których nie potrafił ani ocenić, ani zrozumieć. Było to tak, jakby oślepl.

Właśnie podczas tego „przeciwnatarcia” starszy szeregowiec Doll rzucił swój pierwszy ostry granat i było to przeżycie traumatyczne.

Doll stracił ufność w siebie. W miejscu, gdzie stał, grań lekko opadała i wznosił się tam wysoki po piersi wał gliny (nie wiadomo, czy był dziełem rąk ludzkich, czy nie), za którym można było stać jak w okopie, chociaż od tyłu otwierał się na całą kotlinę. Kiedy zaczęła się strzelanina, była zrazu słaba i sporadyczna i rozprzestrzeniała się powoli, ale gdy zgęstniała i głucho dudnienie granatów zabrzmiało wśród grzechotu ognia karabinowego, Doll, który już wystrzelał magazynek, wy dobył z kieszeni jeden

ze swoich czterech granatów i wyciągnął zawleczkę. Dla bezpieczeństwa porozginał zawleczki tak szeroko, że teraz musiał przygryźć ją, żeby wylazła, co przeszło ostrym świdrem bólu jego chory ząb. Może to właśnie go wykończyło. Pamiętał filmy, w których żołnierze wyciągali zębami zawleczki granatów, i Uświadomił sobie z szokującym poczuciem własnej niezdatności, że jego zęby nigdy by tego nie wytrzymały. Tak czy owak czekał za długo. Zawleczka była już wyciągnięta, a on stał i patrzył na ten ciężki, pomarańczowy, żłobkowany, żeliwny przedmiot, który miał w ręce. Dopóki go ścisnął przytrzymując blaszaną łyżkę, granat nie był niebezpieczny, ale Doll już czuł, że zaczyna mu się ślizgać w dłoni. Wiedział, że gdyby nawet nie rzucił już zawleczki na ziemię, byłoby niemożliwe i niebezpieczne wetknąć ją na powrót. Uruchomił granat i teraz z nim stał, a jeśli nie chciał go trzymać bez końca, podczas gdy dłoń słabłaby mu powoli czy rozwarła się chwycona kurczem, musiał go rzucić; lecz w gruncie rzeczy miał ochotę po prostu upuścić go na ziemię, zawrócić i uciec. To oczywiście było obłądne, szalone. Gdyby granat nie zabił jego, z pewnością pozabijałby ludzi dokoła. Czemu, ach czemu wyciągnął tę zawleczkę? Zacisnął zęby tak, że zaboląły go szczęki, bardzo starannie rozstawił nogi, niepomny hałasu i strzelaniny dokoła, i wpatrując się wytrzeszczonymi oczyma w ów przedmiot, który miał w ręce, tak jakby trzymał zapaloną bombę, którą istotnie był, cisnął go z całej siły w dżunglę i przypadł za wałem, słysząc pyknięcie zapalnika tak głośno, jakby było eksplozją.

Kiedy wyciągał granat z kieszeni, miał zamiar popatrzeć, jak odpala i wybucha. Teraz nawet nie przyszło mu to do głowy. Tak samo nie mógłby stać i patrzeć, jak polecieć za nim. Zza wału usłyszał głuchy huk, a zaraz potem dwa inne. Nie miał się nigdy dowiedzieć, który był jego, i nie dbał o to. Wstrząśnięty, przywarł dygocząc do wału, a potem, zaczerwieniony z wściekłości, wstał i zaczął gniewnie strzelać w pustą dżunglę mając nadzieję, że nikt go nie widział.

Wystrzelał trzy magazynki jeden po drugim, ale nie próbował więcej rzucać granatów. Kiedy już było po wszystkim, po prostu odwrócił się w miejscu i usiadł podkurczywszy kolana, oparty plecami o wał, dysząc konwulsyjnie i wpatrując się wściekle w pustkę.

Jakimś sposobem podczas tej strzelaniny znalazł się za kompanią C zabity – żołnierz. W podnieceniu zrazu go nie zauważono. A potem wszyscy go nagle odkryli. Całe grupki ludzi obróciły się jednocześnie i patrzyły zaskoczone. Nikt nie miał pojęcia, jak się tam znalazł, skąd przyszedł ani kim był. Nie mógł należeć do kompanii C, bo nikt w niej nie został trafiony. Nie mógł też zginąć teraz, podczas „przeciwnatarcia”, bo był już wyraźnie zeszywniały. Po prostu tak się jakoś pojawił. O dziesięć jardów od grzbietu, na stoku, który nie był tu tak spadzisty jak w innych miejscach, na małym glinianym występie szerokości około dwóch jardów, leżał na boku w pozycji przypominającej płód, z kolanami podciągniętymi do piersi, z na wpół zaciśniętymi dłońmi podniesionymi do twarzy, choć jej nie dotykały.

W hełmie na głowie, z pasem zapiętym na zielonej drelichowej bluzie, zdawał się kryć przed czymś, co już go dosięgło. Tuż pod tym małym występem zbocze opadało ostro i gdyby raz się przetoczył, mógł być spaść na samo dno kotliny. Wielu żołnierzy z kompanii C żałowało, że nie spadł.

Ustalono później, że był z drugiego batalionu i został zabity wczoraj, ale go znaleziono dopiero teraz, bo zleciał kilka kroków za grzbiet.

Znalazła go kompania D ścigając japoński patrol i położyła na tym występie za kompanią C, kiedy ta była zbyt pochłonięta strzelaniem, aby to zauważyć. Tak czy owak był tutaj. Fala podnieconych rozmów i śmiechów z wolna zamarła. Zaczęło się gniewne marszczenie brwi. I pomruki. Kompania C uważała, że niczym na to nie zasłużyła, i była zła, że go jej podrzuciono. Kilku ludzi, którzy ostrożnie zbliżyli się do zabitego na sześć czy siedem kroków, zawróciło mówiąc, że śmierdzi. Może jeszcze nie silnie, ale na tyle, że było to przykre. Wprędce rozległy się wołania: „Sanitariusz! Sanitariusz!”

„Gdzie, do cholery, są ci przekłeci sanitariusze?” „Powiedźcie im, żeby zabrali stąd tego sztywnego!” Wszyscy byli oburzeni.

Przyszli po niego. Czy spowodowały to nawoływania kompanii C, czy nie. przyszli po niego. Dwaj znękani ludzie wdrapali się z dołu taszcząc złożone nosze. Byli wyraźnie zmęczeni i bardzo źli. Złapali go za zeszywniałą rękę i nogę, tak jakby to były uchwyty, i ułożyli na wznak na noszach, ale kiedy spróbowali je podnieść, o mało nie zleciał. Wówczas przekręcili go na bok. Kiedy tym razem je podnieśli, stoczył się na ziemię. Wtedy puścili nosze, podparli się pod boki i popatrzyli na siebie z minami ludzi, którzy już mają dosyć wszystkiego. Wreszcie schylili się, chwycili trupa za ręce i nogi, i tak go ponieśli w dół po stromym zboczu, przy czym jeden z nich włókł nosze za ramię. Nie odezwali się do nikogo ani słowem.

Kompania C przypatrywała się temu wszystkiemu wytrzeszczonymi oczami, i osłupieniem na twarzach. Nie mogli oprzeć się poczuciu, że ci dwaj okazali pewien brak poszanowania, traktując w ten sposób niedawno zabitego człowieka; jednocześnie byli świadomi, że ich własna reakcja także załatwywała nieposzanowaniem. Nikt teraz nie chciał tego biednego lebiegi. Jednakże cokolwiek działał dla drugiego batalionu w ostatnich chwilach swojego życia – a przypuszczalnie niewiele – z pewnością dokonał czegoś po śmierci. Trwale i skutecznie położył kres krótkotrwałemu nastrojowi ogromnej, roześmianej pewności siebie kompanii C – jak – Charlie.

Była godzina druga trzydzieści. Podczas gdy te wydarzenia zaprzętały uwagę kompanii, bitwa za załomem, którą słyszeli nie widząc jej, trwała dalej z niesłabnącą siłą. Po raz pierwszy zaczęły teraz wracać z niej całe grupy. Natarcie się nie powiodło. Biegając przewalali się zdyszani przez grzbiet i leżeli oddychając

histerycznie, urywanie, z oczami jak ciemne dziury wywiercone w ich wstrząśniętych, wściekłych, niedowierzających twarzach. Napływały coraz liczniejsze grupy, bezładne, porozbijane, rzadko razem z własnymi drużynami. Wszystko poszło w diabły – sapali. Kompania C była teraz tak blisko Łopatki Słonia, gdzie główna grań skręcała ku jego przednim nogom i tułowiu, że w miarę jak coraz liczniejsi ludzie wracali i rozpraszali się na wewnętrznym stoku, niektórzy przenikali na jej teren. Kilku nawet przebiegło pędem przez prawy skraj jej linii wrzeszcząc, żeby nie strzelać, na miłość boską nie strzelać. Dopadłszy za linię, po prostu osuwali się na ziemię. Jeden chłopak, siedząc w rzędzie pięciu czy sześciu innych, płakał jawnie jak dziecko, oparłszy się czołem i dłonią o ramię sąsiada, który gładził go z roztargnieniem, patrząc prosto przed siebie rozognionymi oczyma. Żaden nie wiedział, jaka jest sytuacja ogólna, ani nie miał pojęcia, co działo się gdziekolwiek poza miejscem, gdzie sam był. Ludzie z kompanii C, zawstydzeni, przypatrywali im się w milczeniu szeroko otwartymi oczami, z pełną respektu czcią dla bohaterów, której żaden naprawdę nie chciałby utracić, gdyby to wymagało – co było nieuniknione – przeżycia tego samego, co oni.

To, co czuli, zilustrował incydent, którego świadkiem była większość kompanii C. Nie była to reakcja rozumowa, ani nie można by jej uczciwie nazwać reakcją badacza wojen. Dowódca dywizji obserwował dzisiejszą walkę ze szczytu Wzgórza 209. Ma się rozumieć, jego kariera zależała od tej ofensywy. Kiedy grupy wstrząśniętych żołnierzy zaczęły się wycofywać w nieładzie, chodził między nimi z uśmiechem, zagadując, próbując ich pokrzepić.

–Nie damy się zlać tym Japońcom, prawda, chłopcy? Co? Oni są twardzi, ale nie tacy twardzi jak my, no nie?

Jakiś siedzący na ziemi chłopak, tak młody, że mógłby być jego synem, jeśli nie wnukiem, popatrzał na niego rozszerzonymi oczyma.

–Generale, niech pan tam idzie! Niech pan tam idzie, generale, niech pan tam idzie!

Generał uśmiechnął się do niego ze współczuciem i przeszedł dalej.

Chłopak nawet za nim nie spojrzał.

W połowie głównego grzbietu punkt sanitarny batalionu był przepełniony tyloma rannymi, że trzech lekarze nie mogli wszystkich opatrzyć, a napływało ich coraz więcej. Na tylnych zboczach kotliny, wiodących ku Wzgórzu 206, gdzie od wczoraj przedłużono do przodu drogę dla samochodów, jeepy wjeżdżały na stromy stok najdalej jak mogły, aby zabierać rannych niesionych na noszach, ci zaś, którzy mogli chodzić, cali biało – czerwoni, brnęli do tyłu grupkami usiłując pomagać sobie wzajemnie.

Wreszcie uzgodnione wiadomości dotarły do C – jak – Charlie i innych kompanii. Plan przewidywał natarcie dwóch kompanii jednej obok drugiej, po przygotowaniu artyleryjskim. F i G, wczorajsze konie robocze, dostały najgorsze zadanie. Miały atakować Wzgórze 210 po lewej. Kompania E miała nacierać po prawej, w rejonie Przednich Nóg Słonia, oznaczonych jako Wzgórze 214. Na lewo, za Wzgórzem 209, krótka, gruba Szyja Słonia wznosiła się powoli do wysokiego Wzgórza 210, grzbietu w kształcie litery U, otwartego od strony atakujących. Podejście tam było podobne do maszerowania kręgielnią ku rzucającym kule i zanim bitwa się zakończyła, tak właśnie to nazwano: Kręgielnia. Ten teren, podobnie jak kilkaset jardów otwartej przestrzeni tuż przed nim, był poprzecinany licznymi niskimi graniami i pagórkami, które mogły stanowić osłonę dla nacierających. Po prawej, oddzielony od Głowy Słonia niskim występem dżungli, rozciągał się szerszy, niższy, równiejszy teren Przednich Nóg Słonia. Na ten właśnie obszar, dotychczas nie oglądany przez kompanię C, miał nacierać 2 batalion.

Wszystko zaczęło iść niemal od razu źle. Po pierwsze mieli bardzo mało wody, niecałe pół manierki na człowieka. Kompania F ruszyła na czele, a po niej G, która później miała się z nią zrównać do szturm na obydwie boki Kręgielni. Jednakże prawie zaraz F zaległa w wąskim przesmyku między dwiema graniami. Zatrzymał ją gęsty ogień od czoła. W ludzi stłoczonych w ciasnej przestrzeni ustawicznie były moździerze, które najwyraźniej miały obliczone wszystkie odległości. Kiedy próbowali wymanewrować się stamtąd, zmusił ich do zawrócenia gęsty skrzydłowy ogień karabinów maszynowych z ukrytych stanowisk. Kompania G, bezpośrednio za nimi, także nie mogła nic zrobić i poniosła straty od moździerzy. Obydwie kompanie pozostały tam przez większą część rana i wczesne popołudnie.

Dowódca kompanii F został raniony pociskiem z moździerza około jedenastej trzydzieści i wyniesiono go z linii, ale zmarł w drodze do punktu sanitarnego pułku. Ściśnięci pod gorącym, tropikalnym słońcem i ciężkim ostrzałem, liczni żołnierze, jeszcze wyczerpani po dniu wczorajszym oraz dzisiejszym bez wody, pomdleli. Kiedy dowódca batalionu dał rozkaz do odwrotu, obie kompanie poszły w rozsypkę i wycofały się bezładnie.

Natarcie kompanii E też zakończyło się niepowodzeniem. Pluton czołowy, wychodząc na szerszą, lecz bardziej płaską przestrzeń Przednich Nóg Słonia, dostał się w niszczący ogień krzyżowy z dżungli po prawej i lewej stronie. Dowódca kompanii spróbował podciągnąć przydzielony mu pluton karabinów maszynowych z kompanii H, który jednakże został wybity prawie całkowicie. Potem reszta kompanii nie usiłowała już ruszać „naprzód i zaległa ledwie o kilka jardów od szczytu Wzgórza 209.

Tak to się odbyło. Do trzeciej trzydzieści wrócili wszyscy, którzy zdołali. Drużyny sanitariuszy narażając się na duże niebezpieczeństwo wyszukiwały pozostałych. Tego wieczora nie było biuletynu podyktowanego przez dowódcę pułku. Straty



wyniosły tego dnia 34 zabitych i 102 rannych. Rozważania, dlaczego dzisiejsze straty, przy takich jatkach, były tylko trochę większe od wczorajszych, pozostały bez odpowiedzi. Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem było, że wczoraj właściwa walka trwała więcej godzin. Jednakże ważniejsza od tego wszystkiego była wiadomość, że dowódca pułku odkomenderował wyczerpany 2 batalion z powrotem na wzgórze 207 i 208 jako odwód. To oznaczało, że jutro 1 batalion przejmie natarcie. Wówczas batalion z rezerwowego pułku dywizji obsadziłby niewątpliwie jego linię na Wzgórzu 209.

Tak właśnie się stało, a rozkazy wręcz nadeszły. Istniała nikła możliwość, że dowódca pułku rozkaże przeprowadzić natarcie batalionowi z odwodu dywizji, i kompania C czepiała się tej nadziei, ale właściwie nikt w to nie wierzył. Rozkazy, które dotarły do nich około szóstej, potwierdziły te przewidywania.

Plan pułkownika Talla nie różnił się radykalnie od planu pułkownika z 2 batalionu. Dwie kompanie miały nacierać obok siebie; C – jak – Charlie miała być po lewej i zdobyć Głową Słonia, Wzgórze 210, a kompania A po prawej wejść na Przednie Nogi Słonia, Wzgórze 214, i tam połączyć się z 3 batalionem, który napotykał mniejszy opór. B byłaby w odwodzie za C. Ten plan właściwie nie różnił się od dzisiejszego. Jedyna różnica polegała na tym, że jutro można było liczyć na wodę i te ewentualne straty nieprzyjaciela, jakie mógł zadać mu dzisiaj 2 batalion.

Kompania C dostała najgorsze zadanie – Kręgielnię. Doszli do wniosku, że dostawanie najgorszych zadań jest ich stałym przeznaczeniem. Toteż kiedy wieczorem nadeszła kompania z rezerwowego batalionu dywizji, aby zająć ich rowy i odpocząć przed jutrem, została przyjęta bez życzliwości. Przyszli uśmiechnięci, rozmowni, pełni pochlebnej czci dla bohaterów i pragnący się przypodobać, bo uważali, że C – jak – Charlie to weterani, a oni sami to nowicjusze, kompania zaś przyjęła ich tym samym posępnym milczeniem, z jakim spotkała się wczorajszego rana ze strony kompanii E, która szła do natarcia.

Ale jeszcze zanim to wszystko nastąpiło, młody szeregowiec Bead zabił swojego pierwszego Japończyka, pierwszego, jakiego zabiła jego kompania, a nawet i jego batalion.

Bead doszedł później do wniosku, kiedy potrafił o tym w ogóle pomyśleć, co nie nastąpiło prędko, że było to typowe dla jego całego życia – dla jego głupiej nieudolności, tępego kretyństwa, krańcowego pecha we wszystkim, czego się tknął, tak że to, co zrobił, wypadło tak źle i w tak paskudnym stylu, iż nie dało mu żadnej satysfakcji, było czynem bez chwały, trudem bez blasku. Ktoś mający inne usposobienie mógł uznać to za zabawne: Bead nie mógł się zdobyć na śmiech.

Około piątej po południu musiał się wypróżnić. A nie miał wypróżnienia od dwóch dni. O tej godzinie zapanował już spokój na linii, a na punkcie sanitarnym poniżej

opatrywano i wysyłano ostatnich rannych. Bead widywał innych żołnierzy wypróżniających się na stoku i znał już procedurę. Po dwóch dniach przebywania na tych wzgórzach była właściwie ustalona. Ponieważ każdy dostępny kawałek miejsca był obsadzony, zapchany ludźmi i sprzętem, wypróżnianie się relegowano na bardziej strome zbocza. Należało zabrać ze sobą łopatkę, wykopać mały dołek, obrócić się tyłem do wiatru na otwartej przestrzeni i przykucnąć balansując ryzykownie na palcach i przytrzymując się ziemi albo kamieni, które się miało przed sobą.

Z uwagi na ludzi poniżej, w kotlinie, efekt był po trosze taki jak wystawienie tyłka przez okno na dziesiątym piętrze nad zatłoczoną ulicą. Mówiąc najłagodniej, była to pozycja krępująca i ludzie na dole nie omieszkali jej wykorzystywać drwiąc, gwizdząc czy głośno wzdychając.

Bead był wstydlivy. Mógł to zrobić w ten sposób, gdyby musiał, ale ponieważ był wstydlivy, a wszystko ucichło zapanował niewiarygodny wieczorny spokój po całej grozie, hałasie i niebezpieczeństwie popołudnia, postanowił wypróżnić się przyjemnie, bez pośpiechu, na osobności, odpowiednio do tego nastroju. Nie mówiąc nic nikomu położył całe oporządzenie koło swego rowu i nabrawszy tylko rolkę papieru toaletowego zaczął się wspinać na szczyt wzgórza oddalony o dwadzieścia jardów. Nie zabrał nawet łopatkę, bo po drugiej stronie nie było potrzeby zakopywać odchodów. Wiedział, że za grzbietem zbocze nie jest spadziste tak jak dalej w lewo, ale opada powoli jakieś pięćdziesiąt jardów między drzewami, po czym urywa się skarpią prosto do rzeki. Tu właśnie wcześniej tego dnia kompania D przyłapała patrol japoński.

–Dokąd to, koleś? – zawołał doń ktoś z 2 plutonu, kiedy przechodził.

–Wysrać się – odkrzyknął Bead nie oglądając się i zniknął za szczytem.

Drzewa zaczynały się o kilka kroków od właściwego grzbietu.

Ponieważ dżungla tu, na swym zewnętrznym skraju, była rzadsza i z mniejszym podszytem, bardziej przypominała kolumnowe lasy o gładkim podłożu w kraju, i nasunęła Beadowi na myśl lata chłopięce.

Przypomniawszy sobie, jak będąc skautem obozował i załatwiał się ze spokojną przyjemnością latem w lasach lovy, położył obok siebie rolkę papieru, spuścił spodnie i przykucnął. W połowie wypróżniania się podniósł wzrok i zobaczył żołnierza japońskiego z bagnetem na karabinie, skradającego się między drzewami o dziesięć kroków od niego.

Jak gdyby poczuwszy jego wzrok, Japończyk obrócił głowę i zobaczył go prawie w tej samej chwili, ale nie przedtem, a Beadowi, w elektryzującym, przeszywającym serce dreszczu lęku, zagrożenia, niedowierzania, sprzeciwu, wypalił się wyraźnie w

mózgu jego obraz.

Był drobny i chudy, bardzo chudy. Ubłocony mundur koloru musztardowoooliwkowego, z komicznymi owijaczami, zwisał na nim brudnymi fałdami, przesiąknięty dżunglową wilgocią. Nie tylko nie nosił żadnego wymyślnego, maskującego ubioru, który Bead spodziewał się ujrzeć, sądząc po oglądanych filmach, ale nie miał nawet hełmu, tylko zatłuszczoną, wygniecioną, podgiętą czapkę polową. Żółtobrunatna twarz pod nią była tak chuda, że sterzące kości policzkowe zdawały się wylazić przez skórę. Był mocno zarośnięty, nie golony chyba od dwóch tygodni, ale jego zatłuszczona broda była równie rzadka jak dziewiętnastoletnia broda Beada. Bead nie mógł wytworzyć sobie wyraźnego pojęcia o jego wieku; mógł mieć lat dwadzieścia albo czterdzieści.

Całe to wzrokowe rozeznanie nastąpiło w mgnieniu oka, mgnieniu, które zdawało się ciągnąć bez końca, aż wreszcie Japończyk spostrzegł go także i jednym ruchem skręcił i ruszył biegiem na niego, ale ostrożnie, z wyciągniętym przed siebie bagnetem na karabinie.

Bead, wciąż przykucnięty z opuszczonymi spodniami, jeszcze ubrudzony z tyłu, zebrał się w sobie. Musiał spróbować uskoczyć w jedną czy drugą stronę, ale w którą? Gdzie skakać? Czy mam umrzeć?

Czy naprawdę teraz umrę? Nie miał przy sobie nawet noża. Zmagaly się w nim groza, niedowierzanie i sprzeciw. Nie wiedział, dlaczego Japończyk po prostu nie strzelił z karabinu. Może się bał, że to usłyszą na liniach amerykańskich. Zamiast tego zbliżał się, najwyraźniej mając zamiar zakłuć Beada bagnetem. Oczywiście miał baczne. Rozchylone wargi odsłaniały zęby duże, ale dobrze ukształtowane, i wcale nie takie wystające, jak na plakatach. Czy to się działo naprawdę?

W desperacji, ciągle nie wiedząc, gdzie uskoczyć, Bead jednym ruchem podciągnął spodnie na uwalane pośladki, aby uwolnić nogi i w chwili, gdy Japończyk już prawie był przy nim, rzucił się naprzód niskim – szczupakiem jak futbolowy obrońca, i złapał go za kostki zapierając się mocno stopami o miękką ziemię. Zaskoczony Japończyk pchnął ostro w dół karabinem, ale Bead już wymknął się spod bagnetu. Od gwałtownego skrętu zabolął go obojczyk. Przycisnął mocno do piersi ubłocone golenie Japończyka i posługując się głową jako punktem podparcia odepchnął się mocno nogami, tak że tamten musiał upaść do tyłu, a zanim dosięgnął ziemi, Bead już go pochwycił w pól. Upadając Japończyk wypuścił z rąk karabin i stracił dech. To dało Beadowi czas, by znowu podciągnąć spodnie i zerwać się, po czym ukląkł mu na przedramionach, siadł na piersiach i zaczął go walić i drapać po twarzy i szyi. Japończyk mógł tylko bezsilnie odsuwać jego nogi i rękę.

Bead usłyszał głośny, przeszywający krzyk i pomyślał, że to Japończyk błaga o litość, aż wreszcie powoli uświadomił sobie, że jest już nieprzytomny. Wtedy

rozumiał, że to on sam wydaje z siebie ów zwierzęcy ryk. Jednakże nie mógł go przerwać. Twarz Japończyka krwawiła od zadrapań, a uderzenia pięści wbiły mu do gardła kilka zębów. Ale Bead nie mógł przestać. Charcząc i jęcząc, dalej obrabiał nieprzytomnego Japończyka pięściami i paznokciami. Chciał rozerwać mu twarz gołymi rękami, ale okazało się to zbyt trudne.

Wtedy chwycił go za gardło i próbował roztrzaskać mu głowę grzmocąc nią o miękką ziemię, ale zdołał jedynie wygnieść mały dołek.

Wreszcie, wyczerpany, opadł na czworaki nad krwawiącym, nieprzytomnym człowiekiem, jedynie po to, by zaraz poczuć w leżącym pod nim Japończykiem drgnienie życia.

Rozwścieczony takim dowodem żywotności, na przemian charcząc i jęcząc, Bead odtoczył się na bok, złapał karabin wroga, uklęknął, podniósł go nad głowę i wbił prawie po nasadę długi bagnet w pierś Japończyka. Ciałem leżącego targnął spazm. Jego oczy rozwarły się, wpatrzone straszliwie w nicość, a ręce podniosły od łokci i pochwyciły wbite w pierś ostrze.

Patrząc ze zgrozą na palce, które rozrzynały się na ostrzu usiłując je wyciągnąć, Bead zerwał się i spodnie mu opadły. Podciągnął je i stojąc na rozkraczonych nogach, żeby nie osunęły się znowu, chwycił karabin i popróbował wyrwać bagnet, ażeby wbić go raz jeszcze.

Ale bagnet nie chciał wyleźć. Przypomniawszy sobie mgliście, czego uczono go podczas ćwiczeń w walce na bagnety, Bead pochwycił szyjkę kolby i nacisnął spust. Nic się nie stało. Broń była „zabezpieczona.

Majstrując nerwowo przy nie znanym mu, obcym bezpieczniku, odsunął go i znowu nacisnął spust. Rozległ się stłumiony przez ciało huk i bagnet wyskoczył. Ale ten głupi Japończyk, z otwartymi oczyma, dalej chwycił się okrwawionymi palcami za pierś, tak jakby nie mógł wbić sobie do swego tępego łba, że bagnet już wylazł. Boże drogi, ileż zabijania potrzeba było temu przekłętemu durniowi?

Bead pobił go, skopał, dusił, rozdrapał, skłuł bagnetem, strzelił do niego. Nagle pojawiła mu się obłądna wizja samego siebie, przecież zwycięzcy, skazanego na zabijanie bez końca tego jednego Japończyka.

Tym razem nie mając zamiaru powtórnie wpaść w tę samą pułapkę, zamiast dźgać Japończyka, odwrócił karabin i z całej siły rąbnął go kolbą w twarz, miażdżąc ją. Stojąc na rozkraczonych nogach, by spodnie mu nie opadły, walił raz po raz kolbą, aż cała twarz i większa część głowy Japończyka zmieszała się z błotnistą ziemią. Wtedy odrzucił karabin, opadł na czworaki i zaczął wymiotować.

Bead nie stracił przytomności, natomiast całkowicie utracił poczucie czasu Kiedy

przyszedł do siebie, wciąż klęcząc na czworakach i dysząc, potrząsnął zwieszoną głową, otworzył oczy i stwierdził, że jego lewa dłoń spoczywa po przyjacielsku na nieruchomym, musztardowobrunatnym kolanie Japończyka. Bead cofnął ją czym prędzej, jak gdyby odkrył, że dotyka – rozpalonego pieca. Miał jakieś mgliste uczucie, że jeśli nie spojrzy na trupa człowieka, którego zabił, ani go nie dotknie, nie będzie za to odpowiedzialny. Z tą myślą odczołgał się, osłabiony, między drzewa oddychając z długim bolesnym jękiem.

W lesie było bardzo cicho. Bead nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał taką ciszę. A potem usłyszał nikłe głosy, przenikające w ogrom tej ciszy, głosy amerykańskie, i zwykły zgrzyt łopatki o kamień. Wydawało się niepodobieństwem, żeby mogli być tak blisko. Rozdygotany dźwignął się na nogi przytrzymując spodnie. Wydawało się także niepodobieństwem, żeby mógł jeszcze kiedykolwiek usłyszeć odgłos tak zwyczajny, jak to zgrzytnięcie łopatki. Wiedział, że musi wrócić do linii amerykańskich. Ale najpierw musiał jakoś doprowadzić się do porządku. Był cały uwalany. Nie miał ochoty dokończyć wypróżnienia.

Przede wszystkim musiał wrócić do zabitego po swoją rolkę papieru. Wzdrygał się przed tym, ale nie było innej rady. Najbardziej nękały go kalesony i uwalane siedzenie. Miał wrodzony wstręt do tego, ale był także przerażony, iż ktoś może pomyśleć, że sfajdał się w spodnie ze strachu. Zużył prawie całą rolkę papieru, a w końcu poświęcił nawet jedną z trzech czystych chustek, które zachowywał do przecierania okularów, zwilżając ją śliną. Na dodatek był obryzgany krwią i wymiotami. Nie mógł usunąć wszystkich plam, ale starał

się oczyścić na tyle, żeby nikt nic nie zauważył. Postanowił już bowiem, że nie wspomni o tym nikomu.

Poza tym zgubił okulary. Odnalazł je, jakimś cudem nie stłuczone, obok zabitego. Szukając okularów, musiał podejść do trupa i popatrzeć na niego z bliska. Zwłoki, bez twarzy, prawie bez głowy, z okrwawionymi, przerżniętymi palcami i ziejącą dziurą w piersi, będące jeszcze tak niedawno żywym, oddychającym człowiekiem, przyprawiły go o taki skurcz żołądka, że myślał, że zemdleje. Z drugiej znów strony nie mógł zapomnieć bacznego, pełnego zdecydowania wyrazu twarzy tego człowieka, gdy szedł na niego z bagnietem. Nie było tu żadnego rozsądnego wytłumaczenia.

Najsmutniejszą rzeczą były stopy. Rozrzucone na obie strony w swych podkutych piechocińskich butach, odprężone jak stopy człowieka śpiącego. W jakimś perwersyjnym zafascynowaniu Bead nie mógł się oprzeć i kopnął lekko jedną z nich. Poderwała się i opadła.

Bead miał ochotę zawrócić i uciec. Nie mógł się wyzbyć poczucia, że zwłaszcza teraz, kiedy popatrzał i dotknął trupa, jakieś moce odwetu spróbują pociągnąć go do odpowiedzialności. Miał chęć prosić tego człowieka o przebaczenie, w nadziei, że jej

uniknie. Nie doświadczył takiego przytłaczającego poczucia winy od ostatniego razu, gdy matka przyłapała go na onanizowaniu się i spuściła mu lanie.

Jeżeli musiał zabić tego człowieka, a najwyraźniej musiał, mógł to przynajmniej uczynić skuteczniej i zręcznie, bez takiego cierpienia i udręki dla nieszczęśnika. Gdyby nie stracił głowy, nie oszalał ze strachu, mógłby nawet wziąć go do niewoli i uzyskać odeń cenne informacje. Ale obłądnie chciał dokończyć zabijania, jakby w obawie, że póki ten człowiek oddychał, mógł nagle wstać i oskarżyć go.

Raptem w umyśle Beada pojawił się obraz ich obu w odwróconej sytuacji: samego siebie leżącego na ziemi i czującego, jak ostrze wbija mu się w pierś, patrzącego na kolbę karabinu, która spadała mu na twarz, i w końcu buchnięcie strzału. Ta myśl tak go osłabiła, że musiał usiąść. A co by było, gdyby tamten szybciej uderzył bagnetem?

Gdyby on sam uchylił się nieco mniej? Zamiast zwykłego sińca na obojczyku Bead ujrzał siebie przeszytego od góry przez miękką część barku tym twardym ostrzem przenikającym w miękką ciemność jego klatki piersiowej. Nie mógł w to uwierzyć.

Nałożył okulary, kilkakrotnie odetchnął głęboko i rzuciwszy po raz ostatni okiem na swego zmasakrowanego wroga wstał i zaczął brnąć spomiędzy drzew ku szczytowi. Był zawstydzony i zmieszany tą całą sprawą, taka była prawda, i dlatego nie chciał wspominać o tym nikomu.

Przeszedł przez linię łatwo, bez pytań.

–Dobrze ci się srało? – zawołał do niego żołnierz z 2 plutonu.

–Aha – odparł i pobrnął dalej w dół, ku stanowisku dowodzenia.

Jednakże po drodze przyłączył się do niego starszy szeregowiec Doll, który schodził od 1 plutonu z poleceniem ponownego zapytania o wodę. Idąc obok niego, od razu zauważył pokaleczone ręce Beada i plamy krwi.

–O rany, co ci się stało w knykcie? Biłeś się z kimś?

Beadowi ścisnęło się serce. Że też to musiał być Doll!

–Nie. Potknąłem się, przewróciłem i obtarłem sobie skórę – odpowiedział. Był zeszywniały i obolały na całym ciele, tak jakby rzeczywiście bił się z kimś na pięści. Groza wezbrała w nim znowu, nagle, nabrzmiwająco. Parokrotnie nabrał głęboko tchu w obolałą klatkę piersiową. Doll uśmiechnął się z jawnym, ale przyjaznym sceptycyzmem.

–I pewnie wszystkie te bryzgi krwi są z twoich knykcii?

**–Zostaw mnie, Doll! – wybuchnął Bead, – Nie mam ochoty rozmawiać! Więc daj mi spokój, dobrze?**

**Usiłował zawrzeć w swoim spojrzeniu całą zacieklą twardość człowieka, który właśnie wrócił po zabicu wroga. Miał nadzieję, że to uciszy Dolla, i tak się stało. Przez pewien czas szli dalej w milczeniu, a Bead uświadomił sobie z pełnym zgrozy obrzydzeniem, że już dopasowuje zabicie Japończyka do odgrywanej roli – roli, w której ani on sam, ani nic innego nie było rzeczywiste. Przecież wcale tak się to nie zdarzyło.**

**Doll jednak nie zachował milczenia. Zaskoczyła go trochę gwałtowność Beada, siła, której nie przywykł od niego oczekiwać. Zawsze potrafił coś wyniuchać. Toteż po przekazaniu zapytania o wodę i otrzymaniu odpowiedzi, której się spodziewał, a która brzmiała, że Stein robi wszystko, co może, aby im ją dostarczyć, poruszył tę sprawę znowu, tym razem przedstawiając ją Welshowi. Welsh i Storm siedzieli na krawędziach swoich dołów rzucając monety o papierosy, które już zaczynały być cenne. Grali o cztery najlepsze z siedmiu, aby przedłużyć zabawę i zmniejszyć zużycie papierosów, po czym wyjęli plastikowe pudełeczka, kupione po to, by paczki utrzymać w suchości, i starannie podawali sobie kolejno jednego. Doll podszedł do nich z uśmiechem i podniesionymi brwiami. Nie uważał, przynajmniej wtedy, żeby to, co robił, miało cokolwiek wspólnego z kapowaniem czy donoszeniem na kogoś.**

**–Co, do cholery, stało się temu waszemu chłopakowi? Kogo, do diabła, pobił, że ma obdarte knykie i cały jest ochlapany krwią? Czy coś mnie ominęło?**

**Welsh popatrzał na niego tym swoim bacznyim wzrokiem, który, gdy nie udawał wariata, potrafił być tak przenikliwy. Doll od razu pojął, że popełnił błąd, i poczuł się winny. Welsh nic nie odpowiedział, tylko obrócił się i spojrzał na Beada, który siedział przygarbiony, samotny, na małym kamieniu. Nałożył już na siebie swoje oporządzenie.**

**–Bead, chodźcie no tutaj!**

**Bead wstał i podszedł, wciąż przygarbiony, ze ściągniętą twarzą.**

**Doll uśmiechnął się do niego, podnosząc brwi. Welsh popatrzał na Beada od stóp do głów.**

**–Co wam się stało?**

**–Komu? Mnie?**

**Welsh czekał w milczeniu.**

**–Ano, potknąłem się, upadłem i obtarłem sobie skórę, to wszystko.**

Welsh przypatrywał mu się milcząco, w zamyśleniu. Najwyraźniej nawet nie zwrócił uwagi na tę odpowiedź.

–Gdzieście byli niedawno? Wtedy gdy odeszliście na jakiś czas?

Gdzie byliście?

–Poszedłem się wysrać na osobności.

–Chwileczkę! – wtrącił z uśmiechem Doll. – Kiedy go zobaczyłem, schodził z odcinka drugiego plutonu na wzgórze.

Welsh przeniósł wzrok na Dolla i oczy mu zapłonęły morderczo.

Doll zamilkł. Welsh znowu spojrzał na Beada. Stein, który stał nie opodal, podszedł bliżej i słuchał. Tak samo Band, Fife i paru innych.

–Posłuchaj, chłopcze – powiedział Welsh. – Mam z tą cholerną jednostką tyle kłopotów, że nie wiem, co z nimi robić. Czy jak dać sobie radę. Nie mam czasu pieprzyć się z dziecinnymi zagrywkami.

Chcę wiedzieć, co ci się stało, i chcę prawdy. Popatrz na siebie! Więc co się stało i gdzie byłeś?

Welsh najwyraźniej, przynajmniej w oczach Beada, był znacznie bliższy odgadnięcia prawdy niż pozbawiony wyobraźni Doll czy inni. Bead z drzeniem nabrał głęboko tchu.

–No więc poszedłem przez grzbiet poza linię, między drzewa, żeby wypróżnić się na osobności. Kiedy tam byłem, zjawił się jakiś Japoniec i próbował mnie zadźgać bagnetem. No i... no i zabiłem go.

Bead wypuścił z płuc powietrze długim rozdygotanym tchnieniem, po czym odetchnął gwałtownie i przełknął ślinę.

Wszyscy patrzyli na niego z niedowierzaniem, lecz jednak oniemiał.

–Do jasnej cholery, chłopaku! – ryknął po chwili Welsh. – Mówiłem ci, że chcę całej prawdy! A nie jakichś dziecinnych bzdur!

Beadowi w ogóle nie przyszło do głowy, że mu nie uwierzą. Teraz miał do wyboru albo zamknąć się i zostać wziętym za kłamcę, albo powiedzieć, gdzie był, i pozwolić im zobaczyć, jak haniebnie wszystko spaskudził. Mimo zdenerwowania i desperacji nie musiał się długo namyślać.

–To niech pan sierżant idzie, cholera, i sam zobaczy! – krzyknął do Welsha. – Nie



**wierzcie mi na słowo, tylko idźcie i zobaczą, psiakrew!**

**–Ja pójdę – wtrącił natychmiast Doll.**

**Welsh obrócił się i łypnął na niego.**

**–Nigdzie nie pójdziesz, kapusiu – powiedział. Obrócił się znowu do Beada. – Sam pójdę.**

**Doll zamilkł oszołomiony, wstrząśnięty, ze zbieiałą twarzą. Nie przyszło mu do głowy, że jego żarty na temat Beada zostaną wzięte za donosicielstwo. Ale też nie wyobrażał sobie, że rezultat okaże się taki. Bead zabijający Japończyka! Nie czuł się winny donosicielstwa i z wściekłością postanowił, że także pójdzie, choćby miał pełznąć.**

**–Ale jeżeli łiesz, chłopie, to niech Bóg ma w opiece twoją pieprzoną duszę. – Welsh wziął swojego thompsona i nałożył hełm. – No, dobra. Gdzie to jest? Chodź, pokaż mi.**

**–Nie pójdę tam więcej! – wykrzyknął Bead. – Chce pan sierżant iść, to niech idzie sam! Ja nie pójdę! I nic mnie do tego nie zmusi!**

**Welsh przez chwilę przyglądał mu się bacznie. Potem spojrział na Storma. Storm kiwnął głową i wstał.**

**–Okej – powiedział Welsh. – Więc gdzie to jest?**

**–Kilka jardów między drzewami za szczytem, na wysokości środka drugiego plutonu. Mniej więcej na wprost dołu Krima. – Bead odwrócił się i odszedł.**

**Storm także nałożył hełm i wziął swojego thompsona. I oto nagle, po odejściu Beada razem z jego zdenerwowaniem, cała sprawa stała się jeszcze jednym uciesznym, beztroskim wypadem „Klubu Tomiganów”, który tego rana zorganizował polowanie na zwiadowców.**

**Stein, który przez cały czas słuchał milcząco w pobliżu, przygasił to rozbawienie odmawiając zgody, by którykolwiek z oficerów opuścił stanowisko dowodzenia, ale MacTac mógł iść, wobec czego trzej sierżanci i Dale przygotowali się do podejścia na szczyt. Bead siedząc na swym kamieniu nie mógł się powstrzymać, by nie wykrzyknąć gorzko do Welsha:**

**–Ta cała cholerna artyleria nie będzie panu potrzebna! Teraz tam nie ma nikogo poza nim!**

**Jednakże nie zwrócono na niego uwagi.**

Tuż przed ich odejściem Doll, z niepewną, ale spokojną miną, stanął po męsku przed starszym sierżantem i popatrzył mu w oczy.

–Szefie, pan nie zabroni mi iść, prawda? – zapytał. Nie była to prośba ani próba grożenia, tylko zwykłe, spokojne, bezpośrednie pytanie.

Welsh patrzył na niego chwilę, po czym nie zmieniając wyrazu twarzy odwrócił się bez słowa. Była to wyraźna nagana. Doll wolał uznać to za milczące zezwolenie. I w pięciu, z Dollem na końcu, zaczęli wdrapywać się ku linii. Welsh nie odesłał go z powrotem.

Podczas ich nieobecności nikt nie nagabywał Beada. Siedział samotnie na swoim kamieniu, z głową zwieszoną, od czasu do czasu zaciskając dłonie lub dotykając swych knykciów. Wszyscy unikali patrzenia na niego, jak gdyby chcąc pozostawić go samemu sobie.

Prawda wyglądała tak, że w gruncie rzeczy nikt nie wiedział, co myśleć. Jeżeli idzie o samego Beada, to był w stanie myśleć jedynie o tym, jak haniebnie zostanie ujawnione to jego historyczne, paskudne zabijanie. Na wspomnienie o nim i tamtej zdecydowanej twarzy zbliżającej się do niego, wzdrygał się i dławił. Ciągle żałował, że nie zmilczał i nie pozwolił, by go uznali za zwariowanego kłamcę. Tak byłoby o wiele lepiej.

Kiedy mała grupka wróciła, twarze wszystkich miały szczególny wyraz.

–Jest tam – powiedział Welsh.

–A jakże – dodał MacTac.

Wszyscy wyglądali na dziwnie zbitych z tropu. Nie powiedziano nic więcej. Przynajmniej przy Beadzie. Bead nie mógł wiedzieć, co mówili, gdy byli z dala od niego. Ale nie znalazł w ich twarzach żadnego obrzydzenia czy wstrętu, tak jak się spodziewał: Jeżeli coś było, to tylko jakby odwrotność – podziw. Kiedy się rozchodzili do swoich dołów, każdy wykonał jakiś gest.

Doll zabrał japoński karabin i przyniósł go Beadowi; Otarł liśćmi krew i miazgę z kolby i oczyścił bagnet. Przyniósł go i wręczył Beadowi, jak gdyby na przeproszenie.

–Masz, to dla ciebie.

Bead popatrzył na karabin nie czując nic.

–Nie chcę.

–Przecież go zdobyłeś. I to ciężko.

**–Ale go nie chcę. Na co mi on?**

**–Możesz zamienić na whisky. – Doll położył karabin. – A tu jest jego portfel. Welsh kazał go ci dać. Jest tam zdjęcie jego żony.**

**–Jezu Chryste, Doll!**

**Doll uśmiechnął się.**

**–Są także zdjęcia innych dziwek – dodał pośpiesznie. – Na Filipinki wyglądają. Może był na Filipinach. Welsh mówi, że na odwrocie są filipińskie napisy.**

**–Nie chcę. Zatrzymaj to sobie. – Jednakże wziął podany mu portfel, mimo woli wiedziony ciekawością. – Ano... – popatrzał nań.**

**Był ciemny, zatłuszczony od przepocenia. – Nie jest to dla mnie przyjemne, Doll – powiedział podnosząc wzrok, nagle zapragnąwszy pomówić z kimś na ten temat. – Czuję się winny.**

**–Winny! Czemu, do cholery? To przecież było albo on, albo ty, nie? Jak myślisz, ilu naszym chłopakom wsadził ten bagnet na Filipinach? Podczas Marszu Śmierci? A ci dwaj wczoraj?**

**–Ja to wszystko wiem. Ale nic nie mogę poradzić. Czuję się winny.**

**–Ale dlaczego?**

**–Dlaczego! Dlaczego! Skąd, kurwa, mogę wiedzieć, dlaczego? – krzyknął Bead. – Może matka za często mnie lała za branzlowanie się, jak byłem mały! – wykrzyknął żałościwie z nagłym przebłyskiem przygnębiającego domysłu. – Skąd mogę wiedzieć, dlaczego?**

**Doll popatrzał nań nic nie rozumiejąc.**

**–Mniejsza z tym – powiedział Bead.**

**–Słuchaj – rzekł Doll. – Jeżeli naprawdę nie chcesz tego portfela...**

**Bead nagle poczuł przyływ zachłanności. Szybko schował portfel do kieszeni.**

**–Nie. Zatrzymam go. Tak, mogę go zatrzymać.**

**–Ano – rzekł z żalem Doll. – Muszę wracać do plutonu.**

**–W każdym razie dziękuję ci.**

**–Nie ma za co. – Doll wstał. – Jedno muszę powiedzieć. Jak już się wzięłeś do zabijania go, toś go nielecho zatłukł – rzekł z podziwem.**

**Bead poderwał głowę, oczy miał badawcze.**

**–Tak uważasz? – powiedział. Z wolna zaczął się lekko uśmiechać.**

**Doll kiwał głową, na twarzy malował mu się chłopięcy podziw.**

**–Nie ja jeden. – Obrócił się i odszedł pod górę.**

**Bead patrzył za nim, ciągle nie wiedząc, co naprawdę czuje. Doll powiedział, że nie on jeden tak myśli. Jeżeli nie uważają, żeby to, co zrobił, było tak haniebnie spartolone, to i on przynajmniej nie powinien czuć się po tym tak źle. Z wolna uśmiechnął się trochę szerzej, trochę swobodniej, czując, że twarz ma jeszcze drętwą.**

**Nieco później podszedł do niego Ciota Stein. Do tej pory trzymał się na uboczu. Wiadomość o Japończyku Beada oczywiście rozeszła się od razu po całej kompanii i kiedy z linii przybywali gońcy czy żołnierze przysłani po racje żywnościowe, spoglądali na Beada tak, jakby był innym człowiekiem. Bead nie miał pewności, czy sprawia mu to przyjemność, czy nie, ale doszedł do wniosku, że tak. Nie był zaskoczony, gdy zbliżył się Stein.**

**Bead siedział na krawędzi swojego wykopu, kiedy Stein się zjawił, po czym zeskoczył do dołu i usiadł obok niego. W pobliżu nie było nikogo. Stein poprawił na nosie okulary w ten swój nerwowy sposób, ujmując je czterema palcami od góry oprawki, a kciukiem od dołu, po czym po ojcowsku położył dłoń na kolanie Beada i obrócił się, by spojrzeć na niego. Twarz miał poważną i zaniepokojoną.**

**–Bead, ja wiem, że bardzo się przejęliście tym, co was dzisiaj spotkało. To jest nieuniknione. Każdy by tak czuł. Pomyślałem, że może będziecie chcieli o tym pogadać i trochę sobie ulżyć. Nie wiem, czy to, co miałbym do powiedzenia na ten temat może wam pomóc, ale chciałbym spróbować.**

**Bead spojrział na niego ze zdumieniem, a Stein, poklepując go parę razy po kolanie, odwrócił się i popatrzał smutnie ponad kotliną na Wzgórze 207, wczorajsze stanowisko dowodzenia.**

**–Nasze społeczeństwo stawia pewne żądania i domaga się od nas pewnych ofiar, jeżeli chcemy w nim żyć i korzystać z jego dobrodziejstw. Nie mówię, że to jest dobre czy złe. Ale naprawdę nie mamy wyboru. Musimy postępować tak, jak tego wymaga społeczeństwo.**

**Jednym z tych wymagań jest zabijanie innych ludzi w zbrojnej walce podczas wojny,**

**gdy nasze społeczeństwo zostaje zaatakowane i musi się bronić. To właśnie zdarzyło  
wam się dzisiaj. Tylko że większość ludzi, którzy muszą to robić, ma więcej szczęścia  
niż wy. Zabijają po raz pierwszy na odległość, chociażby małą. Mają szansę, choćby  
niewielką, przywyknąć do tego, zanim będą musieli zabijać pierś w pierś i twarz w  
twarz. Wydaje mi się, że wiem, co musieliście czuć.**

**Stein przerwał. Bead nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć, więc nie powiedział  
nic. Kiedy Stein obrócił się i spojrzał na niego oczekując jakiejś odpowiedzi, Bead  
rzekł:**

**–Tak jest, panie kapitanie.**

**–No więc po prostu chcę, abyście wiedzieli, że w tym, coście zrobili, byliście  
moralnie usprawiedliwieni. Nie mieliście wyboru nie powinniście się trapić ani czuć  
winnym. Zrobiliście tylko to, co każdy dobry żołnierz zrobiłby dla naszego kraju czy  
któregokolwiek innego.**

**Bead słuchał z niedowierzaniem. Kiedy Stein znowu przerwał, nie wiedział, co  
odrzec, więc się nie odezwał. Stein popatrzał ponad kotliną.**

**— Ja wiem, że to ciężkie. Wy i ja mogliśmy mieć jakieś drobne nieporozumienia. Ale  
chcę, żebyście wiedzieli... – głos miał lekko zdławiony – chcę, żebyście wiedzieli, że  
kiedy ta wojna się skończy, to jeżeli będę mógł dla was coś zrobić, skontaktujcie się  
ze mną.**

**Zrobię wszystko, co potrafię, żeby wam pomóc.**

**Nie patrząc na Beada wstał, poklepał go po ramieniu i odszedł.**

**Bead spoglądał za nim tak jak przedtem za Dollem. Ciągle nie wiedział, co właściwie  
czuje. Nikt nie powiedział mu nic sensownego.**

**Ale teraz uświadomił sobie zupełnie nagle, że mógłby przeżyć zabicie wielu ludzi.  
Albowiem bezpośredniość tego czynu, jeszcze przed kilkoma minutami tak ostra, już  
bladła. Mógł teraz spojrzeć na to bez bólu, może nawet po trosze z dumą, bo było to  
obecnie tylko wyobrażenie, jakby scena w sztuce teatralnej, i w gruncie rzeczy nie  
szkodziło nikomu.**

**Jednakże nie dano mu wiele czasu, aby się nad tym zastanowić.**

**Kiedy Stein, odszedłszy od dołu Beada, wrócił do swego własnego, już czekał nań  
goniec przybyły z dyspozycjami na jutro. Mieli wyruszyć natychmiast, zejść do  
kotliny i za wygięcie wzgórza, gdy tylko batalion odwodowy zdoła zająć ich miejsce.**

**Wiedzieli już oczywiście, że 2 batalion zostaje wycofany. Obserwowali**

poszczerbione i rozbite kompanie odchodzące w tył po zboczach. Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Jednakże C – jak – Charlie wołała w to nie wierzyć. A teraz, to przyszło.

Luzujące plutony zaczęły napływać w piętnaście minut później, pełne uśmiechów, usługne, jakby zawstyżone. Kompania C była już spakowana i rada odejść jak najprędzej. Nie było sensu o tym rozmawiać. Drużyny, jedna po drugiej, schodziły ze szczytu, mijały stanowisko dowodzenia i podążały dalej w dół zakosami po stromym zboczu na dno kotliny. U jej krańca, gdzie Wzgórze 209 wcinało się w spadek terenu jak taras, dno było o wiele mniej głębokie niż dalej, najwyżej z pięćdziesiąt jardów od szczytu, i właśnie tam mieli się zebrać. Dowództwo i moździerze ruszyły na ostatku, za plutonami. Było bardzo niewiele do spakowania. Nadchodzące plutony niosły swoje plecaki bojowe razem z menażkami, łopatkami, płaszczami nieprzemakalnymi i tak dalej. Kompania C już się tego pozbyła.

Każdy żołnierz miał tylko łyżkę w kieszeni i łopatkę przyczepioną do pasa. Kilku niosło płaszcze przerzucone przez ramię.

Stein i jego następca, kiedy Stein oficjalnie przekazał pozycję, zareagowali dokładnie tak samo jak ich żołnierze. Ten drugi kapitan, człowiek w wieku Steina; uśmiechnął się nieśmiało i wyciągnął rękę, którą Stein niedbale ucisnął. „Powodzenia!” – zawołał cicho, gdy Stein ruszył za swymi ludźmi. Stein, czując w gardle kluchę podniecenia i napięcia, uznał, iż nie warto wysilać się, aby przełknąć jedną jej połowę, a wykaszłać drugą, żeby udzielić jałowej odpowiedzi, więc tylko kiwnął głową nie oglądając się za siebie. Tak samo jak jego ludzie, chciał tylko prędko odejść, a w szczególności nie musieć rozmawiać.

Ale na dnie zastali innych, którzy pragnęli z nimi pogadać. Stacjonujące tam plutony odwodowe wciskały im w ręce tabliczki czekolady. Dano im pierwszeństwo przy pobieraniu racji polowych na kolację. Odstąpiono im najlepsze miejsca do spania. Zrobiło się już prawie ciemno i strawiono przeszło godzinę na dopilnowywaniu, by każdy dostał dwie pełne manierki wody. Stein i oficerowie udali się na odprawę przy świetle latarek w niewielkim rowie, do pułkownika Talla, starszego mężczyzny, choć nie o tyle starszego jak generałowie, szczupłego i chłopięcego, ciemnowłosego absolwenta West Point.

Został w tym wszystkim wyszkolony, jako w swoim życiowym zajęciu.

Wrócili z uroczystymi minami. Tall powiedział im, że dowódca korpusu, jak również dowódca dywizji będą ich jutro obserwowali. Żołnierze porozkładali się w dołach wykonanych przez innych, nie znanych im ludzi, albo w małych szczelinach erozyjnych, i próbowali przymusić do snu ciała, przez które przelatowały po napiętych nerwach drgnienia niechęci.

**W nocy raz tylko padało, ale był to deszcz bardzo gęsty, który przemoczył wszystkich do nitki, a zbudził tych, co zdołali się zdrzemnąć.**

## ROZDZIAŁ 4

Świt przyszedł, minął, a oni wciąż czekali. Różowości i błękity brzasku przemieniły się w perłowość i mglistą szarość wczesnego poranka. Ma się rozumieć, na długo przed świtem wszyscy już byli na nogach, pełni nerwowej gotowości. Dzisiaj pułkownik Tall zażądał nowego zastosowania artylerii. Z uwagi na odparcie wczorajszego ataku Tall poprosił i uzyskał „jednoczesny ostrzał celów”.

Ta technika artyleryjska, pozostała po pierwszej wojnie światowej, była taką metodą wyliczenia, żeby pierwsze pociski każdej baterii uderzały w swoje poszczególne cele jednocześnie. Ludzi przyłapanych przez taki ostrzał na otwartej przestrzeni otaczała nagle zewsząd kurtyna morderczego ognia, bez zwykłego ostrzeżenia, jakim było kilka pocisków nadlatujących najpierw z najbliższych dział. Należało przeczekać trochę, grać z przeciwnikiem w pokera, próbować go przychwycić, kiedy wychodził z rowów na śniadanie albo poranne rozprostowanie mięśni. Wzdłuż grzbietu wzniesienia milczący żołnierze spoglądali ponad milczącym parowem na milczący wierzchołek wzgórza, a milczące wzgórze spoglądało na nich.

C – jak – Charlie, oczekująca razem z innymi kompaniami szturmowymi niżej na zboczu, nie widziała nawet tyle. I było jej to obojętne. Żołnierze skulili się nad swoją bronią w absolutnym, niewypowiedzianym odosobnieniu, niby odrębne, małe wysepki. Na prawo i lewo od nich kompanie A – jak – Abel i B – jak – Baker zachowywały się tak samo.

Dokładnie dwadzieścia dwie minuty po pierwszym brzasku pułkownik Tall zażądał otwarcia ognia jednoczesnego i na Wzgórzu 210 buchnął wstrząsający ziemią, zwarty, nieomal dotykalny, nieprzerwany huk. Artyleria strzelała trzyminutowymi ześrodkowaniami ognia z nierównymi przerwami, w nadziei przychwycenia pozostałych przy życiu na zewnątrz rowów. W dwadzieścia minut później, jeszcze zanim nawała się zakończyła, na Wzgórzu 209 rozległy się gwizdki.

Kompanie szturmowe nie miały innego wyjścia jak ruszyć naprzód. Myśli gnały jak oszalałe w poszukiwaniu jakiejś wymówki w ostatniej chwili, ale nie znajdowały żadnej. Nerwowy lęk i niepokój, który ludzie tak długo i z takim wysiłkiem powściągali, ażeby wydać się odważnymi, zaczął się teraz wyładowywać w nawoływaniach i okrzykach przesadnego, sztucznego entuzjazmu. Ruszyli w górę po zboczu i trzymając karabiny w jednej lub obu rękach przeskoczyli przez wierzch wzgórza, po czym, skuleni, zaczęli zbiegać bokiem po krótkim stoku na płaski, kamienisty teren przed nimi. Żołnierze w linii wykrzykiwali do nich słowa zachęty, kiedy ją przekraczali. Wątle wiwaty, stłumione przez dalekie góry, zerwały się i zamarły. Niektórzy klepali ich twardo w przejściu po ramionach. Ludzie, którzy nie mieli dzisiaj umrzeć, łypali chciwie na tych, co mieli niebawem być martwi. O pięćdziesiąt jardów od A – jak – Abel kompania C przechodziła identyczny rytuał.



**Byli wypoczęci, przynajmniej stosunkowo; nie musieli stać przez pół nocy na czatach i nie byli w linii, gdzie nerwy wykluczały sen, lecz na dole, osłonięci. I nakarmiono ich. I napojono. Niektórzy dobrze się wyspali, w każdym razie byli w lepszej formie niż żołnierze z linii.**

**Kapral Fife należał do tych, którzy spali najmniej. Wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że mały Bead tak zabił tego Japońca. Przez ten deszcz i całkowity brak osłony przed nim, oraz nerwowe podniecenie myślą o jutrze, zdrzemnął się tylko raz na jakieś pięć minut.**

**Ale brak snu nie dawał mu się we znaki. Był młody, zdrowy i dosyć silny. Właściwie nigdy w życiu nie czuł się zdrowszy czy w lepszej formie; rano tego dnia, w pierwszej szarości wczesnego świtu, stanął na zboczu i przepełniony energią i żywotnością patrzył długo w parów opadający coraz głębiej do tyłu, aż w końcu zapragnął rozpostrzeć szeroko ramiona wiedziony uczuciem poświęcenia, miłości życia i miłości do ludzi. Oczywiście nie zrobił tego. Wszędzie dokoła inni także czuwali. Ale miał taką ochotę. A teraz, kiedy przeskoczył przez grzbiet w początek bitwy, rzucił za siebie jedno szybkie spojrzenie, jedno ostatnie spojrzenie, i stwierdził, że patrzy prosto w duże piwne, przesłonięte okularami oczy Cioty Steina, który był tuż za nim.**

**Co za cholerne ostatnie spojrzenie! – pomyślał Fife kwaśno.**

**Stein pomyślał, że nigdy nie widział tak głębokiego, mrocznego, gwałtownego, nabrzmiałego gniewem spojrzenia jak to, które Fife nań skierował, kiedy przeskakiwali przez grzbiet, i doznał wrażenia, że wymierzone jest w niego. W niego osobiście. Oni dwaj ruszyli prawie na ostatku. Za nimi byli jeszcze tylko sierżant Welsh i młody Bead. Kiedy Stein się obejrzał, schodzili nisko przygięci, zapierając się stopami, które ślizgały się po łupku i ziemi stoku.**

**Dyspozycje wydane przez Steina były te same dzisiaj co w dwóch poprzednich dniach. Nie działali nic szczególnego i nie widział powodu, żeby zmieniać porządek marszu: pierwszy pluton na przedzie, drugi za nim, trzeci w odwodzie. Każdy z czołowych plutonów miał po jednym z dwóch karabinów maszynowych; moździerze pozostały przy dowództwie kompanii i odwodzie. W takim porządku ruszyli. I kiedy Stein ześliznął się do stóp krótkiego przedniego stoku Wzgórza 209, ujrzał pierwszy pluton znikający za jedną z małych fałd gruntu, które biegnęły poprzecznie do linii ich natarcia. Byli o jakieś sto jardów w przedzie i rozwinęli się dobrze.**

**Tych małych fałd było trzy. Wszystkie biegnęły prostopadle do południowego stoku Wzgórza 209, a równoległe do siebie. Kiedy poprzedniego wieczora Stein oglądał ten teren z pułkownikiem Tallem, przyszło mu do głowy wykorzystać je jako osłonę posuwając się od prawego krańca wzgórza, a potem w lewo przez fałdy i własny front, zamiast dać się przychwycić w bardziej spadzistym parowie pomiędzy dwoma wzgórzami, tak jak się przydarzyło kompanii F. Tall zgodził się na to.**

Później Stein poinstruował swoich oficerów. Klęcząc wraz z nimi w zmięczeniu tuż za grzbietem, pokazywał im to wszystko. Gdzieś w półmroku szczerzył gniewnie karabin snajpera. Jeden oficer po drugim przepatrzył teren przez lornetkę. Najdalsza w lewo z tych trzech fałd była o sto pięćdziesiąt jardów od stóp zbocza, które przechodziło w Szyję Słonia. To zbocze było coraz bardziej strome, w miarę jak wspinało się do wzniesienia w kształcie litery U, które było Głową Słonia i z odległości pięćuset jardów panowało nad całym terenem.

Nad tym stu pięćdziesięciojardowym zagłębieniem oraz nad trzecią fałdą dominowały po obu stronach dwa mniejsze trawiaste grzbiety, wyrastające ze stoku i odległe od siebie o dwieście jardów. Obydwa były prostopadłe do fałd gruntu i równoległe do linii natarcia. Trzymając je plus Głowę Słonia, Japończycy mogli kłaść straszliwy ogień na cały obszar podejścia. Plan Talla polegał na tym, żeby elementy czołowe weszły na oba grzbiety, wypatrzyły i zlikwidowały ukryte tam punkty oporu, które wczoraj zatrzymały drugi batalion, a potem, wsparte przez kompanię odwodową, posunęły się po Szyi Słonia, by zdobyć jego głowę. To właśnie nazywali Kręgielnią. Ale żadnym sposobem nie mogli jej oskrzydlić. Po lewej opadała przepaścistym stokiem do rzeki, a po prawej była dżungla silnie obsadzona przez Japończyków. Należało wziąć ją frontalnie. Stein nakreślił to wszystko swym oficerom zeszłego wieczora. Teraz przygotowywali się do wykonania rozkazów.

Stein, będąc u stóp łupkowego stoku,, widział bardzo niewiele. Rozpoczął się ogromny, ogłuszający huk, który wisiał wszędzie w powietrzu wydając się nie mieć źródła. Oczywiście składał się nań częściowo nieustanny ogień karabinowy całej własnej linii, bombardowanie i moździerze. Być może Japończycy także teraz strzelali. Ale nie widział żadnych tego oznak. A w ogóle która to była godzina?

Stein spojrzął na zegarek, którego mała tarczka również spojrziała na niego z takim napięciem jak nigdy dotąd. 6.45 – za kwadrans siódma rano. W kraju powinno być teraz... Stein uświadomił sobie, że nigdy nie widział naprawdę swojego zegarka. Zmusił się do opuszczenia ręki. Na wprost przed nim trzeci pluton odwodowy rozwinął się i leżał rozplaszczony za pierwszą z trzech fałd gruntu. Przy nim było dowództwo kompanii i sekcja moździerzy. Większość tych ludzi spoglądała na niego z takim samym napięciem jak tarczka zegarka.

Stein pobiegł ku nim przygięty, z ekwipunkiem obijającym mu się o ciało, krzycząc, żeby tam rozstawili moździerze, dając im znaki ręką. A potem uprzytomnił sobie, że sam ledwie słyszy własny głos w tym huku i ryku zagłady, który przetaczał się w powietrzu. Jakże go mogli dosłyszeć? Zastanowił się, jak idzie pierwszemu – i drugiemu – plutonowi, i jak by mógł to zobaczyć.

W tym momencie pierwszy pluton leżał rozrzucony za środkową z trzech fałd. Za nim drugi pluton też leżał rozrzucony w zagłębieniu między fałdami. Nikt w gruncie rzeczy nie miał ochoty się ruszyć.

Młody porucznik Whyte przepatrzył przedtem teren między tą fałdą a trzecią, nie dojrzał nic i skinął już do swoich dwóch szperaczy, by tam podeszli. Teraz dał im ponownie znak zginając i prostując rękę od łokcia, co oznaczało „szybko”. Łoskot, grzmot i huk nękały także Whyte'a. Zdawało się, że nie dochodzą z jakiegoś określonego miejsca czy miejsc, ale po prostu wiszą i drgają w powietrzu nie wiedzieć skąd. Whyte także nie dostrzegał żadnych widomych rezultatów tylu huków i wybuchów. Ponieważ dwaj szperacze nadal się nie ruszali, Whyte wpadł w gniew, otworzył usta i ryknął do nich znów dając znaki ręką. Oczywiście, nie mogli go słyszeć, ale wiedział, że widzą czarny otwór jego rozwartych ust. Obaj popatrzyli na niego tak, jakby uważali, że zwariował proponując coś podobnego, ale tym razem po chwili się ruszyli. Prawie ramię w ramię poderwali się, przesadzili grzbiet małej fałdy i zbiegli przygięci w zagłębienie, gdzie padli plackiem na ziemię. Po chwili zerwali się znowu, jeden nieco w tyle za drugim, pobiegli zgięci nieomal wpół na wierzch ostatniej fałdy i znowu padli na płask. Zaraz potem zerknęli pobieżnie przez fałdę i dali znak Whyte'owi, by do nich dołączył.

Whyte poderwał się dając szerokim zamachem ręki znak „naprzód”

i pognął przed siebie, a za nim jego pluton. Pierwszy pluton przebiegł teren dwoma skokami tak jak szperacze, a drugi podsunął się na wierzch środkowej fałdy.

Stein, za pierwszą fałdą, widział ten ruch, i to go trochę uspokoiło.

Podpełznął do jej wierzchu, między swych ludzi, i podniósł się na kolana, aby popatrzeć, a jego twarz i całe płaty skóry drgały z szalonego niepokoju, gdy usiłował uprzytomnić sobie swoje szaleństwo.

Ponieważ nic go nie trafiło od razu, pozostał na klęczkach i widział, jak pierwszy pluton schodził z fałdy środkowej i docierał na wierzch trzeciej. Przynajmniej tam doszli. Może nie będzie tak źle. Stein położył się na powrót, dość dumny, i uświadomił sobie, że jego ludzie, rozplaszczeni dokoła, wpatrują się w niego bacznie. Poczłował się jeszcze bardziej dumny. Za nim, w zagłębieniu fałdy, drużyny ustawiały moździerz. Poczłował się do nich wśród tego piekielnego łomotu, ciągle wypełniającego powietrze, krzyknął Culpowi do ucha, żeby wziął na cel lewy trawiasty grzbiet. Szeregowiec Mazzi, włoski chłopak z Bronxu, popatrzał nań od moździerza szeroko rozwartymi, przestraszonymi oczami. Tak samo większość innych. Stein odczołgał się z powrotem na wierzch fałdy. Tam podniósł się akurat w porę, by ujrzeć nacierający pierwszy, a potem drugi pluton. Był na wierzchu pierwszej fałdy jedynym człowiekiem, który to widział, bo jedynym nie rozplaszczonym na ziemi. Przygryzł wargi. Nawet stąd mógł rozpoznać, że jest źle, że popełniono poważny błąd taktyczny.

Jeżeli był to błąd taktyczny, zawinił tu Whyte. Przede wszystkim Whyte, a potem porucznik Tom Blane z drugiego plutonu. Whyte dotarł na wierzch trzeciej i ostatniej

**fałdy gruntu bez strat. Samo w sobie wydawało mu się to dziwne, jeżeli nie nadmiernie optymistyczne.**

**Znał swoje rozkazy: miał odnaleźć i zlikwidować ukryte punkty oporu na obu trawiastych grzbietach. Najbliższy z nich, po prawej, zarysowywał się dość wyraźnie o jakieś osiemdziesiąt jardów od prawego skrzydła. Podczas gdy ludzie przywierali do ziemi i patrzyli na niego ze zlanymi potem twarzami, Whyte dźwignął się ostrożnie na łokcie, tak że wysunął tylko oczy, i przepatrzył teren, który opadał przed nim, kamienisty i porośnięty rzadką trawą, dochodząc do stóp małego wzniesienia, gdzie trawa od razu stawała się gęsta, brunatna, po pas wysoka. Whyte nie widział niczego, co mogłoby wyglądać na Japończyków czy ich stanowiska ogniowe. Bał się, ale pragnienie, żeby dzisiaj się wykazać, było silniejsze. W gruncie rzeczy nie wierzył, żeby miał polec na tej wojnie. Zerknął przelotnie przez ramię na grzbiet Wzgórza 209, gdzie stały grupki ludzi na wpół odsłoniętych, obserwujących. Jednym z nich był dowódca korpusu. Donośny huk i łoskot, wiszący bez widocznego źródła w powietrzu, zelżał nieco i podniósł się o kilka jardów wyżej, gdy przeniesiono ogień zaporowy z małych grzbietów na Głowę Słonia. Whyte znowu popatrzał na teren i dał znak swoim szperaczom, żeby ruszali naprzód.**

**I tym razem obaj strzelcy spojrzeli na niego tak, jakby uważali, że postradał zmysły, tak, jakby chcieli z nim podyskutować, gdyby nie bali się stracić dobrej opinii. Whyte znowu dał im znak „naprzód”, podrywając przedramię w górę i w dół sygnałem pośpiechu. Szperacze popatrzyli po sobie, najpierw dźwignęli się na czworaki, po czym poderwali się, zbiegli dwadzieścia pięć jardów w zagłębienie i padli na ziemię. Po chwili, rozejrzawszy się i stwierdziwszy, że nadal są żywi, zebrali się znowu. Pierwszy, klęcząc i gotując się do powstania, nagle padł i zadrgał; drugi, nieco za nim, podniósł się trochę wyżej, tak że gdy upadł, zwałił się na ramię i przetoczył na plecy. I tak leżeli obaj, ofiary dobrze ułożonych strzałów niewidocznych strzelców. Nie ruszyli się więcej. Obaj byli najwyraźniej martwi. Whyte popatrzał na nich ze zgrozą. Nie słyszał strzałów ani nie widział żadnego ruchu. I żadne kule nie wzbijały ziemi w przedzie.**

**Znowu popatrzał na milczące, zamaskowane oblicze opustoszałego małego grzbietu.**

**Co miał teraz zrobić? Potężny bezźródłowy huk w powietrzu stał się jakby trochę głośniejszy. Whyte, muskularny, masywny młody mężczyzna, był mistrzem w boksie i dżudo na uniwersytecie, gdzie przygotowywał się do pracy biologa morskiego, a także najlepszym pływakiem w uczelni. W każdym razie nie mogą łupnąć nas wszystkich – pomyślał lojalnie, ale mając głównie na uwadze samego siebie, i powziął decyzję.**

**–Jazda, chłopcy! Na nich! – ryknął i zerwał się dając plutonowi znak „naprzód”. Postąpił dwa kroki mając tuż za sobą pluton z bagnietami nasadzonymi na broń od**

wczesnego rana, i padł martwy, przeszyty skośnie od ramienia po biodro kulami, z których jedna rozerwała mu serce. Zdążył tylko pomyśleć, że coś go strasznie zabolalo, nawet nie o tym, że nie żyje, nim skonał. Być może krzyknął.

Pięciu innych z jego plutonu padło prawie jednocześnie, rozmaicie rażonych, jedni zabici, inni tylko draśnięci. Jednakże impet, który zapoczątkował Whyte, trwał, i pluton nacierał na oślep. Potrzeba byłoby innego impulsu, by go zatrzymać czy zmienić jego kierunek.

Jeszcze kilku ludzi upadło. Niewidoczne karabiny i cekaemy waliły, rzekłbyś, z każdego zakątka kuli ziemskiej. Doszedłszy do dwóch martwych szperaczy znaleźli się w zasięgu dalszego, lewego grzbietu, który przyjął ich gęstym ogniem krzyżowym. Sierżant Duży Queen, awansowany zaledwie przed dwoma dniami, po odejściu Stacka, biegnąc wraz z resztą i wrzeszcząc coś bez związku, zobaczył, że sierżant – szef plutonu, nazwiskiem Grove, odrzuca precz karabin, tak jakby się go bał, i pada z krzykiem, chwytając się za pierś. Queen nawet się nad tym nie zastanowił. Obok niego starszy szeregowiec Doll też biegł mrugając szybko powiekami, tak jakby to mogło go ochronić. Jego umysł całkiem zastygł z przerażenia, więc nie myślał w ogóle. Poczucie osobistej nietykalności Dolla przechodziło ciężką próbę, ale jeszcze go nie zawiodło, tak jak Whyte'a. Minęli już martwych szperaczy. Po lewej zaczynało padać coraz więcej ludzi. A za nimi, na trzeciej fałdzie, nagle ukazał się drugi pluton biegnący całym pędem, wrzeszczący chrapliwie.

To była akcja podporucznika Blane'a. Nie jakaś szczególnie skomplikowana. Nie miała nic wspólnego z zawiścią, zazdrością, paranoją czy podświadomym samozniszczeniem. Podobnie jak Whyte, znał swoje rozkazy, i obiecał Billowi Whyte'owi, że go wesprze i pomoże mu się wykaraskać. On także wiedział, że dowódca korpusu ich obserwuje, i też chciał dzisiaj dobrze się spisać. Nie taki wysportowany jak jego kolega, ale mający więcej wyobraźni i wrażliwości, poderwał się i dał swym ludziom znak „naprzód”, kiedy zobaczył, że pierwszy pluton rusza. W wyobraźni już widział zakończenie całej sprawy: siebie, Whyte'a i ich ludzi stojących w należytych triumfie na zbombardowanych bunkrach, pozycję zdobytą. I on też poległ na drugim stoku, lecz nie na grzbiecie jak Whyte. Wciąż ukrytym japońskim karabiniarzem potrzeba było paru sekund, by podnieść ogień, i 2 pluton zbiegł ledwie dziesięć jardów po małym, łagodnym stoku, kiedy go nim pokryli. Dziewięciu ludzi padło od razu. Dwaj zginęli i jednym z nich był Blane. Nie tknięty przez cekaem, został na nieszczęście obrany za cel przez trzech strzelców, z których żaden nie wiedział o pozostałych; nie wiedzieli, że jest oficerem, i każdy go trafił. Poskoczył jeszcze pięć kroków naprzód i mając klatkę piersiową przebitą trzema kulami, nie skonał natychmiast. Leżał na wznak i sennie, całkiem odrętwiale, wpatrywał się w wysokie, piękne, czyste i białe cumulusy, które płynęły jak majestatyczne okręty po słonecznym, chłodno błękitnym, tropikalnym niebie. Bolało go trochę, kiedy oddychał. Był niejasno świadom, że może umrzeć, kiedy stracił przytomność.

**Drugi pluton dotarł do dwóch zabitych szperaczy, kiedy granaty z moździerzy zaczęły spadać na pierwszy pluton, o dwadzieścia pięć jardów w przdzie. Najpierw dwa, potem jeden, a potem trzy naraz buchnęły niewiarygodnymi grzybami ziemi i kamieni. Pecyny i odłamki zaświszczały i zafurczały w powietrzu. Był to impuls, który mógł albo zmienić kierunek tego ataku na oślepienie, albo zatrzymać go całkowicie. Uczynił jedno i drugie. W drugim plutonie sierżant Keck, w którego wszyscy się wpatrywali, odkąd padł porucznik Blane, wyrzucił w górę ręce trzymające w równowadze karabin, zarył obcasami w ziemię i ryknął do nich głosem tak donośnym, jakby krzyczało razem dziesięciu ludzi: „Padnij! Padnij!” Drugi pluton nie potrzebował przynaglenia. Biegący ludzie wtopili się w ziemię tak, jakby nadleciał silny wiatr i zdmuchnął ich niczym suche łodygi.**

**W pierwszym plutonie, mającym mniej szczęścia, reakcja była różna. Na prawym skraju linia dotarła do stóp prawego wzniesienia, właściwie długiego pagórka, i kilku ludzi – może drużyna – skręciło i dało nura w sięgającą po pas trawę, która ich zasłoniła przed ukrytymi wyżej cekaemami i chroniła przed moździerzami. Lewy koniec linii musiał przejść dużo dalej, ze siedemdziesiąt jardów lub więcej, żeby dotrzeć do martwego pola pod lewym grzbietem, ale grupka ludzi tego popróbowwała. Jednakże żaden nie doszedł. Zostali przygwożdżeni do ziemi kryjąc się przed cekaemami albo powywracali się ogłuszeni przez granatniki, zanim zdążyli się schronić przed karabinami maszynowymi czy dojść dostatecznie blisko, by wymknąć się spod granatów. Tuż w lewo od środka była przydzielona z plutonu Culpa sekcja karabinu maszynowego, której Whyte pozwolił dołączyć do natarcia przez zapomnienie czy z jakichś niejasnych własnych powodów taktycznych, i tych pięciu ludzi, biegnących razem, obalił ten sam pocisk z moździerza, a cekaem, trójnog i skrzynki z amunicją wyleciały koziołkując na wszystkie strony, choć żaden z pięciu żołnierzy nie został ranny. To był najdalszy punkt, jaki osiągnięto. Na lewym skraju pięciu czy sześciu ludzi zdołało schronić się w zarośniętej krzakami dolince u stóp Wzgórza 209, która nieco dalej przechodziła w głęboki parów, gdzie wczoraj kompanie F i G wpadły w pułapkę i dostały się pod ogień. Ci ludzie zaczęli ostrzeliwać dwa trawiaste grzbiety, choć nie widzieli żadnych celów.**

**Pośrodku linii pierwszego plutonu nie było żadnych osłon ani dolinek, gdzie można by się schronić. Ten środek, nim zatrzymały go moździerze, zbiegł w niebezpieczne zagłębienie, gdzie nie tylko mógł być ostrzelany ze wzniesień, ale także rażony skierowanym w dół ogniem karabinów maszynowych z samego Wzgórza 210. Tam nie było już nic innego do roboty poza padnięciem na ziemię i szukaniem jakichś dziur. Na szczęście jednoczesny ogień artylerii, wymacywał przedtem to miejsce, zarówno jak pagórki, i było tam dużo lejów. Ludzie, potrącając się wzajemnie, pognali do nich. Dziewiętnastowieczna szarża nieboszczyka Whyte'a była zakończona. Pociski z moździerzy nadal padały tu i ówdzie, szukając żywego ciała, szukając kości.**

**Szeregowiec John Bell z drugiego plutonu leżał rozplaszczony dokładnie tak, jak**

przypadł w biegu do ziemi, i nie poruszał ani jednym mięśniem. Nie mógł nic widzieć, bo oczy miał zamknięte, ale nasłuchiwał. Przeciągłe szczekanie karabinów maszynowych na małych wzniesieniach ustało i ograniczało się teraz do krótkich serii w określone cele. Tu i ówdzie ranni wrzeszczeli, skomleli lub jęczeli.

Bell miał twarz obróconą w lewo, policzek przyciśnięty do ziemi i starał się nawet nie oddychać w sposób widoczny, z obawy, że zwróci na siebie uwagę. Ostrożnie otworzył oczy, trochę przestraszony, że jakiś karabiniarz o sto jardów od niego dostrzeże ruch jego powiek, i stwierdził, że patrzy w otwarte oczy szperacza z pierwszego plutonu, leżącego o pięć jardów w lewo. Był to młody poborowy grecko – tureckiego pochodzenia, nazwiskiem Kral. Kral był znany z dwóch rzeczy: najszeptniejszej, krzywonosej twarzy w pułku i najgrubszych okularów w C – jak – Charlie. To, że mając tak krótki wzrok, mógł być szperaczem, stanowiło przedmiot żartów w kompanii. Ale Kral zgłosił się na ochotnika; mówił, że chce być tam, gdzie coś się dzieje, w czasie pokoju czy na wojnie. Ten cwaniak z Jersey uwierzył jednak w czterobarwne ulotki propagandowe. Nie wiedział, że profesja pierwszego szperacza w plutonie strzelców należała do przeszłości, była czymś z okresu wojen z Indianami, a nie zmasowanych dywizji, olbrzymiej siły ognia i bardziej ścisłej dzisiejszej kontroli społecznej.

Nazwa powinna by brzmieć: pierwszy cel. a nie: pierwszy szperacz, a teraz grube okulary nadal spoczywały na jego twarzy. Nie spadły.

Jednakże coś w ich przekrzywieniu, przynajmniej z miejsca, gdzie leżał Bell, powiększało otwarte oczy tak, że wypełniały całe szkła. Bell nie mógł się powstrzymać od upartego patrzenia w te oczy, a one spoglądały na niego z ogromnie mądrym i wyrozumiałym rozbawieniem. Im dłużej Bell na nie patrzył, tym bardziej wydawało mu się, że są otworami wiodącymi do środka wszechświata i że może przez nie tam wpaść, by płynąć przez gwiazdną przestrzeń pośród galaktyk, spiralnych mgławic i wyspiarskich wszechświatów. Przypomniał sobie, że podobnie, tylko przyjemniej, myślał o sromie swojej żony.

Zmusił się do zamknięcia oczu. Ale bał się poruszyć głową i ilekroć je otwierał, widział oczy Krala przekazujące mu swoje krotocwilne przesłanie życzliwej dobrej woli, wsysające się w niego oszałamiająco.

I gdziekolwiek spojrzał, podążały za nim przyjaźnie, ale uparcie. Z góry, niewidoczny, lecz obecny, ognisty żar słońca tropikalnego dnia rozpalał mu głowę pod hełmem, aż dusza w nim wiotczała. Bell nigdy nie zaznał takiego szarpiącego wnętrzości, ściskającego jądra przerażenia. Gdzieś poza zasięgiem jego wzroku wybuchnął jeszcze jeden pocisk z mózdzierza. Ale na ogół wydawało się, że dzień stał się bardzo spokojny. Bell zauważył, że jego ręka z zegarkiem leży w zasięgu wzroku. Boże drogi! To dopiero siódma czterdzieści pięć?

Złamany, pozwolił swoim oczom wrócić tam, gdzie pragnęły: do Króla. **TU LEŻY CZTEROOKI KRÓL, KTÓRY UMARŁ ZA COŚ.** Kiedy jedno z tych ogromnych oczu Króla mrugnęło nań żartobliwie, zrozumiał w desperacji, że musi coś zrobić, choć leżał tam zaledwie trzydzieści sekund. Nie ruszając się, z policzkiem przyciśniętym do ziemi, krzyknął głośno:

–Hej, Keck! – Odczekał chwilę. – Keck! Musimy się stąd wydostać!

–Wiem o tym – doleciała do niego stłumiona odpowiedź. Keck widocznie leżał z głową odwróconą w drugą stronę i nie miał zamiaru nią poruszyć.

–Co zrobimy?

–Ano... – Nastąpiło milczenie, gdy Keck się namyślał. Przerwał je cienki, piskliwy głos z daleka.

–My wiemy, że ty tam, Jankes. Jankes, wiemy, że ty tam.

–Todżo to gównojad! – ryknął Keck. Odpowiedziała mu gniewna seria z cekaemu.

–Rozowelt gównojad! – wrzasnął daleki głos.

–Masz rację, cholera! – zawołał jakiś wystraszony republikanin na prawo od Bella. Kiedy ogień ustał, Bell zawołał znowu:

–Co robimy, Keck?

–Posłuchaj – doleciała stłumiona odpowiedź. – Słuchajcie wszyscy. I podać to dalej, żeby każdy wiedział. – Odczekał, aż rozległ się chór stłumionych głosów. – Uważajcie. Kiedy krzyknę, wszyscy się podrywają. Załadować i trzymać drugi magazynek w ręku.

Pierwsza i trzecia drużyna zostaje w pozycji klęczącej i osłania ogniem. Druga i czwarta posuwa na tę małą fałdę. Pierwsza i trzecia wystrzela po dwa magazynki i zapieprza. Druga i czwarta osłania z tej fałdy. Jeżeli nic nie dojrzycie, strzelajcie ogniem obramowującym. Strzelać z przerwami. Pozycje są gdzieś w połowie drogi na te wzniesienia. Niech wszyscy biją w prawy grzbiet, który jest bliżej. Skapowaliście?

Zaczekał, a wszyscy usiłowali upewnić się stłumionym głosem, że każdy inny wie.

–Wszyscy skapowali? – zawołał Keck. Nie było odpowiedzi. – To JAZDA! – ryknął.

Stok ożył. Bell, w drugiej drużynie, nie zadał sobie nawet trudu będącego obowiązkiem dobrego żołnierza, by się rozejrzeć, czy plan jest wykonywany, tylko przekręcił się i zerwał pędem, przebijając nogami, jeszcze zanim dosięgnął w skoku



ziemi. Bezpieczny za małą fałdą gruntu, która nagle przybrała ogromne rozmiary, okręcił się i otworzył ogień osłaniający, bojąc się straszliwie, że zostanie przeszyty przez pierś, tak jak porucznik Whyte, który leżał zaledwie o kilka kroków. Metodycznie wwiercał kule w bure zbocze wzgórza, na którym wciąż się kryły niewidoczne, czekające kaemy – jeden strzał w prawo, jeden w lewo, jeden w środek, jeden w lewo... Nie wierzył, żeby którykolwiek z nich kogoś trafił. Gdyby trafił, nic by z tego nie wynikało; zabity przypadkiem, uśmiercony nie jako jednostka, ale przez czyste prawdopodobieństwo statystyczne, przez obliczoną szansę ognia obramowującego, tak jak i on sam mógł być trafiony każdej chwili. **Matematyka! Matematyka! Algebra! Geometria!**

Kiedy pierwsza i trzecia drużyna przekotłowały się przez mały grzbiet, Bell z zadowoleniem padł na twarz, przycisnął policzek do ziemi, zamknął oczy i tak pozostał. Boże, o Boże! Dlaczego ja tu jestem? Dlaczego tu jestem? Po chwili namysłu postanowił to zmienić na „dlaczego tu jesteście?” Tym sposobem żadna karząca siła nie mogła zażądać od niego zapłaty za samolubstwo.

Najwyraźniej plan Kecka wypadł bardzo dobrze. Druga i czwarta drużyna, wykorzystując zaskoczenie, wycofała się nietknięta, a w pierwszej i trzeciej tylko dwaj ludzie zostali trafieni. Bell akurat na nich patrzył. Biegając pędem, z pochyloną głową, ów człowiek (właściwie chłopiec nazwiskiem Kline) nagle poderwał głowę, oczy miał rozszerzone z zaskoczenia i przestachu, wykrzyknął: „Och!”, a jego usta były krągłym, ściągniętym otworem w twarzy, i upadł. Wściekły na samego siebie, Bell poczuł, że w piersi bulgocze mu śmiech. Nie wiedział, czy Kline jest zabity, czy ranny. Cekaemy przestały szczekać. Teraz, we względnej ciszy, o pięćdziesiąt jardów w przód, pierwszy pluton leżał niewidoczny wśród lejów od pocisków i rzadkiej trawy. Rozpaczliwe, przerażone wołania: „Sanitariusz! Sanitariusz!” zaczęły się odzywać tu i ówdzie, i drugi pluton, wymknąwszy się, zaczął powoli zdawać sobie sprawę, że jednak nawet tu nie jest zbyt bezpieczny.

Na stanowisku dowodzenia za pierwszą fałdą Stein nie był jedynym, który widział skotłowany, bezładny powrót drugiego plutonu do trzeciej fałdy. Zobaczywszy, że ich kapitan może bezpiecznie podnieść się na klęczki i nie zostaje cały podziurawiony czy zmasakrowany, inni zaczęli także to robić. Dają im całkiem dobry przykład – pomyślał Stein, wciąż, trochę zdumiony swoją brawurą. Doszedł do wniosku, że będą tam potrzebni sanitariusze, i wezwał do siebie dwóch ze swojej kompanii.

–Wy dwaj lepiej tam idźcie! – krzyknął do nich poprzez huk. – Zdaje się, że was potrzebują. – To zabrzmiało spokojnie i dobrze.

–Rozkaz, panie kapitanie – odrzekł jeden z nich. Ten był starszy, w okularach, wyglądał na naukowca. Popatrzeni na siebie z powagą.

–Spróbuje wysłać noszowych w to zagłębienie między nami a drugą fałdą, żeby wam

**pomógł! – krzyknął Stein. – Zobaczcie, czy uda wam się przyciągnąć rannych do tego miejsca. – Znowu podniósł się na kolana, by wyrzeć przed siebie, gdzie od czasu do czasu gejerowały tu i ówdzie za trzecią fałdą pojedyncze pociski z moździerzy. – Posuwajcie się skokami, jeżeli uznacie, że trzeba – dodał niezdecydowanie. Zniknęli.**

**–Potrzebuję gońca! – krzyknął Stein patrząc na linię tych swoich żołnierzy, którzy mieli zarówno dość rozumu, jak odwagi, by dźwignąć się na – kolana, żeby coś widzieć. Wszyscy go usłyszeli, bo cała krótka linia miała nań skierowane oczy, lub obróciła ku niemu głowy. Ale ani jeden człowiek nie ruszył się, by podejść, i nikt mu nie odpowiedział. Stein patrzył na nich nie wierząc własnym oczom.**

**Był świadom, że całkiem błędnie ich ocenił, i czuł się jak kompletny dureń. Spodziewał się, że go obkoczą ochotnicy. Ogarnęło go dławiące przerażenie; jeżeli mógł tak się pomylić co do tego, to w czym jeszcze może pobłądzić? Jego entuzjazm go zdradził. Aby zachować twarz, odwrócił wzrok usiłując udawać, że niczego się nie spodziewał.**

**Ale nie zrobił tego dość prędko i wiedział, że się zorientowali. Nie był pewny, co czynić dalej, ale kłopot powzięcia decyzji został mu oszczędzony; u jego boku ukazała się jak cień widmowa postać.**

**–Ja pójdę, panie kapitanie.**

**Był to Charlie Dale, drugi kucharz, spoglądający spode łba, z ponurą, podnieconą twarzą.**

**Stein powiedział mu, że chce noszowych, i popatrzał za nim. kiedy Dale, zgięty wpół, pokłusował ku zboczcu Wzgórza 209, na które musiał się wdrapać. Stein nie miał pojęcia, gdzie dotąd był ani skąd się wziął tak nagle. Nie przypominał sobie, żeby go widział przez cały dzień, aż do tej pory. Z pewnością nie był jednym z linii klęczących. Stein znowu spojrzął na nich, nieco pokrzepiony. Dale. Musi to sobie zapamiętać.**

**Na małej fałdzie gruntu klęczało teraz dwunastu ludzi, którzy usiłowali dojrzeć, co się dzieje przed nimi. Jednakże młody kapral Fife do nich nie należał. Fife należał do tych, którzy leżeli rozplaszczeni, i rozplaszczyl się tak absolutnie, jak tylko mógł. Podczas gdy Stein klęczał nad nim obserwując, Fife leżał z podciągniętymi kolanami, uchem przytkniętym do słuchawki telefonu, który powierzył mu Stein, i nie dbał o to, czy jeszcze kiedykolwiek wstanie albo coś zobaczy. Przedtem, kiedy Stein zrobił to po raz pierwszy, z tą swoją głupią, zadowoloną dumą jaśniejącą na twarzy, Fife także zmusił się do dźwignięcia na klęczki i pozostał wyprostowany przez kilka sekund, aby nikt nie mógł przypiąć mu łatki tchórza. Uznał jednak, że to wystarczy. W każdym razie nic nie pobudziło jego ciekawości.**

Wszystkim, co zobaczył, kiedy się podniósł, był czubek gejjera ziemi wyrzuczonego przez pocisk z moździerza, który wylądował za trzecią fałdą. Co w tym tak wspaniałego, do cholery? Nagle wstrząsnął Fife'em spazm całkowitej beznadziei. Czuł się bezradny, kompletnie bezradny. Był tak bezradny, jak gdyby agenci rządu związali mu ręce i nogi, dostarczyli go tutaj, po czym wrócili tam, gdzie udają się dobrzy agenci. Może do jakiegoś cocktail – baru w Waszyngtonie, z mnóstwem piczek wszędzie dokoła. A on tu leżał, związany i skrępowany własnymi procesami umysłowymi i społeczną indoktrynacją, niczym sznurami, po prostu dlatego, że chociaż po cichu mógł przyznać się sobie, iż jest tchórzem, nie miał dość ikry by przyznać to publicznie. Była to udręka. Reagował dokładnie tak, jak przewidywały co bystrzejsze umysły w jego społeczeństwie. Wyprzedzały go na całej linii. A on nie potrafił niczego zmienić. Było to deprymujące, rozjątrające, niby ceglany mur, który go zewsząd otaczał i którego nie mógł ani przebić, ani przeskoczyć, a jednocześnie – co jeszcze gorsze – wiedział, że w rzeczywistości żadnego muru nie ma.

Jeżeli z samego rana był pełen samopoświęcenia, teraz to minęło.

Nie chciał być tutaj. Nie chciał być tutaj w ogóle. Chciał być tam, gdzie generałowie stali na grzbiecie wzgórza, całkowicie bezpieczni, obserwując. Spocony ze strachu i niewiarygodnego napięcia niepewności, Fife popatrzył na nich i gdyby nienawistne spojrzenie mogło zabijać, wszyscy padliby martwi i kampania skończyłaby się, dopóki nie przysłaliby jakichś nowych. Gdyby choć mógł zwariować!

Wtedy nie byłby odpowiedzialny. Dlaczego nie może zwariować?

Ale nie mógł. Niekamienność kamiennego muru natychmiast go otoczyła nie dając mu wyjścia. Mógł tylko leżeć rozpięty na tym krzyżu niezdecydowania. Po prawej, o kilka jardów za ostatnim żołnierzem plutonu odwodowego, oczy Fife'a zarejestrowały obraz sierżantów Welsha i Storma, skulonych za małym wysadem skalnym. Gdy na nich patrzył, Storm podniósł rękę i coś pokazał. Welsh wsunął karabin na skałę, przyłożył kolbę do policzka i wystrzelił pięć razy. Obaj wyjrzeni. Potem popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami. Była to łatwo zrozumiała, mała pantomima. Fife wpadł w gwałtowną wściekłość. Kowboje i Indianie! Kowboje i Indianie! Wszyscy się bawią w kowbojów i Indian! Tak jakby to nie były prawdziwe kule i jakby człowiek nie mógł naprawdę zginąć. W głowie Fife'a zapłonęła furia tak gwałtowna, że groziła wysadzeniem przez uszy wszystkich jego umysłowych bezpieczników dwoma buchnięciami czarnego dymu. Tę wściekłość przeciął, niejako złamał u rękoności brzęczyk telefonu w jego uchu.

Fife, zaskoczony, odchrząknął zastanawiając się z niepokojem, czy po tak długim czasie potrafi jeszcze mówić. Popróbował wyrzec słowo po raz pierwszy od zejścia ze wzgórza. Również po raz pierwszy usłyszał ten cholerny telefon. Nacisnął guzik i przyłożył usta do aparatu.

**–Tak? – powiedział ostrożnie.**

**–Co to znaczy „tak”? – odrzekł spokojny, chłodny głos i zaczął.**

**Fife zawisł w ogromnej, pustej, czarnej próżni, usiłując myśleć.**

**Co chciał powiedzieć?**

**–To znaczy: tu Charlie Cat Siedem – rzekł przypominając sobie żargon kodowy. – Odbiór.**

**–Teraz lepiej – powiedział spokojny głos. – Tu Cat Ace Siedem. – Oznaczało to dowództwo batalionu. – Mówi pułkownik Tall.**

**Dajcie mi kapitana Steina. Odbiór.**

**–Rozkaz, panie pułkowniku – odrzekł Fife. – Jest tutaj. – Sięgnął jedną ręką, aby pociągnąć za połę zielonej drelichowej bluzy Steina. Stein spojrzał nań zdziwiony, tak jakby nigdy dotąd nie widział Fife'a. Ani nikogo innego.**

**–Pułkownik Tall chce z panem mówić.**

**Stein położył się (zadowolony, że może się rozpląszczyć, zauważył Fife z satysfakcją) i wziął telefon. Mimo ogłuszającego huku w górze i on, i Fife leżący przy nim słyszeli pułkownika wyraźnie.**

**Kiedy brał telefon i naciskał guzik, Ciota Stein już się rozglądał za jakimś wytłumaczeniem dla siebie. Nie przewidywał, że tak prędko zostanie wywołany do odpowiedzi, a nie odrobił lekcji.**

**Wszystko, co mógł powiedzieć, zależało oczywiście od tego, czy Tall zechce dopuścić do jakichś wyjaśnień w ogóle. Mimo woli poczuł się jak uczeń, który zawinił i ma dostać różgi.**

**–Tu Charlie Cat Siedem. Stein – powiedział. – Odbiór. – Puścił guzik.**

**To, co usłyszał, zdumiało go tak, że zaniemówił.**

**–Wspaniale, kapitanie, wspaniale. – Czysty, chłodny, spokojny, młodzieńczy głos Talla doleciał do niego, do nich obu, oszroniony czystym, zimnym chłopięcym entuzjazmem. – Najświetniejsza rzecz, jaką te stare oczy widziały od długiego czasu. Od bardzo dawna.**

**Stein żywo ujrzał w myśli krótko ostrzyżoną, chłopięcą, anglosaską głowę i gładką, anglosaską twarz Talla. Pułkownik był o niespełna dwa lata starszy od Steina. Jego czyste, niewinne, chłopięce oczy były najmłodszymi, jakie Stein widział od dłuższego**

czasu.

–Pięknie pomyślane i pięknie wykonane. Zostanie pan wymieniony w rozkazie batalionu, kapitanie. Pańscy ludzie pięknie się spisali. Odbiór.

Stein nacisnął guzik, zdołał wykrztusić cicho: – Tak jest, panie pułkowniku. Odbiór – i puścił guzik. Nie przyszło mu na myśl nic innego do powiedzenia.

–Najlepsza, ofiarna akcja zlokalizowania ukrytej pozycji, jaką widziałem kiedykolwiek poza manewrami. Młody Whyte prowadził pięknie. I jego też wymienię. Widziałem go w tym pierwszym starciu. Czy jest bardzo ciężko ranny? Ale posłanie pańskiego drugiego plutonu też było świetne. Przy odrobinie szczęścia mogli wziąć obydwa boczne grzbiety. Myślę, że nie są za ciężko poszkodowani. Blane też dobrze prowadził. Jego wycofanie zdradzało starego zawodowca.

Ile stanowisk rozpoznali? Zniszczyli któreś? Powinniśmy oczyścić te grzbiety do południa. Odbiór.

Stein słuchał w zachwycie, patrząc w oczy Fife'owi, który też słuchał wpatrując się w niego. Dla Fife'a spokojny, miły, konwersacyjny ton pułkownika Talla był zarówno rozjątrzający, jak straszny.

A dla Steina było to jak słuchanie komunikatu radiowego o walkach w Afryce, o których nic nie wiedział. Kiedyś, za czasów szkolnych, miał międzymiastową rozmowę z ojcem, który zadzwonił, żeby pochwalić go za dobre świadectwo, o którym Stein myślał, że będzie złe. Żaden z nich nie zdradził się drugiemu, co przypuszczał, i milczenie się przedłużało.

–Halo! Halo! Halo, Stein! Odbiór.

Stein nacisnął guzik.

–Jestem, panie pułkowniku. Odbiór. – Stein puścił guzik.

–Myślałem, że pana trafili. – Głos Talla był rzeczowy. – Pytałem, ile stanowisk rozpoznali. I czy któreś zniszczyli. Odbiór.

Stein nacisnął guzik wpatrując się w rozszerzone oczy Fife'a, tak jakby mógł za nimi dojrzeć Talla.

–Nie wiem. Odbiór. – Puścił guzik.

–Jak to, pan nie wie? Jak pan może nie wiedzieć? – ozwał się chłodny, spokojny, konwersacyjny głos Talla. – Odbiór.

Stein był w rozterce. Mógł przyznać się do tego co obaj z Fife'em wiedzieli lub może czego Fife nie wiedział, a mianowicie, że nic mu nie było wiadomo o natarciu Whyte'a, że go nie nakazał i do tej chwili uważał je za nieudane. Albo mógł nadal przyjmować za nie pochwały i starać się jakoś wytłumaczyć nieznaną jego wyników. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że Tall później zmieni zdanie.

Z pełną wrażliwością delikatnością, której Stein nigdy nie spodziewał się w wojsku, a już z pewnością w polu, pod ogniem, Fife nagle opuścił oczy i na wpół odwrócił głowę patrząc w inną stronę. Nadal słuchał, ale przynajmniej udawał, że tego nie robi.

Stein nacisnął guzik, co było konieczne, ale zaczynało go wściekać.

–Jestem tutaj – powiedział ostro. – Za trzecią fałdą. – Czy pan chce, żebym wstał? I pomachał ręką? Żeby pan mnie zobaczył? – dodał kostycznie ze złością. – Odbiór.

–Nie – odrzekł spokojnie głos Talla, który nie uchwycił ironii.

–Widzę, gdzie pan jest. Chcę, żeby pan coś zrobił. Żeby pan teraz podszedł i zobaczył, jak wygląda sytuacja. I chcę mieć dziś wieczorem Wzgórze 210 w moich rękach. A po to muszę mieć te dwa grzbiety do południa. Czy pan zapomniał, że dowódca korpusu jest tu dzisiaj i obserwuje? Ma ze sobą admirała Barra, który specjalnie przyleciał. Admirał wstał po to o świcie. Chcę, żebyście tam ożyli, Stein – dodał dziarsko. – Odbiór i koniec.

Stein nadal słuchał ściskając telefon i patrząc wściekle przed siebie, choć wiedział, że nic więcej nie będzie. Wreszcie wyciągnął rękę, dotknął Fife'a i oddał mu aparat. Fife wziął go w milczeniu. Stein przetoczył się, poderwał i pobiegł zgięty tam, gdzie moździerze miały od czasu do czasu granaty z tym swoim niesamowitym, zaświatowym, przeciągłym gongowym odgłosem.

–Dajecie sobie radę? – wrzasnął Culpowi do ucha.

–Dostajemy ogień z obydwu grzbietów! – odkrzyknął Culp uprzejmie jak zawsze. – Postanowiłem skierować jedną rurę na prawy grzbiet – dodał mimochodem i wzruszył ramionami. – Ale nie wiem, czy wyrządzamy jakieś szkody. Jeżeli są okopani... – Urwał i znowu wzruszył ramionami.

–Postanowiłem posunąć się naprzód na drugą fałdę! – krzyknął Stein. – Czy to nie będzie dla was za blisko?

Culp postąpił trzy kroki na łagodne zbocze, wyciągnął szyję i wyjrzał przez wierzch mrużąc oczy. Wrócił. – Nie. Jest dosyć blisko, ale chyba możemy ich razić. Tylko że amunicja nam się kończy. Jeżeli będziemy strzelać w tym tempie... – Znowu wzruszył ramionami.

**–Poślij wszystkich oprócz sierżantów na tyły po świeżą amunicję. Ile tylko udźwigną. A potem ruszajcie za nami.**

**–Żaden nie lubi tachać tych fartuchów – krzyknął Culp. – Wszyscy mówią, że jeśli zostaną trafieni mając to na sobie...**

**–Do jasnej cholery, Bob! Nie mogę zawracać sobie głowy czymś podobnym, w takim momencie! Wiedzieli, co będą musieli nosić!**

**–Wiem o tym. – Culp wzruszył ramionami. – Gdzie mam być?**

**Stein zastanowił się.**

**–Chyba po prawej. Jeżeli was wypatrzą, będą próbowali was trafić. Chcę, żebyś był z daleka od plutonu odwodowego. Dam ci kilku strzelców na wypadek, gdyby spróbowali wysłać patrol na nasze skrzydło. Jeżeli coś będzie wyglądało na więcej niż patrol, daj mi znać prędko, – Bądź spokojny – odparł Culp. Obrócił się do swoich drużyn.**

**Stein odbiegł w prawo, gdzie widział Ala Gore, porucznika z trzeciego plutonu, a jednocześnie dał znak sierżantowi Welshowi, by zbliżył się do niego. Welsh, a za nim Storm przyszli na odprawę.**

**Nawet Welsh – zauważył Stein mimochodem – nawet Welsh miał ten napięty, baczny, skupiony wyraz twarzy, niby lepka patynę nagannych pragnień.**

**Podczas gdy 3 pluton i dowództwo kompanii Steina posuwały się naprzód ku drugiej fałdzie dwoma równoległymi rzędami, pierwszy pluton nadal leżał w lejach od pocisków. Po pierwszym trzasku, salwie i grzmocie moździerzy wszyscy spodziewali się, że w pięć minut będą martwi. Jednakże, choć wydawało się to niewiarygodne, Japończycy najwyraźniej nie widzieli ich zbyt dobrze. Od czasu do czasu jakaś kula czy seria pruła im nisko nad głowami, a w sekundę później słychać było odgłos jej odpalenia. Granaty z moździerzy ciągle spadały z westchnieniem, wybuchając huczącymi gejzerami ziemi i grozy. Na ogół jednak Japończycy zdawali się na coś czekać.**

**Pierwszy pluton chętnie poczekałby razem z nimi. Pozbawiony dowódcy, przygwożdżony, wciskając w ziemię ręce i spocone twarze, gotów był czekać bez końca i nie poruszyć się nigdy więcej. Wielu modliło się i przyrzekało Bogu, że będą chodzić na nabożeństwa co niedzielę. Jednakże z wolna zaczęli uświadamiać sobie, że mogą się poruszać, mogą też strzelać, że śmierć nie jest czymś z góry przesądzonym i nieuniknionym dla wszystkich.**

**Pomagali w tym sanitariusze. Dwaj kompanijni, otrzymawszy rozkazy od Steina, posunęli się z drugim plutonem wzdłuż trzeciej fałdy i zaczęli robić krótkie wypadki na**

plytki stok po rannych. Ogółem było piętnastu rannych i sześciu zabitych. Obaj sanitariusze nie zajmowali się zabitymi, natomiast powoli pozbierali dla noszowych wszystkich rannych. Beztroscy, skupieni, poważni, w okularach, poruszali się w górę i w dół po stoku, bandażując i dezynfekując, ciągnąc i na wpół niosąc. Obalały ich pociski z moździerzy, ogień maszynowy wzbijał dokoła ziemię, ale nic ich nie tknęło. Mieli polec przed upływem tygodnia (i zostać zastąpieni przez typów znacznie mniej podziwianych w C – jak – Charlie), ale na razie brnęli nietknięci przed siebie, dwaj zrównoważeni ludzie, zaprzęgnięci niesieniem pomocy jęczącym, bezradnym, którym mieli służbowy obowiązek pomagać. W końcu sporo ludzi z pierwszego plutonu popodnosiło głowy na tyle, by ich zobaczyć, i zdało sobie sprawę, że poruszanie się jest możliwe – przynajmniej jeżeli nie wstaną wszyscy naraz, nie zaczną machać rękami i wołać: „Tu jesteśmy!” Żaden z nich nie widział dotąd ani jednego Japończyka.

Doll był tym, który zobaczył pierwszych. Czując ruch dokoła siebie, gdy ludzie zaczęli się obracać i cicho nawoływać, Doll wziął w garść całą swą nadwerżoną ufność i podniósł głowę, żeby wyjrzeć z płytkiego zagłębienia, w którym leżał. Okazało się, że patrzy na tył małego lewego grzbietu, akurat w miejsce, gdzie łączył się ze skalistym zboczem Wzgórza 210. Zobaczył trzy postacie, które niosąc coś, co mogło być tylko karabinem maszynowym nadal zamontowanym na trójnogu, ruszyły pędem w poprzek zbocza ku Wzgórz 210, zgięte wpół identycznie tak samo jak on, kiedy tu biegł. Doll zdumiał się, nie wierzył własnym oczom. Byli o jakieś dwieście jardów, dwaj w tyle biegli razem, niosąc cekaem, a ten, który był w przedzie, po prostu biegł nie niosąc nic. Doll złożył się z karabinu, podniósł celownik o cztery podziałki, i leżąc tylko z lewą ręką i ramieniem wysuniętym poza mały dołek, wymierzył w człowieka biegnącego na przedzie, wziął małe wyprzedzenie i nacisnął spust. Karabin kopnął go w ramię, a tamten padł na ziemię. Dwaj ludzie za nim uskoczyli razem w bok jak para płochliwych, ale zgranych koni, i pobiegli dalej. Nie rzucili karabinu, nie wypadli z rytmu, ani nawet nie zmylili kroku. Doll strzelił jeszcze raz, ale chybił. Teraz uświadomił sobie swój błąd; gdyby był trafił jednego z niosących cekaem, musieliby go upuścić i zostawić, albo zatrzymać się, żeby go podnieść.

Zanim zdążył wystrzelić po raz trzeci, byli już między skałami krawędzi, za którą opadała do rzeki stroma przepaść. Doll chwilami widział ich plecy lub głowy, gdy biegli dalej, lecz ani razu dostatecznie długo, by strzelić. Trzeci pozostał tam, gdzie padł na stoku.

A więc Doll zabił swojego pierwszego Japończyka. Jeżeli o to idzie, pierwszego człowieka jakiegokolwiek rodzaju. Doll bardzo dużo polował i pamiętał swojego pierwszego jelenia. To jednak było przeżycie wymagające specjalnego posmakowania. Podobnie jak pierwsza obłapka, było nazbyt złożone, by je zaklasyfikować jedynie jako dumę z osiągnięcia. Strzelać dobrze do czegokolwiek to zawsze była przyjemność. A Doll nienawidził Japończyków, tych parszywych,



małych, żółtych drani, i chętnie zabiłby osobiście każdego z nich, gdyby tylko armia i marynarka Stanów Zjednoczonych zapewniły mu bezpieczną sposobność po temu i dostarczyły amunicji. Ale poza tymi dwiema przyjemnościami była jeszcze inna. Wiązało się to z winą. Doll czuł się winny. Nie mógł nic na to poradzić. Zabił ludzką istotę, człowieka. Uczynił najokropniejszą rzecz, jaką może zrobić człowiek, gorszą nawet od gwałtu. I nikt na całym cholernym świecie nie mógł mu nic za to powiedzieć. Tu właśnie była przyjemność. Nikt nie mógł mu nic za to zrobić. Morderstwo uchodziło mu płazem Przypatrzył się leżącemu na stoku. Chciałby się dowiedzieć.

gdzie go trafił (mierzył w pierś) i czy zginął na miejscu, czy też leżał tam jeszcze żywy, konając powoli. Dollowi przyszła chęć uśmiechnąć się głupawo i zachichotać. Czuł się głupi, okrutny, podły i pełen ogromnej wyższości.: W każdym razie jego ufność w siebie wzmocniła się niewątpliwie, to było pewne.

W tej chwili rozległo się przez pół sekundy tchnienie spadającego granatu z moździerza i o dziesięć jardów trysnęła fontanna ziemi i grozy, a Doll odkrył, że jego ufność nie została jednak tak bardzo wzmocniona. Zanim zdążył pomyśleć rzucił się razem ze swym karabinem na dno małego zagłębienia skulił tam, a strach przebijał niby ciężkie nitki rtęci przez wszystkie jego arterie i żyły, jak gdyby były szklanymi termometrami. Po chwili zapragnął podnieść się i popatrzeć znowu, lecz stwierdził, że nie może. A jeśli następny granat wybuchnie, kiedy podniesie głowę, i odłamek trafi go między oczy lub werźnie mu się w twarz albo przebije hełm i rozwali czaszkę? Ta perspektywa była zbyt groźna. Jednak po chwili, gdy udało mu się uspokoić, znów wytknął głowę aż po oczy. Tym razem czterej Japończycy gotowali się do opuszczenia trawiastego zbocza, by wdrapać się na Wzgórze 210. Ukazali się z jakiegoś miejsca na grzbiecie, już biegnąc. Dwaj nieśli cekaem, trzeci skrzynki z uchwytami, a czwarty nie miał nic. Doll złożył się z karabinu i wycelował w niosących cekaem. Kiedy przebiegali przez otwartą przestrzeń, wystrzelił czterokrotnie i chybił za każdym razem. Tamci zniknęli między skałami Doll był taki wściekły, że mógłby odgryźć sobie kawałek ręki. Klął samego siebie i wtedy przypomniało mu się, że wystrzelał sześć naboji. Wyjął magazynek i zastąpił go świeżym, dwa nie zużyte naboje wpuścił do kieszeni spodni, po czym usadowił się, by czekać na dalszych Japończyków. Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że to, co obserwuje, może mieć więcej implikacji i wagi niż to, czy strzelił sobie jeszcze jednego Japończyka.

Ale co robić? Pamiętał, że Duży Queen biegł niedaleko niego, gdy padli na ziemię.

–Hej, Queen!

Po chwili doleciała stłumiona odpowiedź:

–No?

**–Widziałeś tych Japońców schodzących z lewego grzbietu?**

**–Nie widziałem za wiele niczego! – odkrzyknął Queen ucziwie, – To dlaczego nie wytkniesz swojej pieprzonej głowy i nie rozejrzysz się? – Doll nie mógł sobie odmówić tej drwiny. Nagle poczuł się ogromnie silny, opanowany, niemal wesoły.**

**–Odpierdol się, Doll – doleciała stłumiona odpowiedź Queena.**

**–Nie, sierżancie – (umyślnie użył tego tytułu). – Mówię poważnie. Naliczyłem siedmiu Japońców odchodzących z tego trawiastego grzbietu po lewej. Jednego sobie trzepnąłem – dodał skromnie, nie wspominając jednak, ile razy spudłował.**

**–Tak?**

**–Myślę, że wynoszą się stamtąd. Może ktoś powinien dać znać Steinowi?**

**–A chcesz być tym kimś? – odkrzyknął Queen ze stłumionym sarkazmem.**

**To nie przyszło Dollowi do głowy. Dopiero teraz. Widział przedtem obu sanitariuszy poruszających się po zboczach i przecież nic im się nie stało. Widział ich i w tej chwili, po prostu trochę obracając głowę.**

**–Czemu nie? – zawołał wesoło. – I owszem. Zaniosę Steinowi wiadomość za ciebie. – Nagle serce zaczęło mu bić w gardle.**

**–Nie zrobisz żadnego takiego pierdólstwa, do cholery! – zawołał Queen. – Siedź, kurwa, tam gdzie jesteś, i zamknij się. To rozkaz.**

**Doll przez chwilę nie odpowiadał. Powoli jego serce powróciło do normy. Zaproponował i odmówiono mu. Zobowiązał się i został zwolniony. Ale przynaglało go coś innego, coś, czego nie potrafił nazwać.**

**–Okej! – zawołał.**

**–Niedługo nas z tego wyciągną. Ktoś to zrobi. Siedź na miejscu.**

**Rozkazuję ci.**

**–Powiedziałem: okej! – zawołał Doll. Ale to, co go popędzało, wżerało się weń, nie ustąpiło. Czuł dziwne mrowienie w całym brzuchu i kroczu. Po prawej nagle buchnął ogień maszynowy, który jego ucho rozpoznawało już jako japoński, i zaraz potem rozległ się krzyk bólu. Ktoś wołał: „Sanitariusz! Sanitariusz!” Brzmiało to jak głos Stearnsa. Nie, to nie było takie łatwe. Mimo chodzących wszędzie sanitariuszy. Mrowienie w ciele Dolla wzmogło się, a serce znowu zaczęło mu łomotać. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak podniecony. Ktoś musiał zanieść tę wiadomość Steinowi.**

**Ktoś musiał być... bohaterem.**

**Już zabił jednego człowieka, jeżeli można nazwać Japońca człowiekiem. I nikt, ani jedna żywa dusza na świecie, nie mógł go za to tknąć, żadna żywa dusza. Doll uniósł lewą brew i podciągnął wargę w tym swoim specjalnym uśmiešku.**

**Nie czekał na Dużego Queena ani nie dbał o jego zezwolenie.**

**Kiedy przekręcił się twarzą do tyłu, leżał chwilę z walącym sercem, zbierając się do działania. Nie mógł się zdobyć na pierwszy ruch.**

**Ale wiedział, że to zrobi. Było w tym jeszcze coś innego. W tym, co go popędzało, przynaglało, by to uczynić. Było to tak, jakby znalazł się w obliczu Boga. Czy też igrał ze Szczęściem. Było przyjęciem wyzwania od Wszechświata. Podniecało go bardziej niż wszystkie polowania, gry hazardowe i obłapki razem wzięte. Kiedy ruszył, poderwał się błyskawicznie i zaczął biec, nie całym pędem, ale raczej półpędem, nad którym lepiej panował, zgięty wpół, z karabinem trzymanym oburącz, tak jak ten Japończyk, którego rąbnął. O krok w lewo wyrwała ziemię kula, więc skręcił zygzakiem w prawo. Dziesięć jardów dalej skręcił w lewo. A potem już przeskakiwał przez trzecią fałdę, między drugi pluton, który spoglądał nań ogłupiale.**

**Doll zachichotał. Odnalazł kapitana Ciotę Steina za drugą fałdą, gdzie ten dopiero co przybył, w istocie nieomal wpadł prosto na niego i nawet nie musiał szukać. Prawie się nie zasapał.**

**Starszy sierżant Welsh siedział w kucki ze Steinem i Bandedem za wierzchem drugiej fałdy, kiedy Doll nadbiegł chichocząc i śmiejąc się tak, że nie mógł przemówić. Welsh, który nigdy nie lubił Dolla uważając go za smarkacza, pomyślał sobie, że wygląda jak rozchichotany młody rekrut, wychodzący z burdelu po pierwszym porządnym chędożeniu w życiu, i przyjrzał mu się bacznie chcąc wiedzieć, dlaczego.**

**–Z czego się śmiejecie, do cholery? – warknął Stein.**

**–Z tego, jak wykiwałem tych żółtych drani, co do mnie strzelali – sapnął Doll chichocząc, ale zaraz się uspokoił pod spojrzeniem Steina.**

**Welsh wraz z innymi, wysłuchał jego relacji o siedmiu Japończykach, których widział opuszczających z dwoma cekaemami lewy grzbiet.**

**–Oni chyba całkiem się stamtąd wynoszą, panie kapitanie.**

**–Kto was tu przysłał? – zapytał Stein.**

**–Nikt, panie kapitanie. Sam przyszedłem. Pomyślałem, że to jest coś, co pan chciałby wiedzieć.**

**–Mieliście rację. Tak jest. – Stein kiwnął surowo głową. Welsh, obserwując go przykucnięty, miał ochotę splunąć. Ciota ogromnie dziś zagrywał dowódcę kompanii. – I nie zapomnę tego, Doll.**

**Doll nie odpowiedział, tylko wyszczerzył zęby. Stein, przyklękawszy na jedno kolano, pocierał obrosniętą szczękę i mrugał oczyma za okularami. Doll nadal stał wyprostowany.**

**–Kryjcie się, cholera jasna – powiedział Stein z irytacją.**

**Doll rozejrzał się niespiesznie, po czym zgodził się przykucnąć, ponieważ był to najwyraźniej rozkaz.**

**–George – powiedział Stein – weź kogoś z lornetką, żeby przepatrzył tył tego grzbietu. Jeżeli ktoś się stamtąd ruszy, chcę o tym wiedzieć natychmiast. Masz – dodał zdejmując własną lornetkę. – Weź moją.**

**–Sam to zrobię – rzekł Band i odsłonił zęby w radosnym dziwnym uśmiechu. Odszedł.**

**Stein patrzył za nim przez długą chwilę, a Welshowi chciało się śmiać. Stein obrócił się znowu do Dolla i zaczął go wypytywać o natarcie, straty, obecną pozycję i stan plutonu. Doll w gruncie rzeczy nie wiedział zbyt wiele. Był świadkiem śmierci porucznika Whyte'a, widział, że sierżant Grove upadł, ale nie miał pojęcia, czy nie żyje.**

**Sam był dosyć zajęty – wszyscy byli, poprawił się – kiedy pierwsze duże zgrupowanie moździerzy zaczęło strzelać. Zdawało mu się, że dojrzał mniej więcej drużynę kryjącą się w wysokiej trawie u podnóża prawego grzbietu, ale nie miał pewności. I widział też wybiegającą daleko w przód sekcję cekaemu, która upadła jednocześnie po wybuchu pocisku z moździerza. Słyszając to Stein zaklął i spytał, co tam w ogóle robiła. Doll oczywiście nie wiedział. Uważał, że środek linii, ukryty w lejach od granatów amerykańskich i w zagłębieniach na dnie, jest chwilowo względnie bezpieczny, jeżeli Japończycy nie położą na nim ciężkiego ognia zaporowego z moździerzy. Nie, sam nie był zbyt spietrany przez cały ten czas. Naprawdę nie wie, dlaczego.**

**Welsh ledwie go słuchał. Spoglądał ponad krawędzią na drugi pluton, rozplaszczony długą linią za wierzchem trzeciej fałdy, i snuł swoje własne myśli. Drugi pluton leżał tak płasko, jak tylko mógł, przyciskając do ziemi brzuchy i policzki, z twarzami znaczonymi bielą wytrzeszczonych oczu i obnażonych zębów, obserwując swojego dowódcę, który zapewne mógł im rozkazać znowu przeskoczyć przez ten wierzchołek. Drugi pluton nadawałby się wspaniale do fotografii, którą można by posłać do kraju – mówiły Welshowi jego oczy bynajmniej nie zakłócając mu**

rozmyślań – tylko że kiedy gazety, władze, wojsko i „Life” dostałyby takie zdjęcie w swoje ręce. zmieniono by je subtelnie w imię potrzeb chwili i zapewne opatrzone podpisem: ZMĘCZONA PIECHOTA ODPOCZYWA PO BOHATERSKIM ZDOBYCIU POZYCJI. KUPUJCIE BONY WOJENNE, AŻ WAS DUPA ROZBOLI.

Jednakże wszystkie te mniej lub więcej wizualne rozmyślenia nie miały nic wspólnego z tym, co Welsh myślał na innym, głębszym poziomie. Przede wszystkim rozmyślał o sobie samym. Z satysfakcją zastanawiał się nad faktem, że gdyby oberwał, gdyby go ukatrupili, rząd nie miałby komu posłać wyrazów ubolewania. Wiedział, że ci pieprzeni biuraliści rządowi kochają swoje posady i swoją władzę.

Kiedy się zaciągał do wojska, podał fałszywe imię i środkowy inicjał. Od tamtej pory on i jego rodzina nie mieli o sobie żadnych wiadomości. A znowu gdyby został tylko ranny, okaleczony, jego wróg, czyli rząd, musiałby się nim zaopiekować, ponieważ nie znał żadnych jego najbliższych krewnych. W ten sposób wyrolował biurokrację w obu wypadkach. Obraz drugiego plutonu przesłoniła mu nieco wizja samego siebie w którymś z tych koszmarnych szpitali wojskowych, rozsianych po kraju – postarzałego faceta w fotelu na kółkach, z butelką dżinu schowaną pod lichym tanim szlafrokiem, gdakającego i kwaczącego do atletycznych lesbijskich pielęgniarek – Napoleonów, do głupawych, wrzaskliwych, twardoszczękich lekarzy – Aleksandrów Wielkich. Dałby im niezłą szkołę...

–Więc w gruncie rzeczy nie jesteście przygwożdżeni – usłyszał słowa Steina. – Bo słyszałem...

–No, w pewnym sensie jesteśmy, panie kapitanie – odrzekł Doll. – Ale, jak pan widzi, wróciłem tu jednak. Nie mogliśmy wszyscy wrócić równocześnie.

Stein kiwnął głową.

–Ale chyba dwóch, trzech naraz dałoby rade. Gdyby drugi pluton osłaniał nas ogniem – zasugerował Doll.

–Nawet nie wiemy, gdzie są te ich cholerne, pieprzone stanowiska – powiedział Stein kwaśno.

–Można by strzelać ogniem obramowującym, prawda? – zaproponował Doll fachowo, Stein spojrzał na niego. Tak samo Welsh. Welsh miał ochotę kopnąć nowego bohatera w tyłek; już udzielał rad dowódcy kompanii – na razie co do ognia obramowującego. Welsh przerwał im rozmowę.

–Panie kapitanie! – warknął. – Chce pan, żebym tam poszedł i przyprowadził panu tych ludzi? – Łypnął morderczo na Dolla, który niewinnie uniósł brwi.

–Nie. – Stein potarł brodę. – Nie mogę pana puścić. Może mi pan być potrzebny.

Zresztą chyba ich tam na razie zostawię. Zdaje się, że nie obrywają zanedo, i gdyby udało nam się dostać frontalnie na ten prawy grzbiet, mogliby go flankować. – Przerwał. – Mnie interesuje ta drużyna po prawej, która weszła w wysoką trawę na zboczu. Bo oni...

Przerwał mu George Band, który zbiegł zgięty z małego zbocza.

–Jim! Kapitanie! W tej chwili widziałem jeszcze pięciu odchodzących z lewego grzbietu, z dwoma cekaemami. Chyba rzeczywiście się wycofują.

–Naprawdę? – rzekł Stein. – Naprawdę? – W jego głosie brzmiała taka ulga, jak gdyby mu powiedziano, że bitwa została przełożona na kiedy indziej. Teraz przynajmniej mógł działać. – Gore! Gore! – zaczął wrzeszczeć. – Porucznik Gore!

Potrzeba było piętnastu minut, by wezwać Gore'a, poinstruować, zebrać jego trzeci pluton i wyprawić go na zadanie.

–Jesteśmy prawie pewni, że wycofują się całkowicie – powiedział Stein do Gore'a. – Ale niech pan nie będzie nadgorliwy jak Whyte. Mogli zostawić straż tylną. Albo może to być pułapka. Więc niech pan posuwa się wolno. Najpierw niech to zbadają szperacze.

Moim zdaniem najlepsze podejście dla pana jest przez te dolinkę pod Wzgórzem 210. Jeżeli dostaniecie z moździerzy, tak jak tamci wczoraj, musicie jednak iść dalej. Jeżeli w tych krzakach u stóp grzbietu jest jakaś woda, dajcie mi znać. Woda już nam się kończy.

Ale teraz najważniejsze. Najważniejsze jest, żeby pan nie tracił więcej ludzi, niż to absolutnie konieczne.

Stawało się to dla Steina sprawą coraz ważniejszą, nieomal palącą.

Ilekroć nie był zaprzątnięty czymś konkretnym, rozmyślał właśnie o tym.

–A teraz idź, chłopie, i powodzenia.

Ludzie, ludzie – tracił wszystkich swych ludzi, tych, z którymi współżył, tych, za których był odpowiedzialny.

Odwodowemu 3 plutonowi Gore'a zabrało następne pół godziny dotarcie do podstawy wyjściowej u stóp trawiastego grzbietu. Gore bez wątpienia stosuje się do rozkazu i idzie powoli – pomyślał Stein ze zniecierpliwieniem. Było już po dziewiątej. Tymczasem Band wrócił z wierzchołka fałdy z meldunkiem, że naliczył trzy dalsze grupki ludzi opuszczające lewy grzbiet z cekaemami, ale nie widział żadnych innych w ciągu ostatnich piętnastu minut. Także w tym czasie wrócił mały Charlie Dale,

drugi kucharz, którego wąskie, blisko osadzone oczy były zarazem błyszczące i mroczne, ponure. Pokazał Steinowi, gdzie skierował noszowych w zagłębienie między pierwszą a środkową fałdą, cztery grupy po czterech, razem szesnastu ludzi; już zaczęli zbierać pierwszych z ośmiu ciężko rannych, którzy nagromadzili się do tej pory. Potem zapytał, czy są dla niego jakieś inne drobne zadania.

Kapral Fife, leżąc niedaleko dowódcy kompanii, z telefonem, którego obsługiwanie było teraz jego mniej lub więcej stałym obowiązkiem, pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak odpychającego wyrazu ludzkiej twarzy. Możliwe, że Fife był trochę zazdrosny, bo sam tak bardzo się bał. W Charliem Dale z pewnością nie było ani śladu strachu. Usta miał rozchylone w niedbałym uśmiešku, a jego błyszczące i jednocześnie posępne oczy zerkwały na wszystkie strony, osnute widowym blaskiem pełnego satysfakcji samozadowolenia z powszechnej uwagi, jaką nagle na niego zwracano. Fife spojrział nań, po czym z obrzydzeniem odwrócił głowę i zamknął oczy przyciskając słuchawkę do ucha. To było jego zadanie; dostał je i wykona, ale prędzej go szlag trafi, niż zrobi coś, czego mu nie nakażą. Nie mógł. Znadto się bał.

–Tak – mówił Ciota Stein do Dale'a. – Wy...

Przerwał mu wybuch pocisku z moździerza między 2 plutonem na tylnym stoku trzeciej fałdy. Prawie jednocześnie z donośnym, grzmiącym hukiem rozległ się głośny krzyk czystego przerażenia, który po ucichnięciu eksplozji trwał nadal, dopóki krzyczącemu nie zabrakło tchu. Jakiś żołnierz rzucił się z linii w dół po stoku i prężył się, wierzgał i tarzał, z obiema rękami przyciśniętymi do krzyża. Kiedy odzyskał dech, znów zaczął krzyczeć. Wszyscy inni przywarli do pokrzepiającej ziemi, która jednak nie była dostatecznie pokrzepiająca, i czekali na początek ognia zaporowego. Jednakże nic się nie stało i po chwili jęli podnosić głowy, by spojrzeć na wierzgającego kolegę, który wciąż rzucał się i krzyczał.

–Nie myślę, żeby widzieli nas lepiej niż my ich – mruknął Welsh przez zaciśnięte zęby.

–Zdaje się, że to szeregowy Jacques – powiedział porucznik Band z zainteresowaniem.

Krzyki przybrały nowy ton, ton świadomości, zamiast poprzedniego zaskoczenia, zdumienia oraz czystego strachu. Jeden z sanitariuszy dobiegł do rannego i z pomocą dwóch żołnierzy z 2 plutonu rozerwał mu koszulę i wpompował w niego strzykawkę morfiny. Po paru sekundach ranny się uspokoił. Kiedy przestał się rzucać, sanitariusz odciągnął jego ręce od krzyża i przekręcił go na brzuch. Rozpięli mu pas. zadarli koszulę i sanitariusz obejrzał go, po czym bezradnie wzruszył ramionami, sięgnął do swojej torby i zaczął czymś spryskiwać ranę.

Za środkową fałdą leżał Stein ze zbielałą twarzą, zacisnąwszy usta, otwierając i

przymykając oczy za okularami. Był to pierwszy z jego ludzi, jakiego widział w momencie zranienia. Obok Band obserwował tę samą scenę z wyrazem przyjaznego, współczującego zainteresowania na twarzy Nieco dalej kapral Fife podniósł się raz, by popatrzeć, gdy ranny jeszcze się miotał i wierzgał, po czym położył się na powrót, czując mdłości: potrafił myśleć jedynie: a gdyby to spotkało mnie? Łatwo mogło być tak być, i mogło nadal się zdarzyć.

–Noszowi! Noszowi! – Stein obrócił się nagle ku zagłębieniu, skąd dwie z czterech grupek jeszcze nie odeszły z rannymi. – Noszowi! – ryknął co tchu w piersiach. Jedna z grup ruszyła biegiem z noszami.

–Ależ, Jim – powiedział porucznik Band. – Naprawdę nie uważam...

–Szlag by cię trafił, George, zamknij się! Zostaw mnie w spokoju! – Noszowi przybiegli zdyszani. – Idźcie po tego człowieka – rzekł Stein wskazując miejsce, gdzie sanitariusz nadal klęczał przy rannym.

Szef noszowych najwyraźniej myślał, że raniono kogoś na stanowisku dowodzenia. Teraz zobaczył, że się pomylił.

–Ale słuchajcie – zaprotestował. – Tam mamy już ośmiu czy dziewięciu, których powinniśmy... Nie jesteśmy...

–Nie dyskutujcie ze mną, cholera! Jestem kapitanem Stein! Powiedziałem: idźcie po tego człowieka! – ryknął mu w twarz.

Szef cofnął się stropiony. Oczywiście nikt nie nosił odznak stopnia.

–Doprawdy, Jim – zaczął Band. – On nie jest...

–Szlag by trafił was wszystkich! Czy ja tu dowodzę, czy nie? – Steina ogarnęła straszna wściekłość; był bliski szału. – Jestem dowódcą tej kompanii czy nie? Jestem kapitan Stein czy jakiś cholerny szeregowiec? Wydaję tu rozkazy czy nie wydaję? Powiedziałem idźcie po tego człowieka!

–Tak jest – odrzekł sanitariusz. – Tak jest, panie kapitanie.

W tej chwili.

–Ten człowiek może umrzeć – powiedział Stein spokojniej. – Jest ciężko ranny. Zanieście go na punkt sanitarny batalionu i zobaczcie, czy mogą tam coś zrobić, żeby go uratować, – Rozkaz – powiedział noszowy. Rozłożył ręce z odwróconymi do góry dłońmi, rozgrzeszając się z winy. – Mamy tam innych ciężko rannych, panie kapitanie. Tylko o to mi chodziło. Tam jest trzech, którzy mogą skonać każdej chwili.



**Stein popatrzał na niego tępo.**

**–Właśnie, Jim – odezwał się za nim uspokajająco Band. – I widzisz? Nie uważasz, że on powinien zaczekać na swoją kolej? Czy to nie jest sprawiedliwe?**

**–Zaczekać na swoją kolej? Zaczekać na swoją kolej? Sprawiedliwe? Mój Boże! – odparł Stein. Popatrzał na nich obu, twarz miał zbielelałą.**

**–Jasne – odparł Band. – Dlaczego dawać mu pierwszeństwo przed kimś innym?**

**Stein nie odpowiedział. Po chwili zwrócił się do sanitariusza.**

**–Idźcie po niego – rzekł twardo – tak jak wam powiedziałem.**

**Zanieście go na punkt sanitarny batalionu. Dałem wam rozkaz, żołnierzu.**

**–Tak jest. – Głos szefa noszowych był kamienny. Obrócił się do swoich ludzi. – Chodźcie chłopcy. Idziemy po tego człowieka.**

**–To na co czekamy, do cholery? – warknął ostro jeden z nich.**

**–Chodź, Hoke. A może się boisz podchodzić tak blisko ostrzału?**

**Była to śmieszna uwaga w tych okolicznościach. Szef noszowych najwyraźniej nie bał się iść.**

**–Zamknij się, Witt – powiedział. – I odczep się ode mnie.**

**Wszyscy siedzieli w kucki. Ten, do którego się zwrócił, wstał nagle. Był drobny, wąły i skorupa amerykańskiego hełmu, która na Dużym Queenie wydawała się taka mała, wyglądała jak olbrzymi odwrócony garnek na jego niewielkiej głowie i nieomal zasłaniała mu oczy. Pomaszerował ku miejscu, gdzie Welsh na wpół leżał.**

**–Cześć, sierżancie – powiedział drobny człowieczek z drapieżnym uśmiechem.**

**Dopiero wtedy Stein, tak jak i reszta ludzi z C – jak – Charlie, rozpoznał, że ten Witt jest ich Wittem, tym samym, którego Stein i Welsh przenieśli z jednostki, zanim dywizja wyruszyła do walki.**

**Wszyscy się zdumiali, czego Witt najwyraźniej pragnął. Szczególnie kapral Fife. Fife, który nadal leżał z telefonem przy uchu, nagle siadł uśmiechając się.**

**–Jak rany, cześć, Witt! – zawołał radośnie.**

**Witt, wierny swojej obietnicy sprzed paru dni, przesunął po kapralu przymrużonymi oczami tak, jakby go nie było. Te oczy znów zatrzymały się na Welshu.**

**–Cześć, Witt – powiedział Welsh. – Jesteś teraz u łapiduchów?**

**Lepiej się połóż.**

**Stein, który czuł się winny, że przeniósł Witta, choć wiedział, jak bardzo chciał zostać, lecz nadal uważał, że zrobił to, co było najlepsze dla kompanii, nie powiedział nic.**

**Witt zignorował przestrożę Welsha. Pozostał wyprostowany.**

**–Nie, szefie – uśmiechnął się. – Dalej jestem w kompanii C.**

**Tyle że przydzielili nas do popychania łodzi w górę i w dół rzeki i do noszowych... Pochylił głowę. – Po kogo tam idziemy, szefie?**

**–Po Jacquesa – odrzekł Welsh.**

**–Starego Jockeya? – spytał Witt. – Cholera, to niedobrze. – Jego trzech towarzysze już odeszli i teraz zbiegali w dół za wierzchołkiem fałdy, więc Witt obrócił się, by ruszyć za nimi. Ale potem obrócił się na powrót i przemówił wprost do Steina. – Panie kapitanie, bardzo proszę, czy mógłbym wrócić do kompanii? Jak odstawimy Jockeya do batalionu. Mogę się łatwo wymknąć. Dadzą Hoke'owi kogoś innego. Można, panie kapitanie?**

**Steinowi to pochlebiło. Był także zmieszany. Cała ta sprawa noszowych i Jacquesa wymykała mu się z ręki, zbyt odwracając uwagę od planu, który właśnie miał powziąć.**

**–No cóż, ja... – zaczął i urwał czując pustkę w głowie. – Oczywiście będziecie musieli dostać czyjeś zezwolenie.**

**Witt uśmiechnął się cynicznie.**

**–Jasne – powiedział. – I mój karabin. Dziękuję, panie kapitanie. – Odwrócił się odbiegł za swymi kolegami.**

**Stein usiłował uporządkować rozproszone nici swych myśli. Przez chwilę patrzył za Wittem. Bo człowiek, który chciał wrócić w środku natarcia do wysuniętej kompanii strzelców, wydawał mu się po prostu niepojęty. W jakiś sposób było to jednak bardzo romantyczne.**

**Jak coś z Kiplinga. Czy z „Beau Geste”. Ale co to miał sobie obmyślić?**

**Obok Steina, zgodnie z jego rozkazem co do obsługi telefonu, kapral Fife położył się znowu płasko na wznak, trzymając aparat, i zamknął oczy. Choć wiedział, że**

zignorowanie go przez Witta wiązało się z ich – kłótnią sprzed kilku dni, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest w tym wzgarda i obrzydzenie dla jego obecnego tchórzostwa, tak jakby Witt od jednego rzutu oka zajrzał mu w duszę. Kiedy znowu otworzył oczy, stwierdził, że patrzy w pobladłą twarz małego Beada, który leżał o kilka kroków od niego z oczami wytrzeszczonymi ze strachu i – mrugał nimi nieomal dosłyszalnie, na podobieństwo jakiegoś przerosłego królika.

–Dale! – zawołał Ciota. – Chodźcie tu – rzekł zbierając myśli.

Charlie Dale podczołgał się bliżej. Kiedy wrócił po wykonaniu zadania, zmusił się, żeby przez chwilę stać wyprostowany, lecz gdy wybuchnął pocisk z moździerza raniąc Jacques'a,, padł plackiem na ziemię. Teraz wybrał kompromisowe wyjście i przykucnął. Stein zamierzał coś mu powiedzieć, może wysłać go z następnym zadaniem, kiedy Jacques został trafiony, a potem zjawili się noszowi. Dale nie mógł się oprzeć uczuciu lekkiego rozdrażnienia. Oczywiście nie z – powodu Jacquesa. Nie mógł być przecież zły na Jacquesa. Ale Jacques mógł sobie wybrać lepszy moment, żeby oberwać. A ci cholerni noszowi z kompanii C i ten cholerny bolszewik Witt na pewno mogli zabrać mniej cennego czasu dowódcy kompanii. Zwłaszcza kiedy już miał powiedzieć starszemu szeregowcowi Dale'owi coś może bardzo ważnego. Dla Dale'a była to pierwsza od dawna sposobność takiego osobistego porozmawiania z dowódcą kompanii, uwolnienia się od tego przeklętego, rozkazującego Storma i jego cwanych kucharzy, pierwsza sposobność wyrwania się z tej cholernej, zatłuszczonej, dusznej kuchni gotującej masy żarcia dla garści ludzi, żeby nim sobie napychali bebechy – i Dale się z tego cieszył. Nigdy dotąd nie zwracali na niego w tym oddziale tyle osobistej uwagi, nareszcie zaczęli go uznawać i po to wystarczyło mu przenieść parę meldunków pod lekkim ogniem maszynowym, który i tak nie mógł go razić. Pycha!

Nie opodal widział tego pieprzonego Storma, który leżał rozplaszczony obok sierżanta Welsha i patrzył w tę stronę. Dale, kucnąwszy, przybrał wyraz uszanowania i bacznie słuchał swojego dowódcy.

Wzbierało w nim niejasne, tajemne podniecenie.

–Muszę się dowiedzieć, jak idzie trzeciemu plutonowi – mówił do niego Stein. – Pójdziecie i sprawdźcie mi to. – Opisał mu pozycje i powiedział, jak tam dotrzeć. – Zameldujcie się porucznikowi Gore'owi, jeżeli zdołacie go znaleźć. Ale muszę wiedzieć, czy zajęli ten trawiasty grzbiet, i muszę to wiedzieć jak najprędzej. Wracajcie możliwie szybko.

–Rozkaz, panie kapitanie – odrzekł Dale z zadowoleniem w oczach.

–Wy i Doll zostaniecie przy mnie – powiedział Stein. – Będę miał dalszą robotę dla was obu. Obaj byliście bezcenni.

**–Tak jest – uśmiechnął się Dale. A potem, bez uśmiechu, zerknął na Dolla i spostrzegł, że ten przypatruje mu się również.**

**–A teraz idźcie!**

**–Rozkaz, panie kapitanie. – Zasalutował krótko, sprężył się i ruszył biegiem, przygięty, przez zagłębienie za fałdą, z karabinem przewieszonym przez plecy, z tomiganem w garści. Nie musiał iść daleko. W miejscu, gdzie zagłębienie stykało się z dolinką pod Wzgórzem 209, spotkał żołnierza z 3 plutonu już nadchodzącego z wiadomością, że pluton zajął bez strzału lewy trawiasty grzbiet i teraz tam się okopał. Wrócili razem do Steina; Dale czuł się trochę oszukany.**

**Stein nie czekał na powrót Dale'a. Stopniowo jego plan kształtował mu się w głowie, jeszcze kiedy rozmawiał z Dale'em. To, czy 3 pluton obsadził lewy grzbiet, było mało ważne. Mógł dać więcej ognia osłaniającego i to by pomogło, ale nie było zasadnicze, bo ten ruch przypominał ruch grupy z pierwszego plutonu, która w sile drużyny wykonała go pod cekaemami chroniąc się w gęstszej trawie u stóp prawego grzbietu. Ów prawy grzbiet miał najwyraźniej być najcięższym punktem, trudnym orzechem do zgryzienia. Mając tam już grupę w sile drużyny, plus dwie dalsze drużyny z 2 plutonu, Stein chciał wykonać rodzaj dwuskrzydłowego, frontального natarcia pod górę, którego środek trzymałby się w miejscu, a krańce zagięłyby się i odizolowały główny punkt oporu na grzbiecie, gdziekolwiek był.**

**Reszta drugiego plutonu mogła osłaniać ich ogniem z trzeciej fałdy, a Stein pomyślał, że reszta pierwszego – resztki, poprawił się gorzko – mogła strzelać wzdłuż skrzydła z dołów na swej wysuniętej pozycji. Mając to na uwadze, już po odejściu Charliego Dale'a, posłał Dolla z powrotem w to piekło za trzecią fałdą, które teraz chwilowo przycichło, gdzie pierwszy pluton nadal przywierał niepewnie do dna swych dołów, pocąc się obficie. Ledwie Doll odszedł, wrócili noszowi z Jacquesem. Stein nie mógł się oprzeć chęci spojrzenia na niego. Tak samo wszyscy inni.**

**Leżał na brzuchu na noszach. Sanitariusz położył mu opatrunek z gazy na ranę, ale w krzyżach Jacques'a widać było długą, ziejącą dziurę. Jego twarz zwisała przez krawędź noszy, a w półprzymkniętych oczach, których rozumność stępiła morfina i szok, było tylko dziwne, pytające wejrzenie. Zdawał się pytać ich wszystkich czy kogoś: dlaczego? – dlaczego jemu, Johnowi Jacquesowi. numer seryjny taki a taki, przypadł w udziale ten właśnie los? Gdzieś jakiś obcy człowiek wrzucił do rury metalową puszkę nie – wiedząc dokładnie, gdzie spadnie, nie mając nawet pewności, gdzie chciałby nią trafić. Puszka ta wzbiła się w górę i zleciała. A gdzie wylądowała?**

**Na Johnie Jacquesie, numer seryjny taki a taki. Kiedy wybuchła, tysiące odłamków i kawałków ostrego jak nóż metalu rozleciało się z furkotem na wszystkie strony. A kto był tym jedynym, którego jeden z nich trafił? John Jacques, numer seryjny taki a taki.**

**Żaden wróg nie wiedział, że John Jacques, numer seryjny taki a taki, istnieje. Tak samo jak i on nie znał nazwiska, charakteru i osobowości Japończyka, który wrzucił metalową puszkę do rury. Więc dlaczego?**

**Dlaczego on? Dlaczego John Jacques, numer seryjny taki a taki?**

**Dlaczego nie ktoś inny? Dlaczego nie któryś z jego kolegów? A teraz już się stało. Niedługo miał umrzeć.**

**Stein zmusił się do odwrócenia wzroku. U drugiego końca noszy ujrzał Witta, który, ponieważ był niższy, musiał wysilać się bardziej, by je utrzymać poziomo. Pomyślawszy o Dollu i pierwszym plutonie, Stein już miał posłać kogoś po sierżanta Kecka, nowego dowódcę 2 plutonu, gdy powrócili Charlie Dale oraz goniec.**

**Doll wrócił niechętnie. Po pierwszym powrocie nie miał zamiaru zostać wygodnym dla Steina gońcem na niebezpieczne tereny. Prawdę mówiąc, nie wiedział właściwie, dlaczego to zrobił. A teraz był przyhaczony. Poza tym złościła go łatwość zadania Charliego Dale'a w porównaniu z trudnością – jego własnego. Każdy dureń potrafiłby wrócić za noszowymi czy nawet przed nimi, mając przez cały czas osłoniętą drogę. Jeżeli idzie o samego siebie, nie wiedział, jak wykona zadanie. Whyte poległ, Grove był zabity lub ciężko ranny, co pozostawiało dowodzenie plutonem Chudemu Culnowi, przewodnikowi plutonu. Sierżant Culn był krągłym, rumianym, płaskonosym, jowialnym Irlandczykiem w wieku dwudziestu ośmiu lat, starym zawodowcem, który powinien by dobrze kierować plutonem. Ale Doll nie miał pojęcia, gdzie go znaleźć. Jedynym człowiekiem, o którym wie dział, gdzie jest, był Duży Queen. To oznaczało, że będzie musiał – szukać, może nawet ganiać od dołu do dołu, a ta myśl nie przypadła mu do gustu. Chciałby zobaczyć, jak Dale by to robił.**

**Przed odejściem położył się za wierzchem trzeciej fałdy pośród 2 plutonu i uniósł głowę, by spojrzeć w zagłębienie, gdzie musiał iść. Obok ludzie z 2 plutonu, z policzkami przyciśniętymi do ziemi, spoglądali nań z obojętnym, posępnym zaciekawieniem. Był świadom, że oczy ma przymrużone, nozdrza rozdęte, szczęki zaciśnięte.**

**Stanowił ładny obraz żołnierza dla ludzi z 2 plutonu, którzy obserwowali go bez sympatii. W przedzie jeden z sanitariuszy podtrzymywał wracającego tłustego człowieka, który miał przestrzeloną łydkę i jęczał głośno, Doll poczuł dla niego coś w rodzaju rozbawionej pogardy; dlaczego nie może się zamknąć? I znowu ogarnęło go chorobliwe podniecenie, od którego ścisnęło go w żołądku i ciarki przebiegły po kroczu; serce zaczęło mu walić, a przepona zdrętwiała tak, że oddychał coraz wolniej, wolniej i wolniej, i jeszcze wolniej, aż cała jego istność i jestestwo jakby zamarły i zanikły w tym całkowitym transie koncentracji. I wtedy zerwał się i pobiegł. Biegł zgięty, nie za szybko, wystawiony na widok całemu światu, tak samo jak przybiegł stamtąd. Kilka kul wyrwało ziemię po prawej i lewej stronie.**

Biegł dalej zygzakami. Po dziesięciu sekundach leżał znów płasko w swym małym zagłębieniu, już nawołując bez tchu Queena, i miał ochotę roześmiać się głośno. Przez cały czas wiedział, że mu się uda.

Seria ognia maszynowego poszorowała po krawędzi jego dołka i odleciała jękliwie, obsypując go ziemią.

Ale dotarcie tutaj było dopiero początkiem. Nadal musiał odnaleźć Culna. A informacja, której udzielił mu przytłumionym głosem Duży Queen ze swego dołu, brzmiała, że Culn jest gdzieś na prawo; przynajmniej tam widział go Queen przed natarciem. Jednakże, kiedy Doll przekręcił się i zawołał w prawo, ten, który powinien był, który musiał tam być, nie odpowiedział. W gardle Dolla wezbrał ogromny gruzel strachu. Popróbował go przełknąć, ale nie mógł. To właśnie była sytuacja, której obawiał się na trzeciej fałdzie, przed wyruszeniem. Będzie musiał biegać wzdłuż linii dołów i szukać Culna.

Dobra, niech ich szlag trafi. On im pokaże. Zrobi to, choćby miał stanąć na głowie. A potem się zobaczy, co potrafi ten smarkacz Dale.

On sam jest wielkim Dollem i nikt go nie zabije na tej wojnie. Skurwiele! I znowu ogarnął Dolla właściwy mu ogromny, dziwny spokój, który oddziaływał na jego oddychanie, i stłumił wszystko, kiedy gotował się do powstania. Czuł ostre mrowienie w jądrach. Dokładnie takiego samego uczucia doznawał w dzieciństwie, kiedy podniecało go coś takiego jak Gwiazdka. Zobaczymy, jakie miny będą mieli oni wszyscy i Stein, kiedy z tego powróci.

W rzeczywistości Stein prawie całkiem zapomniał o swoim gońcu do pierwszego plutonu. Pochłonęło go napięcie nowszych wydarzeń.

Po powrocie Charliego Dale'a i dobrych wiadomościach o trzecim plutonie postanowił nie posyłać po Kecka, tylko iść do niego. Tam, za trzecią fałdą, przy 2 plutonie, mógł zarazem zmontować planowane przez siebie natarcie i obserwować je. Mając to na uwadze posłał George'a Banda z sierżantem Stormem i grupą kucharzy osłoniętą drogą do 3 plutonu. Band miał objąć dowodzenie i być gotowym do zaatakowania prawego grzbietu, gdyby natarcie Steina się powiodło.

Band, ze swoim niesamowitym, krwiożerczym uśmieszkiem, ustawicznymi, gładkimi radami i chłodnym, spokojnym zainteresowaniem rannymi, zaczynał już działać Steinowi na nerwy, i to był dobry sposób pozbycia się go, a jednocześnie wykorzystania. Następnie Stein połączył się telefonicznie z pułkownikiem Tallem, dowódcą batalionu.

Coraz więcej rzeczy działało Steinowi na nerwy i coraz bardziej.

Po pierwsze nigdy nie mógł mieć pewności, czy to, co robi, jest właściwe, czy nie

można było wykonać tego lepiej i mniejszym kosztem w jakiś inny sposób. Tak samo myślał o natarciu, które teraz przygotowywał. Prócz tego był nerwowy lęk i niepokój, które wyraźnie nadźierały jego energię. Niebezpieczeństwo migalo i mrugało w powietrzu niby popsuty neon. Ilekroć wstawał, mógł zostać ugodzony przez kule. Ilekroć postąpił kilka kroków, mógł dostać się pod spadający pocisk z moździerza. Ukrywanie tych obaw przed własnymi ludźmi było jeszcze bardziej męczące. Poza tym już mu się skończyła jedna z dwóch manierek wody i wypił jedną trzecią drugiej nie ugasiwszy pragnienia. A oprócz tych wszystkich rzeczy, które go wyczerpywały, było jeszcze coś innego, zarysowującego się coraz wyraźniej, mianowicie inercja. Jego ludzie wykonaliby to, co by im nakazał, jeżeliby im powiedział wyraźnie i konkretnie. W przeciwnym razie po prostu leżeliby z policzkami przyciśniętymi do ziemi i wpatrywali się w niego. Z wyjątkiem paru ochotników, takich jak Dale i Doll. Inicjatywa mogła być słowem opisowym dla Wojny Domowej – albo entuzjazm. Natomiast dla tej wojny takim słowem była najwyraźniej inercja.

Stein już mówił Tallowi o ewakuowaniu przez Japończyków lewego trawiastego grzbietu i poinformował go, że został on obsadzony przez 3 pluton kompanii C – jak – Charlie, toteż oniemiał, kiedy pułkownik zaczął na niego krzyczeć przez telefon, że jest za daleko w prawo. Nie dał mu nawet możliwości wyjaśnienia proponowanego natarcia. Telefon polowy był wspaniałym wynalazkiem dla wyjaśnień i jednostronnej rozmowy, ponieważ słuchający nie mógł przemówić, dopóki drugi nie przełączył się na odbiór i nie puścił guzika, ale Tall jakimś sposobem potrafił to wykorzystać dla siebie, a Stein nie umiał zrobić tego samego.

–Ależ ja nie rozumiem. Jak to, za daleko w prawo? Mówiłem panu, że wycofali się z lewego trawiastego grzbietu. A mój trzeci pluton go zajął. Jakże mogę być za daleko w prawo? Pan się zgodził na atak od prawej w poprzek naszego frontu. Odbiór.

–Do diabła. Stein: – krzyknął zimnym, cienkim, gniewnym głosem pułkownik. – Powiadam panu, że pańskie lewe skrzydło jest odsłonięte. – Ze względu na telefon Stein nie mógł zaprotestować, że wcale tak nie jest, i pułkownik perorował dalej. – Czy pan wie, co to znaczy odsłonić swoje lewe skrzydło? Czytał pan kiedy w podręczniku taktyki o odsłonięciu lewego skrzydła? A pańskie lewe skrzydło jest odsłonięte. I musi pan się tam ruszyć, cholera jasna!

A pan się nie rusza. Odbiór.

Moment na zaprotestowanie minął, został stracony, kiedy kciuk Talla puszczał guzik. Stein mógł tylko się bronić, pełen palącej, udręczonej furii.

–Ależ, do licha, pułkowniku, przecież dlatego do pana zadzwoniłem! Próbuję to zrobić! W tej chwili przygotowuję się do zaatakowania tego prawego trawiastego grzbietu. – Umilkł zapomniawszy powiedzieć „odbiór”, więc nastąpiło długie milczenie. – Odbiór – powiedział. – Cholera jasna.

–Kapitanie, powiedziałem, że pan już jest za daleko w prawo – doleciał głos pułkownika z dalekich stref bezpieczeństwa. – Cały czas zbacza pan w prawo. Odbiór.

— Więc co mam zrobić? Chce pan, żebym wycofał resztę mojej kompanii na ten lewy grzbiet? Odbiór. – Wiedział, że byłoby to szaleństwem.

–Nie. Zdecydowałem się wprowadzić do walki kompanię odwodową po pańskiej lewej ręce, z rozkazem nacierania. Rozkazem nacierania, słyszy pan, kapitanie? Rozkazem nacierania. Pan zostanie na miejscu. Każę dowódcy kompanii B przysłać panu wasz pluton odwodowy. Odbiór.

–Czy mam wykonać natarcie? – zapytał Stein, ponieważ nie wynikało to jasno z tego, co usłyszał. – Odbiór.

–A co? – zapiszczał doń cienki, oburzony głos pułkownika. – A co innego, kapitanie? Nie jest pan tutaj na jakimś cholernym, gównianym urlopie. Teraz niech pan zasuwa! – Nastąpiła pauza i Stein usłyszał elektryczne piski oraz coś, co brzmiało jak uprzejme mamrotanie. Dosłyszał w głosie Talla jedno wyraźne, pełne uszanowania: „Tak jest”. A potem głos pułkownika ozwał się znowu, teraz łaskawszy, bardziej jowialny. – Wal chłopcze! Wal! – powiedział Tall serdecznie. – Odbiór i koniec.

Stein przyszedł do siebie i spostrzegł, że patrzy prosto w rozszerzone, nerwowe oczy Fife'a. Oddał mu telefon. Ano, stało się. Nie zdołał nawet wyjaśnić swojego planu natarcia, a chętnie by to zrobił, bo znowu nie miał pewności, czy postępuje słusznie. Ale najwyraźniej jakaś gruba szyszka zjawiała się na punkcie telefonicznym. Nie było celu próbować znowu zadzwonić, kiedy Tall był otoczony tymi ludźmi.

Tak, grube szyszki. Obserwatorzy. Dziś mieli tam nawet admirała.

Stein ujrzał nagle okropny, mrozący serce obraz, który go przeszył przez chwilę, obraz identycznego powtórzenia się sceny, której sam był świadkiem na Wzgórzu 207 przed dwoma dniami. Ten sam znękany, zaniepokojony pułkownik dowódca batalionu z lornetką; ten sam nieufny, lecz równie niespokojny zestaw orzełków i gwiazdek, zerkający mu w wyobraźni przez ramię, ten sam zmasowany tłumek pionków i pomniejszych figur, wyciągających szyje niczym widzowie na stadionie; wszyscy tam teraz byli i wykonywali identyczne ewolucje jak ich identyczne odpowiedniki przed dwoma dniami. A w dole?

ci sami oblani krwawym potem kapitanowie i ich żołnierze wykonywali swoje. Tylko tym razem on sam, on, Jim Stein, był jednym z nich, z tych zaangażowanych w walkę. Tych, którzy przesadnie, udawali, że odwołują się do chłodnej, spokojnej logiki oraz praw wiedzy taktycznej. A jutro będzie ktoś inny. Była to wizja



przeraźliwa: wszyscy ci ludzie czyniący identycznie to samo, wszyscy nie mający możliwości tego powstrzymać, wszyscy żarliwie i dumnie przekonani, że są wolnymi jednostkami – Rozciągało się to na dziesiątki narodów, miliony ludzi, którzy robili to samo na tysiącach wzgórz całego świata. I na tym się nie kończyło. Ciągnęło się dalej. Było koncepcją – koncepcją? faktem, rzeczywistością – nowoczesnego państwa w działaniu. Obraz ten był tak okropny, że Stein nie mógł go znieść ani zaakceptować. Odsunął go od siebie i – zamrugał wytrzeszczonymi oczami. Teraz musiał zrobić jedno: przenieść swoje stanowisko dowodzenia za trzecią fałdę, do Kecka i 2 plutonu.

Z wierzchu trzeciej fałdy było doprawdy bardzo niewiele widać.

Stein i jego sierżanci położyli się za jej grzbietem i patrzyli rozmawiając ze sobą. O jakieś sto jardów przed nimi wznosił się czekający trawiasty grzbiet, obrany z wszelkiego życia. W pewnej odległości, za nim górne partie Głowy Słonia, ich właściwego celu, wznosiły się jeszcze wyżej. Otwarty, kamienisty teren, porośnięty rzadką trawą, opadał” łagodnie, faliście na długości pięćdziesięciu jardów, po czym się wyrównywał.

Stein od razu zauważył, że faktycznie por. Whyte (którego zwłoki nadal leżały tuż za wierzchołkiem fałdy) nie działał nic dobrego swoim natarciem. Pluton Whyte'a, znajdujący się dalej w lewo za miejscem, gdzie łyskające białka oczu i spocone twarze ludzi z drugiego plutonu wpatrywały się teraz w Steina, posunął się był naprzód długą falą, nie skierowaną w żaden z grzbietów, ale jej końce sięgnęły obydwu, podczas gdy główna siła wybrzuszyła się w otwartą przestrzeń pośrodku, co wywołało jedynie ześrodkowanie ognia z obu grzbietów i samego wzgórza. Nie sposób było wykonać tego gorzej.

Ale tak się stało. Tak się zdarzyło. Teraz problemem Steina, w każdym razie jego najpierwszym problemem, było ruszyć swych ludzi ze stosunkowo bezpiecznego miejsca przez to pieprzone, cholerne, gołodupne zbocze, do również stosunkowo bezpiecznego miejsca u stóp grzbietu, gdzie bliskość Japończyków mogła zabezpieczyć ich przed cekaemami i chronić od moździerzy. Kiedy by już tam doszli...

Ale jak ich doprowadzić...

Stein już postanowił użyć tylko dwóch drużyn ze swego 2 plutonu, powiększonych o żołnierzy, którzy już się tam ukryli. Nie był pewien, czy to wystarczy, i nie udało mu się omówić tego z pułkownikiem Tallem, ale nie chciał wprowadzać do walki więcej ludzi, dopóki by nie uzyskał jakiegoś pojęcia, co ma przeciwko sobie. Zdecydował się także, jak wybrać te dwie drużyny. W istocie bardziej się zastanawiał nad tym niż nad tą drugą sprawą. Prześladowało go poczucie winy moralnej za wybór ludzi, których miał posłać. Niektórzy mieli na pewno zginąć, a on ich nie chciał wybierać. Zamiast to

robić postanowił po prostu wziąć dwie pierwsze drużyny z prawej strony linii (były one najbliżej) i pozwolić, aby wyboru dokonało Szczęście, Przypadek czy Los, czy jaki tam inny czynnik kierujący ludzkim życiem. W ten sposób żadna karząca siła nie mogła go pociągnąć do odpowiedzialności. Leżąc, na stoku powiedział Keckowi o swojej decyzji. Keck, który z pewnością musiał wiedzieć, który zawsze wiedział, gdzie są jego ludzie, kiwnął głową i odrzekł, że będą to drużyny McCrona i Becka, druga i trzecia. Stein także kiwnął głową, współczując im. McCron – kwoka, i Milly Beck – służbista.

John Bell był w drużynie McCrona.

Jednakże Stein uważał, że zanim coś zrobi ze swymi dwiema drużynami, musi wiedzieć więcej o ludziach, którzy już tam byli. Znajdowali się już na miejscu i nie musieli przebiegać bici z obydwu stron, ale w jakim stanie się znajdowali? Czy mieli rannych? Czy był z nimi jakiś podoficer? Czy ich morale nie zostało złamane? Stein uważał, że musi to wiedzieć, a jedynym sposobem dowiedzenia się było wysłać kogoś. Wysłał Charliego Dale'a.

Był to niezwykły wyczyn. Mały człowieczek oblizał wargi w złośliwy, tępy uśmieszek, chwycił karabin i thompsona, i kiwnął głową. Był gotów. Stein, chociaż nigdy go nie lubił, i nie lubił także teraz, patrzył za nim z rosnącym podziwem, który tylko wzmagał jego niechęć. Dale ruszył wolnym kłusem, nie mrugnawszy okiem (po jego masywnych plecach można było odgadnąć, że nawet nie mrugnął), prosto przez otwarty stok ku trawiastemu grzbietowi.

Biegł zgięty w pasie, w ten szczególny sposób, który wszyscy instynktownie sobie przyswoili, ale nie kluczył zygzakami. Nic go nie tknęło. Przybywszy na miejsce dał nura w gęstą trawę i zniknął.

W trzy minuty później pojawił się znowu i wrócił kłusem, bez zmrużenia oka. Stein mimo woli zastanawiał się, o czym Dale myślał, lecz nie chciał pytać.

Charlie Dale byłby zadowolony, gdyby go zapytano. Ale w rzeczywistości niewiele myślał o czymkolwiek. Zresztą powiedziano mu, że wszystkie Japonce mają słabe oczy, noszą okulary i są kiepskimi strzelcami. Wiedział, że nic go nie może trafić. Schodząc skoncentrował wzrok i całą uwagę na podnóżu grzbietu. Wracając skoncentrował je na pewnym punkcie wierzchu fałdy. Jedyną rzeczą, o której naprawdę myślał czy czuł, było zrzędne rozdrażnienie, że Storma i innych kucharzy wysłano do 3 plutonu i dlatego nie będą na miejscu, by go zobaczyć. A także o fakcie, że po dokonaniu jeszcze paru takich rzeczy powinien by dostać się do plutonu strzelców, jako co najmniej kapral, a może nawet sierżant, i tym sposobem wyrwać się z kuchni nie musząc służyć jako szeregowiec. To był jego potajemny plan od początku. A zauważył, że straty pośród podoficerów były już dosyć duże.

Dale wrócił na trzecią fałdę jako bohater. To, co zrobił, stanowiło na swój sposób nie lada wyczyn. Z wierzchu fałdy można było dojrzeć, jaki gęsty ogień maszynowy i karabinowy bił w ziemię wszędzie dokoła niego. Każdy, kto nie chciał iść i nie poszedłby, był z Dale'a zadowolony, a Dale był zadowolony z siebie. Wszyscy, których mijał, klepali go po plecach, kiedy zmierzał do Steina, by zameldować, że wszyscy tam są okej, że ich morale jest nie nadwyreżone, ale że nie ma przy nich podoficera. Są sami szeregowcy.

–W porządku – powiedział Stein, wciąż leżąc obok Kecka na przeciwnym stoku. – A teraz posłuchajcie. Nie mają podoficera, a ja nie mogę stąd wysłać nikogo z jego własnej drużyny. Jeżeli chcecie tam iść razem z innymi, kiedy ruszą, zrobię was w tej chwili pełniącym obowiązki sierżanta i będziecie dowodzić tą dodatkową drużyną. Macie na to ochotę?

–Jasne – odpowiedział Dale od razu. Uśmiechnął się złośliwie i oblizał wargi. – Jasne, panie kapitanie. – Targnął głową na swych wiecznie przygarbionych ramionach, a jego twarz przybrała wyraz jawnie fałszywej skromności. – Jeżeli pan kapitan uważa, że się nadaję. Jeżeli pan uważa, że potrafię to zrobić.

Stein popatrzał na niego z niezbyt dobrze ukrywanym niesmakiem.

Był on jednak dostatecznie ukryty jak na przenikliwość Charliego Dale'a. Czy może nie?

–Okej – powiedział Stein. – Mianuję was pełniącym obowiązki sierżanta. Pójdziecie razem z innymi.

–Tak jest – odrzekł Dale. – Ale czy nie trzeba powiedzieć: „niniejszym”?

–Co?

–Pytam, czy pan kapitan nie powinien powiedzieć: „niniejszym”.

Wie pan, żeby to było oficjalne.

W jakimś nieruchawym, labiryntowym zakamarku swego prymitywnego umysłu Dale widać podejrzewał uczciwość Steina.

–Nie. Nie muszę mówić: „niniejszym”. Niniejszym co? Nie muszę mówić niczego więcej, niż powiedziałem. Jesteście pełniącymi obowiązki sierżanta. Pójdziecie razem z innymi.

–Tak jest – powiedział Dale i odczołgał się.

Stein i Keck wymienili spojrzenia.

**–Chyba lepiej, żebym też poszedł, panie kapitanie – powiedział Keck. – Ktoś tam powinien kierować.**

**Stein powoli kiwnął głową. – Myślę, że pan ma rację. Ale proszę uważać na siebie. Jest mi pan potrzebny.**

**–Będę uważał na siebie równie dobrze jak każdy tutaj – brzmiała pozbawiona humoru odpowiedź Kecka.**

**Wokoło nich napięcie przed atakiem zaczynało rosnąć i stawało się wyczuwalne. Widać je było wyraźnie na twarzach żołnierzy 2 plutonu, spoconych, z wytrzeszczonymi oczami, zwróconych ku grupce przywódców niczym rząd słoneczników ku słońcu. Po lewej pierwsze elementy 3 plutonu pojawiły się znowu w zagłębieniu między drugą i trzecią fałdą, i zmierzały ku Steinowi; ludzie ci byli zgięci w pól, a inni podążali za nimi. Przez wierzch drugiej fałdy za Steinem przebiegła ku niemu inna, samotna postać, także przygięta. Był to Witt, który powracał, tym razem z karabinem i paroma dodatkowymi ładownicami naramiennymi. Moment prawdy – pomyślał Stein i spojrzął na zegarek, który wskazywał dwunastą zero dwie. Moment prawdy, cholera. Mój Boże, czyż to mogło trwać tak długo? Zdawało się, że ledwie kilka sekund. A zarazem, że całe lata. W tym to momencie starszy szeregowiec Doll – czy może jego przeznaczenie za niego – postanowił wrócić ze swego ryzykownego wypadu do pierwszego plutonu.**

**Doll wbiegł na lekką pochyłość mniej więcej pośrodku, 2 plutonu, przesadził jej wierzch, padł i poczołgał się po przeciwnym stoku do Steina, by zameldować, że odnalazł sierżanta Culna. Ale dotarłszy do grupki dowódców legł na ziemi i chwycił dech prawie przez minutę.**

**Tym razem nie było chichotania ani łobuzerskiego popisu beztroski.**

**Twarz miał ściągniętą i napiętą, bruzdy wokoło otwartych ust głęboko zarysowane. Przebiegł był wzdłuż nierównej linii dołków nawołując Chudego Culna, pod ogniem bijącym wszędzie dokoła. Żołnierze spoglądali na niego ze swoich dołków, z wyrazem zaskoczenia i niedowierzania. Jego ciało, pobudzane przez wyobraźnię, szybko osiągnęło punkt, w którym groziło odmówieniem mu posłuszeństwa.**

**Wreszcie o trzy dołki przed nim podniosła się raptem czyjaś ręka zakreślając znany, kolisty sygnał „Zbiórka”. Doll dobiegł tam i znalazł Culna leżącego spokojnie na boku i uśmiechającego się doń smętnie, z karabinem przyciśniętym do piersi. – Prosimy do środka – powiedział Culn, ale Doll już dał nura do dołu. Nie był on dostatecznie obszerny na dwóch ludzi. Skulili się w nim, a Doll poinformował Culna o stratach, opowiedział mu o planie Steina i o roli w nim pierwszego plutonu. Culn poskrobał się po rudawej szczecinie zarostu.**

–Więc mój pluton. No, no. Okej, powiedz mu, że spróbuję. Tylko powiedz też, że. my tu mamy trochę osłabione morale, jak piszą w regulaminach polowych. Ale zrobię, co będę mógł.

W kilka sekund później Doll znalazł się z powrotem za trzecią fałdą, gdzie mu się wydało ogromnie bezpiecznie, i zaraportował Steinowi. Meldunek swój złożył z dumą.

Doll nie wiedział, jakiego przyjęcia się spodziewał, ale w każdym razie innego niż to, które go spotkało. Charlie Dale wrócił już przed nim, po wykonaniu trudniejszego zadania, nie przejawiając takiej nerwowości. 3 pluton właśnie nadciągał i Stein musiał się nim zaopiekować. A zresztą rosnące napięcie przed atakiem sprawiało, że wszyscy byli dosyć przejęci. Ciota wysłuchał meldunku i kiwnął głową, klepnął Dolla po ręce niby ktoś rzucający rybę foce po jej popisie, i odprawił go. Dollowi nie pozostało nic innego jak odczołgać się: jego dzielność i heroizm zostały zignorowane i nie docenione. Dziwiąc się, że jeszcze żyje, gorąco pragnął opowiedzieć komuś, jak to o włos uniknął śmierci. A potem gdy wreszcie usiadł i podniósł wzrok, ujrzał – co niejako dosypało soli do jego ran – Charliego Dale'a, który siedział w pobliżu i szczyrzył doń zęby w drapieżnym, pełnym wyższości uśmiechu. Patrząc na niego Doll zmuszony był jednocześnie słuchać małego szeregowca Beada, który leżąc obok rozwodził się nad wyczynem Dale'a.

A Dale to jeszcze nie było wszystko. Witt, ten szalony ochotnik, ten zwariowany, sentymentalny Kentuckyańczyk, który zapragnął wrócić do kompanii strzelców pod ogniem, siedział w kucki za Dollem, kiedy ten składał meldunek, i czekał na swoją kolej do Steina.

Teraz też mu się zameldował, a kiedy Stein krótko wyjaśnił nadchodzące natarcie, od razu poprosił o zezwolenie, by wziąć w nim udział. Stein, nie potrafiąc całkowicie ukryć zdumienia i niedowierzania, kiwnął głową na znak zgody i odesłał Witta do drużyny Milly'ego Becka. Ta ostatnia kropla, ten policzek wymierzony przez los wraz z wiadomością, że Charlie Dale idzie, i to jeszcze jako pełniący obowiązki sierżanta, sprawił, że Doll otworzył usta i przemówił.

Usłyszał własny głos, będący w równej mierze odruchem jak krzykiem człowieka ukłutego nożem. Ze zgrozą słuchał samego siebie zapytującego czystym, dźwięcznym, zdecydowanym, ufnym tonem, czy nie mógłby pójść także. Kiedy Stein odpowiedział: „tak” i skierował go do drużyny McCrona, Doll odczołgał się przygryzając wargi tak mocno, że łzy napłynęły mu do oczu. Zapragnął uczynić coś jeszcze gorszego: walić głową o skałę, wygryźć cały kawał własnej ręki. Dlaczego sam sobie robił takie rzeczy? Dlaczego?

Teraz już nic ich nie zatrzymywało. Wszystko było gotowe. Mogli zaczynać każdej chwili. Stein i Keck leżeli obok siebie za małym grzbietem, a przy nich starszy sierżant Welsh, z obojętną miną, milczący, niekomunikatywny, i przepatrywali teren

raz jeszcze. Stein umieścił 3 pluton o jakieś trzydzieści jardów w tyle i niżej na stoku, w dwóch rzutach po dwie drużyny, które miały być gotowe do natarcia i wykorzystania wszelkiej osiągniętej przewagi. Sekcji moździerzy przekazał polecenie, aby podniosła ogień dalej na grzbiet.

Swój jedyny pozostały karabin maszynowy ulokował za wierzchołkiem trzeciej fałdy. Na lewy, trawiasty grzbiet kierowano silny ogień, ale Stein nie widział żadnego ruchu kompanii B. Kiedy patrzył, dwa pociski z japońskich moździerzy padły tam i wybuchły. Nie sposób było rozeznaczyć, czy kogoś raziły.

–Myślę, że powinniśmy wysyłać ich grupkami po trzech czy czterech w nieregularnych odstępach czasu – powiedział obracając głowę do Kecka. – Kiedy wszyscy już tam dojdą, niech pan ich rozwinie. Niech się posuwają skokami albo całą linią. Według pańskiego uznania. Chyba możecie ruszać.

–Sam poprowadzę pierwszą grupę – powiedział chrapliwie Keck, patrząc na stok. – Panie kapitanie – dodał spojrzawszy na Steina i Banda, który się właśnie podsunął. – Coś chciałem panu powiedzieć. Ten Bell jest dobry. Bardzo równy. Pomógł mi się ruszyć i wyciągnąć pluton z tego załamania po natarciu. – Przerwał. – Chciałem panu tylko powiedzieć.

–Okej, będę pamiętał. – Stein poczuł nieokreślony, prawie nieznośny niepokój, na który nic nie mógł poradzić. Zmusiło go to do odwrócenia wzroku na stok. Obok niego Keck zaczął się odczołgiwać.

–Dajcie im w kość, sierżancie! – zawołał wesóło George Band.

–Dajcie im w kość!

Keck na chwilę przestał się czołgać, by spojrzeć za siebie. – Aha – powiedział.

Obie drużyny, z trzema dodatkowymi ludźmi, już się mniej więcej oddzieliły od drugiej połowy plutonu. Swoją postawą oraz wyrazem twarzy ludzie w większości przypominali owce prowadzone do rzeźni w Chicago. Czekali. Keck musiał tylko podpełznąć i pouczyć ich.

–No, chłopaki, teraz. Idziemy grupkami po czterech. Nie ma sensu posuwać się skokami, bo to tylko lepszy cel po zatrzymaniu. Więc biegiem przez cały czas. Nie mamy wyboru. Wyznaczyli nas, więc musimy iść. Sam wezmę pierwszą grupę, żeby wam pokazać, jakie to łatwe. Chcę mieć przy sobie Charliego Dale'a. Słyszysz, Dale?

Żebyś zorganizował tych gości, co już tam są. Ruszamy.

Poczłgał się do podstawy wyjściowej za grupką oficerów i obsługi punktu dowodzenia, i tutaj to wydarzył się pierwszy w kompanii C przypadek jawnego

tchórzostwa (jeżeli można to było tak nazwać pomijając sierżanta Stacka). Rosły, pięknie umięśniony mężczyzna nazwiskiem Sico, włoski poborowy z Filadelfii po jakichś pięciu miesiącach służby, raptem siadł w miejscu, chwycił się za brzuch i zaczął jęczeć. To zablokowało posuwających się za nim, a kiedy ktoś zawołał, ci, którzy byli w przedzie, zatrzymali się także. Keck popełnił z powrotem do niego. Sierżant – dowódca drużyny, służbista Beck, podczołgał się także. Beck był bardzo młody, jak na służbistę, ale i bardzo sprawny. Karabiny w jego drużynie wypadały najlepiej podczas przeglądu, odkąd przyszedł do kompanii po sześciu latach służby i od razu dostał awans. Przy tym nie był w gruncie rzeczy złośliwy, tylko surowy. Niezbyt rozzębiony w innych sprawach, nawet nie interesował się nimi, natomiast żołnierka była jego kodeksem. W tej chwili był głęboko zawstydzony, że coś podobnego mogło się zdarzyć komukolwiek z jego drużyny, i przez to wściekły.

–Powstań, cholera ci w bok, Sico – powiedział swym surowym, rozkazującym głosem. – Bo tak cię kopnę w ten brzuch, że ci się zrobi naprawdę niedobrze.

–Nie mogę, panie sierżancie – odrzekł Sico. Twarz miał groteskowo ściągniętą, a oczy niby dwie kałuże przerażenia, bezdenne, udręczone i po trosze winowajcze. – Wstałbym, gdybym mógł. Pan wie, że tak. Jestem chory.

–Chory, a ucho – powiedział Beck, który nigdy nie klął wiele, i dla którego słowo „cholera” było niezwykle mocne.

–Czekaj, Beck – odezwał się Keck. – Co się stało, Sico?

–Nie wiem, panie sierżancie. Żołądek. Mam bóle. I kurcze. Nie mogę się wyprostować. Jestem chory – powiedział spoglądając błagalnie na Kecka z głębi mrocznych, udręczonych oczu. – Chory jestem – powtórzył i jakby na dowód tego nagle zwymiotował. Nie spróbował nawet się pochylić i wymioty bluznęły z niego i pociekły po koszuli na dłonie, które przyciskał do brzucha. Spojrzał z nadzieją na Kecka, ale zdawał się gotów zrobić to jeszcze raz, gdyby zaszła potrzeba.

Keck przypatrywał mu się przez chwilę.

–Zostaw go – powiedział do Becka. – Chodźmy. Zajmą się tobą sanitariusze – powiedział do Sica.

–Dziękuję, panie sierżancie – rzekł Sico.

–Ależ... – zaczął Beck.

–Nie spieraj się ze mną – odparł Keck już się czołgając.

–Dobra – powiedział Beck i ruszył za nim.

Sico nadal siedział i patrzył na innych, którzy go mijali. Sanitariusze zajęli się nim istotnie. Jeden z nich, młodszy, chociaż bardzo podobny do swego starszego kolegi, okularnika o nieśmiałej twarzy, podszedł i odprowadził do tyłu Sica, który stąpał zgięty z bólu, z rękami przyciśniętymi do brzucha. Chwilami jęczał głośno i dławił się od czasu do czasu, lecz najwyraźniej nie uważał za konieczne więcej wymiotować. Twarz miał błędną, oczy udręczone. Najwyraźniej nikt nie potrafiłby go przekonać, że nie jest chory. Na ludzi z C – jak – Charlie spoglądał błagalnie, z jakąś bezmowną prośbą o zrozumienie, o wiarę. Oni patrzyli nań obojętnie. Niczyja twarz nie wyrażała pogardy. Miast tego pod wytrzeszczonym, spotniałym grymasem strachu kryła się odrobina bezsilnej zazdrości, jak gdyby chętnie postąpili by tak samo, lecz obawiali się, że nie potrafią się na to zdobyć.

Sico, który niewątpliwie mógł odczytać to wejrzenie, najwyraźniej nie czerpał z niego pociechy. Szedł chwiejnie dalej, podtrzymywany przez młodszego sanitariusza, i kompania C widziała go po raz ostatni, gdy kuśtykając zniknął za drugą fałdą.

Tymczasem żołnierze Kecka rozpoczęli swój marsz przez różgi.

Prowadził ich Keck z Dale'em i dwoma innymi. Sierżanci z obu drużyn, najpierw Milly Beck, a potem McCron, nadzorowali swych ludzi, kiedy ruszali skokami w grupkach po czterech. Wszystkim się udało z wyjątkiem dwóch. Z tych jeden, nazwiskiem Catt, prawie czterdziestoletni wiejski „chłopak” z Missisipi, o którym nikt w kompanii nie wiedział nic z tej prostej przyczyny, że nigdy nie wdawał się w rozmowy, został zabity od razu. Natomiast z drugim zdarzyło się coś naprawdę niedobrego po raz pierwszy w tym dniu.

Z początku myśleli, że ten drugi też zginął. Trafiony w biegu, upadł, odbił się mocno od ziemi i legł bez ruchu tak jak ten z Missisipi. Więc było po wszystkim. Kiedy ktoś został trafiony i zginął na miejscu, nikt nie mógł już nic zrobić. Przystawał istnieć. Żyjący żyli dalej, bez niego. Natomiast rannych ewakuowano. Mieli żyć albo umrzeć gdzie indziej. Więc oni też przestawali istnieć dla tych, którzy zostali, i można było o nich zapomnieć. Jeżeli ktoś nie miał silnej wiary w Walhallę, był to równie dobry sposób załatwienia problemu jak inny, i dawał każdemu lepsze samopoczucie. Ale nie miało tak być z szeregowcem Alfredo Tella z Cambridge w stanie Massachusetts, który, jak sam lubił mawiać żartobliwie, „nie poszedł do Harvardu, ale się nieraz wysikał pod jego obrośniętymi bluszczem murami”.

Tella zaczął krzyczeć dostatecznie głośno, aby go usłyszano na stanowisku dowodzenia Steina, dopiero wtedy, gdy Keck już obmyślił i wykonał większą część swego natarcia. A o tym czasie działa się już masa innych rzeczy.

Na razie z wierzchu fałdy niewiele było widać. Na stoku leżały dwa nowe ciała, i to wszystko. Keck i jego biegnący ludzie dali nura w wyższą trawę i jakby zniknęli z powierzchni ziemi. Hurkot nawały japońskiego ognia ustał. Nad trawiastym grzbietem



**zaległa cisza – przynajmniej względna cisza, jeżeli pominąć huki i trzaski nadal wiszące i drgające wszędzie wysoko w powietrzu. Na trzeciej fałdzie ludzie leżeli i czekali wypatrując.**

**Niestety obsługa japońskich ciężkich moździerzy, nadal twardo usadowionych na wzniesieniach Głowy Słonia, dojrzała ruch naprzód żołnierzy amerykańskich. W zagłębieniu między fałdami wybuchnął pocisk z moździerza. Nikomu nie zrobił krzywdy, ale po nim nadleciały inne. Zaczęły buchać na tylnym stoku fontannami grozy, ziemi i odłamków mniej więcej co minutę, gdy japońscy celowniczo wymacywali teren szukając amerykańskiego mięsa. Nie był to ogień zaporowy, ale ogromnie szarpiący nerwy i poranił kilku ludzi. Dlatego tylko bardzo nieliczni, między nimi Stein, Band i Welsh, widzieli natarcie Kecka. Większość leżała na ziemi tak płasko, jak tylko mogła.**

**Stein uważał, że jego obowiązkiem jest patrzeć, obserwować. Zresztą nie miał wielkiego wyboru, jeżeli idzie o osłonę; Nie istniały tu żadne doły, a jedno płaskie miejsce było równie dobre jak inne. Leżał więc, wysunąwszy nad wierzch fałdy jedynie oczy i hełm, czekał i patrzył. Nie mógł się wyzbyć wyraźnego przeczucia, że już niedługo pocisk z moździerza wyląduje na samym środku jego pleców. Nie wiedział, dlaczego Band też postanowił obserwować, lecz podejrzewał, iż miał nadzieję zobaczyć jakichś nowych rannych, choć czuł, że to nie jest w porządku. Jeżeli idzie o Welsha, Stein nawet nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego ten człowiek, o obojętnej, pozbawionej wyrazu twarzy, chciał się odsłaniać, by patrzeć, zwłaszcza że nie powiedział do nikogo ani słowa od chwili, gdy ofiarował Keckowi swojego thompsona. Wszyscy trzej leżeli, gdy wtem gdzieś za nimi wybuchnął pocisk z moździerza, w minutę po nim następny, a w niespełna minutę później jeszcze jeden. Po żadnym nie rozległy się krzyki.**

**Kiedy wreszcie dojrzeliby jakichś ludzi, znajdowali się oni w dwóch trzecich drogi na grzbiet. Keck niepostrzeżenie podczołgał się z nimi tak daleko. Teraz powstali całą linią, która pośrodku wybrzuszała się nieco w dół, niby sznur zwisający własnym ciężarem, i ruszyli pod górę strzelając w biegu. Prawie natychmiast zaczął łomotać ogień japoński i od razu ludzie zaczęli padać.**

**Jeżeli szeregowiec Alfredo Tella z Cambridge w stanie Massachusetts zaczął krzyczeć już przedtem, to nikt go nie słyszał. A w napięciu akcji i obserwowania nikt nie miał go usłyszeć, dopóki nie byłoby po wszystkim.**

**W istocie nie trwało to długo. Ale póki trwało, działo się wiele rzeczy. Dotarłszy na zasłonięty teren, Keck najpierw zajął się zorganizowaniem tej zdeorganizowanej grupy szeregowców, która już tam była, i posłał Dale'a, aby to zrobił. Potem położył się w trawie i kierował innych na prawo, w miarę jak napływali. Kiedy linia się sformowała, rozkazał im się czołgać. Trawa, mniej więcej po pierś wysoka, miała splecione, zwikłane podłoże starych łodyg. Dławiła ich kurzem, okręcała ręce i nogi,**

uniemożliwiła dojrzenie czegokolwiek.

Czołgali się, rzekłbyś, przez wieczność. Wymagało to olbrzymiego wysiłku. Większość ich zużyła już cały zapas wody i to najbardziej zaprzętało myśli Kecka, kiedy rozkazał się zatrzymać. Oceniał, że są mniej więcej w połowie drogi na zbocze, i nie chciał, żeby zaczęli mu mdleć. Przez chwilę, kiedy Keck leżał zbierając siłę woli, pomyślał o ich twarzach, gdy wpadali w trawę poniżej – o błyskających białkach, ustach otwartych i rozdziawionych, skórze dokoła oczu ściągniętej i napiętej. Wszyscy dotarli tu przerażeni. Wszyscy doszli niechętnie. Keck nie miał dla nich współczucia, tak jak i dla samego siebie. Był również przerażony. Nabrawszy głęboko tchu, stanął wyprostowany w trawie i wrzasnął do nich:

**–Powstać! Powstać! Powstać i NAPRZÓD!**

Z wierzchu fałdy leżący tam widzieli tę akcję jak na dłoni i mogli śledzić jej przebieg. Na samym grzbiecie nie było już tak łatwo. Jednakże John Bell, który powstał z karabinem w garści i usiłował strzelać biegnąc przez gęstą trawę, zdołał dojrzeć kilka istotnych rzeczy.

Był na przykład jedynym, który zobaczył, jak sierżant McCron zakrył twarz dłońmi i siadł na ziemi płacząc. Kiedy się poderwali, furia japońskiego ognia uderzyła w nich jak mieciona wiatrem burza gradowa. Japończycy byli przebiegli i czekali zachowując swój ogień na moment, gdy dojrzą cele. Czterech ludzi z drużyny McCrona padło od razu. Po prawej młody, poborowy nazwiskiem Wynn dostał postrzał w gardło i krzyknął: „O Boże! głosem pełnym grozy i niedowierzania, gdy gejzer krwi trysnął mu z szyi. Komicznie, jak lalka z gałganków, zwałił się i zniknął w trawie. Obok niego starszy szeregowiec Earl, nieco niższy, został trafiony w twarz, być może tą samą serią. Upadł bez jęku, wyglądając tak, jakby dostał w twarz pomidorem. Po lewej Bella dwaj ludzie przewrócili się krzycząc ze strachu, że są zabici. Tego było za wiele dla McCrona, który cackał się z tą swoją drużyną i matkował jej przez tyle miesięcy, więc po prostu rzucił karabin i siadł – płacząc. Sam Bell był zdumiony, że jeszcze nic go śmiertelnie nie trafiło. Wiedział tylko jedno i tylko o tym mógł myśleć. Że trzeba iść dalej. Musiał iść dalej. Jeżeli chciał kiedyś wrócić do domu, do swojej żony, Marty, jeżeli chciał ją jeszcze zobaczyć, pocałować, wsunąć się między jej piersi, jej nogi, gładzić ją, pieścić, dotykać – musiał iść dalej. A to znaczyło, że musiał pociągnąć za sobą innych, bo nie było celu iść w pojedynkę. To musiało się skończyć. Musiał być jakiś moment w czasie, kiedy by się skończyło. Chrapliwym rykiem począł nawoływać resztkę drugiej drużyny McCrona. Kiedy się obejrzał, zobaczył za sobą i nieco niżej Milly'ego – Becka prowadzącego swych ludzi z furją rozżartej nienawiści, która głęboko wstrząsnęła Bellem. Beck, który zawsze był taki opanowany i prawie nigdy nie podnosił głosu! Jeszcze niżej szedł Keck rycząc i strzelając pod górę z thompsona Welsha. Bellowi przyszło na myśl idiotyczne zdanie i zaczął bez sensu wrzeszczeć do innych: „W domu na Gwiazdkę! W domu na Gwiazdkę!”

**Iść dalej. Iść dalej. Była to śmieszna myśl, głupi pomysł w każdym razie, i miał się później zastanawiać, dlaczego mu przyszedł do głowy. Bo, oczywiście, jeżeli chciał pozostać przy życiu, by wrócić do domu, najlepszą rzeczą byłoby położyć się w trawie i ukryć.**

**Charlie Dale daleko po lewej był tym, który ujrzał pierwsze stanowisko ogniowe, pierwsze obsadzone stanowisko, jakie zobaczył którykolwiek z nich. Daleko w lewo, za ich skrzydłem, było gniazdo pojedynczego cekaemu, zwykły dół wykopany w ziemi i przykryty patykami oraz trawą kunai. Widział wylot lufy sterczący z ciemnej dziury i plujący w niego ogniem. Dale był prawdopodobnie najspokojniejszy ze wszystkich. Pozbawiony wyobraźni, zorganizował sobie naprędce drużynę i stwierdził, że ci ludzie chętnie przyjmą jego władzę, jeżeli po prostu powie im, co robić. Teraz przynaglał ich, by szli dalej, ale nie krzyczał i nie wrzeszczał tak jak Keck i Bell.**

**Dale uważał, że to wygląda o wiele lepiej, znacznie przyzwoiciej, jeżeli podoficer nie drze się w taki sposób. Do tej pory nie wystrzelił ani razu. Jaki by to miało sens, skoro nie było żadnych celów?**

**Kiedy dojrzał stanowisko ogniowe, odsunął bezpiecznik i wywalił z thompsona długą serię prosto w dół odległy o dwadzieścia jardów.**

**Zanim zdążył puścić spust, broń zacięła się na dobre. Ale jego seria wystarczyła, by uciszyć karabin maszynowy przynajmniej chwilowo, i Dale pognał ku niemu wyciągając zza koszuli granat ręczny. Z odległości dziesięciu jardów cisnął granat jak piłkę baseballową wykręcając sobie boleśnie ramię. Granat zniknął w dole i wybuchnął rozrzucając patyki, trawę i trzy szmaciane kukły i wywracając, do góry nogami karabin maszynowy. Dale obrócił się do swojej drużyny, oblizał wargi i uśmiechnął się promieniejąc dumą.**

**–Chodźcie, chłopaki – powiedział. – Walimy dalej.**

**Mieli to już prawie załatwione. Na prawo od środka Doll i inny żołnierz wykryli jednocześnie małe stanowisko ogniowe. Wystrzelali po magazynku w jego otwór, a Doll wrzucił do dołu granat kontynuując swe nie wypowiedziane współzawodnictwo z Charliem Dale'em choć nie był p.o. sierżanta. No, jak on się o tym dowie! – pomyślał z radością, bo nie wiedział, że Dale też rozwalił gniazdo cekaemu. Jednakże dla Dolla i wszystkich innych, którzy pobiegli dalej, radość ta była krótkotrwała. Zniszczenie dwóch jednokarabinowych stanowisk nie uczyniło istotnej różnicy w natężeniu ognia japońskiego. Cekaemy były w nich nadal, rzekłbyś: z każdego zakątka globu. Ludzie nadal padali. Wciąż jeszcze nie umiejscowiono głównych punktów oporu. Na wprost, o trzydzieści jardów, wysad skalny tworzył wysoki na cztery stopy próg, który ciągnął się w poprzek ich frontu. Wszyscy instynktownie ruszyli tam biegiem, podczas gdy za nimi zdyszany Keck wykrzykiwał niepotrzebny rozkaz:**

**–Ten próg! Do tego progu!**

Dopadli na łeb, na szyję za jego osłonę dysząc głośno z wyczerpania. Wysiętek i żar były zbyt wielkie. Kilku wymiotowało. Jeden dobiegł do progu, zacharczał raz nieprzytomnie, po czym oczy uciekły mu w tył i zemdlął z porażenia upałem. Nie było czym go osłonić. Służbista Beck rozpiął mu pas i mundur. Potem ułożyli go pod progiem w południowym słońcu i wdychali rozgrzany, pachnący latem kurz. Wokoło brzęczały owady. Ogień ustał.

**–No i co teraz robimy, sierżancie? – zapytał ktoś w końcu.**

**–Zostaniemy tutaj – odrzekł Keck. – Może nam przyślą jakieś posiłki.**

**–Ha! A po co?**

**–Żeby zdobyć te cholerne, pieprzone pozycje! – odkrzyknął Keck z irytacją. – A coś ty myślał?**

**–Naprawdę mamy to zrobić?**

**–Czy ja wiem. Nie. Żadnego szturmu pod górę. Ale jak nam przyślą posiłki, będziemy mogli rozpoznać teren i może wykapować, gdzie są te cholerne, zasrane kaemy. W każdym razie to lepsze, – niż przejść przez to z powrotem. Chcielibyście wracać?**

Nikt nie odpowiedział, a Keck nie uważał za potrzebne mówić więcej. Policzywszy ludzi stwierdził, że na stoku za sobą pozostawili, dwunastu zabitych lub rannych. Była to prawie pełna drużyna, blisko jedna trzecia całej ich liczby. Między nimi znajdował się McCron.

Kiedy Bell powiedział o tym Keckowi, ten mianował go p.o. sierżanta, ale Bellowi było to obojętne.

**–Będzie musiał sam sobie radzić, tak jak reszta rannych – rzekł Keck.**

Dalej leżeli w gorącym słońcu. Mrówki pełzały po ziemi u stóp progu.

**–A jak tu przyjdą kupą Japonce i wyrzucą nas stąd? – zapytał ktoś.**

**–Nie przypuszczam -,odparł Keck. – Z nimi jest gorszy klops niż z nami. Ale trzeba wystawić posterunek. Doll!**

Bell leżał z twarzą przyciśniętą do skały, obrócony do Witta. Witt też spoglądał na niego. Leżeli tak w rozbrzęczanym owadami upale i patrzyli na siebie. Bell pomyślał, że Witt przeszedł to wszystko dobrze. Tak jak on sam. Jaka siła przesądzała o tym, że ten, a nie inny człowiek zostawał ugodzony i ginął? A więc małe, wymacujące

natarcie Steina było zakończone. Gdyby to był film, teraz nastąpiłby koniec i coś by się rozstrzygnęło. W filmie czy w powieści udratyzowano by atak doprowadzając go do punktu kulminacyjnego. Gdyby atak odbywał się w filmie czy w powieści, byłby udany. O czymś by przesądzał. Miałby pozory sensu i pozory emocji. A zaraz po nim wszystko by się skończyło. Widzowie mogliby iść do domu, pomyśleć o pozorach sensu i odczuć pozory emocji. Nawet jeśli bohater poległ, miałyby to jakiś sens. Sztuka – doszedł do wniosku Bell – sztuka twórcza to gówno.

Obok niego Witt, którego najwyraźniej nie trapiły żadne takie problemy, dźwignął się na kolana i ostrożnie wytknął głowę zza progu.

Bell rozmyślał dalej.

Tutaj nie było żadnych pozorów sensu. A emocje tak liczne i tak pomieszane, że niemożliwe do rozszyfrowania, do rozwikłania. Nic nie zostało rozstrzygnięte, nikt niczego się nie nauczył. Ale, co najważniejsze, nic się nie zakończyło. Nawet gdyby zdobyli cały ten grzbiet, nic nie byłoby zakończone. Bo jutro czy pojutrze, czy następnego dnia, wezwano by ich, żeby robili to znowu – może nawet w jeszcze gorszych warunkach. Ta myśl była taka przemożna, taka porażająca, że wstrząsnęła Bellem. Wyspa po wyspie, – wzgórze po wzgórze, przyczółek po przyczółku, rok po roku. Poczł zawrót głowy.

Kiedyś na pewno musi się to skończyć, rzecz jasna, i prawie na pewno – z uwagi na produkcje przemysłową – skończyć zwycięstwem. Jednakże ten punkt w czasie nie miał żadnego powiązania z którymkolwiek pojedynczym człowiekiem walczącym w tej chwili.

Niektórzy ludzie mieli przeżyć, ale żaden pojedynczy człowiek nie mógł przeżyć. Była to sprzeczność w metodach liczenia. Cała sprawa była zbyt rozległa, zbyt skomplikowana, zbyt technologiczna, żeby liczył się w niej którykolwiek pojedynczy człowiek. Liczyły się tylko zbiorowiska ludzi, tylko społeczności ludzi, tylko liczby ludzi.

Brzemie – takiego twierdzenia było zabójcze, nieomal zbyt ciężkie do udźwignięcia, i Bell zapragnął odwrócić od niego myśli. Wolne jednostki? Ha! Gdzieś pomiędzy momentem, kiedy wylądowali tu pierwsi żołnierze piechoty morskiej, a tą dzisiejszą bitwą, amerykański system prowadzenia wojny przemienił się z systemu indywidualistycznego w system kolektywistyczny – czy może to tylko złudzenie, może tak mu się tylko wydaje, ponieważ sam teraz jest w walce? Ale wolne jednostki? Cóż to za pieprzony mit! Liczby wolnych jednostek – może; kolektywy wolnych jednostek. I tym sposobem wyłoniła się w końcu istota poważnych rozmyślań Bella.

W jakimś nieokreślonym momencie pomiędzy tą samą porą wczoraj a tą samą porą

**dziś nawiedziła Bella niepożądana świadomość, że statystycznie, matematycznie, arytmetycznie, jakkolwiek chciałoby się to rachować, on, John Bell, nie mógł żadną miarą przeżyć tej wojny. Żadną miarą nie mógł powrócić do domu, do swojej żony, Marty Bell. Więc w gruncie rzeczy było obojętne, co Marty robi, czy zdradza go, czy nie, bo nie miał wrócić, by ją oskarżyć.**

**Uczucie, które to objawienie wywołało, nie było uczuciem poświęcenia, rezygnacji, akceptacji i spokoju. Było drażniącym, jątrzącym uczuciem bezradnej frustracji, które sprawiło, że przyszła mu ochota trzeć plecami i bokami o skały, aby złagodzić to świerzbienie. Nadal nie odrywał twarzy od kamienia.**

**Obok niego Witt, który wciąż klęczał i wypatrywał, krzyknął nagle. Jednocześnie krzyknął też Doll z drugiego końca.**

**–Coś idzie!**

**–Coś idzie! Ktoś idzie na nas!**

**Jak jeden mąż linia ukryta za progiem poderwała się trzymając karabiny w pogotowiu. O czterdzieści jardów przed nią siedmiu wielkogłowych, krzywonogich, wymizerowanych Japończyków zbiegało ku nim po nie porośniętym trawą zboczu trzymając granaty ręczne w prawej ręce, a karabiny z nasadzonymi bagnetami w lewej. Thompson Kecka, po wystrzeleniu prawie całej amunicji w drodze pod górę, w końcu zaciął się także. Żadnego nie można było uruchomić. Ale zmasowany ogień z progu szybko załatwił siedmiu Japończyków. Tylko jeden zdołał rzucić granat,, który nie wybuchł i upadł za blisko.**

**W chwili, kiedy ów niewypał powinien był wybuchnąć, rozległa się za nimi głośnie, grzmiąca, na wpół stłumiona eksplozja. W podnieceniu ataku i obrony nadal strzelali w siedem ciał leżących na stoku.**

**Kiedy przestali, tylko dwa poruszały się jeszcze. Wymierzywszy spokojnie w tej nagłej ciszy, Kentuckyańczyk Witt wsadził w nie po jednej dobijającej kuli.**

**–Z tymi łajdackimi, samobójczymi draniami nigdy nie wiadomo – rzekł. – Nawet kiedy oberwali.**

**Bell był pierwszym, który przypomniał sobie o wybuchu w tyle i obrócił się, by zobaczyć, co go spowodowało. Ujrzał sierżanta Kecka leżącego na wznak z zamkniętymi oczami, w dziwnie groteskowej pozycji, i trzymającego w prawej dłoni kółko z zawleczką ręcznego granatu. Bell krzyknął i podbiegł doń; odwrócili go ostrożnie na brzuch i zobaczyli, że nic mu nie mogą pomóc. Miał wyrwany cały pośladek i część pleców. Niektóre jego organy wewnętrzne były odsłonięte i pulsowały pracowicie, robiąc swoje tak, jakby nic się nie stało. W jamie rany wzbierała krew. Delikatnie ułożyli go na powrót.**

Było jasne, co się zdarzyło. Podczas natarcia, może dlatego, że Thompson mu się zaciął, a w każdym razie nie strzelając ze swego karabinu, Keck sięgnął do tylnej kieszeni spodni, by z niej wyciągnąć granat. W podnieceniu chwycił go za zawleczkę. Bell przez chwilę poczuł zawrotne, niemal paraliżujące przerażenie na myśl o Kecku, kiedy stał i patrzył na tę zawleczkę w swojej dłoni. Potem odskoczył w tył z linii i oparł się plecami o mały kopczyk ziemi, by ochronić innych. Wtedy granat wybuchnął.

Keck nie protestował, kiedy go przekładali. Był przytomny, ale najwidoczniej nie chciał mówić i wolał mieć oczy zamknięte. Dwaj żołnierze usiedli przy nim, próbowali doń zagadać i uspokoić go, a reszta wróciła do linii, ale Keck nie odpowiadał i nie otwierał oczu.

Małe mięśnie w kącikach ust drgały mu kurczowo. Przemówił tylko raz. Nie otwierając oczu powiedział wyraźnie: – Cóż to za pieprzony, rekrucki wyczyn! – W pięć minut później przestał oddychać. Ludzie wrócili do linii. Dowodził teraz Milly, jako najstarszy obecny tam podoficer.

Stein obserwował z wierzchu trzeciej fałdy to niemądre, małe japońskie przeciwnatarcie. Siedmiu Japończyków ukazało się zza ogromnego wysadu skalnego, już biegnąc i już za blisko Amerykanów, aby Stein odważył się kazać strzelać swemu jednemu cekaemowi.

Przeciwnatarcie było i tak skazane na niepowodzenie. Co im kazało to zrobić? Jeżeli chcieli rzucić pluton Steina ze zbocza, dlaczego nie uderzyli większymi siłami? Dlaczego tylko siedmiu? I dlaczego szli przez otwarty teren? Mogli się prześliznąć przez trawy aż do Kecka i rzucić granaty z bliska. Czy tych siedmiu zrobiło to na własną rękę, bez rozkazu? Czy też byli to jacyś zwariowani religijni ochotnicy, którzy pragnęli osiągnąć nirwanę, czy jak tam się to u nich nazywało? Stein nie mógł ich zrozumieć i nie rozumiał nigdy. Ten ich niewiarygodnie delikatny rytuał podawania herbaty, ich cudownie subtelne malarstwo i poezja, ich niebywale okrutne, sadystyczne ścinanie głów i tortury. Stein był spokojnym człowiekiem. Napawali go strachem. Kiedy ogień karabinowy plutonu wykończył tych siedmiu z taką łatwością, Stein oczekiwał drugiego, większego ataku, lecz wiedział jakoś intuicyjnie, że nie nastąpi, i miał rację.

Stein nie przypuszczał, żeby ktokolwiek został ranny w tym małym natarciu, więc zdziwił się, gdy żołnierze skupili się wokół jednej postaci leżącej na ziemi. Byli na stoku nieco powyżej niego i z tej odległości – przeszło dwustu jardów – nie mógł rozpoznać, kto to taki. Mając rozpaczliwą nadzieję, że nie Keck, zawołał do Banda, żeby mu oddał lornetkę, po czym nastawił ją na ostrość i stwierdził, że to on. Prawie zaraz kula karabinowa świsnęła ledwie o parę cali od jego głowy. Zaskoczony, z rozszerzonymi oczyma przypadł do ziemi i dwa razy przetoczył się w lewo. Zapomniał osłonić szkła, które błyszcząły. Tym razem ocienił je dłońmi, sprawdził, że zabitym

**jest Keck, a potem, zauważył że sierżant Beck patrzy na niego – czy w jego stronę – i daje ręką stary wojskowy sygnał „Do mnie! Czyżby chciał posiłków? Trzydzieści pięć jardów za Steinem wybuchł następny granat z moździerza i ktoś krzyknął. Stein szybko pochylił się znowu.**



Wysiłek, wyczerpanie nerwowe i strach wykańczały Steina. Kiedy spojrzął na zegarek, nie mógł uwierzyć, że jest po – pierwszej. Nagłe chwycił go wilczy głód. Odłożył lornetkę, wyjął tabliczkę czekolady z racji polowej i próbował ją pogryźć, ale nie mógł, bo tak mu zaschło w ustach na skutek braku wody. Wypluł prawie wszystko.

Kiedy znów spojrzął przez lornetkę, Beck powtarzał ręką swój sygnał. Potem przestał i obrócił się na powrót do progu. Stein zaklął.

Jego małe trzydrużynowe natarcie zawiodło, ugrzęzło. Nie było tam nawet w przybliżeniu dość ludzi. Stein poważnie powątpiewał, czy w ogóle miał ich tylu. Dopiero co widział na lewym grzbiecie dwa pełne plutony z kompanii B wracające biegiem z nieudanego natarcia na Kręgielnię, mającego na celu próbę oskrzydlenia prawego trawiastego grzbietu. A Beck chciał posiłków!

Cały ten pieprzony, cholerny grzbiet był jednym olbrzymim plastrem pszczelim stanowisk ogniowych. Była to prawdziwa forteca.

Stein szybko się zbliżał do otchłani całkowitego wyczerpania umysłowego. Trudno udawać przed ludźmi nieulękiego, gdy się jest pełnym strachu. A Beck chciał posiłków!

Stein leżąc obserwował ze łzami w oczach Kecka prowadzącego swe trzy żałosne, małe drużyny na ten cholerny grzbiet. Obok leżał Band i patrzył chciwie przez lornetkę, uśmiechając się twardo. Natomiast Steina dławiły łzy tak obfite, że wszystko mu się zamazało i musiał szybko otrzeć oczy. Osobiście policzył

wszystkich dwunastu, którzy padli. To byli jego ludzie i nie dopełnił swojej odpowiedzialności za każdego, który poległ. A teraz żądano, żeby posłał ich więcej.

Ano, mógł dać dwie pozostałe drużyny 2 plutonu. Ściągnąć je i umieścić 3 pluton odwodowy na szczycie, by ich osłaniał ogniem. To mogło się powieść. Ale przedtem zamierzał porozmawiać z pułkownikiem Tallem i uzyskać jego opinię i zgodę. Stein po prostu nie chciał sam jeden brać na siebie tej odpowiedzialności. Przekręcił się i skinął na kaprała Fife'a, żeby mu podał telefon. Boże, ależ był zmordowany! W tej właśnie chwili usłyszał dolatujące z małej dolinki pierwsze cienkie, piskliwe wrzaski.

Wydawały się obłąkańcze. To, czego im brakowało w natężeniu, a brakowało wiele, nadrabiały aż nadto swoją przenikliwością i przeciągłością. Odzywały się seriami, każda po pełne pięć sekund; w sumie trwało to trzydzieści sekund. A potem zaległa cisza pod zawieszonym wysoko, rozedrganym hukiem.

–O Jezu! – powiedział Stein żarliwie. Spojrzał na Banda i spostrzegł, że ten też patrzy na niego z napięciem, rozszerzonymi oczami.

–Rany boskie! – powiedział Band.

Z dołu znów doleciała seria cienkich, przenikliwych wrzasków. Nie były to krzyki.

Stein z łatwością wypatrzył tego człowieka przez lornetkę, która mu go bardzo przybliżyła, zanadto nawet. Leżał prawie u podnóża zbocza, o siedemdziesiąt pięć czy osiemdziesiąt jardów, niedaleko Catta z Missisipi, który – jak było widać przez

lornetkę – nie żył. Teraz ów człowiek usiłował przyczołgać się z powrotem. Został trafiony prosto w pachwinę serią z ciężkiego karabinu maszynowego, która rozerwała mu cały brzuch. Leżąc na plecach, głową ku górze, z obiema rękami przyciśniętymi do brzucha, aby przytrzymać wnętrzności, posuwał się pod górę cal po calu, odpychając się nogami.

Stein widział przez lornetkę pokryte niebieskimi żyłkami pętle wnętrzności, które wylewały się spomiędzy okrwawionych palców. „Cal po calu” nie było właściwym określeniem, bo Stein oceniał, że posuwa się o niespełna pół cala za każdym razem. Stracił hełm i z głową odrzuconą do tyłu, z szeroko otwartymi ustami i oczyma, wpatrywał się prosto w Steina niczym w jakąś Ziemię Obiecaną. Nagle zatrzymał się, złożył głowę płasko na ziemi, zamknął oczy i znowu wydał z siebie serię wrzasków. Do uszu Steina doleciały niewyraźnie, dokładnie w tej samej kolejności co przedtem. A potem, odpocząwszy sekundę, człowiek ów przełknął ślinę i wykrzyknął coś innego.

–Na pomoc! Na pomoc! – usłyszał Stein. Poczuł zawrót głowy i ucisk w okolicach przepony, odjął lornetkę od oczu i wręczył ją Bandowi.

–To Tella – powiedział.

Band patrzył długo. Potem też opuścił lornetkę. Kiedy spojrzął na Steina, jego oczy miały jakiś płaski, przestraszony wyraz.

–Co zrobimy? – zapytał.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Stein poczuł, że coś dotknęło jego nogi. Krzyknął i poderwał się, a strach przeleciał

mu przez ciało jak rtęć. Okręciwszy się zobaczył przerażone oczy kaprala Fife'a, który podawał mu telefon. Zbyt zdenerwowany, żeby się zawstydzić czy rozgniewać, Stein niecierpliwie machnął do niego ręką. – Nie teraz. Nie teraz. – Zaczął wołać sanitariuszy, z których jeden już był w drodze. Z dołu doleciała znowu obłąkańcza seria wrzasków, identyczna, niezmienna.

Stein i Band nie byli jedynymi, którzy je słyszeli. Usłyszała je cała reszta 2 plutonu, leżąca za grzebieniem fałdy. Tak samo ów sanitariusz, który biegł teraz zgięty po zboczu ku Steinowi. Tak samo Fife.

Kiedy dowódca odsunął go z telefonem, Fife przypadł do ziemi i rozpląszczył się, najbardziej jak mógł. Pociski z moździerzy nadlatywały wciąż mniej więcej co minutę; czasem można było dosłyszeć ich trzepotliwy szum na dwie sekundy przed wybuchem i Fife był nimi kompletnie sterroryzowany. Utracił zdolność rozsądnego myślenia i stał się kawałkiem bezwładnej protoplazmy, która mogła się poruszyć, lecz tylko przy zastosowaniu odpowiednich bodźców. Od chwili, gdy postanowił, że będzie robił tylko to, co mu każą, dokładnie to i nic więcej, leżał dokładnie tam, gdzie był, zanim Stein zawołał o telefon.

A teraz leżał dokładnie tam, gdzie przypadł, i czekał, aż mu każą zrobić coś innego. To go niezbyt pokrzepiało, ale nie miał ochoty widzieć ani robić nic więcej. O ile jego ciało nie funkcjonowało dobrze, to umysł pracował, i Fife zdawał sobie sprawę, że ogromna Większość kompanii reaguje tak samo jak on. Ale byli i tacy, którzy z tej czy innej przyczyny wstawali, chodzili i proponowali, że zrobią coś bez nakazu. Fife to wiedział, ponieważ na nich patrzył – inaczej by nie uwierzył. Jego reakcją była głęboka, pełna respektu cześć dla bohaterstwa, składająca

się mniej więcej w dwóch trzecich ze żrącej nienawiści i wstydu. Jednakże kiedy próbował przymusić własne ciało do powstania i chodzenia, po prostu nie mógł się na to zdobyć. Rad był, że jest kancelistą, który ma za zadanie obsługiwać telefon, a nie podoficerem w drużynie tam, razem z Keckiem, Beckiem, McCronem i innymi, lecz wolałby być kancelistą w dowództwie batalionu na Wzgórzu 209, jeszcze bardziej w dowództwie pułku, daleko w gajach kokosowych, ale najbardziej w dowództwie wojsk lądowych w Australii czy w Stanach Zjednoczonych. Tuż nad sobą, na stoku, słyszał Steina rozmawiającego z sanitariuszem i wychwycił słowa: „brzuch ma rozerwany”: A potem słowo: Tella. Więc to Tella tak wył. Była to pierwsza konkretna wiadomość, jaką Fife usłyszał o kimkolwiek od czasu śmierci dwóch oficerów i Grove'a. Osłabły, przycisnął twarz do ziemi, podczas gdy Stein i sanitariusz podsunęli się o kilka stóp, aby popatrzeć raz jeszcze. Tella był jego kumplem, przynajmniej przez pewien czas. Zbudowany jak grecki bóg, niezbyt rozgarnięty, był najmilszym z ludzi mimo swoich niechlubnych wyczynów w Cambridge. A teraz Tellę naprawdę spotkał ten los, o którym Fife przez całe rano rozmyślał, że jemu samemu przypadnie w udziale. Fife'owi zrobiło się niedobrze. To było takie inne niż w książkach, które czytał, o tyle bardziej ostateczne. Powoli, wystraszony, że podnosi głowę tak wysoko, oderwał ją odrobinę od ziemi, by zerknąć zbolętymi, przeszytymi strachem oczyma na dwóch ludzi z lornetką.

Nadal rozmawiali ze sobą.

–Widzicie dobrze? – zapytał Stein niespokojnie.

–Tak jest. Wystarczająco – odrzekł sanitariusz. Był to ten starszy, wyglądający bardziej uczenie. Oddał lornetkę Steinowi i

nałożył z powrotem okulary. – Jemu już nikt nie może pomóc. Umrze, zanim go się dostawi do chirurga. I ma całe wnętrzności uwalane ziemią. Nawet sulfa tego nie załatwi. W tej dżungli?

Nastąpiło milczenie, zanim Stein odezwał się znowu.

–Jak długo?

–Dwie godziny? Może cztery? Może tylko jedna albo mniej.

–Cholera jasna, człowieku! – wybuchnął Stein. – Żaden z nas nie może tego znosić tak długo! – Przerwał. – Nie mówiąc już o nim! A nie mogę wam kazać tam iść.

Sanitariusz popatrzał na przedpole. Kilkakrotnie mrugnął oczyma za okularami.

–Może warto spróbować.

–Przecież sami mówiliście, że nikt mu nie może pomóc.

–Mógłbym przynajmniej dać mu zastrzyk morfiny.

–A jeden wystarczy? – zapytał Stein. – Rozumiecie, żeby się uspokoił.

Sanitariusz potrząsnął głową.

–Nie na długo. – Przerwał. – Ale mógłbym mu dać dwa. I zostawić jeszcze ze trzy czy cztery.

–Może ich sobie nie zrobi. Jest w delirium. Nie moglibyście po prostu jakoś dać mu wszystkich od razu? – zapytał Stein.

Sanitariusz obrócił się i spojrzał na niego.

–To by go zabiło, panie kapitanie, – A – odrzekł Stein.

–Nie mógłbym tego zrobić. Naprawdę bym nie mógł.

–Okej – powiedział Stein ponuro. – No, chcecie popróbować?

Z dołu doleciały do nich przeciągłe, nie zmienione serie wrzasków, dziwnie mechanicznych krzyków człowieka, o którym mówili, precyzyjnych, nieugiętych, szalonych, pod koniec trochę drżących tym razem.

–Boże, mam nadzieję, że nie zacznie płakać – powiedział Stein.

–Niech to szlag trafi! – wrzasnął zaciskając pięść. – Moja kompania całkiem utraci ducha bojowego, jeżeli czegoś z nim nie zrobimy.

–Pójdę, panie kapitanie – powiedział uroczyście sanitariusz odpowiadając na poprzednie pytanie. – Bądź co bądź to jest mój obowiązek. I ostatecznie warto spróbować, no nie? – dodał wskazując znacząco głową miejsce, z którego wycie przestało teraz dolatywać.

–Żeby to przerwać.

–Boże – odrzekł Stein. – Sam nie wiem.

–Idę na ochotnika. Już tam przedtem byłem. Nie trafią mnie, panie kapitanie.

–Ale byliście po lewej. Tam nie jest tak źle.

–Idę na ochotnika – powtórzył sanitariusz łypiąc posępnie na kapitana, Stein odczekał parę sekund, zanim zapytał:

–Kiedy chcecie iść?

–Każdej chwili – odrzekł sanitariusz. – Zaraz. – Zaczął się podnosić.

Stein powstrzymał go ręką.

–Nie, poczekajcie. Przynajmniej mogę wam dać ogień osłaniający.

–Wolałbym pójść zaraz, panie kapitanie. I skończyć z tym.

Leżeli obok siebie, ich hełmy prawie się stykały, gdy rozmawiali, i teraz Stein obrócił głowę, by spojrzeć na chłopaka. Mimo woli zastanowił się, czy nie wmówił mu tego ochotniczego zgłoszenia. Może tak było. Westchnął.

–Dobra. Idźcie.

Sanitariusz kiwnął głową patrząc tym razem prosto przed siebie, po czym poderwał się i zniknął za wierzchem fałdy.

Wszystko skończyło się, niemal zanim zaczęło. Biegając niczym jakieś chybkie leśne zwierzę, z podskakującą parcianą torbą sanitarną, dopadł do Telli, okręcił się nad nim i przyklęknął, już szperając w torbie, gdzie miał strzykawki. Zanim zdążył zdjąć z igły nasadkę ochronną, jeden karabin maszynowy, jeden jedyny karabin maszynowy, otworzył ogień z grzbietu szyjąc kulami po terenie: Stein widział przez lornetkę, jak sanitariusz poderwał się na nogi, zrozwartymi ustami i oczyma, twarzą obwisłą nie tyle z



niedowierzania czy wstrząsu, co ze zwykłego, prostego fizjologicznego zaskoczenia. Jeden z przedmiotów, które go ugodziły, nie natrafiwszy na kość, przebił mu pierś, wywalił na wierzch zielony materiał razem z guzikiem i pozostawił otwór w bluzie. Stein widział przez lornetkę, jak sanitariusz, czy to świadomie, czy po prostu odruchowo, wbił obnażoną już igłę we własne przedramię, poniżej podwiniętego rękawa. A potem padł na twarz przygniatając sobą strzykawkę i obie ręce. Nie poruszył się więcej.

Stein czekał z lornetką wciąż skierowaną na niego. Nie mógł się oprzeć uczuciu, że powinno nastąpić coś ważniejszego, od czego zakołysze się ziemia. Przed paru sekundami ten człowiek żył i Stein z nim rozmawiał, a teraz był martwy. Po prostu. Ale zanim Stein zdołał pomyśleć coś więcej, uwagę jego odciągnęły dwie rzeczy. Jedną był Tella, który zaczął teraz wyc cienkim, drżącym, bełkotliwym, histerycznym falsetem, zupełnie odmiennym od poprzedniego krzyku.

Spojrząwszy na niego przez lornetkę – prawie zupełnie o nim zapomniał wpatrując się w sanitariusza – Stein zobaczył, że przewalił się na bok twarzą do ziemi. Najwidoczniej został znowu trafiony i podczas gdy jedna okrwawiona ręka usiłowała przytrzymać wnętrzności, druga wymacywała nową ranę w piersi. Stein pożałował, że go przynajmniej nie zabili, jeżeli mieli doń strzelać znowu. To wycie, które przerywał tylko na chwilę, aby ze szlochaniem nabrać tchu, było dla wszystkich nieskończenie gorsze, zarówno przez swoją przenikliwość jak długotrwałość. Ale tamci już nie strzelali. I jakby na dowód, że jest to rozmyślane, nikły, daleki głos zawołał kilka razy orientalnym akcentem:

–Ksyc, Jank, ksyc! Wzesc, Jank, wzesc!

Drugą rzeczą, która zwróciła uwagę Steina, było coś, co dostrzegł w lornetce kątem oka, gdy leżał patrząc na Tellę i zastanawiał się, co robić. Z traw na prawym grzbiecie wynurzyła się jakaś postać, która pobrnęła przez płaską przestrzeń i zaczęła się wspinać na przedni stok fałdy. Skierowawszy tam lornetkę, Stein zobaczył, że jest to sierżant McCron, że załamuje ręce i płacze. Na jego brudnej twarzy dwa szerokie, białe pasma czystej skóry biegły od oczu do brody uwydatniając oczy na podobieństwo przerażającej charakteryzacji aktora tragicznego w jakimś greckim dramacie. I tak szedł dalej, a za nim japońskie cekaemy oraz broń ręczna strzelały z całego grzbietu wzbijając wszędzie dokoła kłębki ziemi. Szedł dalej, przygarbiony, z wykrzywioną twarzą, załamując ręce, wyglądając bardziej jak stara kobieta czuwająca przy zwłokach niż jak frontowy żołnierz piechoty, i ani nie przyspieszał kroku, ani się nie pochylał. Stein, w jakiejś niedowierzającej furii, obserwował go jak przymurowany do lornetki.

Nic go nie tknęło. Kiedy dotarł na fałdę, siadł koło swego kapitana wciąż załamując ręce i płacząc.

– Nie żyją – powiedział. – Wszyscy nie żyją, kapitanie. Co do jednego. Tylko ja zostałem. Wszystkich dwunastu. Dwunastu młodych ludzi. Opiekowałem się nimi. Uczyłem ich wszystkiego, com sam wiedział. Pomagałem im. Nic z tego nie wyszło. Nie żyją.

Oczywiście mówił tylko o swojej drużynie liczącej dwunastu ludzi, a Stein wiedział, że nie mogli zginąć wszyscy.

Ponieważ wciąż siedział na otwartym obok leżącego kapitana, ktoś chwycił go od dołu za kostkę i ściągnął za grzbiet fałdy. Dla

kaprala Fife'a, który widział, jak Sico odchodził wymiotując, i który teraz wpatrywał się wystraszonymi oczami w McCrona, było w jego twarzy coś może nie chytrego, ale wydającego się mówić, że chociaż to, co powiedział, było prawdą, nie było całą prawdą, i Fife pomyślał, że podobnie jak Sico, McCron też znalazł sobie rozsądną wymówkę. Nie rozgniewało to Fife'a. Przeciwnie, poczuł zazdrość i zapragnął też znaleźć sobie taki mechanizm, którego mógłby użyć z powodzeniem.

Stein najwidoczniej także wyczuwał poniekąd to samo. Zerknąwszy jeszcze tylko raz na załamującego ręce, ciągle zapłakanego, ale już bezpiecznego McCrona, odwrócił się i zawołał sanitariusza.

–Jestem, panie kapitanie – odezwał się tuż poniżej niego młodszy sanitariusz. Przyszedł tu z własnej inicjatywy.

–Odprowadźcie go na tyły. Zostańcie przy nim. A jak tam dojdziecie, powiedzcie, że potrzebujemy teraz innego sanitariusza. Co najmniej jednego.

–Tak jest – odrzekł uroczyście chłopak. – Chodź, kolego. O właśnie. Chodź, chłopie. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

–Nie rozumiesz, że oni nie żyją – odparł z powagą McCron. – Jak może być dobrze?

Jednakże pozwolił odprowadzić się pod rękę. Kompania C – jak – Charlie widziała go po raz ostatni, kiedy razem z sanitariuszem opuszczał się za drugą fałdę, o siedemdziesiąt pięć do stu jardów w tyle. Niektórzy mieli później zobaczyć jego udręczoną

twarz w dywizyjnym szpitalu, ale kompania jako całość nie widziała go więcej.

Stein westchnął. Po zażegnaniu i rozładowaniu tego najnowszego kryzysu mógł znowu poświęcić uwagę Telli. Włoch ciągle krzychał przeszywająco, jękliwie i nic nie wskazywało, żeby miał się wyczerpać. Gdyby to trwało dalej, musiałyby zastraszyć wszystkich.

Przez krótką sekundę Stein miał posępną, romantyczną wizję samego siebie chwytającego karabin, by strzelić konającemu w głowę.

Widywał to na filmach i czytał w książkach. Ale ta wizja zagasta, nie spełniona. Nie był takim typem i wiedział o tym. Za nim żołnierze z jego plutonu odwodowego, z policzkami przyciśniętymi do ziemi, wpatrywali się w niego, a ich napięte, otępiałe, brudne twarze tworzyły długą linię udręczonych, biało łyskających oczu. Wycie zdawało się rozszczepiać powietrze niby ogromna piła tarczowa rozrzynająca olbrzymie kłocę dębowe, rozcinająca na kawałki stosy pacierzowe. Ale Stein nie wiedział, co robić. Nie mógł tam posłać następnego człowieka. Musiał dać za wygraną. Porwała go pałaca, pełna niedowierzania i oburzenia furia na myśl o McCronie brnącym niespiesznie przez cały ten ogień bez najmniejszego draśnięcia. Skinął wściekle na Fife'a, żeby mu podał telefon, chcąc dokończyć rozmowy z pułkownikiem Tallem, którą przerwały pierwsze krzyki Telli. I właśnie w chwili, gdy ściągał wargi, by gwizdnąć, jakiś duży, zielonkawy twór natury, zielonkawy głaz z małym metalicznym kamieniem na czubku, wychynał po jego prawej miotając się i rycząc.

Wziąwszy ziemskie sprawy w swoje ręce przesadził wierzchołek fałdy bełkocząc gardłowe przekleństwa, zanim Stein zdążył wykrzyknąć jedno słowo: „Welsh!”. Starszy sierżant już pędził pełnym galopem w zagłębienie.

Welsh widział wszystko przed sobą z osobliwą, wyraźną, wściekle kryształową jasnością: kamienisty, porośnięty rzadką trawą stok, dziurawiony pociskami z moździerzy i karabinów, gorące, jaskrawe światło słoneczne, głębokie szafirowe niebo, niewiarygodnie białe obłoki nad spiętrzoną podkrową Głowy Słonia i żółtą pustkę grzbietu wznoszącego się przed nim. Nie wiedział, co mu kazało to robić ani dlaczego. Był po prostu rozjuszony żrącą, czarną zajadłą nienawiścią, nienawiścią do wszystkiego i wszystkich na tym całym pieprzonym, zasranym świecie. Nie czuł nic. Biegł na nic nie pomny. Patrzył z zaciekawieniem i obojętnością, bez poczucia – uczestniczenia, na kłębki kurzu, które zaczęły wytryskiwać wokół niego. Wściekły, wściekły. Na zboczu leżały trzy ciała, dwa martwe, jedno żywe i wciąż wrzeszczące. Tella po prostu musiał przerwać te wrzaski, to było pozbawione godności. Wszędzie dokoła wytryskiwała teraz ziemia. Łoskot, który przez cały dzień wisiał w powietrzu na różnych poziomach, teraz zniżył się prawie do ziemi i był wymierzony osobiście, wyraźnie w niego. Welsh biegł powściągając chęć chichotania. Ogarnęła go dziwna ekstaza. Był celem, wyłącznym celem. Nareszcie wszystko działo się na otwartej przestrzeni. Nareszcie wyszła na jaw prawda. Znał ją zawsze. Rycząc raz po raz co tchu w piersiach: „Pierdolę was!” do całego świata, Welsh pędził radośnie dalej. Złapcie mnie, jeśli potraficie! Złapcie mnie, jeśli potraficie!

Biegł w dół zakreślając fachowo zygzaki. Jeżeli taki pieprzony

bałwan jak McCron potrafił po prostu wynieść się stąd, to człowiek naprawdę bystry, rozumny, jak on, mógł zejść i wrócić. Jednakże kiedy zwałił się na brzuch przy okaleczonym młodym Włochu, uświadomił sobie, że nie miał żadnych planów, co robić, kiedy tu dotrze. Nagle go zatkąło i poczuł się zagubiony. A kiedy spojrzał na Tellę, ogarnęło go pełne zakłopotania współczucie. Delikatnie, wciąż zakłopotany, dotknął jego ramienia.

–No jak tam, chłopaku? – zapytał bezmyślnie.

W połowie krzyku Tella potoczył oczami, jak oszalały koń, dopóki nie dojrzał, kto to. Nie przerwał krzyku.

–Musisz się uspokoić – zawołał Welsh patrząc na niego ponuro.

–Przyszedłem ci pomóc.

Dla Welsha nie było to rzeczywiste. Tella konał, może było to rzeczywiste dla niego, ale dla Welsha nie; te niebiesko pożyłkowane wnętrzności, muchy, zakrwawione ręce, krew wyciekająca powoli z nowej rany w piersi, kiedy oddychał – wszystko to dla Welsha nie było bardziej rzeczywiste niż film. On był Johnem Wayne. a Tella – Johnem Agarem.

Wreszcie krzyk ustał sam, z braku tchu, i Tella odetchnął, wskutek czego krew znowu wypłynęła z dziury w jego piersi. Kiedy przemówił, było to tylko o parę decybeli cichsze od krzyku.

–Odpierdol się! – wyjęczał. – Ja umieram! Umieram, sierżancie! Popatrz na mnie! Jestem cały rozerwany! Odejdź ode mnie!

Umieram!

Znowu odetchnął wyciskając świeżą krew z piersi.

–Okej! – krzyknął Welsh – ale rób to z mniejszym hałasem, do jasnej cholery!

Zaczynał teraz przymrużać oczy i ciarki przebiegały mu po plecach, ilekroć kula wzbijała ziemię.

–Jak chcesz mi pomóc?

–Zabiorę cię stąd.

–Nie możesz mnie zabrać! Chcesz mi pomóc, kurwa, to mnie dostrzel! – wrzasnął Tella tocząc rozszerzonymi oczami.

–Chyba coś ci odbiło! – krzyknął Welsh poprzez huk. – Wiesz że nie mogę tego zrobić.

–Jasne, że możesz! Masz pistolet! Wyjmij go, kurwa! Chcesz mi pomóc, to mnie zastrzel i skończ z tym! Nie mogę wytrzymać! Boję się!

–Bardzo cię boli?

–Pewnie, że boli, ty głupi baranie! – wrzasnął Tella. Potem przerwał, aby odetchnąć znów krwawiąc, i przełknął ślinę zamknawszy oczy. – Nie możesz mnie stąd zabrać.

–Zobaczymy – odparł ponuro Welsh. – Tylko się trzymaj starego Welsha. Zaufaj staremu Welshowi. Czy cię kiedy wykiwałem?

Był teraz świadom – wiedział – że nie może pozostać tu wiele dłużej. Już się kulił, miotał i wstrząsał niepoohamowanie pod

ogniem.

Przykurczony, poskoczył do głowy Telli, schwycił go pod pachy i dźwignął. Poczuł, że ciało się rozciąga, jeszcze nim Tella wrzasnął.

–Aaaa! – Krzyk był straszliwy. – Zabijasz mnie! Rozrywasz!

Położ mnie, cholero! Położ mnie!

Welsh puścił go szybko, po prostu odruchowo. Za szybko. Tella opadł charcząc:

–Ty draniu! Ty draniu! Zostaw mnie! Nie dotykaj!

–Przestań się drzeć! – krzyknął Welsh czując się – przepastnie głupio. – Nie masz żadnej godności!

Mrugając oczyma, z nerkami roztrzepotanymi jak frędzle na silnym wietrze i grożącymi odmówieniem mu posłuszeństwa, podsunął się ponuro do boku Telli.

–Dobra, zrobimy to tak.

Wsadził mu jedną rękę pod kolana, a drugą pod pachy i dźwignął.

Tella nie był drobny, ale Welsh masywniejszy i w owej chwili obdarzony nadludzką siłą. Jednakże kiedy go podniósł, by popробować ponieść jak dziecko, ciało Telli złożyło się prawie we dwoje, niby zamykany scyzoryk. I znowu rozległ się ten straszliwy ryk.



–Aaaa! Połóż mnie! Połóż! Przełamujesz mnie na pół! Połóż mnie!

Tym razem Welsh zdołał położyć go powoli.

Łkając Tella leżał i wymyślał mu.

–Ty draniu! Ty pierdoło! Ty bucu! Mówiłem ci, żebyś mnie nie ruszał! Nie prosiłem cię, żebyś tu przylazł! Ty gównojadzie! Odwal się ode mnie! – I odwróciwszy głowę i zamknąwszy oczy znów zaczął wydawać z siebie to rozpaczliwe, zawodzące, przeszywające wycie.

O pięć jardów powyżej nich na stoku powoli przefastrygowała z lewa na prawo linia kul cekaemowych. Welsh akurat tam patrzył i zobaczył to. Nawet nie zadał sobie trudu pomyśleć, że celowniczemu wystarczyło obniżyć ogień o jeden stopień. Myślał tylko o tym, żeby się stąd wydostać. Ale jak? Przeszedł całą drogę aż tutaj. I nie uratował Telli ani go nie uciszył. Nic. Tyle że spowodował większy ból.

Ból. Pod wpływem nagłego, rozpaczliwego natchnienia przeskoczył przez leżącego Tellę i zaczął grzebać w torbie zabitego sanitariusza.

–Masz! – ryknął. – Tella, weź to! Tella!

Tella przestał krzyczeć i otworzył oczy. Welsh rzucił mu dwie strzykawki z morfiną, które znalazł, i zabrał się do drugiej torby.

Tella wziął strzykawkę. – Więcej; – krzyknął, kiedy zobaczył, co to jest. – Więcej! Daj mi więcej! Więcej!

–Trzymaj – zawołał Welsh i rzuciłmu podwójną garść, którą znalazł w drugiej torbie, po czym obrócił się, by odbiec.

Jednakże coś go zatrzymało. Przygięty jak sprinter przed startem, obrócił głowę i spojrzał na Tellę raz jeszcze. Ten, już odkręcając nakładkę z jednej ze strzykawk, patrzył na niego, oczy miał rozszerzone i białe. Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

–Cześć! – zawołał Tella. – Cześć, Welsh!

–Cześć, chłopcze! – odkrzyknął Welsh. Nie przyszło mu nic innego do głowy. Zresztą tylko tyle zdążył powiedzieć, bo już się rzucił biegiem. I nie oglądał się, by sprawdzić, czy Tella wziął zastrzyki. Jednakże kiedy później po południu zdołano bezpiecznie dotrzeć do niego, znaleziono dziesięć pustych strzykawk od morfiny rozrzuconych dokoła. Jedenasta tkwiła w jego przedramieniu. Wstrzyknął je sobie jedna po drugiej i na jego martwej twarzy malował się wyraz przynajmniej częściowej ulgi.

Welsh ruszył pochyliwszy głowę, nie zadając sobie trudu, żeby biec zygzakami. Myślał, że teraz go trafią. Po tym wszystkim, po zbiegnięciu w dół i pozostaniu tam tak długo, musieli go dorwać teraz; gdy wracał. Taki był jego los, jego szczęście. Wiedział, że teraz go rąbną.

Ale tak się nie stało. Biegł, biegł, a potem przewalił się na łeb, na szyję przez wierzch fałdy i legł na wpół nieżywy z wyczerpania. Za zamkniętymi oczami wciąż widział oszalałą twarz i wywalone, sine wnętrze Telli. Dlaczego, na imię głupiego, drańskiego Boga, w ogóle to zrobił? Chwytając oddech z głośnym sapaniem,

dał sobie uroczystą, nie wypowiedzianą obietnicę, że nigdy więcej nie dopuści, by jego pieprzone, poplątane uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem.

Ale gdy Ciota Stein podczołgał się, aby poklepać go po ramieniu pogratulować i podziękować, Welshowi naprawdę odbiło.

–Sierżancie, widziałem wszystko przez lornetkę – usłyszał, czując przyjazną dłoń na ramieniu. – Chcę, żeby pan wiedział, że jutro wymienię pana w rozkazie. Przedstawiam pana do Srebrnej Gwiazdy.

Mogę tylko powiedzieć, że...

Welsh otworzył oczy i ujrzał przed sobą zatroskaną żydowską twarz swojego dowódcy. Wyraz oczu Welsha widocznie zaskoczył Steina, bo nie dokończył zdania.

–Kapitanie – powiedział Welsh z wolna, między jednym sapnięciem a drugim – jeżeli pan powie jedno słowo, żeby mi podziękować, dam panu prosto w nos. W tej chwili, tutaj. A jeżeli pan mnie wymieni w swoim pierdolonym rozkazie, zrzeknę się mojego stopnia w dwie minuty potem i niech pan sam sobie dowodzi tym rozpieprzonym, cholernym oddziałem. Choćbym miał iść do pierdła. Więc niech mi pan pomoże, do cholery.

Zamknął oczy. A potem, po namyśle, odwrócił się od Steina, który nie powiedział nic. Po ponownym namyśle dźwignął się na czworaki i odczołgał w prawo, na osobność. Znowu zamknawszy oczy leżał w prześwietlnym słońcem półmroku, słuchał moździerzy, które nadal strzelały co kilka minut, i wyjękiwał wciąż jedyne zdanie, które zawierało dla niego istotę rzeczy: –

Własność! Własność! Wszystko dla pieprzonej własności! – Straszliwie chciało mu się pić, ale obie jego manierki były puste. Po chwili wydobył trzecią i wychylił jeden cenny łyk cennego dżinu, nie otwierając oczu.

Brak wody dawał się we znaki każdemu. Steinowi także chciało się pić, a jego manierki były tak samo puste jak Welsha. A dżinu Stein nie miał. Poza tym nadal musiał połączyć się z pułkownikiem Tallem w dowództwie batalionu. Nie była to przyjemna perspektywa, a reakcja Welsha, który przed chwilą tak się od niego odczołgał, nie dodawała mu specjalnie otuchy ani ufności. Powoli popętnął do Fife'a i telefonu. Rozumiał, że jego zwariowany starszy sierżant, obłąkany czy nie, chce być sam. Musiał być strasznie wstrząśnięty.

Przecież dopiero co pomógł okaleczonemu człowiekowi odebrać sobie życie. – Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, które mu groziło.

Jego reakcja była całkiem normalna. Ale mimo to, kiedy Welsh otworzył oczy, popatrzał tak i powiedział do niego to, co powiedział, Stein nie mógł się oprzeć przelotnemu uczuciu, że to dlatego, iż on, Stein, jest Żydem. Zdawało mu się, że już dawno przeszedł do porządku nad takimi rzeczami. Całe lata temu. Wewnętrznie uśmiechnął się ponuro. Z powodu tego, co przed chwilą pomyślał, a także tego, o czym pomyślał z kolei: o tym pieprzonym, irytującym, bezczelnym Anglosasie Tallu, z jego przystrzyżoną blond głową, młodo – starą, chłopięcą twarzą i wysoką, szczupłą, żołnierską sylwetką.

West Point, rocznik 28. Ilekroć obowiązki życia wojskowego zmuszały Steina do stykania się z tym władczym facetem,

zawsze był potem podwójnie świadom, że sam jest synem Jehowy, Żydem. Skinął na Fife'a, żeby mu podał telefon.

Kiedy wziął słuchawkę, doznał niezwykłego wrażenia, że jego ręka, całe jego ciało jest zbyt zmęczone, zbyt słabe, by podnieść do ucha prawie nic nie ważący, mały blaszany przyrząd. Zdumiony, czekał. Powoli ręka się podniosła. Już przedtem był wyczerpany, a sprawa śmierci Telli wypompuwała go bardziej, niż przypuszczał. Jak długo jeszcze mógł wytrwać? Jak długo jeszcze mógł patrzeć na swoich ludzi zabijanych w takich mękach i nie przestać w ogóle funkcjonować? Nagle, po raz pierwszy, zląkł się straszliwie, że może nie dać rady. Ten lęk, dołączony do już ciężkiego brzemienia zwykłego, fizycznego strachu o siebie, wydawał się prawie nie do udźwignięcia, ale wydobył z głębi niego jakąś odnowioną energię. Stein gwizdnął w mikrofon.

Wokoło niego, kiedy tak gwizdał i czekał, rozrzucone resztki obsługi dowództwa, przemieszane z garścią ludzi z drugiego i trzeciego plutonu, leżały tuląc się do ziemi i wpatrując się w niego rozszerzonymi oczyma, z tymi ściągniętymi, napiętymi twarzami, jak gdyby oczekując, że jakimś sposobem wyciągnie ich z tej matni, z tego draństwa, by mogli dalej żyć. Stein mógł się uśmiechnąć i uśmiechnął się widząc twarze Storma i jego kucharzy, które zdawały się wyraźnie mówić, że mają dosyć ochotniczego zgłaszania się do walki, że jeżeli kiedyś się stąd wydostaną, z całą pewnością nie zrobią tego nigdy więcej. Zresztą nie byli w tym osamotnieni. Sierżant – magazynier MacTac i jego Kancelista mieli taki sam wyraz twarzy.

Stein nie musiał długo czekać; niemal zanim skończył gwizdać, odezwano się na drugim końcu, i był to sam pułkownik Tall, nie

żaden telefonista. Rozmowa nie trwała długo, ale w jakimś sensie była jedną z najważniejszych w dotychczasowym życiu Steina. Owszem, Tall widział ten mały, trzydrużynowy atak i uważał go za udany.

Uchwycili, dobre oparcie. Ale zanim Stein zdążył powiedzieć coś więcej, pułkownik zapytał, czemu już nie posunął się dalej i tego nie wykorzystał? Co mu się stało? Tym ludziom należy natychmiast dać posiłki. A oni co robią? Tall widział ich przez lornetkę, leżących za tym progiem. Powinni byli już się ruszyć i zabrać do oczyszczania tych stanowisk.

–Myślę, że pan pułkownik nie zdaje sobie sprawy z tego, co się tu dzieje – powiedział Stein cierpliwie. – Dostajemy masę ognia.

Mieliśmy ciężkie straty. Chciałem od razu ich wesprzeć, ale wydarzyło się coś niedobrego. Jeden z naszych ludzi – nie zawahał się ani nie zakrztusił przy tym słowie, choć mu się na to zbierało – został wybebeszony na zboczu, co wytrąciło innych z równowagi. Ale to już jest załatwione i mam zamiar wesprzeć ich teraz. – Stein przełknął ślinę. – Odbiór.

–Świetnie – odezwał się suchy głos Talla, bez poprzedniego entuzjazmu. – Aha, a kto to był ten człowiek, który wybiegł na zbocze? Co on tam robił? Admirał – admirał Barr – widział go przez lornetkę; nie był pewien, ale zdawało mu się, że poszedł komuś pomóc. Czy tak było? Admirał chce tego człowieka przedstawić do czegoś. Odbiór.

Stein słuchał i nagle zachciało mu się histerycznie śmiać. Pomóc mu? Tak, rzeczywiście mu pomógł. Wyprawił go prosto na tamten świat.

– Tam poszło dwóch ludzi, panie pułkowniku – powiedział. – Jednym był nasz starszy sanitariusz. Został zabity. A drugim – mówił pamiętając o tym, co, jak teraz uważał, milcząco obiecał Welshowi – był jeden z szeregowców. Jeszcze nie wiem, który, ale to ustalę.

Odbiór. – (I pieprzę pana. I admirała).

Świetnie, świetnie, świetnie. A teraz Tall pytał, co z tymi posiłkami. Podczas gdy moździerze wciąż niezmiennie macały wokół i wzdłuż fałdy, Stein nadal przedstawiał swój mały plan podciągnięcia plutonu odwodowego na stok oraz posłania dwóch drużyn z 2 plutonu do tamtych trzech – raczej dwóch, po poniesionych stratach – które były na grzbiecie.

– Straciłem także Kecka, panie pułkowniku. Tam na zboczach. To był jeden z moich najlepszych ludzi – rzekł. – Odbiór.

Odpowiedź, jaką otrzymał, była niespodziewanym wybuchem oficjalnej furii. Dwie drużyny! Jak to, u – diabła, dwie drużyny? Kiedy Tall mówił o posiłkach, miał na myśli posiłki. Stein powinien tam rzucić wszystkich ludzi, jakich ma, i to zaraz. Powinien był zrobić to wcześniej, zaraz po uchwyceniu oparcia. To znaczy wprowadzić do walki pluton odwodowy i wszystko. A co z jego pierwszym plutonem?

Siedzą tam na swoich tłustych dupach i nic nie robią. Stein powinien ich skierować po skrzydle na ten grzbiet, powinien natychmiast posłać do nich gońca z rozkazem atakowania – atakowania od lewej strony grzbietu. Posłać swój pluton odwodowy do natarcia z prawej. Zostawić drugi pluton na miejscu, żeby trzymał i naciskał środek. Okrążenie.

–Czy mam panu udzielać najprostszej lekcji z taktyki piechoty, podczas gdy pańskim ludziom odstrzeliwują tyłki, Stein? – ryczał Tall. – Odbiór!

Stein przełknął swój gniew.

–Wydaje mi się, że pan nie w pełni rozumie, co tu się dzieje, pułkowniku – powiedział siląc się na spokój. – Już straciliśmy dwóch zabitych oficerów i masę ludzi. Nie sądzę, żeby moja kompania mogła sama jedna wziąć tę pozycję. Tamci są za dobrze okopani i mają za dużą siłę ognia. Składam formalną prośbę, i mam na to świadków, o pozwolenie wysłania patrolu rozpoznawczego na prawo od Wzgórza 210, przez dżunglę. Uważam, że całą pozycję można oskrzydlić przez manewr wykonany znacznymi siłami. – Ale czy naprawdę w to wierzył? Czy tylko chwycił się nitki? Miał przeczucie, to prawda.

Miał rzeczywiście przeczucie, ale to wszystko. Przez cały dzień nie było stąd ognia. Ale czy to wystarczało? – Odbiór – powiedział usiłując zmobilizować całą swą godność, po czym przymrużył oczy i rozpląszczył się na ziemi, kiedy pocisk z moździerza wybuchnął o dziesięć jardów na grzebieniu fałdy, i ktoś krzyknął.

–NIE! – wrzasnął Tall, tak jakby czekał zżymając się i drepcząc z niecierpliwości, aż będzie mógł nacisnąć swój guzik i powiedzieć swoje w ten piekielny, jednostronny telefon. – Nie, mówię panu!

Chcę podwójnego okrążenia! Rozkazuję panu atakować, i to zaraz, wszystkimi ludźmi, jakich pan ma do dyspozycji! Posyłam tam kompanię B na lewo od pana! A teraz **ATAKOWAĆ**, Stein! To rozkaz!



–Przerwał dla nabrania tchu. – Odbiór!

Stein, ze zdumieniem i drętym niedowierzaniem usłyszał samego siebie mówiącego o „formalnej prośbie” i posiadaniu „świadków”.

W gruncie rzeczy nie zamierzał posunąć się tak daleko. Skąd mógł być pewny, że ma rację? A jednak był pewny. Przynajmniej prawie pewny. Dlaczego nie było stamtąd ognia? W każdym razie teraz musiał albo się zastosować, albo zamilknąć. Czując nagle serce w gardle, powiedział oficjalnie:

–Panie pułkowniku, jestem zmuszony oświadczyć, że odmawiam wykonania pańskiego rozkazu. Ponownie proszę o zezwolenie na wysłanie w prawo silnego patrolu rozpoznawczego. Jest teraz godzina 13,21 minut i 25 sekund. Mam tutaj dwóch świadków, którzy słuchali tego, co powiedziałem. Proszę, żeby pan pułkownik poinformował swoich świadków. Odbiór.

–Stein! – usłyszał. Tall szalał. – Nie zasuwaj mi pan tu tego adwokackiego gówna! Wiem, że pan jest cholernym prawnikiem!

A teraz proszę się zamknąć i robić, co kazałem! Nie słyszałem, co pan teraz mówił! Powtarzam mój rozkaz! Odbiór!

–Pułkowniku, odmawiam poprowadzenia tam swoich ludzi do frontального natarcia. To jest samobójstwo! Przeżyłem z tymi ludźmi dwa i pół roku. Nie każę im wszystkim iść na śmierć. To moje ostatnie słowo. Odbiór.

Ktoś chlpał niedaleko na fałdzie i Stein popróbowował dojrzeć, kto to, lecz nie mógł. Tall był głupi, ambitny, pozbawiony wyobraźni,

a także złośliwy. Rozpaczliwie pragnął popisać się sukcesem przed swymi przełożonymi. Inaczej nie mógłby nigdy wydać takiego rozkazu.

Po krótkiej pauzie ozwał się głos Talla, chłodny i ostry jak brzytwa.

–Podejmuje pan bardzo ważną decyzję, kapitanie, Jeżeli pan jest taki przekonany, może pan ma powody. Idę do pana. Proszę dobrze zrozumieć: nie odwołuję mojego rozkazu, ale jeżeli po przyjsciu na miejsce, przekonam się, że istnieją okoliczności łagodzące, wezmę to pod uwagę. Ma pan trzymać się, dopóki nie dojdę. Jeżeli to możliwe, niech pan ruszy z miejsca tych ludzi na zboczu. Będę tam za – przerwał – dziesięć, piętnaście minut. Odbiór i koniec.

Stein słuchał z niedowierzaniem, oszołomiony, przestraszony. O ile mu było wiadomo – choć zdawał sobie sprawę, że nie może wiedzieć wszystkiego, ale jednak – żaden dowódca batalionu nie dołączył do swych walczących żołnierzy, odkąd ta bitwa się zaczęła, a dywizja weszła do akcji. Niezwykła ambicja Talla była w pułku przedmiotem żartów, dzisiaj mógł niewątpliwie popisać się przed wszystkimi grubymi szyszkami na tej wyspie – a jednak Stein tego nie przewidział. Czego więc się spodziewał? Spodziewał się, że jeśli zaprotestuje dostatecznie mocno, pozwolą mu wysłać ten jego silny patrol i zbadać prawy grzbiet, nim stanie w obliczu konieczności frontalnego ataku – choć wiedział, że pora jest trochę za późna na operację tego rodzaju. A teraz naprawdę się zląkł. Było prawie zabawne, że nawet gdy tak leżał przerażony, na wpół oczekując, iż zginie lada chwila, jego biurokratyczna obawa przed naganą, przed publicznym upokorzeniem była silniejsza od fizycznego strachu przed

śmiercią. No, przynajmniej równie silna.

Cóż, miał dwie rzeczy do zrobienia czekając na Talla. Musiał dowiedzieć się o tego żołnierza, który przed chwilą został ranny. I musiał wyprawić dwie drugie drużyny z 2 plutonu na zbocze, do Becka i Dale'a.

Ranny okazał się małym starszym szeregowcem Beadem z lowy, pomocnikiem Fife'a, i był umierający. Pocisk z moździerza wybuchnął o pięć jardów w lewo od niego i wbił mu w lewy bok odłamek chyba nie większy od srebrnego dziesiątaka, który przedarł się przez mięsień trójgłowy lewej ręki. Rozharatanie ręki nigdy by go nie zabiło, choć mogło trochę okaleczyć, ale krew lała się z dziury w boku w opatrunek, który ktoś mu założył, a z przesiąkniętej gazy ściekała na ziemię. Kiedy przybył Stein, a za nim przerażony Fife z telefonem, Bead miał już zmętniałe oczy i mówił prawie szeptem.

–Umieram, panie kapitanie – wychrypiał tocząc oczami ku Steinowi. – Umieram! Ja! J a! Umieram. Tak się boję! – Na chwilę zamknął oczy i przełknął ślinę. – Zwyczajnie leżałem tutaj. I trafiło mnie prosto w bok. Jakby mi ktoś dał pięścią. Nie bardzo bolało.

i teraz nie bardzo boli. Och, panie kapitanie!

–Spokojnie, synu. Tylko spokojnie – powiedział Stein z jakimś jałowym, daremnym bólem.

–Gdzie Fife? – wychrypiał Bead tocząc oczami. – Gdzie Fife?

–Jest tutaj, synu. Jest tutaj – odrzekł Stein. – Fife! – Sam

odwrócił głowę czując się jak stary, bezużyteczny człowiek.  
Dziadek Stein.

Fife zatrzymał się za kapitanem, lecz teraz podpełznął bliżej. Jeszcze dwóch czy trzech innych zebrano wokół Beada. Fife nie chciał patrzeć a jednocześnie nie mógł sam siebie przekonać, że to prawda. Bead trafiony i konający. Ktoś taki jak Tella czy Jockey Jacques to co innego. Ale Bead, z którym przepracował tyle dni w biurze, w kancelarii? Bead, z którym... jego umysł wzdrygnął się przed tym.

–Jestem tu – rzekł..

–Ja umieram, Fife! – powiedział mu Bead.

Fife'owi nie przychodziły do głowy żadne słowa.

–Wiem. Tylko spokojnie. Tylko spokojnie, Eddie – rzekł powtarzając za Steinem. Czuł, że musi użyć imienia Beada, czego nie robił nigdy przedtem.

–Napiszesz do moich? – zapytał Bead.

–Napiszę.

–Daj im znać, że nie bolało mnie bardzo. Napisz prawdę.

–Dobrze.

–Potrzymaj mnie za rękę – wychrypiał Bead... – Boję się.

Przez chwilę, przez sekundę, Fife się zawahał. Homoseksualizm.

Pedalstwo. Cioty. Nawet o tym nie pomyślał. Wahanie było znacznie poniżej poziomu świadomej myśli. A potem uprzytomniwszy sobie ze zgrozą, co zrobił, co robi, chwycił Beada za rękę. Podczołgał się bliżej i wsunął mu drugą rękę pod ramiona, tuląc go. Zaczął płakać, bardziej dlatego, iż nagle uświadomił sobie, że jest jedynym człowiekiem w całej kompanii, którego Bead mógł nazwać przyjacielem, niż dlatego, że ten konał.

–Trzymam cię – powiedział.

–Ściśnij – zacharczał Bead. – Ściśnij.

–Ściskam.

–Och, Fife! – zawołał Bead. – Och, kapitanie!

Jego oczy się nie zamknęły, ale przestały widzieć.

Po chwili Fife złożył go na ziemi i odczołgał się na stronę płacząc ze zgrozy, płacząc ze strachu, płacząc z żalości, nienawidząc samego siebie.

Zaledwie w pięć minut później Fife też został trafiony.

Stein podążył za nim, kiedy się odczołgiwał. Najwyraźniej nie rozumiał w pełni płaczu Fife'a.

–Połóż się gdzieś na chwilę, synu – powiedział i szybko poklepał go po ramieniu. Odebrał Fife'owi telefon już przedtem, kiedy posyłał go do Beada, i teraz rzekł: – Zatrzymam telefon na kilka minut. Zresztą teraz przez jakiś czas nikt nie będzie, dzwonił – dodał z gorzkim uśmiechem.

Fife, który słuchał ostatniej rozmowy z Tallem, który w istocie był jednym z dwóch świadków Steina, wiedział, co kapitan ma na myśli, lecz nie był w stanie ani w nastroju, żeby coś odpowiedzieć. Nie żyje.

Nie żyje. Wszyscy nie żyją. Wszyscy umierają. Nikt nie pozostał.

Nic nie pozostało. Rozkleił się, a jego słabość była tym gorsza, że był bezradny, nie mógł nic zrobić, nic powiedzieć. Musiał tu zostać.

Pociski z moździerzy nadal spadały ze ścisłą regularnością w różnych punktach fałdy, przez cały ten czas, kiedy Bead umierał, przez cały czas potem. Zdumiewające było, jak niewielu ludzi raniły czy zabijały. Ale na wszystkich twarzach malował się ten sam mglistość, zastraszone, zamknięty wyraz. Fife spostrzegł po prawej opuszczony dołek w żółtej ziemi i wczuł się do niego. Właściwie nie był to nawet dołek. Ktoś wygrzebał rękami, bagnetem czy łopatką płytkie korytko, może na dwa cale poniżej powierzchni ziemi. Fife wyciągnął się w nim na płask i przyłożył policzek do błota. Powoli przestał płakać i oczy mu obeschły, ale w miarę jak inne uczucia – żal, wstyd, nienawiść do samego siebie – wyciekały zeń pod naporem samoochrony, czwarty element – przerażenie – wlewał się na ich miejsce, aż w końcu Fife stał się jedynie naczyniem wypełnionym po brzegi tchórzostwem, strachem i bezsiłą. I tak tam leżał.

To jest wojna? Nie było tu najwyższej próby sił wspaniałego władania mieczem, rozkrzyczanego, wikingowskiego heroizmu, wytrawnego strzelectwa. Były jedynie liczby. Zabijano go dla liczb. Dlaczego, ach, dlaczego nie znalazł sobie i nie wziął tej kancelaryjnej pracy przy biurku daleko na tyłach, którą mógł

dostać?

Usłyszał cichy szum pocisku z moździerza może przez pół sekundy.

Nie zdążył nawet powiązać go ze sobą i przestraszyć się, kiedy nieomal wprost na nim buchnął ogromny jak rozbłysk słońca huk eksplozji, a potem zaległa czarna, pusta ciemność. Miał niejasne wrażenie, że ktoś krzyknął, ale nie wiedział, że to on sam. Jak gdyby oglądając za ciemny film, pokazywany ze zbyt słabym światłem, ujrzał zamglony obraz kogoś innego, nie siebie, na wpół pełzającego, poderwanego na nogi i wreszcie padającego z twarzą zakrytą dłońmi, by się potoczyć w dół po pochyłości. A potem nic. Martwy? Czy to my jesteśmy tym drugim, czy ja, czy jestem nim?

Ciało Fife'a dotoczyło się do żołnierza z 3 plutonu, który akurat siedział z karabinem w poprzek kolan. Oderwało się odeń i odpełzło na łokciach i kolanach, z dłońmi ciągle przy twarzy. A potem Fife wrócił do tego ciała, otworzył oczy i zobaczył, że wszystko przemieniło się w czerwoną, płynną mgłę. Przez tę skłębioną czerwień dojrzał komiczną, wystraszoną twarz człowieka z 3 plutonu, który nazywał się Train. Nigdy nie było mniej prawdopodobnego, mniej po żołniersku wyglądającego żołnierza. Długi, cienki nos, cofnięta szczeka, usta w ciup, ogromne krótkowzroczne oczy, łypiące ze strachem zza grubych okularów.

–Jestem ranny? Jestem ranny?

–T – tak – bąknął Train. – R – ranny – wyjąkał. – W głowę.

–Ciężko? Ciężka rana?

–N – nie wiem – odrzekł Train. – K – krwawisz z g – głowy.

–Tak? – Fife spojrzał na swoje dłonie i zobaczył, że są całkiem pokryte wilgotną czerwienią. Teraz zrozumiał, skąd ta dziwna, czerwona mgła. Była to krew, która ściekając przez brwi dostała mu się do oczu. Boże, ależ czerwona! A potem wezbrało w nim przerażenie, niby jakiś pęczniejący, ogromny grzyb, serce zaczęło mu się targać, a oczy zamglily. Może umiera, – w tej chwili, tutaj. Ostrożnie dotknął czaszki i nie natrafił na nic. Kiedy odjął palce, lśniły „czerwienią. Nie miał hełmu i zgubił okulary.

–T – to jest z t – tyłu – wyjaśniał Train.

Fife pomacał znowu i znalazł rozharatane miejsce. Było pośrodku głowy, prawie przy jej czubku.

–J – jak s – się cz – czujesz? – zapytał z obawą Train.

–Nie wiem. Nie boli. Tylko kiedy dotykam.

Wciąż klęcząc na czworakach Fife opuścił głowę, tak że krew, spływająca mu na brwi, teraz ociekała na ziemię, nie w oczy. Popatrzał na Traina przez ten czerwony deszcz.

–M – możesz ch – chodzić? – zapytał Train.

–Nie wiem – odrzekł Fife i nagle uprzytomnił sobie, że jest wolny. Nie musiał już tu zostawać. Był wyzwolony. Mógł po prostu wstać i odejść – jeżeli zdoła – z honorem, i nikt nie miał prawa powiedzieć, że jest tchórzem, oddać go pod sąd wojenny czy wsadzić do więzienia. Ulga była tak wielka, że raptem poczuł



radość mimo rany.

–Chyba powinienem iść na tyły – powiedział. – Nie uważasz?

–T – tak – odrzekł Train nieco smętnie.

–No, to... – Fife usiłował wymyślić coś ostatecznego i ważnego do powiedzenia w takim doniosłym momencie, ale nie potrafił. – Wszystkiego dobrego, Train – zdołał wreszcie wyrzec.

–Dz – dziękuję – odpowiedział Train.

Fife powstał ostrożnie. Kolana mu się trzęsły, lecz perspektywa wydostania się stąd dała mu siły, których inaczej by nie miał. Z początku wolno, potem coraz szybciej zaczął iść w tył z pochyloną głową i dłońmi przyłożonymi do czoła, aby ciągle płynąca krew nie dostała mu się do oczu. Z każdym krokiem wzmagало się radosne uczucie wyswobodzenia, ale razem z nim rosło także uczucie strachu.

A jeżeli teraz go rąbną? Jeżeli go trafią czymś innym właśnie teraz, kiedy mógł odejść? Pospieszał, jak mógł. Minął kilku ludzi z 3 plutonu, którzy leżeli zprzerażonymi, napiętymi twarzami, ale nie odezwali się do niego ani on do nich. Nie wybrał dłuższej drogi z powrotem, tej, którą tu przyszli, przez drugą i trzecią fałdę, lecz poszedł prosto wzdłuż zagłębienia między fałdami do przedniego stoku Wzgórza 209. Dopiero kiedy był w połowie drogi na strome zbocze, pomyślał o reszcie kompanii i przystanąwszy obrócił się i popatrzał tam, gdzie zaległa. Chciał do nich wykrzyknąć jakieś słowa otuchy czy coś, ale wiedział, że stąd nie mogą go dosłyszeć. Kiedy kilka kul snajperów wzbilo ziemię dokoła niego, odwrócił się i pobrnął dalej, aby przejść

przez szczyt do zatłoczonego punktu sanitarnego batalionu po drugiej stronie. Na chwilę zanim dotarł do szczytu, napotkał grupę mężczyzn schodzącą z niego i poznał pułkownika Talla.

–Trzymaj się, synu – uśmiechnął się doń pułkownik. – Nie daj się. Niedługo do nas wrócisz.

Na punkcie sanitarnym przypomniał sobie, że ma jedną prawie pełną manierkę, i zaczął pić chciwie, a ręce wciąż mu drżały. Teraz miał już niemal pewność, że nie zginie.

Na chwilę zanim Fife został ranny, Ciota Stein właśnie odczołgał się od niego. Fife popęztał w jedną stronę, a Stein w drugą, by powiadomić dwie pozostałe drużyny 2 plutonu, że mają ruszyć naprzód i wesprzeć Becka i Dale'a na trawiastym zboczu. Stein równie łatwo mógł podczołgać się z Fife'em i być przy nim, kiedy spadł pocisk z moździerza. Czynnikiem przypadku w tym wszystkim był przerażający. Przestraszało to Steina. Zresztą kapitan był śmiertelnie zmęczony, zdeprymowany i strwożony. Widział, jak Fife krwawiąc brnął na tyły, ale sam nie mógł nic poradzić, bo właśnie instruował obie drużyny z 2 plutonu, co mają robić, kiedy dojdą do grzbietu, i co powiedzieć Beckowi – a mianowicie przede wszystkim to, żeby ruszył tyłek z miejsca i popróbował rozwalić kilka tych karabinów maszynowych.

Żaden z żołnierzy w obu drużynach nie wydawał się zbyt uradowany przydzielonym zadaniem, włącznie z sierżantami, którzy jednak nic nie powiedzieli, tylko z przejęciem kiwnęli głowami. Stein popatrzał na nich z powagą, żałując, że nie ma im do powiedzenia czegoś innego, czegoś istotnego czy doniosłego. Ale nie miał. Życzył im powodzenia i kazał ruszać.

Tym razem, tak jak poprzednio, Stein obserwował przez lornetkę ich bieg. Ze zdumieniem stwierdził, że teraz nikt nie został trafiony. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy patrząc, jak przedzierał się przez trawę do małego, sięgającego po pas progu, zobaczył, że i tutaj nikogo nie postrzelono. Dopiero wtedy jego uszy powiadomiły go o tym, co powinny były dosłyszeć wcześniej: że nasilenie japońskiego ognia znacznie zmalało od chwili, gdy sierżant Welsh pobiegł udzielić pomocy okaleczonemu szeregowcowi Telli. Kiedy Stein skierował lornetkę na sam próg, co uczynił natychmiast, jeszcze nim zaczęli tam dobiegać pierwsi żołnierze, zrozumiał, dlaczego tak jest.

Była tam widoczna zaledwie mniej więcej połowa małego, dwudrużynowego oddziału Becka. Reszty nie było. Najwyraźniej z własnej inicjatywy, bez rozkazu, Beck posłał część swojej grupy na wypad, i to widocznie z niejakim powodzeniem. Opuściwszy szkła Stein obrócił się, by popatrzeć na George'a Banda, który już zdołał gdzieś skombinować lornetkę dla siebie (Stein przypomniał sobie, że ojciec Billa Whyte'a obdarował syna bardzo dobrą lornetką na pożegnanie), i teraz spoglądał na Steina równie zdumiony jak on. Przez długą chwilę po prostu patrzyli na siebie. A potem, kiedy Stein obracał się do świeżo przybyłych nowych sanitariuszy, by im powiedzieć, że jego zdaniem mogą teraz względnie bezpiecznie pójść dalej i pozbierać rannych, usłyszał za sobą chłodny, spokojny głos:

–Witam, kapitanie! – i podniósłszy wzrok zobaczył pułkownika Talla, swego dowódcę batalionu, który niespiesznie szedł ku niemu trzymając pod pachą nie zdobioną bambusową trzcinkę, którą zawsze tak nosił, odkąd Stein go znał.

Otóż Steini Band nie mogli wiedzieć, że służbista sierżant Beck

z własnej inicjatywy zniszczył w ciągu ostatnich piętnastu czy dwudziestu minut pięć gniazd japońskich karabinów maszynowych kosztem zaledwie jednego zabitego i bez rannych. Flegmatyczny, posępny, nudny i powszechnie nie lubiany, pozbawiony Wyobraźni, trzymający się regulaminu, zamiłowany zawodowiec z dwóch poprzednich zaciągów, Milly Beck wysunął się teraz na czoło, tak jak nie potrafiłby tego uczynić nikt inny, z jego poległym przełożonym, Keckiem, włącznie. Widząc, że nie otrzyma zaraz żadnych posiłków, obmyśliwszy swoje dyspozycje dokładnie tak, jak go uczono na kursie taktyki małych jednostek, który niegdyś przeszedł w Fort Benning, wykorzystał teren, by wysłać sześciu ludzi na prawo od progu i sześciu na lewo, pod komendą swoich dwóch p.o. sierżantów, Dale'a i Bella. Resztę zatrzymał przy sobie pośrodku, w gotowości do ostrzelania wszelkich celów, jakie by się pokazały. Wszystko poszło gładko. Nawet ci żołnierze, których zatrzymał przy sobie, zdołali ustrzelić dwóch Japończyków uciekających przed granatami patroli.

Dale i jego ludzie po lewej załatwili cztery stanowiska i wrócili nietknięci. Stwierdziwszy, że mały występ jest w ogóle nie strzeżony, zdołali wczołgać się w środek pozycji japońskiej i wrzucić stamtąd granaty w tylne wejścia dwóch zasłoniętych, zamaskowanych stanowisk ogniowych, które wypatrzyli pod sobą. Dwa drugie stanowiska wyżej na zboczu były trudniejsze, ale obeszli je, przeczołgali się obok i zdołali wrzucić granaty w otwory. Nikt nie został nawet ostrzelany. Wrócili prowadzeni przez uśmiechniętego Dale'a, który oblizywał wargi i cmokał nad swoim sukcesem. Doniosłością ich wyczynu było zmniejszenie co najmniej o pięćdziesiąt procent siły ognia, który mógł być kierowany z lewej strony grzbietu na pierwszy pluton czy na płaski teren, przez który posiłki przeszły później bezpiecznie.

Po prawej Bell nie miał tyle szczęścia, ale odkrył coś bardzo ważnego. Grzbiet z prawej strony wznosił się stopniowo i Bell ze swoją grupą, po obejściu i obrzuceniu granatami jednego małego stanowiska poniżej, natknął się na główny umocniony, punkt oporu całej pozycji. Tu występ kończył się sześciometrową ścianą skalną, która dalej przechodziła w prawdziwe urwisko niemożliwe do sforsowania.

Tuż nad tą skalną ścianą, pięknie wkopany, z otworami w trzech kierunkach, znajdował się japoński bunkier. Kiedy idący na czele żołnierz wdrapał się nad występ, aby obejść ścianę, został przeszyty kulami z co najmniej trzech cekaemów. Zarówno Kentuckyańczyk Witt, jak starszy szeregowiec Doll byli w grupie Bella, ale żaden z nich nie szedł na czele... To wyróżnienie zachowano dla niejakiego Catcha, Lemuela C. Catcha, starego zawodowca, pijaka oraz dawnego kolegi Witta od boksu. Zginął na miejscu, nie wydawszy żadnego głosu. Ściągnęli w dół jego ciało i wycofali się z nim, i wtedy rozpętał się piekielny ogień tuż nad ich głowami – lecz przedtem, dalej na występie, Bell zdążył dobrze się przyjrzeć bunkrowi, tak że mógł go opisać.

Sam Bell nie wiedział, dlaczego to zrobił. ~ Najprawdopodobniej przez czystą zaciekłość, zmęczenie i chęć skończenia z tą cholerną, pieprzoną bitwą. Bell wiedział w każdym razie, że dokładny, naoczny opis może przynajmniej okazać się cenny później. Tak czy owak, było to szaleństwem. Zatrzymawszy swych ludzi o trzydzieści pięć do czterdziestu jardów od skalnej ściany, tam gdzie poległ Catch, kazał im zaczekać, a sam oddał się swemu zwariowanemu pragnieniu patrzenia. Zostawił karabin i z granatem w ręce wdrapał się na mały występ i wytknął z zań głowę. Ogień japoński właśnie ustał, na – krawędzi występu była

mała szczyba i dlatego Bell wybrał to miejsce. Powoli popęzł wyżej, wiedziony jakimś obłądnym, szaleńczym musem, dopóki nie znalazł się na otwartym, leżąc w maleńkim, osłoniętym miejscu. Widział tylko nie kończącą się trawę, stopniowo obrastającą mały pagórek, który sterczał z grzbietu. Bell wyciągnął zawleczkę granatu, cisnął go z całej siły i przywarł do ziemi. Granat spadł i wybuchnął wprost przed pagórkiem i podczas cyklonu ognia maszynowego, który się teraz rozpętał, Bell zdołał policzyć pięć cekaemów w pięciu plujących otworach, których przedtem nie widział. Kiedy ogień ustał, Bell poczołgał się z powrotem do swoich ludzi, niejasno zadowolony. Cokolwiek kazało mu to zrobić – a ciągle nie wiedział, co – sprawiło w każdym razie, że wszyscy ludzie z jego grupy patrzyli na niego z podziwem. Dał im znak i poprowadził ich z powrotem, dokoła występu, póki nie ukazała się główna pozycja kompanii i trzecia fałda. Stąd było już łatwo dostać się z powrotem. Podobnie jak grupa Dale'a, nie zobaczyli i nie usłyszeli ani jednego Japończyka w pobliżu występu. Nikt nigdy się nie dowiedział, dlaczego ten występ, będący właściwym kluczem do całej pozycji na grzbiecie, pozostawiono zupełnie nie strzeżony przez strzelców czy karabiny maszynowe. To, że był nie strzeżony, okazało się pomyślnie dla obu grup, zarówno jak dla planu małego natarcia Becka. Dzięki temu zlikwidowali wszystkich Japończyków poniżej występu, utworzyli prawdziwą linię i odmienili sytuację.

Fakt, że zmienili całą sytuację prawie dokładnie w tym momencie, kiedy pułkownik Tall ruszył na pole walki, był jedną z tych przypadkowych ironii, które się zdarzają, które są całkowicie nie do przewidzenia i którym jest przeznaczone prześladować pewnych ludzi nazwiskiem Stein.

–Co pan robi leżąc tu, skąd pan nie może nic zobaczyć? – pytał następnie Tall. Sam stał wyprostowany, ale ponieważ był o dziesięć czy dwanaście jardów dalej, tylko jego głowa i co najwyżej czubki ramion wystawały nad wierzch fałdy. Stein zauważył, że pułkownik wyraźnie nie ma skłonności podejść bliżej.

Stein zastanowił się, czy mu powiedzieć, że sytuacja się zmieniła. Niemal w ostatnich paru sekundach przed jego przybyciem. Postanowił jednak nie mówić. Jeszcze nie. Wyglądałoby to zanadto na usprawiedliwienie, i to nieporadne. Zamiast tego więc odpowiedział:

–Obserwuję, panie pułkowniku. Dopiero co wysłałem dwie kolejne drużyny mojego drugiego plutonu naprzód, na grzbiet.

–Widziałem, jak ruszały, kiedy tu szliśmy – kiwnął głową Tall.

Stein zauważył, że reszta jego świty, która składała się z trzech szeregowców, jako gońców, jego przybocznego sierżanta oraz młodego kapitana nazwiskiem Gaff, oficera administracyjnego, uznała, że lepiej będzie położyć się płasko na ziemi. – Ilu oberwało tym razem? – Było to słuszne pytanie.

–Nikt, panie pułkowniku.

Tall uniósł brwi pod hełmem, który siedział nisko na jego niewielkiej, kształtnej głowie.

–Nikt? Ani jeden?

Pocisk z moździerza wybuchnął gdzieś na tylnym stoku trzeciej

fałdy, wyrzucając ziemię, ale nie rażąc nikogo, a Tall, który podchodził do miejsca, gdzie leżał Stein, pozwolił sobie przykucnąć.

–Nie, panie pułkowniku.

–To nie brzmi zbyt podobnie do sytuacji, którą pan mi opisywał przez telefon. – Tall przymrużył oczy, minę miał pełną rezerwy.

–Nie, panie pułkowniku.” Sytuacja się zmieniła. – Stein uważał, że teraz może to powiedzieć z honorem. – W ostatnich czterech czy pięciu minutach – dodał i znienawidził siebie.

–A czemu pan przypisuje tę zmianę?

–Sierżantowi Beckowi, panie pułkowniku. Kiedy tam ostatnio spojrzałem, połowy jego ludzi nie było. Myślę, że posłał ich, żeby spróbowali zniszczyć kilka stanowisk, i widać im się udało.

Gdzieś z daleka zagrzechotał karabin maszynowy i długa linia kul wybiła ziemię o dwadzieścia pięć jardów poniżej nich na przednim stoku. Tall nie zmienił swojej przykucniętej pozycji ani głosu.

–Czyli pan przekazał mu moje polecenie?

–Nie, panie pułkowniku. To znaczy tak, przekazałem. Poszło z dwiema nowymi drużynami. Ale – Beck już wysłał swoich ludzi, zanim tam dotarli. Na jakiś czas przedtem.

–Rozumiem. – Tall obrócił głowę i w milczeniu popatrzał przymrużonymi oczami na trawiasty grzbiet. Długa linia pocisków cekaemowych przejechała z powrotem od lewej strony, tym



razem zaledwie o piętnaście jardów poniżej nich. Tall się nie poruszył.

–Zobaczyli pana – powiedział Stein.

–Idziemy tam, kapitanie – odrzekł Tall nie zwracając uwagi na jego słowa. – My wszyscy i zabieramy wszystkich ze sobą. Ma pan jeszcze jakieś formalne zażalenia czy sprzeciwy?

–Nie, panie pułkowniku – odrzekł bezradnie Stein. – W tej chwili nie. Ale ponawiam moją prośbę o wysłanie patrolu w dżunglę po prawej. Jestem przekonany, że tam jest wolna droga Przez cały dzień nie padł stamtąd ani jeden strzał. Patrol japoński mógłby bez większej trudności ostrzelać nas stamtąd. Spodziewałem się tego.

Wskazał zagłębienie między fałdami, gdzie czubki drzew dżungli były ledwie widoczne, a Tall podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

–W każdym razie – powiedział Tall – jest już za późna pora, by tam wysłać patrol.

–Silny patrol? Pluton? Z karabinem maszynowym? Mogliby zorganizować obronę okrężną, gdyby nie wrócili przed zmrokiem.

–Chce pan stracić pluton? Tak czy owak opróżniłby pan swój środek. Nie mamy kompanii A w odwodzie, kapitanie. Jest w tyle po pańskiej prawej i toczy swoją własną walkę. Naszym odwodem jest B – jak – Baker, a ona jest zaangażowana w lewo od pana.

–Wiem, panie pułkowniku.

–Nie, zrobimy to na mój sposób. – Zabierzemy wszystkich do tego występu. Może nam się uda zdobyć grzbiet przed nocą.

–Myślę, że ten grzbiet jest jeszcze dosyć daleki od zwalczenia – powiedział z powagą Stein i poprawił okulary ujmując ich ramkę czterema palcami od góry, a kciukiem od dołu.

–Nie sądzę. W każdym razie” zawsze możemy zorganizować tam na noc obronę okrężną. Zamiast wycofywać się tak jak wczoraj.

Narada była skończona. Tall niespiesznie powstał na całą swoją wysokość. Dalekie karabiny maszynowe znowu zagrzechotały i śmigająca linia kul uderzyła w ziemię o kilka kroków od niego, a Stein się skulił; jemu przynajmniej wydawało się, że pociski przelatują ze świstem dokoła stóp Talla i między jego nogami. Tall rzucił na zbocze jedno wzgardliwe, rozbawione spojrzenie i ruszył w dół po tylnym stoku nadal rozmawiając ze Steinem.

–Ale najpierw ma pan posłać gońca do swego pierwszego plutonu i przesunąć go po skrzydle do grzbietu. Niech zajmą pozycję za występem i przedłużą lewe skrzydło w lewo od Becka. Jak tylko goniec dotrze bezpiecznie do pańskiego pierwszego plutonu, zatelefonuję do kompanii B, żeby ruszyła, a potem ruszymy i my.

–Tak jest – powiedział Stein. Nie mógł powściągnąć zgrzytania zębami, lecz głos miał spokojny. Powoli, bardzo powoli, bo robił to niechętnie, i on też powstał na całą wysokość i ruszył za Tallem ze stoku. Jednakże zanim zdołał wydać rozkazy,

podczołgał się do nich młody kapitan Caff, który dotąd leżał nie opodal.

– Ja też pójdę, panie pułkowniku – powiedział do Talla. – Chciałbym pójść. Bardzo.

Tall spojrzał na niego serdecznie.

– Dobrze, John. Idź. – Z głęboką, ojcowską dumą patrzył za odchodzącym kapitanem. – Dobry chłopak, ten mój młody zastępca – powiedział do Steina.

Tym razem lornetka nie była właściwie potrzebna. Pierwszy pluton nie był tak daleko. Tall i Stein, stojąc prosto, z głowami ledwie wytkniętymi nad krawędź fałdy, obserwowali Gaffa, który biegł fachowymi zygzakami na płaski teren pełen lejów od pocisków, w lewo od trawiastego grzbietu. Stein powiedział mu z grubsza, gdzie znaleźć Chudego Culna, obecnie dowódcę plutonu na skutek poniesionych strat. Po chwili ludzie zaczęli ruszać w prawo skokami po dwóch i trzech.

– W porządku – odezwał się Tall. – Proszę mi dać telefon. – Rozmawiał dosyć długo. – Okej – - powiedział. – Teraz my idziemy.

Dokoła nich jak gdyby wyczuwając, że coś się święci, ludzie zaczęli się poruszać.

Cokolwiek Stein mógłby powiedzieć o Tallu, a znalazłby tego dużo, musiał jednak przyznać, że wraz z jego przybyciem na pole walki nastąpiła zmiana na lepsze we wszystkim i we wszystkich. Rzecz jasna, zawdzięczano ją częściowo wyczynowi

Becka, niezależnie od tego, czym w gruncie rzeczy był. Ale nie wszystko na tym polegało, i Stein musiał to przyznać. Tall przyniósł ze sobą jakąś właściwość, której tu przedtem nie było i która przejawiała się w twarzach ludzi. Stały się mniej napięte. Może sprawiało to tylko poczucie, że bądź co bądź w końcu nie każdy umrze. Niektórzy to przeżyją. A stąd był już tylko krok do normalnej ludzkiej reakcji: ja to przeżyję.

Inni mogą dostać, moi koledzy na prawo i lewo mogą zginać, ale ja się uchowam. Nawet sam Stein poczuł się lepiej. Tall przyszedł i objął kierownictwo, objął je mocno, pewnie i ufnie. Ci, którzy by przeżyli, zawdzięczaliby to Tallowi, a ci, co by zginęli, nic by nie powiedzieli. Szkoda by ich było, każdy by tak czuł, ale ostatecznie z chwilą, gdy byliby martwi, przestaliby się liczyć w gruncie rzeczy, no nie? Była to prosta prawda i Tall im ją przyniósł.

Wszystko to było wyraźnie widoczne w sposobie poprowadzenia przez Talla ruchu naprzód. Przechadzając się tam i z powrotem przed rozciągniętym na ziemi trzecim plutonem, z bambusową trzcinką w lewej ręce, postukując się nią lekko o ramię, kiedy marszczył w skupieniu brwi, wyjaśniał zwięźle żołnierzom, co zamierza robić i dlaczego, i jaka ma być w tym ich rola. Nie apelował do nich. Jego postawa mówiła całkiem wyraźnie, iż uważa wszelkie apele za blagę i oszustwo i że nie będzie się w to wdawał, bo zasługują na coś lepszego; muszą robić to, co muszą, bez żadnych jego szowinistycznych wezwań i nie będzie tu nacjonalizmu. Kiedy już podciągnęli naprzód i zarówno pierwszy jak i trzeci pluton ulokowały się za występem na prawo i lewo od drugiego, mieli tylko dwóch – rannych, i to lekko, a każdy wiedział, że zawdzięczają to pułkownikowi Tallowi. Nawet

Stein uważał tak samo.

Jednakże stało się jasne, że doprowadziwszy ich tak daleko, nawet Tall nie poprowadzi ich wiele dalej. Było już po wpół do czwartej. Tkwili tu od świtu -, a większość nie miała w ustach wody od przedpołudnia, Kilku zemdłało. Wielu innych, z nerwami starganymi przez prawie ciągłe przebywanie pod ogniem i brak wody, było bliskich hysterii i załamania. Tall widział to wszystko. Jednakże, po odebraniu meldunków od Becka, Dale'a i Bella, chciał przed zmrokiem uczynić jeszcze jedną próbę opanowania bunkra po prawej.

Wśród małej grupy oficerów” i podoficerów, która zgromadziła się wokół pułkownika, byli teraz dowódcy z kompanii B – jak – Baker.

Kiedy kompania C podchodziła do występu skalnego, kompania Baker, na telefoniczny rozkaz Talla, wykonała swoje trzecie natarcie tego dnia. Podobnie jak inne, i to też się nie powiodło, a w zamieszaniu połowa kompanii znalazła się za pierwszym plutonem z C po lewej i tam utknęła. Podczas powrotu reszta też tam dopadła i pozostała, więc Tall posłał również po jej dowódców.

–Ten punkt oporu jest oczywiście kluczem do całego wzgórza – powiedział teraz do nich. – Tu obecny sie...e...sierżant Bell ma zupełną rację. – Spojrzał bacznie na Bella i mówił dalej: – Z tego swojego pagórka nasi mali żółci bracia mogą ostrzeliwać całą płaską część terenu wznoszącego się przed nami, od prawej strony aż po kompanię B po lewej. Nie mam pojęcia, dlaczego pozostawili ten występ nie dozorowany. Ale musimy to wykorzystać, zanim dostrzegą swój błąd. Jeżeli uda nam się

zwalczyć ten duży bunkier, nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli zająć całego grzbietu przed zapadnięciem nocy. Kto pójdzie na ochotnika, żeby go zniszczyć?

Stein, słysząc po raz pierwszy tę wiadomość o dalszym atakowaniu, tak się oburzył, że nie wierzył własnym uszom. Przecież Tall musiał wiedzieć, jacy wszyscy są osłabieni i wyczerpani. Jednakże chęć sprzeciwienia się Tallowi zanikła, zwłaszcza wobec przeszło połowy oficerów batalionu.

Johnowi Bellowi, który siedział przykucnięty razem z innymi, to wszystko znowu przypominało scenę z filmu, bardzo niedobrego, stereotypowego, trzeciorzędnego filmu wojennego. Nie mogło to mieć wiele wspólnego ze śmiercią. Pułkownik nadal był wyprostowany, nadal przechadzał się tam i z powrotem ze swoją bambusową trzcinką, kiedy przemawiał, ale Bell zauważył, że ostrożnie trzymał się dostatecznie nisko na stoku, by jego głowa nie wystawała nad krawędź. Bell zauważył także wahanie, a potem wyraźne akcentowanie, kiedy Tall zwracał się do niego używając tytułu sierżanta. Bell spotkał się po raz pierwszy ze swoim pułkownikiem, ale nie było powodu przypuszczać, że Tall nie zna jego historii. Wszyscy inni ją znali. Być może właśnie ta myśl, bardziej niż cokolwiek innego, kazała mu powiedzieć to, co powiedział.

–Panie pułkowniku, ja chętnie tam znowu pójde i poprowadzę ludzi.

Czy oszalał? Był wściekły, to wiedział, ale czy także obłąkany?

Ach, Marty!

Natychmiast w prawo od Bella odezwał się inny głos, Przygarbiony, twardoręki, pomarszczony p.o. sierżanta Dale zabiegał o przyszłą sławę dla siebie, o przyszłe synekury, przyszłe zabezpieczenie przed wojskowymi kuchniami. Bell nie wiedział, co go do tego skłoniło.

–Ja pójdę, panie pułkowniku! Chcę iść na ochotnika!

Charlie Dale wstał, postąpił trzy przepisowe kroki naprzód i przykucnął znowu. Było to tak, jak gdyby Dale, wyzwolony kucharz, nie uważał swej propozycji za legalną bez tych trzech przepisowych kroków. Przykucnąwszy zerknął dokoła, a w jego paciorkowych oczach coś jaśniało. Bellowi wydało się to niesmacznie niedorzeczne, śmieszne.

Nieomal zanim Dale przykucnął, odezwały się jeszcze dwa inne głosy. Zza Bella, spomiędzy szeregowców i resztki jego własnej grupki patrolowej, wystąpili starszy szeregowiec Doll i szeregowiec Witt.

Siedli znacznie bliżej Bella niż Dale'a, który nadal pozostawał na osobności. Bell mimo woli mrugnął do nich.

To mrugnięcie zaskoczyło Dolla, który ciągle był rozeźlony sukcesem patrolu Charliego Dale'a w zestawieniu ze swoim własnym.

Dlaczego, do cholery, ktoś może chcieć mrugać? Od chwili, gdy się odezwał i postąpił naprzód, Doll znowu czuł serce w gardle, a oczy mu się mgliły. Poruszanie językiem w ustach przypominało pocieranie o siebie dwóch wilgotnych kawałków bibuły. Nie pił wody od przeszło czterech godzin i pragnienie stało się tak

bardzo częstą jego samego, że nie pamiętał, by kiedykolwiek go nie odczuwał. Ale to drugie było czymś innym, ta bibuła w ustach była suchością strachu, i Doll to rozpoznał. Czy Bell chciał go ośmieszyć? Popróbował uśmiechnąć się lekko, zimno, ostrożnie do Bella.

Z kolei Witt, który<sup>1</sup> siedział odprężony w lewo od Dolla i trochę bliżej Bella, uśmiechnął się i także mrugnął do niego. Witt był spokojny. Kiedy dziś rano zgłosił się na ochotnika z powrotem do swojej dawnej kompanii, zdecydował się przejść z nią wszystko do końca. I tak właśnie miał zamiar postąpić. Kiedy Witt coś postanawiał, było to postanowione i koniec. Jeżeli idzie o niego, to ten mały ochotniczy wypad był jeszcze jedną drobną robotą, którą musiało załatwić i wykonać kilku uzdolnionych ludzi, takich jak on. Miał dostateczną ufność w siebie jako żołnierza, aby być pewnym, że da sobie radę w każdej sytuacji wymagającej umiejętności, co zaś się tyczy przypadków czy pecha, to gdyby coś mu się przytrafiło, przytrafiłoby się i koniec. Nie wierzył jednak, żeby tak miało być, a tymczasem był pewny, iż potrafiłby pomóc, a może i uratować kupę starych kumpli – wśród których byli tacy, jak choćby ten pętaś Fife, co nawet nie chcieli, żeby wrócił do jednostki. Ale Witt pragnął pomóc czy uratować tylu, ilu by zdołał, nawet Fife'a, gdyby się tak złożyło.

Oprócz tego wszystkiego Witt już wcześniej, na patrolu, nabrał dużego szacunku i podziwu dla Bella, kiedy ten tak się odślaniał, Witt, który w ciągu swojej kariery był trzy razy kapralem i dwukrotnie sierżantem, potrafił docenić czyjąś inteligencję i odwagę.

I mimo że skąpo udzielał innym swego osobistego uznania, Bell mu się spodobał. Witt czuł, że podobnie jak on sam, Bell ma



zalety prawdziwego przywódcy. Razem mogli wiele zdziałać, wspomóc czy uratować masę chłopaków. Polubił Bella, czy był eks – oficerem. czy nie. Uśmiechnął – się więc i mrugnął z sympatią, po czym obrócił się do Talla, którego nie lubił, czy był pułkownikiem, czy nie.

Pułkownik nie miał okazji przemówić, bo ochotnicy zgłaszali się zbyt licznie i szybko. Miał już czterech, ale zanim zdążył coś do nich powiedzieć, przybyło mu jeszcze trzech, jeden po drugim. Nieco starszawy podporucznik o kalwińskim wyglądzie, który mógłby być kapelanem, ale nie był, wystąpił spomiędzy oficerów kompanii B.

W jego ślady poszedł sierżant z tejże kompanii. A potem własny przyboczny oficer Talla, młody kapitan Gaff, wtrącił swoje trzy grosze i zaofiarował swe usługi.

–Chciałbym poprowadzić tę grupę, panie pułkowniku – powiedział.

Tall podniósł rękę. – Wystarczy, wystarczy. Siedmiu to aż nadto. Uważam, że w tym terenie, gdzie będziecie działać, za wielu ludzi tylko by przeszkadzało. Wiem, że jeszcze znacznie więcej was chciałoby pójść, ale musicie poczekać na inną sposobność.

Usłyszawszy to, kapitan Stein przyjrzał się bacznie przez okulary swojemu dowódcy i ze zdumieniem stwierdził, że Tall mówi śmiertelnie poważnie i wcale nie żartuje. Nie jest nawet ironiczny.

Obróciwszy się do Gaffa, Tall powiedział:

–W porządku, John. Jak chcesz. Obejmiesz dowodzenie. A

teraz...

Fachowo wyjaśnił im operację. Zwięźle, sprawnie, nie pomijając najmniejszego szczegółu czy korzystnej strony, zaplanował ich taktykę. Nie sposób było nie podziwiać zarówno jego umiejętności, jak ich opanowania. Na przykład Stein – a był pewien, że nie jest jedyny – musiał przyznać, iż Tall ma talent i autorytet, których on sam po prostu nie miał.

–Prawie na pewno stwierdzicie, że bunkier jest strzeżony przez mniejsze gniazda kaemów dookoła. Sądzę jednak, że lepiej nie zwracać na nie uwagi i uderzać na sam bunkier, jeżeli tylko się da.

Małe gniazda same padną, jeżeli to duże zostanie wzięte; pamiętajcie o tym.

–To wszystko, panowie – powiedział Tall z nagłym uśmiechem.

–Podoficerowie wrócą na swoje stanowiska, ale oficerów proszę o pozostanie. Zsynchronizuj swój zegarek z moim, John. Zostaw kompanii D... e... dwanaście minut, zanim nadasz przez radio pierwsze wezwanie. Tyle czasu powinno ci zabrać dotarcie tam.

Kiedy mała grupa szturmowa odpełzała w prawo wzdłuż progu, pułkownik Tall już rozmawiał przez telefon z dowództwem batalionu. Kapitan Stein, przykucnąwszy razem z oficerami, którym kazano zostać, spoglądał na swych spragnionych, wyczerpanych ludzi i nie mógł oprzeć się myśli, jak daleko zdołają nacierać pod górę, nawet jeżeli bunkier padnie? Może trzydzieści jardów, zanim pomdleją? Grupa szturmowa zniknęła za rogiem z bocza. Stein znowu skierował swoją uwagę na Talla i

grupkę kompanijnych oficerów, których było przedtem dziesięciu, a teraz zostało tylko sześciu. Kiedy zaś nacierający zbliżali się do miejsca, gdzie Bell się przedtem odstąpił, pułkownik Tall już wyjaśniał oficerom swój dodatkowy plan, gdyby szturm na bunkier się nie powiódł. Gdyby tak się stało, Tall chciał wykonać nocny atak przez zaskoczenie. To oczywiście wymagałoby uprzedniego zorganizowania obrony okrężnej, ażeby byli przygotowani, bo Tall nie miał zamiaru wycofywać się dzisiaj, tak jak to zrobił wczoraj 2 batalion. Sam pozostałby przy dowództwie.

Tymczasem była oczywiście szansa, nikła szansa, że szturm się powiedzie.

John Bell, czołgając się na czele małej, siedmioosobowej grupy szturmowej, nie troszczył się o to, czy atak może się udać. Myślał jedynie o tym że zgłosił się na ochotnika, aby odprowadzić ludzi z powrotem. Nie zgłosił się po to, by razem z nimi walczyć. Ale nikt prócz niego nie zwrócił najmniejszej uwagi na takie subtelności sformułowania. A oto teraz nie tylko ich prowadził, jako szperacz, ale miał bić się razem z nimi, i nie mógł się wycofać, bo wyglądałby na tchórza, łajzę. Duma! Duma! Do jakich głupich, idiotycznych rzeczy zmusza nas w swoim cholernym, zasranym imieniu! Przywarł oczami do tego zmiennego punktu, gdzie występ zniknął za zakrętem zbocza. Mógł mieć akurat takiego cholernego pecha, by stwierdzić, że Japończycy nagle postanowili naprawić swój błąd i ulokowali tam ludzi, by mieli ten występ pod ostrzałem. On, jako szperacz, byłby pierwszym doskonałym celem. Ze złością zerknął za siebie, aby dać reszcie znak, by szli naprzód, i w tym momencie odkrył coś dziwnego. Przestał już o to dbać. Nie dbał o nic w ogóle. Wyczerpanie, głód, pragnienie, brud, znużenie ciągłym

strachem, osłabienie z powodu braku wody, potłuczenia, niebezpieczeństwo – wszystko to tak mu się dało we znaki, że gdzieś w ostatnich paru minutach – Bell nie wiedział dokładnie, kiedy – przestał się czuć człowiekiem.

Tyle różnych uczuć zeń wyciekło, że jego emocjonalny rezerwuar był pusty. Nadal odczuwał strach, ale i on był tak stępiony przez emocjonalną apatię (w odróżnieniu od apatii fizycznej), że stało się to najwyżej trochę nieprzyjemne. Po prostu nie dbał już o nic.

I zamiast nadwerężyć jego zdolność funkcjonowania, świadomość, że już się nie czuje człowiekiem, wzmogła się. Kiedy inni dołączyli, podczołgał się dalej pogwizdując do siebie piosenkę: „Ja jestem automat” na melodię „Boże, błogosław Ameryce”.

A im się zdaje, że są ludźmi! Wszyscy myślą, że są prawdziwymi ludźmi. Naprawdę tak. Jakież to zabawne! Zdaje im się, że podejmują decyzję, kierują własnym życiem i dumnie nazywają siebie wolnymi, indywidualnymi jednostkami ludzkimi. A prawda wygląda tak, że są tutaj i mają tu zostać, dopóki państwo, za pośrednictwem jakiegoś innego automatu, nie każe im iść gdzie indziej, i wtedy pójdą. Ale pójdą swobodnie, z własnej, nieprzymuszonej woli i wyboru, ponieważ są wolnymi, indywidualnymi istotami ludzkimi. No, no.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie przedtem przelaził przez występ, zatrzymał się i wysławszy Witta naprzód dla ubezpieczenia, wskazał te miejsce kapitanowi Gaffowi.

Witt, podczołgawszy się, aby przejąć czujkę – czy raczej posterunek, ponieważ już się nie posuwali – uważał, że jest

człowiekiem, i wierzył, że jest kimś naprawdę. Nawiasem mówiąc, ten problem w ogóle nie przyszedł mu do głowy. Postanowił zgłosić się na ochotnika do swojej dawnej jednostki, powziął decyzję ochotniczego uczestniczenia w tej akcji i uważał siebie za wolną, indywidualną istotę ludzką. Był wolny, biały, miał dwadzieścia jeden lat, nigdy nie przyjął żadnego gówna od nikogo i nigdy nie miał zamiaru go przyjmować, i w miarę jak perspektywa akcji zbliżała się coraz bardziej, czuł, że się cały napina wewnątrz z podniecenia, dokładnie tak jak podczas strajków węglowych w kraju. Miał możliwość dopomożenia, uratowania tylu kolegów, ilu by zdołał, zabicia jeszcze kilku cholernych, pieprzonych Japończyków; pokaże temu zasranemu Ciocie Steinowi, który kazał go przenieść z oddziału, jako malkontenta. Podniósłszy się na kolana z dala od występu, trzymał w gotowości odbezpieczony karabin. Nie na darmo strzelał przez całe życie wiewiórki i nie na darmo był przez sześć lat mistrzem na strzelnicy. Obawiał się jedynie, że coś się może zacząć tam, gdzie kapitan Gaff próbował powziąć decyzję, a on będzie tutaj na czujce – raczej na posterunku – i nie zdoła wziąć w tym udziału.

Ano, niedługo się dowiedzą.

I Witt miał słuszność. Dowiedzieli się dosyć szybko. Kiedy mu pokazano to miejsce, młody kapitan Gaff, który, jeżeli był zdenerwowany, ukrywał to doskonale, postanowił podczołgać się, aby popatrzeć samemu, i wróciwszy zdecydował, że jest to całkiem dobry punkt do obserwacji ognia. Jedyne kłopot polegał na tym, że małe zagłębienie, pokryte rzadkimi, krótkimi łozami, było za nisko, by mógł dociągnąć walkie – talkie ponad występ.

–Czy któryś wie, jak się z tym obchodzić? – zapytał. Bell był”

jedynym, który wiedział. – Okej, to zostańcie poniżej występu, a ja wam będę z góry podawał dane – powiedział Gaff.

Jednakże najpierw sam chciał się połączyć i podać współrzędne.

A potem wyjaśnił swój plan. Kiedy osiemdziesiątki jedynki obrobiją”

to miejsce ile wlezie, on i jego zaufana grupka przeczołgają się przez zagłębienie, sformują linię i potem spróbują podpełznąć jak najbliżej przez trawę i rzucą granaty.

–Okej? – Wszystkie automaty Bella kiwnęły głowami. – Dobra. To idziemy.

Gaff podczołgał się w zagłębienie, nim nadleciały pierwsze pociski. Usłyszeli ich miękkie szu – szu – szu, opadające prawie prosto w dół, nim uderzyły, a wtedy zbocze buchnęło dymem, płomieniem i hukiem. Będąc zaledwie o jakieś pięćdziesiąt jardów od bunkra, zostali obsypani gradem ziemi, ułomków skalnych i małych kawałków gorącego metalu. Ktoś dał znak Wittowi, żeby się schronił pod ściankę występu, i wszyscy przywarli do niej z twarzami przyciśniętymi do ostrej skały i zamkniętymi oczami, przeklinając z nienawiścią tych cholernych, pieprzonych celowniczych moździejy, bo mogli spuścić pocisk za krótko, choć tego nie zrobili. Po piętnastu minutach takiego ostrzału, podczas którego Gaff ustawicznie wykrzykiwał poprawki odległości, kapitan wreszcie ryknął:

–Dobra! Każcie im przerwać! – Bell to powtórzył. – Myślę, że wystarczy! – krzyknął Gaff. – Jeżeli mogli zrobić jakieś szkody, to już je zrobili.

A potem, kiedy tam daleko rozkaz został wykonany, mózdzierze zamilkły i zaległa cisza, która była nieomal równie zabójcza jak huk.

–Okej – powiedział Gaff dużo ciszej. – Idziemy.

Jeżeli mieli jakiegokolwiek ufne złudzenia, że ogień zaporowy mózdzierzy rozwalił i zmiażdżył każdego Japończyka w bunkrze, to zaraz się ich wyzbyli. Kiedy ów starszy, ponury podporucznik z kompanii B o wyglądzie kalwina ruszył pierwszy, począł się wspinać niemądrze prosto w górę, odsłonięty po pas, wskutek czego japoński karabinowy natychmiast przestrzelił go trzykrotnie przez pierś. Porucznik upadł na twarz w małe korytko, co powinien był uczynić przedtem, i zawisł tam, z nogami dyndającymi przez krawędź przed twarzami tych, co byli za nim. Ostrożnie i najdelikatniej jak mogli, ściągnęli go za występ. Ułożony na wznak, z zamkniętymi oczami, oddychając płytko, wydawał się bardziej posępny niż kiedykolwiek. Nie otworzył oczu, przyłożył obie dłonie do przestrzelonej piersi i dalej oddychał krótko, ze swą kalwińską twarzą pełną goryczy, z pokrytymi ciemnym zarostem szczękami polśniewającymi ciemno w późnopołudniowym słońcu.

–No i co teraz zrobimy? – warknął Charlie Dale. – Nie możemy go zabrać ze sobą.

–Musimy go zostawić – odrzekł Witt, który właśnie się zbliżył.

–Nie można go tu zostawić – zaprotestował sierżant z kompanii B.

–Dobra – warknął Dale. – On jest z waszej kompanii. Zostańcie

przy nim.

–Nie – odparł sierżant. – Nie po to zgłosiłem się na ochotnika, żeby przy nim siedzieć.

–Powinienem być być kapelanem – powiedział słabym głosem konający nie otwierając oczu. – A mogłem być, wiecie. Jestem wyświęconym pastorem. Nie powinienem był pchać się do piechoty. Żona mi to mówiła.

–Możemy go zostawić i zabrać, jak będziemy wracali – powiedział Bell. – Jeżeli jeszcze będzie żył.

–Chłopcy, chcecie pomodlić się ze mną? – zapytał porucznik, wciąż z zamkniętymi oczami. – Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje...

–Nie możemy, panie poruczniku – przerwał mu uprzejmie Dale. – Musimy iść dalej. Kapitan na nas czeka.

–Dobrze – odparł porucznik wciąż nie otwierając oczu. – Zrobię to sam. Wy idźcie, chłopcy. Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego...

Kiedy pełzali dalej po jednym, na twarzach i brzuchach, żeby nie zrobić tego samego błędu co on, nikły głos rozlegał się słabo nadal. Dale czołgał się pierwszy, Witt tuż za nim.

–Sukinsyn – szepnął Witt, kiedy znaleźli się w zagłębieniu za rzadką, wątlą osłoną liści. – Szkoda, że nie został kapelanem.

Teraz nas zobaczyli. Już wiedzą, że tu jesteśmy. Będzie piekło.



–Aha. Pieprzyć te jego cholerne modlitwy – powiedział Dale, ale bez wielkiego nacisku. Był zbyt zaprzątnięty rozglądaniem się dokoła rozszerzonymi z napięcia oczami.

Bell ruszył ostatni, ale zatrzymał się przy występie, czując, że powinien coś powiedzieć, jakieś słowo pokrzepienia, tylko co się mówi umierającemu człowiekowi?

–Ano, wszystkiego dobrego, panie poruczniku – wykrztusił wreszcie.

–Dziękuję, synu – odrzekł porucznik z kompanii B nie otwierając oczu. – Który ty jesteś? Nie chcę otwierać oczu, jeżeli nie muszę.

–Jestem Bell, panie poruczniku.

–Aha – powiedział porucznik. – No cóż, jeżeli będziesz miał możliwość, czy mógłbyś odmówić krótką modlitwę za moją duszę?

Nie chcę ci robić kłopotu. Ale to na pewno nie zaszkodzi mojej duszy, prawda?

–Okej, panie poruczniku – rzekł Bell. – Do widzenia.

Kiedy się odczołgiwał wciskając, najmocniej jak mógł, twarz i pierś w ziemię zagłębienia, nikły głos nadal powtarzał słabo jakąś inną modlitwę, której Bell nigdy nie słyszał i nie znał. Automaty.

Religijne automaty, niereligijne automaty. Klub Zawodowych Automatów. Kapelan Gray udzieli błogosławieństwa. Tak jest. Czuł w ustach suchy smak ziemi, do której je przyciskał.

Kapitan Gaff z dowództwa batalionu poczołgał się do samego końca zagłębienia i jakieś dwadzieścia czy trzydzieści jardów dalej, za małą zasłoną łoż.

–Umarł? – zapytał, kiedy inni do niego dołączyli. Byli teraz rozciągnięci szeregiem w zagłębieniu, jeden za drugim.

–Jeszcze nie – szepnął tuż za nim Dale.

Minąwszy małą zasłonę łoż, znaleźli się na bardziej otwartej przestrzeni, choć zagłębienie jeszcze ich kryło, natomiast trawa była tu znacznie rzadsza niż przy występie, i właśnie tu Gaff postanowił wykonać swój ruch naprzód. Powiadomił Dale'a i Witta, którzy byli za nim, i kazał podać dalej, że mają obrócić swą małą linię prawym skrzydłem i na jego znak zacząć się wyczołgiwać z zagłębienia przez trawę ku bunkrowi. Nie mieli strzelać ani rzucać granatów, dopóki nie dałby sygnału. Chciał dotrzeć niepostrzeżenie jak najbliżej bunkra.

–Właściwie – pokazał leżącemu za nim Dale'owi – moglibyśmy pójść stąd prosto. Widzicie? Po tym otwartym kawałku znaleźlibyśmy się za tamtym małym wzniesieniem i myślę, że może udałoby nam się poczołgać dookoła aż za nich.

–Tak jest – powiedział Dale.

–Tylko myślę, że nie ma tyle czasu.

–Tak jest.

–To wymagałoby co najmniej jeszcze godziny pełzania – powiedział Gaff poważnie. – A boję się, że niedługo zrobi się

ciemno.

–Tak jest – powiedział Dale.

–Jak uważacie? – zapytał Gaff.

–„Zgadzam się z panem kapitanem – odrzekł Dale. Żaden pieprzony oficer nie zmusi Charliego Dale'a do wzięcia na siebie odpowiedzialności za to, co sam zrobił.

–Czy wszyscy w tyle już zawiadomieni? – szepnął Gaff:

–Tak jest.

Gaff westchnął. – Okej. To walmy.

Powoli Gaff prześliznął się na brzuchu przez krawędź zagłębienia w trawę, ciągnąc karabin za wylot lufy, zamiast go trzymać przed sobą, żeby nie poruszać trawy bardziej, niż to było absolutnie konieczne. Pozostali ruszyli za nim po jednym.

Johnowi Bellowi przypominało to jakiś obłądny, szaleńczy. koszmar, który miał kiedyś. Łokcie i stopy zapadły mu się w dziury w podściółce starych, zwiędłych łodyg, zawadzając mu i przytrzymując. Kurz i nasiona wypełniały mu nozdrza i dławili go. Łodygi chlastały po twarzy. I wtedy sobie przypomniał: to było tamto pełzanie z Keckiem przez trawę do występu. Więc jednak zdarzyło mu się naprawdę. A teraz Keck już nie żył.

Nikt nie dowiedział się nigdy, co to spowodowało. W jednej chwili czołgali się w kompletnej ciszy, każdy samotny, osobny, bez kontaktu z innymi – a w następnej ogień karabinów maszynowych już smagał i żgał nad nimi i wszędzie dokoła.

Żaden z nich nie wystrzelił, żaden nie rzucił granatu, żaden się nie pokazał. Być może jakiś nerwowy nieprzyjaciel dostrzegł poruszającą się trawę i strzelił, pociągając za sobą wszystkich. Jakkolwiek to było, leżeli teraz w burzy ognia, odcięci od kontaktu ze sobą, niezdolni do podjęcia jakiejś skoordynowanej akcji.» – Każdy pochylił głowę i przywarł do ziemi modląc się do bogów czy bezbożności o przeżycie. Przepadła łączność, a wraz z nią wszelkie dowodzenie i kierowanie. Nikt nie mógł się ruszyć. I właśnie w tym statycznym momencie, grożącym całkowitą klęską, starszy szeregowiec Doll wysunął się na czoło, jako bohater.

Spocony, rozplaszczony w ekstazie paniki, grozy, strachu i tchórzostwa, Doll po prostu nie mógł dłużej wytrzymać. Za dużo przeżył tego dnia. Zawodząc wciąż cienkim falsetem jedno słowo: „Mamo! Mamo!”, którego na szczęście nikt nie mógł dosłyszeć, a już najmniej on sam, zerwał się na równe nogi i zaczął biec prosto na bunkier japoński strzelając z biodra w jedyny otwór strzelniczy, jaki mógł dojrzeć. Jak gdyby zaskoczeni ponad wszelkie rozsądne spodziewanie, Japończycy nagle przerwali ogień. W tej samej chwili kapitan Gaff, uwolniony od swojej chwilowej paniki, zerwał się machając ręką i rycząc: „Wracać!” Za nim reszta grupy szturmowej pognęła co sił do zagłębienia. Tymczasem Doll szarżował dalej wyjękując swoje zaklęcie:

–Mamo! Mamo!

Kiedy wystrzelał wszystkie naboje, cisnął karabin w otwór strzelniczy, dobył pistoletu i zaczął walić z niego. Lewą ręką wyrwał zza pasa granat, przestał strzelać tylko na chwilę, by jednym palcem wyciągnąć zawleczkę, i rzucił granat na zamaskowany dach bunkra, który teraz widział wyraźnie,

ponieważ był zaledwie o jakieś dwadzieścia jardów od niego, i na którym granat wybuchnął niepotrzebnie i bez efektu. A potem, nadal strzelając z pistoletu, Doll pognał dalej. Dopiero kiedy pistolet przestał strzelać z braku amunicji, Doll opamiętał się i uprzytomnił sobie, gdzie jest. Wtedy zawrócił i ruszył pędem. Na szczęście dla siebie nie biegł ku reszcie kolegów, tylko po prostu gnał na oślep w prawo – chociaż miał temu później zaprzeczać. W tym kierunku wygięty występ był tylko o dziesięć jardów i Doll dopadł doń, zanim masa japońskiego ognia, który rozpoczął się znowu po chwili zaskoczenia, zdołała go odnaleźć i skosić.

Kiedy przebiegał te dziesięć jardów, nadleciał od tyłu łukiem nad jego głową jakiś ciemny, krągły, syczący przedmiot i upadł o kilka stóp przed nim. Doll odruchowo kopnął go jak piłkę futbolową i popędził dalej. Przedmiot ów odskoczył parę kroków, i wybuchnął chmurą czarnego dymu obalając Dolla. Jednakże kiedy Doll padał, poczuł, że nic pod nim nie ma; przewalił się przez krawędź występu.

Z dotkliwym bólem w stopie zleciał do jego podnóża, prawie dokładnie w to miejsce, gdzie zginął szeregowiec Catch, wylądował z łomotem, po czym potoczył się jeszcze ze dwanaście jardów w dół po zboczu, nim zdołał się zatrzymać. Przez chwilę leżał – w trawie łapiąc z jękiem powietrze, potłuczony, obolały, bez tchu, na wpół oślepy, myśląc tępo właściwie o niczym. To było niepodobne do innych jego przeżyć: zygzakowatego biegu od pierwszego plutonu, a potem powrotu i znalezienia Chudego Culna, czy nacierania na zbocze z Keckiem. To było przerażające, całkowicie i do gruntu przerażające, bez żadnych łagodzących czy dodatnich momentów. Miał szczerą nadzieję, że nigdy nie będzie musiał o

tym myśleć. Kiedy spojrzął na swój but, zauważył równe, małe, paromilimetrowe rozcięcie tuż nad kostką. Gdzie się znalazł, do cholery? Widział, gdzie jest, ale czy został sam jeden? Co się stało z innymi? Gdzie byli? W tej chwili myślał tylko o tym, że chce być wśród ludzi, aby móc kogoś objąć i aby oni mogli go obejmować. Z tą myślą podniósł się, wdrapał na występ i pobiegł sapiąc wzdłuż niego, aż dotarł do zagłębienia, gdzie niemal wpadł prosto na pozostałych, siedzących pod skałą i dyszących ciężko. Tylko jeden z nich, sierżant z kompanii B, był ranny; ramię miał strzaskane kulą z cekaemu.

–Doll – wysapał kapitan Gaff, zanim Doll zdążył się usprawiedliwić, przeprosić czy wytłumaczyć, co zrobił. – Przedstawiam was osobiście pułkownikowi Tallowi do odznaczenia Zaszczytnym Krzyżem Bojowym. Uratowaliście życie nam wszystkim i nigdy nie widziałem takiej odwagi. Sam napiszę wniosek i dopilnuję jego załatwienia. Przrzekam wam.

Doll nie wierzył własnym uszom.

–To nic takiego, panie kapitanie – wysapał skromnie. – Bałem się. – Widział Charliego Dale'a, który spoglądał na niego z jakąś nienawistną zazdrością, siedząc zdyszany pod skałą. Ach ty pierdoło! – pomyślał Doll z nagłym wybuchem satysfakcji.

–Ale mieć taką przytomność umysłu, żeby pamiętać, że ten występ jest o dziesięć jardów w prawo, to coś wspaniałego! – wydyszał Gaff.

–Ano, wie pan kapitan, ja byłem tam z pierwszym patrolem – odrzekł Doll i uśmiechnął się do Dale'a.

–Tak samo byli i inni – powiedział młody kapitan Gaff. Jeszcze sapał ciężko, ale zaczynał odzyskiwać dech. – Nic wam się nie stało? Nie jesteście ranni?

–Sam nie wiem, panie kapitanie – uśmiechnął się Doll i pokazał im małe rozcięcie na bucie.

–Od czego to?

–Od japońskiego granatu ręcznego. Kopnąłem go precz. – Pochylił się, żeby rozwiązać sznurowadło. – Muszę zobaczyć.

W bucie znalazł mały kawałek metalu, który zsunął się na dno jak kamyczek, ale prawdę mówiąc nawet go nie czuł biegnąc wzdłuż występu.

–Uch! Myślałem, że mam kamień w bucie – skłamał ze śmiechem. Odłamek trafił go w kostkę tuż nad jej wypukłością i skaleczył ją lekko; trochę krwi wyciekło do przepeconej skarpetki.

–Rany boskie! – wykrzyknął Gaff. – To tylko zadrapanie, ale jak Boga kocham, przedstawiam was też do odznaczenia za rany.

Zasłużyliście na nie. Ale poza tym nic wam nie brakuje?

–Straciłem karabin – powiedział Doll.

–Weźcie ten porucznika Graya – powiedział Gaff. Rozejrzał się na innych. – Musimy – wracać. I powiedzieć im, że nie mogliśmy zdobyć przedmiotu natarcia. Może kilku z was pociągnie porucznika Graya? – Obrócił się do sierżanta z kompanii B. – W porządku, sierżancie? Da pan radę?

–Nic mi nie jest – odrzekł sierżant z uśmiechem, który był raczej bolesnym grymasem. – Boli tylko, kiedy się śmieję. Ale chcę podziękować wam! – powiedział obracając się do Dolla.

–Proszę mi nie dziękować – odparł Doll i uśmiechnął się skromnie, z błyszczącymi oczami, z nową wielkodusznością, zrodzoną z tego nagłego uznania. Zapomniał już, że chciał kogoś objąć czy żeby inni go objęli. – Ale co z panem? Nic panu nie będzie? – Spojrzał na okrwawioną dłoń sierżanta, z której krew ściekała powoli, podczas gdy ręka zwisała bezwładnie wzdłuż jego boku, i nagle zląkł się znowu.

–Jasne, jasne – odpowiedział radośnie sierżant. – Dla mnie już się to skończyło. Będę wracał do domu. Mam nadzieję, że jestem trochę kaleka.

–Chodźcie, chłopcy – powiedział kapitan Gaff. – Ruszamy.

Możecie obgadać to później. Dale, wy razem z Wittem ciągnijcie porucznika Graya. Bell, wy pomożecie sierżantowi. Ja zabiorę walkie – talkie. Doll, ubezpieczajcie nas od tyłu. Ci mali żółci bracia, jak pułkownik lubi ich nazywać, mogą posłać tu jakichś ludzi za nami.

Mała grupka, tak uszykowana, ruszyła z powrotem. Japończycy nikogo za nią nie wysłali. Z Gaffem niosącym radio, dalej Bellem i sierżantem z kompanii B, następnie Dale'em i Wittem wlokącym ciało zabitego porucznika za obie nogi i wreszcie Dollem zamykającym pochód, nie wyglądali zbyt imponująco, kiedy dowództwo batalionu ujrzało ich wyczołgujących się z za rogu. Ale Gaff rozmawiał z nimi w drodze powrotnej.



–Myślę, że jeżeli jutro jeszcze raz dadzą nam szansę, możemy zdobyć ten bunkier – mówił. – Co do mnie, to zgłoszę się na ochotnika. Jeżeli przeczołgamy się przez tę otwartą przestrzeń za tamto małe wzniesienie, możemy zejść od tyłu i uderzyć na nich z góry.

To właśnie powinni byliśmy zrobić dzisiaj. W ten sposób możemy cholernie łatwo obrzucić ich z góry granatami. I powiem o tym pułkownikowi.

Rzecz dziwna, nie było ani jednego, który by nie chciał z nim pójść – oczywiście poza sierżantem z kompanii B, który iść nie mógł. Nawet John Bell chciał pójść, tak samo jak inni. Wszystko automatycznie. Co to jest? Dlaczego? Bell nie miał pojęcia. Czym była ta osobliwa, masochistyczna, samoniszcząca cecha w nim samym, która sprawiała, że pragnął wyjść na otwarte, wystawić się na niebezpieczeństwo i ogień maszynowy tak jak wtedy za pierwszym razem przy zagłębieniu? Raz, będąc dzieckiem – (raz? wiele razy i na różne sposoby, ale szczególnie wtedy, gdy miał piętnaście lat, i to wspomnienie naszło na niego z taką siłą, jak gdyby tam był i przeżywał to znowu) – raz poszedł na włóczęgę po lesie niedaleko swego miasteczka w Ohio. W lesie tym było urwisko i jaskinia, jeżeli można nazwać jaskinią dziurę w skale na cztery stopy głęboką, a nad urwiskiem był jeszcze kawałek lasu, który po jakichś pięćdziesięciu jardach kończył się przy żwirowej wiejskiej drodze.

Po jej drugiej stronie rolnicy pracowali na swoich polach. Bell, słysząc ich głosy oraz parskanie koni i brzęk uprzęży, doznał dziwnego, słodkiego, tajemnego podniecenia. Zerkając przez zasłonę liści na krańcu lasu, dojrzał ich – czterech ludzi w kombinezonach i gumowych butach, którzy stali przy płocie, ale

oni nie mogli go widzieć. Tą żwirową drogą jeździło wiele wozów. Jeden z nich, wiozący mężczyznę i trzy kobiety, zatrzymał się na rozmowę z czterema farmerami i Bell nagle już wiedział, co robi. W słodkim, gorącym przypiływie targającego wnętrzości podniecenia wycofał się między drzewami prawie do krawędzi urwiska i zaczął się rozbierać.

Nagi jak go Pan Bóg stworzył, w ciepłym, pachnącym, czerwcowym powietrzu, z pulsującą erekcją, podkrał się jak Indianin z powrotem do zasłony listowia, bezgłośnie rozgniatając bosymi stopami gałązki i zeschnięte liście; pozostawił ubranie i sandwicze, bo to należało do jego planu – ubranie musiało być dostatecznie daleko, aby nie zdążył do niego dobiec, gdyby go przyłapano czy zobaczono, bo inaczej byłoby to oszukaństwem – i stojąc tuż pod „zasłoną listowia, skąd mógł widzieć tych ludzi i wyraz ich twarzy, drżąc gwałtownie z podniecenia i rozognienia, zaczął się onanizować. Czołgając się teraz za kapitanem Gaffem pod występem skalnym na Guadalcanal, pomagając rannemu sierżantowi, John Bell zatrzymał się i zapatrzył, przeszyty nagłym objawieniem. A tym objawieniem, które wywołały dawne wspomnienia i które musiał sobie uświadomić, było, że jego zgłoszenie się na ochotnika, wspięcie się do zagłębienia za pierwszym razem, a nawet uczestnictwo w nieudanym natarciu – wszystko to w jakiś sposób, którego nie potrafił całkowicie zrozumieć, było seksualne, równie i bardzo podobnie seksualne jak tamten epizod z dzieciństwa przy żwirowej drodze.

–Uch! – jęknął obok niego sierżant. – Cholera jasna!

–O przepraszam! – powiedział Bell.

Przez długi czas nie myślał o tamtym zdarzeniu. Kiedy je

opowiedział swej żonie, Marty, podnieciło ją także i oboje popędzili do łóżka, żeby się kochać. Och, Marty! Ten niemy krzyk był jak wybuch, który wydarł się mimowolnie z jego trzewi.

Z tą – swoją nową wiedzą Bell popatrział ukradkiem na innych. Czy zatem ich reakcje też były seksualne? Jak się tego dowiedzieć?

Nie miał pojęcia. Natomiast wiedział, że on, tak jak to oznajmili wszyscy inni, znów pójdzie jutro na ochotnika, jeśli nadarzy się sposobność. Był to częściowo esprit de corps i bliskość koleżeństwa wynikająca ze wspólnego przeżycia czegoś trochę cięższego niż reszta. Częściowo sprawił to kapitan Gaff, którego coraz bardziej lubił i szanował. Ale częściowo, przynajmniej dla niego, było to tamto drugie, co nie bardzo potrafił nazwać, to coś seksualnego. Czy tak samo mogło być i z innymi? Czy to możliwe, że wszelka wojna jest w gruncie rzeczy seksualna? Nie tylko w jakiejś psychologicznej teorii, ale faktycznie, rzeczywiście i emocjonalnie? Jakieś seksualne zboczenie? Czy kompleks seksualnych zboczeń? To byłaby zabawna teza, do licha.

Jednakże bez względu na to, czy Bell mógł wykryć w swoich kolegach jakiegokolwiek pobudki seksualne, a wykryć ich nie mógł, zdołał odczytać w ich twarzach coś innego. To duchowe odrętwienie i uczucie, że już się nie jest człowiekiem, które zauważył w sobie, szybko narastało w twarzach wszystkich. Było to widoczne nawet u Gaffa, który przebywał z nimi zaledwie od kilku godzin. A zatem Bell nie był sam. I kiedy kulejąc i liżąc swe rany dobrnęli do dowództwa batalionu, które zaczynało już przybierać wygląd stałej, zorganizowanej pozycji – czym było w istocie lub wkrótce miało się stać – Bell dostrzegł tę samą niehumanizację w wielu twarzach, w jednych bardziej niż w innych,

ale we wszystkich prawie dokładnie odmierzalna proporcjonalnie do tego, co właściciel danej twarzy przeszedł od świtu. Poza grupką szturmową Bella było to najbardziej widoczne u tych, którzy wyruszyli pierwsi razem z Keckiem.

Było już bardzo blisko zmroku. Stwierdzili, że podczas ich nieobecności większość kompanii C z rozkazu pułkownika Talla już się okopała kilka jardów za występem. Jak się okazało, słyszeli ich małą bitwę, ocenili ją prawidłowo jako porażkę, i z tej przyczyny B – jak – Baker otrzymała rozkaz przejścia poniżej i na tyły Charlie zaginając na zbocza skrzydła, aby się połączyły, i tym sposobem zamknęły koło obronne, a teraz wszyscy pilnie kopali sobie doły na noc. Nie miało być żadnego wycofania. Doły dla małej grupy szturmowej już były wykopane, także na rozkaz pułkownika Talla.

Okazało się też, jak się prawie natychmiast dowiedzieli, że jutro będą znów uderzali na bunkier. Pułkownik Tall powiedział im to wyraźnie, gdy tylko odebrał raport od kapitana Gaffa. Planowi pułkownika Talla, by atakować w nocy, o którym nic nie wiedzieli i usłyszeli ze zdumieniem, sprzeciwił się dowódca dywizji. Ale pułkownik Tall mówił, że przynajmniej to zaproponował. W każdym razie zgodził się całkowicie z taktyczną interpretacją kapitana Gaffa.

Uściskał dłoń najpierw Dollowi ze względu na przedstawienie go do krzyża, potem zaś wszystkim innym, oczywiście z wyjątkiem porucznika Graya, który już był w drodze powrotnej do Wzgórza 209 na noszach. Następnie, wetknąwszy pod pachę swą bambusową trzcinkę, pułkownik odprawił żołnierzy i przystąpił do omówienia z oficerami dyspozycji na jutro.

Plan, który pułkownik Tall obmyślił otrzymawszy wiadomość o odrzuceniu jego propozycji nocnego natarcia, brał pod uwagę wszystkie ewentualności i wykorzystywał – jak szybko zauważył Stein – dzisiejszą sugestię Steina, by zbadać możliwości manewru oskrzydającego z prawej. Stein miał przed świtem poprowadzić swoją kompanię C (bez ludzi pod komendą Gaffa) przez trzecią fałdę i przejść zagłębieniem po prawej w dżungłę, gdzie dzisiaj było tak spokojnie. Jeśliby nie napotkał bardzo silnego oporu,, miał przeć dalej od tyłu na czubek Głowy Słonia.

–Ta Trąba Słonia jest cholernie dobrą drogą ucieczki dla naszych żółtych braci – uśmiechnął się pułkownik Tall. Gdyby Stein zdołał okraczyć ją wyżej, gdzie zbocza są bardziej strome, być może, udałoby się zakorkować całą załogę. Tymczasem kapitan Task podprowadziłby kompanię B do występu i zaczekał tam na zlikwidowanie bunkra przez grupę szturmową Gaffa, nimby rozpoczął swój atak frontalny na zbocze. – Zgadzam się na ten ruch oskrzydający, kapitanie Stein, bo to był przede wszystkim pański pomysł – powiedział pułkownik. Być może, ale tylko być może. I wydało się Steinowi, że była jakaś ukryta dwuznaczność w nieco cierpkim sposobie powiedzenia tego przez Talla.

–Ten Bell... – rzekł Tall po omówieniu swojego planu. Popatrzał ku miejscu, gdzie przewidująco ulokował grupę szturmową w pobliżu dołu Gaffa i swego własnego. – To dobry żołnierz. – Tym razem nie wypowiedziane znaczenie było jasne dla wszystkich obecnych oficerów, ponieważ wiedzieli o oficerskiej przeszłości Bella i o tym, że Tall także ją zna.

–Jasne, że tak! – wtrącił młody kapitan Gaff z chłopięcym entuzjazmem i bez zastrzeżeń.

–W mojej kompanii zawsze go uważałem za świetnego żołnierza  
– rzekł Stein, kiedy Tall zerknął na niego.

Tall nie powiedział nic więcej i Stein tak samo. Nie miał ochoty się wychylać. Stwierdził, że Tall coraz częściej stawia go w sytuacji winnego ucznia, który oblał egzamin, aczkolwiek pułkownik ani razu nie powiedział doń niczego otwarcie czy bezpośrednio. Powoli rozmowy oficerów przykucniętych pośrodku pozycji powróciły do perspektyw na jutro. Było teraz prawie spokojnie; łoskot, który przez cały dzień wisiał wysoko w powietrzu, ustał jakiś czas temu i słychać było tylko sporadyczny ogień karabinowy w oddali. Obydwie strony leżały czekając i dysząc.

I tak też pozostali, kiedy zmrok zgęstniał: pośrodku mała grupka oficerów omawiających jutrzejsze perspektywy i możliwości, dookoła żołnierze w dołach, sprawdzający i czyszczący broń – batalion przy końcu swego pierwszego prawdziwego dnia prawdziwej walki ani zwycięskiej, ani przegranej, nie rozstrzygniętej, wyczerpany, coraz bardziej odrętwiały. Przed zapadnięciem zupełnych ciemności oficerowie rozeszli się do swoich dołów, by się położyć i czekać wraz z żołnierzami na spodziewany nocny atak japoński. Może najgorsze było to, że teraz nikt nie mógł palić. To i brak wody. Późnym popołudniem zemdląło jeszcze paru ludzi, których odniesiono tak samo jak rannych, a wielu innych było na krawędzi omdlenia.

Strach także był problemem, u jednych bardziej, u drugich mniej, zależnie od tego, jak daleko zaszła w nich ta nieludzka drętwota.

John Bell stwierdził, że teraz nie boi się wcale. Trzeba zaczekać, aż zacznie się strzelanina, by poczuć strach.

Ulokowano ich oczywiście po dwóch w każdym dole; jeden miał pilnować, a drugi spać, ale nikt nie spał wiele. Sporo ludzi, spędzając swą pierwszą noc poza własnymi liniami, strzelało do cieni, strzelało do wszystkiego, strzelało do niczego ujawniając swoje stanowiska, ale spodziewany nocny atak Japończyków nie nastąpił, chociaż udało im się poprzecinać kable telefoniczne obu kompanii. Prawdopodobnie byli zbyt osłabieni i znękanii, by atakować. I tak batalion leżał i oczekiwał świtu. Gdzieś około drugiej nad ranem John Bell ponownie dostał ataku malarycznych dreszczów i gorączki tak jak przed dwoma dniami na drodze, tylko że ten był o wiele cięższy.

W najgorszym momencie Bell dygotał tak niepoohamowanie, że nikomu nie przydałby się na nic, gdyby Japończycy zaatakowali. A nie był jedyny. Starszy sierżant Welsh, przyciskając do siebie swą cenną torbę polową, zawierającą oprawną w skórę książkę raportów porannych, w której o zmierzchu już odnotował na jutro wszystkie dzisiejsze zmiany osobowe – „Poległych w akcji, Rannych w akcji, Chorych” – przeszedł swój pierwszy atak malarii, który był gorszy niż drugi Bella, choć nie wiedzieli o sobie wzajemnie. A byli także i inni.

Jeden z żołnierzy, który musiał się wypróżnić, zrobił to w kącie swego dołu klnąc histerycznie i spędził resztę nocy starając się nie wdepnąć w odchody. Za wyjście z dołu można tu było zapłacić życiem.

## ROZDZIAŁ 5

Miliardy ostrych, jasnych gwiazd świeci bezlitosnym blaskiem na całym tropikalnym nocnym niebie. Pod tym połyskliwym baldachimem wszechświata ludzie leżeli czuwając i czekali. Od czasu do czasu takie same wielkie cumulusy jak za dnia, teraz czarne kłęby, sunęły dostojnie tym samym szlakiem po roziskrzonym firmamencie przesłaniając jego części, ale deszcz nie spadł na spragnionych ludzi; Po raz pierwszy, odkąd znaleźli się na tych wzgórzach, nie padało wcale przez noc. Noc trzeba było przetrzymać, przetrzymać na sucho pod jej przepysznym pięknem. Ze wszystkich może tylko pułkownik Tall nim się zachwycił.

W końcu, choć była jeszcze czarna noc, zaczął się ostrożny ruch i szepty poszły wzdłuż linii od dołu do dołu, gdy przekazywano sobie rozkaz wyruszenia. W nieludzkim, nierealnym nieświecie fałszywego brzasku, uwalane, brudne resztki kompanii C – jak – Charlie wysunęły się ze swych dołów i sztywno zespoliły w drużyny i plutony, aby Rozpocząć ruch oskrzydłający. Nie było nikogo, kto by nie miał skaleczeń, sińców czy obtarć po wczorajszym gwałtownym padaniu na ziemię. Pod oblepionymi błotem paznokciami mieli wciśnięte grube wałki brudu, a dłonie zatłuszczone od czyszczenia broni. Stracili w zabitych, rannych czy chorych czterdziestu ośmiu ludzi, czyli trochę powyżej jednej czwartej ich wczorajszej liczby; nikt nie miał wątpliwości, że dzisiaj stracą dalszych. Jedynym pozostałym pytaniem było: Który z nas? Dokładnie kto?

Wciąż wyglądając elegancko, choć był już prawie tak samo ubrudzony jak inni, pułkownik Tall, ze swoją bambusową trzcinką pod pachą i z dłonią spoczywającą na nisko, zawadiacko zawieszanej kaburze, przechadzał się między żołnierzami życząc im powodzenia.

Uściskał dłonie Cioty Steina i Banda. A potem pobrnęli w widmowym świetle wzdłuż grzbietu ku wschodowi, na spotkanie nowego dnia, trawieni pragnieniem. Zanim brzask oświetlił teren, przeszli już za trzecią fałdę – tam gdzie wczoraj tak długo leżeli w przerażeniu i gdzie znajome miejsca wydały się teraz obce – i podążyli zagłębieniem między fałdami do skraju dżungli, gdzie się ukryli, gdzie pułkownik Tall nie chciał wczoraj ich puścić i gdzie nie było widać ani jednego Japończyka. Zbliżając się ostrożnie, ze szperaczami w przedzie, nie znaleźli nikogo. Sto jardów w głąb dżungli odkryli bardzo dogodną, często używaną ścieżkę, na której błoto pokryte było śladami podkutych japońskich butów, zmierzającymi ku Wzgórzom 210. Kiedy się nią posuwali cicho i bez trudności, usłyszeli początek walki na zboczu, gdzie przedtem pozostawili najpierw czterech, a teraz pięciu ochotników z kapitanem Gaffem.

Tall nie czekał długo. Kompania B obsadziła linię dołów za występem. Tall posłał ich naprzód do samego występu i kiedy rozwidniło się dostatecznie, aby coś widzieć,



**pchnął środkowy pluton naprzód do natarcia, którego celem było obrócić w prawo linię opartą o występ, tak aby znaleźć się na wprost bunkra. Z tej pozycji mogli wesprzeć Gaffa.**

**Jednakże ruch środkowego plutonu się nie powiódł. Ogień maszynowy z bunkra i innych stanowisk ukrytych w pobliżu poraził ich zbyt ciężko. Czterech ludzi poległo, a wielu było rannych. Zostali zmuszeni do odwrotu. To był ten odgłos walki, który usłyszała kompania C, a jej niepowodzenie uzależniło wszystko od Gaffa i pięciu ochotników. Musieli teraz wziąć bunkier sami. Tall podszedł do miejsca, gdzie leżeli.**

**Piątym ochotnikiem przy Gaffie był starszy szeregowiec Cash, lodowatooki taksówkarz z Toledo, o złej twarzy, znany w kompanii C jako „Dryblas”. Przedtem, zanim C wyruszyła, Dryblas podszedł w ciemnościach do Talla i tubalnym głosem poprosił, aby mu pozwolono zostać i dołączyć do grupy szturmowej Gaffa. Tall, który nie był przyzwyczajony, żeby zwracali się doń obcy szeregowcy, nie wierzył własnym uszom. Nie przypominał sobie nawet, żeby kiedykolwiek widział tego człowieka.**

**–Dlaczego? – zapytał ostro.**

**–Ze względu na to, co Japonce zrobiły tym dwóm chłopakom z drugiego batalionu trzy dni temu na Wzgórzu 209 – odrzekł Dryblas. – Nie zapomniałem tego i chcę osobiście rąbnąć kilku, zanim mnie dorwą czy zastrzelą, bo wtedy nie będę miał szansy ich zabić.**

**Myślę, że operacja kapitana Gaffa to dla mnie najlepsza okazja.**

**Przez chwilę Tall nie mógł się oprzeć przypuszczeniu, że jest ofiarą jakiegoś wymyślnego i niesmacznego kawału, ukartowanego przez żartownisiów z kompanii Charlie, którzy rozmyślnie posłali doń tego wielkiego draba z głupią prośbą o osobistą, heroiczną wendetę. Na przykład starszy sierżant Welsh miał umysłowość zdolną do takich subtelnych kpin.**

**Jednakże kiedy podniósł wzrok (a musiał to uczynić, choć wcale nie był niski) na tę ogromną, morderczą twarz i lodowate, choć niezbyt inteligentne oczy, stwierdził pomimo błysku gniewu, że ten człowiek jest najwyraźniej szczery. Cash stał z karabinem przewieszonym przez plecy, nie przez ramię, i trzymał w rękach oberżniętą strzelbę śrutową i ładownicę naramienną z nabojami; wieczorem przed natarciem jakiś durny oficer sztabowy wpadł był na znakomity pomysł, by wydać takie uzbrojenie do „roboty z bliska” – co oznaczało, że Cash taskał to draństwo przez cały niebezpieczny wczorajszy dzień. Tall myślał, że wszyscy już je powyrzucali. Nagle, mimo woli, przebiegł po nim lekki dreszcz. Ta bestia była naprawdę potężna! Ale własna reakcja rozgniewała go jeszcze bardziej.**

**–Mówicie poważnie? – warknął. – Tutaj toczy się wojna. Jestem zajęty. Mam przed sobą poważną bitwę.**

**–Tak – odrzekł Dryblas, a potem, przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodał: – To znaczy: tak jest, panie pułkowniku, mówię poważnie.**

**Tall zacisnął usta. Jeżeli ten człowiek chciał zwrócić się z taką prośbą, to musiał wiedzieć, że powinien to zrobić drogą służbową – przez swego dowódcę plutonu i dowódcę kompanii do samego Gaffa – a nie zawracać głowę dowódcy batalionu, kiedy ten miał bitwę do stoczenia.**

**–Czy wy nie wiecie... – zaczął z irytacją, po czym zamilkł. Tall szczyił się, że jest zawodowcem i takie prośby o osobistą zemstę urażały go i nudziły. Zawodowiec powinien ignorować takie – rzeczy i toczyć bitwę czy wojnę tak, jak się ona rozwija. Tall znał oficerów piechoty morskiej, którzy naśmiewali się z dzbanków złota czy złotych zębów japońskich, nazbieranych przez niektórych ich żołnierzy w trakcie kampanii, ale sam wolał nie mieć z takimi sprawami nic wspólnego. Poza tym, choć jego protegowany, Gaff, stracił wczoraj wieczorem dwóch ludzi, doszli wspólnie do wniosku, że doświadczenie i znajomość terenu uzyskane przez pozostałych przy życiu więcej znaczą niż dobranie dwóch surowych zastępców, którzy zapewne byłiby bardziej obciążeniem niż pomocą. A jednak...**

**Tak czy owak ten wielki drań stał nadal, czekając w milczeniu, tak jakby jego życzenie było jedynym na świecie, zagradzając swą ogromną postacią drogę Tallowi, tak że pułkownik nie widział, co się dzieje.**

**Przygryzłszy wargę Tall burknął zimno:**

**–Jeżeli chcecie iść z kapitanem Gaffem, musicie z nim pomówić i poprosić o to. Ja jestem zajęty. Możecie mu powiedzieć, że nie mam nic przeciwko temu. A teraz idźcie sobie, do jasnej cholery! – wrzasnął. Odwrócił się. Dryblas został ze strzelbą w rękach.**

**–Tak jest, panie pułkowniku! – krzyknął za Tallem. – Dziękuję, panie pułkowniku! – I podczas gdy Tall ruszał z miejsca kompanię C, Cash udał się na poszukiwanie Gaffa.**

**Podziękowanie, które Cash wykrzyknął za pułkownikiem, nie było pozbawione małej nuty sarkazmu. Nie po to był przez całe życie taksówkarzem, żeby nie wiedzieć, kiedy go rozmyślnie traktuje z góry człowiek stojący społecznie wyżej, bez względu na jego dużą czy małą inteligencję. Jeżeli idzie o inteligencję, to Dryblas był przekonany, że mógłby być nie mniej inteligentny niż inni – a inteligentniejszy od wielu – gdyby nie to, że zawsze uważał, iż szkoła i historia, i Arytmetyka, pisanie i czytanie, i uczenie się słów są tylko nieciekawą bzdurą, która zabiera człowiekowi czas i nie pozwala mu pochędożyć czy zarobić łatwego dolca. I nadal tak uważał,**

zarówno jeśli idzie o własne dzieci jak i siebie samego. Nigdy nie ukończył pierwszej klasy szkoły średniej, a umiał przeczytać gazetę równie dobrze jak każdy. Co zaś się tyczy inteligencji, to był dostatecznie inteligentny, by wiedzieć, iż oświadczenie pułkownika, że nie ma zastrzeżeń, jest równoznaczne z akceptacją przez Gaffa.

W istocie, rozmawiając z pułkownikiem, Dryblas i tak przez cały czas zamierzał powiedzieć to Gaffowi. Teraz mógł mu powiedzieć zgodnie z prawdą.

Tak. więc w półmroku przedświt Gaff i jego czterej ochotnicy ujrzeli imponujący widok: Dryblasa wynurzającego się nad nimi z ciemności, wciąż dzierżącego swą strzelbę i ładownicę, które tak pieczołowicie przetrzymywał przez całą grozę dnia wczorajszego w leju od amerykańskiego pocisku pośród pierwszego plutonu. Flegmatycznie, bez podniecenia, Dryblas się zameldował. Tak jak przewidywał, został od razu przyjęty – aczkolwiek i Gaff też dziwnie popatrzał na jego strzelbę śrutową. Cashowi pozostało tylko odnaleźć Ciotę Steina, zameldować o zmianie, a potem wrócić, położyć się obok reszty i czekać, aż środkowy pluton kompanii B wykona swoje natarcie i przyjdzie kolej na nich. Dryblas uczynił to z ponurą satysfakcją.

Nie mieli nic do roboty poza rozmową. Przez te pół godziny, podczas której środkowy pluton kompanii B poniósł porażkę i dysząc przewalił się przez występ, ze ściągniętymi twarzami i wytrzeszczonymi oczyma, ich szczęściu leżało kilka jardów niżej na stoku za prawym plutonem kompanii B, który, poza tym, że trzymał prawe skrzydło linii, stanowił także odwód. Było zdumiewające, że im dłużej się w tym tkwiło, tym mniej współczucia miało się dla innych będących pod ostrzałem, dopóki samemu było się bezpiecznym. Niekiedy różnica wynosiła zaledwie kilka jardów. Ale groza ograniczała się coraz bardziej do momentów, kiedy było się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Tak więc podczas gdy środkowy pluton kompanii B strzelał i był ostrzeliwany, bił się i dyszał o trzydzieści jardów za występem, grupa Gaff'a rozmawiała między sobą. Nowo» przybyły Cash wyraźnie dał odczuć swoją obecność.

Sam Dryblas mówił bardzo mało po wyjaśnieniu, dlaczego chciał pójść razem z nimi, lecz mimo to zwracał na siebie uwagę. Zdjął z pleców karabin, ułożył go starannie razem ze strzelbą, aby ziemia nie zanieczyściła zamków, i teraz po prostu leżał bawiąc się ładownicą pełną naboju, wysuwając je i wsuwając w brezentowe tulejki, z twarzą jak obojętna, zła maska. Śrutówka bez pasa była nowiutką, tanio wyglądającą strzelbą automatyczną, z lufą uciętą tuż za czokiem i z pięcionabojowym magazynkiem; same naboje nie były śrutowe, lecz zawierały loftki mogące z bliskiej odległości wybić wielką, szarpaną dziurę na wylot przez człowieka. Była to straszna broń, a Cash wyglądał na takiego, który potrafi dobrze się nią posłużyć. W kompanii C właściwie nikt nie wiedział o nim zbyt wiele. Przybył przed sześcioma miesiącami, jako poborowy, i chociaż zawarł różne znajomości, nie miał prawdziwych przyjaciół. Wszyscy trochę się go bali. Trzymał się na osobności, najczęściej popijał samotnie i chociaż nigdy nie szukał bójkę z nikim, było w jego uśmiechu coś, co mówiło

wyraźnie, że każde rzucone mu wyzwanie będzie radośnie i chętnie przyjęte. Nikt mu go nie rzucił.

Ponieważ miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był odpowiednio zbudowany, w oddziale, w którym fizyczną sprawność do walki uważano za miarę pozycji człowieka, nikt nie miał ochoty go wypróbować. Z wyjątkiem Dużego Queena (nad którym górował wzrostem o pięć cali, chociaż nie ważył tak dużo) był najrościejszy w kompanii. Byli tacy, co nie gardzili chytrymi próbami sprowokowania takiej walki olbrzymów między Dryblasem a Dużym Queenem, po prostu żeby zobaczyć, kto wygra, i robiono wiele zakładów, jednakże nic z tego nigdy nie wyszło. Ciekawe, że tym, z którym Dryblas był najbliższy zawarcia prawdziwej przyjaźni, okazał się Kentuckyańczyk Witt, który ledwie mu sięgał do pasa i który chodził z nim na przepustkę, zanim go przymusowo przeniesiono. Stało się tak dlatego, że Dryblas znał i podziwiał w Toledo wielu Kentuckyańczyków, którzy przyjechali na północ, żeby pracować w fabrykach, i podobało mu się ich silne, uparte poczucie honoru, przejawiające się w pijackich awanturach o kobiety czy bójkach na pięści o lepsze miejsce przy barze. Jednakże tego dnia w ogóle nie odzywał się do Witta, poza zdawkowym bąknięciem powitania. Wszyscy obserwowali z zaciekawieniem Dryblasa i jego strzelbę. Pomimo faktu, że byli już zaprawionymi weteranami tego natarcia i mogli patrzeć na Dryblasa z wysokości swojego snobizmu, jakoś trochę wahali się tego popробować.

Jeżeli idzie o Johna Bella, to już zupełnie zapomniał o torturowaniu i zabiciu przez Japończyków tamtych dwóch ludzi z kompanii G przed trzema dniami. Stało się to zbyt dawno temu i za wiele mu się przydarzyło od owej pory. Kiedy Dryblas przypomniał o tym ku zaskoczeniu wszystkich, Bell pomyślał sobie, że właściwie nie jest to już takie ważne. Ludzie ginęli w taki czy inny sposób.

Niektórzy byli torturowani. Inni dostawali postrzał w bebechy, jak Tella. Jeszcze inni obrywali prosto w głowę. Któż wiedział w gruncie rzeczy, ile tamci dwaj przecierpieli? Tylko oni sami – a już nie istnieli, by o tym opowiedzieć. Jeżeli zaś nie istnieli, nie istniało i tamto, i nie było już ważne. Więc co, do cholery? Żywych i umarłych dzielił mur. I można go było przekroczyć tylko jednym sposobem. To właśnie było ważne. Więc o co tyle hałasu? Bell spostrzegł, że przypatruje się chłodno Dryblasowi i zastanawia się, jakie są jego prawdziwe pobudki poza tą całą bzdurą. Reszta małej grupy najwyraźniej myślała tak samo, co Bell wywnioskował ze szczególnego wyrazu ich twarzy, ale żaden się nie odzywał. O trzydzieści pięć jardów za małym ochronnym występem i powyżej niego środkowy pluton kompanii B wciąż strzelał i walczył, a od czasu do czasu coś pokrzykiwał. O ile Bell potrafił osądzić po odgłosach, niedobitki powinny były wrócić już niedługo. Ostry pazur podniecenia rozdrapywał mu żołądek na myśl, że będzie to oznaczało „niedługo” dla niego samego. A potem nagle, niby wiadro zimnej wody chluśnięte w twarz, to własne najwyższe zobojętnienie wtargnęło w jego świadomość i wstrząsnęło nim uczuciem przerażenia na myśl o swojej zatwardziałej brutalności. Co powiedziałyby Marty o takim mężu, kiedy nareszcie

wróciłby do domu? Ach, Marty, tyle się zmienia – wszędzie. Dlatego też, kiedy środkowy pluton kompanii B przekotłował się z powrotem przez występ klnąc, dysząc, z wybałuszonymi oczyma i rozwartymi ustami, Bell patrzył na tych ludzi z udręką, być może całkiem nieproporcjonalną nawet do ich własnej.

Nie miał pojęcia, co inni z grupy szturmowej myśleli o odwróceniu plutonu. Sądząc po twarzach ich wszystkich, z Cashem włącznie, musieli odczuwać to samo chłodne, ostrożne zobojętnienie, które sam czuł przed chwilą, a teraz tak rozpaczliwie pragnął nie czuć. Ludzie z kompanii B leżeli pod występem nie patrząc na nic, nie widząc nikogo, wciągając powietrze przez spieczone gardła długimi, bolesnymi sapnięciami. Nie było dla nich wody, a potrzebowali jej strasznie. Choć jeszcze nie było naprawdę gorąco, wszyscy pocili się obficie tracąc przez to więcej cennej wilgoci. Wydawali odgłosy podobne do chmary żab w bagnie, a dwóm z nich oczy uciekły w głąb głowy i zemdleli. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby udzielić im pomocy. Ich koledzy nie byli w stanie tego zrobić. A grupa szturmowa tylko leżała i przyglądała się im.

Brak wody stawał się poważnym problemem dla każdego, a miał być jeszcze poważniejszy, kiedy palące równikowe słońce podeszłoby wyżej, ale z jakiejś przyczyny, chociaż na tyłach mieli w bród wody, nie można było dostarczyć jej tak daleko do przodu. Rzecz ciekawa, za wszystkich z grupy szturmowej poruszył to Charlie Dale, ten niewrażliwy, a nie Bell ani Doll. Czy miał wyobraźnię, czy nie, był dostatecznie praktyczny, by wiedzieć, co mówi jego żołądek, i pozwolić mu sobą pokierować.

–Jeżeli nam tu niedługo nie dadzą wody – powiedział dość głośno, żeby wszyscy w pobliżu usłyszeli – to żaden z nas nie da rady dojść na to wzgórze. – Raptem przekręcił się twarzą ku majaczącym w tyle zarysom Wzgórza 209 i zaczął wygrażać pięścią. – Parszywe pierdoły! Parszywe dranie! Drańskie świnię! Macie całą pieprzoną wodę na świecie i wypijacie ją do ostatniej kropli! Nie przepuszczacie jej do nas, co? No więc lepiej przyślijcie trochę waszym cholernym walczącym żołnierzom, bo jak nie, to możecie wziąć tą całą waszą pierdoloną bitwę, wsadzić ją sobie w tłustą dupę i przegrać!

Wykrzyczał ten swój protest, który poniósł się echem wzdłuż występu, gdzie nikt, a już zwłaszcza środkowy pluton kompanii B, nie zwrócił nań uwagi. Reszta jego słów rozplynęła się w napięty, niezrozumiały pomruk, ten zaś, kiedy pułkownik Tall z trzcinką w ręku ruszył ku nim ze swego dołu, przeszedł w pełne respektu, czujne milczenie.

Pułkownik, który stąpał niespiesznie, wyprostowany tak sprężyście, jak tylko mógł – zechciał przykucnąć, by porozmawiać zniżonym, poważnym głosem z Gaffem. A potem znów poczołgali się z Gaffem w przedzie wzdłuż znajomego już teraz występu, znajomego tak dobrze, że niemal przyjaznego – pomyślał John Bell – który jednak mógł okazać się paskudną pułapką, jeśli się w to uwierzyło, i który zniknął z oczu za

**krzywizną wzgórza.**

**Bell podczołgał się przed Charliego Dale'a na drugie miejsce i dotknął pośladków kapitana.**

**–Może pan kapitan pozwoli mi poprowadzić – powiedział z uszanowaniem.**

**Gaff obrócił głowę i spojrzał na niego napiętymi, przymrużonymi oczami. Przez długą chwilę obaj – oficer i eks – oficer – patrzyli sobie uczciwie w oczy. A potem Gaff z raptownym ruchem ręki i głowy uznał swój błąd i dał znak Bellowi, żeby go minął.**

**Przepuścił jeszcze jednego, Dale'a, i znalazł się na trzecim miejscu.**

**Kiedy Bell dotarł do punktu, gdzie zaczynało się zagłębienie i gdzie poległ porucznik Gray, zatrzymał się i wszyscy dołączyli do niego.**

**Gaff nie zadał sobie trudu, by ich zagrzewać do walki. Wyjaśnił im gruntownie operację jeszcze na pozycji. Teraz powiedział tylko:**

**–Wszyscy wiecie, co macie robić, chłopcy. Nie ma potrzeby, żebym wam to znowu powtarzał. Jestem przekonany, że najtrudniejszą częścią podejścia będzie otwarta przestrzeń między końcem tego zagłębienia a grzbietem pagórka. Myślę, że dalej nie będzie już tak źle. Pamiętajcie, że możemy natrafić po drodze na mniejsze stanowiska ogniowe. Wolałbym je wyminąć, jeśli się da, ale może będziemy musieli niektóre zlikwidować, jeżeli zagrodzą nam drogę i zatrzymają nas. Okej, to wszystko.**

**Zamilkł i uśmiechnął się do nich patrząc każdemu kolejno w oczy; jego uśmiech był podniecony, chłopięcy, wesoły, junacki. Tylko z lekka nie pasował do napiętego wyrazu przymrużonych oczu.**

**Kiedy do nich dojdziemy – rzekł Gaff – powinniśmy mieć trochę zabawy.**

**Pojawiło się kilka nikłych uśmiechów, bardzo podobnych do jego własnego, choć nie tak wyraźnych. Tylko Witt i Dryblas uśmiechali się naprawdę szczerze. Ale wszyscy byli mu wdzięczni. Od wczoraj każdy, z wyjątkiem Dryblasa, bardzo polubił kapitana. Przez cały poprzedni wieczór, noc, a potem przygotowania przed świtem pozostawał przy nich, poza naradami z pułkownikiem Tallem, i poświęcał im swój czas. Żartował, pochlebiał, podtrzymywał ich na duchu, mówił dowcipy, opowiadał sprośne historie ze swej młodości w West Point i później, o wszystkich fajnych dziwkach, które wyobracał – krótko mówiąc, traktował ich jak równych sobie. Nawet dla Bella, który niegdyś do takich należał, było po trosze emocjonujące i dosyć pochlebne, że jest traktowany jak równy przez oficera, a dla innych tym bardziej. Poszliby za Gaffem wszędzie. Obiecał, że kiedy już przejdą przez to całe draństwo i wrócą, urządzi im się największy ochlaj w ich życiu, wszystko na jego koszt. I za to**

też byli mu wdzięczni. Obiecując to, nie napomknął, że spiją się razem „ci, którzy przeżyją” czy „pozostaną”, zakładając milcząco, że wszyscy będą obecni na tym ubawie. I byli mu wdzięczni także i za to. Teraz popatrzał na nich raz jeszcze, ze swoim chłopięcym uśmiechem młodego poszukiwacza przygód pod napiętymi, przymrużonymi oczami.

–Od tego miejsca ja poprowadzę – powiedział – bo sam chcę wybrać drogę. Gdyby coś mi się stało, przejmie dowodzenie sierżant Bell, dlatego ma iść na końcu. Sierżant Dale będzie zastępcą dowódcy. Obaj wiedzą, co robić.

–Okej, idziemy! – Było to bardziej westchnieniem niż ochoczym okrzykiem.

Zaczęli się czołgać wąskim, wyczuwalnie niebezpiecznym, dobrze znanym wgłębieniem, z Gaffem na przedzie, a każdy ze szczególną ostrożnością zbliżał się do miejsca, gdzie rozwierało się ono na występ i gdzie porucznik Gray, kaznodzieja, dał się przez roztargnienie zabić. Dryblas Cash, dla którego to wszystko było nowe, zachowywał specjalną ostrożność. John Bell, czekając, aż wszyscy się wyczołgają, spostrzegł, że Charlie Dale patrzy na niego z wyrazem pełnej zaskoczenia, lecz mimo to nienawistnej wrogości. Dale został mianowany pełniącym obowiązki sierżanta co najmniej na godzinę przed Bellem i z tej przyczyny powinien był mieć nad nim starszeństwo. Bell mrugnął do niego, a Dale odwrócił wzrok. W chwilę potem nadeszła kolej Dale'a i wpełznął w zagłębienie nie oglądając się za siebie. Pozostał między nimi tylko jeden człowiek, Witt.

Wreszcie przyszła kolej na Bella. Po raz – który? trzeci? czwarty?

piąty? Bell stracił rachubę – wylazł na występ i podczołgał się za rzadką zasłonę łóz. Była już dosyć posiekana przez wszystkie te kule z kaemów, które przez nią dotąd przeleciały.

Dalej w zagłębieniu Charlie Dale, z pochyloną głową, rozmyślał, że tego właśnie można zawsze spodziewać się po wszystkich cholernych, pieprzonych oficerach. Trzymają ze sobą sztamę, jak paczka koniokradów, zdegradowani czy nie. Przez cały wczorajszy dzień wylaził dla nich ze skóry. Został mianowany p.o. sierżanta przez oficera, samego Ciotę Steina, nie przez jakiegoś zasranego sierżanta, takiego jak Keck. I to godzinę temu. A kto dostał dowodzenie? Nie można im było zaufać nawet na tyle, co brudu za paznokciami, tak jak i samemu rządowi, że coś dla człowieka robi.

Wściekły, oburzony, schyliwszy nisko głowę, wpatrywał się w nieruchome stopy Dolla, które miał przed sobą, tak jakby chciał je odgryźć.

W przedzie Gaff czekał spoglądając w tył, aż wszyscy znajdą się bezpiecznie w zagłębieniu. Teraz nie było potrzeby czekać dłużej.

Obróciwszy twarz w prawo spojrzął w kierunku bunkra, ale nie podniósł głowy dostatecznie wysoko, by coś zobaczyć ponad trawą.

Czy tamci czekali? Czy obserwowali? Czy patrzyli właśnie na to otwarte miejsce? Nie mógł tego wiedzieć. Ale jeżeli tak, to nie trzeba było ich naprowadzać pokazując się. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie prosto za siebie, na Casha, który obdarzył go twardym, złym, świdrującym uśmieszkiem, co niewiele pomogło, Gaff zerwał się i trzymając karabin oburącz przed sobą pobiegł nieznośnie powoli, podciągając wysoko kolana, by przeskakiwać wikłaninę trawy kunai, niczym piłkarz biegnący przez stosy starych opon. Było to co najmniej komiczne – zastrzelenie w taki sposób nie miałoby w sobie godności – ale żaden strzał nie padł. Gaff dał nura za wierzch pagórka i legł tam. Odczekawszy całą minutę dał znak następnemu, Dryblasowi, by ruszał. Dryblas, który podciągnął za niego tak samo jak inni, zerwał się od razu i pognął z karabinem objającym mu się o plecy, ze strzelbą śrutową w rękach i dyndającymi paskami od hełmu. Na chwilę, zanim dotarł do wierzchu pagórka, pojedynczy cekaem otworzył ogień, ale Dryblas także dał nura w bezpieczne miejsce. Cekaem zamilkł.

Trzeci z kolei, Doll, upadł. Przebiegł zaledwie około pięciu jardów, kiedy ozwało się kilka kaemów. Tym razem już pilnowali.

Przez otwartą przestrzeń trzeba było przebiec zaledwie dwadzieścia czy dwadzieścia pięć jardów, lecz wydawało się to znacznie więcej.

Doll już oddychał szarpiącymi sapnięciami. A potem noga wpadła mu w dziurę w gąszczu starych traw i przewrócił się. Och, nie! Och, nie! – krzyczał w przerażeniu jego umysł. Nie ja! Nie po tym wszystkim, co przetrzymałem! Nawet nie dostanę medalu! Oślepy, wypluwając nasiona trawy i pył, pozbierał się i ruszył dalej. Miał jeszcze tylko dziesięć jardów do przebiegnięcia i udało mu się. Zwalił się na dwóch pierwszych i legł chwytając dech i życie. Świetliste, obmyte słońce właśnie weszło nad wzgórzami na wschodzie.

Teraz, przy wczesnoporannym świetle słonecznym i ostrych cieniach, wszystkie karabiny maszynowe z bunkra otworzyły ogień polewając kulami zarówno zagłębienie, jak i otwartą przestrzeń.

Pociski pruły nad głowami Dale'a, Witta i Bella seriami, które siekły i kaleczyły biedne, rzadkie krzaczki. Wreszcie przyszła kolej Dale'a, który ciągle był wściekły na Bella.

–Zaczekaj! – wrzasnął za nim Bell. – Zaczekaj! Jeszcze nie idź! Mam pomysł!

Dale rzucił mu jedno nienawistne, wzgardliwe spojrzenie i powstał. Ruszył naprzód bez słowa, pracując przed siebie z sapaniem, jak mały silnik, tak samo jak zeszedł i wrócił



wczoraj po tamtym stoku przed trzecią fałdą. Teraz było wydeptane w trawie coś na kształt ścieżki, i to mu trochę pomogło. Dotarł za krawędź i siadł na pozór całkiem niewzruszony, ale w duchu wciąż zły na Bella. Nic go nie tknęło.

–Chyba zwariowaliście! – krzyknął na niego kapitan Gaff.

–Dlaczego? – odparł Dale. Złośliwie usadowił się, by popatrzeć, co ten pieprzony Bell teraz robi. Hę, hę! Ale bynajmniej nie chciał, by mu się coś stało.

Bell natychmiast zademonstrował swój pomysł. Kiedy wraz z Wittem doczłógali się do końca zagłębienia, a karabiny maszynowe ciągle strzelały nad ich głowami, Bell wyciągnął zawleczkę granatu i cisnął go w bunkier. Ale nie rzucił go na wprost, tylko w kąt utworzony przez występ i zagłębienie, tak że granat upadł przed bunkrem, lecz znacznie bliżej występu. Kiedy wszystkie kaemy skierowały się w tę stronę, co uczyniły natychmiast, Bell i Witt przebiegli bezpiecznie, zanim zdołały obrócić się z powrotem. Było jasne, że wszyscy trzej mogli to zrobić z równą łatwością, i kiedy Bell rzucił się z uśmiechem na ziemię za – osłoną progu, znów mrugnął do Charliego Dale'a. Dale spojrzał na niego spode łba.

–Bardzo sprytne! – roześmiał się Gaff.

Bell mrugnął do Dale'a po raz trzeci. Cholera z nim! Co mu się zdaje, że kim jest? A potem nagle, po tym trzecim mrugnięciu, tak jakby coś – go raptem wstrzymało, Bell uświadomił sobie, że strach, który odczuł tym razem, był znacznie mniejszy, prawie żaden w ogóle, niegodny uwagi. Nawet wtedy, gdy te kule świszczwały mu tuż nad głową. Czyżby się uczył? Czy na tym to polegało? Czy też po prostu przywykł? Stawał się bardziej brutalny, jak Dale. Ta myśl kołatała mu się po głowie jak echo gongu, gdy siedział wpatrzony w pustkę, a potem z wolna zanikła. No i co z tego? Jeżeli odpowiedź brzmi „tak” albo jeśli pytanie nie stosuje się do nas, przejdźmy do następnego. Cholera z tym, pomyślał. Pieprzyć to. Gdyby tylko miał łyk wody, potrafiłby zrobić Wszystko. Cekaemy z bunkra wciąż siekły i obrabiały puste zagłębienie i biedne, rzadkie krzaki, kiedy ruszali dalej.

Gaff im powiedział, że jego zdaniem reszta drogi będzie łatwiejsza, kiedy już przejdą przez tę otwartą przestrzeń – i miał rację. Teren wznosił się stromo dokoła pagórka, który wysterczał ze zbocza, i tutaj wikłanina traw nie była taka gęsta, lecz teraz musieli się czołgać. Było prawie niepodobieństwem dojrzeć zamaskowane gniazda cekaemów, dopóki nie otworzyły ognia, a ryzykować nie mogli. Posuwali się dalej jak ślimaki, pocąc się i dysząc w słońcu z wysiłku. Serce Bella – podobnie jak wszystkich innych – zaczęło bić wzmożonym tętnem, z mieszaniną podniecenia i strachu, która bynajmniej nie była całkiem nieprzyjemna. Wszyscy wiedzieli po wczorajszym dniu, że za pagórkiem jest płytke siodło pomiędzy nim a skalną ścianą, gdzie kończył się występ, i musieli przeczołgać się tym siodłem, aby zająć Japończyków od góry. Wszyscy je wczoraj widzieli, ale nie zajrzeli za pagórek. Teraz

**czołgali się widząc go od strony japońskiej. Nikt do nich nie strzelał i nie dostrzegli żadnych stanowisk. Po lewej, w pobliżu ogromnego wy sadu skalnego, gdzie wczoraj siedmiu Japończyków wykonało swoje głupie przeciwnatarcie, słyszeli tenorowy odgłos japońskich cekaemów, strzelających do kompanii B na występie, lecz do nich nikt nie otworzył ognia. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie zaczynało się siodło, spoceni i na wpół żywi z braku wody, Gaff dał im znak, żeby się zatrzymali.**

**Musiał parę razy przełknąć suchą ślinę, zanim zdołał przemówić.**

**Zostało uzgodnione z pułkownikiem Tallem, że dowódca pierwszego plutonu kompanii B podciągnie swoich ludzi wzdłuż występu do zagłębienia i będzie gotów uderzyć stamtąd na sygnał Gaffa, dlatego też Gaff wyciągnął gwizdek z kieszeni. Siodło miało około dwudziestu czy dwudziestu pięciu jardów długości i Gaff rozmieścił na nim swoich żołnierzy. Ze względu na spadek bunkier poniżej był nadal stąd niewidoczny.**

**–Pamiętajcie, że chcę dojść jak najbliżej, zanim wsadzimy im granaty.**

**W przegrzanym i podnieconym umyśle Bella ta frazeologia kapitana zabrzmiała dziwnie seksualnie, lecz wiedział, że” nie może tak być. A potem Gaff poczołgał się przed nich i obejrzał za siebie.**

**–No, tutaj oddzielimy mężczyzn od chłopców, a owce od tryków – powiedział. – Ruszamy. – Ścisnął w zębach gwizdek i trzymając karabin, z granatem w jednej ręce, zaczął się czołgać.**

**Pełznąąc za nim, żołnierze, pomimo obietnicy wielkiej popijawy na jego koszt, niezbyt chętnie przyjęli te wielkie słowa. Cholera, ja bym lepiej to zrobił – pomyślał Doll wypluwając nasiona trawy. Zapomniał już zupełnie, że ledwie ocalał przemierzając tamtą otwartą przestrzeń, i nagle, bez żadnej widomej przyczyny, przeszła go wściekłość szerząca się niczym jakiś niepowstrzymany pożar lasu. Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz różowych dziur w ich tyłkach! Zesraj się, kiedy będziesz gotowy. Niech wszystko szlag trafi, czołgał się naprzód! Zobaczysz Japońców, to granatami ich!**

**W okopach nie ma bezbożników, kapelanie; srać na nieprzyjaciela!**

**Bez żadnej przyczyny – poza tym, że się bał – był taki wściekły na Gaffa, że mógłby rzucić w niego granatem albo zastrzelić. Na lewo jego główny rywal, Charlie Dale, czołgał się ze zwężonymi oczyma, wciąż nienawidząc wszystkich oficerów, i jeśli idzie o niego, końcowe słowa Gaffa udowodniły jedynie, że miał słuszość.**

**Za Dale'em Dryblas Cash podciągał niedbale naprzód swoje masywne ciało, z karabinem wciąż przewieszonym przez plecy, z załadowaną strzelbą w rękach; nie zgłosił się do tej roboty po to, żeby wysłuchiwać durnych sloganów od smarkatych**

oficerków; owce i tryki, a ucho! – pomyślał w jego twardej głowie taksówkarza nie było wątpliwości, po której stronie będzie, gdy przyjdzie do rozrachunku. Witt, który był za Dryblasem na skraju lewego skrzydła, tylko splunął, wcisnął swą cienką szyję między ramiona i zacisnął zęby. Nie przyszedł tu dla jakichś zasranych heroicznych popisów z West Point, ale dlatego, że był dzielnym człowiekiem i bardzo dobrym żołnierzem, i ponieważ jego dawna jednostka, C – jak – Charlie, potrzebowała go – czy sama o tym wiedziała, czy nie – toteż Gaff mógł mu oszczędzić tego gadania. Powoli, gdy tak się czołgali, lewy skraj bunkra ukazał się o pięćdziesiąt jardów od nich i o dwadzieścia poniżej.

Na prawym krańcu małej linii John Bell w ogóle nie myślał o młodym kapitanie Gaffie. Gdy Gaff uczynił swą próbę wypowiedzenia nieśmiertelnych słów, Bell od razu uznał ją za głupią. Zamiast tego rozmyślał o zdradzie małżeńskiej. Nie miał pojęcia, dlaczego ten temat przyszedł mu do głowy w takim momencie, ale przyszedł i nie mógł się go pozbyć. Zastanawiając się nad tym głęboko, Bell odkrył, że przy poważnej analizie może znaleźć tylko cztery zasadnicze sytuacje: smutny, mały mąż atakujący dużego, silnego kochanka, duży, silny kochanek atakujący smutnego, małego męża, smutny mały mąż atakujący dużą, silną żonę, duża, silna żona atakująca smutnego, małego męża. Ale zawsze był ten smutny, mały mąż. Coś w emocjonalnej treści tego określenia automatycznie sprowadzało wszystkich zdradzonych mężów do rzędu małych i smutnych. Z pewnością wielu dużych, silnych mężów zostało zdradzonych w swoim czasie. Tak, niewątpliwie. Ale nigdy nie można było powiązać ich bezpośrednio z emocjonalną treścią owego określenia.

A to dlatego, że jego treść emocjonalna była w zasadzie śmieszna.

Bell wyobraził sobie samego siebie we wszystkich tych czterech podstawowych sytuacjach. Było to bardzo bolesne, w jakiś nad wyraz nieprzyjemny, ale ogromnie seksualny sposób. I nagle Bell już wiedział – równie dobrze i pewnie, jak wiedział, że czołga się przez to trawiaste siodło na Guadalcanal – że został zdradzony, że Marty mu się sprzeniewierzyła, że sypia, rżnie się z kimś. Zważywszy jej charakter i jego nieobecność, nie było innej możliwości. Zdawało się, że jest to myśl, która od dawna snuła się po krańcach jego umysłu, ale której dotychczas nigdy nie dopuszczał. Tylko czy z jednym mężczyzną? Czy z kilkoma? Co jest lepsze: jeden mężczyzna, oznaczający poważną przygodę miłosną – czy kilku, co oznacza, że Marty jest rozwiązła? Co robi, kiedy wróci do domu? pobije ją? skopie? porzuci? A może włoży jej do łóżka jakiś cholerny granat? Przed nim cały bunkier był teraz widoczny, jego bliższy, prawy kraniec znajdował się zaledwie o dwadzieścia pięć jardów i tylko o kilka jardów poniżej.

I właśnie wtedy spostrzegli ich Japończycy.

Pięciu wychudłych, ubabranych japońskich żołnierzy poderwało się z ziemi trzymając ciemne, krągłe przedmioty, które cisnęli pod górę w nich. Na szczęście

tylko jeden z pięciu granatów eksplodował. Upadł w pobliżu Dale'a, który przetoczył się dwukrotnie od niego, po czym przywarł do ziemi, najmocniej jak mógł, odwróciwszy twarz. Żaden z odłamków go nie trafił, ale w uszach mu zadzwoniło.

–Granatami ich! Granatami! – wrzasnął Gaff przez huk wybuchu i sześć granatów, prawie jak jeden, poleciało łukiem na bunkier. Pięciu Japończyków, którzy się poderwali, przypadło z powrotem do ziemi. Ale w momencie, kiedy granaty zlatywały, dwaj inni pechowcy poderwali się do rzutu. Któryś z granatów padł między stopy jednego i wybuchł prosto w niego odrywając mu stopę i zwalając go na ziemię. Odłamki obaliły drugiego. Wszystkie amerykańskie granaty eksplodowały.

Japończyk z urwaną stopą leżał chwilę bez ruchu, po czym dźwignął się i siadł trzymając następny granat, podczas gdy krew lała mu się z urwanej nogi. Doll strzelił do niego. Japończyk padł na wznak upuszczając obok siebie odbezpieczony granat. Granat nie wybuchnął.

–Jeszcze raz! Jeszcze raz! – wrzasnął do nich Gaff i znowu sześć granatów poleciało łukiem w powietrze. I znowu wszystkie wybuchły. Doll trochę się spóźnił ze swoim z powodu strzału, ale rzucił go tuż za innymi.

Tym razem, kiedy granaty spadały, stało czterech Japończyków, jeden z lekkim karabinem maszynowym. Wybuch granatów powalił trzech włącznie z tym, który miał elkaem, a czwarty rozmyślił się i zniknął w jakimś dole. W małej niecce leżało teraz pięciu Japończyków wyeliminowanych z akcji.

–Naprzód! Naprzód! – krzyknął Gaff i w chwilę później wszyscy zerwali się i pobiegli. Nie musieli już dręczyć się, trapić i martwić tym, czy są odważni, czy tchórze. Cali napompowani adrenaliną, co zwężyło ich obwodowe naczynia krwionośne, podnosiło ciśnienie, przyspieszało bicie serca i wzmagало krzepliwość, byli tak bardzo zbliżeni do automatów pozbawionych odwagi czy tchórzostwa, jak to możliwe u istot z ciała i krwi. W odurzeniu zrobili to, co było trzeba.

Japończycy przemyślnie wykorzystali teren, by sobie oszczędzić kopania. Za dołami, aż do stanowisk ogniowych, było małe, naturalne zagłębienie, gdzie mogli wyjść i zasiąść osłonięci, kiedy ich nie ostrzeliwano, i które także służyło za rów dobiegowy między stanowiskami. Teraz w tej niecce powstali ze swych dołów chudzi, ubrudzeni, z karabinami, szablami i pistoletami, na spotkanie Gaffa i jego ludzi. Przynajmniej wstali niektórzy. Inni pozostali w dołach. Trzech próbowało uciekać. Dale zastrzelił jednego, a Bell drugiego. Trzeciego widziano, jak wielkim skokiem zniknął za krawędzią skały, która tam opadała sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt stóp do czubków drzew dżungli w dole. Nie zobaczono go więcej i nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nim stało. Inni ruszyli naprzód.

A Gaff, dmąc przenikliwie w gwizdek za każdym wydechem, pobiegł im na spotkanie

ze swymi żołnierzami, wyraźnie widocznymi dla kompanii B na występie, dopóki nie zniknęli jej z oczu w niecce.

Dryblas zabił pięciu Japończyków niemal od razu. Jego strzelba rozwalila pierwszego prawie na pół i wyszarpała wielkie kawały ciała drugiemu i trzeciemu. Ponieważ broń podrywała się wyżej za każdym strzałem, czwartemu i piątemu zniosło większą część głowy. Wymachując pustą strzelbą jak kijem baseballowym Dryblas rozmażdżył twarz szóstemu Japończykowi, który właśnie wynurzał się z wykopu, po czym wyrwał granat zza pasa, wyciągnął zawleczkę i wpuścił go do dołu we wrzawę głosów, które zamilkły po głuchym huku eksplozji. Kiedy usiłował ściągnąć z pleców karabin, zaatakował go wrzeszczący oficer z samurajskim mieczem. Gaff strzelił oficerowi w brzuch z biodra i jeszcze w twarz dla pewności, kiedy już leżał. Bell zabił dwóch Japończyków. Charlie Dale zabił dwóch. Na Dolla, który wyciągnął pistolet, natarł inny oficer, krzycząc raz po raz: „Banzaj!” i wywijając nad głową swoim błyszczącym mieczem, gdy biegł na niego. Doll strzelił mu w pierś i jakimś dziwnym, komicznym sposobem nogi oficera nadal biegły, gdy reszta ciała przewracała się za nimi. A potem tors poderwał nogi i Japończyk padł plackiem na ziemię z potężnym łomotem. Doll strzelił mu drugi raz w głowę. Za nim Witt zastrzelił trzech żołnierzy, z których jeden był ogromnym, tłustym sierżantem, dzierżącym czarną przedwojenną, kawaleryjską szablę amerykańską. Osłoniwszy się osadą karabinu przed odgórnym cięciem szabli, które ją przerąbało prawie do lufy, Witt trzasnął go kolbą w szczękę. A potem dostrzelił leżącego. Nagle zaległa ogromna cisza, poza bełkotem trzech Japończyków, którzy stali rzędem, rzuciwszy broń. Wszyscy uświadomili sobie, że dotąd było mnóstwo wrzasku i krzyku, ale teraz odzywały się tylko jęki konających i rannych. Z wolna popatrzyli po sobie i odkryli, że cudownym sposobem żaden z nich nie zginął, ani nawet nie był poważnie ranny. Gaff miał na szczęście guz od strzelania bez przyciśnięcia kolby do policzka. Bellowi zestrzelili hełm z głowy, przy czym kula przebiła metal, przeleciała między nim a fibrową podkładką i wyszła tyłem. Bell miał potworny ból głowy. Witt spostrzegł, że tkwią mu w dłoni drzazgi z rozrąbanej osady karabinu, i bolały go ramiona. Dale miał na goleniu małe draśnięcie od” bagnetu powalonego i konającego Japończyka, który go nim uderzył i którego potem zastrzelił. Patrzyli na siebie odrętwiale. Każdy przedtem gorąco wierzył, że będzie jedynym pozostałym przy życiu.

Dla wszystkich było jasne, że zwycięstwo odniósł Dryblas i jego strzelba, że to on złamał kręgosłup japońskiego oporu, i kiedy później omawiali to wciąż od nowa, byli co do tego zgodni. A teraz, w tej dziwnej, drętwej ciszy – wciąż oddychając ciężko po walce tak samo jak wszyscy – Dryblas, który dotąd nie ściągnął z pleców karabinu, ruszył z charkotem na trzech stojących Japończyków. Pochwycił dwóch za chude szyje, na których prawie zamknęły się jego ogromne dłonie, i zaczął potrząsać tam i z powrotem rżącymi bezradnie, aż hełmy pospadały im z głów, a wtedy szczerząc dziko zęby, jął zderzać ich głową o głowę. Trzask pękających czaszek rozległ się głośno w tej nowej, namacalnej ciszy.

**–Pierdoleni mordercy – powiedział do nich zimno. – Pierdolone żółte japońskie skurwysyny. Zabijać bezbronnych jeńców! Pierdoleni mordercy jeńców!**

**Kiedy ich puścił, podczas gdy reszta stała i patrzyła dysząc ciężko, nie było wątpliwości, że nie żyją albo konają. Krew ciekła im z nosów, a oczy mieli wywrócone w głąb głowy.**

**–To ich nauczy zabijać jeńców – oznajmił Dryblas łypiąc na swoich kolegów. Obrócił się do trzeciego Japończyka, który po prostu patrzył na niego bezrozumnie. Ale Gaff wskoczył między nich.**

**–Potrzebny nam jest. Potrzebny – powiedział wciąż dysząc i sapiąc. Dryblas odwrócił się i odszedł bez słowa.**

**Wtedy to usłyszeli pierwsze okrzyki z drugiej strony i przypomnieli sobie, że nie są tu jedynymi żyjącymi. Podeszedłszy do porośniętej trawą skarpy wyrzeli przez nią i zobaczyli ten sam teren, przez który usiłowali przejść ubiegłego wieczora. Przemierzając go biegiem pluton z kompanii B uderzał teraz na bunkier. Za nim, stąd dobrze widoczne, dwa inne plutony wyszły z za występu i nacierały pod górę, zgodnie z planem pułkownika Talla. A poniżej Gaffa i jego ludzi parł z krzykiem prosto na nich pierwszy pluton.**

**Jakakolwiek była przyczyna, trochę się spóźnili. Walka już się skończyła. Tak przynajmniej wszyscy myśleli. Gaff nieprzerwanie dął w gwizdek od momentu, kiedy ruszyli, aż do końca boju, a oto teraz nadchodzili bohaterowie. Ludziom Gaffa, którzy szykowali się do machania rękami, ironicznych wiwatów i głośnych szyderstw ze swoich „wybawców”, przeszkodził terkot karabinu maszynowego.**

**Wprost pod nimi pojedynczy cekaem otworzył ze szczeliny ogień do plutonu kompanii B. Podczas gdy ludzie Gaffa patrzyli z niedowierzaniem, dwaj żołnierze z kompanii B upadli. Charlie Dale, stojący najbliżej otworu, z którego strzelano, poskoczył z wyrazem zgrozy na twarzy i wrzucił do środka granat. Granat ten natychmiast wyleciał z powrotem. Ze zdławionymi okrzykami wszyscy padli na ziemię. Na szczęście granat odrzucono za mocno, toteż wybuchnął w chwili, gdy przelatywał przez krawędź skały – tam gdzie przedtem zniknął wielkim skokiem ów Japończyk – i nie zranił nikogo. Cekaem pod nimi strzelał nadal.**

**–Uważaj, baranie! – krzyknął Witt do Dale'a i zerwał się na równe nogi. Wyciągnął zawleczkę granatu i trzymając go z przyciśniętą łyżką złapał karabin i pognął do otworu. Wychylił się z za jego prawej krawędzi i trzymając lewą ręką karabin jak pistolet, z kolbą opartą o nogę, począł strzelać w otwór z półautomatycznego garanda. Z dołu doleciał krzyk. Ciągłe strzelając Witt wrzucił granat do środka i odskoczył. Strzelał nadal, aby zdezorientować załogę. A potem granat wybuchnął z tęnym, potężnym hukiem zagłuszając zarówno kotłowanie krzyków, jak i cekaem,**

**który nie przestawał strzelać.**

**Natychmiast inni członkowie małego oddziału, nie potrzebując żadnych rozkazów Gaffa, zaczęli bombardować cztery pozostałe bunkry stosując technikę Witta. Obrzucali granatami je wszystkie, czy ktoś tam był, czy nie. A potem zawołali do plutonu kompanii B, żeby podchodził. Później znaleziono cztery japońskie trupy, skulone lub rozciągnięte, zależnie od temperamentu, na tej małej przestrzeni, którą Witt zbombardował. Przyszła na nich śmierć i spotkali ją, jeżeli nie szczególnie dzielnie, to przynajmniej z poczuciem nieuchronności.**

**Tak więc walka o punkt oporu była zakończona. I ze wszystkimi bez wyjątku stało się coś nowego. Widać to było po uśmiechniętych twarzach żołnierzy z plutonu kompanii B, kiedy wspinali się przez bunkier pozostawiwszy za sobą pięciu kolegów w trawie kunai. Widać to było w uśmiechniętej twarzy pułkownika Talla, gdy kroczył za nimi z bambusową trzcinką w ręce. Objawiało się to w dzikiej radości, z jaką grupa Gaffa bombardowała puste bunkry stosując technikę Witta: jeden strzela, a drugi wrzuca granaty.**

**Nikt w gruncie rzeczy nie dbał o to, czy ktoś był w środku, czy nie...**

**Mieli natomiast nadzieję, że są tam całe setki. Było coś radosnego w bezpiecznym zabijaniu. Klepali się wzajemnie po plecach i morderczo szczyrzyli do siebie zęby. Jak miał później powiedzieć pułkownik Tall dziennikarzom i korespondentom, kiedy przeprowadzali z nim wywiad, nareszcie się wykrwawili. I jak miał później powiedzieć pułkownik Tall, posmakowali zwycięstwa. Stali się bojowymi żołnierzami. Dowiedzieli się, że nieprzyjaciela, tak jak ich samych, można zabić, można pokonać.**

**To poczucie wywarło ogromny wpływ na każdego. Było to widoczne w sposobie nacierania dwóch pozostałych plutonów z kompanii B pod górę, co pułkownik Tall podkreślił, kiedy przymaszerował z uśmiechem, aby pogratulować kapitanowi Gaffowi.**

**–Popatrz, jak idą! – powiedział, gdy stojąc na obwałowaniu uściskał mu dłoń. – A wszystko to zawdzięczamy tobie, John.**

**Kiedy zobaczyli, jak wykonałeś swoje natarcie i zwyciężyłeś, było tak, jakbyś im włożył serca z powrotem w piersi. No, a teraz rozejrzyjmy się tutaj.**

**Po dokonaniu pełnego obliczenia okazało się, że w małej niecce leży dwudziestu trzech Japończyków. Byli rozrzućeni w rozmaitych pozycjach i postawach. Pięciu rozwalił grad ręcznych granatów, a dwóch zastrzelono, gdy próbowali uciekać. Z tych dwudziestu trzech większość była martwa, kilku jeszcze konało, a paru, choć ciężko rannych, wyglądało na to, że mogą żyć. Gaffowi i jego grupie, kiedy chodzili za pułkownikiem, wydawało się, że, powinno ich być znacznie więcej. Mieli**

wrażenie, że pamiętają całe setki. Jednakże przy omówieniu stwierdzono, że co najmniej czterech Japończycy zostali „zabici” dwukrotnie przez różnych ludzi. Ale i tak była to niezła liczba. Zwłaszcza kiedy uprzytomniono sobie, że w grupie szturmowej było tylko sześciu, a ten cud, że żaden z nich nie poległ, wydawał się niewiarygodny. Stało się tak częściowo dlatego, że Japończycy wyszli małymi, nie skoordynowanymi grupami. Ale głównie przypisywano to Dryblasowi i jego strzelbie, nie tylko dlatego, że zabił tak szybko pięciu nieprzyjaciół, ale także ze względu na oczywisty wstrząs, jakim to było dla pozostałych. Dryblas na razie nie czerpał żadnej przyjemności z tej nowej sławy, aczkolwiek ludzie z plutonu kompanii B spoglądali nań oczyma pełnymi czci dla bohatera. Krążył tam i z powrotem dokoła jedyne go pozostałego jeńca niczym wilk próbujący dobrać się do zamkniętej w klatce ofiary. Jego strzelba była złamana, ale zdjął teraz z pleców karabin. Zdawał się czekać z nadzieją, aby Japończyk zrobił jakikolwiek, ruch, za który miałby prawo go zabić.

Jeniec wyglądał tak, jakby był niezdolny do ucieczki gdziekolwiek, nawet gdyby go nikt nie pilnował. Brudny i wychudzony, miał ciężką dyzenterię i ustawicznie dawał do zrozumienia dozoruującym go żołnierzom z kompanii B, że musi się wypróżnić. Czynił to całym systemem znaków i pantomimy. Potem kuczał przy dwóch martwych kolegach i wytęczał swoje nieszczęsne kiszki, przez cały czas zerkając na Dryblasa. Najwidoczniej już kilka razy popuścił w spodnie podczas walki, kiedy nie mógł wyjść na zewnątrz, i śmierdział tak mocno, że czuć go było o kilka kroków. W ogóle przedstawiał bardzo żaloszny widok.

Jednakże jeśli cokolwiek w tym żalosznym stworze wzruszyło Dryblasa, nie ujawnił tego na swojej twardej, złej twarzy. Tak samo i inni, z pułkownikiem Tallem włącznie – aczkolwiek Tall od razu zauważył coś szczególnego w dwóch martwych jeńcach.

Łatwo było to dostrzec. Leżeli obok siebie tworząc wraz z trzecim, nadal żyjącym, mały szereg z dala od reszty. Ich hełmy leżały przy nich i poza krwią ciekącą z nosów nie było widać żadnych śladów uszkodzeń czy ran.

–Co tu się stało? – mruknął Tall do Gaffa. Już przedtem odwrócił się z odrazą od cuchnącego, żywego jeńca.

Gaff tylko uniósł brwi, tak jakby też nie wiedział. Nie chciał kłamać przełożonemu, ale nie chciał też donosić na swoich. Związała go z nimi silna lojalność, która nieomal wyciskała mu łzy z oczu, gdy o tym myślał.

Tall obrócił się do zabitych. Wyglądali prawie równie żalosznie i równie cuchnęli jak ten żywy. Tall zorientował się dosyć dobrze, co zaszło, ale nie mógł zrozumieć metody. Powinni by mieć głowy wgniecione albo być zakłuci bagnetem czy zastrzeleni. Nie lubił takich rzeczy, lecz z drugiej strony należało być wyrozumiałym dla ludzi w gorączce walki. Ale jak to zostało zrobione?



–Jakieś urazy od wybuchu? – zapytał Gaffa. – Ale przecież nie widać żadnych ran od odłamków. – Nie spodziewał się, że Gaff mu odpowie, i Gaff nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. – No, cóż – rzekł Tall z uśmiechem, dość głośno, by wszyscy dokoła go usłyszeli – jeden zabity żółty brat to o jednego żółtego brata mniej, no nie? – W końcu i tak dojdzie do niego prawda o tym, jak to się stało, tego był pewny.

–Pilnujcie dobrze tego, chłopcy! – zawołał do strażników z kompanii B. – Będzie potrzebny wywiadowi. Niedługo ktoś powinien tu się zjawić.

–Rozkaz, panie pułkowniku – wyszczerzył zęby jeden z żołnierzy. – Będziemy go dobrze pilnowali.

Pchnął wylotem lufy jeńca, który znowu przykucnął i wypróżnił się, i przewrócił go do tyłu w jego własne odchody. Wszyscy dokoła się roześmieli, a jeniec pozbiierał się z ziemi i zaczął cierpliwie próbować obetrzeć się garściami trawy. Najwyraźniej spodziewał się takiego traktowania i jakby tylko usiłował zyskać na czasie czekając, aż go zastrzelą. Tall odwrócił się znowu. Nie zamierzał wywołać takiej reakcji, ale żołnierz z kompanii B (właściwie jeszcze prawie chłopiec) zrozumiał opacznie jego słowa o zabitych żółtych braciach. Tall odszedł, a za nim Gaff. Po drugiej stronie niecki inny żołnierz z kompanii B właśnie skończył dudniąc kopać w żebra jednego z rannych Japończyków. Brzmiało to tak, jakby ktoś skopywał piłkę futbolową z niecki po zboczu. Ranny Japończyk po prostu wpatrywał się w niego przyzwalającymi, otępiałymi z bólu, zwierzęcymi oczyma.

–Nie róbcie tego, żołnierzu! – krzyknął ostro Tall.

–Okej, panie pułkowniku, jeżeli pan tak każe – odparł wesoło tamten. – Ale on by mnie zabił w sekundę, gdyby miał szansę.

Tall wiedział, że to prawda, i nic nie odrzekł. Zresztą nie chciał nadwerężyć tej nowej twardości ducha, która przyszła na ludzi po osiągnięciu tutaj sukcesu. Ten duch był ważniejszy od tego, czy paru japońskich jeńców zostanie skopanych albo zabitych.

–Myślę, że już dość czasu zmarnowaliśmy tutaj – powiedział głośno, z uśmiechem przeznaczonym dla żołnierzy.

–Panie pułkowniku. – odezwał się niepewnie zza jego pleców Gaff, i Tall obrócił głowę. – Mam kilka wniosków o odznaczenia, które chciałbym panu przekazać.

–Tak, tak – uśmiechnął się Tall. – Oczywiście. Wydostaniemy dla nich wszystko, co zdołamy. Ale później. Tymczasem chcę, żebyś wiedział, że osobiście przedstawiam cię do czegoś, John. Być może... – powiedział i pochyliwszy się w przód, ujął Gaffa lekko za klapę bluzy, i szepnął: – Być może nawet... do Głównego.

**–Dziękuję, panie pułkowniku. Ale nie uważam, żebym na to naprawdę zasłużył.**

**–O tak, i owszem. Jednakże uzyskanie go dla ciebie będzie innym problemem. Ale gdybyś go dostał, byłaby to duża rzecz dla batalionu, a także dla pułku. – Puścił klapę i wyprostował się. – Tymczasem jednak myślę, że lepiej się stąd zabierajmy. Uważam, że najlepiej będzie podejść prosto na to siodło, którym zeszlście, zamiast okrążyć pagórek od lewej. Z wierzchołka możemy wyjść do natarcia i rozciągnąć naszą linię w lewo, żeby nawiązać styczność z innymi plutonami. Chciałbyś objąć dowodzenie?**

**–Tak jest.**

**–To weź sobie porucznika Achsa. Jest tutaj gdzieś.**

**–Panie pułkowniku – powiedział Gaff z wahaniem. – Nie chcę działać deprymująco ani być ponurakiem, ani niczym podobnym, ale co z wodą? Jeżeli nie dostaniemy. – Nie martw się o wodę! – odparł Tall ostro, lecz potem uśmiechnął się. – John, nie chcę, żeby cokolwiek osłabiło ten nasz atak, kiedyśmy go już zaczęli. Jeżeli idzie o wodę, już o to zadbałem! Dostaniemy trochę wody za... – spojrzał na zegarek, a potem na niebo -... za parę godzin. Załatwiłem to. Ale nie możemy się teraz zatrzymać, żeby na nią czekać.**

**–Tak jest.**

**–Jeżeli niektórzy pomyślą, będą po prostu musieli zemdleć – powiedział Tall.**

**–Tak jest.**

**–Gdyby pytali cię o wodę, powtórz im, co powiedziałem. Ale sam tego nie poruszaj. Nie wspominaj o tym, dopóki cię nie spytają.**

**–Tak jest. Ale mogą z tego umrzeć. Od porażenia upałem.**

**–Mogą też umrzeć od nieprzyjacielskiego ognia – powiedział Tall. Popatrzał dokoła siebie, na żołnierzy. – To wszystko twarde chłopaki. – Znow spojrzał na Gaff a. – Okej? No, to idziemy.**

**Razem z porucznikiem Achsem z kompanii B zaczęli zbierać ludzi, którzy wciąż przypatrywali się z zaciekawieniem różnym zabitym Japończykom.**

**–Zobaczycie ich dużo więcej – powiedział im Tall. – Przynajmniej mam „taką nadzieję. Chodźmy.**

**Zauważył, że większość ekwipunku zabitych już sobie poprzywłaszczano na pamiątkę, wraz z ich portfelami i zawartością kieszeni, a dwaj z ochotników Gaffa –**

**Doll i Cash – nieśli wsunięte w pochwy „samurajskie miecze” obydwu oficerów. Tall też chciałby mieć taki, ale teraz nie było czasu o tym myśleć. Chwilowo zaprzętało go za wiele innych rzeczy. Tall bardziej się martwił brakiem wody, niż to okazał Gaffowi. Łatwo było powiedzieć, że niektórzy ludzie muszą zemdleć czy nawet umrzeć od porażenia upałem. Ale gdyby ich pomdlało zbyt wielu, nie miałyby natarcia. Bez względu na to, jak dużo ducha i serca nabrali ostatnio, czy coś sam mógł uczynić. Musieli dostać trochę wody i zrobił w tym celu jedyną rzecz, jaką potrafił.**

**Godzinę przedtem – kiedy Gaff czołgał się ze swoją grupą – Tall wysłał inny patrol. Tylko ironia polegała na tym, że patrol ów poszedł do tyłu. Na poszukiwanie wody. Ponieważ obie linie telefoniczne były przerwane, Tall zamierzał wyprawić gońca z wiadomością, że sytuacja z wodą staje się krytyczna. Ale ponieważ wczoraj posłał do tyłu co najmniej dwóch gońców i telefonował wciąż od nowa w tej samej sprawie, przyszedł mu do głowy pomysł wysłania „patrolu” zamiast tego. A z chwilą gdy nasunął mu się pomysł patrolu, postanowił wykonać go do końca. Wysłał swego osobistego sierżanta z dowództwa batalionu i trzech gońców, jacy mu pozostali, wszystkich oczywiście uzbrojonych w pistolety. Dostali rozkaz udania się do tyłu tak daleko, jak będzie trzeba, ażeby znaleźć wodę i przynieść ją. Nie mieli nawet meldować się dowódcy pułku. Mieli przejść przez grzbiet Wzgórza 209 z dala od stanowiska dowodzenia, i posuwać się dalej w tył kotliną, dopóki by nie znaleźli ludzi z wodą, a wtedy mieli ją zabrać pod groźbą użycia broni w razie potrzeby. Tall zdecydował, że każdy może nieść dwa pełne kanistry; będzie to dla nich uciążliwe, ale muszą to zrobić, zważywszy okoliczności. Mieli wracać tak szybko, jak im pozwolą siły, i odpoczywać, tylko kiedy będą musieli. Gdyby ktokolwiek próbował zabrać im wodę, mieli o nią walczyć. Były to surowe rozkazy. A okrutna ironia faktu, że Tall został zmuszony do wysłania uzbrojonego patrolu na tyły, między własne linie już gotowe do walki, nie omieszkała urazić jego poczucia przyzwoitości. Jednakże musiał to zrobić. W gruncie rzeczy nie przypuszczał, żeby doszło do strzelaniny; nikt tam na tyłach nie spierałby się z jego chłopcami, kiedy by wydobyli pistolety, lecz nawet gdyby do niej doszło, Tall nie zamierzał utracić teraz wszystkiego. Był przekonany, że pozycja japońska została przełamana. Musieli tylko posuwać się dalej, a o południu mieliby Wzgórze 210 w swoich rękach. Tego niezwykłego ducha, który rozbudził się we wszystkich, kiedy padł punkt oporu, należało wykorzystać, zanimby nastąpiło jakieś inne wydarzenie, które podcięłoby jego siłę. Żeby jego batalion został teraz zluzowany poniósłszy porażkę, czy choćby wzmocniony przez oddział z punktu odwodowego, gdyby zaległ przed dotarciem do szczytu – tego by Tall nie zniósł, chyba że byłby absolutnie zmuszony. Na taką szansę czekał przez całe swoje życie zawodowe.**

**Studiował, pracował i tyrał, łykał niezliczone przykrości, żeby uzyskać tę szansę. Nie miał zamiaru jej teraz utracić, jeśli tylko zdołał temu zapobiec. Miał jedynie nadzieję, że C – jak – Charlie posuwa się zgodnie z planem i że Stein nie nawali mu teraz, i nagle te rozmyślania i troski nasunęły mu nowy pomysł. Właściwie nieomal**

natchnienie.

–Potrzebny mi goniec! – zawołał raptem do zbierających się żołnierzy. Od razu pomyślał, że byłoby lepiej posłać do tamtych jednego z ich ludzi, więc obrócił się w pół kroku i przemówił do ochotników z kompanii C, którzy, nie mając wyznaczonych stanowisk przy plutonie z kompanii B, zgromadzili się wokół swego nowego, ojcowskiego bohatera, kapitana Gaffa.

–Chcę, żeby któryś z was wrócił do kompanii C. To...

–Ja pójdę, panie pułkowniku! – odezwał się natychmiast Witt.

–Chcę iść! Niech pan pułkownik mi pozwoli!

–To będzie ciężkie zadanie. Musicie przejść przez trzecią fałdę, dotrzeć do dżungli i stamtąd ruszyć za nimi – powiedział Tall.

–Ale uważam, że to bardzo ważne. Chcę, żeby się dowiedzieli, co tutaj działaliśmy. Opowiedzcie im o wszystkim, cośmy zrobili. Punkt oporu jest wzięty. Idziemy dalej w górę i nic nas nie zatrzyma.

Dojdziemy aż do końca. I chcemy, żeby tam się z nami spotkali.

–Rozkaz, panie pułkowniku! – odrzekł Witt. – Dam radę.

Niech pan pułkownik się o mnie nie martwi.

–Myślę, że dasz radę, synu – powiedział pułkownik Tall i poklepał go po plecach. – Wiem, że oni nie mają wody. Ale powiedz im, że jak mi Bóg miły, kiedy spotkają się z nami, będą mieli tyle choleryjnej wody, ile zdołają wypić.

–Tak jest, panie pułkowniku! – zawołał Witt.

Tall spostrzegł, że John Gaff patrzy nań ze zdumieniem i niedowierzaniem w oczach. Tall spojrział na niego twardo i Gaff opamiętał się i zmienił wyraz twarzy. Ale Tall nie odważył się mrugnąć do niego. – Ile tylko zdołają wypić – powtórzył uroczyście i popatrzał Wittowi w oczy. – Okej. To wszystko, synu – powiedział.

–Idź.

Witt oddalił się biegiem.

–A teraz słuchajcie, chłopcy! – zawołał Tall. – Idziemy na to wzgórze czy nie?

Szybkość i energia, z jaką ruszyli, przeszła wszelkie oczekiwania Talla. Po dziesięciu minutach i mając tylko dwóch rannych połączyli się z dwoma drugimi

plutonami kompanii B – i cała linia pobrnęła pod górę, tak jak Tall tego pragnął w dniu wczorajszym.

Japończycy, jakich znaleźli na różnych stanowiskach ogniowych, które musieli wziąć i którymi wzgórze było dosłownie usiane, nieomal bez wyjątku wyglądali na równie wygłodzonych, chorych i wyniszczonych jak ci, co byli na punkcie oporu; jedynie czasem natrafiali na paru takich jak tamten tłusty sierżant, którego zabił Witt, wyglądających świeżo i zdrowo. Żaden nie pozostał przy życiu.

Stwierdzili, że Japończycy też mieli bardzo mało wody, a tej, którą mieli, Amerykanie obawiali się pić ze względu na brak odpowiedniego odkażenia.

Woda, kiedy ją wreszcie dostali, przyszła o wiele wcześniej, niż Tall się spodziewał. Mimo to jednak nadeszła w ostatnim momencie przed całkowitym załamaniem. Kompania B, plus Gaff z ochotnikami, zaległa ledwie o sto jardów od krańca grzbietu, gdzie trzy szeroko rozproszone, pojedyncze karabiny maszynowe (takie jak te, które dziś wielokrotnie z łatwością zdobywali) zatrzymały całą linię. I nie można było poderwać ludzi z miejsca. – Coraz liczniejsi tracili przytomność mdlejąc w suchym, pylnym upale porannego słońca. Tall początkowo zamierzał ulokować swoje stanowisko dowodzenia na pagórku ponad zlikwidowanym bunkrem, i tak też zrobił. Jednakże szybkość, z jaką posuwała się linia, wkrótce zmusiła go do przeniesienia się dalej, jeżeli chciał coś widzieć i czymś kierować. Rannych zostawiono tam gdzie upadli. A zabitych, którym i tak nikt nie mógł pomóc, zostawiono również. Mając przy sobie tylko dwóch szeregowców jako gońców, Tall podsunął się w pobliże dużego wysadu skalnego, z którego wyszło wczoraj małe przeciwnatarcie japońskie. I z tego punktu obserwacyjnego dojrzał swój „wodny patrol” zbliżający się z kanistrami. Dał znak, żeby się pospieszyli, po czym zeszedł ze swymi dwoma szeregowcami, żeby pomóc je nieść. Jego sierżant i trzech gońcy byli prawie nieprzytomni z wyczerpania po wspinaczce. Tylko raz musieli dobyć pistoletów, a mianowicie gdy zabierali wodę; nikt się z nimi nie spierał.

Tall chwalił ich, pochlebiał, osobiście pomagał nieść kanistry. I jakoś doszli. Wodę umieszczono w stosunkowo bezpiecznym miejscu za wysadem i ludzie podchodzili po nią kolejno. Po otrzymaniu połowy manierki wody u wysadu i dziesięciu minutach odpoczynku na linii trzy osobne grupy zdobyły owe trzy cekaemy tracąc zaledwie pięciu czy sześciu ludzi, po czym ruszyły dalej. I znowu linia Talla, ta jego własna, prywatna, żywa, kochana linia poszła naprzód. Jeżeli nie dostanie po tym orła i pułku, to, psiakrew, nikt nigdy ich nie dostanie. Byleby tylko kompania C i Stein – Ciota, jak lubili przezywać go podkomendni – wykonali swoją część planu.

Z początku Tall zatrzymał cztery z ośmiu pełnych kanistrów. Potem zachował dwa. Nie zapomniał o obietnicy danej kompanii C, ale w końcu został mu tylko jeden. Drżący, roztrzęsieni ludzie wychlapywali wodę przez krawędzie kubków próbując nalewać ją sobie wzajemnie. W tym ogromnym podnieceniu wielu dostało ponad

połowę kubka, wielu pełny, a nawet przepełniony kubek. W końcu ósmy kanister też poszedł. Tallowi było przykro, naprawdę przykro, że nie będzie miał wody dla C – jak – Charlie, kiedy spotkają się na szczycie wzgórza, ale dzisiaj chodziło o coś ważniejszego, liczącego się bardziej niż woda, a mianowicie o zwycięstwo.

Mimo to Tall zrobił dla nich wszystko, co mógł, chociaż zapewne niewiele to pomogło.

–Sierżancie James – powiedział do swego skołatanego sierżanta, gdy linia posuwała się naprzód przez zniszczone gniazda cekaemów, a on sam gotował się ruszyć jej śladem. – Sierżancie James, muszę pana poprosić o jeszcze jedną ofiarę. Chcę, żeby pan tam znów poszedł. – Zdawało się, że sierżant James jęknął, choć było to niedosłyszalne, ale Tall mówił dalej: – Zna pan dość dobrze dowódcę pułku. Niech pan wróci do punktu dowodzenia na Wzgórzu 209 i zamelduje się pod jego rozkazy. Ma pan mu jasno przedstawić, jak bardzo potrzebujemy tu wody. Niech pan nie spuszcza go z oka. Proszę być przy nim bez przerwy. Przypominać mu cały czas. Jeżeli tam są jacyś generałowie albo się zjawią, to tym lepiej. Wtedy trzeba mu o tym mówić najgłośniej. Musi wiedzieć, jak bardzo potrzeba nam wody. Chcę mieć wodę na szczycie Wzgórza 210 w momencie, kiedy tam dojdziemy, a gdyby się nie dało, możliwie jak najprędzej potem. Chcę, żeby dowódca pułku wiedział, że nawet jeżeli weźmiemy wzgórze, możemy go nie utrzymać bez wody.

W miarę jak mówił, wyraz twarzy jego sierżanta zmieniał się z ponurego w zaskoczony i uśmiechnięty, a wreszcie w jawnie radosny; następne kilka bardzo ważnych godzin miał spędzić na przemawianiu do dowódcy pułku w znacznie większym fizycznym bezpieczeństwie niż tutaj. Musiałby zachować niejaką ostrożność, bo Stary potrafił być przykry, ale James znał dosyć dobrze idiosynkrazję Wielkiego Białego Ojca i był pewien, że da sobie radę, o czym Tall też doskonale wiedział.

–Ano, to ciężkie zadanie, panie pułkowniku, ale zrobię, co tylko będę mógł – uśmiechnął się sierżant.

Tall patrzył za nim, kiedy odchodził. Potem obrócił się do swoich gońców i szeregowych pomocników. Musiał wybrać wyżej nowe miejsce na stanowisko dowodzenia. Zrobił dla kompanii C wszystko, co mógł. Miał tylko nadzieję, że i ona zrobi dla niego wszystko, co będzie mogła.

Kompanii C – jak – Charlie nie była w gruncie rzeczy potrzebna troskliwość pułkownika Talla. Nie był jej nawet potrzebny goniec Witt, którego pułkownik do niej wysłał, by ją podtrzymać na duchu.

Stoczyli małą walkę ogniową, w której zniszczyli gniazdo ciężkiego karabinu maszynowego z czterema ludźmi obsługi, tracąc, tylko jednego żołnierza, i posuwali

się naprzód całkiem dobrze. Czy to dlatego, że coś z podniecenia walki na wzgórzu przesiąknęło do nich przez wilgotne powietrze, czy dlatego, że sam fakt przeżycia wczorajszego dnia utwardził ich w weteranów, czy dlatego, że postępujące odurzenie, które czuli wszyscy, w końcu zdławiło ich strach, czy dlatego, że ta udana, mała walka ogniowa rozpałała w nich entuzjazm – postępowali naprzód szeroką ścieżką ochoczo i szybko.

Po walce ogniowej zostawili rannego szperacza – który nie zmartwił się tym zbytnio – samego na ścieżce, gdzie później znalazł go Witt. Aczkolwiek nie mieli wody, w dżungli był cień, w przeciwieństwie do piekącego, pylnego upału na zboczu, i wydawało się, iż w tym wilgotnym półmroku ich odwodnione ciała wręcz wsysają porami wilgoć z powietrza, mimo że się pocili. Witt, posuwając się ostrożnie za nimi, doznał tej samej niespodziewanej ulgi.

Witt silnie przeżył swoje pożegnanie z pułkownikiem Tallem.

Przez całe długie przejście z dawnej pozycji na trzeciej fałdzie do skraju dżungli rozmyślał z gorącym sentymentem, jacy to wszystko są wspaniali, świetni ludzie. Pułkownik, kapitan Gaff, który nie był zanadto wyniosły, żeby traktować szeregowca jak równego, Bell, Doll, Dale, Dryblas, Keck (już nie żyjący), Chudy Culn. Po prawdzie Witt nigdy nie lubił zbytnio pułkownika Talla aż do dzisiejszego dnia. Uważał, że jest rybookim, intelektualnym, podręcznikowym żołnierzem. Teraz jednak musiał przyznać, że się mylił.

Zdaniem Witta najważniejszą kwalifikacją oficera było to, czy interesy jego ludzi leżą mu naprawdę na sercu, a Tall to dziś udowodnił. Witt doprawdy pokochał ich wszystkich namiętnie, z niemal seksualną ekstazą koleżeństwa. Nawet Stein i Welsh zostali dziś objęci tą wielkoduszną aurą jego ciepłego uczucia. Tak samo jak wszyscy inni z kompanii. Właśnie dlatego zgłosił się na ochotnika, by do nich wrócić; może jego doświadczenie i wiedza przydadzą się na coś i zdoła kogoś uratować. Takie były jego rozmyślenia przez całą drogę do trzeciej fałdy i dopiero potem, kiedy wszedł w dżunglę i natrafił na ścieżkę, zaczął się zastanawiać i mieć pierwsze wątpliwości.

Podążał bez trudu za kompanią od grzbietu wydeptanym szlakiem w podszyciu, które wyrabiali lub wydeptali, ale przy ścieżce ten szlak się urwał. Witt sprawdził to na wszystkie strony, by się upewnić. Zostawały mu do wyboru dwa kierunki – w lewo lub w prawo ścieżką, a przecież tamci na pewno nie skręciliby w prawo, oddalając się od Wzgórza „210. Wobec tego ruszył ścieżką w lewo, ufnie, ale ostrożnie. Zielony półmrok pod wyniosłymi olbrzymami dżungli był niesamowity. Witt pośliznął się na błocie. Nie wiedział, co spodziewał się znaleźć, ale chyba to, że będą tu gdzieś okopani tocząc walkę ogniową i usiłując utorować sobie drogę do wzgórza. A zamiast tego słyszał jedynie ciszę, przerywaną szelestami, trzaskami i poświstywaniami tych zwariowanych ptaków. Zaciskając zęby od nerwowego chłodu,

który przeleciał mu po krzyżach, siedł dalej z nagotowanym karabinem i wtedy to uderzyła go pierwsza wątpliwość. Przypomnił sobie, że Stein chciał tu przyjść wczoraj, ponieważ uważał, że to miejsce jest nie bronione, a pułkownik Tall odmówił. Te wątpliwości wzmożyły się, kiedy napotkał rannego szperacza z 3 plutonu, człowieka nazwiskiem Ash, który uśmiechnął się doń leżąc przy ścieżce.

–Trzepnąłbym ciebie, Kentucku, gdybyś był Japoniec – już dawno temu!

–Zostawili cię tutaj?

–Przeze mnie musieliby iść wolniej. Mnie to w gruncie rzeczy nie szkodzi. Sanitariusz opatrzył mnie, zanim odeszli. Mam od cholery amunicji, a Welsh zostawił mi swój pistolet. W końcu ktoś po mnie przyjdzie. – Wydawał się na wpół otumaniony od szoku, morfiny i bólu obandażowanej rany, którą pokazał Wittowi. – W samo kolano. Chyba wojna skończyła się dla mnie na dobre, Witt.

Ale co ty tu robisz, do cholery?

Witt opowiedział mu o swoim zadaniu i o wodzie.

–To dobrze – oświadczył Ash. – Ale niech lepiej się spieszą, jeżeli chcą dopędzić naszą poczwę C – jak – Charlie.

–Jak myślisz, dobrze idzie kompanii?

–Doskonale! Nie słyszałem ani jednego strzału, odkąd odeszli.

Chyba tu nie ma nic poza tym jednym cekaemem, który załatwiliśmy i który zobaczysz, jak będziesz tam przechodził. A zawdzięczamy to naszemu Steinowi. Chciał nas tu wczoraj sprowadzić. Gdyby to zrobił, zaoszczędzilibyśmy sobie kupę dobrych chłopaków.

–Wiem.

–Ano, pozdrów wszystkich ode mnie.

–Możesz pójść ze mną, jeżeli chcesz. Pomogę ci.

–Nie, tu jest miło, cicho i spokojnie. Zresztą musiałbyś iść wolniej. Ktoś po mnie przyjdzie.

–Przypomnę im.

–Okej – odrzekł Ash w otumanieniu.

Witt zostawił go bez większych uczuć takich czy innych. Była to po prostu jedna z



tych rzeczy, które zdarzają się ludziom. Minął zniszczony karabin maszynowy i czterech zabitych Japończyków z jego obsługi, którzy wyglądali bardziej jak tłumoki brudnych łachmanów niż martwi ludzie. Ale zresztą tak wyglądali wszyscy, nawet swoi, chyba że znało się jakąś twarz osobiście. Kopnął głowę w hełmie jednego z Japończyków, którego ciało leżało do połowy na ścieżce, i głowa zakołysała się tam i z powrotem. Na pierwszym zakręcie obrócił się i pomachał ręką. Ash go nie widział, bo uśmiechał się w otumanieniu do drzew po drugiej stronie ścieżki.

Kompania C miała dowiedzieć się dużo później, że umarł na gangrenę po roku pobytu w szpitalu ogólnym i serii kolejnych amputacji, które nie powstrzymały zakażenia.

Za drugim zakrętem ścieżka zaczęła się wyraźnie wznosić, skręcając w prawo. Witt doszedł do wniosku, że przebiega za Wzgórzem 210, Głową Słonia, i dochodzi do otwartego, stromego terenu Trąby Słonia. Drogi ucieczki. Brnął dalej, od czasu do czasu ślizgając się na błocie i wypatrując snajperów na drzewach. Ale nie zobaczył nic, zupełnie nic. Nie było nigdzie nikogo i nie mógł się powstrzymać od ponownego myślenia o pułkowniku Tallu i dniu wczorajszym. Ash dobrze to powiedział: gdyby Ciota przyprowadził ich tu wczoraj, zaoszczędziliby sobie kupę dobrych chłopaków. Takich jak Keck, jak Tella, jak Grove i Wynn, i jego stary kumpel Catch, i Bead, i Earl. Ani jednego z nich nie mógł Witt uratować. A dlaczego? Po wszystkich tych wielkich słowach do samego siebie? Psiakrew, nie mógł być wszędzie naraz! Czego Tall i tamci inni spodziewali się po nim? Nie mógł robić wszystkiego, prawda? Nie mówiąc już o tych dwóch zabitych smarkaczowatych oficerach. Głęboka, gniewna gorycz wypełniła Witta na myśl, że nawet jego doświadczenie i wiedza nie mogły zapobiec takiemu spaskudzeniu akcji.

Była to gorycz tak głęboka i gniewna, że nie znajdowała wyrazu nawet w jego głowie, w jego myślach, a jej przedmiotem był pułkownik Tall. Zawstydził się tych bzdur, które przełknął od Talla tak niedawno, tej emocji, którą czuł idąc, i to rozgniewało go jeszcze bardziej. Gdyby nie Ciota Stein, którego dawniej nie lubił, lecz potem zmienił zdanie, zawróciłby po przekazaniu polecenia, pomaszerował z powrotem na Wzgórze 209 i zameldował się w kompanii. Był wolny, biały, pełnoletni, pochodził z Kentucky i nie musiał słuchać tych bredni. W takim stanie umysłu natknął się w końcu na straż tylną kompanii C – jak – Charlie i dziwnie mu było znaleźć się raptem znowu – tak jak przedtem – wśród tych rozentuzjasmowanych ludzi.

Wszyscy, z którymi Witt rozmawiał, myśleli to samo: szkoda, że nie pozwolono Steinowi przyprowadzić ich tu wczoraj. Jednakże najwyraźniej nikt nie brał tego tak poważnie jak Witt. A w każdym razie nic nie mogło zniweczyć ich entuzjazmu dla nowej pozycji.

Stein rozmieścił ich trzema liniami w poprzek otwartej przestrzeni Trąby Słonia i

właśnie zaczęli posuwać się po niej. Trzeci pluton, który wczoraj ucierpiał najmniej, szedł w pierwszej linii, pierwszy w drugiej, a drugi, który ucierpiał najbardziej, w trzeciej. Za nimi było dowództwo kompanii z MacTac, Stormem i jego kucharzami, na końcu zaś mała straż tylna, na którą najpierw natknął się Witt. Dotychczas nie dostali znikąd ognia i wszyscy wyglądali na rozradowanych. Oskrzydlili nieprzyjaciela prawie bez strzału i zaszli na jego tyły, a teraz zamknęli mu drogę ucieczki. Po raz pierwszy byli właściwie górą i nie mieli zamiaru z tego zrezygnować.

Na dole długa, wąska grań, którą teraz wszyscy nazywali po prostu „Trąbą”, miała łagodne boczne stoki, pozwalające dżungli wdzierać się na otwarty teren grzbietu, ale wyżej te boczne stoki stawały się bardziej strome i odpierały dżunglę poszerzając otwartą przestrzeń pośrodku. Całość miała około dwustu pięćdziesięciu jardów długości. Nieco powyżej swojej połowy stoki stawały się tak strome, że były niedostępne dla ludzi, i to właśnie uczynił Stein swym pierwszym celem. W tym miejscu linia oparta dwoma końcami o urwiska nie mogła być oskrzydłona przez uciekających Japończyków. Po dotarciu tam można nawet było okopać się i bronić. A czołowy trzeci pluton Steina dotarł tam bez strzału i mniej więcej w tym samym czasie nadszedł Witt ze swoim meldunkiem. Druga linia, składająca się z pierwszego plutonu, była o pięćdziesiąt jardów za nimi. Wszystko to razem wydawało się Steinowi niewiarygodne; najwyraźniej Japończycy nie mieli tu żadnych czat. Widział stąd swoich ludzi, kiedy wstawali, i sam stojąc począł machać zaciekle ręką, by szli dalej. Patrzył, jak trzeci pluton pobiegł naprzód jeszcze dwadzieścia pięć czy trzydzieści jardów, a pierwszy zajął jego pozycję. Wszyscy zniknęli w trawie. Niedaleko przed Steinem jego poszczerbiony, twardy, stary, a teraz ulubiony drugi pluton klęczał uformowany w dwie zygzakowate linie, ażeby każdy mógł strzelać; dowodził nim sierżant Beck, stary służbista, i teraz Stein dał im znak „naprzód”, żeby zamknęli lukę. Jeszcze jeden taki ruch i trzeci pluton znalazłby się na wierzchołku, a Stein chciał, – żeby dwa pozostałe były jak najbliżej i mogły udzielić pomocy. Pomyślał nagle, że ich kocha – wszystkich, nawet, tych, których nie bardzo lubił. Żadnego człowieka nie powinno się zmuszać, by przechodził coś takiego – nawet tych, którym to sprawia przyjemność. To nie jest normalne. Czy może właśnie jest zanadto cholernie normalne?

Patrzył, jak drugi pluton biegł, wszyscy zgięci wpół, w tej śmiesznej pozie, która dawała uczucie bezpieczeństwa, ale nie pomagała nikomu. O trzydzieści jardów za pierwszym plutonem zniknęli w trawie, a on sam osunął się na ziemię i spostrzegł, że obok niego klęczy Witt.

Kiedy Witt złożył meldunek o punkcie oporu i wodzie, Stein kiwnął głową zastanawiając się, czy posłać do linii gońca z tymi wiadomościami; mogłyby być dodatkowym bodźcem, zwłaszcza ta o wodzie. Jego język, kiedy dotykał nim podniebienia, przypominał papier ścierny. Sam nie miał w ustach wody, odkąd? – już nie pamiętał. Zdecydowawszy się skinął na ostatniego ze swych kancelistów,

poborowego w średnim wieku, Welda, i posłał go do przodu z tymi wiadomościami oraz rozkazem dla pierwszego i drugiego plutonu, żeby podeszły za trzeci na odległość dwudziestu jardów.

Kiedy trzeci by ruszył, obydwaj miały pójść naprzód i obsadzić opuszczoną pozycję. Jeśliby trzeci nie został zatrzymany, miały do niego dołączyć. Stein obrócił się do Witta z uśmiechem na poczerwiałej od brudu, obrosniętej twarzy.

–Wygląda na to, że mamy dziś szczęście, Witt.

Witt miał ochotę chwycić dowódcę w ramiona i ucałować jego oblepiony brudem, pokryty szczecina policzków w ekstazie koleżeńskości. Tylko że to mogłoby wyglądać pedałowo lub zostać źle zrozumiane. Przenikały go dzisiaj uczucia, których istnienia w sobie nigdy w życiu się nie domyślał. Rzecz dziwna, był naprawdę bardzo szczęśliwy.

–Jak wam poszło z tym punktem oporu? – spytał go Stein.

Musiał i tak zaczekać kilka minut.

Witt opowiedział mu o tym coś niecoś, o Dryblasie Cashu i jego strzelbie, oraz o swoim tłustym japońskim sierżancie – nieśmiało.

Pokazał swój karabin.

–Ilu razem kropnęli?

–Ze trzydziestu pięciu – odrzekł Witt trzepocząc rękami z pełnym skromności zakłopotaniem, którego nie mógł opanować.

–Trzydziestu pięciu!

–Ale z tego przeszło dziesięciu rozwalili granatami w bunkrach.

Siedmiu trzepnęli przedtem, a Dryblas zabił sześciu ze swojej strzelby. Tak że zostaje około dziewięciu. Ja sam miałem tylko trzech.

–Cholernie dobra robota. Okej, może byście zostali tu z nami i odpoczęli trochę?

–Wolałbym być przy kompanii, panie kapitanie – odrzekł Witt, po czym dodał pośpiesznie: – To znaczy przy plutonach. Wciąż mi się zdaje, że mógłbym komuś pomóc, wie pan kapitan. Może kogoś uratować. – Po raz pierwszy zwierzył komuś swoją tajemnicę.

Stein popatrzał na niego z rozbawieniem i Witt przeklął samego siebie. Już dawno w życiu nauczył się nie mówić nikomu, co naprawdę czuje, więc cóż kazało mu zrobić

to teraz? Stein wzruszył ramionami.

–Dobrze. To zameldujcie się u Becka. On bardzo potrzebuje podoficerów. Powiedzcie mu, że właśnie was mianowałem pełniącym obowiązki sierżanta.

–Ale ja nawet nie jestem oficjalnie w kompanii, panie kapitanie.

–Będziemy się o to martwili później.

–Tak jest. – Witt odczołgał się.

–Jeżeli się pośpieszycie – zawołał cicho Stein – to możecie tam zdążyć, zanim ruszymy. Nie dam sygnału jeszcze przez kilka minut. – Skinął do obsady dowództwa i straży tylnej, by podsunęli się bliżej.

Ale nigdy nie dał sygnału. Zanim zdołał to zrobić, zostali wykryci. Ale wykryci w najbardziej rozkoszny sposób, o jakim może marzyć żołnierz piechoty. Znad grzbietu wyłoniła się grupa czternastu czy piętnastu nie przygotowanych Japończyków z częściami rozmontowanych ciężkich moździerzy, które nieśli do tyłu, w bezpieczne miejsce. Nie trzeba mówić, że żaden nie pozostał przy życiu.

Trzeci pluton wziął ich od prawej, lewej i od środka. Stein zerwał się, gdy tylko padł pierwszy strzał, i widział, jak większość się przewracała.

Cały swój pluton broni ciężkiej pozostawili przy pułkowniku Tallu, z wyjątkiem jednego karabinu maszynowego. Stein ulokował go na skraju lewego skrzydła trzeciego plutonu, w pierwszej linii, z rozkazem otwarcia ognia, kiedy usłyszą jego cztery krótkie gwizdki. I teraz nabrawszy powietrza w płuca, otworzywszy usta i odchyliwszy głowę do tyłu, już podnosił gwizdek do ust, gdy usłyszał karabin maszynowy, który go wyprzedził. Wypuścił z płuc powietrze i patrzył, jak kładli ogień osłaniający na cały grzbiet, który z miejsca, gdzie leżeli, rysował się znacznie mniej ostrą linią niż stamtąd, skąd Stein patrzył, a potem trzeci pluton, prowadzony przez Ala Gore'a, zerwał się i pognął na grzbiet. Działo się prawie dokładnie to samo, co podczas natarcia kompanii C na grzbiet Wzgórza 209, które Stein obserwował z kotliny, i przez jedną obłądną chwilę Stein miał wrażenie, że jest tam nadal i że jeszcze nic z tego wszystkiego się nie zdarzyło. Musiał zamrugać oczami, aby się z tego otrząsnąć. Ale to nie było natarcie kompanii G na Wzgórze 209, to byli jego ludzie, jego kompania – i teraz natarcie też się najwyraźniej powiodło. Jego cekaemowi odpowiedział jedynie bardzo słaby, rozproszony ogień karabinowy. Cekaem strzelał, dopóki nie zagrażało to trzeciemu plutonowi, po czym Stein zobaczył, że obsługa – bez żadnych jego rozkazów ani sugestii – chwyciła go i pobiegła na grzbiet. Dwaj ludzie nieśli karabin na trójnogu, a dwaj inni brnęli za nimi dźwigając wszystkie skrzynki z amunicją. Zniknęli za wierzchem grzbietu. Cekaem zaczął strzelać znowu. Pierwszy pluton przesunął się na miejsce trzeciego, a drugi

na miejsce pierwszego.

**–Naprzód! Naprzód! – usłyszał Stein swój własny krzyk. – Nie zatrzymujcie się teraz!**

**Wiedział, że nikt go nie słyszy, lecz nie mógł przestać krzyczeć ani machać rękami. Niemniej jednak, prawie tak jakby go usłyszeli, pierwszy pluton, prowadzony przez sierżanta Chudego Culna, zawahał się tylko chwilę na dawnej pozycji trzeciego, po czym pognął pod górę i zniknął za grzbietem, skąd teraz dochodził gęsty ogień amerykańskiej broni małokalibrowej i bardzo rzadki japońskiej.**

**–Cholera jasna! Cholera jasna! – krzyczał Stein. Drugi pluton, znacznie niżej na zboczu nadal parł ku dawnej pozycji pierwszego, gdzie zaczynały się niedostępne boczne stoki, i Stein nagle uświadomił sobie, że nie chce, aby i on też przeszedł przez grzbiet.**

**–Naprzód! Naprzód! – wrzasnął do otaczających go ludzi. – Musimy tam się dostać! – I ruszył biegiem przez trawę.**

**W tym momencie coś, co huknęło jak granat japoński, ale musiało być pociskiem z mniejszego moździerza, wybuchło wśród rozproszonej grupy dowództwa. Oprócz Steina prawie wszyscy przypadli do ziemi, ale Stein biegł dalej. Zatrzymał się tylko na chwilę, by się obrócić i krzyknąć do nich jak szalony, wymachując rękami, i pobiegł. Nie padło więcej pocisków i ludzie z wolna zaczęli wstawać. Tylko jeden doznał szwanku, a był to Storm, sierżant kasynowy. Małeńki odłamek, niewiele większy od łebka szpilki, wbił mu się w wierzch lewej dłoni między kostkami palców, ale nie wyszedł drugą stroną. Storm popatrzał na małą dziurkę o sinych brzegach, która nie krwawiła, zacisnął dłoń i usłyszał, że coś zachrobotało, po czym otępieale pobiegł za innymi, przed których Stein wysforował się już o trzydzieści jardów. Storm nie kojarzył sobie owej dziurki z wybuchem. Jedno zdawało się nie mieć nic wspólnego z drugim. Biegł zaciekle, aby dopędzić resztę. Przy tej strzelaninie, krzykach, biegu bez tchu wszystko wszędzie zdawało się niemożliwym do opanowania chaosem.**

**Stein podciągnął był dowództwo i straż tylną na odległość czterdziestu jardów od drugiego plutonu, zanim akcja zaczęła się tak raptownie. Mimo to nigdy nie miał pojęcia, jakim sposobem człowiek w zasadzie tak wątpy i zadyszany, jak on, zdołał do nich dobiec – ale dobiegł. O kilka jardów za dawną pozycją pierwszego plutonu dopędził ich i przebiegł między nimi na czoło. Zatrzymał się i obrócił z szeroko rozłożonymi ramionami i karabinem zaciśniętym w jednej ręce.**

**–Stać! Stać! – wysapał. Kiedy się zatrzymali, krzyknął do sierżanta i straży tylnej, którą prowadzili George Band i sierżant Welsh: – Trzymać odstęp! Trzymać odstęp! Dwadzieścia jardów!**

## **Uformować się w linię!**

**Kiedy wszyscy przystanęli i zajęli stanowiska, sam objął dowodzenie i poprowadził ich naprzód na odległość dwudziestu jardów od szczytu. Nie chciał, żeby jego odwody przeskoczyły bezładnie, zdezorganizowane, przez grzbiet, dopóki nie wiedział, co tam się dzieje i czy nie będzie musiał zatrzymać ich, aby osłaniać odwrót.**

**Odgłos strzelaniny był teraz trochę przytłumiony, tak jakby strzelający przesunęli się trochę dalej, a jej natężenie osłabło. Słyszeć było teraz bardzo mało ostrzejszego trzasku broni japońskiej. Stein ruszył sam jeden naprzód, do miejsca, z którego mógł wyjrzeć przez grzbiet. To, co zobaczył, miało pozostać mu w pamięci przez resztę życia.**

**Jego dwa złaknione krwi plutony wdarły się na teren, gdzie najwyraźniej był biwak. Wysokie drzewa dżungli przez jakąś właściwą sobie logikę wspięły się z parowów i usadowiły tu, na tym grzbiecie. Były to te same drzewa, które przez cały wczorajszy dzień widzieli z zagłębienia przed pasmem wzgórz. Japończycy wycięli wszystkie małe drzewka i podszyt, tak że to, co się tam teraz działo, działo się w chłodnym, nakrapianym słońcem cieniu dużych drzew, niby w jakimś parku. Jediną rzeczą, która nie przypominała parku, było kleiste błoto, pokrywające wszędzie grunt.**

**W tym ładnym, naturalnym otoczeniu dwa plutony Steina, w małych nie zorganizowanych grupach, wystrzeliwały i zabijały, rzekłbyś, całe fury Japończyków. Stein zobaczył, jak jedna z tych grup minęła wymizerowanego Japończyka, który stał bez broni z podniesionymi rękami, ale gdy tylko przeszła, opuścił je i sięgnął po coś za koszulę. Żołnierz z innej grupy, będącej o dziesięć jardów, zastrzelił go natychmiast. Kiedy Japończyk upadł, z ręki wytoczył mu się nie odbezpieczony granat. Stein widział, jak inny żołnierz (wydało mu się, że Duży Queen, lecz nie był pewny) ruszył do jakiegoś Japończyka, który desperacko szczyrzył zęby trzymając ręce podniesione wysoko w górę, przysunął lufę karabinu bez bagnetu na cal od jego uśmiechającej się twarzy i strzelił mu w nos. Stein nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Zwłaszcza na myśl o tych rozszerzonych oczach powoli zbiegających się zezem w rozpaczy, gdy patrzył w zbliżający się wylot lufy. Harold Lloyd. Nigdzie nie było widać namiotów, tylko szalasy z gałęzi i patyków, które Japończycy sobie porobili, a także powykopane ziemianki. Szalasy postrzelano w kawałki albo porozbijano kolbami. Ziemianki rozwalono granatami. Stein od jednego rzutu oka zorientował się, że nie będzie sposobu zorganizować tych ludzi jeszcze przez jakiś czas.**

**Jednakże nie groziło im żadne większe niebezpieczeństwo, wymagające użycia odwodów. Byli górą i wykorzystywali to. Ogarnęła ich obłędna żądza krwi, niby jakieś szkolne wakacje od wszelkich nakazów moralnych. Mogli zabijać bezkarnie i tak robili. Przejmująca wczorajsza groza i cierpienie, entuzjazm po nie wykrytym**

**podejściu od tyłu, masakra piętnastu nie przygotowanych Japończyków na szczycie, wszystko to złożyło się na ich rozhukanie, i dopóki by się ono nie wyczerpało, nie sposób ich było powstrzymać, nawet gdyby to było bezpieczne, a Stein tak nie uważał ze względu na możliwość przeciwnatarcia. To nie znaczyło, że Japończycy nie zabili czy nie ranili nikogo. Byli tacy, i to wcale nie nieliczni. Za to inni, ci którzy nie polegli ani nie zostali ranni, nie dbali o to ani trochę.**

**W lewo od tej chaotycznej sceny był jedyny element sensownej organizacji, jaki Stein mógł dostrzec. Karabin maszynowy, który widział niesiony biegiem przez grzbiet, ustawiono teraz tak, aby kryć ogniem przedni stok w kształcie podkowy, stanowiący lewe skrzydło i tyły dwóch plutonów, które posuwały się dookoła zagiętego grzbietu. Kilku przewidujących żołnierzy zrezygnowało z morderczej zabawy i zajęło stanowiska jako ochrona cekaemu. Wszyscy strzelali teraz w dół, ilekroć jacyś Japończycy z wysuniętych pozycji usiłovali zawrócić na pomoc swoim kolegom, i chociaż nie było ich wielu, Stein od razu zorientował się, gdzie zorganizowany pluton może oddać wielkie usługi. Bo właśnie tamtędy pułkownik Tall oraz kompania B wywalczali sobie drogę do występu. Stein natychmiast zawrócił przez grzbiet, by ruszyć pluton z miejsca, W tym momencie o mało go nie przewróciła rycząca jak byk postać, która mignęła obok, pędząc od owego morderczego festynu po prawej, złapała karabin i ładownice poległego rodaka (starszego szeregowca Fronka z trzeciego plutonu, jak sobie niejasno uświadomił Stein) – po czym, wciąż rycząc, rzuciła się z powrotem w ciżbę. Duży Queen, oczywiście. Z bicepsu jego masywnej lewej ręki ściekała krew na rozdartą koszulę. Ranę miał obwiązaną chustką koloru khaki. Stein poszedł dalej.**

**Duży Queen był istotnie tym, którego Stein widział strzelającego w nos uśmiechniętemu Japończykowi. Ten był jego siódmym.**

**W parę sekund potem karabin Queena zaciął się bezpowrotnie -. Niezależnie od faktu, że byłoby ogromnie niebezpiecznie brać udział w tego rodzaju walce z karabinem, który nie strzelał, Queena aż zatkało z wściekłości na myśl, że w ostatnim momencie ominie go taka uciecha, więc pognął do tyłu po pierwszy wolny karabin, jaki zdołałby znaleźć. Queen z zadowoleniem zdawał sobie sprawę, że przedstawia nie lada widok: ociekający krwią, oszalały, ryczący byk; było na co popatrzeć. A wszystko dlatego, że dziś spotkało go coś cudownego. Przekonał się, że jednak nie jest tchórzem.**

**Cały wczorajszy dzień przeleżał pod ogniem moździerzy w tym pieprzonym leju od amerykańskiego pocisku, kompletnie rozbity i bezradny z przerażenia. Leżał tak, dopóki kapitan Gaff nie zjawił się, aby dać pierwszemu plutonowi rozkaz podejścia do grzbietu, Queen pomyślał ze wstydem, że nawet kazał Dollowi zostać na miejscu i nie zanosić meldunku Steinowi. Co będzie, jeżeli Doll komuś o tym powie? A jednak Queen, choć masywny, silny i twardy, tak właśnie zrobił. Bo to, że ktoś był masywny, silny i twardy, nie mogło nic pomóc przeciwko nieprzyjacielskim moździerzom. Na to**

potrzeba było czegoś innego. A Queen przekonał się, że tego nie ma, Znowu powrócił właściwie do tej samej bezsilności, na którą cierpiał przez całe wczesne dzieciństwo, gdy każdy smarkacz z okolicy mógł go zbić, jeżeli tylko zdołał go złapać. Kiedy potem się rozrósł, był pewien, że nic podobnego nie może mu się więcej przydarzyć, toteż cały wczorajszy dzień był dlań okropnym, niewymownym koszmarem. Prawie nie odzywał się ani słowem do nikogo, chyba że to było konieczne, chciał bowiem ukryć, co naprawdę czuł.

Ale dzisiaj to wszystko odeszło. Podniecenie skrytego marszu na tyły japońskie, połączone z udanym zlikwidowaniem karabinu maszynowego przy ścieżce, plus nie wykryte podejście na wierzchołek Trąby, a potem radosne, doszczętne zniszczenie Japończyków niosących moździerze zrodziły w nim uniesienie, które pozwoliło mu poruszać się z całą łatwością. I przebiegając wraz z innymi ostatnie kilka jardów do wierzchu grzbietu, nie bał się wcale. Prowadził swoją drużynę swobodnie. Kiedy zaś wdarł się na zdeorganizowany teren biwaku i zobaczył, co tam się dzieje, pojął z dziką radością, że ktoś zapłaci za to, co mu te dranie zrobiły. Nie miał na karabinie bagnetu, bo w podnieceniu o nim zapomniał. Jednakże zobaczywszy, jak jego dwóch kolegów zastrzelono, gdy próbowali wyrwać swoje bagnety z tych parszywych, wijących się drani, uznał, że lepiej nie mieć bagnetu w ogóle. Został trafiony prawie w pierwszych piętnastu sekundach po dotarciu na grzbiet. Nie bolało go wcale. Kula przeszła przez mięśnie górnej części ręki pozostawiając czystą dziurkę. Obwiązał ją chustką pomógłszy sobie zębami i pobiegł dalej, śmiejąc się i krzycząc. Zanim karabin mu się zaciął, zabił siedmiu, z czego czterech z podniesionymi rękami. A teraz przedzierając się z wrzaskiem przez różne grupy niczym jakiś czołg z krwi i ciała, wrócił w porę, aby zastrzelić japońskiego oficera, który powstał z dołu i biegł na nich krzycząc i wywijając wysoko mieczem, by umrzeć za swego cesarza. Queen oderwał mu pochwę, wepchnął w nią miecz, zatknął sobie za pas i popędził dalej.

–Queen wrócił! – usłyszał czyjś krzyk. – Duży Queen znowu jest! Queen wrócił!

On sam się nigdy nie przyzna. Jeżeli Doll coś nagada, to skłamię.

–Pokażcie mi tych Japońców! – ryknął.

Stein odnalazł swych „starych weteranów” – drugi pluton – którzy dzielnie czekali tam, gdzie ich zostawił, klęcząc oparci o karabiny. Pozwolił im dalej czekać, a tymczasem dokonał krótkiej „odprawy oficerów”. Właściwie był tylko on sam i Band, ale miał także Becka, który dowodził plutonem, oraz sierżantów Welsha i Storma z dowództwa. Storm ciągle zaciskał dłoń.

–Jestem ranny! – powiedział z głupawym uśmieszkiem. – Jestem ranny.

–Dobra – odrzekł Welsh drwiąco. – To dostaniesz Fioletowe Serce.



**–Ty pierdoło – powiedział Storm. – Tylko nie zapomnij mnie wpisać.**

**Kiedy się wreszcie uspokoili, Stein wyjaśnił im swoją taktykę...**

**Przejdą przez grzbiet niejako eszelonem drużyn, skręcają w lewo i ruszą prosto w dół. Karabin maszynowy przeniesie się dalej w lewo, żeby ich kryć. Mieli przeszukać wszystkie stanowiska, które nie zostały opuszczone. Pod żadnym pozorem nie mieli się zatrzymywać ani zajmować czymkolwiek na terenie biwaku.**

**–Ta pozycja już jest rozbita – powiedział. – Nie ma nic więcej do roboty poza jej oczyszczeniem. Ale pułkownik Tall i kompania B zostali najwyraźniej zatrzymani. Otworzymy im drogę od tyłu. – Przerwał. – Są jakieś pytania?**

**Nikt nie miał żadnych pytań. Wszyscy kiwnęli głowami na znak, że zrozumieli. A potem nagle odezwał się Storm:**

**–Panie kapitanie, kiedy będę mógł odejść na tyły?**

**Wszyscy czterej obrócili się i spojrzeli na niego.**

**–Bo przecież jestem ranny – uśmiechnął się Storm. Podniósł rękę i pokazał im ją. Nikt nic nie powiedział.**

**–To znaczy chcecie iść zaraz? – zapytał Stein.**

**–Jasne!**

**–No, a którędy wolicie pójść? Chcecie wrócić samemu przez dżungłę? Czy może prosto w dół z boczem wzgórza?**

**Storm przez chwilę nie odpowiadał i widać się namyślał.**

**–Rozumiem, o co panu chodzi – rzekł wreszcie. Znow podniósł rękę, zgiął ją i przyjrzał się jej. – Znaczy lepiej, żebym zczekał, aż rozwalimy te stanowiska pomiędzy nami a kompanią B, tak?**

**Stein nic nie odrzekł, tylko uśmiechnął się do niego. Storm uśmiechnął się także.**

**–Mam nadzieję, że mnie nie kropną w tej małej akcji – powiedział swoim najlepszym teksaskim akcentem. Znow spojrzął na swoją rękę i zgiął ją. Krwawiła ciągle i choć go nie bolała, wszyscy dosłyszeli, jak coś w niej chrupnęło. – Mam nadzieję, że będzie trzeba dużej, poważnej, delikatnej operacji, żeby to wydłubać – powiedział.**

**–Okej. Każdy wie, co ma robić? – zapytał Stein.**

**Wszyscy wrócili do swoich grup. Beck, naśladując swego poprzednika Kecka,**

poprosił, aby mu pozwolono poprowadzić samemu swoją drużynę. Ruszył, kiedy karabin maszynowy zmieniał stanowisko, i powoli rozwinęli się na opadającym, trawiastym zboczu, które wczoraj, z doliny, wydawało się takie wysokie, takie dalekie i tak straszliwie nieosiągalne. Daleko w dole widzieli występ, przy którym spędzili noc, Ogółem biorąc, poszło to znacznie łatwiej, niż którykolwiek z nich się spodziewał. Zbocze było usiane dołami strzeleckimi oraz gniazdami karabinów maszynowych i japoński dowódca miał najwyraźniej zamiar sprzedać je bardzo drogo. Jednakże teraz, usłyszawszy tak silny ogień nieprzyjacielski na swoich tyłach, Japończycy zaczęli wychodzić z dołów i poddawać się, osłabieni, wynędzniali, wyraźnie przerażeni myślą o potraktowaniu, jakiego spodziewali się od swoich wrogów. Ci, którzy popełnili ten błąd, że podeszli z bronią w rękach, zostali natychmiast załatwieni przez cekaem i karabiny plutonu. Innych, którzy podchodzili z pustymi rękami podniesionymi do góry, szturchano, okładano pięściami, bito i grzmocono kolbami karabinów, ale rzadko – tylko w paru przypadkach, powiedzmy: sześciu czy siedmiu – zabijano. Nikt ich zbytnio nie lubił, to fakt. Liczne doły były już ciche i puste, opuszczone przez tych, którzy” rzucili się do walki na biwaku. Jeżeli ta cisza wydawała się podejrzana, obrzucano je granatami bez dalszych ceregieli.

Jedynie dużo niżej na stoku było coś w rodzaju prawdziwej walki.

Grupa prowadzona przez Becka i Witta zaatakowała dwa duże stanowiska ogniowe, z których nadal strzelano do ludzi pułkownika Talla usiłujących podpełznąć dość blisko, aby się do nich dostać.

Cekaemy uciszono od tyłu. Kilku Japończyków w pobliskich dołach próbowało ostrzeliwać się z karabinów i zginęło. Kompania B wdarła się przez lukę, główna walka dobiegła końca i zaczęło się oczyszczanie terenu. Paru Japończyków popełniło samobójstwo przykładając sobie granaty do brzucha, ale nie było ich wielu. Drugi pluton kompanii C stracił czterech ludzi, w tym jednego zabitego.

Oczyszczanie okazało się dosyć dużą operacją samą w sobie. Na zboczu były rozrzucone liczne, jeszcze nie zlikwidowane stanowiska ogniowe, a wielu Japończyków wołało umrzeć niż iść do niewoli.

Niektórzy byli zbyt osłabieni, nawet żeby się poddać, i po prostu tkwili przy swoich karabinach, dopóki ich nie zabito. Ale zanim można było uporać się z tym wszystkim, musiało najpierw nastąpić połączenie oddziałów.

Stein stał z Bandem, Beckiem i Welshem, kiedy za plutonami kompanii B przemaszerował pułkownik Tall, z bambusową trzcinką w ręku, uśmiechając się radośnie niczym polityk, który właśnie otrzymał potwierdzenie swego zwycięstwa w wyborach. Pełniący obowiązki sierżanta Witt, który stał nie opodal, wycofał się i zniknął.

Jakiś żołnierz z drugiego plutonu, który stał niedaleko Steina na rozprażonym przez palące słońce zboczu przed paroma minutami, zacharczał nagle, jak gdyby wydając z siebie przedśmiertne rżenie, i upadł na twarz, zemdłony. Nie był pierwszym ani ostatnim.

Ktoś go przetoczył na wznak, rozpiął mu koszulę i pas, i przykrył dla ochrony jego twarz swoją usmarkaną i przepoconą żołnierską chustką. Człowiek ten leżał tam jeszcze, a w chwili gdy nadszedł pułkownik Tall, Stein właśnie myślał o wodzie. W ustach zaschło mu tak, że ledwie mógł przetykać ślinę, a widział już, że ludzie Talla nie mają dla nich wody, bo nikt nie niósł żadnych pojemników.

Najbardziej pragnął dowiedzieć się o wodę, lecz kiedy Tall ścisnął mu dłoń i składał gratulacje, Stein czekał cierpliwie, aż te uprzejmości się zakończą. Później miał często się zastanawiać, dlaczego tak postąpił. Może po prostu dlatego, że nie był tym typem człowieka – w gruncie rzeczy niezbyt energicznym? Zauważył natomiast, że kiedy Tall ścisnął mu dłoń, w uśmiechniętej twarzy pułkownika zaszła osobliwa, subtelna zmiana, której nie można by nazwać naprawdę przyjemną. John Gaff, który szedł tuż za pułkownikiem, także popatrzał dziwnie na Steina, kiedy z uśmiechem ścisnął mu dłoń.

–No, Stein, zrobiliśmy to, synu! Zrobiliśmy! – powiedział Tall i klepnął Steina po plecach raczej smutnie, jak się kapitanowi wydało. Nie przypominał sobie, żeby pułkownik nazywał go kiedykolwiek „synem”.

Nastąpiło dalsze ściskanie dłoni Bandowi i sierżantom. Kiedy ustały śmiechy, Stein zapytał o wodę.

–Bardzo mi przykro! – uśmiechnął się pułkownik. – Ale nie mogłem nic zrobić. Miałem dla was cztery kanistry, połowę tego, co moi chłopcy mi przynieśli. Ale ludzie byli tacy podnieceni, tacy podminowani, tacy... – rozłożył ręce. – Porozlewali chyba z połowę, żeby dostać po pół kubka na twarz.

Tall nie miał miny człowieka winnego, tylko po prostu pogodzonego z losem. Dokoła nich nadal strzelano gęsto. Ale wszyscy już do tego przywykli.

–Ale pan mówił, że jak tu dojdziemy, będzie pan dla nas miał tyle wody, ile zdołamy wypić – rzekł Stein, o wiele za łagodnie, jak pomyślał, gdy tylko wypowiedział te słowa.

— I tak będzie! – uśmiechnął się Tall. – Jeżeli pan spojrzy w dół, zauważy pan, że już idą. Jak zobaczyłem, co się dzieje, posłałem Jamesa, żeby apelował do dowódcy pułku, dowódcy dywizji, dowodzącego generała – do każdego, kto mu się nawinie pod rękę, a im więcej gwiazdek, tym lepiej.

Stein automatycznie obrócił się i spojrzał. Daleko, w dolinie, gdzie wczoraj on i jego

ludzie leżeli w takim strachu i przerażeniu, rozeznał długą, wężowatą linię, posuwającą się z wolna ku nim. Jeżeli patrzył wprost na nią, znikala, i musiał zerkać kątem oka.

–To jest rezultat – odezwał się za nim wesoło Tall. – I dostaną racje żywnościowe zarówno jak wodę! A teraz myślę, że powinniśmy wziąć się do zorganizowania linii wzdłuż grzbietu. A także trochę lepiej zorganizować to oczyszczanie terenu. Co pan myśli o możliwości przeciwnatarcia?

Ostatnie zdanie było wyraźnie ostrzejsze i Stein obrócił się szybko, akurat w porę, by znów uchwycić ten sam dziwny wyraz twarzy Talla; była uśmiechnięta, ale pod spodem nie uśmiechała się wcale. Tylko Gaff miał niewesołą minę.

–Nie znaleźliśmy żadnych oznak obecności nieprzyjaciela, panie pułkowniku – powiedział Stein, a potem zmusił się do dodania dla ścisłości: – Poza jednym ciężkim karabinem maszynowym z czteroosobową obsługą, który zlikwidowaliśmy. – Starał się bardzo usilnie mówić całkiem rzeczowo i nie nadawać swym słowom jakiegokolwiek podtekstu. Żadnego tryumfu. Ale potem jego charakter wziął górę. – A co z rannymi, panie pułkowniku? Nie przyprowadził pan żadnych sanitariuszy?

–Noszowi powinni zjawić się razem z racjami – odrzekł Tall swoim stalowym głosem. – Nie ma pan żadnych sanitariuszy kompanijnych?

–Jednego, panie pułkowniku. Drugi nie żyje.

–Mieliśmy ze sobą trzech – powiedział Tall – ale musieli się zająć naszymi własnymi rannymi. Podejrzewam, że dzisiaj ponieśliśmy większe straty niż wy. – Spojrzył bacznie na Steina.

–Może byśmy obejrzeliby tę linię na grzbiecie? – zapytał Stein.

–Zostawiam to panu – odparł Tall. – Ja zajmę się tą akcją oczyszczania.

–Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Stein i zasalutował. – Beck! Welsh!

Zostawił George'a Banda z innymi oficerami.

Cios spadł późnym popołudniem. Stein nie mógłby uczciwie powiedzieć, że go nie przewidywał. Pierwszy i trzeci pluton kompanii C, oczyściwszy skutecznie teren biwaku i zdobywszy kilka ciężkich moździerzy oraz dwa siedemdziesięcimilimetrowe działa polowe, zostały rozlokowane linią wzdłuż grzbietu, który zajęły i który panował nad niebezpieczną Trąbą Słonia. Kompania B – jak – Baker plus drugi pluton C, zorganizowane przez pułkownika Talla, kontynuowały oczyszczanie terenu. Kiedy to zakończyły, co zabrało im większą część dnia, drugi pluton przeszedł do odwodu za pierwszy i trzeci. Kompania B włączyła się do linii na szczycie, w prawo od C, mając

jako odwód jeden ze swoich plutonów. Wśród tych czynności ważnym wydarzeniem było przyniesienie wody i racji żywnościowych, co zawiesiło wszystko na pół godziny. Kiedy już wykonano, co należało, a piekący żar słońca zaczynał słabnąć zapowiadając pierwsze oznaki wieczoru, pułkownik Tall wezwał do siebie Steina na były teren biwaku japońskiego za grzbietem.

–Zwalniam pana z dowodzenia – powiedział bez żadnych wstępów. Jego twarz, ta twarz, ta młodo – stara anglosaska twarz, wyglądająca znacznie młodziej i o tyle przystojniejsza niż Steina, była twarda i surowa.

Stein nagle poczuł serce walące mu w uszach, ale nie powiedział nic. Pomyślał o tym, jak dziś wykonał ten ruch na Trąbę. Ale oczywiście w dużej mierze była to sprawa szczęścia.

–Zastąpi pana George Band – rzekł Tall, kiedy Stein się nie odzywał. – Już mu powiedziałem, więc nie musi pan tego robić.

–Czekał.

–Tak jest, panie pułkowniku.

–To ciężka rzecz – mówił Tall – i trudna decyzja. Ale po prostu nie sądzę, żeby pan kiedyś mógł być dobrym oficerem bojowym. Przemyślałem to dokładnie.

–Z powodu tego, co stało się wczoraj rano? – zapytał Stein.

–Częściowo – odrzekł Tall. – Częściowo. Ale w gruncie rzeczy jest coś innego. Nie uważam, żeby pan był dostatecznie twardy.

Myślę, że jest pan za miękki. Ma pan za miękkie serce. Za mało tężyzny. Uważam, że za dużo daje się pan powodować uczuciom.

Kieruje się pan uczuciami. Jak powiedziałem, przemyślałem to sobie dokładnie.

Stein przyłapał się na tym, że nie wiadomo czemu myśli o młodym Fifie, swoim kanceliście, który wczoraj został trafiony, o kłótniach z nim, i o tym, co sam myślał o Fifie. Mówił w personalnym, że uważa go za zbyt nerwowego, zbyt emocjonalnego, żeby mógł być dobrym oficerem liniowym piechoty. Może tak właśnie myślał Tall o nim? Było to dziwne. Ale co jego ojciec, eks – major z pierwszej wojny światowej, powiedziałby na to? Stein ciągle nic nie mówił i nagle doznał znowu owego uczucia, że jest uczniakiem, że zawinił i został skarcony. Nie mógł się z niego otrząsnąć. Było to niemal śmieszne.

–Na wojnie ludzie muszą ginąć – mówił Tall. – Po prostu nie ma na to żadnego sposobu. A dobry oficer powinien to akceptować, potem zaś zestawiać straty w

**zabitych z potencjalnymi zyskami. Nie sądzę, żeby pan potrafił to robić.**

**–Nie lubię patrzeć, jak moi ludzie giną! – usłyszał Stein własne słowa wypowiedziane z zapalem w samoobronie.**

**–Oczywiście, że nie. Żaden dobry oficer tego nie lubi. Ale musi umieć to znosić – odparł Tall. – A czasem musi umieć to nakazać.**

**Stein nie odpowiedział.**

**–W każdym razie – rzekł Tall surowo – ta decyzja należy do mnie i już ją powzięłem.**

**Stein badał własne reakcje. Było wśród nich silne pragnienie opisanie pułkownikowi działań, które dziś przeprowadził: długiego marszu, zdobycia Trąby, tego jak przyszedł Tallowi z pomocą i otworzył mu drogę – a potem podkreślenia, tak jakby Tall tego nie wiedział, że wczoraj po raz pierwszy był w prawdziwym ogniu, że dzisiaj znacznie mniej się przejmował widząc, jak jego ludzie giną.**

**Może to właśnie chciał Tall odeń usłyszeć, aby móc go zatrzymać?**

**A może nie chciał, nie miał zamiaru zatrzymać go w żadnym razie? Jednakże Stein tego nie powiedział. Natomiast uśmiechnął się nagle i powiedział coś innego. Czuł, że ten uśmiech jest dosyć drętwy.**

**–W jakimś sensie to jest prawie komplement, prawda, pułkowniku?**

**Tall popatrzał na niego dokładnie tak, jakby nie usłyszał tych słów, albo jeżeli je usłyszał, to nie miały zastosowania do niczego – i mówił dalej to, co sobie wyraźnie przygotował do powiedzenia. Stein nie miał ochoty powtarzać swoich słów. A zresztą nie był pewny – w istocie nie wierzył – czy to, co powiedział przed chwilą, jest prawdą. Uważał wraz z Tallem, że jest przeciwnie. To nie był komplement.**

**–Nie ma sensu robić skandalu – ciągnął Tall. – Nie chcę, żeby to zamieszczono w kronice batalionu, kiedy nim dowodziłem, i nie ma potrzeby, żeby pan kazał wpisać to przeciwko sobie do pańskich akt. Nie ma to nic wspólnego z tchórzostwem czy nieudolnością.**

**Proponuję, żeby pan wystąpił o przeniesienie do prokuratury w Waszyngtonie ze względu na zły stan zdrowia. Jest pan prawnikiem.**

**Miał pan już malarię?**

**–Nie, panie pułkowniku.**

**–To zresztą nieważne. Potrafię to załatwić. Tak czy owak prawdopodobnie pan to**

dostanie. Poza tym przedstawiam pana do Srebrnej Gwiazdy. Zrobię to w taki sposób, że jej na pewno nie odmówią.

Stein poczuł instynktowne, gniewne pragnienie zaprotestowania przeciwko medalowi i już podnosił rękę. Ale potem ją opuścił.

Cholera z tym. Co to właściwie za różnica? I jeszcze w Waszyngtonie. Stein lubił Waszyngton.

Zza swej surowej, twardej, pozbawionej wyrazu twarzy Tall zauważył rękę na wpół podniesioną w proteście.

–Może pan także dostać Fioletowe Serce.

–Dlaczego?

Tall obrzucił go wzrokiem. – Ano, po pierwsze – odrzekł obojętnie – widzę na pańskim lewym policzku dosyć głębokie zadrapanie od wczorajszego padania na te cholerne kamienie. – Podniósł rękę. – A gdyby to nie wystarczało, widzę też kilka strużek krwi od skaleczeń na pańskich rękach pod całym tym cholernym, pieprzonym błotem. – Popatrzał na Steina bez wyrazu.

Steinowi nagle zachciało się płakać. Właściwie nie wiedział, czemu. Może dlatego, że nie mógł już bodaj nie lubić Talla. Nawet Talla. A jeżeli nie można było nie lubić nawet Talla...

–Tak jest, panie pułkowniku – powiedział spokojnie, udając znudzenie.

–Myślę, że najlepiej, aby pan odszedł zaraz, z następną partią rannych i jeńców – powiedział Tall bezbarwnym głosem. – Nie ma potrzeby, żeby pan się tu pokazywał. Im ciszej będzie koło tego, tym lepiej dla wszystkich.

–Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Stein, zsalutował i odwrócił się. Nagle ujrzał w wyobraźni samego siebie, ze łzami w oczach potykającego się, złamanego. Ale to była bzdura. Oczy miał całkiem suche. Pojechać do Waszyngtonu? Naprawdę nie mógł powiedzieć, że ma coś przeciwko temu. Boże, co za legendy! Wojna uczyniła to miasto największym, najruchliwszym, najbogatszym, najbardziej podniecającym w kraju. I to do papierkowej roboty. Grupa noszowych szykowała się do zejścia tam, gdzie jeepy dojeżdżały, na krótkie, przednie zbocze Wzgórza 209, i Stein ruszył ku nim.

Długo patrzył na to zbocze. To po nim wkroczył zaledwie wczoraj na terytorium nieprzyjacielskie, a teraz nie było już niebezpieczne. Roili się na nim ludzie. Więc to tak. Długo oczekiwane, rozświetlające dusze doświadczenie walki. Stein nie uważał, żeby się różniło od pracy w dużym biurze prawnym czy jakiejś wielkiej korporacji.

**Albo dla rządu. Tak jak w Sowietach. Trochę bardziej niebezpieczne dla życia i zdrowia, ale nie różniące się w skutkach od spragnionego nagrody, a lękającego się kary nastawienia robotników. Kiedy noszowi byli gotowi, ruszył wraz z nimi, pomagając nieść rannych w trudnych miejscach, gdy to było potrzebne.**

**Co Tall naprawdę o nim myślał? Czy może nie myślał w ogóle?**

**Wiadomość rozeszła się prędko. Mimo że Tall chciał utrzymać to w tajemnicy, cała kompania C – jak – Charlie – a nawet cały batalion – wiedziała w piętnaście minut po odejściu Steina, że odebrano mu dowodzenie. W C – jak – Charlie bardzo to rozgniewało wielu żołnierzy i podoficerów, ale p.o. sierżanta Witt był pierwszym, któremu przyszło do głowy wyłonić delegację, aby złożyć protest.**

**Wielu było za tym pomysłem, ale pytali, u kogo mieliby protestować. U Banda, nowego dowódcy, czy u samego Talla? Złożenie protestu Bandowi byłoby niejako policzkiem. A z drugiej Strony było nie do pomyślenia protestować u Talla, bo niewątpliwie wsadziłby ich wszystkich do mamra za to, że w ogóle odważyli się pomyśleć o czymś podobnym. Wreszcie wszystko skończyło się na rozgoryczonym szemraniu. O ile jednak inni byli gotowi uspokoić w ten sposób własne sumienie, to Witt, pełen gniewu, nie miał zamiaru na tym poprzestać.**

**Witt miał już jedno przykre starcie tego dnia. Kiedy tak roztropnie i delikatnie oddalił się od miejsca spotkania Talla i Steina (on też widział, że wody nie ma), odszedł kawałek na zbocze, by usiąść samotnie i odsapnąć. Był wyczerpany. I straszliwie spragniony. I właśnie tam, kiedy siedział odrętwiały i patrzył bezmyślnie w dół, Charlie Dale, eks – drugi kucharz, który przyszedł z Gaffem i innymi ochotnikami z plutonów kompanii B, odszukał go, by się poskarżyć.**

**Krępy Dale, ze swymi wiecznie przygarbionymi ramionami i potężnymi, długimi rękami, przymaszerował flegmatycznie przed siedzącego Witta i stanął zwałście na wprost niego, aby powiedzieć swoje. W rękach trzymał karabin.**

**–Mam ci coś do powiedzenia, Witt – warknął.**

**Myśli Witta, jeżeli miał jakieś w tym momencie, były bardzo, bardzo daleko.**

**–Tak? – zapytał jak przez sen. – A co?**

**–Nie powinienes tak do mnie gadać, jak gadałeś – mruknął Dale władczo – i nie” wolno ci tego więcej robić. To jest rozkaz.**

**–Co? – zapytał Witt przytomniejąc, kiedy usłyszał ton jego głosu. – Co? Kiedy?**

**–Dziś rano, przy bunkrze.Pamiętasz.**



**–A co powiedziałem?**

**–Nazwałeś mnie baranem, kiedy wrzuciłem granat do tego dołu, a Japoniec go odrzucił. Tak się do mnie nie mówi. Jestem teraz podoficerem i to nie jest właściwe. W każdym przypadku – ciągnął, a było to powiedzenie, które przyswoił sobie słuchając Gaffa i Steina, i teraz powtórzył z satysfakcją – w każdym przypadku rozkazuję ci nie robić tego więcej.**

**Witt miał taką minę, jakby ugryzła go wściekła osa. Nie był zły. Wściekły.**

**–Ach, odpieprz się, Charlie – warknął. – Znałem cię, kiedy byłeś zafajdanym drugim kucharzem. I to nie bardzo dobrym. Nie przyjmuję od ciebie żadnych rozkazów. Możesz je sobie wsadzić w dupę razem ze swymi naszywkami.**

**–Nazwałeś mnie baranem.**

**–Bo jesteś baran! – krzyknął Witt dźwigając się na nogi. – Baran! Baran! Baran! – A co więcej, dureń! Powinieneś być mieć tyle rozumu, żeby... A zresztą ja też jestem p.o. sierżanta! Stein mnie mianował dziś rano. Teraz spływaj! – Był jeszcze wściekły, że Tall zrobił z niego rano takiego osła, a teraz znowu ten osioł próbował wydawać mu głupie rozkazy. – Baran! – krzyknął znów jak oszalały.**

**Dale wyraźnie spieszył się wiadomością, że jego wróg jest teraz także pełniącym obowiązki sierżanta.**

**–Nie jestem baranem – rzekł spokojnie. – A ty nie byłeś p.o. sierżanta, kiedy to powiedziałeś. W każdym razie zostałem mianowany wcześniej, więc mam nad tobą starszeństwo. I nie boję się ciebie. – A potem głos jego zmiękł, kiedy mu przyszło do głowy coś nowego. – Poza tym to nie wygląda dobrze przy ludziach – powiedział, jak gdyby byli dwoma majorami popijającymi w barze klubu oficerskiego.**

**–W dupie mam ludzi! W dupie! – krzyknął Witt. Schylił się, podniósł karabin i przytrzymał go oburącz przed sobą, tak jak się trzyma broń o dwóch ostrzach. Nie było na nim bagnetu. – Słuchaj, Dale, nigdy nie biję nikogo bez ostrzeżenia. Taką mam zasadę. Więc teraz cię ostrzegam. Zjeżdżaj i nie zbliżaj się do mnie.**

**Jeżeli powiesz jeszcze jedno słowo, rozkwaszę ci twój pieprzony łeb. I zleję ci dupę!**

**–Zdaje mi się, że to ja mogę zlać ciebie – odparł – Dale flegmatycznie jak zwykle.**

**–To spróbuj! Spróbuj!**

**–Nie, za dużo jest teraz do roboty. Oczyszczanie dopiero się zaczyna. Nie chce tego opuścić.**

**–Co tylko chcesz! – ryknął Witt. – Noże, bagnety, pięści, kolby, kule!**

**–Wystarczą pięści – powiedział Dale spokojnie. – Nie chcę cię zabić...**

**–Bobyś nie mógł!**

**–...a wiem, że byłeś bokserem – ciągnął spokojnie Dale. – I o tych różnych bzdurach. Mimo to potrafię cię złać.**

**–Tak? – Witt postąpił ku niemu podnosząc kolbę, jakby go chciał uderzyć nią w bok głowy, lecz Dale się cofnął. Podniósł swój karabin z nasadzonym bagnetem, stając w pozycji do walki.**

**–Może bym cię i nie złał – doszedł do wniosku. – Ale przynajmniej byś wiedział, żeś się bił, bracie.**

**–Chodź! Chodź! – krzyknął Witt. – Tylko gadasz i gadasz!**

**–Teraz jest za dużo poważnej roboty – odrzekł Dale. – Spróbujemy się później, bracie.**

**Odwrócił się i odszedł.**

**–Każdej chwili! – ryknął Witt za nim, po czym znów usiadł z karabinem w poprzek kolan. Dygotał z zimnej wściekłości. Jego złać! W całym pułku nie było człowieka jego wzrostu, który mógłby go złać. I wątpił, czy jest ktoś w pułku, kto potrafiłby pobić go na bagnety. Co do strzelania, to był najlepszy we wszystkich pułkach, w jakich służył od sześciu lat. To nie wygląda dobrze przy ludziach! Rany boskie!**

**Doszedł do wniosku, że teraz ma w batalionie dwóch znieawidzonych facetów: jego dowódcę i Charliego Dale'a.**

**Przez całą popołudniową walkę przy oczyszczaniu terenu Witt nie czuł tej swojej najwyższej, pełnej obrzydzenia furii, ale powróciła od razu, gdy tylko się dowiedział o niełasce Steina, i wtedy popróbował zorganizować protest. Ci wszyscy faceci to łąchmyty, taka była prawda. A batalion stacza się na łeb, na szyję. Band! Na dowódcę kompanii? Witt uważał, że wie, po czym się poznaje dowódcę kompanii, a Band nie był dowódcą kompanii. Zresztą i Stein też nie, Został dowódcą dopiero w ostatnich dwóch dniach, i proszę, co się zdarzyło! A teraz go wykopali. Kiedy możliwość złożenia zorganizowanego protestu powoli roztopiła się w szemraniu, Witt równie powoli uświadomił sobie stopniowo, co robi. Po prostu nie chciał więcej być w tym zasranym batalionie. Bez Steina. Ogarnięty zimnym, kentuckyańskim uporem, przycisnął swą kanciąstą brodę do cienkiej szyi i naprężył wąskie ramiona. Zameldował się u nowego dowódcy kompanii na krótko przed zmierzchem.**

Ten cholerny Welsh był tam oczywiście. Band siedział o kilka kroków od niego, dojadając resztek puszki mięsa z fasolą.

–Szeregowiec Witt prosi o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii – powiedział Witt do sierżanta. Band podniósł znad jedzenia swoje baczne, świdrujące oczy. Ale nic nie powiedział.

A Witt nie odrywał oczu od sierżanta.

Welsh spojrział na niego ponuro. Potem odwrócił głowę.

–Panie poruczniku, szeregowiec Witt prosi o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii – warknął.

–Dobrze – odrzekł Band i uśmiechnął się pogodnie. Przełknął ostatni kęs mięsa z fasolą, odrzucił puszkę, oblizał łyżkę i schował ją do kieszeni. Był bez hełmu. Witt, tak samo jak wszyscy z obu kompanii, wiedział, że Bandowi zestrzelił hełm z głowy Japończyk, który powstał z dołu podczas akcji oczyszczania. Kula weszła po lewej stronie około skroni robiąc małą, czystą dziurkę, a wyszła z tyłu wybijając duży, szarpany otwór. Band, który nie stracił przytomności, okręcił się i zastrzelił Japończyka. Przedziurawiony hełm leżał teraz obok niego na ziemi. Witt podszedł do Banda i zasalutował.

–Siadajcie, Witt, siadajcie. Rozgośćcie się – powiedział Band żartobliwie, swobodnie. – Tylko nie jesteście już „szeregowcem”

Wittem; jesteście pełniącymi obowiązki sierżanta. Słyszałem, jak kapitan Stein mianował was dziś rano. – Schylił się i podniósł hełm.

–Widzieliście mój hełm?

–Nie, panie poruczniku – odrzekł Witt zgodnie z prawdą.

Band wyciągnął na wierzch wgniecioną fibrową podkładkę i pokazał ją. Potem wytknął palec przez większą dziurę i pokiwał nim do Witta.

–To jest coś, nie?

–Tak, panie poruczniku – odrzekł Witt.

Band odrzucił hełm włożywszy na powrót podkładkę.

–Nie miałem pojęcia, że te rzeczy naprawdę kogoś chronią – powiedział. – Zachowam to sobie, w każdym razie samą skorupę, i zabiorę ją do domu, kiedy dostanę inny.

Witt nagle pomyślał o Johnie Bellu, któremu zdarzyło się to samo przy bunkrze,, i na chwilę poczuł dojmujący żal, że opuszcza jego i innych. Ta grupa szturmowa to była fajna paczka z wyjątkiem Charliego Dale'a.

–Przecież powiedziałem, żebyście usiedli, Witt. Siadajcie – uśmiechnął się Band.

–Wolę stać, panie poruczniku – odrzekł Witt.

–O! – pogodny uśmiech Banda zniknął. – No dobrze. To czego chcieliście?

–: Chcę zameldować dowódcy kompanii, że wracam do mojej dawnej jednostki, kompanii działowej tego pułku – - powiedział Witt.

–Chciałem to zameldować dowódcy kompanii, żeby dowódca kompanii, jeśli by zauważył, że mnie nie ma, wiedział, dlaczego.

–No, to nie jest konieczne, Witt. Myślę, że możemy załatwić wasze przeniesienie – odrzekł Band uprzejmie. „Roześmiał się. – Nie martwcie się, że będziecie potraktowani jako nieobecny bez zezwolenia. Wiecie, byliście bardzo wartościowi w ostatnich paru dniach.

–Tak jest – powiedział Witt.

–Brakuje nam podoficerów. Mam zamiar zatwierdzić jutro wszystkie tymczasowe stopnie na stałe.

Łapówka. Witt czuł, – że Welsh obserwuje go z najwyższym niesmakiem.

–Tak jest – powiedział.

Oczy Banda nagle zwężyły się nad wciąż uśmiechniętymi ustami.

–Więc jednak chcecie odejść. – Westchnął. – Dobrze, Witt.

Zdaje się, że nie ma oficjalnego sposobu, abym was zatrzymał.

Zresztą nie chciałbym mieć w moim oddziale człowieka, który by nie miał chęci służyć pode mną.

–To nie to, panie poruczniku – skłamał Witt. Bo przecież tak było. Przynajmniej częściowo. – Po prostu nie chcę służyć w batalionie – rozmyślnie nie wymienił pułkownika Talla – który robi ludziom to, co ten batalion zrobił kapitanowi Steinowi.

–Dobrze, Witt. – Band uśmiechnął się znowu tym swoim uśmiechem. – Ale myślę, że nie nam to osądzać. Każda armia jest większa od któregośkolwiek służącego w niej człowieka.

**Kaznodziejstwo. – Tak jest – powiedział Witt.**

**–To wszystko, Witt – rzekł Band. Witt zasalutował, Band mu odsalutował i Witt zrobił w tył zwrot.**

**–Aha, Witt! – powiedział cicho Band. Witt obrócił się. – Może chcielibyście doręczyć waszemu dowódcy w kompanii działowej list zaświadczący, gdzie byliście przez ostatnie dwa dni. Jeżeli tak, to chętnie go dla was napiszę.**

**–Dziękuję, panie poruczniku – odrzekł Witt obojętnie.**

**–Sierżancie – powiedział Band – proszę napisać mi list „Do wszystkich, których to może dotyczyć”, że Witt był z tą jednostką przez ostatnie dwa dni w ogniu walki i został przedstawiony do odznaczeń.**

**–Nie mam maszyny do pisania – odrzekł Welsh z niechęcią.**

**–Niech pan ze mną nie dyskutuje, sierżancie! – krzyknął Band.**

**–Proszę napisać ten list! Wziąć ten arkusz papieru i napisać list!**

**–Rozkaz – powiedział Welsh. Wziął arkusz papieru, który Band wyjął z torby odziedziczonej po Steinie. – Weld! – Mały poborowy w średnim wieku podbiegł do niego. – Weźcie ten papier, idźcie do tamtego pniaka i napiszcie mi list. Ma być drukowanymi literami. Macie pióro? – warknął.**

**–Tak jest!**

**–Wiecie, co napisać w tym liście?**

**–Tak jest! – odrzekł Weld. – Tak jest!**

**–Okej. Jazda! I nie powtarzajcie wciąż „tak jest”, łamago. Pieprzony poborowy!**

**Welsh usiadł, skrzyżował ręce i popatrzał na nich obu – Witta i Banda. A potem nagle uśmiechnął się do nich swym obłąkanym, mętным uśmiechem. Gdzieś w labiryntach swojego” umysłu zestawiał obydwóch razem i dawał im to do zrozumienia. Wittowi było to obojętne, ale nie bardziej lubił Banda niż Welsh. Tak samo nie lubił Welsha. Było coś niesmacznego i zbyt miękkiego w postępowaniu porucznika.**

**Kiedy list był już gotowy i podpisany – zabrało to tylko kilka minut – Welsh mu go podał. Gdy jednak Witt chciał wziąć list, Welsh nagle – ścisnął kciuk i palec wskazujący, nie puszczając go.**

**Kiedy Witt pociągnął mocniej, Welsh przytrzymał – papier z tym głupim, obłąkanym**

uśmiechem na twarzy. Natomiast kiedy Witt puścił list i już odsuwał rękę, Welsh puścił go. także papier o mało nie spadł na ziemię. Witt musiał go złapać. Welsh nie powiedział ani słowa. Witt odwrócił się.

–Nie ma potrzeby iść teraz, Witt – zawołał za nim Band. – Już prawie ciemno. Możecie zaczekać do jutra.

–Nie boję się ciemności, panie poruczniku – odparł Witt patrząc twardo na Welsha. Odszedł. Był zły na siebie za to, że chciał wziąć ten list. Powinien był go zostawić albo w ogóle odmówić.

W gruncie rzeczy go nie potrzebował. Pieprzyć tych wszystkich parszywych drani! Żaden nie kiwnął palcem, żeby pomóc biednemu Steinowi. A jeśli Band myślał, że może przekupić Boba Witta sierżantstwem czy propozycją, żeby został do jutra i może się rozmyśli, to go nie znał. Co zaś się tyczy dojścia na Wzgórze 209 w ciemnościach, to mógł to zrobić z zawiązanymi oczami. I zrobił.

Zaledwie w kilka minut po odejściu Witta ze stanowiska dowodzenia C – jak – Charlie pułkownik Tall wysłał ze swego dowództwa list, na którego opracowaniu spędził ostatnie dwie godziny. W gruncie rzeczy nie był z niego zadowolony; styl był zarazem i zbyt kwiecisty i za twardy, ale Tall chciał wysłać to pismo do odczytania ludziom, zanim się zanadto ściemni. Wolałby wygłosić osobiście przemówienie do batalionu, ale ponieważ ten znajdował się na linii, było to niemożliwe. Dlatego kazał swym kancelistom wypisać odręcznie po dwa egzemplarze dla każdej kompanii. Mówił tam oczywiście o zwycięstwie, w płomiennych słowach. Jednakże głównie chciał powiadomić ludzi, że zapewnił batalionowi tygodniowy odpoczynek poza linią. (Strawił prawie pół godziny na wyklócaniu się o to z dowództwem zarówno pułku, jak dywizji, gdy tylko przeciągnięto linie telefoniczne). Jego batalion poniósł najwyższe straty w dywizji i zdobył najtrudniejszy cel natarcia. Miał być jutro pod wieczór zmieniony przez batalion z zapasowego pułku dywizji. Tall spodziewał się usłyszeć trochę wiwatów na linii podczas odczytywania tego ludziom i kiedy w gęstniejącym zmierzchu odszedł od stanowiska dowodzenia i stanął na osobności, aby posłuchać, nie zawiódł się. Drugą rzeczą, o której chciał zawiadomić żołnierzy, było to, że jutro dowódca dywizji przeprowadzi osobiście inspekcję odcinka. Właśnie z powodu tej inspekcji nie mogli zostać zmienieni wcześniej. Tall przewidywał, że usłyszy trochę szemrania na to, i stwierdził uśmiechając się do siebie, że i tutaj nie spotkał go zawód. Pochlebiał sobie, że dosyć dobrze zna sposób reagowania żołnierzy – powinien był go znać po piętnastu latach – i rzeczywiście wiadomość o tygodniowym wypoczynku więcej niż zrównoważyła wszelką naturalną irytację z powodu inspekcji.

Inspekcja rozpoczęła się o wpół do jedenastej. A to dlatego, że dowódca dywizji spędził całe rano chodząc ze swoim sztabem po polu walki na wzgórzu. Jednakże na długo przed dziesiątą trzydzieści oficer prasowy dywizji już był na linii, obchodził teren, sprawdzał, poprawiał, zmieniał, obmyślał kąty ujęć dla kamer – i szukał. Był

masywnym, bezceremonialnym, szczerym człowiekiem, majorem, który przez swoje lata w West Point grał jako łącznik w ogólnoamerykańskich zawodach piłkarskich. Znalazł to, czego szukał, w osobie szeregowca Traina, owego jękały, w którego objęcia upadł młody kapral Fife po rażeniu pociskiem z moździerza.

W ciągu tych dwóch dni zdobyto sporo „mieczów samurajskich”.

Queen (obecnie wyewakuowany), Doll i Cash mieli po jednym. Tak samo kilku innych w obu kompaniach. Ale los sprawił, że Train (bez żadnej swojej winy, należy dodać) zdobył jedyny prawdziwy, wysadzany klejnotami miecz, taki jak te, o których od dawna czytali w gazetach. Train, bardziej dlatego, że był wyczerpany i chciał złapać oddech, niż z jakiejś innej przyczyny, wskoczył na chwilę do jednego z szałasów na grzbiecie i znalazł ów miecz leżący tam na ziemi.

Miecz ten miał rodzaj fałszywej rękojeści z ciemnego drzewa, ozdobionej bogato złotem i kością słoniową, oprócz pięknie wykonanego ze skóry futerału. Nie był to specjalnie skomplikowany mechanizm i kiedy Train później ją zdjął, znalazł klejnoty – kilka wielkości paznokcia jego kciuka – osadzone w stalowym trzonku.

Rubiny, szmaragdy, trochę małych diamentów. Fałszywa drewniana rękojeść była przemyślnie wyrzeźbiona wewnątrz, tak że przylegała doskonale do wypukłości kamieni. Cały miecz był okazem pięknej roboty. Musiał należeć co najmniej do generała, jak powiedzieli Trainowi jego osłupiali kumple, kiedy im go pokazał – aczkolwiek mówili też, że takie miecze noszą również podporucznicy, jeżeli są to ich pamiątki rodowe.

Miecz wywołał w batalionie ogromne podniecenie, gdyż oceniano, że jego wartość wynosi od pięciuset aż do dwóch tysięcy dolarów. I właśnie tego miecza szukał oficer prasowy dywizji, poza wykonywaniem innych swych obowiązków. Nie wiedział, że należy on do Traina, natomiast wiadomo mu było, że jest gdzieś w kompanii C. Wieść o nim dotarła daleko na tyły i kiedy oficer prasowy to usłyszał, przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. Po przybyciu udał się prosto do porucznika Banda. Band, namyśliwszy się chwilę, skierował go do Traina. Przypuszczał, że musi to być właśnie ten miecz. Sam go nie widział i nie zwrócił na to większej uwagi. Ale to musiał być ten. I był.

–To jest to! – zawołał z podnieceniem oficer prasowy, kiedy Train mu go pokazał. – To ten! Synu, masz wielkie szczęście! Wiesz, co zrobisz? Wręczysz ten miecz generałowi, kiedy będzie przeprowadzał inspekcję.

–J – j – ja? – zapytał Train.

–Jasne! Przecież twoja twarz będzie pokazana w każdym kinie w Stanach Zjednoczonych, które wyświetla kronikę filmową! Tylko pomyśl! Co ty na to? Twoja

**twarz!**

**Train zakrztusił się pod swoim spiczastym, obwisłym, ogórkowatym nosem.**

**–K – k – kiedy j – ja myślałem, że chciałbym go s – s – sobie z – z – zatrzymać, p – p – panie m – m – majorze – powiedział nieśmiało.**

**–Zatrzymać? – krzyknął major. ~ A po co? Po co, do diabła?**

**Co byś z nim zrobił?**

**–N – n – no, wie pan m – m – major, W – w – właściwie n – n – nic. P – p – po prostu bym go z – z – zatrzymał – usiłował wyjaśnić Train. – N – n – na p – pamiątkę.**

**–Nie bądźże głupi! – ryknął major. – Po pierwsze pewnie byś go stracił, zanim ta wojna się skończy! Albo sprzedał! Generał ma wspaniałą kolekcję ciekawej starej broni! Tego rodzaju okaz powinien znaleźć się w takiej kolekcji jak jego!**

**–N – n – no...**

**–Pomyśl, co to będzie za zdjęcie do kroniki! – zawołał major.**

**–Generał podchodzi! Ty dajesz mu miecz! Wyciągasz go i pokazujesz, jak się zdejmuje fałszywą rękojeść! A potem mu go wręczasz!**

**On nakłada rękojeść z powrotem! Ściska ci dłoń! Generał Bank ściska ci dłoń! A my nagramy twój głos! Powiesz: Panie generale, chce panu ofiarować ten japoński miecz, który zdobyłem. Albo coś podobnego! Tylko pomyśl! Pomyśl o tym! Twoja twarz, twój głos będzie w każdym kinie w całym kraju! Może nawet twoja rodzina cię zobaczy!**

**–Ano – powiedział Train z nieśmiałym żalem – jeżeli p – pan n – naprawdę myśli, że tak b – b – będzie najlepiej...**

**–Czy myślę! – huknął major. – Czy myślę! Ja ci to osobiście – osobiście! – gwarantuję! Nigdy nie będziesz tego żałował! Zaczekaj, aż twoja rodzina napisze, że cię widziała! – Uścisnął mu dłoń. – A teraz daj mi ten miecz! Chcę mu się lepiej przyjrzeć!**

**Muszę obmyślić, jak go najlepiej sfilmować! Zwrócę ci go na chwilę, zanim generał go weźmie! Dziękuję ci... e... Train?**

**–Tak jest – odrzekł Train. – Frank P. Train.**

**–Rób tu dalej swoje, zobaczymy się później! – wykrzyknął major.**



**Oficer prasowy wrócił z mieczem na małe stanowisko dowodzenia, gdzie Welsh i Band nadal pracowali nad listą strat. Wszyscy go obejrzeni. Ale oficer prasowy drapał się w głowę i nie wyglądał na zbyt zadowolonego, – Co za twarz! – powiedział. – Chyba nigdy w życiu nie widziałem tak diabło nieżołnierskiej twarzy. Z takim nosem. I bez szczęki. A jeszcze musi się jąkać. – Podniósł wzrok. – Nie sądzicie panowie, że mógłbym dostać jakiegoś innego, lepiej wyglądającego typa, żeby dokonał wręczenia? – Popatrzał na nich obu.**

**–Pewno nie – odpowiedział sam sobie. – Ale, mój Boże – rozchmurzył się – może pod pewnym względem to nawet będzie wyglądało bardziej demokratycznie. Taka mała łachmyta z drugiego szeregu. Tak, to w jakimś sensie będzie nawet lepsze.**

**W istocie stało się to szlagierem całego sfilmowanego obchodu inspekcyjnego: kamery terkotały, generał uśmiechał się, ścisnął Trainowi dłoń, Train uśmiechał się także. Aparaty fotograficzne dokonały zdjęć tego wszystkiego od pierwszego razu, ale kamery filmowe musiały powtórzyć swoją sekwencję, bo Train tak się zdenerwował tym, że rozmawia z generałem, iż jąkał się bardziej niż zwykle. Ale za drugim razem wypadł lepiej.**

**W plutonach kompanii C było trochę rozgoryczonego pomrukiwania i komentarzy, że Train dał się tak namówić do oddania swego trofeum. Kilku przyjaciół powiedziało mu, że jest głupi. Train usiłował wytłumaczyć, że nie miał wielkiego wyboru. A zresztą jeżeli generał naprawdę tak chciał tego miecza... Koledzy potrząsali z niesmakiem głowami.**

**Jednakże nikt w gruncie rzeczy o to nie dbał. Wszyscy byli zanadto podnieceni i ucieszeni perspektywą odejścia z linii. Gdy tylko dowódca dywizji przeszedł do kompanii B, zaczęli zbierać swoje rzeczy do odmarszu.**

**Ten marsz z powrotem przez teren, na którym leżeli tak długo, tak przerażeni i drżący przez dwa ostatnie dni, a na którym teraz panował spokój, wydał się dziwny każdemu. I wszyscy byli trochę odrętwiali.**

## ROZDZIAŁ 6

Gdy tylko założyli biwak, rozpoczęły się niezliczone opowieści.

Każdy miał do zrelacjonowania co najmniej trzy mrozące krew w żyłach historie o tym, jak uniknął śmierci, a co najmniej dwie o osobistym emocjonującym zabiciu Japończyków. Dopiero w ostatnich dwóch dniach wolnego tygodnia, kiedy zaczęli myśleć o udaniu się tam po raz drugi, przestali mówić o pierwszym razie.

Z zainteresowaniem obserwowali stopniowe słabnięcie powszechnej drętwoty, której każdy doświadczał. Większości potrzeba było około dwóch dni, aby to odrętwienie ustąpiło. Trzeciego dnia nieomal wszyscy stali się prawie tymi samymi ludźmi co przedtem.

Jednakże na przykład John Bell – który obserwował ów proces oddrętwiania z większym osobistym zainteresowaniem niż inni – nie mógł się oprzeć wątpliwościom, czy ktokolwiek z nich naprawdę może znowu stać się tym samym człowiekiem. Nie sądził, by tak było. Przynajmniej bez kłamania. Może w wiele lat po zakończeniu wojny, kiedy wszyscy zbudowaliby sobie obronny system kłamstw, dopasowany do własnych potrzeb, i kiedy nasłuchaliby się dostatecznie długo tych innych kłamstw, które wydestylowałyaby dla nich do tego czasu narodowa propaganda, mogliby wstąpić do Legionu Amerykańskiego tak jak ich ojcowie, i rozmawiać o tym w ramach przepisanych reguł, pozwalających im na szacunek dla samych siebie.

Mogliby udawać przed sobą wzajemnie, że są ludźmi. I unikać przyznawania się, że kiedyś dojrzeli w sobie coś zwierzęcego, co ich przeraziło. Ale zresztą większość robiła to w tej chwili. Już teraz. Z nim samym włącznie. Bell chcąc nie chcąc roześmiał się, a potem go to przeraziło. W każdym razie te pierwsze dwa dni odrętwienia określiły układ na cały tydzień „odpoczynku”. Odpoczynku?!

Zeszli ze wzgórz i dżungli ze znękanymi twarzami i zapadniętymi, mrocznymi jak morze oczyma, dźwigając wszystkie łupy, jakie mogli unieść, i wyglądając bardziej na śmieciarzy z Bowery niż żołnierzy. Japońskie pistolety, karabiny, hełmy, pasy, ładownice, miecze i szable, a nawet jeden karabin maszynowy; szeregowcy Mazzi i Tills, poza dźwiganiem na plecach podstawy i rury moździerza oraz własnych pamiątek, taszczyli wspólnie japoński cekaem dużego kalibru razem z trójnogiem, który uszedł uwagi ludzi z uzbrojenia w dużej mierze dlatego, że Mazzi i Tills go ukryli. Tills znalazł go pierwszy, a Mazzi zaproponował, że pomoże go nieść w zamian za połowę, co odnowiło ich przyjaźń. Mieli nadzieję dostać całą skrzynkę australijskiej whisky za taki rzadki artykuł, i przybrnęli z nim na teren biwaku na w pół skonani ze zmęczenia.

Biwak przydzielony kompanii C – jak – Charlie znajdował się na szczycie małego,

**nałego wzgórza, między rzadkimi drzewami, u samego północnego skraju lotniska polowego, które rozpościerało się w dole. Wskutek tego mogli prawie każdego popołudnia leżeć na wznak bez koszul na słońcu i obserwować lekkie bombowce japońskie, które przylatywały od północy, żeby zbombardować lotnisko.**

**Ze względu na usytuowanie ich wzgórza klapy luków bombowych były zawsze otwarte, nim samoloty do nich dotarły, a raz zdołali nawet dojrzeć twarz spoglądającego na nich Japończyka. Dwukrotnie bomby zostały wypuszczone wprost nad ich głowami, co było przeraźliwie emocjonujące i całkowicie bezpieczne. A za każdym razem, kiedy bombowce przeleciały, mogli zerwać się z ziemi i obserwować skutki na lotnisku mając po temu doskonałe miejsce, niczym na trybunach. Pierwszego dnia nalot przeraził wszystkich do szpiku kości; zginąć od bomby lotniczej po tym, co przeszli? Jednakże kiedy to zrozumieli, stało się dla nich codzienną – czy prawie codzienną – podwójną atrakcją: najpierw same bombowce, a potem skutki na lotnisku. Kilkakrotnie widzieli samoloty amerykańskie eksplodujące w płomieniach, obsługę naziemną zwalczającą pożary benzyny, czasami jakichś rannych i zabitych, a w braku czego innego zawsze były dziury wywalone w metalowej nawierzchni lotniska, które trzeba było naprawiać, aby samoloty mogły wystartować. Ogółem biorąc, było to bardzo urozmaicone widowisko do oglądania prawie co dzień. Jednakże, mimo efektywności tych dziennych imprez rozrywkowych na biwaku, bliskość lotniska sprawiała, że było jeszcze coś innego, bardziej ważnego. A mianowicie handel pamiątkami. Przyszli ze wzgórz przygotowani do tego.**

**Każdego” popołudnia, po codziennym nalocie – jeżeli nalot był, a zazwyczaj bywał – cała kompania C schodziła masowo na lotnisko, rozstawiała się na jego nie uszkodzonych albo najmniej uszkodzonych częściach i rozpoczynała handlowanie. Wprawdzie ceny ustabilizowały się mniej więcej, ale nie były absolutnie stałe i jeżeli ktoś miał przedmiot szczególnie pożądanym przez kogoś z korpusu wojsk lotniczych, mógł uzyskać sumę wyższą od normalnie przyjętej. Ludzie z korpusu lotniczego mogli i chcieli płacić więcej, ponieważ właśnie oni przywozili alkohol. Codziennie przylatywał z Australii samolot z zaopatrzeniem dla dowódców korpusu, takim jak mleko, mięso i ser, i załogi tych lotów, powszechnie nazywanych „kursami mlecznymi”, utykały we wszystkie wolne – miejsca butelki lub skrzynki whisky. Dlatego też było niecelowe handlować z obsługą naziemną czy ludźmi z zaopatrzenia, których whisky pochodziła też – od lotników i którzy, nawet jeśli nie wypijali jej sami, musieli gospodarować nią bardzo oszczędnie. W każdym razie było to niecelowe, jeżeli ktoś mógł łatwo dostać się na lotnisko, a C – jak – Charlie mogła.**

**Jedwabna flaga bojowa, najlepiej poplamiona krwią, była zawsze warta co najmniej trzy ćwierci galona. Natomiast za karabin z trudem dostawało się półkwarcie. Hełm, jeżeli miał złotą lub srebrną gwiazdkę oficerską i był w dobrym stanie, mógł przynieść ćwierć galona. Na pistolety był specjalny popyt. Istniały trzy typy japońskich pistoletów. Jeden, tańszy i pośledniejszy, był wzorowany na jakimś europejskim pistolecie wiatrówkowym i przynosił trzy ćwierci galona, drugi, cięższy i**

lepiej wykonany, był skopiowany z niemieckiego lugera i miał mechanizm lugerowskiego typu. Ten był o wiele rzadszy, najwyraźniej przeznaczony dla oficerów, i przynosił cztery, pięć, a nawet sześć ćwierci galona. Typowy, normalny „miecz samurajski” był zawsze wart co najmniej pięć ćwiartek, a za te wyższej klasy, z grawerunkami w złocie lub kości słoniowej, można było uzyskać aż dziewięć. Za miecz wysadzany klejnotami można było wyznaczyć własną cenę, ale nie spotykało ich się na zwykłym rynku. Poza tymi podstawowymi artykułami były jeszcze inne rzeczy. Na przykład grube skórzane pasy ze staroświeckimi skórzanymi ładownicami -, które ludzie z korpusu lotniczego lubili nosić zamiast swych pasów głównych. Wielu z nich poszukiwało także japońskich fotografii i portfeli. Zdjęcia z japońskimi napisami były więcej warte niż te, na których ich nie było, a fotografie samych żołnierzy czy grup żołnierzy więcej niż zdjęcia żon czy przyjaciółek – oczywiście, chyba że były pornograficzne. Od czasu do czasu pojawiała się pewna ilość zdjęć pornograficznych i te miały ogromną wartość. Pieniądze, rzecz jasna, nie miały właściwie znaczenia dla nikogo z wyjątkiem członków załóg samolotów „kursów mlecznych”, którzy mogli je wydać w Australii, a żołnierze, którzy je mieli nie posiadając żadnych – pamiętek do wymiany, płacili aż pięćdziesiąt dolarów za ćwierć galona szkockiej whisky.

Na ten już istniejący rynek kompania C wtargnęła ochoczo ze swymi ciężko zdobytymi artykułami skórzanymi i metalowymi. Pozostałe trzy kompanie batalionu, z jakichś przyczyn wynikających z logiki wojskowej, których nikt nawet nie starał się zrozumieć, zostały rozlokowane na biwakach gdzie indziej, daleko na drugim końcu Czerwonej Plaży, w gajach kokosowych. Dla nich dotarcie do lotniska i z powrotem wymagało całego dnia, a i to było możliwe tylko wtedy, jeżeli wstali o świcie, ażeby złapać jakiś samochód, który by ich podwiózł. Nie mieli innego wyboru jak tylko sprzedawać większość swych łupów na tańszym pobliskim rynku obsługi naziemnej i zaopatrzenia. Natomiast C – jak – Charlie prosperowała.

Na szczycie małego wzgórza nad lotniskiem popijanie zaczynało się przed śniadaniem. Ludzie wylazili ze swoich osłoniętych siatką łóżek polowych, łykali porządny haust australijskiej whisky, myli się u koryta, popijali znowu i meldowali się z menażkami w namiocie kuchennym, gdzie teraz przewodził pierwszy kucharz Land pod nieobecność Storma, który był w szpitalu. Prawie przy każdym łóżku stała ćwiartka galona whisky. Z rozkazu Talla śniadanie było jedynym apelem dnia, po czym każdy mógł robić, co mu się podobało. Niektórzy schodzili rano do lotników z jakimiś łupami, ale większość, wolała siedzieć w namiotach albo opalać się bez koszul na słońcu popijając whisky i staczając na nowo wielką bitwę. Czasami mieli jako utrwalacz piwo przyniesione ze stacjonującego przy lotnisku oddziału piechoty morskiej, który najwyraźniej posiadał nieskończone jego ilości do wymiany za pamiętki. Prawie każdy wlewał w siebie co najmniej ćwierć galona dziennie, a wielu znacznie więcej. Wszyscy byli młodzi i z wyjątkiem malarii, której o tym czasie każdy miał bodaj odrobinę, chyba w najlepszej kondycji fizycznej w całym swym życiu.

**Mogli więc to wytrzymać. Poza tym byli już weteranami. Wykrwawionymi weteranami. I nie mieli zamiaru nigdy o tym zapomnieć – ani dopuścić, by ktokolwiek inny zapomniał. Jeżeli któryś z nich wypił tyle, że zrobiło mu się niedobrze albo stracił przytomność, po prostu siadał czy kładł się, tam gdzie był, i odsypiał to, dopóki nie przyszła mu ochota obudzić się i wypić znowu. Zdarzały się liczne pijackie bójkę na pięści. Po obiedzie, do którego pili czystą whisky tak jak Europejczyk wino do posiłku, żłopali znowu i czekali na dosyć brutalne widowisko sportowe popołudniowego nalotu lekkich bombowców. A potem, kiedy na lotnisku już było bezpiecznie, choć czasem coś się paliło, maszerowali tam twardo ze swymi pamiątkami na popołudniowy utarg.**

**Ludzie z korpusu wojsk lotniczych, którzy kupowali ich przedmioty, musieli nie cierpieć ich, tak samo jak oni nie cierpieli korpusu.**

**Wieczorem, po posiłku złożonym z przysmażanych konserw mięsnych i suszonych kartofli, zasiadali na odsłoniętym zboczcu wzgórza, znów pili, ostrożnie palili papierosy osłaniając je dłońmi i przypatrywali się widowisku nocnych nalotów, które, ponieważ bombardowano gaje kokosowe, nigdy nie zagrażały im na wzgórzu.**

**Oczywiście przechodzili najgorszy szok umysłowy w swym młodym życiu, może z wyjątkiem tych nielicznych, którzy przeżyli ciężkie wypadki samochodowe. W miarę jak ustępowało błogosławione odrętwienie, powracała nie wiarygodność własnej śmierci ośmieszając i nękając tych, którzy kiedykolwiek o tym myśleli. Nocami też dużo gadali, choć bardziej po pijacku, obserwując ze złośliwą satysfakcją nocne naloty. O poległych w ich wielkiej bitwie zawsze mówili z jakimś pełnym respektu podziwem. O rannych, jeżeli w ogóle o nich wspomiano, rozmawiali pod kątem widzenia tego, jak daleko zaprowadzi ich odniesiona rana na tej długiej linii przystanków wiodącej stąd do Stanów; do wysuniętego szpitala dywizji, który był na miejscu, do tyłowego szpitala dywizyjnego na Esperito Santo, do szpitala nr 3 bazy marynarki wojennej na Efate, do Noumei w Nowej Kaledonii, do Nowej Zelandii, Australii czy do kraju. Prawie nikt nie mówił o swojej potencjalnej śmierci w następnym tygodniu. Byli twardymi weteranami; tyle im wytłumaczono i rozpaczliwie usiłowali odgrywać tę rolę – nie tylko dlatego, że byli z niej egotystycznie dumni, ale także ponieważ nie istniała żadna inna. W takim to stanie umysłu, wieczorem czwartego dnia, podnieśli pijacki wzrok i stwierdzili, że sierżant kasynowy Storm oraz kapral Fife zostali im przywrócenie z... „z martwych” – tylko tak potrafili uczciwie o tym pomyśleć – albo przynajmniej „z odeszłych”. Odeszłych bezpiecznie.**

**Storm i Fife byli pierwszymi rannymi, którzy wrócili do kompanii C, i jako tacy stali się przedmiotem ogromnego zaciekawienia.**

**Wszyscy cisnęli się do nich. – Każdy w kompanii, kto nie poniósł większego szwanku niż normalne, drobne potłuczenia i skaleczenia, doznawał po trosze dokuczliwego uczucia wstydu człowieka zdrowego, który bez żadnej swojej winy nie**

ucierpiał. Wmuszali obu nowo przybyłym napitki i zadawali pytania. Rana głowy Fife'a okazała się całkowicie powierzchowna, bez naruszenia kości, i po sześciu dniach obserwacji zwolniono go do służby, mimo że stracił okulary. Nosił teraz małą klapkę na ogolonej części głowy i powiedziano mu, że może ją zdjąć po trzech dniach. Rękę Storma obejrzało trzech lekarzy, którzy spytali, czy może się nią posługiwać. Kiedy odpowiedział, że tak, przydzielono mu łóżko w namiocie, gdzie przesiedział pięć dni ignorowany przez wszystkich, dopóki nie przyszedł kancelista i nie powiedział mu, że może wracać do służby. Z jego ręką nie zrobiono nic w ogóle. Nawet mu jej nie obandażowano i teraz miał strupek na małej dziurce o sinych brzegach. Nadal coś mu chrupało w dłoni, kiedy ją zginał, i nadal go bolało.

Tak więc byli znowu z powrotem. Ich zdaniem, ci lekarze w szpitalu dywizyjnym to twarde dranie. Nie mieli zamiaru nikogo zwalniać od niczego, jeżeli tylko się dało. Najwidoczniej polityka dywizji polegała na odsyłaniu z powrotem do oddziału każdego, kto był w stanie się czołgać, aby dowódca dywizji mógł zakończyć walkę i zabezpieczyć tę wyspę oraz własną reputację. Nie przyjmowano nawet najciężej chorych na malarię. Zamiast tego dawano im dubeltową garść atabryny i odsyłano do oddziałów. Obaj powracający oświadczyli, że gówno najwyraźniej wpadło w wentylator.

I tak, niesiona na skrzydłach szpitalnej plotki przez usta Storma i Fife'a, pierwsza świadomość prawdziwego uwięzienia, jakim jest walka, dotarła do nowo wykrwawionych weteranów z C – jak – Charlie. Przez kilka dni Storm i Fife nie mieli tam nic do roboty poza włączaniem się do niebywale napiętych dyskusji między rannymi na temat tego, kto będzie wyewakuowany, a kto nie, i to napięcie przynieśli ze sobą do C – jak – Charlie. Kiedy spojrzano się na to z pewnego punktu widzenia, łatwo było dostrzec, że nie wszyscy więźniowie są zamykani za kratami w kamiennym czworoboku. Rząd mógł z równą łatwością uwięzić człowieka, powiedzmy, na porośniętej dżunglą wyspie na Morzach Południowych, dopóki ów człowiek nie wykonał ku zadowoleniu rządu tego, po co tam został wysłany.

A kiedy ktoś się nad tym zastanowił – tak jak to czynili wszyscy ranni – sprawa ewakuacji mogła być naprawdę i faktycznie sprawą życia i śmierci. Tak więc nowy element omroczył ich już mroczniejszą nastrój; posępna, głęboko osadzona gorycz, która miała rosnać i rosnać, dopóki nie uczyniłaby z nich – z tych, co by przeżyli – twardych, złych, do gruntu cynicznych żołnierzy piechoty, za których dowódcy, ze względów uczuciowych, już teraz chętnie ich uważali i którzy co do jednego nienawidziliby Japończyków za to, że istnieją. I w takim ponurym nastroju raczyli Storma i Fife'a, dwóch pierwszych powracających, zarówno australijską whisky, jak pytaniami o rannych, kiedy zaś Storm i Fife się upili, wyjaśniali, że taki a taki na pewno z tego wyjdzie, ale równie na pewno umrze, że ten a ten i taki a taki zostaną wyewakuowani przynajmniej do Australii, a może do Stanów, że tamci trzej nigdy nie dotrą dalej niż do Noumei, zaś taki a taki i ten a ten nigdy nie wydobędą się ze Skały, podobnie jak oni sami. Było to bardzo długie katalogowanie, ale żadnemu z

nich dwóch to nie przeszkadzało, skoro mieli whisky.

Storm i Fife dużo rozmawiali ze sobą w szpitalu. Nie mieli nic innego do roboty, kiedy lekarze kończyli swój obchód, i Fife zwrócił się do Storma jak do ojca czy starszego brata w swej dojmującej desperacji na wiadomość, że jego rana głowy nie jest poważna.

Nie tylko nie była poważna, ale nawet nie półpoważna, a z pewnością nigdy nie spowodowała jego ewakuacji. Kiedy Fife się o tym dowiedział, o mało nie wyszedł z siebie ze zgrozy, strachu i zawodu.

Miał ochotę – położyć się na ziemi w namiocie doktora i walić pięściami w błoto.

Kiedy Fife odchodził z bitwy ociekając krwią, jedyną jego myślą czy uczuciem była dzika radość, że został ranny i może odejść, oraz dręczące pragnienie dostania się na Wzgórze 209, gdzie nic już nie mogło go trafić ponownie i zabić. Nie pamiętał niczego innego, póki nie dotarł do stóp przedniego zbocza Wzgórza 209, gdzie ujrzał coś, co go zatrzymało. Na stromym zboczu, z rzadka usianym częściami porzuconego sprzętu, wśród którego były dwa karabiny, leżały nosze, a na nich chłopięco wyglądający żołnierz, który był martwy. Ten chłopięcy żołnierz miał oczy i usta zamknięte, a jedna jego ręka zwisała przez krawędź noszy. Druga, spoczywająca na noszach, była pogrążona po przegub w zdumiewającej ilości zasychającej, niemal galaretowatej krwi, która prawie całkowicie wypełniała zagłębienie wygniecione w płótnie przez pośladki. Stojąc jak ogłupiały i przypatrując się temu, Fife pojął, że ten człowiek został trafiony powtórnie, kiedy usiłowano go wynieść. Ale najbardziej przygnębiła Fife'a ta dłoń zanurzona po przegub we krwi i przyszła mu ochota podejść, wyciągnąć ją i obetrzeć. Zawahał się jednak.

A jeżeli już tam ugrzęzła? To mogło być jeszcze straszniejsze. Fife'owi nagle zachciało się płakać: Raptem zapragnął krzyknąć do całego świata: „Patrzcie, co wy, ludzkie istoty, zrobiliście temu chłopcu, którym mogłem być ja! Tak, ja, wy ludzkie istoty!” Przywiodła go do opamiętania kula karabinowa, która uderzyła o kilka jardów od niego i zrekoszetowała jęklonie, więc się odwrócił. Popróbował biec, ale zbocze było za strome. Mógł tylko brnąć z trudem pod górę. Wydało mu się, że dojrzał kilka innych kul karabinowych uderzających w ziemię obok niego. W każdym razie szkoda została już wyrządzona – przez tego chłopięco wyglądającego zabitego na noszach – i Fife chlpał, kiedy dotarł na punkt opatrunkowy.

Na punkcie opatrunkowym batalionu potraktowano go bardzo dobrze. Wydawało się jednak, że wszędzie dokoła biegają tam tysiące ludzi krzycząc na siebie w zamieszaniu. Fife zasiadł na stoku wzgórza w rzędzie ubrudzonych, krwawiących i jęczących mężczyzn i ocierał krew z czoła, gdy zaczynała kapać. Najbardziej na świecie pragnął po prostu nie wrócić tam, na dół. Nie dokonał niczego bohaterskiego ani nawet normalnie odważnego, ale ci ludzie tutaj uważali go za bohatera. W istocie

nie uczynił nawet tego, co uznawał za swój normalny obowiązek. Jednakże nie miał zamiaru mówić o tym nikomu.

Kiedy w końcu podszedł do niego lekarz, otarł tamponem i obmacał ranę, po czym potrząsnął głową.

–Nie potrafię nic powiedzieć – rzekł. – Z czymś takim nigdy nie wiadomo. – Zaczął owijać głowę Fife'a turbanem bandażu. – Proszę nie chodzić. Nie powinniście chodzić. Czekać na noszowych, żeby was zabrali – powiedział, a sanitariusz przypiął kolorową przywieszkę do kurtki Fife'a.

–Słyszycie, co mówię? – zapytał lekarz. – Nie chodźcie. Odpowiedzcie mi. – Pochylił się, zajrzał Fife'owi w oczy, po czym pstryknął przed nimi palcami. – Powiedziałem, żebyście nie chodzili.

–Tak jest – odrzekł Fife. Przez chwilę był bardzo daleko, skupiając się usilnie, by sprawdzić, czy czuje, że umiera. A zresztą nie uważał, aby tak proste pouczenie wymagało odpowiedzi.

–Dobrze – rzekł doktor. – Tylko nie zapomnijcie. – Odszedł.

Fife'a zabrali czterej zmordowani noszowi. Nawet w ten gorący dzień czuł się dobrze pod kocem, bo było mu zimno. Do diabła, jeżeli nie może chodzić, to murowanie wyewakuują go do Australii.

Kiedy noszowi odpoczywali przed ostatnim i najbardziej stromym podejściem do miejsca, gdzie mogły dojeżdżać jeepy, siadł na noszach i powiedział:

–Słuchajcie, chłopaki. Ja dam radę. Powinniście nieść kogoś, kto oberwał gorzej ode mnie.

Popchnęła go z powrotem na nosze stanowcza, ale łagodna ręka.

–Spokojnie, bracie. My będziemy się martwić o niesienie.

Dobre chłopaki, dobre chłopaki. Odprężył się z ulgą. To było przeznaczenie, do którego się urodził, i wiedział o tym zawsze. Nie będzie musiał nigdy tam wrócić, a właściwie nie było to wcale straszne. Nie tak jak z niektórymi innymi, na przykład Keckiem, McCronem i Jacquesem, i małym Beadem.

Jednakże na pułkowym punkcie opatrunkowym przekonał się, że nie będzie to takie proste. Kiedy przyjechał jepeem z trzema rannymi na noszach zawieszonych między rurą i stalową ramą, zaniecono go do namiotu, gdzie czterej lekarze pracowali przy czterech osobnych stołach. Każdy doktor miał obok siebie drugi stół, na którym czekał następny ranny, co razem dawało osiem stołów w namiocie. Fife'a złożono na



**jedynym wolnym i zobaczył, że trafił do starego doktora Hainesa, głównego chirurga pułkowego. Rudy, siwiejący i łysawy, z dużym brzuchem, doktor Haines pracował z zagasłym niedopałkiem cygara w ustach i mruzczał do siebie od czasu do czasu. Na apelu chorych, jeszcze przed wojną, stary doktor Haines wydał się Fife'owi, podobnie jak wielu innym, postacią ojcowską, i teraz oczy Fife'a na chwilę znów zwilgotniały. Ranny, nad którym stary doktor pracował w tej chwili, był młodym człowiekiem o szczupłych, ładnych, dobrze umięśnionych plecach, tyle że tuż poniżej prawej łopatki była w nich dziura wielkości otworu kubka do wody. Siedział na krawędzi stołu, a doktor Haines, przesuwając w ustach niedopałek cygara, odkrawał od skrajów rany zwisające kawałki skóry i ciała szczypcami i nożyczkami chirurgicznymi.**

**Ta dziura fascynowała Fife'a i nie mógł oderwać od niej oczu. Bardzo wolno wzbierała w niej krew, aż wreszcie zaczęła spływać powolnym, gęstym, ciemnym strumykiem po tych ładnych plecach.**

**Kiedy dochodziła prawie do pasa, doktor Haines od niechcienia ocierał ją tamponem gazy aż po ranę, po czym krajał dalej. Krew, zahamowana, ale nieustępliwa, gotowała się do ponownego wypłynięcia. Kiedy skończył oczyszczać ranę ku swemu zadowoleniu, doktor obandażował ją i lekko klepnął chłopca po zdrowym ramieniu.**

**Uśmiechnął się spoglądając obwiedzionymi siecią zmarszczek oczami.**

**–. Okej, synu. Poleż tu, póki po ciebie nie przyjdą. Jeżeli w środku jeszcze coś jest, usuną to później. W każdym razie zrobiłem ci najładniejszą piczkę stąd do Melbourne. – Służbowy! – zawołał chrapliwym głosem zza swego ogarka cygara. – Dajcie tu noszowych.**

**Chłopak położył się i uśmiechnął ogłupiałym, pijanym morfiną uśmiechem, ale nic nie powiedział. Fife nagle poczuł, że wrócił do świata ludzi, lecz wrócił jako obcy. Doktor Haines podszedł do niego.**

**–Zaraz, zaraz. Nie mów mi. Ty jesteś... – Uśmiechnął się. – Jesteś Fife, nie? Kompania C – jak – Charlie.**

**–Tak jest, panie doktorze – uśmiechnął się Fife.**

**–Pamiętam cię ze szpitala, jak wtedy przyszedłeś na tę operację ślepej кишки. Jak to wypadło? Teraz wszystko w porządku?**

**–Nie dał Fife'owi czasu na odpowiedź. – No, a co tu teraz mamy?**

**Rana głowy, tak? Możesz sięść?**

**Fife miał ochotę krzyknąć do niego, że nie jest już tamtym Fife'em i że to nie to**

samo, nie operacja ślepej kiszki, ale – się powstrzymał.

–Nie jestem już ten Fife – powiedział blado.

–Aha. Żaden z nas nie jest ten sam – uśmiechnął się doktor Haines. – Możesz sięść?

–Jasne! – odrzekł z zapalem Fife. – Jasne! – Dźwignął się i natychmiast doznał zawrotu głowy.

–Spokojnie. Powoli. Straciłeś trochę krwi. No, a teraz zobaczymy – powiedział i przesunął językiem niedopałek cygara z prawej strony na lewą.

Zabrał się sprawnie do roboty, zdjął turban bandaży i obmacał ranę palcami.

–Teraz będzie trochę bolało – powiedział, a przed oczami Fife'a zatańczyły kolorowe światła, gdy stary doktor wpychał metalową sondę do rany.

–Jeszcze tylko raz – powiedział i znowu spiralny zawój aksamitnie barwnych światel ogarnął głowę Fife'a.

–Masz szczęście. Kość nie jest strzaskana. Może i masz to, co nazywamy powierzchownym pęknięciem, które jest jakby małą rysą, ale nie strzaskaniem. W każdym razie nie ma w środku żadnych obcych ciał. Za jakiś tydzień będziesz gotowy do powrotu.

Wydawszy tę opinię doktor stanął przed Fife'em.

–Więc... pan doktor nie myśli, że zostanę ewakuowany? Ani nic takiego? – zapytał Fife.

–Nie sądzę – odrzekł stary lekarz. Całkiem nagle jego uśmiech zniknął spod niedopałka cygara. Oczy stały się chłodniejsze, tak jakby opadła na nie jakaś zasłona.

–W takim razie mogę chodzić – powiedział Fife z desperacją.

–Już teraz.

–Rób, co chcesz – odrzekł doktor Haines. – Tylko powinieneś uważać na siebie przez parę dni.

–Dziękuję, panie doktorze – powiedział gorzko Fife.

–Ta bitwa się skończy za kilka dni – rzekł doktor Haines.

**Nie opuszczając oczu nagle podniósł rękę i potarł krótkimi palcami siwą szczecinę zarostu.**

**Fife zlął ze stołu. Jakimś sposobem wiedział przez cały czas, że tak będzie. ~A tamto wszystko, że jego przeznaczeniem jest wydostać się stąd, było bzdurą, którą sobie wmawiał. Czuł lekkie drżenie kolan.**

**–Jasne, a jak tylko ta się skończy, będzie następna. Zaraz potem.**

**Uśmiechnął się i poczuł, że ten uśmiech napina mu policzki oblepionej krwią twarzy. W każdym razie wiedział, że przedstawia sobą dobry obraz rannego żołnierza.**

**Stary doktor Haines popatrzał teraz na niego twardo.**

**–Nie ja ustanowiłem przepisy, synu – powiedział. – Staram się tylko żyć zgodnie z nimi.**

**–A czy pan kiedy próbował umrzeć zgodnie z nimi? – uśmiechnął się Fife. Potem nagle zawstydził się, i kiedy doktor Haines nie odpowiedział, dorzucił szybko: – To nie pana problem. Jeżeli facet nie jest dość ciężko ranny, żeby zostać wyewakuowany, to pan nie może go ewakuować, prawda? – Ale wypadło to jakoś gorzko.**

**Zamilkł, znów zawstydzony. – Lepiej sobie pójdę. Pan jest zajęty.**

**Na drugim stole, tym gdzie przedtem był ów chłopak z dziurą w plecach, leżał teraz jęczący żołnierz z zamkniętymi oczyma, z ręką i ramieniem krwawiącymi pod bandażami i ciężko pokiereszowanymi. Całe badanie Fife'a zabrało tylko kilka sekund i tamten nie musiał długo czekać. Fife przeszedł chwiejnie obok niego. Może trochę bardziej chwiejnie, niż naprawdę musiał.**

**–Wszystkiego dobrego, synu! – zawołał za nim doktor Haines, a Fife nie oglądając się pomachał mu ręką. Czuł się bardzo ranny i całkiem zadowolony z siebie, że zniósł to wszystko tak dobrze.**

**W czasie jazdy jeepem do szpitala dywizyjnego Fife zobaczył po raz pierwszy od dawna owego młodego kapitana, który był oficerem personalnym pułku i niegdyś odrzucił – czy w każdym razie odesłał Steinowi – podanie Fife'a o przyjęcie do szkoły oficerskiej piechoty. Stał przy drodze w grupie innych oficerów sztabowych i poznał Fife'a, który inaczej by go w ogóle nie zauważył.**

**Rzecz prosta, nie znał nazwiska Fife'a. Ale rozpoznał jego twarz pod tymi wszystkimi bandażami i zaschniętą krwią, i kiedy do niego zawołał, Fife pomyślał sobie, że to dość ładnie jak na oficera ze sztabu pułku. Ostatecznie nie można wymagać, by każdy na świecie znał człowieka po nazwisku.**

Fife jechał obok kierowcy, ponieważ został przeklasyfikowany na „chodzącego rannego”, a za nim były podwieszane na ramie cztery nosze z ciężej rannymi. Młody kapitan, którego nazwisko Fife znał – i nie zamierzał nigdy zapomnieć przez resztę życia (bez względu na to, jak długo mogło ono potrwać) – wysunął się z grupy ujrzawszy Fife'a i podszedł do nich.

–Hej, czy wy nie jesteście z kompanii C?

–Tak, panie kapitanie. – Nagła emocja rozkwitła i wybuchła w Fifie niby jakaś miniaturowa eksplozja, czy może doskonała, mała miniatura tej eksplozji, która zadała mu ranę. – Tak jest!

Z kompanii C!

Był świadom, że wygląda na ciężko rannego. A ten kapitan nie mógł wiedzieć, że nie zostanie wyewakuowany.

Zjechali już ze wzgórz, z powrotem w błoto dżungli, choć jeszcze nie przeprawili się przez rzekę, i jeep posuwał się wolniej niż idący pieszo człowiek, tak że kapitan, gdy nadjechali ku niemu, mógł skręcić i iść obok.

–Jak tam jest?.

–Strasznie! – wykrzyknął Fife. – Po prostu strasznie!

–No tak. – Najwyraźniej nie była to odpowiedź, której spodziewał się oficer personalny.

–Wybijają z nas gówno! – zawołał Fife złościwie.

–Co z porucznikiem Whyte'em?

–Zabity!

Młody kapitan cofnął się trochę, jakby go uderzono, oczy miał zaniepokojone.

–A porucznik Blane?

–Zabity!

Personalny zapytał akurat o jedynych dwóch poległych oficerów, czego Fife się spodziewał, ponieważ wiedział, że przyjaźnił się z nimi. Kapitan zatrzymał się teraz i stał bez ruchu przy drodze. Wszyscy inni z tej rozgadanej grupy obrócili się i słuchali także.

–Keck zabity! – krzyknął Fife. – Grove zabity! Spain (drugi sierżant plutonu

strzelców) ranny!

–No, a co z kapitanem Steinem? – zawołał oficer personalny.

–Przyjaźniliśmy się, jak wiecie.

Fife obrócił się na siedzeniu jeepa i krzyknął do niego:

–Był zdrów, kiedy odchodziłem! Ale pewnie do tej pory też go zabili!

Kapitan HTŚ? odpowiedział. Fife odwrócił się z powrotem na siedzeniu, dziwnie zadowolony – w jakiś gorzki, zawiedziony nędzny sposób. Te pierdoły, do których nigdy nie strzelano, z ich zasraną atmosferą prywatnego klubu, którą tak starannie kopiowali od tych pieprzonych Anglików! Czy pytali o kogokolwiek poza oficerami?

Po drodze było jeszcze kilka innych drobnych tryumfów, jak na przykład wtedy, gdy grupy z oddziałów tyłowych przerywały pracę, aby popatrzeć wytrzeszczonymi oczyma na jeep i jego ładunek, a Fife, z twarzą oblepioną krwią, posyłał im wilczy uśmiech. Jednakże przez cały czas, mimo że delektował się tą rolą, wciąż go nękała przykra świadomość, że to jest tylko udawanie, że nie jest w rzeczywistości przeznaczonym do ewakuacji rannym, któremu wszyscy gapiący się żołnierze tyłowi tak wyraźnie zazdrościli. Nagle, bez żadnej widomej przyczyny, zaczął znów chlipać. Kierowca, który milczał zakłopotany, z oczyma utkwionymi w drogę, na szczęście nic nie powiedział i Fife w końcu się pohamował.

W szpitalu dywizyjnym umieszczono go w pośpiesznie wzniesionym, ośmioosobowym, spiczastym namiocie wraz z trzema innymi, którzy nie znali ani jego, ani siebie wzajemnie, i wszyscy siedzieli pojękując lub wzdychając w milczeniu. Namiot powoli się zapełniał, aż w końcu dostawiono pośrodku przy słupie dwa nowe łóżka, co razem dało dziesięciu rannych. Żaden z nich nie widział lekarza tego wieczora, choć liczni posługacze krzatali się przy nich, a kiedy przyszła pora na kolację, ci, którzy mogli chodzić, ustawili się w kolejce między drzewami kokosowymi, po porcję konserwowego mięsa i suszonych kartofli, podawanych w blaszanych, podzielonych przegródkami miskach szpitalnych. Po posiłku było wiele szukania wśród ciżby kłębiącej się w wieczornym świetle, bo każdy usiłował odnaleźć kogoś ze swojej jednostki. Fife'owi udało się natrafić na czterech ludzi z C – jak – Charlie, ale żaden nie miał świeższych wiadomości o kompanii niż on sam. Potem wszyscy zasiedli pałac ostrożnie papierosy i czekali na nocny nalot. Kiedy komary zapędziły ich w końcu do namiotów długo po zakończeniu nalotu, Fife nawet nie próbował zasnąć, tylko leżał rozmyślając o wydarzeniach tego dnia i o swym pechu, że został ranny w głowę. Zresztą trudno byłoby zasnąć, bo w jego namiocie albo w którymś z sąsiednich co kilka minut ktoś budził się z krzykiem lub głośnym, zdławionym jękiem. Kiedy sam raz się zdrzemnął, także ocknął się z krzykiem.

Rozmowa Fife'a z doktorem następnego dnia była krótka i węzłowata. Obmacawszy mu głowę, wskutek czego Fife'owi znów zatańczyły przed oczami kolorowe światła, stanął przed nim i oświadczył z szerokim, zadowolonym uśmiechem, że nie tylko nie ma strzaskania, ale nawet powierzchownego pęknięcia – jedynie duże wgniecenie w jego grubej, twardej, amerykańskiej czaszce. Najwyraźniej spodziewał się, że Fife podzieli jego zadowolenie, a fizyczna twardość amerykańskich czaszek zdawała się być dla niego bardzo ważna. Podpułkownik Roth (Fife słyszał, że tak się do niego zwracał jeden z posługaczy) był muskularnym mężczyzną o pięknych, całkiem srebrzystych, falujących włosach (które pasowały do jego srebrnych liści dębowych) i tęgiej, pełnej twarzy bardzo wziętego, wielkowiejskiego doktora. Miał głęboki, niski, autorytatywny głos i oczy z zimnej, błękitnej stali – „stalowe oczy”, o których Fife pomyślał z chłodnym wewnętrznym szyderstwem piechociarza, że chciałby je widzieć patrzące na ostrze bagnetu, i zobaczyć, jak by wtedy wyglądały. Miał rozpaczliwą nadzieję, że jego stan uznają tu za gorszy, niż przepowiadał doktor Haines, ale zgadywał, co będzie, i desperacja odmalowała się na jego twarzy, choć usiłował ją ukryć przed tym człowiekiem.

–W porządku, panie pułkowniku – powiedział. – Ale, widzi pan, ja zgubiłem okulary.

–Że co? – zapytał pułkownik Roth, a jego stalowe oczy rozszerzyły się i zrobiły jeszcze bardziej stalowe. – Co zgubiliście?

–Okulary. Kiedy zostałem ranny. – Fife był świadom swojej na wpół winowajczej, a w trzech czwartych udręczonej miny, ale nosił okulary od piątego roku życia, bo ledwie mógł rozeznaczyć rysy twarzy kogoś stojącego o trzy metry, i nie zamierzał teraz przestać.

–Bez nich prawie nic nie widzę. – Rozmyślnie nie dodał „panie pułkowniku”.

Pułkownik Roth nie starał się ukryć swej wzgardy i odrazy. Nie wykrzyknął słowa „tchórz”, ale miał taką minę, jak gdyby chciał to uczynić.

–Słuchajcie, my tu mamy wszędzie ciężko rannych, którzy konają. Czego się ode mnie spodziewacie w sprawie waszych okularów?

–Ano, bez nich na nic się nikomu nie przydam – odrzekł Fife.

Nie zadał oczywistego kolejnego pytania. Ale też nie było potrzeby.

Pułkownik Roth stanął za nim i dosyć szorstko umocowywał mu przylepcem na głowie mały bandaż z opatrunkiem.

–Jak wasze nazwisko, żołnierzu? – zapytał złowieszczo.

–Fife, panie pułkowniku. Kapral Geoffrey P. Fife -; odrzekł czując, że teraz

**papierkowa biurokracja nieuchronnie weń uderzy i naznaczy go na zawsze, a oczywiście Stalowe Oczy pragnęły właśnie, żeby to pomyślał.**

**–No cóż, kapralu – powiedział pułkownik Roth stając znów przed nim i nie ukrywając pogardy. – Dostaniecie kilka dni na odpoczynek i rekonwalescencję, a potem wróćcie do swego oddziału. Ja o tym wszystkim zapomnę. Musicie wiedzieć równie dobrze jak ja, że nie mamy tu urządzeń do robienia okularów. Nie lubię markierowania ani markierantów. Ale potrzebujemy żołnierzy, nawet najgorszych. Jeżeli będziemy mieli czas, spróbujemy zbadać wam oczy i pošlemy do Australii po okulary dla was. Jednakże może długo potrwać, nim do was dojdą – powiedział z pełnym niesmaku uśmiechem. – To wszystko. Możecie odejść.**

**Fife widział, że nie ma wyboru. Mógł dalej protestować w związku ze swymi oczami i ponieść konsekwencje albo się zamknąć i przyjąć zniewagę, a coś w twardej, samozadowolonej stanowczości Stalowych Oczu przestrzegło go, żeby nie naciskał.**

**–Tak jest. Dziękuję, panie pułkowniku – powiedział wstając i usiłując zawrzeć całą nienawiść w swoim spojrzeniu. Wyszedł nie salutując. Dopiero kiedy już był na zewnątrz, przyszło mu do głowy, że gdyby dalej protestował, ten podpułkownik może by go stąd wysłał, i że dał mu się zagadać. Później tegoż dnia, kiedy wałęsał się po tym strasznym, wypełnionym jękami terenie szukając kogoś nowego z kompanii, kto mógłby udzielić mu wiadomości, znalazł Storma, który siedział na łóżku i wpatrywał się posępnie w sino obrzeżoną dziurkę na wierzchu swej dłoni.**

**Wysunięty szpital dywizyjny założono u zbiegu dwóch głównych błotnistych arterii w gajach kokosowych, ażeby sanitarki i jeepy z frontu mogły do niego łatwiej dojeżdżać. Niestety nikt nie zauważył czy nie uznał za istotny fakt, że to skrzyżowanie znajdowało się nie więcej niż o sześćset czy osiemset jardów od nadmorskiej strony lotniska, głównego celu nalotów, i chociaż na szpital ani razu nie spadły bomby, co, być może, podparło opinię tych, którzy go zaplanowali, to jednak nie przeprowadzono żadnych badań statystycznych, – jeżeli idzie o starganie nerwów pacjentów, z których wszyscy byli ranni co najmniej raz. Mimo tego stałego źródła narzekań szpital był dobrze wyposażony i funkcjonował doskonale, zważywszy okoliczności. Urządzenie składało się z dwóch dużych, trzymasztowych namiotów cyrkowego typu, mogących pomieścić ponad stu ludzi, oraz mniejszych namiotów do operowania i zabiegów, a także wzniesionych naprędce licznych spiczastych namiotów, z uwagi na niespodziewanie wysoką ilość strat. Właśnie w jednym z tych dużych, mrocznych namiotów cyrkowego typu Fife, który nie mógł usiedzieć w swoim pośpiesznie wzniesionym, przekrzywionym i pochyłym piramidalnym namiocie, natknął się na Storma.**

**Fife nie posiadał się z radości, że go widzi. Mimo swoich obecnych, bardzo poważnych problemów. Ponieważ sam pracował w dowództwie, Fife częściej stykał się ze Stormem i jego obsługą kuchenną niż z większością innych ludzi z kompanii. I**

**zawsze uważał, że Storm go lubi – kilkakrotnie ochronił go przed Welshem.**

**Storm ze swej strony też się ucieszył ujrawszy Fife'a. Po pierwsze, widząc, jak Fife odchodził ociekając krwią, był pewien, że niedługo umrze i że to odejście jest tylko jednym z takich ostatnich odruchów, jakie czasami miewają kury, którym ucięto głowę. Poza tym Fife był pierwszym człowiekiem z kompanii C, jakiego Storm zobaczył, odkąd się dostał do tej okropnej, pełnej jęków czeluści piekielnej potępieńców, którą w wojsku nazywano szpitalem. W tej chwili każda znajoma twarz była mile widziana w tym kotłującym się, rozgadany, zatłoczonym, przerażającym miejscu. Nigdy specjalnie nie przepadał za Fife'em, nigdy nie zwracał na niego większej uwagi, lecz teraz począł wylewać z siebie wszelkie wiadomości o kompanii, jakie Fife pragnął usłyszeć: co się zdarzyło przez resztę pierwszego dnia po odejściu Fife'a, co się zdarzyło drugiego. Jednakże kiedy Storm mu powiedział, że zdobyli Głowę Słonia przed południem drugiego dnia – czyli dzisiaj – zrozumiał jasno, że dla Fife'a uwierzenie w to jest rzeczą bardzo trudną, jeżeli nie niemożliwą. I miał słusność. Fife pamiętał jedynie całkowitą i kompletną rzeź, zagładę i spodziewał się, że zginą wszyscy – albo co najmniej dziewięćdziesiąt procent – zanim dotrą na szczyt tego wzgórza. I tak też powiedział. Niemniej jednak jest to prawda, odrzekł Storm oglądając posępnie swą dłoń, a straty drugiego dnia, dodane do dwudziestu pięciu procent z pierwszego, wynosiły, ogółem zaledwie jedną trzecią kompanii. Zdaniem Storma i większości innych było tak dlatego, że Ciota Stein poprowadził ich dookoła na tyły nieprzyjaciela i przeskrzydlił i zaskoczył pozycję.**

**–Przecież on chciał to zrobić pierwszego dnia! – powiedział Fife przypomniawszy sobie nagle ze zgrozą trzecią fałdę oraz telefon, który podawał Steinowi.**

**–Wiem – odrzekł Storm, po czym opowiedział mu, jak Stein został zwolniony przez Krótkiego Talla.**

**Fife był odpowiednio oburzony, a przynajmniej starał się być.**

**Wpatrywał się w Storma i słuchał mrugając oczami i kiwając głową we właściwych momentach, ale dla Storma było jasne, że nie bardzo widzi i słyszy to, co Storm robi czy mówi. Zapewne był ciągle przejęty tym, że jest ranny. Storm nie miał mu tego za złe, ale było to tak, jakby przemawiał do nieżywego człowieka.**

**Storm także doznał pewnych urazów oraz brutalnych przebudzeń, ale zranienie do nich nie należało. Ani zwolnienie Steina przez pułkownika Talla. Storm przepowiedział to sobie z największą dokładnością. Jeżeli zaś idzie o ranę, to w jego wypadku była czymś tak drobnym i tak niewiele się liczyła, że prawie nie miała znaczenia. Wybuch pocisku z mózdzierza – jeżeli to było przyczyną, a wszyscy tak twierdzili – nie nastąpił dostatecznie blisko, żeby nim wstrząsnąć, a „wbicie się odłamka w dłoń nie zabolowało go ani trochę. Urazy Storma wynikały z innych przyczyn. Główną z nich było poczucie, że opuścił w potrzebie kompanię przychodząc tutaj z tą ręką. A następną z**



kolei było to, jak on sam oraz inni z jego grupy potraktowali japońskich jeńców, których przyprowadzili ze sobą. Brutalnym przebudzeniem było dlań uświadomienie sobie faktu, że nie chce już więcej brać udziału w żadnej walce, tu czy gdziekolwiek indziej.

Storm zabił tego dnia czterech Japończyków podczas przebijania się do Talla i późniejszego oczyszczania terenu i radował się każdym z nich. Tylko jeden z tych czterech miał jakąkolwiek szansę zabicia go, i to także odpowiadało Stormowi. To było w porządku. Ale jego czterej Japończycy, z których każdego pamiętał dokładnie, byli jedyną rzeczą, która sprawiła mu przyjemność przez całe cztery dni, jakie kompania C spędziła na froncie. Przez resztę czasu był śmiertelnie spietryany. Jeśli zaś idzie o wspaniałość, widowiskowość, ryzyko, przygodę wojny, to mogli tym sobie dupę podetrzeć. Może to dobre dla oficerów liniowych i wyższych, którzy muszą tym wszystkim kierować i decydować, co robić albo nie robić. Natomiast każdy poza tym był narzędziem – narzędziem z wybitym seryjnym numerem produkcji. A Storm nie miał ochoty być żadnym narzędziem. Szczególnie wtedy, gdy można przez to zginąć; pieprzyć taką organizację. Walka jest dla piechociarzy i plutonów strzeleckich, a on jest sierżantem kasynowym. Było mu przykro, a może nawet czuł się trochę winny, że opuścił kompanię i przyszedł tutaj ze swoją „ranną” ręką. Ale dla rozsądnego człowieka to była jedyna rzecz do robienia i koniec. Jeżeli ta ręka nie wyciągnie go z tej pieprzonej wyspy, wróci znowu do funkcji sierżanta kasynowego. Będzie gotował gorące jedzenie i posyłał je żołnierzom – jeżeli zdoła. – Ale nie będzie nosił go sam. To mogą robić nosiciele. Wielu ludzi wyjdzie z tej wojny żywych, więcej niż zginie, i Storm zamierzał do nich należeć, jeżeli tylko mu się uda. Przecież nawet to zejście stamtąd – z którego powinien był być zadowolony, cieszyć się nim ogromnie – zepsuli mu ci japońscy jeńcy, których – musieli przyprowadzić ze sobą.

Storm zeszedł z następną grupą po tej, z którą odchodził Stein.

Grupa Steina była ostatnią grupą z noszami, bo większość rannych mogących chodzić zeszła na długo przedtem. Kilku takich jak on sam i Duży Queen postanowiło zostać, dopóki oczyszczanie się nie zakończy. Było ich siedmiu, czterech z kompanii Baker i trzech z Charlie, i razem z czterema nierannymi żołnierzami dostali rozkaz eskortowania ośmiu jeńców – połowy ogólnej liczby wziętych do niewoli. W ten sposób Tall mógł zwolnić więcej nierannych do pozostania w linii na przewidywane nocne przeciwnatarcie.

Wspaniale było odejść, gdy spodziewano się nocnego przeciwnatarcia (choć Storm przez chwilę poczuł ostre ukłucie winy), i z początku wszystko szło dobrze. Rana mięśni lewego przedramienia Queena zaczynała drętwieć i nie był już taki rześki i energiczny jak podczas walki na biwaku. Ale tuż przed odejściem znowu zebrał się w sobie.

–Wróćę do was! – ryknął swym głosem byka. – Wróćę! Trzeba czegoś więcej niż

**takiej małej ranki, żeby mnie wstrzymać od powrotu do starej kompanii! Obojętne, gdzie mnie wyślą! Wrócę, choćbym miał płynąć na gapę statkiem z uzupełnieniami!**

**Kilku ludzi z C – jak – Charlie, którzy obserwowali ich odejście, uśmiechało się, machało rękami i pokrzykiwało, a Band podszedł uściskać Queenowi dłoń – nazbyt manifestacyjnie, zdaniem Storma. Storm nie miał pojęcia, dlaczego Duży Queen zdecydował się zostać na oczyszczanie terenu, kiedy mógł odejść wcześniej. On sam pozostał dlatego, że już planował załatwienie sobie ewakuacji w związku z tą raną dłoni, jeżeli tylko zdoła, ażeby znaleźć się jak najdalej od tej wyspy, a chciał zostawić dobre wrażenie w swoim oddziale opuszczając go może na zawsze.**

**Ośmiu japońskich jeńców przedstawiało rozpaczliwy, żaloszny widok. Osłabieni, chwiejący się na nogach, człapali sprawiając wrażenie całkowicie odrętwiałych po swoich przeżyciach i wyglądało na to, że nie mają ani energii, ani woli uciekać, nawet gdyby pilnował ich tylko jeden żołnierz. Wszyscy cierpieli na dyzenterie, żółtaczkę i malarię. Dwaj z nich (nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego) byli zupełnie nadzy i właśnie jeden z nich w końcu upadł i spowodował poważne kłopoty. Duży Queen podszedł, żeby go podnieść kopniakami, ale Japończyk dalej leżał, wymiotując i fajdając jednocześnie, i pozostawiał za sobą dwie żółte strugi, kiedy każde kolejne kopnięcie przesunęło go bokiem o kilka stóp dalej na ścieżce. Na wpół zagłodzony, z żebrami i kośćmi ramion sterczącymi pod chorobliwie żółtą skórą, wyglądał bardziej na jakieś zwierzę niższego rzędu i nie wydawał się wart ratowania. Tak samo zresztą jak siedmiu pozostałych, którzy przykucnęli z cierpliwą, tępą rezygnacją pod oczami swoich strażników. Jakiś porucznik, który mówił trochę po japońsku, dowiedział się od nich, że” przez ostatnie parę tygodni żywili się jaszczurkami i korą drzew. Jednakże pułkownik Tall osobiście surowo nakazał doprowadzić tych wszystkich ludzi żywcem do wywiadu pułkowego na przesłuchanie.**

**Queen, choć mocno drętwiał i ciągle krwawił, był jednak dostatecznie rześki, by z histeryczną radością popędzać swych podopiecznych po ścieżce kopniakami i biciem, ilekroć pozostawali w tyle, a” reszta grupy przyłączyła się do tej zabawy. Teraz Queen wydał swą przemyślaną opinię.**

**–Trzeba zastrzelić tego pierdołę – warknął z uśmiechem – Popatrzcie na niego.**

**–Wiesz, że Stary kazał nam przyprowadzić ich wszystkich żywcem – odezwał się ktoś.**

**–To powiemy, że próbował uciekać – odparł Queen.**

**–On? – spytał ktoś. – Przyjrzyj mu się.**

**–A kto go zobaczy? – odrzekł Queen.**

**–Ja jestem za Queenem – powiedział inny. – Pamiętajcie, co oni zrobili naszym**

**chłopcom podczas Marszu Śmierci na Bataan.**

**–Ale Stary dał nam osobisty rozkaz – rzekł pierwszy. Był kapralem, który przewodził czterem nierannym strażnikom. – Dobrze wiesz, że sprawdzi, jeżeli się okaże, że jednego brak. A co będzie, jak powie wywiadowi, żeby spytali tych innych, co się stało z ich kumplem? Nie mam ochoty narażać się i koniec.**

**–No więc albo to, albo go nieś – powiedział Queen stanowczo. – Ja nie mam zamiaru taszczyć żadnego pierdolonego Japońca aż na Wzgórze 209. A ty? W każdym razie mam wyższy stopień od ciebie. Jestem sierżantem. Powiadam, żeby go zabić. Spójrz na niego. Zrobi się łaskę biednemu pierdole. – Rozejrzał się po innych.**

**–Kapral ma rację – rzekł Storm odzywając się po raz pierwszy.**

**Rozważył wszystkie za i przeciw. – Stary na pewno sprawdzi, jeżeli będzie jednego brak. Jeżeli go zastrzelimy czy zostawimy, da nam w dupę jak bykowcem, będzie gryzł i pluł. Może nas nawet postawić pod sąd wojenny. – Nie dodał, że sam był starszym sierżantem, czyli wyższym rangą od Queena.**

**Queen popatrzał na Japończyka, po czym wzruszył ramionami i uśmiechnął się ze skruchą.**

**–Okej. Chyba macie rację – powiedział dobrodusznie. – Wygląda na to, że go poniesiemy. – Klasnął w swe wielkie dłonie.**

**–Więc dobra! Jazda! Ja go biorę za nogę. Kto chce resztę?**

**Storm, który już roztropnie rozważył ten problem i doszedł do wniosku, że woli rzygowiny od kału, podszedł i ujął rękę Japończyka. Dwaj inni ranni chwycili go za drugą rękę i nogę, i z Queenem, który komicznie nimi komenderował i podawał im ruchy jak sternik łodzi wyścigowej pokrzykując: „Raz! Dwa!”, cała grupa znowu ruszyła ścieżką.**

**Dobroduszne ustępstwo Queena wobec rozsądku oraz jego komiczne komendy przy niesieniu chorego Japończyka przywróciły wszystkim dobry humor z powodu ich odejścia. Krzycząc i wrzeszcząc schodzili ze stromego zbocza w jakiejś nonsensownej histerii okrutnego rozbawienia, potykali się i ślizgali, ten i ów przewracał się od czasu do czasu, a wszyscy z wyjątkiem czterech niosących, którzy mieli pełne ręce roboty, kopali lub popychali siedmiu pozostałych jeńców, aby szli dalej.**

**–Ty, Japoniec! – zawołał jeden z żołnierzy. – No, jazda! Powiedz prawdę! Nie cieszysz się, że już nie musisz się bić? Co? Nie cieszysz się?**

**Japończyk, do którego się zwrócił, a który oczywiście nie rozumiał ani słowa,**

**poderwał się, skłonił i kiwnął głową z drętwym uśmiechem.**

**–Widzicie? – zawołał strażnik. – Mówiłem wam! Oni tak samo nie chcą się bić jak my! Co to za gówno z tym cesarzem?**

**–Daj mu swój naładowany karabin – roześmiał się inny – to wtedy zobaczysz, jak bardzo chce się bić.**

**Queen wprędce uświadomił sobie, że popełnił błąd wybierając nogę do niesienia. Obaj trzymający chorego za nogi z trudnością uchylali się przed strumieniami żółtej cieczy, którymi tryskał goły Japończyk, gdy go dźwigali na strome zbocze, a Queen dobrodusznie łajał Storma za to, że był tak sprytny, by wybrać rękę nie ujawniwszy mu swego pomysłu. A potem przyszedł mu do głowy własny pomysł.**

**–Potrząśnijmy nim trochę – powiedział, gdy doszli do jakiejś skały. – Może uda się nam wybić z niego gówno? Albo przynajmniej tyle, żeby przestał, dopóki go nie doniesiemy.**

**Rozhuśtawszy razem Japończyka rąbnęli jego zadkiem o skałę, wskutek czego trysnął zeń strumień, a wszyscy ryknęli śmiechem.**

**Pozostali Japończycy podrygiwali i szczyrzyli zęby, bo i oni też zrozumieli, o co idzie. Jednakże to walenie niewiele pomogło. Chory dalej tryskał cieczą, kiedy go nieśli w dół. Był na tyle przytomny, że od czasu do czasu mrugał otwartymi oczyma, ale zbyt osłabiony, zbyt bliski omdlenia, aby panować nad swymi wnętrzościami, a kiedy jego głowa uderzała czasem o ziemię, nawet się nie wzdrygał. Grzmocili nim o każdą skałę, na jaką natrafili po drodze, po czym ruszali dalej. Kiedy go dostarczyli do dowództwa pułku, wezwano doktora, który natychmiast nim się zajął. Rzecz ciekawa, Duży Queen zemdlał w dwie minuty później schodząc po przeciwległym zboczu i stoczył się aż na sam dół, do punktu opatrunkowego batalionu, powodując ogromną konsternację.**

**Storm, siedząc teraz na swym szpitalnym łóżku, z głową opartą na dłoniach (zrezygnował już z prób przemawiania do martwej twarzy Fife'a, którą miał przed sobą), wspominał to w stanie rozpaczliwego odrętwienia, z którego żadną miarą nie mógł się wyrwać. Cała jego dusza zdawała się znieczulona, tak jakby dano jej potężny zastrzyk silnego narkotyku. To go przestraszało, ale nie mógł się z tego otrząsnąć. Jak dawno to było? Tamto wszystko, co się zdarzyło? Załedwie parę godzin temu. I te śmiechy. Każdy się śmiał.**

**Storm nie dbał o tych Japończyków. Im wszystkim należało się to, co ich spotkało, i jeszcze więcej. Tym się nie przejmował. Tylko że ludzie działali w owym stanie odrętwienia, teraz to rozumiał.**

**Nie tylko on sam, ale inni także. Może nawet i Japończycy. Storm zawsze uważał**

siebie za przyzwoitego człowieka. Owszem, był w swoim czasie surowy dla swych podwładnych i kucharzy, żeby ich zmusić do pracy. Nawet pobił paru, kiedy musiał. Ale nie był za kopaniem leżącego człowieka, wyzyskiwaniem słabych czy okradaniem ubogich. Taki miał kodeks postępowania i zawsze starał się do niego stosować. A teraz musiał stanąć w obliczu możliwości, że a nuż nie jest jednak taki przyzwoity. I nie tylko to; on, który zawsze uważał, że nie wolno opuścić przyjaciela w potrzebie, teraz zamierzał wykorzystać swą rękę, żeby wydostać się z kompanii, z batalionu, z całej tej pieprzonej strefy bojowej. A co więcej, wiedział, że jest to jedyna rozsądna rzecz, jaką może zrobić.

–No, a co z twoją ręką? – odezwał się głucho siedzący przed nim Fife. Milczenie ciągnęło się i ciągnęło i Fife znowu rozmyślał o sobie samym. Przejść to wszystko – ten wybuch, ciemność przed oczami, ból, krew i strach – i potem dowiedzieć się, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Przecierpiał całą grozę, lęk i udrękę śmierci na polu walki i nic na tym nie zyskał. Czuł, że musi z kimś o tym pomówić, ale nie widział sposobu, aby wystąpić i śmiało przyznać się komuś, że jest takim tchórzem.

Storm podniósł głowę i wpatrywał się w niego mrocznymi, znękanymi oczyma.

–Ponieważ nie jesteś doktorem, chyba mogę powiedzieć ci prawdę – rzekł i spojrzał ponuro na swoją dłoń złożoną na kolanach. Podniósł ją, zgiął, i obaj usłyszeli chrupnięcie. – Mam dosyć pewne przeczucie, że nie wyciągnie mnie to z tej Skały.

–Mnie już to powiedzieli o mojej ranie głowy – rzekł Fife.

Dokoła nich w dużym mrocznym namiocie, w gorącym popołudniowym powietrzu posługacze kręcili się stąpając cicho po ziemnym klepisku, a tu i ówdzie ludzie jęczeli pod bandażami.

–Mogę nią poruszać. I właściwie nie boli tak bardzo – powiedział Storm posępnie. – Ale nie mam w niej już żadnej siły.

Minęli ich nadchodzący spieszenie przejściem między łózkami dwaj posługacze i doktor, a jeden z posługaczy powiedział rzeczowym głosem:

–Zdaje się, że z nim koniec, panie doktorze.

Zatrzymali się o osiem łózek dalej.

–Przecież nigdy nie myślałeś, że od tego umrzesz, prawda? – zapytał Fife. Storm spojrzał na niego.

–Nie, nie. Nigdy nie myślałem, że od tego.

**–A ja tak.**

**Doktor coś robił przy leżącym na tamtym łóżku. Potem się wyprostował.**

**–Okej – powiedział do posługaczy dziwnie gniewnym głosem.**

**–Przynieście deskę do mięsa i koce, i zabierzcie go stąd. Potrzebne nam są te cholerne łóżka. A co z numerem 33?**

**–Myślę, że za jakieś dwadzieścia minut albo pół godziny – odrzekł jeden z posługaczy.**

**–Wezwijcie mnie – warknął doktor.**

**Wszyscy oddalili się przejściem w wysokim, mrocznym, dusznym namiocie.**

**–Naprawdę tak myślałem – powiedział Fife.**

**–Aha, pamiętam. Leżałem niedaleko ciebie. Wtedy wyglądałeś dosyć marnie.**

**–I nic – odrzekł Fife z goryczą. – Nic. Ni cholery. Nawet nie ma pęknięcia.**

**–Po prostu pech – powiedział Storm ze współczuciem.**

**–I martwię się, że zgubiłem okulary – rzekł Fife. – naprawdę nie bardzo dobrze widzę bez nich.**

**–Powiedziałaś im to?**

**–Uśmieiali się.**

**Po chwili Storm rzekł:**

**–Jedno ci powiem. Czy wydostanę się ze Skały dzięki temu – podniósł rękę – czy nie, to nie muszę wracać na front do kompanii i nie wrócę. Jestem sierżantem kasynowym. W ogóle nie mam obowiązku tam być. Ja i moi kucharze podciągniemy kuchnię jak najbliżej i będę dosyłał chłopakom gorące posiłki, kiedy tylko się uda. Ale pieprzę wszystkie te ochotnicze bzdury. Będą dostawali gorące posiłki, jeżeli będzie możliwe. Ale to wszystko. Już więcej żadnej walki na ochotnika. Tego nie muszę robić, nie powinienem i nie będę. – A co ze mną? Jestem kancelistą przedniego rzutu. Muszę iść.**

**–Bardzo mi przykro.**

**–Aha. – Najwyraźniej nie było nic więcej do powiedzenia.**

Fife ciągle nie powiedział tego, co chciał, ani nawet się do tego nie zbliżył. Jak mówić komuś, że jest się tchórzem? Że człowiek nigdy nie myślał, iż będzie tchórzem, a okazało się, że jest.

–Jestem tchórzem – powiedział do Storma.

–Ja też – odrzekł natychmiast Storm. – I tak samo każdy, kto nie jest cholernym, pieprzonym głupcem.

–Niektórzy nie są tchórzami. Witt i Doll, i Bell. Nawet Charlie Dale.

–No to są głupi – odparł Storm bez wahania.

–Ty nie rozumiesz” – zaczął Fife, lecz śpiący obok Człowiek jął krzyczeć i obudził się. Fife zerwał się, podbiegł i poklepał go po ramieniu.

–Jerry, Jerry – wyrzekł ów człowiek, a potem: „Och!”, kiedy zobaczył Fife'a. Po chwili westchnął i powiedział: – Już w porządku. – Fife wrócił.

–Naprawdę jestem tchórzem – rzekł.

–A ty myślisz, że ja to co? – odparł Storm.

–Ale z tobą jest inaczej.

–Nie, wcale nie.

–To znaczy ja nie chciałem być tchórzem.

–Ano, ja także chyba nie – powiedział Storm. – Ale jestem.

–Zgiął okaleczoną dłoń, która chrupnęła. – Bogu dzięki nie muszę tam wracać, to wszystko.

–A ja tak – odparł Fife.

–Bardzo mi przykro – powtórzył Storm. I było jasne, że tak jest. Ale jego ton wskazywał, że chociaż mu przykro, nie ma to w gruncie rzeczy nic wspólnego z nim samym. Jednakże Fife poczuł się różnie. Storm o tyle łatwiej przechodził do porządku nad faktem, że jest tchórzem, i to sprawiło, iż Fife poczuł się mniej niemęski. Poza tym dowiedział się jeszcze czegoś. Aczkolwiek Storm mówił, że jest mu przykro, i było tak naprawdę, nie miało to nic wspólnego z Fife'em i niczego nie zmieniał. Jego drążąca wewnątrz desperacja pozostawała dokładnie taka sama. I widział teraz, że to samo będzie z każdym, z kim porozmawia.

–Może mógłbym pracować u ciebie w kuchni – powiedział Fife nagle. – No bo skoro

**Dale ma zostać sierżantem liniowym, będziesz miał wolne miejsce, nie?**

**–Chyba tak. Umiesz gotować?**

**–Nie. Ale mogę się nauczyć.**

**–No, ale w kompanii już jest kupa gości, którzy umieją gotować. Jeżeli potrafisz uprosić dowódcę kompanii, żeby cię przeniósł do służby kuchennej, to ja cię przyjmę.**

**–Banda? Nigdy by mnie nie puścił. A zresztą nie zdobyłbym się na to, żeby go prosić.**

**–Nic więcej nie mogę zrobić.**

**–Aha – odrzekł Fife kręcąc szyją z boku na bok i rozglądając się po wielkim namiocie. – Wiem, wiem.**

**Był to zresztą niemądry pomysł i więcej go nie wysuwał. Nigdy nie mógłby zostać kucharzem. Była to mrzonka tchórza i nie mógł mieć pretensji do Storma. Żrąca zazdrość o szczęście Storma, który miał sposób uniknięcia powrotu do kompanii, była ogromna, gorzka i niezmiernie zachłanna. Jednakże mimo to zachodził do Storma codziennie i wiele czasu spędzali razem. Było to lepsze od leżenia w zgryzocie i zgnębieniu w swym własnym, przegrzanym, źle rozstawionym namiociku. Wspólnie odnaleźli sześciu innych ludzi z kompanii C, rozproszonych na terenie szpitala, z których pięciu mogło chodzić. Co dzień ta mała grupka zbierała się przy łóżku Storma, aby pogadać, odwiedzała unieruchomionego kolegę, zajmowała sobie słoneczne miejsce w gaju kokosowym, gdzie zasiadali bez koszul i spędzali resztę dnia na omawianiu możliwości ich wyewakuowania. Było absolutnym niepodobieństwem znaleźć coś do picia, ale każdego wieczora wyświetlano na powietrzu filmy, na które razem chodzili, aby tęsknie oglądać błyskotliwe, swobodne, wyrafinowane życie Manhattanu, Waszyngtonu – i Kalifornii, za które walczyli, ale którego żaden z nich nie oglądał poza filmami. Takie filmy, jak „Historia Vernona i Ireny Castle” z Fredem Astairem i Ginger Rogers. Naloty niezmiennie przerywały te seanse i w ciągu pięciu dni Storm i Fife obejrzeliby części pięciu filmów nie zobaczywszy zakończenia żadnego, ale to w gruncie rzeczy nie było zbyt ważne, ponieważ wszyscy widzieli je już przed laty. Po nalotach zasiadali pałac i rozmawiając o możliwościach ewakuacji. Nikt nie miał ochoty wracać do C – jak – Charlie.**

**Storm był tym, który zorganizował wyprawę w odwiedziny do Cioty Steina. Dowództwo tyłowego rzutu pułku znajdowało się niedaleko przy drodze i Storm dowiedział się od jakiegoś kuriera czy swego starego kumpla z dowództwa pułku, że jest tam Stein, który czeka na wyjazd. Toteż po przedyskutowaniu sprawy grupa siedmiu będących na chodzie po prostu wyszła któregoś popołudnia ze Stormem na**



**czele, aby złożyć uszanowanie swojemu dowódcy kompanii, którego dawniej nie cierpieli, lecz teraz podziwiali, i żeby się z nim pożegnać. Nie było żadnych straży ani ogrodzeń, które by ich zatrzymały, tak jak w każdym cywilizowanym szpitalu polowym, toteż po prostu przyszli tam w rozpalonym od słońca, gorącym, parnym, popołudniowym powietrzu. Ostatecznie dokąd ktoś mógł uciekać na tej pieprzonej wyspie, żeby potrzeba było strażników?**

**Stein pracował w swym małym namiocie porządkując nieliczne posiadane papiery, kiedy ku jego zaskoczeniu zjawili się goście.**

**Dopiero co dowiedział się, że jutro ma odlecieć samolotem do Nowej Zelandii. Miał pokrwawioną flagę bojową, pistolet typu Luger, dwie oficerskie odznaki z kołnierzy, najrozmaitsze fotografie i skórzane przedmioty, jako pamiątki na dowód, że tutaj był, a jego osobiste bagaże czekały gotowe obok na podłodze. Stein spędził ostatnie trzy dni na poszukiwaniu tych bagaży. Dowódca” pułku łaskawie pozwolił mu skorzystać z jeepa, choć oczywiście nie mógł dać mu kierowcy w tych okolicznościach. Stein z przyjemnością jeździł sam wozem po wyspie. Na dawnym biwaku kompanii w pobliżu lotniska, gdzie przedtem pakowali i wiązali w namiotach swoje worki, zastał obozującą inną jednostkę, z namiotami rozstawionymi w swoistym, dla niego zupełnie obcym szyku. Po kompanii C nie pozostało ani śladu. Potem dwukrotnie jeździł do Matanikau przez cypel Lunga oraz ruchliwy labirynt składów zaopatrzenia na drugi koniec Czerwonej Plaży, zadając pytania i szukając magazynu C – jak – Charlie. W końcu znalazł magazyn niedaleko pierwszego biwaku kompanii, na wpół ukryty w małym języku dżungli. Stein nie miał pojęcia, kto mógł wykonać całą tę robotę załadowywania i rozładowywania worków i rozbijania i zwijania namiotów, ale musieli przy tym pracować przez pełne pięć dni bitwy. Spędził jedno popołudnie, piekąc się w gorącym słońcu lub pocąc w wilgotnym cieniu dżungli, na poszukiwaniu w namiotach swoich dwóch worków, ale sprawiło mu to przyjemność – w dużej mierze dlatego, że był sam – i teraz był gotowy do odjazdu na każde wezwanie.**

**To poczucie, że woli być sam, rosło w nim ustawicznie przez owe cztery dni, odkąd tu przybył. Drugiego wieczora – po pierwszym pełnym dniu spędzonym tutaj – postanowił to przełamać i poszedł do pułkowego „klubu oficerskiego” na drinka po kolacji. Ostatecznie, tak jak mu rzecz przedstawił Tall, oficjalnie (a nawet nieoficjalnie) nie uważano jego sprawy za jakieś piętno.**

**„Klub”, pomysł dowódcy pułku, w rzeczywistości był po prostu zwyczajnym namiotem kuchennym, obwieszonym siatką przeciwmoskitową, z barem skleconym ze skrzynek, przy którym usługiwał osobisty sierżant dowódcy. Były tam obozowe krzeselka i jeden obozowy stolik do pokera. Na wieczorne godziny znajdował się tuż obok zaciemniony namiot, do którego można było się przenieść. Normalnie korzystali z klubu tylko oficerowie ze sztabu i rzutów tyłowych, ale tego wieczora, ponieważ Tall wyrobił pierwszemu batalionowi tydzień odpoczynku, prawie na pewno mieli tam być również oficerowie z tego batalionu. Prowadziliby te swoje swobodne, uprzejme**

**pogawędki o taktyce, które pozwalały wszystkim, z nim samym włącznie, zachować pozory zdrowych zmysłów. Jednakże powinien być mieć lepsze rozeznanie; po tym pierwszym razie nie poszedł tam więcej. Po prostu nie było warto; zysk, jeśli idzie o dumę, nie równoważył kosztów energii. I nie wiadomo czemu, Stein przekonał się, że woli być sam.**

**Nie dlatego, żeby odnieśli się do niego w przykry sposób. Nikt nie traktował go z góry. Nikt nie uchylał się od rozmowy z nim.**

**Po prostu, jeżeli sam pierwszy się nie odezwał, nikt nie miał mu nic do powiedzenia. A to wymagało energii – od obu stron. Kiedy pierwszy raz wszedł pod siatkę przeciwmoskitową, siedziało tam kilka małych grup oficerów. Miał wyraźne wrażenie, że co najmniej jedna rozmawiała na jego temat. Podpułkownik Tall był ośrodkiem innej grupy, która, jak wyczuł Stein, z całą pewnością nie rozmawiała o nim. Tall kiwnął mu głową, z miłym uśmiechem na swej pobrużdżonej, młodo wyglądającej, przystojnej twarzy, ale zarazem dał bardzo zręcznie odczuć, że jego zdaniem Stein nie powinien być tu przychodzić. Stein ruszył prosto do baru witając obecnych skinieniem głowy i pozdrawiając ich, i oparłszy się na konstrukcji ze skrzyń zamówił drinka. Wypił go sam. Jednakże przy drugim Fred Carr, oficer personalny pułku i dawny kompan Steina od popijania w klubie oficerskim w kraju, wstał od swej grupy i podszedł do niego z dziwnie zakłopotaną miną. Ponieważ nie widzieli się od czasu poprzedzającego bitwę, uścisnęli sobie dłonie, po czym Carr stojąc porozmawiał z nim chwilę, głównie o swoim niezwykłym spotkaniu z kapralem Fife'em (nie znał jego nazwiska, ale Stein domyślił się, o kogo idzie), który jechał ranny jeepem. Carr mówił pośpiesznie i nerwowo, ale Stein obiektywnie docenił ten jego gest.**

**Nieco później wszedł kapitan John Gaff wyglądając na dosyć pijanego, choć oczywiście nikt nie przejmował się tym u Johnny'ego Gaffa, i także podszedł i pogadał ze Steinem przy barze, głównie o wczorajszej akcji oczyszczania i o tym, jak dobrze poszła. On także, podobnie jak Fred Carr, wyglądał na zakłopotanego, i w końcu się wymówił. Następnie przyłączył się do pułkownika Talla. Stein, który był już przy czwartym drinku, podpisał rachunek, z którego wszystkie pieniądze szły do pułkowego funduszu oficerskiego z rozkazu dowódcy pułku, po czym wyszedł. Później kupił sobie butelkę i trzymał ją na małym obozowym stoliku w namiocie. Lubił, siadywać w tym małym namiocie, którego obydwie końce były otwarte i zasłonięte siatką, i patrzeć, jak się ściemnia w gaju kokosowym.**

**Nigdy nie zadawał sobie trudu, by zamknąć namiot i zaciemnić go, ażeby móc zapalić światło, i kiedy nadlatywały samoloty, siedział spokojnie w mroku – bez żadnego strachu, i przysłuchiwał się bombardowaniu popijając trochę od czasu do czasu. Nie bał się wcale.**

**Oczywiście whisky pomagała, choć nie upijał się nigdy, ale przez cały czas trzymał butelkę na stoliku. Stała tam również w chwili, gdy siedmiu rannych z C – jak –**

**Charlie weszło tłumnie do namiotu, żeby pożegnać się z kapitanem, i Stein ją chwycił i poczęstował wszystkich, myśląc, że jeszcze niedawno nigdy by się nie poważył tego zrobić, z obawy, że może nadwerężyć dyscyplinę.**

**W namiocie była tylko jedna szklanka, więc wszyscy łyknęli prosto z butelki. Pili chciwie i Stein nagle uświadomił sobie, że jeśli wydawano im w szpitalu jakieś lekarstwa, to whisky do nich nie należała. Pochylił się nad swymi bagażami, wyciągnął trzy butelki, które zamierzał zabrać ze sobą do samolotu, i dał je im. Mógł z łatwością dostać inne przed odjazdem. Kiedy próbowali mu dziękować, tylko uśmiechnął się smutnym, nieśmiałym półuśmiechem.**

**Wszyscy gadali naraz, paplali jednocześnie, a Stein czuł się dziwnie od nich daleki. Istotą tego, co chcieli powiedzieć, było, że pragną mu podziękować za uratowanie kompanii przez ten ruch oskrzydający, że wszyscy żałują, iż odchodzi, i uważają, że potraktowano go paskudnie. Stein tylko uśmiechał się i łagodząco potrząsał głową.**

**Wcale nie był pewny, że mają rację. A zresztą to nie było ważne.**

**Nie martwił się. Był rad, że odjeżdża.**

**–Wszyscy powinniśmy pójść i złożyć protest! – zawołał Fife prawie ze łzami w oczach. – Iść całą kupą i...**

**–Po co? – uśmiechnął się Stein i potrząsnął głową. – Co by to dało? Zresztą ja chcę wyjechać. Chyba nie chcielibyście odebrać mi szansy wyewakuowania, prawda?**

**–Nie! – zawołali chórem. Jezu Chryste, nie. Tego by nie chcieli.**

**–Więc dajcie spokój. Niech będzie, jak jest.**

**Kiedy odchodzili, stanął w wejściu namiotu i smutnie patrzył, jak człapali z butelkami, nie ogoleni, brudni, wciąż w tych ubłoconych drelichach z bitwy, każdy gdzieś obwiązany czystym, białym bandażem z wyjątkiem Storma i McCrona. Stormowi w ogóle nie obandażowano ręki, a rana McCrona była wewnętrzna. Potem Stein zawrócił do namiotu i nalał sobie whisky.**

**Nigdy się nie dowie. Taka jest prawda. I właśnie to jest cholerne.**

**Może pierwszego dnia Japończycy mieli tę linię w dżungli po prawej całkowicie obsadzoną i przesunęli swych ludzi dopiero później, w nocy. Nawet jeżeli dżungla była otwarta, to patrol w sile plutonu, tak jak proponował, niczego by nie zdziałał. Jeden pluton nie mógł żadną miarą zdobyć sam tego terenu biwaku. A była wtedy za późna pora dnia, żeby posyłać całą kompanię. Oczywiście należało gruntownie rozpoznać prawą stronę, zanim powzięto się plan wymagający frontального natarcia. Ale on sam nie proponował tego dzień przedtem ani Tall, ani nikt inny. Więc co stąd**

wynikało?

Jednakże żadna z tych rzeczy nie była podstawowym problemem, prawda? Zapewne, zbyt pochopnie sprzeciwił się rozkazowi Talla do natarcia; powinien był to odwlec i poczekać, aż się dowie, co Beck może zdziałać na grzbiecie wzgórza. Ale podstawowym problemem było co innego. I Stein nie znał na to odpowiedzi. Pytanie polegało na tym, czy naprawdę sprzeciwił się rozkazowi Talla, bo bał się o swoich ludzi, bo tylu jego ludzi ginęło? Czy też odmówił wykonania jego rozkazu, ponieważ bał się o siebie, bał się, że sam może zginąć? Nikt nigdy nie zasugerował czegoś podobnego, nawet nie uczynił takiej aluzji. Ale Stein nie wiedział. Zastanawiał się nad tym i zastanawiał nocami, kiedy siedział sam w małym namiocie i przysłuchiwał się nalotom – i po prostu nie wiedział. Może było trochę jednego i drugiego. Ale jeżeli tak, to która pobudka była silniejsza? Która naprawdę podyktowała jego decyzję? Po prostu nie miał pojęcia. A jeśli nie wiedział teraz, nie miał dowiedzieć się nigdy. Pozostanie to w nim nie rozwiązane. Musiał z tym żyć, tylko że z drugiej strony stwierdził, że już wcale go nie obchodzi, co będzie myślał jego ojciec, major z pierwszej wojny światowej. Ludziom zmieniały się ich wojny z biegiem lat, które następowały po ich stoczeniu. Była to ta stara sprawa: „Uwierzę w twoje kłamstwa o sobie, jeżeli uwierzysz w moje kłamstwa o mnie”. Historia. Stein teraz wiedział, że jego ojciec kłamał – albo jeśli nie kłamał, to wyolbrzymiał. I Stein miał nadzieję, że sam nigdy tego nie zrobi.

Może i robi, ale miał nadzieję, że nie.

Co zaś się tyczy reszty, to już o to nie dbał. Masa ludzi przeżyje tę wojnę, o wiele więcej, niż na niej zginie, i Stein zamierzał do nich należeć, jeżeli tylko zdoła. Waszyngton. Kobiety. Utuczone, kwitnące miasto. Ze swymi bojowymi wstążeczkami i medalami powinien był dobrze dać sobie radę. Mógł wypaść o wiele gorzej.

A gdyby nawet ścigała go plotka, nikt by mu o tym nie wspomniał, bo wszystko to należało do wielkiej konspiracji. Dopóki zaś współdziałała się z konspiracją... z tą wielką konspiracją historii...

Stein wiedział jeszcze coś, czego nie wyjawiał delegacji rannych z C – jak – Charlie, a mianowicie że kapitan Johnny Gaff nie wróci razem z nimi do linii i batalionu. Gaff został przedstawiony do Honorowego Medalu Kongresowego i teraz był zbyt cenny, żeby go odesłano z powrotem. Ten wniosek, pod auspicjami pułkownika Talla, został już podpisany przez dowódcę dywizji i przekazany telegraficznie do dowództwa sił zbrojnych na Pacyfiku. Za jakiś tydzień powinien był wrócić z Waszyngtonu, a tymczasem Johnny'ego Gaffa wyprawiono samolotem do Esperito Santo, aby tam objął funkcję adiutanta – głównodowodzącego generała. Stein spodziewał się, że spotka go kiedyś w Waszyngtonie, gdy będzie rozprzedawał obligacje wojenne. Może się razem upiją. W każdym razie powiedzenie Gaffa: „Tu oddzielimy mężczyzn od chłopców, a owce od tryków” zostało w całości zacytowane w depeszy.

Kiedy delegacja rannych z C – jak – Charlie paplała o swoim naiwnym, idiotycznym, dziecinnym żądaniu „fair play wobec Steina”, ten „

wymienił ze Stormem – który prawie się nie odzywał – niewiarygodne, zdumiewające, sekretne porozumiewawcze spojrzenie, i uświadomił sobie ze zgrozą, że Storm wie to, co wie on. Było to czymś, do czego nie można przyznać się głośno, ani nawet potwierdzić w cichości ducha, było spojrzeniem pełnego i całkowitego zrozumienia. Storm, tak jak i on, wiedział, że o wiele, wiele więcej ludzi przeżyje tę wojnę, niż na niej zginie, i że gdy tylko wojna się skończy, wszystkie kraje biorące w niej udział zaczną pomagać sobie wzajemnie i znowu się przyjaźnić – z wyjątkiem poległych.

A Storm, tak samo jak on, miał zamiar należeć do tych, co przeżyją, jeżeli tylko się da. Stein dokończył whisky i zasiadł znowu, by czekać – na jutro i na samolot. Kiedy tak siedział, zaatakowały go pierwsze dreszcze i gorączka malarii i jęły na nim grać jak na muzycznym instrumencie. Siedział smakując te fizyczne doznania i uśmiechając się do siebie.

W drodze powrotnej do szpitala, z sześcioro innymi rannymi i trzema butelkami whisky, McCron znów dostał ataku. Odkąd wyszli z namiotu Steina, był bardzo spokojny, co zwykle zapowiadało jeden z jego napadów, ale nikt nie zwracał na to uwagi ze względu na tę radosną gratkę, jaką była whisky, i na serdeczną rozmowę ze Steinem. Dlatego też nie byli na to przygotowani, kiedy McCron raptem rzucił się w błoto u skraju drogi i zaczął płakać, skomleć i wyć gryząc swe zaciśnięte pięści, spoglądając na nich dzikimi oczyma wściekłego zwierzęcia i zwijając się całym ciałem w najciaśniejszy kłębek. Podskoczyli doń i usiłowali go rozprostować i uspokoić, ale on wrzeszczał do nich na wpół jakimś niezrozumiałym bełkotem, na wpół przytomnymi zdaniem.

Gdy wtedy, podczas natarcia, poderwali się, Wynn krzyknął: „O Boże!” głosem strasznego rozeznania, z krwią tryskającą z gardła, po czym upadł. Dziewiętnaście lat. Zaledwie dziewiętnaście.

Obok Earl zwał się w milczeniu, bo jego twarz była rozszarpana w jedną – czerwoną masę. Miał lat dwadzieścia. Dalej w lewo dwaj następni, Darl i Gwenne, upadli krzycząc: „Zabili mnie! Zabili!”

Wszyscy naraz, w ciągu paru sekund. A potem inni. Wszyscy inni.

Próbował im pomóc. Próbował ich ochronić. Próbowałem. Próbowałem.

Teraz wreszcie go uciszyli i rozprostowali, co, jak wiedzieli z doświadczenia, najbardziej pomagało go uspokoić. Jednakże nadal płakał i jęczał, i gryzł swoje już pokrwawione knykcie, i wiedzieli, też z doświadczenia, że to stadium zazwyczaj trwa

długo. Trzeba było albo go nieść, albo zostać z nim tutaj, przez co spóźniliby się na kolację. Więc go ponieśli. Powoli przestał płakać i gryźć knykie i tylko dygocąc wciągał z łkaniem powietrze przez zaciśnięte pięści przywarte do ust. Kiedy dochodzili do terenu szpitala, czuł się już na tyle dobrze, aby powiedzieć chrapliwym głosem: „Dajcie mi whisky”, więc zatrzymali się, dali mu, potem napili się sami i poszli coś zjeść. Wszyscy byli pewni, że McCron zostanie nazajutrz wyewakuowany. Byli też pewni, iż ze swą udręczoną twarzą i błędnymi oczami będzie przez resztę życia czuł się winny, że odjechał, chociaż żaden z nich tego by nie czuł. Istotnie wyewakuowano go następnego dnia po odwiedzinach u Steina. W dwa dni później Fife i Storm zostali razem odesłani do kompanii.

Pierwszą rzeczą, jaką obaj zauważyli, kiedy wieczorem po przybyciu wyliczali wszystkie fazy i błędy ewakuacji kolegom, którzy nie zostali ranni i nie mieli tej przewagi co oni, było to, że każdy w jednostce nosił brodę. W szpitalu wszyscy byli starannie ogoleni.

Nieomal pierwszą rzeczą, jaką postugacze uczynili po ich roztasowaniu, było przyniesienie dolarowej maszynki do golenia oraz ostrza (które później zabierali do innego łóżka, ale codziennie odnosili z powrotem) i naleganie, by wszyscy się ogolili. Tych, którzy nie mogli zrobić tego sami, golili postugacze. Toteż Fife i Storm, ze swymi gładkimi twarzami, od razu zauważyli przede wszystkim brody. Nosili je wszyscy w kompanii z wyjątkiem oficerów. Nie były zbyt duże – bądź co bądź upłynęło dopiero jedenaście dni, odkąd pomaszzerowali do linii, a pięćdziesiąt procent ludzi było za młodych, aby zapuścić porządną brodę – ale wydawało się to ogromnie ważne dla każdego. Jednakże kiedy Storm i Fife zapytali, nikt właściwie nie wiedział, dlaczego. Było to po prostu coś, co ogarnęło kompanię jak moda, i później dowiedzieli się, że to samo jest w reszcie batalionu. Nie był to żaden protest przeciwko czemukolwiek. Ani coś czasowego czy ślub, na przykład gdyby obiecali sobie nie golić się, dopóki cała wyspa nie zostanie zdobyta. Ani nawet żadne męskie współzawodnictwo czy pokaz „twardej męskości”. Po prostu każdy słusznie czy niesłusznie (John Bell, z którym Fife i Storm także się zobaczyli, uważał, że niesłusznie, choć sam miał brodę) – czuł się kimś innym niż ten, który przyszedł do linii dziesięć dni temu, i te brody zdawały się symbolizować, materializować tę różnicę. Oczywiście Storm i Fife natychmiast przestali się golić.

W kompanii były też inne zmiany poza brodami – o czym zwłaszcza Fife wprędce się przekonał. Tej nocy długo pili i gadali, aż wreszcie pozasypiali urzęnięci, pod pożyczonymi kocami, na ziemi w cudzych namiotach, lecz kiedy nazajutrz rano Fife zameldował się w namiocie kancelaryjnym, stwierdził, że jest usunięty z funkcji.

W kompanii nastąpiły prawie hurtowe awanse: Chudy Culn przyszedł na miejsce Grove'a jako sierżant – szef pierwszego plutonu.

Beck oczywiście zastąpił Kecka jako szef drugiego; sierżant Field, dawny dowódca

drużyny Dolla w pierwszym plutonie, został po sierżancie Spainie dowódcą trzeciego plutonu. A potem szło to dalej w dół; Charlie Dale został sierżantem dowódcą drużyny, John Bell też, i tak samo wielu innych. Jeżeli idzie o kancelarię, to Weld, ów poborowy w średnim wieku, dostał stopień kaprała i był teraz kancelistą wysuniętego rzutu u Welsha. Miał do pomocy dwóch żołnierzy, tak jak kiedyś Fife, i jednym z nich okazał się starszy szeregowiec Train, ten jąkała, w którego objęcia upadł Fife, kiedy został trafiony, i który znalazł, a potem oddał miecz wysadzany klejnotami.

Ciekawe było, co może zrobić z człowiekiem odrobina władzy i parę naszywek. Kiedy Fife wszedł, Weld siedział przy jego dawnym biurku polowym, z ołówkiem za uchem, stukał na dawnej maszynie do pisania Fife'a i wydawał swym dwóm pomocnikom rozkazy tak, jakby byli całym korpusem armijnym. Fife zawsze myślał, że mały Joe Weld jest najłagodniejszym z – ludzi. A teraz Weld spojrzał na niego z zimnym uśmiechem, który mu przemknął po podstarzałej twarzy, i powiedział spokojnie: – O, cześć, Fife. – Widać było, że nie ma zamiaru odstępować od swojej nowo nabytej pozycji, jeżeli tylko zdoła.

Obaj nowi pomocnicy kancelaryjni, Train oraz drugi – młody poborowy nazwiskiem Crown – spojrzeli na Fife'a z głęboko winowajczymi minami i nie powiedzieli nic. Szalony Welsh siedział oczywiście przy swoim biurku polowym i pracował. Fife stał, a on pracował dalej. W końcu podniósł wzrok. Musiał już wiedzieć, że Fife i Storm wrócili ze szpitala, ale nie okazał żadnego zdziwienia, przyjemności, ciepła czy choćby zwykłej uprzejmości wyrazem swojej zwariowanej twarzy.

–No, czego chcesz, chłopcze? – zapytał szorstko, tak jakby Fife nigdy stąd nie odchodził. A potem uśmiechnął się swym szalonym, chytrookim uśmiechem sadysty.

–Wróciłem ze szpitala i mam się zameldować – odrzekł Fife z wściekłością. Ale złość nie zdołała przewyciężyć w nim uczucia zagubienia, przerażenia wojną, straszliwej samotności. Ta kancelaria była niegdyś jego azylem.

–Okej – powiedział Welsh. – Więc się zameldowałeś.

–A co robi Weld przy moim biurku stukając na mojej maszynie? – . – zapytał Fife.

–Kapral Weld jest moim kancelistą. Ci dwaj gówniarze to jego gońcy. Masz, pierdoło! – warknął Welsh i wyciągnął jakiś papier do Welda. – Zanieś to McTac'owi, do zaopatrzenia.

–Rozkaz, panie sierżancie! – odwarknął Weld. Wstał, wziął papier i zrobił w tył zwrot wypinając swą chudą pierś. – Train!

Do mnie!

–Powiedziałem: ZANIEŚ TO! – krzyknął Welsh.

**–Rozkaz! – warknął Weld i wyszedł.**

**–Czy to nie dupa? – uśmiechnął się Welsh do Fife'a.**

**–Przecież wiedzieliście, że wracam ze szpitala! – zawołał Fife. – Że byłem...**

**–Ja wiedziałem, że wracasz? A skąd miałem wiedzieć, do cholery? Mam tu kompanię, którą muszę kierować. Myślisz, że mogę czekać na ciebie? Gdybyś miał trochę oleju we łbie, postarałbyś się, żeby cię wyewakuowali z tej Skały do Stanów Zjednoczonych z taką raną jak twoja. Gdybym ja był...**

**–Nie możecie mi tego zrobić, Welsh! – krzyknął Fife. – Nie możecie, na Boga! Nie możecie wziąć sobie i...**

**–Nie możecie! Nie możecie! – ryknął Welsh. Powstał i oparł się knykциями o biurko. – Rozejrzyj się! To już załatwione. Zostało załatwione, kiedy czekałeś w szpitalu, żeby cię wyewakuowali. – Uśmiechnął się swym zimnookim uśmiechem. – - Nie możesz mieć do mnie pretensji, jeżeli ci zabrakło odwagi czy rozumu, żeby...**

**–Cholera ci w bok, przecież widzę,, że nie zrobiłeś nikogo sierżantem kasynowym na miejsce Storma; – krzyknął Fife.**

**–Storm prosił, żebym zaczekał, bo spodziewał się, że wróci – odparł Welsh z beczelnym uśmiechem. Kapral Weld wśliznął się do namiotu, usiadł przy dawnym biurku Fife'a i słuchał.**

**Było dokładnie tak samo jak podczas setek ich zaciekłych zmaganiań i pełnych zniewag kłótni, i w swym rozgorączkowaniu Fife na chwilę zapomniał o przyczynie. Ale potem serce w nim upadło, bo nie był już kancelistą Welsha. Nigdy by nie uwierzył; mimo ich wszystkich morderczych starć, że Welsh nie obroni go, nie wesprze, kiedy dojdzie do utracenia funkcji kancelisty. Ale Welsh najwyraźniej nie chciał tego i nie miał takiego zamiaru.**

**–Niech cię szlag trafi, Welsh! Niech cię szlag trafi, ty skurwysynu! – bluznął Fife.**

**Na szczęście w tej chwili wszedł do namiotu Band i Welsh zerwał się, by krzyknąć: „Baczność!” co sił w płucach, i on sam, dwaj wystraszeni kanceliści, Weld i Fife trzasnęli obcasami.**

**–Nie musi pan, sierżancie, podawać komendy „baczność” za każdym razem, kiedy wchodzę – powiedział Band dobrotliwie. – Już panu to mówiłem. – Welsh tylko wpatrywał się w niego. Band spojrzął na Fife'a. – O, cześć, Fife! Więc wróciliście do swego oddziału. Cieszę się, że was widzę. Spocznij! Spocznij! Spocznij! Aha, Fife, czyście widzieli mój hełm?**



Fife nie wierzył własnym uszom. Jeszcze miotła nim pasja po zaciekłym przeklinaniu Welsha. Band zaszedł za swoje biurko i pokazał Fife'owi pęknięty hełm, który przebiła kula japońska. Fife słuchał w milczeniu z rosnącym zdumieniem i oburzeniem. Uważał, że zasłużył sobie na jakiś respekt i mir za to, iż został ranny. Bądź co bądź żaden z tych ludzi nie był ranny. A tu – ten głupi osioł opowiadał mu historię o czymś, od czego nawet nie ucierpiał. Kiedy Band skończył relację o swojej przygodzie, Fife był tak wściekły, że obawiał się przemówić.

Przy swoim biurku starszy sierżant Welsh nabrał głęboko tchu, wypuścił powietrze i zasiadł z powrotem do roboty. Ze swojej strony był równie rad, że Band przyszedł. Bo inaczej mógłby naprawdę stracić panowanie nad sobą. Zaczynał mieć cholernie dosyć wiecznego pouczenia głupich gówniarzy, że dla świata, dla wojny, dla kraju, dla kompanii żaden z nich nie ma znaczenia, że są zużywalni jak banknoty dolarowe, że mogą wszyscy umierać dzień po dniu i jeden po drugim i nie będzie to ni cholery znaczyło” dla nikogo, dopóki będą uzupełnienia. Za kogo on się ma, kurczę blade? Myśli, że cokolwiek znaczy dla tej kompanii? Welsh znowu odetchnął głęboko, współczując samemu sobie. Teraz był zły. Urażona mina tego pętaka, kiedy wszedł i zobaczył Welda, doprowadzała Welsha do obłędnej wściekłości. Czego Fife od niego oczekiwał? Pętaki teraz się uczą – o, jak boleśnie! Ten tydzień poza linią był na to w sam raz, doskonały: Tall i jego wspaniały pomysł, dość czasu, żeby się dobrze spić, dość czasu, żeby pogadać, dość czasu, żeby pomyśleć o sobie i swojej nedorzecznej, śmiesznej sytuacji. Dość czasu, aby się zastanowić, że ta wojna dopiero się zaczyna, dość czasu, by sobie uświadomić – czy przypomnieć! – że za każdą taką kompanią, jak oni, stoi co najmniej dziesięć innych, które sięgają aż do Waszyngtonu i zajmują się ze znacznie mniejszym niebezpieczeństwem dostawianiem ich tutaj, wyekwipowanych do wykonania swej niebezpiecznej roboty. O tak, uczą się! Uczą się teraz, chociaż nie doceniają tego, co Welsh wiedział i doceniał przez cały czas. Nawet Storm tego nie wiedział. Ale Welsh wiedział.

Starszy sierżant Welsh zeszedł ze wzgórz na czele swojej kompanii z taką samą ściągniętą, znękaną twarzą i zmrużonymi, zbyt błyszczącymi oczami jak wszyscy, lecz w przeciwieństwie do nich zeszedł tryumfujący – tryumfujący i bez żadnej pamiątki, z wyjątkiem żelaznej pogardy dla pamiątek, które taszczyli inni. Tryumfował, ponieważ wszystko wypadło dokładnie tak, jak się spodziewał i przewidywał, wskutek czego nie doznał żadnego prawdziwego wstrząsu ani urazu; ludzie ginęli głównie z przyczyn statystycznych, zgodnie z jego przewidywaniami, bili się dobrze lub źle, tak jak biliby się o kobiety czy inną Własność – i tego też się spodziewał.

Jedyną rzeczą, która go nękała, był ten głupi dureń Tella. Ale przemyślał to starannie i uświadomił sobie, że coś umartwiającego, samoniszczącego w jego naturze, co kazało mu pójść po Tellę, prawie na pewno – mogło skłonić go do takich czynów w przyszłości, i pogodził się z tym. Jeżeli zaś idzie o pamiątki, to nigdy dotąd nie musiał uciekać się do takich dziecinnych metod, by zdobyć gorzałę, i na pewno

nie zamierzał zaczynać teraz. Po pierwsze lubił dżin.

Te smarkacze niech sobie mają whisky. Mógł pić whisky, jeżeli musiał, ale dopóki mógł dostać dżin, chciał go mieć, a gdyby jego dotychczasowe źródło dżinu zostało zlikwidowane czy przeniesione, znalazłby sobie inne – i nie potrzebował po to pamiętek. Maszerował rozluźniony w kurzu, w słońcu i przez błoto dżungli, nucąc sobie swoją sekretną piosenkę: „Własność. Własność. Wszystko dla własności” „„, a jego kompania wlokła się za nim obładowana i zasapana; myślał, że jest chyba jedynym zdrowym na umyśle człowiekiem w oddziale. I w owej chwili miał właściwie słuszość. Odkąd doszli na linię, golił się co dzień i nie usiłował zapuścić jakiegś durnej brody, a nikt nie ośmielił się powiedzieć mu słowa na ten temat, ponieważ od lat nosił wąsy.

Od tej pory niech te pętaki same sobie dają radę.

Welsh usłyszał za sobą Fife'a, który mówił do Banda z ciężką, gryzącą ironią:

–No, to nadzwyczajne, panie poruczniku! Sam też bym chętnie zobaczył mój hełm. Założę się, że był jeszcze bardziej rozerwany niż pański. Bo wie pan porucznik, ja zostałem ranny w głowę.

Ale go nie widziałem.

Głos Fife'a drżał z wściekłości i Welsh uśmiechnął się do siebie.

Wszyscy w kompanii mieli tak dosyć hełmu Banda, że chciało im się rzygać. Jednakże kiedy Fife obrócił się, by spojrzeć na niego szukając poparcia, Welsh przeszył go kamiennym wzrokiem. Miał z Bandem różne nieporozumienia w ciągu ostatnich kilku dni, odkąd ten przejął kompanię, ale załatwiał je sam i ten pętak mógł też to zrobić.

Band pochylił się i starannie chował hełm. Miał tylko jego metalową skorupę, bo rozdarta, wgniecioną podkładkę zwykł był teraz nosić na zbiórkach i w obozie.

–Tak. Szkoda, że nie mogliście go zachować, żeby zabrać ze sobą do domu na pamiątkę, tak jak ja robię.

–Wtedy myślałem o czym innym, panie poruczniku – odrzekł Fife.

Band wyprostował się, wciąż z uśmiechem, ale jego oczy i uśmiech nie miały tego ochoczego wyrazu co zwykle.

–Pewnie, że tak. – Obrócił się do Welsha. – No, co tam, sierżancie?

–Niewiele nowego, panie poruczniku. – Drobne starcia Welsha z Bandem doszły do

szczytu przed dwoma dniami, kiedy Welsh, napomniany, że nie odnosi się z należyty szacunkiem do oficerów z kompanii, powiedział spokojnie: „Panie poruczniku, może pan zabrać moje naszywki i moją funkcję, kiedy pan tylko zechce”. Naprawdę tak myślał i Band o tym wiedział. „Sierżancie, proszę sobie nigdy nie wyobrażać, że jest pan niezbędny” – odrzekł Band zimno. „Panie poruczniku, nikt nie wie lepiej ode mnie, jak zbędny jest każdy człowiek w tej kompanii” – odparował wtedy Welsh i na tym się skończyło. Band posunął się za daleko przypominając mu, by o tym nie zapominał, toteż nie odebrał mu naszywek ani funkcji. Teraz powiedział:

–No, to jest dobra wiadomość. – Nagle, znowu z wesołym uśmiechem, złożył dłonie, zatarł je żwawo i rzekł swoim najlepszym tonem szkolnego nauczyciela: – No więc, kapralu Fife! Musimy zdecydować, co z wami robić, prawda? – Nie czekał na niczyją odpowiedź. – Ponieważ Weld jest teraz kapralem i kancelistą, nie bardzo możemy zdegradować go z powrotem do szeregowca. Nie możemy też mieć dwóch kancelistów. A ponieważ Weld jest sporo starszy i nie w tak dobrej kondycji fizycznej jak Fife, a poza tym znacznie mniej wyszkolony, nie widzę sposobu, żeby go zrobić zastępcą dowódcy drużyny strzelców...

Cały gniew Fife'a wyciekł z niego jak woda, gdy uświadomił sobie, do czego Band zmierza; doszedł za późno do wniosku, że mógł zachować się dużo przyjemniej, jeżeli idzie o jego hełm. Wezbrała w nim groza, kiedy wspomniawszy tamto piekielne, odsłonięte zbrocze, wybuchający pocisk z mózdzierza, zabitego chłopca na noszach.

–...Taaak... Co byście powiedzieli, gdybyście zostali zastępcą dowódcy wyborowej drużyny strzelców, Fife? – zapytał Band wesoło. – Drużyna sierżanta Jenksa w trzecim plutonie nie ma kaprala.

Nawet w swym nagłym lęku Fife nie widział sposobu – ponieważ Band tak to ujął – żeby móc dać jakąś inną odpowiedź poza „tak, bardzo chętnie”. Ale Welsh uratował go od powiedzenia tego.

–Panie poruczniku, sierżant Dranno z rzutu tyłowego naprzykrzał mi się, żebym mu dał kogoś do pomocy. Ma kupę roboty ze spisywaniem strat od czasu tej akcji. A będzie miał dużo więcej. – Welsh popatrzał na Banda. – Fife zna się lepiej na pracy kancelaryjnej niż ktokolwiek w kompanii z wyjątkiem Dranna.

–Bardzo dobrze! No, proszę – Band uśmiechnął się do Fife'a swym dziwnie łagodnym uśmiechem. – Teraz macie wybór, Fife!

Co wolicie?

–Będę pracował u Dranna – zdołał powiedzieć niemrawo Fife.

–Doskonale! – zawołał wesoło porucznik Band z tym swoim uśmiechem. Obrócił się w krześle do Welsha. – Kiedy pan chce go tam wyprawić, sierżancie?

**–Ano – odrzekł Welsh. – Dzisiaj.**

**–O, proszę, kapralu – uśmiechnął się Band. – Okej. Możecie iść.**

**Fife zaczął się pakować. Pakować? Musiał tylko wsadzić łyżkę do jednej kieszeni, zapasową parę skarpetek do drugiej, przypiąć nowy pas do karabinu, zabrać swój nowy karabin. Flaszkę australijskiej whisky, którą wydebił dzięki nowej wielkoduszności świeżo awansowanego sierżanta Dolla (co go złościło), zamierzał nieść w ręce. Ale wtedy przyszedł bunt. Wróciła cała wściekłość, wściekłość na Banda, wściekłość na Welsha, wściekłość na świat. Pieprzyć ich. Pieprzyć ich wszystkich. A wraz z nią powróciło to tragiczne uczucie żalu i utraty, którego tak silnie doświadczał tamtego wieczora przy ścieżce w dżungli, kiedy mieli iść nazajutrz do bitwy. Był sam. Na całym świecie nie było nikogo, kto by dbał o to, czy żyje, czy nie żyje. Więc niech tak będzie. Umrze samotnie.**

**Wiedział, że to, co czuje, jest bezsensowne, wiedział, że zaraz tego pożałuje, był pewien, że podpisuje na siebie wyrok śmierci, lecz mimo strachu i grozy, które go wypełniały na równi ze wściekłością i żalem, nie chciał tam wracać, aby pracować u Dranna. Pokaże tym draniom. Pokaże im wszystkim. Z dziwną, samoniszczącą, samokarzącą nienawiścią do wszystkiego, ale najbardziej do siebie, odrzucił tę przeklętą miłosierność Welsha. Rozpakował się. Czy Welsh usiłował zatrzymać go w kancelarii? Czy chciał, żeby znów poszedł do kancelarii? Wrócił do namiotu kancelaryjnego i oświadczył, że się rozmyślił, że ma zamiar zostać. Kiedy Welsh to usłyszał, twarz tak mu poczerwieniała, iż wydało się, że cała jego głowa wybuchnie ze strasznej wściekłości, jak bomba, ale nie powiedział ani słowa przy Bandzie. Sam Band obrzucił Fife'a dziwnie ostrym, niezbyt zadowolonym spojrzeniem, które sprawiło, iż Fife po wyjściu z namiotu poczuł, że go rozmyślnie, czynnie zwodzono... Ale już było za późno. Przeniósł – się do drużyny Jenksa. Tak jak przewidywał, od – razu pożałował tego, co zrobił. Jedyną prawdziwą” satysfakcją była mina Welsha.**

**Sierżant Jenks – ten sam, który jako kapral bił się kiedyś na pięci z starszym szeregowcem Dollem za dawnych czasów – został sierżantem dopiero po bitwie, kiedy jego dowódca drużyny poległ w walce na japońskim biwaku. Był ciemnowłosym, szczupłym, wysokim mężczyzną z Georgii, o długim torsie i krótkich nogach, mówił mało i swoją rangę oraz żołnierkę traktował poważnie, jako zajęcie. Powitał Fife'a w kilku słowach i wrócił do swoich czynności, które w danym momencie polegały na ostrym picciu, toteż tego wieczora Fife urznął się z drużyną Jenksa i trzecim plutonem, zamiast ze Stormem i chłopakami z dowództwa – ale nigdy nie poczuł się jednym z nich.**

**Tego samego wieczora szeregowiec Witt złożył im gniewną, pijacką wizytę. I właśnie od Witta, którego kompania biwakowała przy dowództwie pułkowego rzutu tyłowego, C – jak – Charlie dowiedziała się po raz pierwszy, że kapitan Johnny Gaff został przedstawiony do Medalu Honorowego i wyewakuowany do Esperito Santo dla**

bezpieczeństwa. Witt, naturalnie odwiedził najpierw swych starych kumpli z „grupy szturmowej” Gaffa, żeby się czegoś napić, i właśnie im opowiedział tę historię. Jednakże wprędce rozeszła się lotem błyskawicy po całej kompanii i było z tego dużo śmiechu. Bo naturalnie wszyscy wiedzieli, że Gaff nigdy nie zajrzał do swojej małej „grupy szturmowej”, aby postawić to wielkie picie na jego koszt, które obiecał. Był to śmiech gorzki. Sam Witt rozwodził się z pijacką elokwencją nad oszukaństwem każdego, kto mógł ich tak wykorzystać jak Gaff, po czym odrzucić niczym zniszczoną bluzę drelichową. Zdaniem Witta Gaff wydymał ich wszystkich i powinni byli to przyznać. Jednakże reszta usiłowała zbyć całą sprawę śmiechem tak jak i większość kompanii. Gaff był ostatecznym gorzkim sosem do tego gorzkiego mięsa, które C – jak – Charlie przeżuwała bez apetytu prawie przez cały ubiegły tydzień. Poza tym, o ile Witt czy ktokolwiek inny się orientował, Gaff nie przedstawił Dolla do Bojowego Krzyża Zasługi, tak jak mu to osobiście obiecał. Sierżant Doll – który dokładnie pamiętał, jak sprytnie uratował grupę, kiedy rozmyślnie ściągnął ogień japoński wiedząc, że występ skalny jest o dziesięć jardów w prawo – usiłował także to wyśmiać, ale było mu trochę trudniej niż innym. Jeżeli zaś idzie o medale, to o ile zdołali się dowiedzieć, nikogo z kompanii C nie przedstawiono dotąd do jakiegokolwiek medalu. Oczywiście z wyjątkiem Gaffa.

–Jeżeli można go liczyć! – zaśmiał się po pijacku John Bell.

–W końcu był zastępcą dowódcy batalionu. Nigdy nie był w C – jak – Charlie.

Bell uważał całą sprawę za gorzko, niestrawnie zabawną: skwaśniałe, zimne mięso wiedzy o prawdzie, przeżuwanie go, wreszcie sos Gaffa i medali.

Jednakże była to bodaj jedyna rzecz, jaką Bell uważał za zabawną. W ubiegłym tygodniu przyszła obfita poczta i Bell otrzymał sześć listów od żony. Dostali pocztę po raz pierwszy, odkąd wsiedli na transportowce i Bell nie uważał, żeby sześć to było tak strasznie dużo. Oczywiście wiele listów mogło trafić na inne statki czy się opóźnić, no nie? W każdym razie, w świetle tej rewelacyjnej wiedzy, która objawiła mu się na owym progu ponad japońskim bunkrem, Bell usiłował odnaleźć jakieś oznaki między wierszami. Czy ta partia listów była chłodniejsza? Czy tylko tak je odczytywał? Jak zawsze, gdy go nachodził podobny nastrój, wstał trzymając za szyjkę butelkę whisky i odszedł na bok, z dala od innych. Zasiadł podpity na zboczu wzgórza i spoglądał ku morzu na pociemniały zarys wyspy w świetle sierpa księżyca. Naloty już się skończyły, ale nigdzie się nie – paliło. Oczywiście, w kraju... w kraju... zawsze było o wiele więcej okazji do znalezienia sobie – jak to się mówi? – partnerów do miłości – czy nie tak to nazywali na wykładach psychologii na uniwersytecie? – jasne, że tak – niż tu, w tym pięknym, przez Boga zapomnianym miejscu. Ale musiał wierzyć w Marty.

Gdyby nie mógł w nią wierzyć, nie mógłby teraz wierzyć w nic.

**Z półerekcją wskutek myślenia o niej podniósł się, wrócił i zastał Witta znowu perorującego – ze śmiechem, ale gorzkim – o Gaffie.**

**–Dlaczego nie przeniesiesz się z powrotem do C – jak – Charlie? – zapytał raptem Witta. Sam wiesz, że miałbyś ochotę. A zostało ci tylko jutro i jutrzejszy wieczór.**

**–Ja? O, nie! – wykrzyknął Witt. – Za nic nie wrócę do tego batalionu, póki Tall nim dowodzi. Co to, to nie. Choćbym najbardziej chciał. Jeżeli Tall kiedyś dostanie awans albo go stąd wyprawiają... Ale nie teraz. W ogóle muszę już iść, bo oberwę! – zawołał i wstał chwiejnie. Nagle” jął zbiegać po stromym zboczu ogromnymi, gigantycznymi susami, trzymając flaszki whisky w obydwu rękach, a jego głos dolatywał do nich słabnącym tonem gwizdka pociągu, który oddala się od słuchającego: – Nalot się skończył, chyba zobaczą, czy zrobili jakieś szkody, a potem polezę do domu, do mojej kochanej kompanii, zobaczyć, czy...**

**Już dawno zniknął im z oczu, lecz jego głos dochodził do nich, za namiotem rozległ się łomot i głośny krzyk: – Ouuu!**

**Kilku już przedtem wstało i ruszyło za nim, by go zatrzymać.**

**Kiedy do niego doszli, znaleźli go leżącego na boku i uśmiechającego się głupkowato.**

**–Pośliznąłem się – powiedział Witt łypiąc na nich spode łba.**

**Rozciął sobie policzek o kamień, a chociaż mocno ścisnął szyjki obu butelek, tylko jedna z nich była cała. Druga stłukła mu się w rękę, tak że trzymał tylko poszarpaną, pustą szyjkę.**

**–Nie możesz tam dzisiaj wracać! – krzyknął na niego Bell. – Ty durniu! Jakiś chybki wartownik strzeli ci w dupę!**

**–Chyba masz rację – odrzekł Witt. Potulnie dał się odprowadzić do pozostałych. – Ale ten pierdolony Tall niech się trzyma z daleka ode mnie, drań jeden, bo mu rozwalę jego pierdolony łeb!**

**–wrzasnął raz usiłując się wyrwać. Jednakże potem już był spokojny.**

**Nazajutrz rano ruszył w drogę bardzo zmitygowany, z plastrem na policzku, najwyraźniej nie mając chęci odchodzić. Ale żadne perswazje nie mogły go skłonić, aby pozostał z nimi, dopóki pułkownik Tall dowodzi batalionem. Toteż tego wieczora – ostatniego wieczora – upili się sami, bez Witta.**

**Zostało jeszcze dużo whisky i teraz większość ludzi nosiła dwie manierki.: – jedną na wodę, drugą na whisky. Tę whisky, której nie mogli zabrać, podobnie jak nie**

**sprzedanych pamiątek, zostawili u sierżanta MacTac i jego kancelisty w zaopatrzeniu, u Storma i jego kucharzy, z których żaden nie zgłosił się tym razem na ochotnika i którzy obiecali przechować whisky do ich powrotu. I Storm widział ich po raz ostatni, kiedy ostatni człowiek z ostatniego plutonu na chwilę przed zniknięciem za szczytem wzgórza zatrzymał się, obrócił i krzyknął żałościwie:**

**–Niech was cholera, pilnujcie mojej whisky!**

**Kiedy rozpoczęli długi marsz, szeregowcy Mazzi i Tills znowu nie rozmawiali ze sobą. Sprzedali swój japoński cekaem za niezłą cenę i podzielili się zyskiem, ale któregoś wieczora spity i rozchichotany Tills opowiedział, jak pierwszego dnia Mazzi mimo swej zawadiackiej gadaniny bał się pocisków z moździerzy. Mazzi odmaszerował do swoich nowojorskich kumpli z pierwszego plutonu i powiedział, że i tak wzięł od Tillsa wszystko, czego „chciał, a mianowicie połowę cekaemu. Później mówił innym, że prosiłby o przeniesienie z plutonu broni ciężkiej, gdyby nie to, że plutony strzelców są takie niebezpieczne. Teraz znowu maszerowali ramię w ramię do walki, jeden niósł podstawę, drugi lufę, patrzyli prosto przed siebie i nie mówili ani słowa. Obydwaj, tak jak wielu innych, mieli pierwszy poważny atak malarii podczas tygodnia odpoczynku.**

## ROZDZIAŁ 7

Wszystko wyglądało inaczej. Za Wzgórzem 209 teren był oczyszczony i uporządkowany. Pojawiły się obozy, dawny szlak jeepów zniwelowano i wyrównano, ażeby mogły nim przejeżdżać inne pojazdy. Kompania C maszerując przypatrywała się temu wszystkiemu z zaciekawieniem. Za Wzgórzem 209, gdzie przed tygodniem walczyli i ulegli panice na drugiej i trzeciej fałdzie, były teraz rozstawione jednoosobowe namioty. Na bocznym grzbiecie, gdzie Keck prowadził przez trawę swoje trzy drużyny, a później zginął na skutek własnego błędu, biwakowali roześmiani żołnierze.

Porośnięte krzakami zagłębienie, gdzie drugi batalion został przygwożdżony i tak ciężko ostrzelany z moździerzy pierwszego dnia, było teraz ruchliwą centralą łączności. A nowa droga dla jeepów, przy której jeszcze pracowali saperzy, biegła po płaszczyźnie między lewym i prawym trawiastym zboczem, i dalej przez Kręgielnię na Wzgórze 210, Głowę Słonia. Kiedy nią szli zasapani, w tumanach kurzu, ale krocząc sprężysto, ponieważ przypatrywali im się ci, których teraz uważali za oddziały tyłowe, C – jak – Charlie była czołową kompanią batalionu, i czuli się dumni, że umożliwili wszystkie obserwowane teraz zmiany, chociaż nie oni dokonali tej roboty.

Ponieważ dokonywali zabijania.

Ten tryumf nie trwał długo. W cieniu wysokich dżunglowych drzew wzdłuż linii biegnącej od szczytu Wzgórza 210 luzowanie przebiegło gładko. Kompania, którą luzowali, patrolowała przez miniony tydzień i straciła dwóch zabitych i pięciu rannych. Jednakże nie stoczyła żadnej większej walki, takiej jak na Tańczącym Słoni, co było widać po pełnych podziwu twarzach ludzi, kiedy patrzyli, jak kompania C nadchodzi i przejmuje pozycję. C – jak – Charlie spoglądała na nich twardo. Od razu dowiedziała się od tych, których luzowała, że na dzisiejsze popołudnie planowany jest patrol.

Samo natarcie było przewidziane na jutro o świcie.

Marsz był przyjemny, ale nagle uświadomili sobie, że doprowadził ich z powrotem tutaj, gdzie każda rzecz się liczyła.

Jednakże pułkownik Tall nie był dziś z nimi. Krążyły pogłoski, że właśnie dostaje awans. Nikt z batalionu nie widział go tego rana, kiedy zaczynał się marsz, i pułkownik nie pokazał się też na punkcie spotkania nad rzeką, gdzie zeszły się cztery kompanie. Dzięki temu tajemniczemu mechanizmowi, którego nikt nie rozumiał, ale który sprawiał, że zawsze wiedziano wszystko o wydarzeniach w pułku (a nawet w dywizji), jeszcze nim nastąpiły, plotka głosiła, że Tall odchodzi, aby dowodzić walczącym w górach, wydzielonym siostrzanym pułkiem, którego dowódca tak się



pochorował na malarię, że nie mógł wykonywać swojej funkcji. To przywołało gorzkie uśmiechy na usta cierpiących na malarię w batalionie, z których większość miała wysoką gorączkę podczas natarcia. Inną rzeczą, która wywołała śmiech, była świadomość, że Stary otrzymywał awans za ich wyczyny i ich przelaną krew i że dzięki tej reputacji przeszkoczył zastępcę dowódcy wydzielonego pułku dostając czasowo szarżę pełnego pułkownika. Nikt się zbytnio nie martwił, że odchodzi. O wiele bardziej przejmowali się tym, jaki będzie jego następca, a także czekającym ich popołudniowym patrolem.

Co się tyczy patrolu, to o pięćset jardów od ich frontu było jeszcze jedno nie porośnięte dżunglą wzgórze, niewielkie, wznoszące się samotnie z dżungli. Nazwano je Morski Ślimak. Odkąd pewnemu bystremu sztabowcowi udało się wymyślić nazwę Tańczący Słoń, która się przyjęła, nastąpiła powódź nazw dla niemal każdego wzgórze, jakie pozostawało do zdobycia, proponowanych przez niemal każdego bystrego młodego adiutanta, który miał dostęp do map lotniczych.

Nazywanie wzgórz stało się grą i wspaniałą zabawą. Morski Ślimak, gruba, z lekka wygięta grań, została tak nazwana z powodu licznych parowów, które rozchodziły się wachlarzowo od jej wewnątrzłądowego końca przypominając pęk czulek sterczących z głowy morskiego ślimaka czy morskiego ogórka, jak go się częściej nazywa. Morskiego Ślimaka dwukrotnie rozpoznawały patrole z 3 batalionu aż po jego kraniec od strony morza, czyli ogon, który stanowił bliższe i łatwiejsze podejście, ale za jednym i drugim razem zostały odparte ogniem ciężkich karabinów maszynowych i moździerzy. Najwyraźniej był on silnie broniony. Patrol z C – jak – Charlie miał podejść od strony wewnątrzłądowej, czyli od głowy, do tego wachlarzowego szeregu parowów, aby zobaczyć, czy obrona jest tam mniej silna ze względu na trudniejszy teren. Mieli także, gdyby czas na to pozwolił, wyrąbać trochę zarośli, żeby poszerzyć ścieżkę na jutrzejsze duże natarcie. Porucznik George C. Band, ze swoim mętym, w jakiś sposób nieskromnym uśmiechem, powziął decyzję, że patrol wyśle pierwszy pluton Chudego Culna.

Powiedziano im, że taktycznie Morski Ślimak jest bezużyteczny, co najwyżej jako placówka i odskocznia do większego uderzenia na następny duży masyw wzgórze – obszar wzgórz 250, 251, 252 i 253, obecnie nazywany w dywizyjnym biurze planowania „Wielką Gotowaną Krewetką”. Ale dowódca dywizji oraz generał chcieli go dostać, bo jego otwarty grzbiet, wyginający się ku przodowi, stanowił doskonałe podejście do masywu Wielkiej Gotowanej Krewetki.

Patrol Culna, podobnie jak inne, dostał człowieka z walki – talkie, który miał podawać dane ogniowe moździerzom i artylerii.

Najpierw się posilili wyjąwszy z otwartych skrzynek puszki mięsa z fasolą, siekaniną czy duszeniną, zależnie od upodobania, i zasiadłszy z nimi na zboczu wzgórze albo na pojemnikach z wodą.

Potem napełnili manierki i wyruszyli posuwając się wolno, nawet niechętnie, przez otwartą przestrzeń Trąby Słonia ku tej samej ścieżce w dżungli, od której zaczęli się wspinać zaledwie przed tygodniem. Na dole zniknęli w listowiu.

W górze reszta kompanii obserwowała.

Pomimo doświadczenia w walce był to pierwszy bojowy patrol kompanii C w dżungli. Walka na otwartych wzgórzach niczego ich o tym nie nauczyła. Wszyscy dosyć się nachodzili pieszo przez dżunglę, by wiedzieć, czego się spodziewać. Dżungla była niesamowita.

Ociekające drzewa, wrzask spłoszonych ptaków, odgłos własnego oddychania w zielonkawym powietrzu, stopy chlupocące w błocie ścieżki, półmrok. Przed nimi ścieżka się rozwidlała. Jej lewa odnoga, którą szli, od razu zwęziła się tak bardzo, że mogli postępować naprzód tylko gęsiego. Wiadomo było, że prowadzi ich w kierunku wzgórza Morski Ślimak. Uwikłani w dzikie banany, papaje, olbrzymie splątane liany oraz rośliny, które dyndały przed ich, twarzami jak wielkie, mięsiste czerwone penisy, posuwali się tym wąskim przejściem, oznajmiani przez ptaki, daremnie usiłując stąpać cicho, borykając się z uczuciem klaustrofobii i przystając często, kiedy Culn i niedoświadczony nowy porucznik sprawdzali kompasy. Dwie drużyny idące na samym końcu, poza zasięgiem słuchu, rąbały niedbale ścieżkę maczetami, co niczego nie zmieniło. W cztery godziny później wrócili z jednym zabitym, dwoma rannymi oraz twarzami, które się postarzały o dwadzieścia lat.

Zabitym był mało znany i w zasadzie nie mający przyjaciół poborowy nazwiskiem Griggs. Przynieśli go czterej ludzie jako pierwszego (za porucznikiem i Culnem), brzuchem do góry, ze zwisającymi i dyndającymi rękami, nogami i głową. Odłamki pocisku z moździerza trafiły go w pierś. Ułożono go osobno na zboczu wzgórza, w oczekiwaniu na sanitariuszy, którzy by go zabrali, co wszyscy mieli za złe, bo przypominał im, że mogli być na jego miejscu.

Z dwóch rannych, którzy nadeszli tuż za nim, jeden miał udo szeroko rozerwane dużym odłamkiem i kuśtykał na jednej nodze między dwoma kolegami, pojękując, wzdychając i płacząc od czasu do czasu. Drugiemu przebił szyję odłamek pocisku z moździerza i miał teraz wysoki kołnierz z gazy, kiedy brnął naprzód, obejmując ręką innego żołnierza. Przejęła ich grupa świeżych ludzi z kompanii i poprowadziła do punktu opatrunkowego, a reszta patrolu, wyczerpana i roztrzęsiona, osunęła się na ziemię byle gdzie na zboczu. Wyglądali jak ludzie, którzy wykonali swoją dzienną robotę i czują się uprawnieni do odpoczynku, lecz mają za złe, że są niedostatecznie opłacani za ten rodzaj pracy, bez żadnej nadziei, by to się poprawiło. Tylko Culn i porucznik po przeprowadzeniu ich przez linię nie usiedli, lecz poszli odszukać Banda i złożyć raport w dowództwie batalionu.

Porucznik wolałby usiąść. Jednakże nie usiadł uważając, że nie może tego zrobić,

dopóki Culn nie siada. Wciąż zerkał na niego.

Z nich wszystkich Culn był tego popołudnia jedynym, który zachował swój normalny nastrój, wyrażający się w jego wypadku słonecznym, radosnym uśmiechem. Porucznik, który nazywał się Payne, i wciąż jeszcze był blady i twarz miał zeszywniałą, przypisałby to większemu doświadczeniu Culna, gdyby nie zauważył, że wszyscy inni reagowali bardziej tak jak on sam niż jak Culn. W tej chwili, gdy obaj brnęli wzdłuż zbocza, Culn pogwizdywał pogodnie piosenkę, którą Payne już gdzieś słyszał i która, jak mu się wydawało, nosiła tytuł „Róża z San Antonio”. Raz Culn przestał gwizdać na chwilę, by się obejrzeć, uśmiechnąć wesoło i mrugnąć do niego.

W końcu Payne nie mógł już tego znieść.

–Moglibyście skończyć z tym cholernym gwizdaniem, sierżancie? – zapytał o wiele ostrzej, niż zamierzał.

–Okej, panie poruczniku – odrzekł uprzejmie Culn. – Jeżeli pan sobie życzy.

I przestał gwizdać. Natomiast dalej nucił cicho melodię pod nosem. Nie było w nim żadnej złości w stosunku do porucznika Payne'a; pogwizdywał, bo dobrze się czuł. Chudy Culn był sympatycznym, beztroskim człowiekiem, pragnącym żyć i dać żyć innym, zazwyczaj roześmianym – ale także wytrawnym żołnierzem z dziewięcioma latami służby. W ten sposób prowadził swój patrol i odnosił się miło do nowego porucznika, który, gdyby zgłębić całą jego irlandzką prawdę, znał się na tego rodzaju patrolowaniu tak samo jak on, czyli wcale. Culn czekał cztery lata, zaciągnął się nadterminowo i przybył tu, by dostać dowodzenie tym plutonem – który jego poprzednik, Grove, już nie żyjący, dobry kompan Culna od popijania, pragnął zachować i po to również zaciągnął się ponownie, sprawiając tym zawód Culnowi. Jednakże to wszystko należało do gry. W końcu tylko śmierć Grove'a oraz wojna dały mu ten pluton. Będąc dobrym, choć nie gorliwym irlandzkim katolikiem, Chudy Culn mógł przyjąć to bez uczucia winy czy zgrozy, jako rodzaj osobistej odpowiedzialności, przekazanej mu przez Grove'a z za grobu. Z pewnością nie zamierzał teraz tego utracić ani przez zastrzelenie, ani przez zdjęcie go z funkcji za jakąś lekkomyślną brawurę.

Nie miał również zamiaru utracić plutonu przez narażenie się oficerowi, któremu zdawało się, że nim dowodzi. Czuł się tak dobrze dlatego, że był żywy i nie uszkodzony, i miał przed sobą perspektywę spędzenia swobodnego, bezpiecznego popołudnia i wieczoru na próżnowaniu i żartach przed jutrem, a może nawet wypicia paru kolejek. Było wysoce możliwe, że Band da im obu porządnie golnąć, gdy mu się zameldują. Culn zauważył, że Band dobrze zadbał o siebie, jeżeli idzie o sytuację alkoholową, co mógł uczynić tym łatwiej, że miał obrotnego ordynansa, który przyniósł mu tutaj jego zrolowane koce. Kiedy szli, Culn przyłapał się na tym, że o mało znów nie zagwizdał piosenki, ale powstrzymał się w samą porę. Szli dalej.

**–Czy wyście tam coś czuli? – zapytał wreszcie Payne silnym głosem, zerkając znowu na niego, po czym odwrócił wzrok i popatrzał przed siebie. – Kiedyście tam byli?**

**–Czy czułem? – odrzekł Culn. – I owszem, byłem spietrany.**

**Wtedy jak było najgorzej z tymi móździerzami. – Uśmiechnął się wesoło do Payne'a, tak jakby teraz wiedział, jakie ten ma problemy, co rozgniewało porucznika.**

**–No, nie wyglądaliście na to, sierżancie – powiedział Payne.**

**–Pan porucznik jeszcze mnie dobrze nie zna – uśmiechnął się Culn. Jednakże nagle się rozzłościł. Uważał, że Payne narusza jego prawa. Czuł bardzo wiele, ale nie musiał o tym mówić. Nie był żadnym kółkiem w maszynie bez względu na to, co sobie myślał Payne.**

**–Ale kiedy ci ludzie oberwali! – mówił porucznik. – Jeden zginął! Przecież byli z waszego plutonu! – Teraz, z dala od nich, był mniej blady, ale twarz miał wciąż sztywną.**

**Culn uśmiechnął się do niego ostrożnie. Payne mówił tak, jakby znał ten pluton od lat.**

**–Panie poruczniku, ja uważam, żeśmy się wcale nieźle sprawili. I wyszliśmy z tego dosyć szczęśliwie. Przy tych kawałach drzew, które się na nas waliły, mogło być dużo gorzej, no nie? – powiedział wesoło. – A jeżeli idzie o uczucia – dodał uprzejmie, to ani wojsko, ani nikt inny nie daje mi żadnej ekstra „płacy od uczuć”**

**za to, co czuję. Tak jak dają lotnikom „płacę od lotu” za latanie.**

**Więc myślę, że nie wymaga się ode mnie uczuć. Chyba nie będę czuł więcej, niż to absolutnie konieczne. Minimum uczuć. Jutro pewnie będzie naprawdę ciężko, panie poruczniku. Wie pan o tym?**

**Payne nie odpowiedział. Jego twarz wyglądała jak chmura gradowa i była jeszcze sztywniejsza niż przedtem i Culn zląkł się, że posunął się za daleko. Aby złagodzić swoje oświadczenie, zachichotał nerwowo (po co mu się narażać?), spojrzał na Payne'a, uśmiechnął się i mrugnął. Z zadowoleniem spostrzegł, że nieco wyżej przed nimi Band wyszedł ze swego stanowiska dowodzenia, by ich powitać. Payne zobaczył to także i popatrzał w tę stronę przybierając inny wyraz twarzy. Stanowisko dowodzenia ulokowano w jednym z japońskich szałasów, w cieniu dużych drzew tuż za wierzchołkiem wzgórza. Band stał teraz przed nim. Uśmiechał się do nich z dumą.**

**Istotnie poczęstował ich drinkiem. I to dużym, porządnym, co sam zaproponował. Łyknęli prosto z pięknej, ślicznej butelki „White Horse”. A potem Band też się napił.**

George Band nie widział powodu, by sobie nie pozwalać na pewne drobne luksusy, jeżeli mógł je mieć bez zbyt dużego kłopotu, ponieważ był teraz dowódcą kompanii. Jim Stein, o którym pamięć blakła szybko z dnia na dzień, uważały to za wysoce niemoralne. Ale Band wcale nie był tego zdania. Swojemu nowemu kanceliście, kapralowi Weldowi, i jego pierwszemu zastępcy, Trainowi, polecił wspólnie nieść w marszu jego zrolowane koce, i zapakował do środka sześć butelek najlepszej whisky, poza swoimi manierkami. Jak się okazało, mieli odejść stąd jutro, więc musiałyby zostawić komuś i koce, i whisky, ale mogli też bardzo łatwo siedzieć tu, tydzień przed rozpoczęciem nowego natarcia. W każdym razie mógł dzięki temu dobrze się wyspać, przez jedną noc, a jego dwaj kanceliści naprawdę nie mieli z tego powodu zbyt dużo dodatkowej roboty. Jeżeli starszy sierżant Welsh mógł ich używać jako swych osobistych niewolników, to na pewno tak samo i dowódca kompanii. Podobnie jak jego ludzie Band pił bardziej ostro, odkąd się zaczął tydzień „odpoczynku”. Jeszcze raz łyknął z butelki, zanim ją odstawił, i skierował uwagę na swego nowego oficera, Payne'a.

Przypatrzwszy się jego bladej, zeszywniałej twarzy, gdy mu składali raport, doszedł do wniosku, że może jakoś to pójdzie. Kiedy skończyli raport, powiedział:

–Ano, może chodźmy do batalionu i opowiedzmy im wszystko.

Zdaje się, że nowy dowódca już przyjechał.

Band myślał w duchu, że może ten nowy dowódca poczęstuje ich wszystkich drinkiem, a Culn myślał to samo.

–Jesteście pewni, że zrobiono wszystko dla rannych? – dodał Band troskliwie. Obaj mężczyźni kiwnęli głowami.

W rzeczywistości nie było zbyt wiele do zrobienia dla nich i wszyscy o tym wiedzieli. Ci ranni przeszli już do Innej Krainy. Zażyli pigułki sulfamidowe. Sanitariusz z patrolu zrobił im obu zastrzyki morfiny. Ludzie, którzy pomogli im dojść do punktu opatrunkowego, nie mogli dla nich nic uczynić poza podaniem wody i łyka whisky. Ranny w nogę wciąż jęczał, płakał i zawodził dziecinnym głosem: „Do diabła, to boli! Boli!” Przeprowadziła ich dosyć duża grupa, znacznie liczniejsza, niż było trzeba. Widocznie myśleli, że mogą pokrzepić rannych samą swą liczebnością, a jednocześnie zaspokoić własną ciekawość. Poza tym było to mile widzianą odmianą po nudnym obowiązku sterczenia w dołach na linii. Grupa ta pozostała przy punkcie opatrunkowym przypatrując się, jak lekarze nad nimi pracowali, po czym wyprawiono ich szybko jeepem z zamontowanymi noszami. Żaden nie miał już wrócić i powszechnie uważano, że obaj mieli cholerne szczęście. Ranny w nogę wrzasnął z bólu, kiedy lekarz zdjął bandaż, by ją obejrzeć. Nazywał się Wills. Drugi miał uszkodzoną krtań i nie mógł w ogóle mówić. Małeńki odłamek pocisku z mózdzierza przebił mu szyję na wylot i wyszedł z drugiej strony nie naruszając żadnych

**ważniejszych nerwów czy naczyń krwionośnych. Kiedy odjechali machając słabo rękami z jeepa, nie było już celu tu sterczeć, i cała grupa wróciła razem na pozycję.**

**Jednym z nich był kapral Fife, od niedawna z trzeciego plutonu, a drugim sierżant Doll.**

**Fife nie uczynił nic, by pomóc rannym; nie miał nawet chęci podchodzić blisko, żeby ich dotknąć. Nie mógł jednak się oprzeć, i przyszedł razem z innymi, by obserwować ich z jakąś obrzydliwą fascynacją ze skraju grupy, między głowami tych, którzy się do nich cisnęli. Pamiętał szczegółowo swą własną drogę do punktu opatrunkowego i prześladowało go to zarówno jak fakt, że każdej chwili mógł znowu zostać trafiony i zginąć. Nie mógł także zapomnieć, jak ociekając krwią jechał jeepem na plażę wiedząc przez cały czas, że bez względu na to, jak dobrze wygląda jego rana, nie jest taka poważna, jak miał nadzieję. Fife miewał teraz co noc koszmarne sny o tej jeździe, czasami budził się z krzykiem, a czasem nie, lecz zawsze zlany zimnym potem ze strachu i grozy, której istotą było uczucie, że jest całkowicie osaczony. Osaczony zewsząd, gdziekolwiek się obrócił, osaczony przez patriotycznych lekarzy, osaczony przez długolicnych, ostrzyżonych na jeża pułkowników piechoty, którzy domagali się, żeby był gotów umrzeć, osaczony przez kolonialne ambicje japońskie, osaczony przez eleganckich, uśmiechniętych oficerów personalnych, pewnych swojego prawa wypytywania tylko o innych oficerów, osaczony przez własny rząd i jego nieznanych, bezimiennych funkcjonariuszy, osaczony przez Steina i jego coraz smutniejszą twarz, osaczony przez obłąkanego sierżanta Welsha, który chciał tylko śmiać się z niego. W tych snach wszyscy oni napastowali go wśród szaleńczej kotłowniny wrzasków i oskarżeń, czekając z daleka, przekonani, że udowodni ich słuszność i okaże się tchórzem. Nawet kiedy zapijał się, żeby usnąć w owe noce, po wyjściu ze szpitala, podczas tygodnia „odpoczynku”, nawiedzał go ten koszmar lub jeden z jego wariantów. Niekiedy były to bombowce i obcojęzyczne twarze śmiejące się zeń z luków bombowych, kiedy zrzucały na niego swój ładunek chwytając go w pułapkę odwagi i zabijając. I tak, i tak przegrywał. Naturalnie był trochę wstrząśnięty widząc, jak opatrywano i pielęgnowano obu rannych. A jednak nie mógł nie patrzeć. Najgorszy był w tym element przypadku. Najdoskonalszy, najlepiej wyszkolony żołnierz nie mógł nic zrobić, by się ochronić czy uratować przed elementem przypadku. Odchodząc na wzgórze Fife nie czuł się bezpieczny, nie miał odwagi nawet przemówić. Do kogokolwiek. I naturalnie akurat wtedy nowo awansowany sierżant Doll uznał za stosowne podejść i zagadać do niego.**

**Doll w istocie uważał, że wytłumaczył sobie prawidłowo bolesny wyraz twarzy Fife'a, i właśnie dlatego podszedł. Odkąd został sierżantem, rozkwitło w nim nowe, silne poczucie ojcowskiej odpowiedzialności. Obejmowało głównie jego drużynę, ale mogło rozciągać się na wszystkich w kompanii niższych stopniem od niego. Zanim otrzymał awans, Doll nigdy nie zdawał sobie sprawy, jaką cudowną rzeczą jest pomaganie innym, i ile może dać czystej przyjemności. Kiedy dawniej podoficerowie chcieli mu w czymś dopomóc, nie cierpiał ich i uważał, że się popisują. Teraz**

**jednakże zrozumiał to. Fife był jedynym człowiekiem, który został ranny i wrócił do kompanii, jeśli nie liczyć Storma w kuchni, który nie miał walczyć. Dollowi wydawało się, że potrafi zrozumieć, jakim gwałtownym szokiem musi być odniesienie rany i odkrycie, że nie jest się nienaruszalnym. Jednakże potrzeba tu było w gruncie rzeczy tylko powrotu ufności w siebie, i Doll sądził, że potrafi w tym pomóc. Miał dosyć ufności bodaj za wszystkich. Miał ją, ponieważ nigdy nie myślał o tym, że może być ranny albo zginąć. Weźmy jutrzejszy dzień; jutro o tej porze z pewnością będą w tym tkwili po uszy; a czy rozmyślał na ten temat? Co by to dało?**

**Kiedy go awansowano, Doll poprosił o przeniesienie do drugiego plutonu i o drużynę. Jego były dowódca drużyny w pierwszym plutonie, sierżant Field, został awansowany do sztabowego i mianowany dowódcą trzeciego plutonu, natomiast Doll wyraźnie poprosił, żeby mu nie przydzielano jego dawnej drużyny. Wytłumaczył Bandowi, że jego zdaniem nie wyglądałoby dobrze, gdyby przeskoczył z szeregowca na sierżanta ponad byłym kapralem drużyny, który po sprawiedliwości powinien był dostać (i dostał) ten stopień. Powiedział też, że chce być z resztą „grupy szturmowej” ze Wzgórza 210, z której wszyscy poza Wittem byli teraz podoficerami w drugim plutonie. Wszystko to dobrze brzmiało i Band natychmiast poszedł mu na rękę. Jednakże Doll nie chciał objąć swej dawnej drużyny w gruncie rzeczy dlatego, iż bał się, że jego nową władzę mogą tam kwestionować czy nawet wyśmiać. Teraz mógł się uśmiechać na tę myśl. Ale też był obecnie o wiele bardziej pewny siebie niż przed tygodniem.**

**Było kilka niedobrych momentów, kiedy zaczął sprawować swą nową władzę. Na przykład jednego rana podczas zbiórki, którą mieli co dzień w wolnym tygodniu, kiedy pluton rozwinął się nieporządnie w długi, pojedynczy szereg, Doll stanął przed jego frontem i perorował krzycząc i klnąc, by wyrównali linię, prawie bez skutku, mimo że ludzie podrygiwali, kręcili się i spoglądali po sobie. I tak to trwało, Doll krzyczał coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu jeden z dawnych dowódców drużyny – gość, który był nim przez długi czas, lecz nigdy nie dostał awansu – wystąpił, po prostu zakomenderował „baczość”, po czym dał rozkaz: „Równaj w prawo! Równaj!” W parę sekund szereg był idealnie wyrównany, a cały pluton szczyrzył zęby do Dolla, który stał z rozdziawionymi ustami. Jedynym wyjściem było uśmiechnąć się razem z nimi i zbyć to śmiechem, i Doll tak uczynił. Ale jeszcze w wiele godzin później uszy go paliły, ilekroć o tym pomyślał. Jednakże takie przykre incydenty były nieliczne, zaś jego bohaterskie wyczyny z grupą szturmową pracowały dla niego. Drużyna podziwiała go za to. A robił też inne rzeczy, na przykład brał na siebie więcej czarnej roboty, niż musiał, zamiast przerzucać ją na innych ludzi z drużyny.**

**Było zadziwiające, jak bardzo rozwinęło się w nim uczucie opiekuńczości, z chwilą gdy poznał, że zaakceptowali go jako przywódcę.**

**I teraz, idąc pod górę na pozycję, Doll doświadczał tego samego przemożnego,**

**wszechogarniającego, opiekuńczego uczucia do biednego Fife'a. Za dawnych czasów często gadali ze sobą przed kasynem czy kancelarią.**

**Podszedł z szerokim, zachęcającym uśmiechem.**

**–Paskudne to było, co, Fife? Twardy orzech do zgryzienia dla nich obu.**

**–Aha – zdołał cicho wybąkać Fife. Nie mógł skojarzyć tej heroicznej postaci z Dollem, którego znał za czasów pokoju. Czy była z niego dupa, czy nie, rzeczywiście dokonał tych wszystkich rzeczy.**

**A to go tak bardzo dystansowało od Fife'a, jak gdyby Fife nigdy go dotąd nie znał albo jakby Doll przybył z innej planety.**

**–Naprawdę nie wiem, co było gorsze – rzekł Doll. – Ta rana nogi pewnie chwilowo więcej boli. Ale rana gardła może później spowodować większe kłopoty. Tak czy owak obaj mają już to wszystko za sobą.**

**–Aha – odparł posępnie Fife. – Jeżeli nie umrą na zakażenie. Albo nie zginą podczas nalotu, zanim ich stąd wywiozą.**

**–Hej, gadasz bardzo ponuro! Jasne, zawsze jest taka możliwość, – Doll przerwał. – Jak sobie dajesz radę w drużynie Jenksa?**

**Obaj pamiętali długą, monumentalną walkę na pięści Dolla z Jenksem.**

**–Dobrze – odparł Fife ostrożnie.**

**Doll uniósł jedną brew, co zawsze robił, jeszcze przed wojną.**

**–Bo nie wyglądasz na bardzo zadowolonego.**

**–Jestem dosyć zadowolony, zważywszy okoliczności.**

**–Ten stary Jenks to drętwiak. Przynajmniej zawsze tak uważałem – uśmiechnął się Doll. – Nie jest wyrozumiały.**

**–Chyba jest dosyć dobrym dowódcą drużyny – powiedział Fife ostrożnie. Chciał, żeby Doll sobie poszedł i zostawił go samego.**

**–Więc jest ci dobrze w jego drużynie?**

**–Chyba to obojętne, czy mi dobrze, czy nie.**

**–Bo widzisz – ciągnął Doll – ja nie mam kaprała w mojej drużynie. Zastępuje go starszy szeregowiec. Ale Band go nie awansował z jakiejś przyczyny. Może go nie**



lubi? W każdym razie pomyślałem sobie, że gdybyś nie czuł się dobrze w drużynie Jenksa, mógłbym szepnąć słówko Bandowi, żeby cię przeniósł do mojej.

Jesteśmy teraz dosyć dotarci – już nie zieleni – ale mógłbym z początku ci pomóc i pokazać parę rzeczy. Welsh zrobił ci dosyć paskudny kawał. – Nagle zapragnął objąć Fife'a, ale się powstrzymał. – Oczywiście pewno nie mógł nic poradzić, bo nie wiedział, że wracasz.

Po raz pierwszy oczy Fife'a z lekka zabłysły.

–Mógłbyś to zrobić? – zapytał. – I chciałbyś?

–No, jasne – odrzekł Doll. Był trochę zaskoczony kierunkiem, w jakim prowadziła go ta rozmowa. Ale mógł to zrobić. A teraz miał taki zamiar. – Chcesz, żebym to załatwił?

–Aha – odparł Fife chrapliwie, a oczy zaświeciły mu się nagle z głębi jego udręczonej twarzy. – Tak, chciałbym.

–Okej. Pójdę do niego i... – Doll zawahał się. Już miał dodać: „a później przyjdę i powtórzę ci, co powiedział”. Ale to brzmiałoby zbyt niepewnie, tak jakby musiał prosić Banda. Zamiast tego więc dokończył: -...i potem przyjdę po ciebie. – Klepnął Fife'a po plecach.

Dotarli już do szczytu, gdzie reszta kompanii, siedząc w swych dołach lub przy nich, czekała na wiadomości z punktu opatrunkowego. Fife popatrzał za Dollem odchodzącym w kierunku stanowiska dowodzenia, a potem obrócił się ku trzeciemu plutonowi i swojej drużynie – w której, jak sobie przypomniał, był nadal zastępcą dowódcy. Nowy, ale głęboko zakorzeniony cynizm zaatakował go i kazał nie mieć za dużej nadziei. Jednakże stłumił go, przynajmniej trochę. Byłoby wspaniale mieć kogoś, kto by o niego dbał i opiekował się nim, kogoś, komu mógłby zaufać jako przyjacielowi. I nie miałby nic przeciwko dostawaniu rozkazów od kogoś takiego. A Doll naprawdę zrobił te wszystkie rzeczy. Znał się dobrze na walce piechoty i mógł nauczyć Fife'a jej tajników. Ale jeszcze ważniejsze było mieć kogoś, na kim mógłby polegać, kto byłby mentorem i opiekunem, a także przyjacielem. Fife nagle zastanowił się, co Doll by powiedział, gdyby mu było wiadomo,, co się zdarzyło między nim a małym Beadem. Wzdrygnął się. Ano, nigdy nie powie o tym nikomu. Nikomu na świecie. Nawet własnej żonie, jeśli się kiedyś ożeni.

Zbliżał się zmierzch. Fife zasiadł na krawędzi swego dołu i czekał, żeby Doll wrócił i zabrał go z sobą. Naturalnie nie zwierzył się nikomu. Był przesądny i bał się, żeby tego nie zapeszyć, a byłoby też zbyt kłopotliwe, gdyby nic z tego nie wyszło. Nie opodal milczący, zamknięty w sobie Jenks, pilnie, z nieprzeniknioną twarzą, czyścił swój karabin. Fife siedział nadal. Kiedy zmierzch przeszedł w zupełną, czarną noc,

rozjaśnioną tylko dalekim światłem tropikalnych gwiazd, wiedział już, że Doll nie przyjdzie. Nikt nie śmiał opuszczać swego dołu po zapadnięciu ciemności. Ten nowy, głęboko zakorzeniony cynizm powrócił i sprawił, że Fife uśmiechnął się gorzko w mroku. Kto wie, dlaczego? Może Band odmówił?

A może Doll w ogóle nie poszedł do Banda?

Fife usadowił się na błotnistym dnie swego dołu. W jakiś sposób powinien być zadowolony. Drugi pluton dostawał teraz najcięższe zadania w kompanii. Jutro mieli iść pierwsi do natarcia. Czy chciał wziąć w tym udział? Po prostu nie doceniał gadatliwego Jenksa. Nie spał wiele. Jedyny raz, kiedy się zdrzemnął, koszmar obudził go z krzykiem, który Fife odruchowo zdławił, jeszcze zanim się w pełni ocknął.

Fife nie był jedynym, który spał mało. Wzdłuż całej linii wielu innych czuło ten sam ucisk w żołądku, to samo nerwowe mrowienie w jądrach i noc upływała na cichych rozmowach między dołami, a ludzie ostrożnie palili papierosy osłaniając je dłońmi. Wiedzieli już, że zawsze tak jest w noc przed atakiem. Chudy Culn nie mógł się powstrzymać i opowiedział o swoim małym starciu z nowym porucznikiem Payne'em i było to jednym z bardziej docenionych tematów. Chudy zacytował własne powiedzenie, że mu nie dają płacy od czucia, tak jak lotnikom od latania i powtarzano je od dołu do dołu z pełnym uznaniem przychaniem, aż wreszcie cała kompania C dowiedziała się o tym. Wziąwszy wszystko pod uwagę była to całkiem dobra filozofia jak na ten rodzaj życia i wszyscy, którzy to usłyszeli, od razu postanowili ją przyjąć. Inne powiedzenie Culna także natychmiast podchwycono: „Cokolwiek mówią, nie jestem kółkiem w maszynie”. Była to myśl, a nie głośnie oświadczenie do Payne'a, ale wyrażała to, co wszyscy dobitnie czuli i w co potrzebowali wierzyć. Przynależeli to sobie, zastosowali do własnej, konkretnej sytuacji i każdy w to uwierzył. Nie byli kółkami w maszynie bez względu na to, co ktokolwiek mówił. Tylko jeden człowiek wejrzał w to głębiej. Ale i on nie patrzył daleko, ponieważ miał własne kłopoty.

Sierżant John Bell miał znowu ciężki atak malarii i jego też oczekiwał koszmar. Ten koszmar nie ponawiał się tak jak u Fife'a.

Nie miał go nigdy przedtem. A kiedy minął, Bell miał nadzieję, że nie nawiedzi go więcej. Malaria uderzyła weń na krótko przed zmierzchem. Rozwijała się powoli przez jakąś godzinę. Ale kiedy dreszcze, poty i gorączka zaczęły go chwytać w regularnych niczym w zegarku odstępach i z ciągle wzrastającą siłą, jął rozmyślać o żonie i jej kochanku. I zastanawiać się, co to za człowiek. Był bowiem pewny, że żona ma kochanka. Od tamtego dnia w trawiastej niecce nad bunkrem, kiedy zaczęli się czołgać. W paczce jej ciepłych, kochających listów, które otrzymał podczas wolnego tygodnia, nie było niczego, co skłaniałoby go do myślenia inaczej. Owszem, były ciepłe. Jednakże jego głód dopatrzenia się między wierszami tych listów jej seksualnego głodu pozostał całkowicie nie zaspokojony.

**Ale co to za człowiek? Cywil? Czy mogła być z jakimś miejscowym facetem, którego oboje znali przez całe życie? Może wojskowy? Zarówno Wright, jak Patterson Fields przebywali pod Dayton.**

**Oficer? Szeregowiec? W Dayton musiało roić się od lotników, wszystkich wygłodniałych. Z pewnością musiał być wrażliwym typem, który mógł szczerze jej współczuć, kiedy trapiła się tym, co wyrządza Johnowi. Ani się spostrzegł, jak to jedno słowo J – o – h – n zaczęło rozbrzmiewać echem po długich, wysokich, pustych korytarzach nieba, a on się znalazł w szpitalnej sali porodowej. Nie potrafił powiedzieć, skąd wie, że jest to sala porodowa. Może z filmów. Ale poznawał wiele przedmiotów. Był tam człowiek w białym kitlu, białej czapce i masce z gazy. A potem wtoczyli Marty na wózku. „Musi pani przeć” – powiedział doktor łagodnym, wyrozumiałym głosem jak do dziecka. „Ja prę! – odrzekła Marty dzielnym, dziecinnym głosem. – Prę! Próbuję!” I tak było. Jej odbytnica wylazła na wierzch, tak że wyglądała jak pączek. Bell uwielbiał Marty. „Ale tylko wtedy, kiedy uderza panią ból” – uśmiechnął się doktor. Był właściwie znudzony. Potem obrócił się do Bella, z rękami podniesionymi w górę od łokci, z palcami w gumowych rękawiczkach rozcapierzonymi koło twarzy, i powiedział przez gazę: „Uśpimy ją. Ma pewne trudności i będę musiał dziecko wyciągnąć. – Bell widział, że uśmiecha się pod maską. – Nie ma się czym niepokoić”. Odwrócił się do stołu, gdzie zamocowano jej nogi w strzemionach, a ręce do dołu, i gdzie stał teraz przy niej anestezjolog. Bell usiadł na zydlu o kilka stóp za doktorem, który siedział na swoim. Rzecz dziwna, co najmniej połowa jego umysłu była zaprzątnięta tym, by pokazać doktorowi, że nie zemdleje. Wiedział też, że śni.**

**Głowa ukazała się pierwsza, twarzą do dołu. Doktor zręcznie odwrócił ją i przetarł nozdrza watą. Następnie wydobył ramiona przekręciwszy dziecko w bok. Kiedy wynurzyło się do pasa, zaczęło kwilić słabym głosem i doktor otarł je znowu, i właśnie wtedy Bell uprzytomnił sobie, że jest czarne. Czarne jak węgiel. Doktor dalej pracował z zadowoleniem, wyciągał biodra, młoda pielęgniarka z podwiązanymi włosami uśmiechała się na widok nowego życia, a Bell siedział osłupiały ze zgrozy, zakłopotany, nie wierząc własnym oczom, lecz dziwnie uległy, i patrzył, jak cały czarny noworodek wydestaje się lubieżnie z pięknego, pięknie białego, ogolonego krocza jego żony.**

**Kontrast tych kolorów był dziwnie wspaniały, dziwnie przyjemny, nagle bardzo zmysłowy. I bardziej tępo bolesny niż wszystko, co Bell kiedykolwiek czuł w życiu.**

**Teraz się skończy – pomyślał. – Teraz się skończy i my obaj, tamten i ten ja, będziemy mogli się zbudzić. Ale się nie skończyło.**

**I musiał tam pozostać patrząc i daremnie usiłując się zbudzić. Jak powinien postąpić? Bell spojrzał na dziecko, które wciąż szamotało się bezsilnie, próbując uniknąć wyjścia na ten zimny, zimny świat, gdzie miało samo sobie radzić. Kiedy**

znów podniósł wzrok, doktor i pielęgniarka patrzyli nań wyczekująco. Marty, wciąż uśpiona, wciąż nieprzytomna, leżała na stole. A zatem nie mogła jeszcze wiedzieć.

Czy coś podejrzewała? Doktor znów zaczął przy niej pracować kończąc swoją robotę. Pielęgniarka wciąż uśmiechała się do Bella. Anestezjolog także uśmiechał się do niego zza swoich buteleczek i przyrządów. Pojawiło się nowe życie. Co należało zrobić, powiedzieć?

Czy nikt z nich nie zauważył, że dziecko jest czarne? Czy może było im to obojętne? Czy on sam powinien udawać? Najgorsze było to, że czuł się podniecony seksualnie, seksualnie rozgrzany. I bardzo speszony. Ale kiedy spojrział ponownie, zobaczył, że dziecko nie jest murzyńskie, tylko japońskie. Mógł to rozpoznać, bo miało na główce maleńką zadartą furażerkę armii cesarskiej, z maleńką, dziecinną, żelazną gwiazdką.

Obudził się z donośnym krzykiem, którego nie nauczył się dławić tak jak Fife, ponieważ nie był przyzwyczajony do koszmarów.

–Nic nie widzę! Nic nie widzę! – wrzasnął w panice przebudzony wartownik z sąsiedniego dołu. – Nic nie widzę!

–Nie strzelaj! – odkrzyknął nieco dalej Beck. – Tylko aby nie strzelaj! Zaczekaj! Niech nikt nie strzela!

–To ja, to ja – wybąkał do nich Bell, czując, że uszy ma rozpalone do czerwoności. Był zlany lodowatym potem i miał teraz wściekle wysoką gorączkę. Po chwili potarł twarz dłonią. – Miałem koszmar.

–To, do jasnej cholery, zachowaj go dla siebie! – zawołał wartownik. – O mało się nie zesrałem ze strachu.

Bell mamrotał niedosłyszalnie, osunął się jeszcze trochę niżej na śliskie dno dołu i popróbowował się opanować. Każda kość w jego ciele bolała potwornie i z osobna. W głowie miał takie uczucie, jak gdyby lada chwila mogła się zagotować przepływająca przez nią krew. Ręce tak mu osłabły, że za nic w świecie nie mógłby zacisnąć pięści, a przed oczami tańczyły jak w delirium rozpalone geometryczne figury. Wszystko sprawiała gorączka. Ale tamto drugie pozostało również, wraz z grozą, którą przyniosło. Bezsilnie, bo tylko tak mógł myśleć jego rozgrzany mózg, Bell próbował to przeanalizować. Japończyka mógł zrozumieć dosyć łatwo. Jasne. Ale dlaczego czarne dziecko? Ani on, ani Marty nie mieli nigdy jakichkolwiek przesądów rasowych czy poglądów segregacyjnych.

Szukając w swym rozgorączkowanym mózgu Bell przypomniał sobie coś, co Marty powiedziała mu kiedyś, jeszcze przed ślubem.

Szli przez teren uczelni w Columbus, wracając z randki w mieszkaniu

zaprzyjaźnionej pary małżeńskiej, która pozwalała im korzystać z niego dla uprawiania miłości. Była wczesna jesień. Liście żółkły szybko i zaczynały właśnie opadać. Idąc trzymali się za ręce. Marty obróciła się do niego z kokieteryjnym uśmiechem, lekko zarumieniona z powodu swego wyznania, i rzekła nagle: „Strasznie bym chciała mieć czarne dziecko. Tylko raz. Kiedyś”. To powiedzenie wstrząsnęło Bellem. Intuicyjnie zrozumiał, co Marty miała na myśli, i dlaczego to powiedziała. Mimo że nie potrafiłby ująć tego w słowa, tak samo jak ona. Był to po pierwsze policzek wymierzony w społeczny układ, którego oboje nie cierpieli. Było też komplementem dla niego, że wtajemniczała go w tę swoją fantazję. Ale było w tym coś więcej. I jedynym określeniem, jakie potrafił znaleźć, była „estetyka seksualna”. Cieszył się, że mu to powiedziała, a jednocześnie był na nią wściekły. Ścisnął jej rękę i odrzekł: „Ano, to będziesz musiała pozwolić mi przyjrzeć się jego poczęciu”. I ona też intuicyjnie zrozumiała, o co mu chodziło. Poczerwieniała mocno i odparła: „Ale tak się składa, że jestem zakochana w tobie”. I zawrócili w miejscu i poszli z powrotem na dywan w salonie tego mieszkania, i nie udali się nigdzie dalej, choć przez to oboje opuścili wykład.

Pamiętał, że pobrali się tego samego roku. Czy następnego? Tak, to było w następnym roku.

Bell poprawił się w mokrym dole płonąc z gorączki. Czy ta dawna rozmowa, zagubiona i zapomniana w worku pamięci, wróciła teraz po to, żeby go dręczyć? Ale dlaczego w tej chwili, a nie przedtem? Jego zamglone, przymknięte oczy wpatrywały się w krawędź dołu, tylko trochę mniej ciemną od dookolnej czerni. Zapragnął zrobić coś, cokolwiek, byle nie zasnąć i nie ryzykować, że znowu mu się to przyśni.

To wszystko było dla niego tak wyraźne, tak realne, jak gdyby zdarzyło się naprawdę, rzeczywiście, zaledwie przed dziesięcioma minutami. Ale dlaczego podniecił się seksualnie? Dlaczego? Coś lekko musnęło jego umysł i pochwycił to. Lubieżna zmysłowość faktu, że się wie, że jest się pewnym, że ma się dowód. Może dlatego tak wielu mężczyzn, myśląc o własnych żonach, nienawidzi innych ras. Bo nikt nie pragnie wiedzieć, że przygotowano mu rogi. Każdy woli bolesną wątpliwość od zmysłowej rozkoszy pewności. Ale jeżeli dziecko ma inny kolor skóry, to w takim razie... Bell poczuł, że osuwa się w koszmarny sen na jawie, w którym ogląda poczęcie czarnego dziecka, i pohamował się z przerażeniem w samą porę.

I stąd dowiedział się czegoś jeszcze. Albo tak mu się wydało; za to, czego mógł pragnąć w swojej masochistycznej fantazji, za ten rozkoszny ból pewności, mógł w rzeczywistości prawie niechybnie ją zabić, po prostu dlatego, że nigdy nie potrafiłby przyznać się samemu sobie do tego pożądanego, które czuł – nigdy, nigdy. Nagle zaczął się histerycznie śmiać w gorączce, ale starannie tłumił ten chichot. Kutasy i picze! Kutasy i picze! Kogo obchodzi, kto rżnie się z kim? Kiedy pohamował śmiech, stwierdził ku swemu zaskoczeniu, że płacze. Czuł, że malaria zaczyna ustępować.

Naturalnie był rad, kiedy sąsiad z dołu obok powtórzył mu historię o Chudym Culnie i Paynie. Rozmowa nie tylko powstrzymywała go od zaśnięcia i nawrotu tego koszmaru, ale pozwalała mu nie myśleć. Ta filozofia? Tak, fajna. Filozofia Chudego Culna polegająca na tym, żeby nic nie czuć bez płacy od czucia. Bell parsknął tak jak inni i też przyswoił ją sobie. Jednakże kiedy przytoczono mu drugie powiedzenie Culna. jego umysł buntował się i sprzeciwił. „Tak, tak, oczywiście” – powiedział automatycznie. Nie być kółkami w maszynie?

Kółkami w maszynie? No to za co oni siebie mają? Ich pragnienie i potrzeba wierzenia w to były wzruszające i skłoniły go do ponownego zbadania tej filozofii. A kiedy to zrobił, przekonał się, że widzi ją zupełnie inaczej. Nie czuć? Nie czuć? Żadnych uczuć bez płacy od czucia? O nic nie dbać bez płacy od dbania? Co się z nimi dzieje? I z nim samym? Świetlista tarcza jego zegarka wskazywała pięć minut po trzeciej. Więc jeszcze dwie godziny.

Artyleria zaczęła strzelać prawie dokładnie o świcie. Tym razem trwało to przeszło dwie godziny. Sto piątki biły po całym Morskim Ślimaku i bezpośrednio otaczającej go dżungli. Sto pięćdziesiątki piątki zajęły się dużo większym masywem wzgórz Wielkiej Gotowanej Krewetki, który był dalej, stąd niewidoczny. Pociski sto pięćdziesiątek piątek przelatowały szumiąc wysoko w górze, z niewidocznych dział do niewidocznych celów. Na Morskim Ślimaku przerażone, żalosne ptaki zrywały się z wrzaskiem białymi chmurami za każdym wybuchem sto piątek w dżungli. Żołnierze pierwszego batalionu stali na otwartym wzgórzu i przyglądali się temu widowisku, niechętnie czekając na rozkaz wyruszenia. Kiedy przyszedł, podążyli tą samą trasą co przedtem patrol z kompanią C – jak – Charlie na czele (wskutek prośby Banda) i drugim plutonem jako szpicą.

W dżungli była jeszcze prawie czarna noc. Dopiero kiedy dotarli do ostrzeliwanego obszaru wokół Morskiego Ślimaka, przeniknęło do nich dość światła, aby coś widzieć. Wczorajsze poszerzanie ścieżki przez pierwszy pluton nic nie dało. Nie mieli teraz czasu, by się rozciągać w pojedynczy szereg. Ludzie przedzierali się przez gąszcz po obu stronach ścieżki, potykając się o pnącze i korzenie, z podrapanymi i pokaleczonymi twarzami, rąbiąc maczetami, gdy było trzeba. Po stu jardach byli tak wyczerpani, że musieli zatrzymać się i odsapnąć.

Kiedy dotarli do początku ostrzeliwanego terenu, dostali ogień po raz pierwszy. Pozostało im teraz trochę mniej niż sto jardów do przejścia. Było zdumiewające, jak mało naruszył dżunglę ogień zaporowy artylerii. Było trochę widniej, mogli sięgnąć wzrokiem trochę dalej przed siebie i leżało trochę świeżo powalonych drzew. To wszystko. Sierżant Beck wyznaczył drużynę Dolla na szpicę drugiego plutonu i Doll natychmiast postanowił, że sam pójdzie na jej czele. To właśnie on ich zatrzymał, kiedy zobaczył pierwsze ślady ostrzału.

Doll rzeczywiście nie poszedł poprzedniego wieczora do porucznika Banda w

sprawie Fife'a. W drodze do stanowiska dowodzenia nagle rozzłościł się na Fife'a za to, że go sprowokował do zaproponowania mu miejsca w drużynie. Kiedy Doll doń podchodził, nie miał zamiaru tego zrobić, ale Fife jakoś podstępnie go nakłonił. A Doll najbardziej nie lubił, kiedy go do czegoś sprowokowano czy podstępnie nakłoniono. Wolał uczciwe podejście. Rozgniewany, zatrzymał się na chwilę, żeby pogadać z Chudym Culnem. Oczywiście nie wspomniał o Fifie. Kiedy odchodził od dołu Culna, był już zdecydowany.

I nadal czuł to samo dzisiaj, kiedy szedł na czele swej drużyny z dwoma granatami przyczepionymi do pasa. Przecież to nie byłoby w porządku wobec jego zastępcy, starszego szeregowca, prawda? Drużyna Dolla była pierwsza we wszystkim. Dlatego brał na siebie więcej ciężkiej roboty, niż musiał, jak choćby maszerowanie dzisiaj na czele swojej szpicy, i chciał, żeby o tym wiedziano. I teraz, gdy się obrócił do idącego za nim żołnierza, by podał dalej do Becka, że chyba zbliżają się do celu, uśmiechnął się doń uspokajająco. Właśnie w tym momencie karabin maszynowy gdzieś przed nimi otworzył terkotliwie ogień.

Jak jeden mąż, pluton dał nura ze ścieżki między liście, część na jedną, a część na drugą stronę. Sam Doll, który wpadł na pień drzewa skacząc na oślep przez zarośla, wylądował prosto na innym żołnierzu, młodym szeregowcu z jego własnej drużyny, nazwiskiem Carol Arbre. Leżąc już na brzuchu, kiedy Doll, na wpół ogłuszony, odbił się od drzewa, Arbre nie przypuszczał, że ktoś mu się zwali na plecy, a oto Doll, z kroczem przywartym do miejsca złączenia mocno ściśniętych półdupków Arbre'a, legł na nim w klasycznej pozycji pederasty. Arbre, młody człowiek o raczej dziewczęcej budowie i dziewczęcym wyglądzie, którego stale klepano po zadku żartem czy może nie żartem, zmuszony był przez całą swoją wojskową karierę wściekle protestować przeciwko takim niegodnym praktykom. Ze względu na tę jego dziewczęcą budowę ludzie nie mogli uwierzyć, że nie ma homoseksualnych skłonności. Teraz obrócił głowę, zerknął przez ramię na Dolla, zaczerwieniony z zakłopotania, i wściekle marszcząc brwi, powiedział zdławionym głosem:

–Złaż zaraz ze mnie!

Doll, jeszcze trochę ogłuszony po uderzeniu głową o drzewo, potrzebował paru sekund, żeby pozbierać rozproszone myśli. Jednocześnie, chociaż oszołomiony, był świadom, że jego krocze przywiera do jeszcze mocniej teraz ściśniętych półdupków leżącego pod nim Arbre'a. Potrząsnąwszy kilka razy głową odtoczył się pełnym obrotem w prawo podpierając się kolbą karabinu, aby nie nabrać błota do lufy, a jednocześnie mieć nagotowaną broń przed sobą. I właśnie wtedy usłyszeli to zbyt szybkie, morderczo miękkie szu – szu – szu, które znali tak dobrze, i dokoła oraz między nimi zaczęły spadać i wybuchać pociski z moździerzy. Jednakże mimo moździerzy w Dollu trwało wspomnienie jego krocza przyciśniętego do – prawdę mówiąc – nader słodkich, dziewczęcych pośladków Carrie (ma się rozumieć, przezywali go Carrie) Arbre'a.

Pociski nadlatywały ciągle. Doll usłyszał krzyki paru ludzi gdzieś w tyle. Jeszcze bez tchu i trochę otumaniony po zderzeniu z drzewem usiłował pomyśleć, co robić. Z zadowoleniem spostrzegł, uprzytomnił sobie nagle, że to odrętwienie, które czuł w ostatnich stadiach wielkiej bitwy w zeszłym tygodniu, powraca mu teraz szybko – w istocie rosło niepostrzeżenie, odkąd wyruszyli ze Wzgórza 210. Sprawiało, że umysł miał czysty i chłodny, nasycony radosną krwiożerczością. Rozchodziło się po nim całym tworząc zwartą, nieprzeniknioną warstwę pomiędzy nim a dławiącym strachem, który mu nie pozwalał przełknąć śliny, kiedy przywierał do ziemi. Nie potrafił dokładnie rozeznaczyć, jak daleko jest ten cekaem (do którego przyłączył się teraz drugi gdzieś indziej). Zastanawiał się, czy warto podpełznąć do niego z jednym czy dwoma ludźmi oraz kilkoma granatami i zobaczyć, czy zdołają dotrzeć dość blisko, aby je rzucić. Z tej zadumy wyrwało go energiczne pociąganie za lewą stopę. Obejrzał się. Sierżant Beck przyczołgał się z końca plutonu.

Kiedy Doll zatrzymał kolumnę, Beck natychmiast sprawdził kompas pozwalając swojemu nowemu porucznikowi Tommsowi udawać, że w czymś pomaga; ostatecznie to go nic nie kosztowało. Mocno niedokładnej mapie, którą mieli, nie można było zbyt ufać. Wysłuchali wczorajszych opisów Culna i Payne'a, ale Beck zawsze instynktownie odnosił się z podejrzliwością do objaśnień innych. Wolał swoje własne dwoje oczu i już teraz (zanim mógł doń dotrzeć meldunek od Dolla, czemu przeszkodził cekaem) był prawie pewny, że są całkiem blisko Morskiego Ślimaka. Kiedy zaczęły spadać pociski z moździerzy, postanowił iść naprzód, by się przekonać, dlaczego Doll ich zatrzymał jeszcze przed cekaemem.

Beck, podobnie jak Doll, stwierdził ze zdziwieniem, że ta poprzednia, dziwna drętwota już czekała i że go szybko ogarnęła pozostawiając temu, co w nim było najlepsze, swobodę działania. Dobrze było to wiedzieć. Widocznie przychodziła prędkiej w miarę praktyki. Żadnych uczuć bez Płacy od Czucia! On także odczuwał morderczą krwiożerczość. Niech płacą – oto co mówiła mu jego głowa. Jeżeli tylko się da. Jeżeli można ich zmusić. Wszyscy wiedzieli, że moździerze strzelają skądś na Wielkiej Gotowanej Krewetce, i Beck, pełzną naprzód, zatrzymał się przy żołnierzu z walki – talkie, którego Band mu roztropnie przydzielił, i kazał nadać prośbę o skierowanie ognia na Krewetkę – Powiedz im, żeby walili wszystkim, kurwa, co mają – warknął. – Srać na koszt amunicji. Powiedz, żeby pokryli cały ten cholerny teren! Żeby zamknęli mordy moździerzom!

Za sobą Beck usłyszał krzyk jakiegoś człowieka poprzez wykwitający huk pocisku z moździerza. Był to nie tyle krzyk, co gardłowe, zaskoczone, rozwścieczone „a – a – a – ach!” Beck ruszył dalej potykając się o leżących ludzi ze swego plutonu i o dżunglowe pnącze. Ano, więc to jest to. Teraz na pewno się zacznie. Z przyjemnością zauważył, że nie jest przerażony – zaledwie trochę spietryny. Co to za pieprzona, zasrana wojna! Musiał dostać pluton, kiedy ta cholerna wojna się zaczęła. Dawniej pluton to był sam cymes.



**Gdy tylko Doll obejrzał się czując pociąganie za nogę, Beck próbował uśmiechnąć się do niego.**

**–Jaka jest sytuacja?**

**Wszyscy, włącznie z nim samym, mieli ściągnięte, pobrużdżone twarze. Każdy miał dziś zmarszczki koło oczu.**

**Doll zdawał się zaskoczony, że go widzi.**

**–Nie wiem. Nie myślę, żeby coś było.**

**–Dlaczego nas zatrzymałeś?**

**Doll wskazał teren. – Wchodziliśmy na ostrzeliwany odcinek, a tu zaczyna się robić bardziej stromo.**

**–Chyba miałeś rację. Pewnie uratowałeś paru gości od tego cekaemu. – Przerwał. – No, to co teraz robimy, cholera? Dlaczego Band tu nie przychodzi?**

**Beck bardziej myślał na głos do siebie, niż mówił do Dolla, i Doll zawahał się, nim odpowiedział.**

**–Pieprzyć Banda! Słuchaj Milly – rzekł korzystając z prerogatywy podoficerów zwracania się poufale do siebie. Beck miał na imię Millard. – Myślę, że możemy rozwalić ten cekaem. Widzisz jak wysoko strzela nad naszymi głowami?**

**Beck nie miał za złe tej poufalej formy. Zerknął pod górę przez gęstniejący dym.**

**–Myślisz, że dacie radę?**

**–Uważam, że tutaj jesteśmy osłonięci. Jeżeli wezmę dwóch chłopaków z czterema granatami na twarz, chyba będziemy mogli podpełznąć, rozwalić go i pójść dalej. – Skinął ręką. – Wydostać się z tego gówna. – Kiedy wybuchały pociski z moździerzy, jego głos stawał się nadnaturalnie donośny.**

**Milly Beck się zastanowił. Band powinien być już nadejść.**

**–Okej. Ale zaczekaj, aż podprowadzę pluton. Wybierz dwóch chłopaków. Drużyny powinny już tu być bez mojego rozkazu.**

**Obrócił głowę i zaczął ryczeć machając prawą ręką. Był pewien, że nikt nie może go zobaczyć. Ale to mu dawało lepsze samopoczucie.**

**–Drużyna Bella w prawo! Drużyna Dale'a w lewo! Utworzyć linię, utworzyć linię! Wy, dupy jedne! Ładować i repetować! Gotować się do krycia ogniem!**

Za nimi ktoś inny krzyknął z zaskoczenia i bólu, kiedy został trafiony. Podczas gdy Beck dalej ryczał, Doll, cały rozpromieniony, zerknął na swoją drużynę. Krwiożerczość narastała do tępego szumu krwi w uszach, który niemal zagłuszał nawet mózdzierze.

–Ty – powiedział wskazując palcem. – I ty. – A potem uprzytomnił sobie, że tym drugim, którego wybrał, jest sarnooki Arbre. – Nie, nie ty – rzekł i wskazał innego. Robił to instynktownie, bez namysłu, lecz mimo to był sobą trochę zaskoczony. Arbre był tak samo dobrym żołnierzem jak każdy inny. Potrafił dać sobie radę.

–Niech każdy weźmie po pięć granatów.

Arbre patrzył na niego dziwnie. Doll uśmiechnął się doń. Po prawej i lewej podsuwały się obie drużyny. Czwarta, drużyna Thorne'a, szła w odwodzie.

–W porządku? – zapytał Doll.

–W porządku – odparł chrapliwie Beck. – Wypierdalajmy stąd.

Doll nie był naprawdę pewny, że są osłonięci. Celowniczy kaemu mógł przecież zniżyć lufę, gdyby zechciał. Jednakże Doll zaryzykował i poderwał ludzi na nogi, zamiast się czołgać. Ale nie uszli nawet dziesięciu jardów, kiedy powyżej rozległy się krzyki, wybuchy kilku granatów, i karabin maszynowy zamilkł. A potem zawołały do nich po angielsku głosy z niewątpliwym amerykańskim akcentem:

–Przerwać ogień! Przerwać ogień! Tu trzeci batalion! Przerwać ogień, drugi batalion!

Doll poczuł się nagle tak zawiedziony, że przygryzł wargi, aż łzy mu napłynęły do oczu. Już cały się spiął. A teraz nic. Wezbrała w nim nie wyzwolona adrenalina i emocja, i poczuł pustkę w głowie.

W kilka sekund później umilkły mózdzierze. Zapadła niepojęta cisza, śmiertelna, niesamowita, jeszcze niemożliwa do ogarnięcia umysłem. Było po wszystkim. Przynajmniej na razie. Ludzie usiłowali oswoić się z tą ciszą i z myślą, że jeszcze przez jakiś czas nie zginą.

Było zaskakująco mało krzyków i wrzasków rannych, zaledwie trochę cichych jęków. Między rannymi krążyli dwaj nowi kompanijni sanitariusze, którzy nie byli tak lubiani jak obaj już nieżyjący ich poprzednicy, ale zyskiwali sobie uznanie. Wszyscy tu stają się starymi zawodowcami – pomyślał sierżant Beck nasłuchując z dumą.

–No, to idziemy tam? – zapytał głośno. Wstał. Inni wokół niego też się podnieśli. Wtedy ukazał się porucznik George Band klucząc między tymi, co jeszcze nie powstali.

**–Jaka sytuacja, Beck? – zapytał.**

**–Trzeci batalion zdaje się opanował Morskiego Ślimaka, panie poruczniku.**

**— Dlaczego przestały strzelać moździerze?**

**–Nie wiem na pewno, panie poruczniku. Może przerwała im artyleria. Prosiłem przez radio o ogień.**

**–Dobra robota. W porządku, chodźmy popatrzeć. – Band poprawił swoje okulary w stalowej oprawie i ruszył nie oglądając się za siebie. Zmierzał do Dolla i jego dwóch ludzi, którzy stali ze wszystkimi nie użytymi granatami w rękach albo u pasa. Beck patrzył za nimi i miał ochotę zakląć, ale Band o tym nie wiedział. – Wyglądacie jak choinki! – zawołał do Dolla żartobliwie. – Dokąd idziecie, u licha, żeście się tak wystroili?**

**Był to błąd, błąd od początku do końca. Może nawet poważny. Ale Band nie zdawał sobie z tego sprawy. Minął Dolla i pobrnął dalej pod górę przedzierając się przez pomażdżony pociskami artyleryjskimi podszyt. Z wolna, po jednym, po dwóch, ludzie ruszyli za nim, z wyjątkiem Becka, który został jeszcze chwilę, żeby obejrzeć swych czterech rannych – czego może by nie uczynił i nie zadał sobie tego trudu, gdyby Band nie poszedł dalej.**

**Dlaczego Band tak postąpił? Nikt nie wiedział. Nikt też właściwie nie wiedział, dlaczego to był błąd. Ktoś inny mógłby uczynić i powiedzieć te same rzeczy co Band i nie byłyby błędem. Ale w przypadku Banda były. Wszyscy obecni, którzy go widzieli i słyszeli, odnotowali to sobie pieczołowicie w swych małych, osobistych notatnikach myślowych, które równie pieczołowicie przechowywali w pamięci. A ci, którzy tego nie widzieli ani nie słyszeli, zostali powiadomieni przez innych i odnotowali to w swoich notatnikach równie pieczołowicie.**

**Nie zapomnieli tak szybko kapitana Jamesa Cioty Steina, którego z kolei uheroizowali ponad wszelką rozsądną miarę; uważali, że Stein był za nimi. A Band nic o tym nie wiedział, nawet się nie domyślał.**

**George Band czuł się wspaniale podczas ostrzału z moździerzy – mniej więcej tak samo jak Doll. Leżał z większością kompanii poza zasięgiem pocisków i chciało mu się płakać, kiedy ranni krzyczeli.**

**Nie poszedł naprzód w ogień, bo jego miejsce było w tyle, skąd mógł kierować innymi plutonami, gdyby się okazały potrzebne. Naprawdę chciał być ze swymi ludźmi, ale wiedział, że to nie jest jego zadaniem. Nie wykluczało natomiast dzielania tych emocji, których, jak wiedział, Beck, Doll i inni musieli doświadczać.**

**Band czuł się też wspaniale poprzedniego wieczora w towarzystwie nowego**

dowódcy batalionu z innego pułku. W istocie jego zdolność do wspaniałego samopoczucia wzrosła kolosalnie, nad wszelką miarę, wraz z prostym, zwykłym aktem objęcia dowództwa kompanii. Zawsze wiedział, że je otrzyma, i ubiegłego wieczora, kiedy Payne i Culln złożyli raport, kiedy poczęstowano ich whisky i odprawiono, nowy pułkownik poprosił go, żeby został jeszcze chwilę. Nowy pułkownik miał ze sobą korespondenta przez cały poprzedni dzień i wyciągnął od niego dwie butelki whisky, z których jedną – Grand MacNeisha!

–otworzył teraz tylko dla nich dwóch. Łyknęli sobie obaj kilka razy. Nowy pułkownik był bardzo zadowolony z wyników patrolu, a zwłaszcza z tego, że Culln dobrowolnie został pod moździerzami, aby ostrzelać z karabinów i automatów nieprzyjacielski cekaem na Morskim Ślimaku.

–To im da trochę do myślenia, jeżeli są mądrzy – uśmiechnął się. – To znaczy, jeżeli mają jakieś pojęcie o taktyce, wycofają się.

–Uśmiechnął się znowu. – Bo to może być dla nich tylko placówka. Ich główną linią obronną musi być masyw wzgórz Wielkiej Gotowanej Krewetki.

Obaj z Bandem łyknęli sobie znowu jednego szybkiego. Wtedy to Band zaproponował, żeby jego kompania poprowadziła jutro batalion. Nowy pułkownik zgodził się z uśmiechem i kiwnął z uznaniem swą dużą, siwiejącą, przystojną głową; słyszał już o C – jak – Charlie.

Była to najlepsza whisky, jaką Band miał w ustach nie wiadomo odkąd. Wrócił do kompanii, kiedy zupełnie się ściemniło, kontent i uspokojony. Band zawsze wiedział, że dostanie dowodzenie. I kiedy układał się na noc w małym japońskim szałasie, rozmyślał o tym.

Chciał zrobić dla ludzi to, czego Stein nigdy nie mógłby zrobić – ponieważ ich kochał. Kochał ich naprawdę. Nie sentymentalnie, jak Stein, ale z pełną, tragiczną świadomością tego, jakie dobrowolne ofiary będą wymagane od nich, a także od niego. Po prostu nie można było traktować ich jako równych sobie, tak jak próbował Stein.

Musiał to być surowy, ojcowski stosunek, bo byli dziećmi i nie wiedzieli, czego chcą ani co dla nich najlepsze. Musieli być zdyscyplinowani i słuchać rozkazów. Band miał dwoje dzieci. A w szkole średniej w kraju traktował tak samo swych uczniów. Ale dla tamtych dzieci, własnych czy szkolnych, nie mógł czuć tego, co czuł dla tych dzieci tutaj. Jakżeby mógł, skoro z tamtymi nie dzielił takich strasznych, okropnych, wspaniałych przeżyć, jak z tymi? Wezbrała w nim wielka, ciepła, ojcowska miłość, pragnąca tulić każde dziecko. Pełen jasnej świadomości rzeczy, których jutro razem z nimi dokona z głębi tej więcej niż dobranej miłości, Band zasnął błogo, przy czym kamienie i gruzły ziemi, uwierające go tu i ówdzie w plecy przez brezent polowego

posłania, bynajmniej mu nie przeszkadzały, a nawet wydawały się czymś przyjemnym.

Tak było ubiegłej nocy. A teraz, kiedy wdrapywał się na zbocze Morskiego Ślimaka, by spotkać się z trzecim batalionem o siódmej czterdzieści rano, po łomotaniu moździerzy, które zraniły czterech ludzi z jego najlepszego plutonu i paru innych, nadal czuł do nich to samo. Zrobiłby dla nich wszystko na świecie. Za nim postępowali jego żołnierze, o wiele bardziej zainteresowani terenem, który widzieli po raz pierwszy, niż tym, co ich obecny dowódca mógł kiedykolwiek dla nich uczynić.

–O Jezu! – powiedział sierżant Doll do sierżanta Becka. – Ale się cieszę, że trzeci batalion doszedł tam pierwszy!

–Aha – odrzekł zdyszany Beck. – Ja też.

Tym, co ujrzeli, był szereg palczastych grani, wysokich na trzydzieści pięć do czterdziestu stóp, skalistych, stromych, zupełnie nagich, poprzedzielanych wąskimi parowami szerokości dziesięciu do dwudziestu stóp. To było po lewej. Wspięcie się tam pod ogniem japońskim przekraczało gotowość nawet najdzielniejszych. Natomiast po prawej znajdowało się długie, strome, trawiaste zbocze, pozbawione wszelkiej osłony na przestrzeni co najmniej pięćdziesięciu jardów. Podejście po nim prosto na cekaemy zachęcałoby do wykoszenia wszystkich niczym pszenicy w Nebrasce. Japończycy wycięli nawet liczne ścieżki ogniowe w wysokiej po pas trawie. Co za pech!

Band uściskał dłoń dowódcy kompanii L trzeciego batalionu, staremu kumplowi od popijania, który zajął japońską pozycję i którego ludzie stali zasapani dokoła. Drugi pluton, a potem następne przemieszały się z nimi gadając i paląc papierosy. Tym razem jednak nie było żadnego współzawodnictwa, docinków i żartów na temat tego, kto się spóźnił czy kto dotarł tu pierwszy.

Kompania L nie ucierpiała zbyt wiele; straciła pięciu ludzi, w tym jednego zabitego. Dwóch od ognia pierwszego cekaemu dalej na grani, trzech od moździerzy, które ostrzelały ich w tym samym czasie co kompanię C – jak – Charlie. Na całym grzbiecie Morskiego Ślimaka znaleźli tylko dwa karabiny maszynowe – dwie samobójcze obsługi pozostawione tu widocznie dla zatrzymania natarcia. Wszyscy ci ludzie woleli zginąć. Jednakże różne oznaki wskazywały, że było ich tu znacznie więcej. Najwyraźniej Japończycy wycofali się późnym wieczorem lub w nocy.

Co to wszystko znaczyło? Ani kompania L i jej dowódca, ani Band i C – jak – Charlie nie mieli pojęcia. Spodziewali się dużo cięższej walki. Podawali przez radio do dowództw swych batalionów przebieg akcji i wykonywali dalej zadanie, dopóki nie nakazano by im czegoś innego. Postanowili na tym poprzestać. Kiedy nawiązali łączność radiową, rozkazano im działać zgodnie z planem.

Kompania L miała podejść i zaatakować otwartą przestrzeń masywu Wielkiej Gotowanej Krewetki, gdy tylko Morski Ślimak zostanie wzięty. C – jak – Charlie miała się okopać i trzymać Morskiego Ślimaka na wypadek przeciwnatarcia, by zabezpieczyć drogę podejścia. Dopiero dochodziła ósma rano.

–Wcale nie jestem pewny, czy macie łatwiejsze zadanie – uśmiechnął się dowódca kompanii L ściskając Bandowi dłoń na pożegnanie. – Szczególnie jeżeli spostrzegą, że używamy tej grani jako drogi podejścia, i postanowią znowu użyć moździerzy.

Ludzie z kompanii C, którzy to usłyszeli, pomyśleli z dreszczem niepokoju, że może mieć dużo racji.

Band od razu zapędził ich do roboty. Wybrał dla nich najbardziej wysuniętą, najbardziej narażoną część grzbietu Morskiego Ślimaka.

Za nimi kompanie A i B zaczynały nadchodzić i rozwijać się na tyłach ich skrzydeł. Kiedy się okopywali, nadciągnęły grzbietem kompanie I oraz K i przeszły przez nich, przy czym I miała objąć lewe skrzydło podczas nacierania przez otwartą przestrzeń Krewetki, dwa razy większą od Tańczącego Słonia, a K posuwać się za nią, jako odwód. Mówiono, że jeśli trzeci batalion zdoła wyjść na szerszą przestrzeń, drugi ma ruszyć za nim wkrótce potem i przyłączyć się do natarcia.

Jednakże w rzeczywistości odbyło się to inaczej.

Kopiąc ponuro i pocąc się w coraz silniejszym upale, starszy sierżant Welsh był pierwszym w kompanii, który ukończył swój dół.

Nie żądał większej pomocy od swoich trzech kancelistów. Bądź co bądź musieli wykopać doły dla Banda i jego nowego zastępcy, zanim mogli się zająć swoimi. Welsh zasiadł w dole i kiedy patrzył na wyniosłość Głowy Słonia, skąd przybyli, przyszły mu na myśl te szesnastowieczne wanny, które widywał na ilustracjach. Z uwagi na pochyłość stoku tył jego dołu sięgał mu do uszu, natomiast od przodu miał tylko dwie stopy głębokości i dochodził do połowy goleni.

(Było to mniej od wymaganych trzech stóp głębokości, ale Welsh oszukał i cholera z tym!) Nagle wyobraził sobie, że siedzi tu z dużym, grubym cygarem w ustach, gąbką w jednej ręce, a szczotką na długim trzonku w drugiej, i rozkoszuje się tym niezwykle pięknym widokiem. Na który nikt inny w świecie nie miał prawa popatrzeć, bo trach! i już by zginął.

Welsh nie znosił cygar i ludzi, którzy je palili. Mimo to jednak cygaro wydawało się na miejscu w tej jego wizji. Namydlałby się i namydlał. Szorowałby się i szorował. Nie tyle po to, żeby być czystym.

Nigdy mu to nie przeszkadzało, jeżeli był brudny. Ale ponieważ wymagał tego widok

**i ta wanna. Za nim trzej kanceliści paplali przy wygrzebywaniu dołów jak zwariowane ptaki i Welsh przez chwilę miał ochotę wstać i kopnąć ich w tyłek.**

**Poprzedniego dnia zaryzykował rzecz strasznie niebezpieczną, kiedy po tygodniowym odpoczynku wyruszali z biwaku. Napełnił dwie ze swych trzech manierek dżinem pozostawiając tylko jedną na wodę. Był to rozpaczliwy hazard, hę, hę, ale teraz się opłacał. Chromolić wodę! Da sobie radę bez wody. A mając w tej chwili pod skórą dwa łyki mógł znowu popatrzeć na świat. To jest naprawdę piękny świat, pomyślał spoglądając na daleką wspaniałość Głowy Słonia, gdzie tylu ludzi zginęło i tylu innych nawaliło. Pieprzyć to wszystko! Piękny.**

**Szczególnie z pełnej, szesnastowiecznej wanny. Poruszył palcami stóp w lepko wilgotnych skarpetkach. Powinien by je zmienić, lecz druga para w jego kieszeni już była sztywna jak deska. Spokojnie zaciągnął się urojonym cygarem.**

**Ach wy! Ach wy! – zapragnął krzyknąć słuchając trzech nowych kancelistów, którzy trajkotali za nim jak Japończycy. Nie potraficie niczego docenić. Był przeświadczony, że ze wszystkich tylko on jeden naprawdę coś rozumie. Dom, rodzina, kraj, sztandar, wolność, demokracja, honor prezydenta. Srać na to wszystko! Nie dbał o żadną z tych rzeczy, a jednak był tutaj, nie? I to z wyboru, nie z konieczności, bo łatwo mógł się od tego wymigać. Przynajmniej siebie rozumiał. Prawda była taka, że lubił to draństwo. Lubiał, jak do niego strzelali, lubił się bać, lubił leżeć w dołach śmiertelnie wystraszony, wpijając się paznokciami w ziemię, lubił strzelać do obcych ludzi i patrzeć, jak upadają trafieni, lubił swoje lepko – wilgotne stopy w lepko – wilgotnych skarpetkach. Przynajmniej część jego to lubiła. W jakiś sposób współczuł jednak temu młodemu Fife'owi. Fife w plutonie strzeleckim?**

**Z całej kompanii, włącznie z oficerami. Welsh był bodaj jedynym, który nigdy dotąd nie zaznał odrętwienia walką, słyszał, jak o tym mówili podczas wolnego tygodnia, i nadstawiał ucha. Rozumiał, że jest ono czynnikiem ocalającym, i wyczuwał zwierzęcą brutalność, którą przynosiło. Ale sam dotąd go nie doświadczył. Nie wiedział, czy dlatego, że życie już go przed laty odrętwiło i tylko nie zdawał sobie z tego sprawy, czy też świadomość, czego należy się spodziewać, plus jego wspaniała wrodzona inteligencja – hę, hę, hę – uodporniła go na to wszystko, czy po prostu sama walka nie była dotychczas dostatecznie ciężka, aby zmrozić jego szczególny rodzaj osobowości. Były takie okresy, momenty, kiedy Welsh zdawał sobie sprawę, że jest całkiem obłąkany. Trzy wiśnie na tej samej łądzy = Jerzy Waszyngton. Dwie nie, nigdy. Trzy tak, zawsze. Kto by zrozumiał, gdyby to powiedział? Gdyby odważył się powiedzieć? Po dziś dzień nie cierpiał wiśni i nie mógł ich jeść, chociaż uwielbiał ich smak.**

**Rzecz charakterystyczna, kiedy jego malaria znacznie się pogorszyła podczas tygodnia urlopu, nie powiedział o tym nikomu i ukrywał to z jakąś tajemną radością. I nie miał zamiaru nigdy powiedzieć komukolwiek. Nie wiedział, dlaczego. Wszystko to**

należało po prostu do tej głupiej gry, o której twierdzili, że jest dorosła i dojrzała. Będzie szedł dalej, póki nie padnie albo póki jakiś durny Japoniec go nie zastrzeli, i będą go mogli pochować uśmiechniętego. Ostatecznie, jeżeli jakiś osioł zostaje postrzelony dostatecznie ciężko, żeby iść do szpitala i być wyewakuowany na zawsze, a potem nie ma na tyle sprytu czy ikry, żeby rzecz doprowadzić do końca, to co, do cholery, można z nim zrobić?

Welsh usadowił się w swoim dole. Coś mu mówiło, że będą mieli dość łatwy dzień. Aby mu udowodnić, że się myli, właśnie w tym momencie, gdzieś niedaleko za nim, żołnierz obsługujący walkie – talkie zawołał, iż ma dla Banda rozkaz od nowego pułkownika, żeby pierwszy batalion natychmiast ruszył wesprzeć trzeci na Ślimaku i żeby Band potwierdził odbiór. Band przybiegł z jakiegoś miejsca na linii, a Welsh ze znużeniem wylazł ze swego dołu. Był świadom, że znowu to spieprzył. Gdyby poczekał pół godziny zamiast brać się od razu do roboty, nie musiałby kopać w ogóle. Uśmiechnął się ponuro.

Więcej było ludzi, którzy jeszcze nie skończyli kopać, niż tych, co skończyli tak jak Welsh. Należał do nich młody kapral Fife na drugim, przednim stoku małego, wąskiego grzbietu. Tu spadek był mniej stromy niż na tylnym stoku, gdzie znajdował się Welsh, lecz jednak wymagał sporo kopania, żeby zrobić przyzwoity dół. Fife bez zapału wziął się do roboty swą małą, nieodpowiednią łopatką. Wydawało się to zadaniem niewykonalnym, lecz jednocześnie wiedział, że musi to zrobić dobrze, bo trzeci pluton ulokowano na przednim stoku, obok drugiego plutonu, który trzymał wierzchołek wyginającego się grzbietu. Każde przeciwnatarcie musiało pójść prosto na Fife'a. Kopiąc Fife rozmyślał o Fifie po trosze tak samo jak Welsh – ale jednak inaczej. Fife był pewny, absolutnie i całkowicie pewny, że cokolwiek by zrobił, nie zostanie wyewakuowany. Nawet gdyby się był uparł i nalegał w sprawie swoich zgubionych okularów. Przerwał kopanie i mrużąc oczy popatrzał ku zamazanemu (dla niego) zarysowi Wzgórza 210, by się przekonać, jak bardzo naprawdę źle widzi.

Nie wiedział, czy jego oczy dojrzałyby to, co powinny dojrzeć, aby go uratować. Przypuszczał, że nie. Między jednym niechętnym zagarnięciem łopatką a drugim zerkał niespokojnie na Głowę Ślonia sprawdzając wciąż od nowa swoje słabe oczy. Kiedy wiadomość o przerwaniu kopania przeleciała jak kula po linii, cisnął łopatkę z wielkim westchnieniem ulgi. A potem uświadomił sobie, co to znaczy, i chwyciło go irracjonalne przerażenie.

Kiedy tego rana drugi pluton dostawał cięgi, Fife leżał z trzecim plutonem przy ścieżce, tuż poza zasięgiem ognia. Parę pocisków padło całkiem blisko. Strach przed moździerzami, który czuł teraz, był tak ogromny, że nie mógłby opisać go słowami, nawet samemu sobie. Każdy spadający pocisk, który słyszał, musiał go trafić prosto w miejsce złączenia szyi z ramionami. Po ostrzale miał dotkliwy ból szyi, który trwał ponad godzinę. Teraz, ogarnięty paniką na myśl, że trzeba opuścić Morskiego Ślimaka i ruszyć naprzód, nie wiedział, czy potrafi strzelić i zabić innego człowieka,



nawet jeżeli będzie musiał. Żeby się uratować. Co więcej, nie wiedział, czy gdyby nawet to mu się udało i dobrze poszło, nie zostanie i tak zabity. Zabity! Martwy! Już nie żywy! Nie sądził, żeby mógł stawić temu czoło. Boże, przecież już raz był ranny, no nie? Czego od niego chcą? Miał ochotę usiąść i rozplakać się, ale nie mógł tego zrobić przed kompanią.

W rzeczywistości kompania pewnie by nie zauważyła, gdyby Fife usiadł i zapłakał. Formując się w drużyny i plutony, wszyscy byli zbyt zaprzątnięci myślą o swoim pechu. A najgorsze, że nie była to niczyja wina. Jak dowiedział się Band, kiedy nadawał przez radio potwierdzenie, i jak reszta dowiedziała się po kilku sekundach z ustnie przekazywanych pogłosek, przyczyną było po prostu to, że znajdowali się najbliżej, a potrzebowano kogoś natychmiast. Pierwszy batalion dostał najbardziej gównianą robotę pod każdym względem.

Znużeni, choć bardziej w sensie moralnym niż fizycznym, pozbierali swoje oporządzenie i przygotowali się do wykonania raz jeszcze tego, co konieczne.

W tym właśnie momencie został ranny inny członek kompanii. Był nim wysoki, spokojny sierżant z Pensylwanii, dowódca drużyny, nazwiskiem Potts. Drużyna Potts'a była ogniwem łączącym trzeci pluton z drużyną Johna Bella z drugiego. Potts, Bell i dwaj inni stali na otwartym, przy swoich dołach na Morskim Ślimaku, spoglądając ku Wielkiej Gotowanej Krewetce ponad dżunglą, która je dzieliła. Dyskutowali o natarciu i o tym, co mogą tam znaleźć, i usiłowali dojrzeć Krewetkę, która z tego miejsca była tylko mglistą, niewyraźną, brunatną masą. Bell, który akurat w owej chwili stał tyłem do Krewetki i patrzył na mówiącego sierżanta Potts'a, widział wszystko. W jednym momencie Potts gadał, a w następnym rozległ się głośny trzask i zaraz po nim ostry, jękliwy świst rykoszetującej kuli. Potts, który był bez hełmu i patrzył prosto na Bella, urwał w pół słowa i spojrzał na niego zezując, tak jakby pilnie usiłował dojrzeć coś na czubku swego nosa. A potem upadł. Pośrodku jego czoła ukazała się czerwona plama. Natychmiast siadł na powrót, wciąż spoglądając zezem na świat, po czym znowu przewrócił się na wznak. Bell już był przy nim, ale Potts zemdłał, stracił przytomność i te zezujące oczy na szczęście się zamknęły. Bell zobaczył, że na czole ma wyrżnięty rowek długości cala. – czy może lepszym słowem byłoby wypalony, ponieważ nie krwawił. Pod spodem widział białą, nie uszkodzoną kość czaszki.

Kula, która zrykoszetowała skądś na Krewetce, lecąc na płask, zamiast szpicem, przemknęła obok głowy Bella, uderzyła Potts'a między oczy i wyjąc poleciała dalej. Ze śmiechem, który mimo woli zaczynał mu targać przeponą i wzbierać w gardle, Bell ukląkł i ocucił Potts'a klepiąc go delikatnie po policzkach i rozcierając mu dłonie. Pottsowi nic się nie stało. Zaśmiewając się tak, że ledwie widzieli przez łyzy, gdzie idą, wszyscy trzej odprowadzili go na punkt opatrunkowy batalionu, który właśnie zakładano na Morskim Ślimaku, tam zaś doktor, także się śmiejąc, zalepił skaleczenie plastrem i dał Pottsowi garść aspiryny. Do chwili ich odejścia Potts leżał na plecach,

z twarzą przykrytą hełmem z powodu bólu głowy, pewien, że dostanie Fioletowe Serce. Nie uważał tego wcale za śmieszne i przez resztę dnia uskarżał się gorzko na ból głowy. Wszyscy inni pękali ze śmiechu, ilekroć o tym wspomniano. Wprawiło to kompanię w dobry nastrój przed rozpoczęciem niewiarygodnego, nieprawdopodobnego marszu, o którym jeszcze nie wiedzieli, że ich czeka.

W przyszłej kronice pułku (oraz dywizji) miał on nazywać się po wsze czasy „Wyścigiem” albo „Grand Prix”. Niekiedy też nazywano go „Długim Obejściem”. Kompania C – jak – Charlie miała być i pozostać jednym z jego czołowych elementów. Na mapach historii dywizji (sporządzonych o wiele później) „Długie Obejście” miało być pokazane za pomocą czerwonych i niebieskich strzałek, jako logiczne rozwinięcie sytuacji i równie logiczne jej zakończenie. Prawda wyglądała tak, że w owym momencie nikt właściwie nie wiedział, jaka ta sytuacja jest. Kiedy pierwszy batalion, prowadzony przez kompanię C, wyszedł z dżungli i ruszył dokoła lewego zbocza Wzgórza 250, jedynym śladem Japończyków była sieć opuszczonych, dobrze zamaskowanych dołów strzeleckich, do których kilku ludzi powpadało.

Dla wszystkich stało się jasne, że mogła to być kosztowna bitwa. Ale gdzie się podzieli Japończycy? Dlaczego odeszli? Powoli, ostrożnie żołnierze rozwinęli się w lewo od trzeciego batalionu na otwartej płaszczyźnie i nadal badali teren. W dwie godziny i dwa tysiące jardów potem doszli wyczerpani i spragnieni do przedniego stoku Wzgórza 253, Głowy Ślimaka, bez żadnych strat.

W gruncie rzeczy nie było to wcale takie łatwe. Po prawej kompania L stoczyła walkę ogniową z dwudziestoma czy trzydziestoma Japończykami na szczycie Wzgórza 251, długiej, wąskiej, wysuniętej w dżunglę grani, stanowiącej jedną z Nóg Krewetki, i wreszcie zniszczyła ich swoimi kompanijnymi moździerzami z drugiego końca grani. Posuwając się poniżej, C – jak – Charlie mogła obserwować całą akcję. Daleko na Wzgórzach 210 widzieli kompanię D pracownicę ustawiającą swoje ciężkie moździerze. W jasnym świetle słonecznym zrobiło się bardzo cicho. Posuwanie się przez sięgające do pachwin trawy było uciążliwe. Ale przynajmniej mogli iść wyprostowani. Tu i ówdzie ludzie otrząsali się i wyprężali ramiona, jak gdyby na znak, że ostatecznie nie jest wcale tak źle, ale nikt nie śmiał powiedzieć tego głośno, z zabobonnego strachu, że zaraz potem rozpęta się piekło.

Drugi pluton znowu został wybrany przez Banda na czołowy, toteż szedł w przedzie jako szpica. Służbista Beck przeklinał i narzekał na to do dowódców drużyn (którzy się z nim zgadzali), ale na razie nic nie powiedział Bandowi. Sam Beck przesunął swoją drużynę kierując drużynę Bella na czoło, a kiedy się rozwinęli, ulokował drużynę Dolla na prawo od Bella, w najbezpieczniejszym miejscu, pozostawiając dwóm pozostałym, Thorne'a i Dale'a, przejście otwartym lewym skrzydłem. Kiedy szli w takim szyku przez gęste trawy trzymając przed sobą karabiny w utrudzonych rękach, starszy szeregowiec Carrie Arbre opuścił swoje miejsce i podsunął się do swego dowódcy drużyny. Od tamtych dwóch epizodów tego rana Arbre unikał Dolla,

**czy też tak tylko Dollowi się zdawało. Doll zaczekał na niego.**

**–Mogę z tobą pomówić chwilę na osobności, Doll?**

**–Jasne, Carrie.**

**Podczas rozmowy obaj zerkali w lewo i prawo, kiedy szli dalej wypatrując dołów strzeleckich i Japończyków.**

**Arbre zmarszczył brwi, ale już dawno zrezygnował z prób powstrzymania kogokolwiek od nazywania go „Carrie”.**

**–Chciałem tylko zapytać, dlaczego dzisiaj się rozmyśliłeś i nie wybrałeś mnie, żebym poszedł z tobą.**

**Każdy zawsze przypuszczał, że Arbre ze swoją dziewczęcą nieśmiałością i wrażliwością musi być bardziej wykształcony od innych, ale w rzeczywistości nie był. W szkole średniej nie doszedł tak daleko jak Doll. Doll prawie ją ukończył.**

**–Ano, sam nie wiem, Carrie – odrzekł Doll. – Po prostu coś mnie chwyciło. Jakiś nagły instynkt. Czy coś takiego.**

**–Potrafię być taki sam dobry żołnierz jak każdy. Daję sobie radę.**

**–Wiem o tym. Jasne, że tak. Jasne, że potrafisz.**

**Pod wpływem chwilowego impulsu Doll zapragnął objąć drobne ramiona Arbre'a, które pod prysznicem zawsze wydawały się o tyle węższe od jego szerokich, szczupłych, kobiecych bioder, ale nie zrobił tego, bo nie chciał odjąć jednej ręki od swego karabinu. Szli dalej przez gęstą trawę.**

**–Gdybym miał to zanalizować, tak jak próbuję w tej chwili, powiedziałbym, że po prostu chciałem zaopiekować się tobą i ochronić.**

**–Doll poczuł, że serce zabiło mu nagle, gdy przyszła mu do głowy wspaniała myśl.**

**–Nie chcę, żeby ktoś się mną opiekował – powiedział posępnie Arbre idąc obok niego. – Nie potrzebuję żadnej ochrony.**

**–Każdemu jest potrzebna pomoc, Carrie – odrzekł Doll. Na sekundę obrócił głowę, by się uśmiechnąć do niego, a wtedy Arbre popatrzał nań z dziwnym, enigmatycznym wyrazem twarzy, tak jakby wiedział coś, czego nie mówił, albo też jakby wiedział coś, czego Doll nie mówił i może nawet nie wiedział. Obaj odwrócili głowy i znowu zaczęli wypatrywać stanowisk.**

**–Chcę przeżyć tę zasraną wojnę tak samo jak każdy – rzekł Arbre. – Nie miałem**

ochoty iść tam z tobą. – Szedł dalej przed siebie, przygarbiony i wąskopierśny, z tym samym dziwnym, na wpół miękkim, na wpół twardym, prawie zakłopotanym wyrazem twarzy. – Myślę, że potrzebuję pomocy, tak jak w ogóle my wszyscy. – Po tych słowach odwrócił się i oddalił, wciąż z taką miną, jakby wiedział coś specjalnego.

Doll rzucił za nim szybkie spojrzenie zastanawiając się, co to, u diabła, miało znaczyć, i przypatrując się tym dziewczęco ładnym biodrom. Potem znów zajął się swoim zadaniem, przesunął trochę karabin w rękach rozmyślając, jak długo jeszcze, do cholery, będzie tak trwał ten marsz. Przez chwilę zastanowił się nerwowo, czy ktoś ich widział razem. No, ale jeśli tak, to co? Każdy wiedział, że Doll lubi babki. Kiedy, do cholery, coś tu się zdarzy?

Właśnie w owej chwili trzej uszargani, podobni do strachów na wróble Japończycy wypadli z dżungli w przedzie po lewej i pobiegli ku nim; paplali coś, pokrzykiwali i machali podniesionymi wysoko rękami, ślizgając się i potykając w usianej kamieniami trawie. Doll poderwał karabin i strzelił, a jego twarz była jak maska wyobrażająca ponurą satysfakcję. To samo zrobili inni i trzej Japończycy padli od kul, zanim przebiegli dwadzieścia jardów. A potem znów powróciła cisza słonecznego poranka. W tej ciszy czołowy pluton patrzył i nasłuchiwał. Potem ruszyli dalej. Przed nimi, teraz już niezbyt daleko, było wzgórze Głowy Wielkiej Gotowanej Krewetki. Za nimi zaś trzy trupy, na które mało kto zerknął, kiedy mijała je posuwająca się naprzód kolumna. Ich portfele już pozabierano.

Podobnie jak Doll, dowódca drużyny sierżant Charlie Dale był jednym z członków drugiego plutonu, którzy strzelili pierwsi, i niewątpliwie rąbnął jednego z trzech Japończyków. Dale nie był nigdy za tym, żeby dawać Japońcom jakiegokolwiek szansę, a teraz, po walce z nimi przez dziesięć dni, był za tym jeszcze mniej. Na przykład tamten, co próbował zabić granatem Dużego Queena przy japońskim biwaku na Głowie Słonia, choć najpierw się poddał. Po prostu nie mieli pojęcia o honorze czy uczciwości. Uśmiechając się z satysfakcją Dale podbiegł przez trawę do zabitych. Portfel jego Japończyka nie zawierał niczego wartościowego poza fotografią jakiejś japońskiej babki, a to nie było wiele. Nie była nawet goła. Jednakże Dale zachował to zdjęcie, bo już zaczynał mieć ich całą kolekcję. Portfel wyrzucił, ponieważ rozpadał się od dżunglowej zgnilizny. Ktoś, chyba Doll, znalazł na jednym z nich mały żołnierski proporczyk bojowy, natomiast na portfelu Dale'a nie było nic. Parszywe szczęście.

Japończyk nie miał nawet złotych zębów, kiedy otworzył mu usta.

Podczas wolnego tygodnia Dale wymienił część swego łupu na szczypce elektromonterskie. Spoczywały teraz w tylnej kieszeni jego spodni wraz z woreczkami. Jeżeli ta cholerna piechota morska mogła mieć zbiory złotych zębów warte po tysiąc dolarów, to Charlie Dale także mógł, na Boga. A to była dla niego pierwsza sposobność użycia szczypców – tylko że ten drań akurat nic nie miał.

Zanim zaś zdążył obejrzeć dwa pozostałe trupy, przyszedł rozkaz ruszenia dalej, którego Dale szybko usłuchał, bo ta dupa Band był dostatecznie blisko, żeby go widzieć. A Dale obmyślił sobie nowy, wspaniały plan.

Klnąc dziko z żalu, poprowadził swoją drużynę.

Plan Dale'a był prosty. Przejrzał listę awansów przebiegłym i wnikliwym okiem, szukając w niej czegoś więcej od swego stopnia sierżanckiego. Wiedział, że ten durny nauczyciel szkolny Band go lubi.

I był przekonany, że sierżanta Fielda, dawnego dowódcę drużyny Dolla, awansowano na dowódcę pierwszego plutonu po prostu po to, żeby go się pozbyć. Gdyby teraz coś się stało Chudemu Culnowi, Dale był pewien, że potrafi naciągnąć nauczyciela Banda na awansowanie go do funkcji sierżanta – szefa pierwszego plutonu. Poza tym dowódca trzeciego plutonu był typem dość mendowatym. Jeżeli o to idzie, Fox, nowy sierżant – szef trzeciego plutonu, też nie był nadzwyczajny. Można by nawet dożyć takiego momentu, kiedy zostałby zastąpiony przez kogoś innego nie będąc rannym ani zabitym.

Było zatem parę niezłych szans. A Charlie Dale doszedł do wniosku, że chce mieć pluton. Kiedy mu przyszła ochota, dostał drużynę i stopień sierżanta, tak jak sobie planował. Co mogło mu przeszkodzić w osiągnięciu tego samego z plutonem? Równie łatwe. Zamierzał poczekać na sposobność samodzielnego pokierowania dwiema czy trzema drużynami w jakiejś pomniejszej akcji, tak żeby Band to widział. Przed nim teren stawał się bardziej stromy, więc lekko podniósł karabin zmieniając ociążały krok na lżejszy, bardziej żwawy, i przymrużył oczy. Był pewien, że ta dupa Band zaawansuje go przeskakując innych przy pierwszej sposobności.

I miał rację. Band chętnie by to zrobił. Band obserwował go podczas zastrzelenia tych trzech japońskich kamaraden. Był świadom, że Dale nie jest najinteligentniejszym człowiekiem w jego kompanii, że jego fizyczna odwaga niekiedy przybiera cechy czystego obłądu, i pomyślał z uśmiechem, że osobiście nie bardzo mu się podoba sadystyczne okrucieństwo, które Dale przejawiał od czasu do czasu. Jednakże na wojnie należało używać wszystkiego, co było użyteczne.

O mało nie dał Dale'owi trzeciego plutonu podczas masowych awansów. Zastanowił się teraz, czy nie pobłądził, czy nie był nadmiernie ostrożny.

Podczas długiego marszu naprzód od Wzgórza 250 po równinie Band przesunął swoje dowództwo kompanii bardziej do przodu w kolumnie. Był dosyć pewny, że nic wielkiego tu się nie zdarzy, a chciał mieć oko na swoich ludzi w przedzie i na wszystko, co mogło nastąpić.

Teraz, gdy się zbliżali do Wzgórza 253 – Głowy Krewetki – uformował drugi pluton w

podwójną kolumnę drużyn, by lepiej pokonywać coraz bardziej strome zbocza, a trzeciemu i pierwszemu pozwolił wysunąć się przed dowództwo dla bliskiego wsparcia. Dotychczas nie zostali ostrzelani. Z prawej dopędziła ich kompania L po swojej małej walce ogniowej i dała znać, że obejdzie duże wzgórze od prawej strony, kiedy C – jak – Charlie będzie zachodziła od lewej. To odpowiadało Bandowi. Zatrzymał dowództwo i pluton broni ciężkiej u stóp wzgórza, podczas gdy plutony strzelców badały, czy nie natrafią na opór; nie wiedział, iż jego dwaj najlepsi sierżanci, Culn i Beck, klną go pod nosem za to, że nie jest na czole razem z nimi i trzyma się w tyle, ilekroć zachodzi możliwość niebezpieczeństwa. Po półgodzinie obydwie kompanie spotkały się na przednim stoku nie wystrzelivszy ani razu i Band podprowadził swoje dowództwo i pluton broni ciężkiej, podobnie jak komendant kompanii L.

Band zatrzymując swoje dowództwo dokonał całkowicie właściwego manewru. Komendant kompanii L uczynił to samo. Jednakże zarówno Beck, jak Culn nie mogli się oprzeć zdziwieniu, dlaczego Band przesunął je do przodu w kolumnie tam na równinie, gdzie oczywiście nie było żadnego zagrożenia i gdzie poza tym nie było potrzebne. Cóż to za tanie popisy? A może obaj są trochę przeczuleni?

Ale Beck wciąż się wściekał na Banda za to, że pozostawił drugi pluton w przedzie po stratach na Morskim Ślimaku, i obaj pamiętali, jak czekał z podejściem tam do chwili, gdy moździerze zamilkły. Była to jeszcze jedna rzecz, którą zapisali sobie w swych małych myślowych notatnikach, kiedy Band ponownie ścisnął dłoń dowódcy kompanii L.

Wszyscy wiedzieli, że doszli do momentu, kiedy zajęli tyle terenu, iż groziło im poważne niebezpieczeństwo nadmiernego rozciągnięcia.

To było teraz głównym problemem. Żołnierze stali czekając, co zdecydują ich dowódcy. Poza tym prawie skończyła się im woda. Kompanie I oraz B, też nie mające wody, ulokowały się na przeciwnym zboczu dużego wzgórza. Ich dowódcy przybyli na naradę. Jeszcze dalej w tyle kompanie K – jak – King i A – jak – Abel rozwinęły się po obu skrajach otwartej przestrzeni naprzeciw dżungli, ażeby kryć skrzydła, ale ich linie obejmowały niespełna ćwierć odległości do Ogona Krewetki. Silne przeciwnatarcie, przypuszczone za nimi, mogło odciąć obydwaj bataliony, a było dopiero wpół do dwunastej przed południem. Nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za decyzję, czy zostać na miejscu, czy iść dalej. Postanowiono, że L i C, jako kompanie czołowe, zwrócą się przez radio do dowództw swoich batalionów o instrukcje.

Co się tyczy Banda, to kiedy wreszcie dostał połączenie, stwierdził, że na Ogonie Krewetki panuje, takie samo, jeśli nie większe zamieszanie jak na jej Głowie. Nowy zastępca (który przyszedł na miejsce Johna Gaffa) był najwyższą szarżą, z jaką Band mógł się rozmówić.

**Pułkownik Spine, nowy dowódca, przebywał na nagle zwołanej naradzie z dowódcą pułku i komendantami innych batalionów. Dowódca dywizji był w drodze ze Wzgórza 214, by osobiście spotkać się z nimi i samemu objąć dowodzenie. W głosie zastępcy, mimo świstów i zakłóceń, Band wykrył podobny entuzjazm, i podniecenie, jakie sam czuł, kiedy postępowali wzdłuż Krewetki nie napotykając oporu. Woda? Właśnie w tej chwili wysyłają im ją przez tubylczego nosiciela; powinni ją dostać za pół godziny do trzech kwadransów. Drugi batalion jest już w drodze ze stoku Wzgórza 250, z rozkazami rozciągnięcia linii K i A do tyłu. Obok Banda Welsh sprawdzał i potwierdzał to wszystko patrząc przez piękną lornetkę nieboszczyka Whyte'a, którą Band mu wręczył. Poza tym, powiedział zastępca, drugi pułk jest w trakcie odchodzenia batalionami z Tańczącego Słonia i podciągania tutaj, pozostawiając tę linię niebronioną z rozkazu dowódcy dywizji i naczelnego generała. Ruszają wszyscy. Może to być przełom – wielkie przebicie depczące po piętach nieprzyjacielowi w generalnym odwrocie. Albo może to być jakaś pułapka.**

**–Wiem – powiedział Band kwaśno.**

**Naprawdę powinien zobaczyć, co tu się dzieje! A potem co? Co mają robić? Tu nastąpiła przerwa. Zastępca też nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za decyzję. Powiedział bezradnie, że nie wie, co mają robić. Pułkownik powinien wrócić z rozkazami za jakąś godzinę. Może nawet wcześniej.**

**–Czas ucieka – powiedział Band. Odczuwał lekką, kpiarską pogardę i wyższość bojowego oficera wobec człowieka z tyłów. Słuchał wzgardliwie, jak zastępca mu mówił, że jeśli zaczeka, jeśli nie przerwie kontaktu, on postara się skomunikować z pułkownikiem.**

**Narada odbywa się zaledwie o jakieś pięćdziesiąt jardów i weźmie ze sobą człowieka z walki – talkie. Czy Band zaczeka? Band czekał.**

**A czekając czuł, że oczy mu się zwężają, szyja wyciąga, kiedy się wyprostował, szczęki napinają, usta zaciskają – bojowy żołnierz pod zboczem wzgórza. Popatrzał w tył, ku Ogonowi Wielkiej Gotowanej Krewetki, gdzie były wysokie szarże.**

**Kiedy nadeszły rozkazy, zostały podane głosem pierwszego zastępcy dowódcy batalionu, ale pochodziły od osoby samego komendanta pułku. Siwowłosy, stary pijak, z pocętkowaną twarzą i ogromnym kałdunem, brał na siebie odpowiedzialność za rozkazy obojdwu batalionom, żeby ruszały natychmiast. Dowódca dywizji otrzymał już od głównodowodzącego generała pozwolenie na zmianę rubieży dywizji po prawej. Plan przewidywał, że trzeci batalion skręci w prawo od Głowy Krewetki i natrze ku plaży przez szereg mniej lub więcej połączonych ze sobą, otwartych wzgórz. Celem było osiągnięcie plaży przy wiosce Bunabala (do której naczelne dowództwo nie spodziewało się dotrzeć jeszcze przez całe tygodnie albo i miesiące), rozszczępienie armii japońskiej oraz odcięcie Japończyków jeszcze stawiających**

opór nadmorskiej dywizji. Band gwizdnął cicho. Był to nie lada jaki cel dla jednego batalionu – a nawet dla dwóch. Jak gdyby w odpowiedzi zastępca dodał, że oczywiście zostaną wzmocnieni, gdy tylko się da, przez drugi batalion oraz sąsiedni pułk.

Natomiast pierwszy batalion – powiedział zastępca, a Band kiwnął głową, bo wydawało mu się, że już to wie – miał także skręcić w prawo, ale szerszym zakolem, za trzecim batalionem, aby osłaniać jego skrzydło. Miał – żeby to ująć obrazowo – ubezpieczać graczy z trzeciego batalionu, który będzie prowadził piłkę. Ponieważ jednak nie było tam łańcucha połączonych, otwartych – wzgórz, na których mógłby manewrować, jego sytuacja byłaby nieco inna. Mogą znaleźć na mapie serię szeroko rozdzielonych, małych wzgórz w pewnej odległości na lewo od trasy trzeciego batalionu. Te wzgórza, wrzynające się w gaje kokosowe zaraz na lewo od Bunabali, były ich celem. Mieli je wziąć, zostawić tyłu ludzi, ilu by trzeba, żeby utrzymać każde z nich, i iść dalej – w końcu do Bunabali, gdzie skręciliby w lewo, aby osłonić tyły trzeciego batalionu, walczącego po prawej. Gdy tylko dotrze do nich woda, racje żywnościowe oraz noszowi, ruszą dalej. Jeżeli idzie o następną wodę, będą musieli znaleźć ją sobie po drodze. Na mapie jest kilka strumieni i oczek wodnych przy ich trasie. Przecież mają pigułki do oczyszczania wody, nie? Band odpowiedział, że mają. Okej, więc to wszystko, i powodzenia – rzekł zastępca z podnieceniem. Band już miał przełączyć na odbiór, podziękować mu sucho i odmeldować się, gdy zastępca go wywołał.

Jest jeszcze jedna rzecz. – Co? Co, panie pułkowniku? – usłyszał niewyraźnie jego głos, a potem: – Dowódca pułku mówi, że pan może zostać odcięty od własnych linii. Pierwszy i trzeci batalion na pewno będą odcięte od siebie. Ale w pańskim batalionie kompanie mogą nawet być odcięte jedna od drugiej. – Zastępca mówił powoli, tak jakby dowódca pułku podawał mu to zdanie po zdaniu. – Dlatego musicie uważać siebie za jednostki operujące niezależnie, poza miejscami, gdzie łączność będzie możliwa. Jasne? Odbiór.

Bandowi nagle zaschło w ustach z podniecenia. – Tak jest – powiedział spokojnie. – Odbiór i koniec. – Kiedy odkładał przyrząd, oczy za okularami błyszcząły mu bardziej niż kiedykolwiek. Niezależne jednostki! Operujące niezależnie!

Zastępca powiedział przedtem, że pułkownik Spine będzie usiłował trzymać się najbliżej nich, jak tylko możliwe, ale Band wiedział, co to znaczyło. Znaczyło, że Spine będzie co najmniej tak daleko w tyle jak front drugiego batalionu i sąsiedniego pułku, kiedy podejda, by się połączyć.

Dowódca kompanii L otrzymał w zasadzie te same informacje, z jednym wyjątkiem. Ich dowodzący pułkownik szedł razem z nimi.

Band i dowódca kompanii L raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie.



**C – jak – Charlie patrzyła, jak kompania L wyrusza. W powietrzu czuło się teraz nerwowe, dziwne podniecenie. Nie sposób było powiedzieć, któremu batalionowi przypadło łatwiejsze zadanie. Przedni stok Głowy Krewetki opadał łagodnie w prawo od osi ich natarcia tworząc długi Pysk Krewetki oraz jej małą Brodę, tak wyraźnie widoczne na zdjęciach lotniczych. Ostatnie elementy kompanii L przeszły przez Brodę i znikły w dżungli, obserwowane przez C – jak – Charlie.**

**Band zwołał naradę swych oficerów i starszych podoficerów. Niezależne jednostki! Uśmiechnął się z lekka. Kiedy wszyscy przybyli, powiedział im:**

**–Wygląda na to, że droga została szeroko wybita. Nikt, przynajmniej na naszym odcinku, nie może znaleźć cesarskiej armii japońskiej. Mamy rozkaz przeć dalej, dopóki jej nie znajdziemy, a wtedy uderzyć, żeby zobaczyć, jaka jest siła. Jeżeli się da, mamy wspomóc trzeci batalion przy zdobywaniu Bunabali. Może to być przełamanie i może nam się udać ich odciąć. Okej, panowie, to ruszamy. Mamy kawał drogi przed sobą.**

**Odprawił ich, oni zaś udali się do swoich oddziałów. Był zadowolony ze swego przemówienia. Rad był, że tutaj przysiadł i wygłosił taką mowę w tym gorącym, parnym, jaskrawym porannym słońcu, na pylnym stoku wzgórza, z dżunglą wszędzie dokoła pod nimi, na tej wyspie Guadalcanal, daleko na Południowym Pacyfiku. Niezależne jednostki! Band miał absolutną pewność, że w każdym razie jego kompania będzie przy zdobywaniu Bunabali.**

**Słowo to było w zasadzie nowe dla kompanii. Wyłynęło w paru rozmowach dawno, dawno temu na plaży, przed walką. Piechota morska zrobiła kiedyś pechowy wypad usiłując zdobyć tę wioskę. Teraz nazwa Bunabala niosła się po kompanii lotem błyskawicy od drużyny do drużyny i oczywiście ktoś zaraz zmienił ją na Bula Bula. Wiedzieli, że jest to wioska położona przy plaży, w gajach kokosowych. Do dzisiejszego dnia Bula Bula była dalekim mirażem, jakimś nie istniejącym w przyszłości miastem, które kiedyś zaatakują i wezmą.**

**Teraz stała się budzącym emocję ich bezpośrednim celem.**

**Zjawili się noszowi, racje żywnościowe i woda. Nikt nie niósł teraz tornistrów, ale w tylnych kieszeniach spodni można było mieć dwie puszki racji C. Po raz pierwszy od opuszczenia biwaku wypoczynkowego prawie wszyscy zdecydowali się wypić, rozdać lub wylać resztę whisky i napełnić drugą manierkę wodą. Welsh był jednym z nielicznych wyjątków. Zatrzymał swoje dwie manierki dzinu. A potem, wyekwipowani najlepiej, jak mogli być, przygotowali się do wyruszenia.**

**Właśnie w owym momencie, kiedy trwało ostateczne dociąganie, formowanie się i zbieranie, Milly Beck. służbista i były dowódca drużyny, obecnie zaś równie sumienny szef plutonu, podszedł do Banda z głęboko zmarszczonymi brwiami i**

poprosił, by jego pluton został przeniesiony do odwodu kompanii.

–Moi chłopcy mieli ciężiej niż wszystkie inne plutony, panie poruczniku. Na Głowie Słonia też. Ponieśli większe straty i mają mniejszy stan. Zaslugują teraz na przerwę.

–Pytaliście o to porucznika Tommsa? – odrzekł Band poprawiając okulary, by mu się przyjrzeć.

–Jego? – zapytał Beck w swój flegmatyczny, bezpośredni sposób. – Nie. Co on o tym wie?

–To prawda – odrzekł Band. Nie lubił takich próśb. Ale Beck skrupulatnie dbał o sprawiedliwość – na swój tępy sposób – a co ważniejsze, był dobry w swojej robocie. Band zastanawiał się w milczeniu, dotykając średnim palcem kabłąka okularów.

–Nie jest sprawiedliwe trzymać tam moich chłopców przez cały czas – dodał Beck wśród tej ciszy, jak gdyby to przesądzało sprawę.

Później Band rozmyślał, że może zgodziłby się na tę prośbę, gdyby Beck nie przemówił właśnie wtedy. Teraz jednakże poderwał głowę i spojrzał na niego.

–Niesprawiedliwe? Co jest niesprawiedliwe? Co sprawiedliwość ma z tym wspólnego? Nie – powiedział. – Niestety muszę odmówić waszej prośbie, sierżancie. Wasz pluton jest najlepszy, jaki mam. To ludzie bardziej doświadczeni, twardzi, umiejący lepiej dać sobie radę.

Ich miejsce jest w przedzie.

–Czy to jest rozkaz, panie poruczniku? – burknął Beck łypiąc na niego.

–Niestety tak, sierżancie.

–Innymi słowy, im więcej nas ginie nabierając doświadczenia, tym więcej musi zginąć korzystając z niego.

Band poczuł, że już czas posłużyć się swoją rangą, ale nie zrobił tego ostro ani brutalnie.

–Jak powiedziałem, sprawiedliwość nie ma z tym nic wspólnego – rzekł sucho. – Niestety. Na wojnie trzeba używać wszystkiego, co użyteczne. A tutaj ja decyduję, co i gdzie jest najbardziej użyteczne.

–Nadał stalowość swym oczom za stalowymi okularami. – Jeszcze jakieś pytania, sierżancie Beck?

–Nie, panie poruczniku – warknął Beck wściekle.

**–No, to będzie wszystko.**

**–Tak jest, panie poruczniku! – Beck zasalutował, wykonał precyzyjnie w tył zwrot i odmaszerował wyprostowany. Pozostał mu tylko ten sposób okazania swojej dezaprobaty. – Mój pluton! – stęknął. – Wciąż i wciąż!**

**Biedny człowiek – pomyślał Band ze swoim lekkim uśmiechem.**

**Było mu przykro. Jednakże uważał, iż załatwił to całkiem dobrze.**

**–Sierżancie! – zawołał wiedziony nagłym impulsem.**

**Beck okręcił się w miejscu. Odszedł zaledwie parę kroków. W pobliżu nie było nikogo.**

**–Chcę wam coś powiedzieć, sierżancie – rzekł Band uśmiechając się zza okularów.**

**–Słucham, panie poruczniku.**

**–Czy wiecie, dlaczego C – jak – Charlie jest dziś czołową kompanią batalionu w tym natarciu? Ponieważ zgłosiłem nas ochotniczo nowemu dowódcy batalionu.**

**–Co takiego? – wykrzyknął Beck z niedowierzaniem i skulił się tak, jakby miał rzucić się na niego.**

**Band uniósł brwi i czekał. Beck był zbyt starym wygą, żeby nie wiedzieć, co to znaczy. – Panie poruczniku – dodał zdławionym głosem.**

**–Tak jest – uśmiechnął się Band. – A wiecie, dlaczego to zrobiłem? Bo uważałem, że kompania C ze swoim dużym doświadczeniem bojowym będzie tam bardziej użyteczna. Dla pułku, dla dywizji, dla natarcia. Dla wszystkich. – Uśmiechał się dalej, mając nadzieję, że to dotrze do Becka.**

**Powoli Beck podciągnął się na baczność, z oczami całkiem zamglonymi.**

**–.Czy to wszystko, panie poruczniku? – zapytał chłodno i z godnością.**

**–Wszystko, sierżancie.**

**W odpowiedzi Beck zasalutował, zrobił w tył zwrot i poszedł dalej.**

**–Mój pluton! – stęknął znowu. – Wciąż i wciąż!**

**Band patrzył za nim ze smutkiem.**

**Tym razem Beck skierował drużynę Dale'a na czoło, jako szpicę.**

Nie widział powodu, aby Band, będąc pacanem, robił pacana i z niego. Tym razem szemrano w plutonie, że znowu są pierwsi. Gdziekolwiek Beck to dosłyszał, klął ludzi obficie i zaciekle. Nie tolerował żadnych dyskusji w swoim plutonie. Najpierw zniknęła między listowiem drużyna Dale'a, a po niej trzy pozostałe. Następnie ruszył trzeci pluton, za nim dowództwo kompanii, potem pierwszy i wreszcie pluton broni ciężkiej. Kiedy znikają jeden po drugim, kompania B podeszła do przedniego stoku wzgórza, aby się uformować i ruszyć za nimi.

Podczas gdy C – jak – Charlie, ignorowana przez ludzi z kompanii B, którzy troszczyli się tylko o siebie i byli bardzo radzi ze swego drugiego miejsca, rozpoczynała ostrożnie swą pierwszą tysiąc jardową wędrówkę przez dżunglę, przynajmniej dwaj z jej zwolenników czynili wszystko, co było w ich mocy, by ją dopędzić. Sierżant kasynowy Storm i pełniący obowiązki starszego szeregowca Witt, nie wiedząc wzajemnie o sobie oraz z odmiennych przyczyn, starali się, jak mogli, odnaleźć kompanię.

O ile ludzie z C – jak – Charlie nie myśleli teraz o Witcie i nie pomyśleli o nim od tamtego wieczora, kiedy zbiegał pijany ze zbocza góry, to Witt myślał o nich przez cały czas. Jego nieugięte, kentuckyańskie serce napęłniła prawdziwa udręka, kiedy usłyszał, że tego rana przeniesiono ich z odwodu do natarcia, a wiedział, że nie może być z nimi ze względu na swoje ślubowanie. Kiedy ta wiadomość do niego doszła, był na Wzgórzu 209, gdzie nosił pojemniki z wodą i skrzynki z racjami. Kompania działowa – wciąż uważana za zbiorowisko łazęgów, nieudaczników i łachmytów, i wciąż nie mająca dział – została włączona do służby, tym razem w charakterze tragarzy zaopatrzenia, zamiast noszowych, i taszczyła je między Wzgierzem 209 a Wzgierzem 214, Przednimi Nogami Słonia. Dlatego też Witt nie słyszał o awansie pułkownika Talla. Dowiedział się dopiero w południe, kiedy wróciwszy ze Wzgierza 214 podsłuchał rozmowę paru kancelistów z dowództwa pułku o podwyżce gaży Talla. Natychmiast złapał swój karabin i kilka ładownic i wykradł się zmierzając do Wzgierza 214 drogą dla jeepów. Zrobiono go p.o. starszego szeregowca dopiero dwa dni temu – ponieważ każdy był tylko pełniącym obowiązki w kompanii działowej, której dotąd nie nadano oficjalnej struktury organizacyjnej – i teraz był pewien, że straci swój stopień. Z drugiej znów strony był przez dwa dni p.o. sierżanta w kompanii C. Śmiejąc się wesoło z tego wszystkiego przeszedł nowiutką drogą przez dżunglę między Wzgierzem 214 a Morskim Ślimakiem i znalazł Maynarda Storma i wszystkich jego kucharzy, usadowionych na otwartym grzbiecie, mniej więcej w tym – samym czasie, kiedy kompania C zajmowała pierwsze nie bronione wzgórze wśród morza dżungli.

Storm miał swoje własne kłopoty. W szpitalu, kiedy poprzysiągł, że pozostanie sierżantem kasynowym i będzie się trzymał z dala od linii frontu, poprzysiągł również, że będzie wydawał codziennie przynajmniej jeden gorący posiłek swej biednej, krwawiącej jednostce, jeżeli tylko okaże się to w ludzkiej mocy. W tym celu, na pustym biwaku, gdzie sierżant zaopatrzeniowy MacTac pozostał jako jedyny

przedstawiciel władzy i z całą pewnością nie miał nic przeciwko temu, Storm zarekwirował obydwie kompanijne jeepy, załadował na nie swoich kucharzy, piece i zapasy i wyruszył o świcie, aby nakarmić C – jak – Charlie, jedynie po to, by po przybyciu na Głowę Słonia stwierdzić, że już stamtąd odeszła. Poinformowano go, że kompania okopuje się na Morskim Ślimaku jako odwód pułku. Cierpliwie zawrócił i inną drogą dotarł do Morskiego Ślimaka (po dłuższych dyskusjach z żandarmerią pilnującą nowego odcinka dżungli) jedynie po to, by stwierdzić, że i tu kompanii nie ma. Drugi batalion już zajmował jej doły. I tutaj Storm utknął. Nie mógł jechać dalej. Nawet jeepy nie mogły dojeżdżać do Ogona Krewetki, dopóki by saperzy nie zbudowali drogi, i całe zaopatrzenie dosyłało przez tubylczych nosicieli. Powiedziano mu, że nawet kiedy będzie droga, otrzymają pierwszeństwo inne transporty, takie jak amunicja, zimne racje żywnościowe, woda. Nowoczesna wojna, najpierw zraniwszy Storma, w końcu sparaliżowała jego pracę. Nowoczesną wojnę guzik obchodziło to, czy Storm nakarmi swoją kompanię gorącą strawą, czy nie.

Nowoczesnej wojnie była całkiem obojętna samotna kuchnia kompanijna, usiłująca dotrzeć dość daleko do przodu, by dać gorące jedzenie swojej jednostce, i pieprząca wszelkie pierwszeństwa przejazdu, toteż nikt nie miał zamiaru mu pomóc. A dla Storma wydawanie własnej jednostce co najmniej jednego gorącego posiłku dziennie stało się obsesją. Tylko w ten sposób mógł wyzbyć się uczucia winy, że nie jest z nimi. I oto teraz mógł tylko tu siedzieć z jednym kciukiem w dupie, a drugim w ustach, jak jakiś niemowlak. Ktoś słabszy załamałby się i rozplakał. Storm kłął ze łzami w oczach.

Z drugiej znów strony kucharze Storma byli zadowoleni. Żadnemu z nich nie podobał się ten zwariowany pomysł. Było zbyt niebezpiecznie blisko strzelania. Storm zmusił ich do przyjazdu tutaj i narzucił ten kopnięty plan wbrew ich zbiorowym zastrzeżeniom. Nie mieli nawet żadnych pomocników do czarnej roboty. A teraz przypatrywali się złośliwie swojemu załzawionemu przywódcy i szeptali między sobą, że może wreszcie pozwoli im wrócić na biwak. W końcu jeden zebrał się na tyle odwagi, by podejść i zapytać. Storm wymierzył mu taki lewy sierpowy w bok głowy, że zwał się na ziemię, a przez dwie godziny dzwoniło mu w uszach. Podczas gdy pracował.

Bo Storm natychmiast zapędził wszystkich do roboty.

Nie wiedział dokładnie, kiedy mu przyszedł ten pomysł. Było to dosyć proste powiązanie. Dokoła niego byli ludzie zlaknieni gorącej strawy, a on miał piece i zapasy, by ją przyrządzić. Toteż ulokował swą kuchnię na prawie równym miejscu o dziesięć jardów od głównego grzbietu. Piece wyładowano i rozpalono, kucharze zostali przydzieleni do poszczególnych zmian, patelnie skwierczały na blachach i Storm był gotowy. Przywiózł dwoma jeepami więcej niż dostateczną ilość żywności, aby codziennie wydawać kompanii trzy gorące posiłki przez tydzień. Bitwa mogła być długa. Według tego obliczenia mógł wydawać sześciu kompaniom po dwa gorące

posiłki dziennie przez prawie dwa dni. Albo gdyby... Przestał obliczać i wrócił do roboty. Kiedy Witt się zjawił, Storm wydał już obu kompaniom drugiego batalionu trzymającym Morskiego Ślimaka po jednym gorącym posiłku, zanim wyruszyły, i jeszcze jeden kompanii z siostrzanego pułku, która je zmieniła. A potem przyszedł mu do głowy jeszcze lepszy pomysł, kiedy jakaś obca kompania przemaszerowała zmierzając do Wielkiej Gotowanej Krewetki.

Ci ludzie, którzy szli od drogi w dżungli wiodącej do Wzgórza 214, wybałuszali oczy na widok kuchni polowej innej kompanii, roztasowanej przy ścieżce, z rozpalonymi piecami i skwierczącymi patelniami. Kilku wyskoczyło z szeregu i podbiegło, po czym parząc sobie ręce na płatach gorącego mięsa, pognęło z powrotem na swoje miejsca. Storm przywiózł mnóstwo chleba. Teraz zaczął go dzielić. Poza tym wystawił posterunek u wylotu dżunglowej drogi do Wzgórza 214. Kiedy posterunek podawał sygnały, kucharze pracujący w danej zmianie zaczęli smażyć tyle mięsa, ile zdołali. Kucharze nie należący do tej zmiany krajali chleb, a potem rozdawali jedzenie chodząc wzdłuż kolumny z naręczami sandwiczów z gorącym smażonym mięsem, podczas gdy Storm ryczał, wrzeszczał i klaskał w dłonie jak z pistoletu, niczym trener futbolowy, by ich popędzić. Nie mogli nakarmić każdego, nie było na to czasu, ale niekiedy – choć rzadko – jakiś wyrozumiały dowódca kompanii nagle postanawiał zarządzić dziesięciminutową przerwę na Morskim Ślimaku. A przez Morskiego Ślimaka przechodziło teraz, zmierzając do Krewetki, tyle oddziałów, że Storm miał pełne ręce roboty. Poza tym należało przygotować kolację dla tej obcej kompanii. Jego kucharze patrzyli na niego jak na wariata, ale było mu to obojętne. Pieprzyć to! Pieprzyć wszystko! Karmić ludzi!

Jednakże chwilami myślał o C – jak – Charlie i wszystkie te twarze, które znał tak dobrze, przesuwają mu się z wolna przed oczyma. Wtedy pojmował, że to, co robi, nie ma żadnego znaczenia, nic nie pomaga i jest dla niego bez wartości. I wówczas powracał mu na twarz ten wyraz wściekłości, zawodu, winy czy bólu, czy wszystkiego razem.

Nowoczesna wojna. Nie można nawet udawać, że jest ludzka. A potem rzucał się znowu do roboty.

Ta komiczna kolejność, ta emocjonalna strofa i antystrofa, pochłaniała go w chwili, gdy Witt nadszedł w pojedynkę drogą – samotna postać brnąca z tornistrem bojowym na grzbiecie, z przewieszonym przez ramię karabinem i ładownicami, chuda i wątła, z orzeszkowatą głową tkwiącą głęboko w skorupie hełmu – Witt Kentuckyańczyk, Witt, który nienawidził Murzynów, bo wszyscy chcieli głosować. Nawet gdyby któryś powiedział mu, że nie chce, Witt by nie uwierzył.

Po prostu musiałby łąć. Spod hełmu jego ocienione, twarde, nieubłagane oczy łypały jak ślepia jakiegoś łasicowatego zwierzęcia.

**Wszyscy ściskali mu dłoń. Kucharze nie widzieli Witta od tamtego wieczora, kiedy usiłował zbiec ze zbocza góry. Przygotowano mu olbrzymi posiłek. Storm nakarmił go taką ilością smażonego mięsa, gotowanych suszonych kartofli oraz kompotu z suszonych jabłek, jaką mógł pomieścić jego mały żołądek. Wreszcie Storm wyciągnął butelkę whisky.**

**–Co ty tu robisz, do cholery? W taki sposób? Sam jeden?**

**–Wracam do kompanii – odrzekł Witt ocierając usta wierzchem dłoni.**

**–Co takiego?**

**Witt wyszczerzył zęby.**

**–Wracam. Talla wczoraj awansowali.**

**–Chyba zwariowałeś – powiedział Storm.**

**Ocienione hełmem oczy Witta obróciły się z wolna i spojrzały na niego.**

**–Nie, nie zwariowałem.**

**–Po pierwsze nikt nie wie, gdzie oni są. Poleźli gdzieś do diabła na własną rękę. Nie ma ich już nawet na Wielkiej Krewetce.**

**Witt kiwnął głową.**

**–Znajdę ich. Ktoś musi wiedzieć.**

**–Ostatnim cynkiem, jaki tu mieliśmy, było, że wszystkie kompanie pierwszego i trzeciego batalionu zostały upoważnione do działania jako niezależne jednostki. Wiesz, co to znaczy.**

**–Jasne. Pewno nie mają łączności.**

**–Chyba ci szajba odbiła.**

**–Dlaczego? – zapytał Witt. – Przecież to nasza kompania, nie?**

**Musieli zostawić jakiś ślad. A Tall dostał awans, nie? – Popatrzał prosto na Storma swymi czarnymi, kentuckyjskimi oczami.**

**Storm spojrzał na niego. – Chlapij sobie jeszcze – powiedział.**

**–Dziękuję, chętnie – odrzekł uprzejmie Witt. A potem uśmiechnął się nieśmiało. – Miło cię widzieć, Stormy. Ale co tu robisz karmiąc tych wszystkich obcych?**

**–Próbowałem dopędzić kompanię, aleśmy się z nią rozminęli.**

**A ci goście tu byli – wzruszył bezradnie ramionami. – Pomyślałem, że przecież mogę kogoś nakarmić.**

**–Ano, to chyba dobry uczynek – rzekł Witt. – W każdym razie był dobry dla mnie.**

**–Ech! – odparł Storm i znowu wzruszył ramionami. Popatrzał na grzbiet wzgórza. – Za dwa centy poszedłbym z tobą.**

**Witt wstał. – To chodź.**

**–Kiedy nie wiem, co by te głupie dupy zrobiły, gdyby mnie nie było, żeby się nimi zaopiekować – rzekł Storm.**

**–Mielibyśmy trochę zabawy.**

**–Prawdę mówiąc – powiedział Storm – nie lubię, jak do mnie strzelają.**

**–Każdy wedle własnego gustu – odparł Witt. Potem się uśmiechnął. – Ja chyba lubię. Ale uczciwie mówię, że nie zrobiłbym tego, gdyby to nie – była nasza stara kompania.**

**Na tym poprzestali. Witt był świadom wrażenia, jakie wywiera jego odyseja, i jawnie był z siebie dumny. Pozostał jeszcze czas jakiś gadając i popijając, tak że wyruszył ku Krewetce, krocząc w samotnej glorii, dopiero po czwartej, czyli mniej więcej w tym czasie, kiedy kompania C zajmowała bez pomocy swoje drugie nie bronione wzgórze.**

**Storm patrzył za nim, dopóki nie zniknął mu z oczu wchodząc w dżunglę wiodącą ku Krewetce, za kilkoma – tubylczymi nosicielami, u przedniego krańca grani Morskiego Ślimaka. Witt o tym nie wiedział, bo był zbyt dumny, by się obejrzeć, lecz mimo woli zastanawiał się, czy ktoś z nich go obserwuje. Ponieważ musiał przystawać i tak często prosić o wskazówki tylu ludzi, którzy nie potrafili mu nic powiedzieć poza najbardziej mglistymi pogłoskami, zmuszony był przemierzyć prawie całą Wielką Gotowaną Krewetkę i dopiero za kwadrans piąta po południu następnego dnia dotarł nareszcie do jej Głowy, gdzie mu wskazano ścieżkę, którą podążył pierwszy batalion. Był to prawie dokładnie ten sam moment, kiedy C – jak – Charlie rozpoczynała natarcie na Wzgórze 279, czwarte z kolei, tym razem bronione przez oddział japoński w sile plutonu.**

**Była to walka ciężka i, rzecz osobliwa, nudna. Prawie dla każdego.**

**Nie była jednak nudna dla” jednego człowieka, a mianowicie kaprała Geoffreya Fife'a, od niedawna z drugiej drużyny trzeciego plutonu, ponieważ w tej walce Fife zabił swych pierwszych Japończyków.**



Większość ludzi nie mogła nawet spałmętać, ile wzgórz zdobyli i przeszli. Wszystko splatało się w jeden długi, zasapany, potykający się marsz poprzez gęszcz zielonych liści i sznurowatych lian, przerywany palącym słońcem na gołych pagórkach i pachnącymi kurzem masami trawy kunai. Gdzieś pośród tego wszystkiego minęła noc.

Band, choć nikomu o tym nie mówił, nadal zamierzał wziąć udział w zdobywaniu Bula Bula (jak teraz nawet on ją nazywał) i popędział ludzi tak, że kiedy nazajutrz rano zajęli trzecie nie bronione wzgórze, znajdowali się o jakieś siedemset jardów przed kompanią B, zamiast przewidzianych dwustu, i wszyscy, włącznie z nim samym, byli odurzeni z wyczerpania, czego nie mogła spowodować whisky, której się nałykali na Krewetce, ponieważ już dawno ją wypocili. Dwukrotnie zabrakło im wody i musieli jej szukać w bok od szlaku, z mapą, na której były zaznaczone oczka. Przy drugim z nich został zabity z elkaemu Nambu – Dryblas Cash. Tak więc, o ile nie mogli zapamiętać wzgórz, nikt nie zapomniał tego oczka wodnego.

Znajdowało się ono w bok od głównego szlaku, przy małej bocznej ścieżce, którą Japończycy sprytnie ukryli pozostawiając gęstą zasłonę podszytu u jej wylotu na dużą ścieżkę. Trzeba było jej szukać, aż wreszcie zaczęli wątpić w mapę czy też w swą umiejętność jej odczytania. Ścieżki broniło pięciu wygłodzonych Japończyków z karabinami i tym jednym elkaemem. Działo się to rano, między drugim a trzecim nie bronionym wzgórzem. W końcu ktoś natknął się przypadkiem na ową boczną ścieżkę. Prowadziła w dół do głębokiej kotliny, gdzie źródła utworzyły błotnistą, cuchnącą sadzawkę. Dżungla kryła ją na zawsze przed słońcem. Na powierzchni unosił się zielony szlam. Mimo to wyglądała dobrze. Drużyna sierżanta Thorne'a z drugiego plutonu była wtedy szpicą. Cash (którego mianowano kapralem po Tańczącym Słoniem i który poprosił o drugi pluton) został przydzielony do drużyny Thorne'a, jako zastępcza dowódcy. Kiedy drużyna Thorne'a przejęła zadanie Dale'a, Cash ulokował się na czole i odtąd tam pozostał.

Pięciu Japończyków mądrze uplanowało sobie obronę zważywszy niekorzystne okoliczności i ukryło się razem ze swym małym obozem za kilkoma zwalonymi drzewami na wprost bocznej ścieżki, ażeby móc ją ostrzeliwać wzduż. Była to najwyraźniej grupa samobójcza, pozostawiona tu, aby zabrać ze sobą w śmierć tylu Amerykanów, ilu zdoła, ale dostała tylko Casha. Był jakieś dziesięć jardów w przedzie przed następnym żołnierzem, gdy dochodzili do sadzawki. Padł na twarz w błoto, z przestrzelonymi pierwszą serią biodrami, krocem i pachwiną. Wszyscy inni się rozproszyli. Drużyny Dale'a i Bella posuwały się od prawej i lewej, podczas gdy dwaj ludzie z erkaemem pod komendą Dolla przygwoździli Japończyków i większość ich zabili granatami. Dwaj, którzy ocaleli i podnieśli się, zostali zastrzeleni i wpadli do sadzawki. Obydwie drużyny spotkały się pośrodku i upewniły, że nie ma nikogo więcej. Wtedy wrócili po Casha. Był przytomny i zdołał przekręcić się na wznak i otrzeć trochę błota z twarzy.

Dwaj zabici, z których rozsnuwały się różowo strumyki krwi w sadzawce, nie zniechęcili ich do napełnienia manierek. Krew wypływała z ich ciał w błotnistą wodę tylko niewielki kawałek, a dalej rozcieńczała się w niewidoczność.

–Każdy kiedyś w życiu musi się napić krwi wroga – mruknął wesoło Charlie Dale, na co dwaj żołnierze zwymiotowali, lecz mimo to napełnili manierki. – Nie widać jej, ale tam jest! – zanucił Dale. Kilku ludzi powiedziało mu, żeby się zamknął, i nabieranie wody trwało dalej, przy czym wszyscy zaczęli potrząsać energicznie manierkami w górę i w dół, aby rozpuścić oczyszczające pastylki, podczas gdy dwaj sanitariusze robili, co mogli, dla Casha.

Po napełnieniu manierek mała grupa przepatrzyła japoński obóz w poszukiwaniu łupów i tu odkryli pierwsze świadectwo ludożerstwa, jakie którykolwiek z nich widział. Wszyscy słyszeli takie pogłoski, ale to nie była pogłoska. Japończyk, który najwyraźniej zmarł przedtem od zadanych przez artylerię ran piersi, był zawieszony za pięty u gałęzi, i z jego pośladków, pleców i ud odkrajano paski ciała szerokości około dwóch cali. Widocznie przynieśli go aż tutaj z Krewetki, zanim umarł, a potem go zużytkowali. Zwęglone resztki małego ogniska, na którym go ugotowali, widniały zaledwie o kilka kroków. Wszyscy pozostali zabici byli oberwani, straszliwie brudni, prawie bosy, i wyglądali na wygłodzonych. Najwyraźniej nie dostali prawie żadnych racji żywnościowych, toteż – rzecz ciekawa – nikt nie był zbyt wstrząśnięty czy przerażony ich ludożerstwem.

W tym obłądnym, dżunglowym świecie błota, wiecznej wilgoci, mroku, zielonego powietrza, smrodu i utajonego zwierzęcego życia, wydawało się to o wiele bardziej normalne niż nienormalne. Carrie Arbre pomacał bagnetem jedną z ran po równo odkrajanych pasach ciała i zachichotał.

–Wygląda na jeszcze dosyć świeżego.

–Może był smaczny -.wyszczrzył zęby Doll.

–Chce któryś spróbować kawałek? – zapytał inny.

Kiedy Band się o tym dowiedział, przyszedł popatrzeć razem z nowym zastępcą, długonosym, złośliwym i złośliwie wyglądającym Włochem, porucznikiem Creo. Charlie Dale znalazł dwa złote zęby w szczęce jednego z trupów. Przekonywał się, że wcale nie tylu Japończyków ma złote zęby, jak mu wmawiano.

Dwaj sanitariusze oparli Casha o pień drzewa; odchylił głowę do tyłu i obie ręce złożył – między nogami. Sierżanci Thorne i Bell zostali milcząco wyznaczeni do pozostania przy nim. Oczywiście Thorne, jako dowódca jego drużyny, powinien był to zrobić. Natomiast John Bell nie miał pojęcia, dlaczego przypadło mu to w udziale. Cash wykrwawiał – się wewnętrznie na śmierć i wszyscy o tym wiedzieli. Trwało to

około piętnastu minut.

–Napiszcie, chłopcy, do mojej starej, dobrze? – wymruczał chrapliwie. – Nie zapomnijcie. Chcę, żeby wiedziała, że umarłem jak mężczyzna.

–Dobrze, dobrze – odparł Thorne. – Ale nikt nie będzie musiał pisać do twojej starej. Wykaraskasz się z tego. Pamiętaj, że mamy noszowych. Punkt opatrunkowy batalionu posuwa się naprzód przez cały czas. Dostarczą cię lekarzom w trzy miga.

Cash oparł głowę o pień drzewa.

–Pieprzenie – powiedział. – Nie pieprzcie. – A potem dodał:

–Zimno mi.

Czterej mężczyźni siedzieli patrząc na niego, a pot ociekał z nich strumykami.

–No. no – rzekł Bell. – Tylko spokojnie.

–Nie zapomnijcie, chłopaki, napisać do mojej starej, że umarłem jak mężczyzna – powiedział Cash. A potem westchnął, co było pierwszą oznaką zbliżającej się, – utraty tchu na skutek silnego krwotoku.

–Kto by pomyślał, że oni tu są, prawda? Kiedy nie było ich na tych wzgórzach. Jak to powiedział stary Keck? „Cóż to za pieprzony, rekrucki wyczyn!” – Podniósł rękę i otarł twarz rękawem. – To cholerne błoto na mojej twarzy – rzekł. – To cholerne błoto na mojej twarzy.

Bell poświęcił jedyną swoją pozostałą chustkę i zmoczył ją w sadzawce, by obmyć mu twarz. Po tym Cash jakby poczuł się lepiej.

–Tylko nie zapomnijcie napisać mojej starej, że umarłem jak mężczyzna.

–Daj spokój – rzekł Bell. – Nie gadaj tak. Wyleziesz z tego.

Dryblas Cash znów podniósł głowę.

–A gówno – powiedział. – Wykrwawiam się w środku na śmierć. – Spojrzał na jednego z sanitariuszy. – Prawda?

Sanitariusz tępo kiwnął głową.

–Widzicie? Może to i lepiej. Całe krocze mam postrzelane. A jakbym już więcej nie mógł chędożyć? Tylko nie zapomnijcie napisać mojej starej, że umarłem po męsku.

–Jasne, jasne – powiedział Thorne. – Napiszę jej. Tylko spokojnie.

**Kiedy brak tchu poraził go naprawdę, wiedzieli, że to nie potrwa długo.**

**–Chryste, ale mi zimno! – sapnął. – Marznę!**

**Ostatnią rzeczą, jaką powiedział gdzieś z głębi swego zdyszania, było:**

**–Nie... zapomnijcie... napisać... starej... umarłem jak... mężczyzna.**

**Wszyscy czterej powstali.**

**–Napiszesz do jego żony? – zapytał Bell.**

**–Nie, kurwa! – odparł Thorne. – Nie znam jego starej. To sprawa dowódcy kompanii, nie moja. Zwariowałaś? Nie jestem dobry w pisaniu listów.**

**–Ale mu powiedziałaś, że to zrobisz. – Bell popatrzał na tego, który już nie był Dryblasem, już nie był niczym.**

**–Wszystko powiem człowiekowi w takim stanie.**

**–Ktoś powinien to zrobić.**

**–To sam napisz.**

**–Ja mu nie mówiłem, że napiszę.**

**Podszedł do nich Charlie Dale.**

**–Już po wszystkim?**

**Thorne kiwnął głową. – Aha.**

**Pochowali Casha przy skraju głównej ścieżki, wbili w ziemię jego karabin, założyli nań hełm i przywiązali blaszkę rozpoznawczą do kabłąka spustowego. Nikt nie miał koca, żeby owinąć zwłoki, ale było to lepsze od pozostawienia ich na pożarcie szczerom czy innym stworom, które żyły w tym podszybie. Kiedy najpierw przysypali twarz i nagie ręce, nie było już tak ciężko zapełnić dół ziemią nad resztą jego ciała.**

**Ustawili strzałkę, by wskazać kompanii B, gdzie jest woda.**

**A potem poszli dalej i stwierdzili, że trzecie wzgórze (jeżeli to było trzecie) jest też nie obsadzone. Było to wczesnym popołudniem.**

**Natomiast nie czwarte. Jeżeli to było czwarte.**

**Band zdecydował się iść dalej i nie czekać, aż kompania B ich dopędzi. Ciągłe miał**

w głowie Bula Bula na jutrzejszy dzień, a według mapy następne wzgórze znajdowało się zaledwie o czterysta jardów. W rzeczywistości okazało się, kiedy tam doszli, że jest raczej o sześćset jardów, i tym razem musieli wyrąbywać sobie ścieżkę.

Dotychczas mogli posuwać się starymi. To również dało im się we znaki razem z normalnym wyczerpaniem po tak ostrym parciu naprzód, i dotarli do Wzgórza 279 bez ośmiu ludzi, którzy pozostali na ścieżce w rozmaitych stadiach załamania, z rozkazem pójścia dalej, kiedy będą mogli, albo czekania, aż ich zabierze patrol, który Band zostawił dla kompanii B na trzecim wzgórzu, jeżeli to było trzecie.

Tuż przed odejściem z tego przedostatniego, trzeciego, czwartego czy piątego wzgórza sierżant Beck znowu podszedł do Banda z prośbą, żeby pozwolił drugiemu plutonowi przekazać szpicę komuś innemu. I znowu Band mu odmówił, ale obiecał, że jutro – z samego rana, poprawił się szybko – pluton Becka będzie mógł przejść do odwodu. Tak więc drugi pluton był znowu na czołe, kiedy kompania dostała ognia. Tym razem pierwsza szła drużyna Johna Bella.

Była to najnudniejsza – w istocie pierwsza nudna – sytuacja i walka, jaką ktokolwiek pamiętał. To, że jakaś walka mogła w ogóle być nudna, wydawało się niewiarygodne, ale tak było.

Wyrąbując sobie drogę nasłuchiwali bacznie, w nadziei, że nie będzie żadnej walki i że zdołają dojść na miejsce, i nie usłyszeli ani nie dojrzel niczego. Nagle ktoś z drużyny Bella krzyknął i padł, gdy otworzyły do nich ogień karabiny i cekaemy. Byli o jakieś pięćdziesiąt jardów od wierzchołka Wzgórza 279, na otwartej przestrzeni.

Reszta czołowej drużyny rozbiegła się i rozwinęła. Druga drużyna podciągnęła do linii w lewo od pierwszej. Długa seria umilkła na parę sekund. A potem przyszła następna. Ranny leżał krzycząc i jęcząc.

Trzecia drużyna rozwinęła się na prawo od pierwszej. Ludzie leżeli z napiętymi twarzami i spoglądali po sobie oraz na wzgórze. Wszystko to odbyło się bez żadnych rozkazów, bez jednego słowa... Znali się na swojej robocie. Sierżant Beck (pociągnąwszy za sobą nowego porucznika Tommsa) podpełznął do czwartej drużyny Thorne'a, która nie miała teraz rzeczywistego zastępcy dowódcy. Beck gestem ręki zatrzymał ich na pozycji odwodowej. Sanitariusz przepchał się obok Becka, by dotrzeć do rannego”, który wciąż wił się na ziemi i krzyczał żałośnie. Za nimi czołgał się już trzeci pluton prowadzony przez Banda, ale w tym huku zdawał się sunąć gładko przez gąszcze, po stycznej, która miała go doprowadzić do linii w lewo od drugiego plutonu.

Pierwszy pluton pod Chudym Culnem i jego nowym porucznikiem rozwijał się w odwodzie kompanii. Sekcje cekaemów z plutonu broni ciężkiej podchodziły do obu plutonów czołowych. A obie sekcje moździerzy leżały plackiem na ziemi. Cała sprawa

trwała ze czterdzieści pięć sekund od pierwszego wystrzału. Wszyscy byli spietrani – naturalnie – ale i bardzo zmęczeni. Musiało im się to zdarzyć akurat teraz, pod koniec dnia. Poza tym w każdym rosło od wczorajszego rana odrętwienie walką. Nie czuli nawet podniecenia, a półgodzinna utarczka, która nastąpiła, nie okazała się bardziej podniecająca.

Przebieg był taki, że ściągali w lewo szukając jakiegoś stanowiska.

I taką formę przybrała bitwa. Wkrótce stało się jasne, że nie będzie żadnego przeciwnatarcia. Band przecenił siły nieprzyjaciela obliczając je na niecałą kompanię. Posłał pierwszy pluton w lewo od trzeciego, ale i on nie natrafił na stanowiska ogniowe. Trzy plutony kryły się za drzewami i olbrzymimi korzeniami i strzelały bez widomego efektu. Była to męcząca, nieciekawa, nerwowa robota, z którą każdy chciał już skończyć, ale Japończycy bronili swego małego wzgórza wytrawnie i twardo. Jeszcze dwaj ludzie zostali ranni dołączając krzykami i jękami swą małą, lecz ważną, część do ogólnej wrzawy. Wreszcie Band zdecydował się na atak frontalny. Na szarżę. Była to jedyna rzecz, jaka mu przyszła do głowy, ponieważ jego moździerz nie mógł strzelać ze względu na gąszcz gałęzi w górze.

Przed trzecim plutonem był stok, który łagodnie opadał od wierzchołka wzgórza i stanowił coś w rodzaju psychologicznego kanału wejściowego. Toteż trzeci pluton otrzymał wątpliwy zaszczyt wykonania szarży. Oczywiście nie mieli po prostu szarżować, tylko posuwać się możliwie jak najdalej naprzód, potem spuścić deszcz granatów i skoczyć. Karabiny maszynowe i oba pozostałe plutony miały im dać wsparcie ogniowe i być gotowe dołączyć do nich, gdy tylko dopadną celu. Porucznik Al Gore, chudy młody mężczyzna o zapadniętych policzkach i znękanej twarzy, oraz sierżant Fox, masywniejszy, ale także mający zapadnięte policzki i znękaną twarz, podczołgali się do przodu, aby popatrzeć. Mieli pójść dwiema falami po dwie drużyny każda.

Kapral Fife, gotując się w drużynie Jenksa, która miała być w pierwszej fali, nie mógł uwierzyć, że to mu się przydarza. Jakoś miał zawsze nadzieję, że będzie mu oszczędzone, że zawsze stanie się coś.

co nie dopuści do tego, by musiał spotkać się twarz w twarz z Japończykami, z bagnietami lub nożem. Nie był wcale pewny, czy potrafi zabić kogoś, kto patrzy prosto na niego. Kiedy zaczęli się czołgać pod ogniem, który dwa pozostałe plutony usiłowały od nich odciągnąć, zęby mu dzwoniły i dygotał od stóp do głów ze strachu i niepewności.

Przedtem, gdy otworzono do nich ogień, który zranił i strzaskał rękę tamtego żołnierza z drużyny Bella, drużyna Fife'a znajdowała się bezpośrednio za drugim plutonem. Podczas gdy inni zaczęli posuwać się szybko w lewo, Fife po prostu zamarł skulony, nie mogąc się ruszyć, tak że Jenks musiał wrzasnąć do niego z

**irytacją:**

**–Chodźże, cholera! Rusz się!**

**Po tym Fife zdołał się dźwignąć, ale umysł mu nie funkcjonował i nie był zdolny myśleć o czymkolwiek. Wiedział, że przez coś takiego można zginąć, ale to mu nie pomagało. Zresztą można było zginąć najrozmaiciej i na wszelkie sposoby. Myśl o różnych sposobach, w jakie można było zginąć, nie opuszczała go od chwili, gdy został ranny, i teraz ta właśnie nieobliczalność odbierała mu odwagę. Krzyki i jęki rannego odbierały mu ją jeszcze bardziej. Dlaczego nie może się zamknąć? Fife wtedy tak zrobił. Nie było to dla niego jeszcze jedno zwykłe zadanie, tak jak dla Jenksa. Ale Jenks nigdy nie oberwał. A kiedy człowiek oberwie, uświadamia sobie, że...**

**Starał się zachować lepiej, pomagał Jenksowi zebrać drużynę, udawał, że się nie boi, że nie myśli o wszystkich nieobliczalnych sposobach poniesienia śmierci. Jednakże to, co robił, było w najlepszym razie mechaniczne. A najgorsza była myśl, że może nie potrafi zabić jakiegoś Japończyka, który znajdzie się przed nim, i który przez to zabije jego.**

**I o tym samym myślał, kiedy się czołgali. Nagle, bez żadnej konkretnej przyczyny, przypomniał sobie tamtego młodego, lekkomyślnego, naiwnego, łatwowiernego kaprała Fife'a, który był mu teraz zupełnie obcy, a niegdyś stał o świcie na Wzgórzu 209 i wyciągał ramiona, gotów zginąć za ludzkość, w imię miłości do niej. Ano, pieprzyć ludzkość, tę bandę zacnych” zwierząt. Srać i szczać na nich. Na to zasługują.**

**Zerwali się na równe nogi. jeszcze zanim deszcz granatów wybuchnął. Pognali pod górę krzycząc i wrzeszcząc. Fife biegł z nimi, zasapany i spocony. Nic go nie tknęło. Po prawej zazwyczaj nieporuszony Jenks wydał z siebie długi, przenikliwy, ochryply, drżący krzyk buntu. Trzej ludzie rycząc padli w pędzie. Fife'a nic nie tknęło. Dobięgli do celu. Dwie drugie drużyny gnały za nimi. Fife nie miał trudności ze strzelaniem. Kiedy po raz pierwszy zobaczył tych wychudłych, oberwanych, wyglądających jak strachy na wróble, żółtych ludzi, którzy strzelali zapamiętane z karabinów i cekaemów, ledwie mógł w to uwierzyć i zdumiał się. A kiedy ujrzał jednego Japończyka, który z granatem w ręku okręcił się w dole i popatrzał na niego wytrzeszczonymi oczyma, strzelił mu w pierś i patrzył, jak pada, a w głowie rozbrzmiewały mu radosne słowa: „Ja też potrafię zabijać! Potrafię! Tak samo jak każdy! Potrafię zabijać!”**

**A potem rozejrzał się w poszukiwaniu innych celów i spostrzegł biegnącego Japończyka, który usiłował dopaść do dżungli. Ze zwieszoną głową, pompując rękami, gnał w całkowitej desperacji, jak człowiek na obracającym się wstecz kole młyńskim. Fife założył przed nim o włos i przestrzelił mu lewy bok tuż poniżej pachy,**

**i ryknął z radości, kiedy zwałił się on z krzykiem o parę kroków od dżungli i bezpieczeństwa. A potem już było po wszystkim. Drugi i pierwszy pluton napływały z obu stron.**

**Część Japończyków – może połowa – wyrwała się biegiem i dała nura w dżungłę prowadzącą na ich tyły. Jeżeli można było stosować takie określenie jak „tyły” w tej zwariowanej kampanii. Reszta, wraz z dwoma czy trzema, którzy próbowali się poddać, została zastrzelona od ręki przez ludzi o napiętych twarzach i starganych nerwach, którzy nie szli na żadne pieprzone bzdury. Cała rzecz trwała niespełna pół godziny. Wszyscy byli wyczerpani długim marszem przez dżungłę i wyrąbywaniem drogi, trudnym manewrowaniem w gęstym podszyciu, samą walką. Teraz, gdy tylko odzyskaliby dech, pozostawało im usunięcie trupów, zorganizowanie obrony okrężnej i okopanie się na noc. C – jak – Charlie miała dwóch zabitych i sześciu rannych. Japończycy stracili dwudziestu trzech zabitych. Nie było żadnych rannych. Jednakże niektórzy mogli się wymknąć razem z resztą.**

**Kapral Geoffrey Fife, były kancelista kompanijny, stojąc z kolegami ze swego plutonu, którzy dyszeli, pocili się i powoli przychodzili do siebie czy tylko tak się zdawało, ze zdumieniem uświadomił sobie, że osobiście zabił dwóch Japończyków. W przeciwieństwie do większości kolegów nie brał udziału w obmacywaniu zwłok, oglądaniu ich i poszukiwaniu pamiętek, bo trupy budziły w nim mdłości oraz niejasne poczucie winy. Ale przyglądał się. Czy to samo robili na Głowie Słonia? A kiedy Charlie Dale wydobył swoje szczypce i woreczki i zaczął wrywać złote zęby, Fife był zmuszony się odwrócić. Kilku innych obserwowało to wrywanie zębów z wyraźnym niesmakiem, ale nikt nic nie powiedział i nikt nie wydawał się taki wzburzony jak Fife. I to wzburzyło Fife'a jeszcze bardziej. Na przykład Don Doll obserwował Dale'a i uśmiechał się szeroko. Co ze mną jest? – pomyślał Fife. Jeżeli reszta chłopaków jest taka twarda, to dlaczego on nie potrafi? Zabił dwóch – nie? – z których jeden patrzył prosto na niego.**

**Wziąwszy się w garść obrócił głowę i popatrzał. Nawet uśmiechnął się lekko. Doll się uśmiechał. Więc i Fife się uśmiechnął. Niedbale – dużo bardziej niedbale, niż naprawdę to czuł – zmusił się do podejścia do jednego z trupów i spojrzenia na niego. Przyszło mu do głowy, żeby wbić weń bagnet, aby pokazać, że mu to obojętne, ale obawiał się, że wyglądałoby zbyt sztucznie. Zamiast tego więc przykucnął, ujął ręką obrośniętą, brudną szczękę i obrócił głowę trupa, aby móc zajrzeć mu prosto w twarz. Oczy były jeszcze otwarte i cienka strużka krwi wyciekała z rozchylonych, okaleczonych ust, które obrobił Dale. Fife odepchnął głowę, wstał i odszedł. To im powinno pokazać! Miał wielką ochotę otrzeć energicznie rękę o nogawkę spodni, ale się powstrzymał. Zamiast tego zaczął odpinać od pasa łopatkę, bo jedno było pewne: że niedługo będą musieli zacząć kopać.**

**Fife miał zupełną słuszność. To była następna większa robota, która ich czekała, zanimby mogli z kolei przeczekać noc. Kopanie. To nie kończące się, powszechne**



**kopanie. Kopać pocąc się i dysząc z wyczerpania. Tak jak wczoraj. I prawie każdej nocy na świecie.**

**A niekiedy dwa i trzy razy w ciągu dnia. Miejsce, gdzie można by złożyć głowę. Rów przeciwodłankowy trzy na trzy na siedem. Tylko wielcy szczęśliwcy dziedziczyli czasem doły innego oddziału. Nikt tu nie kopał okrągłych, głębokich schronów, bo nie było czołgów.**

**Tu domem były rowy przeciwodłankowe. Pewnie w tych schronach nie może być ateistów – pomyślał z ponurym uśmiechem John Bell – tak jak mówił tamten tępy kapelan katolicki na Filipinach, bo tutaj nikt ich nie kopał. Ale Bell znał wielu ateistów w rowach przeciwodłankowych, a przybywało ich z każdym dniem.**

**Posłano grupę żołnierzy, by dokończyli wyrąbywania pozostających jeszcze pięćdziesięciu jardów ścieżki. Wyprawiono do tyłu patrol, żeby pozbiarał maruderów i zawiadomił kompanię B, gdzie są.**

**Ranni poszli z patrolem. Z sześciu rannych tylko trzech trzeba było nieść. To oznaczało, że jedna z czterech grup noszowych może pozostać przy kompanii. Miano zażądać uzupełnienia noszowych i przysłania ich rano, może z kompanii B. Po załatwieniu wszystkiego Band postanowił nie łączyć się przez radio z dowództwem batalionu, Nie zrobił tego wczoraj wieczorem. Bądź co bądź powiedzieli mu, że jest niezależną jednostką. Niezależną jednostką! A wykonał wszystko na czas, nawet przed czasem.**

**Było z pół godziny po zmierzchu – i obydwaj patrole oraz wszyscy maruderzy wrócili już bezpiecznie do obwodu obronnego – gdy ludzie, którzy czuwali w części rowów przy ścieżce, usłyszeli dochodzące z niej okrzyki z silnym kentuckyjskim akcentem.**

**–Kompania Charlie! Kompania Charlie! Nie strzelać! Tu Witt!**

**Tu Witt! P.o. starszego szeregowca Witt! – dodał głos z przytępieniem chytrej żartobliwości. – Z kompanii działowej!**

**Był to w istocie Witt. Ostatnie sześćset jardów przeszedł samotnie po ciemku od pozycji kompanii B – jak – Baker na następnym wzgórzu za nimi. Najpierw odnalazł A – jak – Abel, poszedł dalej, zatrzymał się, aby odczytać znaczek rozpoznawczy przyczepiony do kabłąka spustowego karabinu Casha, dotarł do B – jak – Baker, gdzie podano mu hasło, postanowił iść dalej wbrew ich najlepszym radom i oto tu był. Prawie nikt jeszcze nie spał i nastąpiło mnóstwo klepania po plecach, ściskania dłoni i śmiechów. Ludzie przede wszystkim wypytywali, jaki jest nowy dowódca batalionu. Wszyscy byli uradowani, że widzą Witta, że tak ich szukał po prostu, żeby być z nimi.**

**Wszyscy włącznie z Bandem, który ze swoim mdłym uśmiechem właśnie postanowił umieścić za obwodem zaporę drogową, której jego zdaniem potrzebowała kompania.**

**Witt oczywiście natychmiast zgłosił się do niej na ochotnika.**

**Wszyscy zastanawiali się, dlaczego Japończycy postanowili bronić Wzgórza 279, a nie innych. Odpowiedź, którą można było znaleźć na mapie, gdyby ktoś o tym pomyślał, znajdowała się po jego drugiej stronie. Wzdłuż zazwyczaj wyschniętego łożyska rzeki, które biegło ku gajom kokosowym i plaży, przechodziła przez dżunglę tuż pod grzbietem Wzgórza 279 jedna z dwóch głównych dróg na całej wyspie, wiodących z północy na południe. Droga Beauforta, znacznie dalej w przedzie, oraz ta, zwana Dini – Danu w miejscowym języku, ale natychmiast przemianowana przez Amerykanów na drogę Ding Dong, były jedynymi szlakami przez wyspę. Wiadomo było, że Japończycy korzystali z nich obu do przerzucania swych skąpych posiłków, wysadzanych na ląd z szybkich kontrtorpedowców po drugiej stronie wyspy, i właśnie dlatego George Band postanowił zagrodzić drogę zaporą. Chciał w miarę możliwości przeszkodzić Japończykom w dostarczeniu posiłków na jutrzejszą bitwę o Bula Bula.**

**Nie dostał jakichkolwiek rozkazów w sprawie drogi Ding Dong ani od batalionu, ani od pułku, ale był przekonany, że może w ten sposób pomóc.**

**Witt był pierwszym, który zgłosił się do tej roboty na ochotnika, chociaż, jak mówił, miał co do tego pomysłu poważne zastrzeżenia. Drugim był John Bell, chociaż nie potrafiłby nikomu powiedzieć, dlaczego. Trzecim zaś Charlie Dale, który miał wciąż na uwadze swój zamysł otrzymania plutonu i którego skwasiał dramatyczny powrót Witta. Jednakże Dale'a nie dopuścił Band, gdyż powiedział, że wystarczy dwóch podoficerów, i prawdopodobnie uratował mu przez to życie, ponieważ Witt i Bell mieli być jedynymi ocalałymi z tego zadania.**

**Reszta ochotników składała się ze starszych szeregowców i szeregowców. Kilku ludzi z drużyny Bella zgłosiło się, ponieważ szedł ich dowódca. Niejaki Gooch, stary zawodowiec i kolega Witta od boksu, zameldował się, ponieważ był jego bliskim przyjacielem i chciał z nim pogadać. Band zażądał dwóch erkaemów, więc zgłosił się erkaemowiec Bella. A potem drugi, od Charliego Dale'a, żeby pójść z Wittem. Ogółem było dwunastu starszych szeregowców i szeregowców. Wszyscy polegli.**

**Pierwotnie Band zamierzał wysłać cały swój „weterański” drugi pluton, ale rozmyślił się i poprosił o ochotników, kiedy przypomniał sobie protesty Becka. W jakiejś mierze szczęśliwie się stało, bo z tego, co nastąpiło, wynikło jasno, że pluton nie działałby nic lepszego niż owych czternastu ludzi, których Band w końcu postanowił wysłać, chociaż z pewnością ocalałoby ich więcej. Band jeszcze nie wiedział, że wielu żołnierzy w kompanii nazywa go za plecami nowym przezwiskiem „Łowca Chwały” ani że większość wyższych sierżantów wie już od Becka, iż zgłosił**

**ochotniczo kompanię na czołową.**

**Gdyby zaś nawet wiedział, prawdopodobnie nie wpłynęłoby to na jego decyzję. Witt także jeszcze o tym nie słyszał. Gdyby wiedział, na pewno zaprotestowałby jeszcze usilniej przeciwko zaporze. Ale i tak jego protest był dostatecznie mocny, by zdumieć Banda.**

**–Chcę iść – rzekł Witt, kiedy zgłosił się na ochotnika. – Ale chcę też wyraźnie powiedzieć, że uważam całą tę sprawę za dosyć niedobry pomysł. Jeżeli przejdą tędy większymi siłami, panie poruczniku, to rozwalą tę zaporę w diabły, nawet jeżeli tam będzie cały pluton. Nie damy rady ich zatrzymać. Ale chcę iść.**

**Band ze zdumieniem spoglądał na niego zza okularów. Ledwie przed chwilą zrobił go pełniącym obowiązki sierżanta.**

**–Nie musicie iść, jeżeli nie chcecie, sierżancie Witt – powiedział cierpko. – Inni się zgłoszą na ochotnika.**

**–Kiedy ja chcę iść – odrzekł Witt. – Jakby się stało coś złego, chcę tam być, bo może jakoś pomogę. A zresztą może nie zdarzy się nic złego.**

**Okazało się jednak, że niewiele mógł pomóc. Ani nikt inny. Sprawa była przesądzona. Jediną rzeczą, która go uratowała, było to, że siedział na lewym krańcu z Goochem – Goochem, który później skonał milcząco w jego ramionach, żeby go nie wydać. Rozmawiali o ostatnim sezonie boksterskim w pułku. Goochowi nie udało się wtedy zostać mistrzem w wadze koguciej, zajął drugie miejsce, a teraz znowu wyjaśniał Wittowi przyczyny swego niepowodzenia.**

**I właśnie wtedy ich trafiło.**

**Tak więc było dwunastu starszych szeregowców i szeregowców, oraz dwaj sierżanci, jeden z nich p.o. Wszystko normalni ludzie w normalnej sytuacji, wszystko normalni żołnierze, którzy przyjęli normalne polecenie wykonania normalnej roboty, i śmierć przyszła na nich w normalny sposób – tyle że nikt nie umiera normalnie. Przynajmniej dla siebie samego. Jednakże ta normalność była właśnie tak groteskowa – później, dla obu pozostałych przy życiu. Śmierć przyszła w postaci karabinu maszynowego kaliber 31, przytroczonego do pleców zupełnie normalnego żołnierza japońskiego.**

**Właściwie ich położenie taktyczne nie było złe. Zeszli ze wzgórza w nikłej poświacie księżycy, starannie zbadali drogę, na długości kilkuset jardów (z wielkim niebezpieczeństwem dla wszystkich) i po naradzie Witta z Bellem wybrali sobie najlepsze miejsce. Wybrali punkt, w którym piaszczyste, wyschnięte łożysko rzeki zwężyło się w parów tak ciasny, że tylko jeden czy najwyżej dwóch ludzi naraz mogło się tędy przecisnąć. O trzydzieści jardów przed nim, na stoku od strony morza,**

usadowili się za paroma zwalonymi drzewkami, które w gruncie rzeczy dawały tylko psychologiczne pokrzepienie, z dobrze ulokowanymi obydwojema erkaemami. Jednemu z żołnierzy kazano obserwować podejście od morza, ale wszyscy jakoś wiedzieli, że jeśli coś nadejdzie, to od lądu. Witt był na lewym krańcu, a John Bell na prawym, lecz nie tak blisko wysokiej na dziewięć stóp skarpy. Tym, co ujrzeli w nikłym świetle księżycy, był jeden człowiek, który brnął z ciężkim brzemieniem na grzbiecie. Musiał zobaczyć ich w tej samej chwili, bo padł na czworaki przechodząc przez wąski wylot. Erkaemy zabiły co najmniej jednego człowieka za nim, może więcej. To jednak nic nie pomogło, bo za tym pierwszym było wielu, wielu innych do naciskania spustu cekaemu na jego plecach, którym posiewał po rozszerzającym się parowie przed sobą. Czuli się tak, jakby strzelano do nich w pustym basenie pływackim. A dla Japończyków byli jak ryby w beczce. Kule rykoszetowały wszędzie, trafiając ludzi, których zrazu chybiły. Japońskie karabiny maszynowe, przynajmniej w owym okresie wojny, były znane z tego, że ich trójnogi nie dawały możliwości ruchu poprzecznego. Doświadczona kompania, która znalazła się przed zaporą C – jak – Charlie, rozwiązała ten problem znakomicie, po prostu każąc żołnierzowi, który dźwigał cekaem, poruszać ramionami na boki.

Tym, co uratowało Johna Bella, był fakt, że dojrzał, co się dzieje, i zerwał się o trzy sekundy wcześniej niż ludzie dokoła niego, i krzycząc: „Uciekać! Uciekać!” pognął na skarpe. To oraz szczęście. Zdażył wskoczyć w gęstwinę. Dwaj ludzie tuż za nim padli szarpiąc palcami ziemię przeszyci kulami przez głowy, tułowia i nogi, niczym jakieś dziwaczne, żywe sito, używane w jakimś obłąkanym szpitalu do precedzania krwi. Żaden z pozostałych nie dobiegł nawet tak daleko. A działał to wszystko po prostu jeden jedyny karabin maszynowy, przymocowany do pleców zmyślnego japońskiego weterana, który kręcił na boki ramionami.

Natomiast Witt, po drugiej stronie, nie widział nic i po prostu miał szczęście. Kiedy Goocha postrzelono tuż przed nim, niejako w pół słowa, poskoczył w ślepym przerażeniu do drugiej skarpy tuż za nim. W owej sekundzie cekaem skierował się w drugą stronę.

Czyste szczęście. I tam Witt przypadł. Wiedziony ślepym instynktem zatrzymał w ręku karabin, lecz teraz nie mógł strzelać, bo dojrzeliby ogień z lufy i zabili go. Leżąc naliczył stu trzydziestu przechodzących Japończyków; gryzł palce i płakał prawdziwymi łzami, bo nie miał granatów. Choćby jeden, tylko jeden granat. W tym ciasnym miejscu mógłby wyrządzić nieobliczalne szkody. Ale kompanii działowej nie wydano granatów, a on nie pomyślał o tym, by pożyczyć kilka na wzgórzu. W nikłym świetle księżycy widział przechodzących, a w jaśniejszych miejscach mógł dojrzeć ich twarze, które nie były zagłodzonymi, znękanymi twarzami tych, co bronili wzgórza. Była to najwyraźniej cała kompania wytrawnych żołnierzy, którą niedawno wysadzono na ląd jako posiłki.

Nigdy nie miał się dowiedzieć, jak Gooch, w swoim stanie, wdrapał się na skarpe i

odnalazł go. I Gooch mu nie powiedział. Wyszepiał tylko: „Proszę! Proszę!” dwa razy, cały poraniony, a potem Witt położył mu palce na ustach. Gooch zrozumiał, kiwnął głową i nie odezwał się więcej. Witt przytulił do siebie jego głowę, by pokazać, jak mu jest przykro, i tak najlepszy w pułku bokser wagi koguciej skonał w jego ramionach, gdy Witt obserwował przechodzącą japońską kompanię. W łożysku rzeki leżało paru jęczących żołnierzy z kompanii C, ale pierwsze elementy kolumny japońskiej natychmiast dostrzeły ich z pistoletów. A Witt leżał i myślał: jeden granat. Jeden granat, tylko jeden granat.

**Wszystko normalni ludzie. Wszyscy wykonujący normalne zadanie.**

**A teraz wszyscy nieżywi.**

John Bell, po drugiej stronie wyschniętego łożyska rzeki, też nie miał granatów. Dla lekkości pozbył się wszystkiego poza karabinem i jedną ładownicą naramienną. Jednakże później pojął, że gdyby nawet miał granaty, nie zatrzymałby się, aby ich użyć. Po raz pierwszy w tej wojnie popadł w histeryczną panikę. Jemu też wydawało się czymś dziwnym uczucie, że to wszystko jest takie normalne – normalne i łatwe. Jak przerażone dżunglowe zwierzę odczołgał się ukradkiem przez gęstwiny, przebiegłe i chytrze, wciąż pod górę, wciąż ku kompanii – i bezpieczeństwu. Bezpieczeństwo, bezpieczeństwo. Nie dbał o to, czy ktokolwiek inny ocaleje, czy nie. Później to wspomnienie miało go często prześladować. Pięciominutowa wspinaczka zabrała mu przeszło pół godziny. Nikt nigdy nie powiedział mu na ten temat ani słowa, włącznie z Wittem. Pewne rzeczy – niestety zazwyczaj tylko najbardziej skrajne – rozumiał każdy.

**Rano poszli po zwłoki. Ale jeszcze przedtem Witt wrócił do kompanii działowej.**

Minęło ponad pół godziny, zanim się dostał na wzgórze, do obwodu kompanii C. Potrzeba też było pół godziny, by wszyscy japońscy żołnierze przeszli. A potem, ponieważ Gooch i tak już nie żył, i nie było pośpiechu, Witt odczekał jeszcze prawie pół godziny, by się upewnić, że nie zostawili jakiegokolwiek straży tylnej czy zasadzki. Ale nie zostawili. Bał się poruszyć nawet na tyle, by się rozejrzeć. W końcu pobiegł, starannie omijając ciała poległych Amerykanów. Kiedy dotarł do kompanii, poszedł prosto do Banda, który przykucnął niedaleko i nadal wypytywał Bella.

**–Powinienem pana zabić! – powiedział Witt głośniejszym głosem, niż zamierzał.**

Długonosy, złośliwy i złośliwie wyglądający włoski zastępca dowódcy, który stał nieopodal Banda, podszedł z karabinem i wymierzył w Witta. Witt roześmiał się do niego.

**–Spokojna głowa! – Obrócił się znowu do Banda. – Jesteś pan nędznym, marnym, nic nie wartym, ciemnym, głupim, drańskim gównojadem! Przez pana powystrzelano i**

**zabito za nic dwunastu ludzi. Absolutnie za nic! Mam nadzieję, żeś pan zadowolony! Kocham tę kompanię nad wszystko, ale nie będę służył w oddziale dowodzonym przez takiego sukinsyna jak pan! Jeżeli kiedyś pana utrupią czy wyleją, to może wrócę.**

**Trzymał nadal karabin i mówiąc to zarzucił go na ramię, odwrócił się tyłem do nich, aby dać wyraz swemu oburzeniu, pozbierał resztę oporządzenia i odszedł. Przemaszerował sześćset pięćdziesiąt jardów w nocy, przez dżunglę, z powrotem do kompanii B, tak jak przedtem przemaszerował je w tę stronę. Przy kompanii B zatrzymał się tylko na chwilę, żeby pożyczyć trochę wody i opowiedzieć o fiasku z zaporą, po czym ruszył dalej. Nie został zabity. Przed świtem był już przy kompanii działowej, którą przesunięto naprzód, do Głowy Krewetki, by donosiła racje żywnościowe i wodę, i zameldował się sierżantowi, który powiedział tylko: „O rany! To ty? Myślałem, że cię rąbnęli”, po czym przekręcił się na drugi bok i zasnął.**

**–Miałem wszelkie prawo i wszelkie powody na świecie, żeby go zastrzelić – powiedział po jego odejściu długonosy, złośliwy i złośliwie wyglądający, włoski zastępca Banda. – Jak psa!**

**–Nie, dobrze pan zrobił. Myślę, że był trochę rozhisteryzowany po tym, co przeszedł – mruknął Band. Nie ruszył się jeszcze i nadal siedział w kucki obok Bella. Powoli mrugał oczyma za swymi okularami w stalowej oprawie.**

**–Powinienem był go zastrzelić! – powiedział zaciekle zastępca. – Groził własnemu dowódcy kompanii!**

**–Nie, nie, wszystko w porządku – szepnął Band. Wciąż mrugał powoli za okularami.**

**Po drugiej stronie obwodu sierżanci Chudy Culn i Milly Beck popatrzyli na siebie.**

**–No i co? – rzekł Culn. Beck wzruszył ramionami.**

**–Dalej jest dowódca kompanii.**

**Bell, siedząc z oficerami, skończył opowiadać im po raz drugi całą historię.**

**–Chyba lepiej poczekać do rana – szepnął Band. Wciąż mrugał z wolna za okularami.**

**Widok był bardzo żalospny. Dwóm żołnierzom strzelono w tył głowy z pistoletu, kiedy leżeli na piasku. Wydawało się, że wyschnięte łożysko rzeki jest usiane ciałami. Jeden, podobnie jak Gooch, zdołał wdrapać się na skarpę, nie zauważony przez Japończyków, i odpelnawszy kilka jardów skonał samotnie w gąszczu. Zanieśli ich wszystkich na wzgórze i pochowali razem z dwoma wczorajszymi poległymi. Powstał mały cmentarzyk. Uczynili to, gdy tylko rozwidniło się na tyle, żeby coś widzieć, i spieszyli się z tym, jak mogli.**

**Band, który nadal mrugał z wolna za okularami, kiedy od czasu do czasu zwracał się do kogoś wprost, ciągle przynaglał ich, aby zdążyć do Bula Bula.**

**Japończycy zabrali całą broń i wszystkie amunicję, jaką zdołali znaleźć w parowie. Na szczęście jednym z tych, którzy polegli tuż za Bellem, pod skarpą, był celowniczy erkaemu, który padając odrzucił przypadkowo swą broń przed siebie, w podszyt. Ten erkaem znaleźli. Jednakże wyruszyli do Bula Bula bez jednego erkaemu – i bez dwunastu starszych szeregowców i szeregowców – kiedy słońce wynurzyło się z morza, piękne i wspaniałe, trzeciego poranka ataku. Natomiast mieli teraz prowadzącą na miejsce drogę Ding Dong i nie musieli już wyrąbywać zarośli, z wyjątkiem tych wzgórz, które przyszłoby im zdobywać. Kiedy wyruszali, nadciągnęła B – jak – Baker z nowymi noszowymi. A potem kompanię C otoczyła znów dżungla. Godziny za godzinami. Upał.**

**Zajęli dwa niebronione wzgórza, na których zostawili po jednej drużynie, aby czekały na kompanie Baker i Abel, i o południu wynurzyli się z porośniętego dżunglą podnóża wzgórz w gaje kokosowe, właśnie w momencie, kiedy o osiemset jardów w prawo trzeci batalion rozpoczął dwiema kompaniami natarcie na Bula Bula.**

**Band natychmiast skierował ich w tę stronę ruszając kolumną plutonów.**

**Powinien był dać im odpocząć. Oberwani, umorusani, wyglądali jak skaranie boskie, szarańcze i żmije spadające na jakiś nieszczęsny kraj, i tacy istotnie byli. A także zmordowani. Ta dżungla jakoś wypompowywała człowieka bardziej niż jakikolwiek inny wysiłek fizyczny. Gaje kokosowe dokoła nich wyglądały dokładnie tak samo jak tamte, w których biwakowali po drugiej stronie całe wieki temu, a jednocześnie wydawały się zupełnie inne, bo teraz był to teren nieprzyjacielski, nie amerykański. Band pchał ich naprzód. Odgłosy walki trzeciego batalionu po prawej stały się donośniejsze.**

**Jednakże na długo zanim tam dotarli, zostali wypatrzeni i wzięci pod ogień. Tym razem mieli przeciwko sobie moździerze, te duże. Umęczeni ludzie przywarli do ziemi i patrzyli na siebie zbieleńszymi oczyma. Ale Band pchał ich naprzód skokami i małymi grupkami. Z na wpół obłąkanym, profesorskim błyskiem w oczach za stalowymi okularami, nie mógł myśleć o niczym, poza tym, żeby wziąć udział w bitwie o Bula Bula. Ogień moździerzy nie był tak ciężki i nigdzie nie miał takiego prawdziwie zaporowego charakteru jak na Tańczącym Słoni. Japończycy szybko słabli. Mimo to jednak ludzie byli rażeni. W końcu nawiązali styczność.**

**Band powiedział rano dowódcy kompanii B – jak – Baker, kapitanowi Taskowi, że będzie parł ostro, toteż był teraz o przeszło pół mili przed B, która jeszcze nie wynurzyła się z dżungli. Z kolei kapitan Task powiedział wtedy Bandowi, że rozmawiał z dowództwem batalionu, które niepokoi się o kompanię Charlie, bo nie ma od niej wiadomości. Jakimś sposobem słyszeli już o fiasku z zaporą drogową i**

martwili się także stratami. Band począł z wolna mrugać patrząc na Taska, co ten może zauważył, a może nie – Band sam nie wiedział – i odrzekł, że jego straty są nieznaczne, mówiąc ściśle dwudziestu jeden ludzi, co jest niczym jak na robotę, którą wykonali. Teraz pchał swoich ludzi jeszcze usilniej, wspominając tę osobliwą, dziwną rozmowę. Wiedział, że na wojnie, tak jak we wszystkim innym, liczą się wyniki. I kochał tę kompanię rozpaczliwie, namiętnie.

Swym dwóm drużynom, pozostawionym na dwóch nie bronionych wzgórzach, nakazał dołączyć jak najprędzej, gdy tylko je zluzuje kompania B czy A. Naturalnie nie uczyniły tego. Na pole bitwy przybyły dopiero razem z kompanią B, czyli za późno, by coś im się stało.

Jednakże mimo ich nieobecności, oraz nieobecności dwunastu zabitych przy zaporze, kompania odniosła sukces.

Japończycy mieli dwie koncentryczne linie obronne dokoła Bula Bula. Dzielilo je około stu jardów i obie były dokładnie widoczne i dobrze umocnione. Najwyraźniej zamierzali stawić tu jakiś opór, a Band znalazł się naprzeciw lewej części półkola, podczas gdy trzeci batalion atakował po prawej. Właściwie trzeci batalion musiał rozdzielić swoje natarcie. Prąc naprzód, aby rozszczepić Japończyków aż do plaży, zmuszony był skierować w prawo dwie kompanie w celu zaatakowania odciętych tam jeszcze większych sił japońskich, tak że tylko jedna kompania atakowała wieś wykonując właściwie natarcie wiążące, zamiast pełnej próby jej zdobycia. Band oczywiście nic o tym nie wiedział. Podczas gdy jego drugi i trzeci pluton, wzmocnione dwoma cekaemami, wymacywały linie usiłując znaleźć jakąś dziurę, Band wycofał swoje moździerze dostatecznie daleko do tyłu, by mogły strzelać, i rozkazał” jednemu bić w pierwszą linię, a drugiemu w drugą. Mimo że zostały zaatakowane przez wędrującą drużynę japońską, która nie powinna była tam się znaleźć, kładły dobry ogień.

Trwało to dopóty, dopóki sekcje moździerzy nie wystrzelały całej amunicji. Ale wtedy żołnierze już dopadli do linii biegnąc szybko, lecz ostrożnie przez niską trawę między długimi rzędami palm kokosowych, przeskakując takie same stanowiska jak te, na które niegdyś patrzyli z respektem i niepewnością, sapiąc i jęcząc, i od czasu do czasu ginąc. Nie wiedzieli, iż ten nagły przełom zawdzięczać należy faktowi, że prawe skrzydło rozpadło się pod natarciem kompanii L Zresztą nie dbali o „to. Kapral Fife pędził z drużyną Jenksa strzelając do każdego Japończyka, jakiego zobaczył, pełen zarówno strachu jak uniesienia, tak że nie potrafił oddzielić jednego od drugiego. A potem Jenks upadł z głośnym charkotem i gardłem przeszytym kulą karabinową i Fife miał dla siebie całą drużynę oraz odpowiedzialność i stwierdził, że jest tym zachwycony, tak jak i nimi wszystkimi. John Bell, którego opuściła panika z poprzedniej nocy, biegł na czele swojej drużyny i przynaglał ją krzykiem, lecz przede wszystkim pilnował przytomnie, żeby było jak najmniej strat. Don Doll pędził uśmiechnięty, z karabinem w jednej, a pistoletem w drugiej ręce, a kiedy opróżnił



pistolet, puścił go tak, że zwisał dyndając na linewce, i zaczął strzelać z karabinu. Dobiegli. Dobiegli. Kiedy wtargnęli do samej wsi, ujrzeli, że wielu Japończyków odbiera sobie życie granatami, karabinami i nożami, co było może i lepiej, ponieważ większość tych, którzy tego nie uczynili, została zastrzelona albo zakłuta bagnietami. Ogółem wzięto zaledwie osiemnastu jeńców.

Kiedy już było po wszystkim, zaczęli ścisnąć dłonie chłopcom z kompanii I, uśmiechając się do siebie z czarnymi od brudu twarzami. Kilku usiadło i rozpłakało się. Charlie Dale znalazł wiele złotych zębów oraz doskonały chronometr, który później sprzedał za sto dolarów. Natrafiwszy na Japończyka, który siedział zgnębiony w progu chaty, oparłszy głowę na rękach, z tym pięknym zegarkiem błyszczącym na przegubie jak wielki diament. Dale strzelił mu w głowę i zabrał zegarek. Był to prawie jedyny zdobyty łup. Ludzie z kwatermistrzostwa zjawili się, rzekłbyś, w sekundę, i zaczęli domagać się każdej rzeczy. Poza tym prawie wszyscy byli zbyt zmęczeni, umordowani i wyczerpani, by dbać o łupy. Później, oczywiście, mieli tego żałować.

Przez cały następny dzień atakowali wzdłuż plaży. Zluzowano ich w dzień potem. Nowi, czyści, gładko ogoleni, wesoło wyglądający żołnierze z zupełnie nowej dywizji przyszli na ich miejsce mając nacierać w kierunku Kokumbony dalej na wybrzeżu. Cesarska armia japońska była podobno w pełnym odwrocie... Co najmniej równie ważny był fakt, że tym razem nie musieli wracać pieszo, ale zostali zabrani przez ciężarówki, którymi pojechali drogą nadbrzeżną, spoglądając tępo jeden na drugiego i na spokojny, słońcem nakrapiany cień mijanych gajów, ze lśniącem morzem i szumem fal przyboju zaledwie o kilka jardów.

## ROZDZIAŁ 8

**Band został odwołany w trzy dni później.**

**Jednakże nim się to stało, cała C – jak – Charlie spiła się nieprzytomnie, obłądnie podczas dzikiej, masowej, bachicznej orgii, która trwała dwadzieścia osiem godzin i zużyła całą dostępną whisky, a Band – częściowo dzięki tej wielkiej pijatyce – dowiedział się wreszcie, co jego oddział, który tak kochał, naprawdę o nim myśli.**

**Zasługę za to należało przypisać ni mniej, ni więcej, tylko szeregowcowi Mazziemmu, cwaniakowi z Bronxu, służącemu w plutonie broni ciężkiej.**

**Sama orgia była niewiarygodna. I zakończyła się dopiero wtedy, kiedy w pijackiej panice, niby w jakimś szalonym, przerażającym nocnym koszmarze delirium tremens, odkryto, że nie ma już ani jednej butelki, ani jednej kropli whisky w całej kompanii C – jak – Charlie.**

**Odbyło się to w gajach kokosowych, gdzie tym razem założono nowy biwak. Ledwie wysiedli z ciężarówek, a już wydobyto i napoczęto butelki pozostawione tam tak dawno temu przez całkiem innych ludzi i tak starannie skatalogowane przez Storma. MacTac i jego kancelista, w nadmiarze poczucia winy i miłości, wspomagani przez Storma i jego skwaszonych kucharzy, którzy wrócili z Morskiego Ślimaka, gdy ich zapasy się wyczerpały, rozbili spiczaste namioty kompanii w tym nowym miejscu i nawet rozstawili w nich łóżka polowe z kocami i siatkami przeciwmoskitowymi. Klapa namiotu kuchennego była podniesiona, a piece rozpalone. Znużeni wojownicy musieli jedynie zleźć z wozów i rozpocząć poważne – picie, gdy tylko zdołali wydobyć swoje poznaczone butelki z zamkniętych skrzyń Storma.**

**Wszyscy byli po trosze szaleni. Odrętwienie walką, malujące się w błędnych oczach i ściągniętych twarzach, jeszcze ich nie opuściło i nie miało tym razem opuścić znacznie dłużej. To doprowadziło Johna Bella do teoretyzowania w duchu, że jeżeli będzie się dostatecznie często przebywać w linii, przy czym za każdym razem trzeba coraz dłuższego czasu, by pozbyć się odrętwienia walką i przyjść do siebie, może ono przemienić się w stan trwały. Tymczasem, podczas orgii, prawie każdy wymiotował raz albo więcej razy. Kilku ludzi czołgało się na czworakach w księżycowym świetle spokojnie spływającym na piękne, choć zabójcze gaje kokosowe, i wyło do księżycyca niczym wilki lub psy. Inna grupa, złożona z dziesięciu czy dwunastu ludzi, rzuciła całe odzienie i potykając się i tańcząc niczym uczniowie Marty Graham, pognęła nago przez otwarte pole obok biwaku, aby popływać w Matanikau przy księżycu. Było co najmniej dziewięć bójek na pięści. A Don Doll próbował uwieść Carrie Arbre'a.**

**Jednakże kulminacja, szczytowy punkt wszystkiego, nastąpiła, kiedy Mazzi**

zdecydował się stanąć do oczu Bandowi i powiedzieć mu, co o nim myśli. Co o nim myśli jego oddział.

Podjudzali go do tego Carni, Suss, Gluk, Tassi oraz reszta jego kumpli z Nowego Jorku. Siedzieli i popijali w namiocie Carniego, gdzie ten leżał w łóżku, też pijąc, ale powalony przez szczególnie ciężki atak malarii, którego dostał wracając ciężarówką do domu.

Domu? Rozmawiali naturalnie o walce. Band popędzał ich o wiele za ostro. Band niebezpiecznie ryzykował. Band nie musiał prowadzić ich do Bula Bula, gdzie nie byli wcale potrzebni, ani nawet przydzieleni. I oczywiście Łowca Chwały nie powinien był w ogóle próbować urządzić tej katastrofalnej zapory drogowej. Wszyscy byli zajęci narzekaniem na Banda, gdy wtem Mazzi warknął, że powinni mu to powiedzieć, bo co za pożytek z siedzenia tu i pyskowania na ten temat. Carni, z zapadniętymi oczami i twarzą obwisłą z gorączki, będąc przywódcą tej małej grupy nowojorskich cwaniaków, o ile można w ogóle powiedzieć, że miała ona przywódcę, spojrzał na Mazziego i zapytał głosem głuchym z gorączki i cynizmu, dlaczego, do cholery, sam tego nie robi. Aha – powiedział ktoś inny – dlaczego? Właśnie, dodał Suss, dlaczego? Ma tylko do stracenia ten stopień starszego szeregowca, którego może się spodziewać przy następnej liście awansów, ponieważ – uśmiechnął się Suss – o ile jest na pewno bezpieczniej w plutonie broni ciężkiej, to szansa szybkiego awansowania jest tam odpowiednio bardziej ograniczona.

Mazzi wstał urżnięty.

–Dobrze, jak pragnę Boga, powiem! – oznajmił.

Wymaszerował z namiotu i zataczając się ruszył między palmami do namiotu dowództwa, przewróciwszy się tylko raz. Wszyscy podążyli za nim w pewnej odległości, chichocząc radośnie, zadowoleni, że to niebezpieczne ryzyko podejmuje sam jeden. To znaczy wszyscy z wyjątkiem Carniego, który nie mógł wstać z łóżka.

Mazzi może by tego nie zrobił, gdyby nie był pijany i gdyby nie nastąpiło to, co mu się przydarzyło w Bula Bula. Ale szalała w nim taka rozpacz, nienawiść i niepokieszona żalność, że pozbawiony przez alkohol wszelkich hamulców, nie dbał w ogóle, co uczyni, tyle że im będzie gorzej, tym lepiej. Musiał to być ten przeklęty, pierdolony Tills! Do tej pory Tills nikomu nic nie powiedział, co nie znaczyło, że tego nie robi. Mazzi był przekonany, że powie. Bądź co bądź, kiedy ktoś nienawidzi kogoś, tak jak Tills nienawidził jego, to jakże może się powstrzymać od gadania? Zwłaszcza kiedy ktoś wykazywał przez całe życie, jacy oni naprawdę są? Ilekroć o tym pomyślał, czuł drganie w odbytnicy i pieczenie w żołądku.

Podczas natarcia na Bula Bula, kiedy sekcje mózdzierzy zaatakowała owa zabłąkana drużyna Japończyków, zaskoczyła ich zniechęca. Nie powinno było tam być żadnych

Japończyków. W końcu obsługa została zmuszona do ucieczki. Ich zadaniem nie było wdawać się w dalekodystansową walkę ogniową z zabłąkaną japońską drużyną, tylko ostrzeliwanie Bula Bula z moździerzy -. Japończycy, strzelając między rzędami palm kokosowych, nie wykazywali skłonności do podejścia i zwania się z nimi, i najwyraźniej zadowalali się pozostawaniem z daleka, w bezpiecznym miejscu, skąd mogli ich wytłuc.

Za moździerzami, niedaleko po prawej; był mały język dżunglowego podszycia. Mając dwóch lekko rannych na wyraźny rozkaz porucznika Culpa, w dymie, huku i zamieszaniu (moździerze japońskie nadal strzelały tu i ówdzie, starając się ich wymacać) rozmontowali broń i pobiegli do tego schronienia długim, nierównym, spoconym szeregiem. Mieli się tam zebrać i znowu, zając pozycję po drugiej stronie.

I właśnie wtedy to się zdarzyło – pomyślał Mazzi w desperacji po raz tysięczny.

Z podstawą moździerza w jednej, a karabinem w drugiej ręce, biegnąc gdzieś niedaleko prawego końca linii, Frankie Mazzi obrócił się tyłem, by przebić się plecami przez smagającą go po twarzy zasłonę liści. Po jej drugiej stronie obrócił się na powrót do przodu i nagle poczuł, że nadział się na coś, co go złapało i przytrzymało. Wiedział, co to jest, ale nie mógł myśleć dość jasno, by sobie z tym poradzić. Jakaś rzecz chwyciła go za pas amunicyjny przy prawym biodrze... Nie mogąc w to uwierzyć, szamocząc się i klnąc, słysząc kule, które ze świstem przelatywały dokoła przez krzaki, trwał uwiązany, z podstawą wciąż w jednej ręce, a karabinem w drugiej. Gdyby je rzucił, mógłby się wyplątać i potem je pozbierać, ale przyszło mu to tylko mgliście do głowy. Z rozszerzonymi, wybałuszonymi oczyma, z ustami rozwartymi jak jama pełna zębów, szamotał się i szarpał bez końca w jakimś pozaczasowym świecie, w którym jedynymi wymiernymi momentami normalnego, żywego czasu, przelatującymi niby błędne, czerwone błyski jakiejś szalonej latarni nocą na morzu, były nieregularne trzaski kul przeszywających zarośla. I tak tam tkwił z podstawą i karabinem wciąż bezsensownie trzymanymi w rękach. I wiedział, że będzie tam nadal, kiedy nadejdą, zastrzelą go, ugotują i zjedzą.

Dwaj ludzie z sekcji moździerzy minęli go biegnąc pośpiesznie, na nic nie pomni, więc zaczął wykrzykiwać raz po raz słabym, ogłupiałym, żałośliwym głosem te same słowa: „Na pomoc!” Nawet dla jego własnych uszu brzmiało to śmiesznie i beznadziejnie.

–Na pomoc! – zawodził bezsilnie. – Na pomoc! Na pomoc!

Tills był tym, który zawrócił po niego. Też z błyszczącymi dziko oczami nadbiegł pośpiesznie, przygięty, zobaczył, co się dzieje, i oswobodził go. Mazzi przez cały czas miotał się i napierał do przodu. Tills po prostu popchnął go w tył o dwie stopy i gałąź puściła.

A potem obaj pobiegli schyleni, zaś kule wciąż szły dokoła nich po zaroślach. Raz Tills zerknął na niego, rozchylił wargi w drwiącym uśmiechu, wypluł ślinę brunatną od prymki tytoniu do żucia, którą miał w ustach, i pobiegł dalej. Kiedy dojrzeli światło słoneczne po drugiej stronie, kule już nie nadlatywały. A kiedy wydostali się na jaskrawe, bijące w oczy słońce, ujrzeni o jakieś trzydzieści kroków innych żołnierzy, którzy już rozlokowywali moździerze i nastawiali poziomicę. Ruszyli ku nim teraz wolniej, Tills z karabinem przez plecy i lufą moździerza trzymaną w ramionach jak dziecko, Mazzi zaś nadal z podstawą w jednej, a karabinem w drugiej ręce. Ktoś dał im znak, żeby się pospieszyli.

–Tylko nie myśl, że przez to bardziej cię lubię – rzekł Mazzi ponuro. Był pewien, że Tills się wygada.

A teraz, kiedy stał pijany przed namiotem Łowcy Chwały Banda, był tego równie pewien. Wszyscy dowiedzą się i uśmieją z jego kompromitacji. Na myśl o tym chwytały go kurcze w żołądku.

–Wyłaż, ty skurwysynu! – krzyknął dziko w charakterze wstępu. Z zaciemnionego namiotu tylko nikła smużka światła wypełzała ku czekającym na zewnątrz. Wewnątrz nic się nie poruszało.

–Powiedziałem: wyłaż, tchórzliwy gównojadzie! Wyłaż i dowiedz się, co ludzie z twojego oddziału myślą o tobie! Chcesz wiedzieć, co myślimy? Nazywają cię Bandem Łowcą Chwały! Wyjdź i zgłoś nas ochotniczo jeszcze do czegoś innego! Zrób tak, żeby nas więcej zginęło! Dostaniesz kapitana za to, żeś nas zaprowadził do Bula Bula, co? Ile medali uzbierasz za tę zaporę, Łowco Chwały?

Inni zaczęli się także gromadzić dokoła, ich wyszczerzone zęby białły w jasnym świetle księżyca. Świadom ich obecności, Mazzi szalał dalej, kroczył tam i z powrotem, wymachiwał chudymi rękami, piętrzył z ogromnym artyzmem zniewagi i wyzwiska w coraz wyżej wznoszący się domek z kart jego imaginacji. Dwukrotnie rozległy się przytłumione wiwaty uśmiechniętych ludzi w jasnym świetle księżyca. Jednakże nikt inny nie wysunął się naprzód. Natomiast słychać było bulgotanie butelek whisky.

–Jesteś huj, Band! Bydlak! Wyłaż, to sam cię załatwię! Każdy w tym oddziale nienawidzi cię jak zarazy! Wiedziałeś o tym? No i jak się z tym czujesz, Band, jak się z tym czujesz?

Wreszcie światło w namiocie zgasło. A potem podniosła się klapa i Band stanął w wejściu opierając się, ręką o płótno. Chwiał się lekko, był mniej więcej tak samo pijany jak oni, a w drugiej ręce dyndała mu butelka whisky. Miał zsunięty na tył głowy ten poharatany hełm z dużą dziurą, który sobie zachował od ostatniego dnia na Tańczącym Słoniem i osobiście pokazywał prawie każdemu w oddziale. Jasne światło

księżycyca padało mu prosto w twarz, błyskając na stalowej oprawie okularów, zza których jego powiększone przez soczewki oczy wpatrywały się w nich mrugając z wolna dziwnie, we właściwy mu sposób. Nie mówił nic. Za nim stał jego ciemnowłosy, złośliwy i złośliwie wyglądający, perkatonosy włoski zastępca, znowu trzymając karabin.

–Myślisz, że ten pierdolony hełm coś znaczy? – wrzasnął Mazzi.

–Myślisz, że ktoś dba o ten pieprzony hełm?

Band nadal nic nie mówił. Patrzył na Mazzięgo – i pozostałych – twardo, prosto w oczy, ale wciąż z owym dziwnym, powolnym mruganiem powiek, które mu było właściwe i które przypominało mruganie somnambulika.

Ludzie zaczęli wycofywać się z wolna, nieporadnie. Uciecha się skończyła.

–Wracajmy i weźmy się do porządnej popijawy – ktoś mruknął.

Wkrótce nie było już nikogo poza wierną grupką nowojorczyków, lecz Mazzi szalał dalej.

–Myślisz, że ten pierdolony bohaterski hełm ma jakieś znaczenie przy wszystkich porządnym ludziach, którzy naprawdę nie żyją? – wrzasnął Mazzi.

–Chodź, Frankie – szepnął Suss.

Mazzie wyrwał mu się.

–I właśnie to myślimy o tobie! – podsumował krzykiem.

–A teraz oddaj mnie pod sąd wojenny! – I odmaszerował dumnie.

Jego mały nowojorski klan gratulował mu przez całą drogę do namiotów, tłocząc się doń, by go poklepać po plecach i uścisnąć mu rękę, tworząc coś w rodzaju komety hełmów, ze zwięzającym się ogonem i Mazzim jako jej głową. Mazzi chichotał radośnie.

–Ale mu nagadałem! – powtarzał każdemu, kto się nawinał.

–Ale mu nagadałem!

Inni wysuwali się z cienia księżycowej nocy, z butelkami w rękach, aby dorzucić swoje pijackie pochwały. Teraz, kiedy nie mieli już przed sobą milczącej twarzy Banda z wolna mrugającego powiekami, uciecha powróciła.

–I nie pisał ani słowa – chichotał Mazzi. A potem nagle ujrzał wprost przed sobą

**szyderczą, uśmiechniętą twarz Tillsa i to go nagle znów pogrążyło w apatię.**

**–Nagadałem mu, nie ma co – bąknął głucho do następnego winszującego.**

**–Jasne, że tak! – powiedział jego nowy satelita, Gluk.**

**Tills wypluł brunatną ślinę kątem uśmiechniętych ust. I on także się zmienił od pierwszych tygodni.**

**–Nic nikomu nie nagadałeś – warknął z uśmiechem. – Nic a nic. A ja wiem swoje. – Mazzi poczuł w sobie zupełną pustkę.**

**Nie musiał. Tills rozpowiedział całą historię. W ciągu długiej, orgiastycznej nocy i pijackiego dnia, który nastąpił po niej, dopóki whisky się nie skończyła, Tills łapał za guzik prawie każdego w kompanii i opowiadał o Mazzim unieruchomionym, spanikowanym, bezradnym. Wszyscy się śmieli, ale śmieli się bez złośliwości i nie wykpiwali go. Mazzi był bohaterem. Kiedy zdał sobie z tego sprawę w ciągu następnych paru dni, zdołał zapomnieć o swojej głuchej rozpacz i znowu stał się łaskawy, nawet dla Tillsa.**

**Były też inne reperkusje tych całonocnych i całodziennych bachanalii. Najgorsza z nich była ogólna i dotyczyła wszystkich, a polegała nie tyle na tym, że skończyła się whisky, co na uświadomieniu sobie, kiedy powoli otrzeźwieli, że więcej jej nie dostaną, ponieważ nie przynieśli żadnych łupów z Bula Bula. Tym razem nie przybrnęli obładowani japońską bronią, sprzętem i pamiątkami. A więc jak dostać whisky? Nabierało to znamion katastrofy. Rzecz jasna, w C – jak – Charlie byli tacy, którzy nie pili. Dwaj byli niewykształconymi pastorami baptystowskimi z Południa. Dwaj inni zaś tępogłowymi buchalterami, którzy przez pomyłkę zaplątali się do piechoty. I byli jeszcze inni. Jednakże wszyscy orientowali się, że trzeba milczeć i nie chichotać, kiedy groza stała się oczywista, bo żaden doprawdy nie miał ochoty zostać pobity.**

**Były też inne, osobiste konsekwencje dwudziestoośmiogodzinnej orgii. Na przykład kapral Fife. Kapral Fife był teraz sierżantem Fife'em, dowódcą drugiej drużyny trzeciego plutonu. Jenks nie żył, przestrelony na wylot przez krtań, i skonał równie milczący i niekomunikatywny, jak żył – choć może wynikało to z rodzaju jego rany – i Łowca Chwały mianował w polu Fife'a jego następcą. Co ważniejsze, Fife miał teraz pewność, że stał się prawdziwym żołnierzem. Nie wiedział jeszcze, że w miarę jak będzie ustępowało odrętwienie walką (którego dotąd nie odczuwał dostatecznie długo, żeby mieć jakieś doświadczenie), przyjdzie mu zrewidować tę opinię.**

**Jedną z dziewięciu bójek na pięści, do których doszło tej nocy, wywołał Fife.**

**Fife rozpoczął wieczór siedząc i żłopiając whisky z Donem Dollem i paroma ludźmi z obu ich drużyn. I nie miał ochoty być z nikim innym. Czuł gorącą, ojcowską,**

opiekuńczą miłość do każdego żołnierza ze swojej drużyny, teraz, kiedy to była jego drużyna. A drużyna odwzajemniała mu się taką samą synowską miłością, gdy już nie było jej Jenksa. Fife rozmyślał głęboko, iż jest truizmem, że każdy na wojnie musi mieć jakieś ojcowsko – synowskie uczucie wzajemnej adoracji, bo inaczej wojna po prostu nie mogłaby trwać.

Poczuł się dziwnie butny, w miarę jak alkoholowy spokój rozlewał się po jego odrętwiałych i starganych nerwach. Uratował co najmniej dwóch ludzi, a trzech uratowali jego. Zabił ośmiu japońskich drani podczas szalonego wtargnięcia do Bula Bula, z czego czterech nie uzbrojonych i siedzących. I został dwa razy powalony przez moździerze. Przekonał się, że naprawdę jest dużo odważniejszy, niż myślał, i to mu dało rzetelną radość. Wcale nie jest tak trudno być prawdziwym żołnierzem. W gruncie rzeczy to bardzo łatwe. Trzeba tylko robić swoje, czymkolwiek to jest. Traktował teraz Dolla jak równego sobie i Doll musiał się z tym pogodzić. Ale Doll traktował go także jak równego. Fife nie miał tego za złe Dollowi, tak samo jak i fakt, że wtedy nie zrobił go kapralem w swojej drużynie.

Była wszakże jedna rzecz, która wciąż go jątrzyła, a mianowicie to, jak go potraktował ten pieprzony sukinsyn Joe Weld w namiocie kancelaryjnym tamtego dnia, gdy obaj ze Stormem wrócili ze szpitala. Tego nie zapomniał ani nie przebaczył. Weld ukradł mu jego funkcję niczym podstępny złodziej. A potem zachował się jak cholerny, pieprzony świętoszek. Wściekłość kłębiła się w Fife wraz z whisky.

Wybrali sobie ładne miejsce niedaleko od swego namiotu, na samym krańcu gaju, który wychodził na otwarte pole wiodące ku rzece. Było to jedno z nielicznych ładnych, trawiastych miejsc bez wybojów, i siedząc w świetle księżyca pod wysoką, szeleszczącą palmą kokosową widzieli za polem rzekę, a dalej drzewa. Pili i omawiali różne epizody akcji, które się wydarzyły w czasie ich trzydniowego boju o wioskę. Wszyscy o mało nie zemdleli przynajmniej raz, podczas długich, uciążliwych, upalnych marszów, i ich wycieńczenie dopiero teraz zaczynało dawać znać o sobie.

Nieco dalej przy linii był namiot, w którym sypiał personel” dowództwa kompanii, i przed nim też siedziała grupa ludzi. Fife nagle wstał w połowie zdania kogoś, kto właśnie mówił, i ruszył tam bez słowa. Przed namiotem siedzieli Joe Weld, jąkała Eddie Train, w którego objęciach Fife kiedyś wylądował zdjęty przerażeniem, oraz nowy chłopak, Crown, i dwaj kucharze. Rozmawiali o najcięższym marszu, za który uważali ten od Głowy Krewetki do Wzgórza 279.

Kanceliści opowiadali o tym kucharzom! Fife podszedł do nich z zaciśniętymi ustami i rozhuśtanymi rękoma, wodząc powoli językiem po zębach. Doszedł na trzy kroki od Welda, zatrzymał się i stanął nic nie mówiąc. Minęła prawie minuta, zanim ktokolwiek zauważył Fife'a i jego milczenie.

–O, jak się masz, Fife – powiedział Weld tym łaskawym głosem, którego stale



używał od owego dnia. Przedtem był potulny jak jagnię. – Właśnieśmy tu...

–Sierzancie Fife dla was, kapralu! – odparł Fife. – I nie nazywać mnie nigdy inaczej!

Weld spojrział, zaskoczony, zza okularów. Potem wyraz zaskoczenia przemienił się w łagodzący uśmiech.

–Ano, chyba naprawdę zapracowaliście na ten tytuł, sierzancie – powiedział przymilnie. – I to ciężko. Ja w każdym razie na pewno nie...

–Nie liź mi dupy, ty marny pierdoło – rzekł Fife.

–No, no, chwileczkę – powiedział Weld dźwigając się na nogi.

–Ja nigdy nie...

Nie dokończył, bo Fife przystąpił i zwałił go na ziemię bez słowa – nawet bez żadnego odgłosu poza trzaśnięciem pięści w kość policzkową.

–Ej! – ozwał się Weld z ziemi. – Siedziałem tu, popijałem, gadałem i nikomu się nie...

–Wstawaj, pierdoło! Wstawaj, złodzieju funkcji! Wstawaj, oficerski tyłku! – krzyknął Fife. – Wstań, to cię znowu rąbnę!

Najpierw w pobliżu, potem dalej wokoło usłyszał mimochodem radosne okrzyki: „Biją się! Biją!” i tupot nóg nadbiegających ludzi.

–Jasne – rzekł Weld gorzko, dźwignąwszy się na jedno kolano.

–Jasne. To łatwe dla ciebie. Jestem dwadzieścia lat starszy. Mógłbym być twoim...

–Nieprawda! Piętnaście! – krzyknął Fife jak oszalały. – Czytałem to w twoich aktach! Jesteś w kwiecie wieku!

–I o połowę mniejszy – odparł Weld. Ostrożnie zdjął okulary i trzymał je odsunięte w bok, zarazem obserwując Fife'a. – Mogłeś mi stłuc okulary, a nie dostałbym nowych – powiedział z wyrzutem.

–Masz – zwrócił się do Traina. – Weź moje okulary. I pilnuj ich.

–Ja p – pilnuję m – moich w – własnych o – okularów – odrzekł Train.

Zdjął je już i starannie schował do futerału za pierwszą oznaką awantury i teraz rozglądał się wokoło jak niespokojna sowa. Ale wziął okulary Welda.

–Nie chcę się z tobą bić – powiedział Weld. – Nie ukradłem ci funkcji. To porucznik

**Band i Welsh zrobili mnie kapralem. Nikt nie wiedział, że wracasz. Nie chcę się z tobą bić, Fife – powtórzył chytrze. – Po prostu chciałem...**

**Nie dokończył. Miast tego rzucił się dzikim skokiem na Fife'a, chcąc go pochwycić w pól.**

**Nie udało mu się. Radośnie, ponieważ miał teraz pewność, że ten niesportowy, podstępny czyn Welda potwierdza tezę, iż Weld splamił jego honor, Fife zamachnął się znowu i wymierzył mu lewy sierpowy. Tym razem cios był precyzyjniejszy, prosto w szczękę. Weld runął ciężko na ziemię i podparł się na łokciach potrząsając głową.**

**Kiedy przekręcał się, by usiąść, Fife skoczył na niego.**

**Było to tak, jakby nagły piorun radosnej męskości uderzył w czaszkę Fife'a oślepiając go blaskiem chwały. Zwalił się na oszołomionego, leżącego Welda, tłukł go i grzmocił. Chrypiąc i klnąc gardłowo: „Złodzieju!”, okładał bez pamięci obiema pięściami twarz, którą miał pod sobą. Weld dyszał, jęczał i przekręcał się pod nim próbując się uwolnić. Wreszcie odciągnięto Fife'a od – niego.**

**–Puście mnie! Puście! – sapał Fife.**

**Ktoś pomógł wstać Weldowi. Jego nos był złamany i krwawił.**

**Oczy napuchły tak, że prawie się zamknęły. Krew ciekła mu z ust między rozciętymi wargami, nie można było jednak rozeznaczyć, czy ma wybite zęby; później okazało się, że nie. Był jeszcze zamroczony i wyglądał na otumanionego.**

**Fife, który stał nie przytrzymywany już przez nikogo, odzyskał panowanie nad sobą, choć dyszał ciężko, i patrzył na niego czując zarazem radość i konsternację na widok spustoszeń, jakie poczynił.**

**Był z siebie dumny, lecz w gruncie rzeczy nie zamierzał zrobić nikomu krzywdy.**

**–Pokażę ci – to samo za następnym razem – powiedział bezsensownie, rozcierając sobie pięść.**

**Train i Crown ujęli chwiejącego się Welda pod rękę, aby go odprowadzić.**

**–Hej! – zawołał Fife. – Nie róbcie, tego! Nie idźcie! Chodźcie, to się napijemy. Bez urazy!**

**Po dziesięciu krokach Weld przystanął i obejrzał się za nim. Płakał i jednocześnie usiłował się powstrzymać.**

**–Ty... Ty... – wykrztusił. Zdawał się szukać w swej zamroczonej głowie najgorszego**

słowa, jakim mógłby nazwać Fife'a. – Ty urzędniku! – wykrzyknął. Odwrócił się i wszyscy trzej odeszli.

Fife patrzył za nim zaskoczony, na chwilę głęboko dotknięty tym dziwnym określeniem, którym Weld zdecydował się go nazwać „po tak usilnym poszukiwaniu: urzędnik – czyli właśnie to, czym sam był. Ale Fife czuł się wciąż dumny z siebie.

–Okej – powiedział wzruszając demonstracyjnie ramionami.

–Niech będzie. – Obrócił się do dwóch kucharzy, którzy już wycofali się z całej sprawy. – Któryś z was chciałby też dostać? – wyszczerzył zęby. Obaj, choć masywniejsi od niego, potrząsnęli w milczeniu głowami.

Odszedł z Dollem, swoim starym kumplem bojowym, który zjawił się jednak dopiero w ostatnim momencie walki. Wokoło nich ludzie zaczęli się rozchodzić, bo było już po wszystkim. Jednakże w chwilę później rozległy się znowu z innego kierunku okrzyki: „Biją się! Biją!” i wszyscy pobiegli w tamtą stronę. Fife i Doll nie podążyli za nimi, Fife dlatego, że odegrał już główną rolę i był na razie zaspokojony, a Doll z jakichś własnych powodów. Wrócili do swego trawiastego miejsca przez oświetlone księżycem gaje; Fife rozcierał obtłuczone dłonie, a Doll mu gratulował. Fife, który chwilowo był zaprzątnięty sobą, nie zauważył dziwnego, zboląłego wyrazu twarzy Dolla, ani szczególnie wymuszonego sposobu jego mówienia. Gdyby to zauważył, nigdy nie odgadłby przyczyny. Doll bowiem dowiedział się właśnie – zaledwie przed kilkoma minutami – że co najmniej jeden człowiek w kompanii C – jak – Charlie uważa, iż on, Don Doll, jest aktywnym, praktykującym homoseksualistą. Prawdziwym pedałem.

Człowiekiem tym był Carrie Arbre.

Kiedy Fife wstał i odszedł tak nagle, kilku z małej grupki spostrzegło to i ktoś powiedział, że Fife widocznie szuka zwady. A kiedy krzyki: „Biją się! Biją!” zaczęły dolatywać od namiotu dowództwa, któryś z nowej drużyny Fife'a zachichotał: „Założę się, że to Fife!”

I wszyscy zerwali się i ruszyli tam. Jednakże Doll został. A także Carrie Arbre, i Doll nagle poczuł, że serce wali mu w podnieceniu.

Oni dwaj sam na sam.

–Nie idziesz popatrzeć na walkę, Carrie? – zapytał.

–Nigdy specjalnie nie lubiłem przyglądać się bójkom – odrzekł Arbre swym miękkim głosem. – A ty nie idziesz?

–Jestem zanadto zmęczony. I za dobrze mi tutaj – powiedział Doll starając się, by

**krw pulsująca w gardle nie dławiła mu głosu.**

**Oparł się mocniej o drzewo. Arbre leżał podparty na łokciu zaledwie o krok w prawo. Doll był silnie świadom jego bliskości.**

**Dollowi zdarzyło się coś dziwnego podczas walki o Bula Bula.**

**Odkrył ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, że ma ochotę na miłość – fizyczną miłość – z Carrie Arbre'em. Było to na początku natarcia, kiedy jeszcze próbowali znaleźć jakieś przejście przez dwie linie obronne w gajach kokosowych, pod silnym ostrzałem ciężkich moździerzy. Doll odpełznął od swojej drużyny do miejsca, gdzie naradzali się Band, Beck i porucznik Tomms, bo chciał się dowiedzieć, co się dzieje. Zaczął już pełzać z powrotem do drużyny i prawie do niej dotarł, kiedy znów nadleciały wymacujące pociski z moździerzy. Leżał spocony, przywierając do ziemi najsilniej, jak mógł. Niewiarygodna była intensywność koncentracji, z jaką jego uszy nasłuchiwały w” tym całym hałasie owego nikłego, dwusekundowego, trzepotliwego szu – szu – szu, które oznajmiało blisko spadające pociski.**

**Dwa razy takie bliskie go podrzuciły. Leżał z otwartymi oczyma zgrzytając zębami i usiłował wyzbyć się wszelkich myśli. O dziesięć jardów przed nim za grzbietem małego wyrzuszenia, które biegło poprzecznie przez płaskość gajów, widział też leżącego Arbre'a, i niemal z równie intensywną koncentracją, z jaką jego uszy nasłuchiwały pocisków moździerzy, oczy Dolla skupiły się na tej pięknej dupce.**

**Tej pięknej dupce dziewczyny. Zlany krwawym potem, czy raczej tak tylko się czując, leżał i wpatrywał się w nią, aż stała się jego własnością, jego posiadaniem. J w jakiejś dotychczas niedosiężnej głębi samego siebie pojął, że pragnie uprawiać z nią miłość – fizyczną, delikatną, pieśczośliwą, seksualną miłość. W końcu wymacujące pociski przeszły dalej, ale to, co zdarzyło się Dollowi, nie przeszło razem z nimi.**

**I ostatecznie dlaczego nie mógłby tego zrobić? Znał wielu starych wygów, zawodowców, którzy dawniej, za czasów pokoju, mieli swoich pętaków, swoich „chłoptasiów”. Mógł wiele uczynić dla Arbre'a. Chronić go przed najgorszymi zadaniami. Zrobić go w końcu kapralem drużyny. A nawet uzyskać dla niego stopień sierżanta i drużynę, gdyby sam kiedyś dostał pluton. A marynarka wojenna?**

**Nie na darmo nazywali cukierki „ciągutkami”. Jeżeli chciał przyciągnąć do siebie Arbre'a, opiekować się nim i hołubić, nie czyniło to homoseksualistą jego. Czyniło homoseksualistą jedynie Arbre'a, gdyby się zgodził – a Doll był pewien, że się zgodzi. Bo w przeciwnym razie, dlaczego Arbre mówił do niego tak dziwnie wtedy, gdy podchodzili na Głowę Krewetki?**

**Proponował mu jakiś układ. Czołgając się z powrotem do drużyny po przejściu**

nawały mózdzierzy, Doll znowu wspominał z rozkoszą, jak upadł przypadkowo na plecy Arbre'a tam, na grani Morskiego Ślimaka.

I wspominał to teraz, oparty o pień drzewa kokosowego w pajęczym świetle księżycy, mając Arbre'a zaledwie o krok od siebie.

Nie stałby się przez to pedalem, jedynie Arbre stałby się pedalem. Doll nie miał nic przeciwko temu, nie przeszkadzało mu to, był liberalny. Tym, czego Doll pragnął, był jakiś związek. Wszędzie na wyspie były całe masy pedałów i wszyscy o nich wiedzieli. Tylko musiało się czekać w kolejce. Tak jak się stało w kolejce na ulicy do owych burdeli na piętrze w Honolulu, kiedy przejeżdżała dywizja.

A Doll tego nie chciał. Chciał mieć własną dziewczynę.

Pociągnął duży, pokrzepiający łyk, po czym jego prawa ręka ostrożnie odstawiła butelkę i jakby przypadkiem spoczęła na kostce Arbre'a. Usiłując opanować ciężkie sapanie, czekał. Arbre się nie poruszył ani nie odezwał.

–Cholernie piękna noc – powiedział Doll nieco chrapliwie.

–Pewnie, że tak – odrzekł Arbre swym słodkim, dziewczęcym głosem. Doll nagle go pokochał. Biedny dzieciak naprawdę potrzebował kogoś, kto by o niego dbał, kto by się nim opiekował.

Nagle Doll spostrzegł, że jego ręka samowolnie i bez jego wiedzy wsunęła się w nogawkę spodni Arbre'a po jego bezwłosym goleniu aż do bezwłosego kolana. Pozostawił ją tam.

–Byłaby wspaniała noc do miłości. W kraju – powiedział zdławionym głosem.

–Jasne – odrzekł Arbre słodko. A potem nagle się poruszył.

Jego ręce powędrowały spod głowy do krocza i zaczęły rozpinać rozporek.

–Chodź – powiedział.

Doll osłupiał. – Arbre wszystko źle zrozumiał. Był prawie pewien, że Arbre nie może widzieć jego twarzy, ale sam czuł od środka, że stężała w jakiś odstręczający wyraz. Minęło kilka sekund, nim zdołał się zmusić do sztywnego uśmiechu. Gwałtownie cofnął rękę, jak gdyby coś ją sparzyło.

Arbre dalej robił swoje. – Chodź – powiedział miękko. – Chodź.

Nikommu nie powiem.

Doll zmusił się do głośnego śmiechu i wstał.

**–No, chodź – rzekł Arbre. – Popatrz sobie. Wiem, czego chcesz.**

**Obiecuję, że nigdy nie powiem żywej duszy.**

**–Posłuchaj. Nie zapominaj, że jeszcze dowodzę tą drużyną – warknął Doll niskim, prawdziwie morderczym tonem. – Uważaj, co robisz. – A potem, już dużo normalniejszym głosem, jak sądził, zanadto normalnym w tych okolicznościach, powiedział: – Chyba pójdę zobaczyć, jak idzie ta bójka.**

**Arbre mu nie odpowiedział. Możliwe, że zaczynał się orientować w prawdziwych zamiarach Dolla.**

**–Ach, ty draniu! – rzekł po chwili.**

**Doll to „usłyszał, ale już odszedł. Niech łobuz to sobie przetrawi – pomyślał wściekle. Całą twarz oblewał mu taki różowoczerwony rumieniec, iż pomyślał, że musi wydawać się czarna w świetle księżyca. A więc o to chodziło Arbre'owi, kiedy mówił tak dwuznacznie na Głowie Krewetki! Myślał, że Doll chce... że zrobi go kapralem i weźmie... Boże, rozmyślał boleśnie Doll, jak komukolwiek mogło przyjść to do głowy...**

**I teraz, wracając z Fife'em po bójce, zarumienił się znowu głęboko na myśl o tym. Nic dziwnego, że głos miał taki nienaturalny.**

**Kiedy doszli do trawiastego miejsca, Arbre był tam nadal.**

**–Hello, Carrie – powiedział Doll płaskim, zimnym głosem.**

**— Cześć, Doll – odrzekł Arbre takim samym tonem.**

**–Trzeba ci było widzieć tę walkę – powiedział Doll swobodnie. A potem zasiedli, by znowu solidnie popić, przy czym Doll popijał może najsolidniej ze wszystkich.**

**Jeżeli jednak Doll popijał najsolidniej w tym konkretnym momencie, to byli jeszcze inni, którzy mu dorównali czy nawet go przewyższyli w ciągu reszty nocy i pijackiego dnia po niej. A kiedy o czwartej następnego popołudnia skończyła się whisky, wszędzie zapanowała prawdziwa konsternacja. Nie było ani jednej sztuki łupu z Bula Bula do wymienienia z lotnikami na więcej.**

**Kiedy Banda odwołano w półtora dnia później, problem alkoholu nie był – jeszcze rozwiązany i to obchodziło kompanię o wiele bardziej niż usunięcie Banda. Proponowano szereg rozwiązań, w większości rozpaczliwych: cichą kradzież w nocy, zbrojne obrabowanie korpusu lotniczego z pistoletem w rękę, wymianę będącego własnością państwową sprzętu, takiego jak broń, piece i koce, stworzenie prowadzonego przez kompanię kartelu, który dostarczałby surowców i otrzymywał**

gotowy produkt od pewnych członków jednostki z Kentucky i Tennessee, którzy jeszcze z kraju umieli pędzić bimber.

Żadne nie było w gruncie rzeczy wykonalne. Nocna kradzież po prostu nie dałaby dostatecznej ilości, zbrojny rabunek oraz wymiana kompanijnego sprzętu z pewnością doprowadziłyby w końcu do przyłapania wszystkich. A bimber nie wchodził w rachubę, ponieważ nie tylko nie mogli dostać surowego ziarna, ale nie sposób było znaleźć i ukraść gdziekolwiek na wyspie stalowych „ślimaków”, tak niezbędnych w Kentucky czy Tennessee do destylowania alkoholu.

Kiedy długonosy, złośliwy i złośliwie wyglądający włoski zastępca, a teraz nowy, czasowy dowódca kompanii Johnny Creo, wygłosił przemówienie o tym, jak przykręci śrubę tej jednostce, a rzeczy, które się w niej działy, teraz ustaną, nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Mieli poważniejszy problem, a zresztą każdy wiedział, że ktoś tak jeszcze „zielony” i niedoświadczony jak Johnny Creo nie pozostanie długo na czele ich kompanii.

Nikt w gruncie rzeczy nie wiedział, ani nie dbał o to, jaki wyrok wydano na Łowcę Chwały, czy jak do tego doszło i z jakich powodów. W rzeczywistości sam dowódca pułku, Wielki Biały Ojciec, był tym, który zwolnił Banda, a nie pułkownik Spine, dowódca batalionu, tak jak w przypadku Jima Steina i Talla. Band nie mógł się oprzeć uczuciu, że jest to przynajmniej o oczko wyżej.

Przymaszerował przed oblicze starego pijaka podciągnięty jak należy, w okularach, których szkła i stalowa oprawa aż lśniły. Miał na sobie czysty mundur, a buty i naszywki wyglansowane. Band nie miał pojęcia, skąd wie, co będzie, ale wiedział. Zawsze krążyły plotki i zawsze można było wyczytać coś z twarzy kolegów w kasynie czy klubie. W głębi duszy był przekonany, że wszystko, co zrobił, było słuszne, właściwe i uzasadnione, że w istocie nie tylko nie popełnił żadnych błędów, ale przyczynił się walenie do powodzenia całej operacji, która nastąpiła po Głowie Wielkiej Krewetki. Jego ludzie mogli sobie myśleć inaczej, nie mieli ogólnego poglądu. To było coś innego.

Stary pułkownik chrząkał i zacinał się. Krążyły pogłoski, że niedługo zostanie mianowany brygadierem za tę kampanię. Obecny był też przystojny, dystyngowany pułkownik Spine. A także pułkownik Grubbe, zastępca dowódcy pułku pochodzący z Newportu w Nowej Anglii, który uderzająco przypominał długonosego, złośliwego i złośliwie wyglądającego Johnny'ego Creo, zastępcę dowódcy kompanii C – jak – Charlie. Byli także dowódcy innych batalionów. Ale przemawiał Stary Siwiec.

Istotą tego, co miał do powiedzenia, było, że Band popełnił dwa poważne błędy, obydwie dostatecznie poważne, aby opóźnić kampanię na Guadalcanale o tydzień albo więcej. Jednym była jego przedłużająca się cisza radiowa, którą Stary Siwiec mógł uznać tylko za rozmyślną i uporczywą odmowę kontaktowania się z

dowództwem. To było niewybaczalne. Drugim był błąd w wyższej taktyce, za który nie mógł ponosić odpowiedzialności, mimo to jednak powinien był skrócić w lewo wychodząc z dżungli. Nie należało zajmować się Bula Bula, która stanowiła zadanie kompanii I, tylko skrócić w lewo wzdłuż wybrzeża i postarać się zwinąć linię japońską, która w owej chwili rozpadała się w całkowitym zamęcie. Gdyby to zrobił, kompanie Baker i Abel ruszyłyby za nim, a inne, prace drogą przez Wzgórze 279, nadeszłyby z kolei i utworzyły naprawdę silnie obsadzoną linię. Gdyby tak się stało, mieliby teraz zapewne w swoich rękach Kokumbonę i Tassafarongę, wraz z armią japońską na Guadalcanale. Gdyby Band utrzymywał należyty kontakt radiowy, zostałby o tym poinformowany. Dowództwa zarówno batalionu, jak pułku usiłowały przez całe rano połączyć się z nim z tej właśnie przyczyny.

Band przyjął to jak mężczyzna. Uznał, że prawie wszystko, co powiedział siwowłosy stary pijak, jest absolutną prawdą, czy był on pijakiem, czy nie. Jednakże za tą taktyczną strategią tkwiły wyższe umysły niż jego. Nie podkreślił, że skoro mieli kontakt z kompanią Baker przez walkie – talkie, mogli jej kazać skrócić w lewo pozostawiając jego – chociażby błędnie – w Bula Bula. Poprzestał jedynie na oświadczeniu, iż powiedziano mu, że działa jako niezależna jednostka. Niezależna jednostka!

–A! – wyszczerzył poźółkłe zęby stary pułkownik, spadając na niego jak sokół. – Owszem! Owszem! Kiedy łączność będzie niemożliwa, tak, zdaje się, powiedziałem. A w pańskim przypadku łączność była nie tylko możliwa, ale łatwa. Żadnego usprawiedliwienia.

Nie ma żadnego usprawiedliwienia.

Werdykt brzmiał, że ma być stąd zabrany, przeniesiony do innej kompanii innego pułku i pozostać tam aż do śmierci. Nie pójdzie na dowódcę kompanii. Czy zachowa funkcję zastępcy dowódcy, czy też będzie zdegradowany do plutonu? Nie, pozostanie jako zastępca dowódcy kompanii. Ale nie powinien – powiedział stary – spodziewać się jakiegogoś awansu dzięki ubytkom czy z jakiegokolwiek innej przyczyny. Na pewno ktoś będzie miał nań oko i obserwował go.

Nie nastąpi żadne oficjalne potępienie. Ale wojna jest pracą zespołową, powiedział Stary Siwiec uderzając miękko pięścią w otwartą drugą dłoń. Pracą zespołową, pracą zespołową, pracą zespołową.

Każda armia jest zespołem. Pułk jest zespołem. Kompania, pluton, drużyna – to wszystko zespoły. Żaden pojedynczy człowiek nie ma prawa robić niczego na własną rękę. Zwłaszcza na wojnie. Zespół, zespół, zespół! Zbyt wiele istnień ludzkich zależy od każdego posunięcia. Nie potrzebuje wracać do swojej jednostki. Jego rzeczy pakuje już dawny ordynans, z rozkazu porucznika Creo, nowego czasowego dowódcy. I tak George Band zniknął z życia kompanii C – jak – Charlie i więcej go nie



widziano ani o nim nie słyszano.

Kiedy zasalutował, odszedł i kroczył przez błoto terenu dowództwa pułku, wyprostowany i niepokonany, miał absolutną pewność, że odkąd objął dowodzenie kompanią, nie uczynił niczego niewłaściwego, ani jednej jedynej rzeczy, i sumienie go nie nękało. Jak na ironię, czuł, że gdyby postąpił tak, jak chciał Stary Siwiec, i skręcił w lewo, straty wśród jego żołnierzy, którzy tak go nie rozumieli i nie lubili, byłyby o pięćdziesiąt procent wyższe.

Tymczasem na biwaku kompania C wciąż rozpaczliwie usiłowała rozwiązać sprawę braku alkoholu. Nieomal wszyscy w C – jak – Charlie uważali, że alkohol jest ich jedyną nadzieją. Powoli, w miarę jak mijał dzień za dniem, trudna sytuacja pułku, która wynikła, kiedy go zlurowano, stawała się bardziej zorganizowana, bardziej wyklarowana, bardziej kontrolowana. Zaczynały napływać plany służby skracając wolny czas na poszukiwania dużych i łatwo dostępnych źródeł alkoholu. Wkrótce miały też dojść rozkłady zajęć szkoleniowych, plany ćwiczeń oraz zaprawy fizycznej, skracając go jeszcze bardziej. Stawało się to błędnym kołem. Nikt nie mógł podać jakiegoś źródła alkoholu. Rzadkie dostawy wody kwiatowej do kantyn po prostu nie mogły wystarczyć. Nikomu nie pozostało dość gotówki, aby zakupić więcej niż jedną czy dwie butelki whisky co najwyżej.

Tylko Szalony Welsh, uśmiechając się sardonicznie, mógł jakoś wytrzymać czerpiąc dżin ze swego prywatnego źródła. I nękało ich nie tylko to wszystko, ale jeszcze stwierdzili, że odrętwienie walką zaczyna odchodzić, i znowu powrócił im lęk przed nalotami.

John Bell obliczył, że tym razem trzeba było przeciętnemu człowiekowi przeszło sześciu dni, by stracić to odrętwienie – w przeciwieństwie do dwóch dni po Tańczącym Słoniem. W rzeczywistości te walki, choć dłuższe, nie były nawet w przybliżeniu tak ciężkie, jeżeli idzie o siłę ognia czy straty, jak na Tańczącym Słoniem. Bell mógł dojść jedynie do wniosku, że jest to sprawa kumulacyjna. Ale kumulacyjna czy nie, w miarę jak odrętwienie ich opuszczało, zaczęli znowu bać się nalotów. W rzeczywistości nie były one teraz tak niebezpieczne, a oni sami znajdowali się w znacznie lepszym położeniu niż kiedykolwiek dotąd. Tutaj, na północ od Matanikau, byli przeszło dwie mile od lotniska.

Niczego to nie zmieniało. A zresztą Japończycy dokonywali obecnie więcej nękających nalotów na żywe cele niż na lotnisko i mogli zrzucić swoje ładunki wszędzie na całej wyspie.

Ani jeden człowiek z C – jak – Charlie nie przypuszczał, że będzie jeszcze kiedykolwiek lękał się tych drobnych nalotów po powrocie z linii, lecz gdy jednemu z żołnierzy z sąsiedniej kompanii, który leżał na swoim łóżku polowym, niewypał pocisku przeciwlotniczego urwał szczękę, wielu ludziom z C – jak – Charlie zaczęło z

niejakim zawstydzieniem kopać rowy przeciwodławkowe przed swymi namiotami. Zginać podczas któregoś z tych głupich, oślich nalotów po całej walce, jaką przeżyli? Byłby to ironiczny żart Boga i nikt nie mógł się z tym pogodzić. Wkrótce mieli powrócić do tego samego nudne – go, wypełnionego błotem i strachem przed nalotami trybu życia, co przedtem. Po – prostu musiało się znaleźć jakieś źródło alkoholu.

A potem któregoś rana na pobudce starszy szeregowiec Nellie Coombs, ów sprytny szuler, przewrócił się dwa razy, pijany w trupa.

Kiedy to samo powtórzyło się jeszcze przez dwa dni z rzędu, wśród podoficerów utworzono grupę obserwatorów, by śledzić Coombsa, gdy szedł do swego źródła. Okazała się nim stara blaszanka po sucharach, przykryta tkaniną do zawijania sera, ustawiona w słonecznym miejscu w owym języku dżungli nie opodal biwaku i otoczona milionami bzyzcących owadów, Nellie, podobnie jak wielu innych starych zawodowców, służył przed wojną na Filipinach i Hawajach, kiedy to żołd szeregowego pozwalał tylko na własnej roboty paskudztwo, wyrabiane nielegalnie z owoców przez tubylców i nazywane „gwoździem”. Wykorzystał tę umiejętność, by ukraść kilka galonowych puszek wisien i brzoskwiń, i postawić je z drożdżami, cukrem i wodą, aby fermentowały na słońcu. Śledzący go, którym akurat był sierżant Beck, wrócił pijany i doniósł, że trunek ma okropny smak, ale na pewno jest mocny. Ba! Nikt nie wiedział, dlaczego Nellie Coombs postanowił zachować ten skarb tylko dla siebie. Po prostu zawsze był tajemniczy. Jednakże natychmiast zorganizowano wypady w celu kradzenia blaszanek z sucharami i puszek owoców ze składów żywnościowych, które były nimi po prostu zavalone. Nareszcie znaleźli prawdziwe źródło! Źródło, które nigdy się nie wyczerpie. Odzyskali równowagę i wreszcie mogli znów przesiadywać nocami, pić i śmiać się po pijacku z nalotów.

Oczywiście porucznik Johnny Creo nie miał pojęcia, co przydarzyło się jego jednostce ani skąd ludzie to biorą. I nikt mu nie powiedział; konspiracja była całkowita.

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy. Wszędzie dokoła C – jak – Charlie kompanie zaczęły nastawiać papkę w blaszankach i przekazywały ową technikę tym, które z nimi sąsiadowały. Ostatecznie trzymanie tego w tajemnicy nie miało sensu, skoro było dosyć dla wszystkich. Jediną rzeczą, która nigdy nie wyczerpałaby się armii amerykańskiej, były puszkowane owoce. Tak jak to często się zdarza, gdy ludzkość potrzebuje jakiejś wielkiej innowacji czy wynalazku, wyszło na jaw, że kilku eksperymentatorów pracujących w bardzo odległych od siebie miejscach, dokonało tego samego odkrycia prawie w tym samym momencie. Z owych ośrodków wielka wiadomość rozeszła się jak małe fale na sadzawce, zachodzące wreszcie na siebie, i wszyscy się dowiedzieli. Kiedy gdzieś dwaj ludzie oślepli i zostali częściowo sparaliżowani na skutek jakiegoś zatrucia ołowiem, spowodowanego przez blaszanki do sucharów, wszyscy przerzucili się na pięć – i dziesięciogalonowe drewniane

beczułki od marynat i odważna, eksperymentalna praca trwała nadal. Odkryto, że jeżeli nie szorowało się beczulek, kwaśny zapach, pozostały w drewnie, przyczyniał się do usunięcia okropnego, mdławosłodkiego smaku owoców.

Mniej więcej w tym czasie – kiedy kompania C wypróbowywała swą pierwszą serię papek w beczułkach od marynat – p.o. starszego szeregowca Witt z kompanii działowej pojawił się znowu. Przyszedł, aby poprosić o przeniesienie na powrót do swojej dawnej jednostki. Właśnie dowiedział się, że Band już nią nie dowodzi. Tego wieczora spił się z chłopakami świeżym „gwoździem” z beczulek.

Naturalnie Johnny Creo nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Witt nigdy się nie dowiedział, że to Culp uratował sytuację i umożliwił jego przeniesienie. Kiedy Culp usłyszał, że Creo nie ma zamiaru przekazać prośby o przeniesienie, zwrócił się do nowego dowódcy w namiocie kancelaryjnym, wyprawivszy kancelistów wraz z Weldem, którego złamany nos wciąż był oklejony plastrami.

–Słuchaj, Johnny – powiedział poważnie. – Jestem w tej kompanii dłużej od ciebie i znam ją lepiej niż ty. Jeżeli kiedyś będziesz musiał poprowadzić tę jednostkę do walki, cholernie pożałujesz, że nie masz Witta przy sobie!

Creo zacisnął wargi pod swoim długim nosem.

–Słyszałem na własne uszy, jak groził swojemu dowódcy kompanii!

–Gównu z tym! – warknął Culp. – Jasne. I jeśli o mnie idzie, nie mam mu tego za złe. Ty nie rozumiesz tych chłopców. Pamiętaj też, że byłem z nimi w boju częściej niż ty. Byłem na Głowie Słonia, kiedy Witt poszedł z tą grupą szturmową. Mówię ci, że popełnisz poważny błąd, jeżeli go nie weźmiesz z powrotem. Wyrzekasz się jednego z najlepszych potencjalnych dowódców plutonu, jaki był w C – jak – Charlie.

–Nie chcę takiego człowieka w mojej jednostce – odrzekł Creo niepewnie. Culp prychnął.

–Zaraz mi powiesz, że jesteś liberałem i nie chcesz go mieć w swojej jednostce, bo nienawidzi Murzynów! To jest wojna, człowieku! Wojna! Wiem, że jesteś wyższy rangą ode mnie i możesz mnie usadzić za to, co mówię. Ale wszystko mi jedno. Musisz posłuchać.

I zmusił go do słuchania. Argumentował dalej z taką samą – siłą i gwałtowną żywotnością, z jaką niegdyś przekonywał Jima Steina do wypadu na piechotę morską po tamte tomigany – i wreszcie zwyciężył Crea samą swoją energią. W końcu Creo się zgodził. Był, to bodaj ostatni ważny uczynek Culpa dla kompanii C. W dwa dni później rozwalił sobie większą część prawej dłoni łowiąc ryby.

Nie była to pierwsza wyprawa do Matanikau na ryby, dla urozmaicenia wiecznego jadłospisu, złożonego z konserwowego mięsa, suszonych kartofli i puszkowanych owoców. Przez te dwa tygodnie od wyjścia z linii robili to trzykrotnie, i za każdym razem Storm przyrządzał im takie wspaniałe danie ze smażonych ryb, że co wrażliwsi płakali z tęsknoty za domem. Tym razem wzięli tylko trzy granaty, bo zwykle dwa wystarczały. Było to oczywiście surowo zabronione, i dlatego zawsze wybierali się tuż po świcie. Niektórzy wyżsi oficerowie zapobiegliwie przywieźli na Guadalcanal swoje wędkę i muszki, Culpowi i jego chłopcom nie chodziło jednak o sport, tylko o jak największą ilość ryb w możliwie najkrótszym czasie, a do tego granaty były doskonałe. Ktoś – bodajże Chudy Culn – rzucił pierwszy granat. Trzej pływacy czekali już nago na brzegu, aby pozbierać ryby, zanim je zniesie prąd. W minutę po podwodnej eksplozji z pięćdziesiąt ryb unosiło się brzuchami do góry na wolno płynącej wodzie.

–Dwa powinny wystarczyć! Ja rzucę następny! – zawołał Culp w podnieceniu. – Trochę dalej w górę rzeki!

Przeszedł kilka kroków w tę stronę. Potem wyciągnął zawleczkę i rzucił. Wszyscy się śmieli i gadali z podnieceniem. W pół sekundy po wyrzuceniu go z ręki granat wybuchnął w powietrzu. Widocznie jakaś pracownica fabryki zbrojeniowej; ubrana w seksowne dżinsy, zagadała się z sąsiadką przy linii montażowej na temat swej nowej sukni czy nowego kochanka, i źle dopasowała zapalnik.

Culp miał szczęście, że nie zginął. Oczywiście stracił przytomność. Dwa palce były całkowicie urwane, a dwa dyndały na kawałkach skóry. W różanym świetle świtu założyli mu turnikiet na rękę, a całą dłoń owinęli czyjąś chustką, żeby te dwa palce się nie oderwały. A potem ponieśli go do szpitala na noszach zaimprovizowanych z dwóch spiętych razem bluz drelichowych, z żerdziami przewleczonymi przez rękawy. Dwaj pływacy zostali, aby pozbierać ryby. Po drodze zatrzymali jeep. W szpitalu doktor powiedział, że dzięki ich szybkiemu działaniu może uda się uratować owe dwa palce.

Na punkcie opatrunkowym wszyscy już byli starymi wygami. Przynajmniej tyle mogli zrobić dla Culpa. Kiedy w końcu odzyskał przytomność, uśmiechnął się w odurzeniu.

–W ogóle nic nie czułem! – powiedział z dumą. – Wcale nie bolało!.

Jego dłoń była już umieszczona w dużej drucianej ramie, która wyglądała jak olbrzymia rękawica: Nazajutrz odesłano go samolotem do Nowej Zelandii.

Przed odjazdem opowiedział Culnowi i Beckowi, co uczynił w sprawie Witta.

–Ale musicie, chłopcy dopilnować, żeby go zrobił sierżantem.

Sam nigdy o to nie poprosi. Chowałem to sobie na później.

**–Niemożliwe – odrzekł Chudy Culn. – Żeby nie wiem co. Jeden mój kumpel z personalnego wydziału pułku mówił mi, że stopnie w Charlie są zamrożone, dopóki nie mianują Crea na stałe albo nie dadzą nam nowego stałego dowódcy.**

**–Rozumiem – powiedział Culp. – Masz stosunki, co? Ano, może wtedy da się to zrobić. – Westchnął. – No, może was zobaczę w jakimś szpitalu – uśmiechnął się. I tak Culp, ten wieczny chłopak z college'u, został również wyeliminowany. Miało im być ogromnie brak jego miłej, uczciwej, prostej trzeźwości sądu.**

**Na przeniesienie Witta potrzeba było trzech tygodni. A potem drobny Kentuckyańczyk zjawił się dźwigając swoje worki oraz wszystko, co posiadał, i uśmiechając się od ucha do ucha. Od razu został awansowany na sierżanta przez nowego dowódcę kompanii, kapitana Bosche'a, który zachował dla niego miejsce.**

**Bosche nie był dla nich jedynym wydarzeniem w ciągu tych trzech tygodni. Choć może pod pewnym względem był najważniejszym. Niewątpliwie pozostawił osobiste piętno na wszystkim, co się z nimi działo. Ale przynajmniej równie ważny jak Bosche był nowy program zajęć szkoleniowych. Przyszedł on jeszcze przed Bosche'em, a jego istotą były ćwiczenia desantowe.**

**Krążyły pogłoski, że mają jechać do Australii na przeszkolenie i przegrupowanie, tak jak pierwsza dywizja piechoty morskiej. Nawet najbardziej pełni nadziei połapali się jednak tego pierwszego dnia, kiedy ich zabrano na kanał łodziami desantowymi i przywieziono z powrotem, aby ćwiczyli lądowanie. Nie odjeżdżali nigdzie, chyba na północ, na Nową Georgię. Kiedy to stało się jasne, wyraźnie wzrosła ilość „gwoźdza” konsumowanego przez kompanię.**

**Szkolenie trwało bez przerwy, a kiedy przybył Bosche, od razu stało się jeszcze twardsze. Na wyspie pobudowano strzelnice i ćwiczyli na nich dzień po dniu, strzelając i strzelając, pocąc się na gorącym słońcu bez cienia. Co dwa, trzy dni były marsze ćwiczebne.**

**Sekcje moździerzy i karabinów maszynowych – pod wodzą nowego porucznika, który zastąpił Culpa – przeprowadzały ogromne ćwiczenia w strzelaniu, i to ostrą amunicją. Nie szczczędzono żadnych wydatków. Jedynie noce – przesiadywanie w świetle księżyca, popijanie obrzydliwego „gwoźdza”, gadanie i rozmyślanie o kobietach – pozostały nie zmienione.**

**Kiedy Bosche zjawił się, by przejąć dowodzenie od Johnny'ego Creo, od razu wygłosił mowę na temat „gwoźdza”.**

**Był twardym, niskim facetem, może trzydziestopięcioletnim, w ciasno opiętym mundurze, uszytym na zamówienie. Miał jędrny, mały brzuch, który wyglądał co najmniej na równie twardy jak płaskie brzuchy większości sportowców. Mosiężna**

sprzączka jego pasa błyszczała jak gwiazda. Na lewej piersi miał przyszyte mnóstwo wstążeczek, wśród których można było od razu zauważyć Srebrną Gwiazdę oraz Fioletowe Serce z okuciem. Był dwukrotnie ranny.

Brał udział w akcji na Pearl Harbor. Nie był absolwentem West Point.

Zamiast tego nauczył się żołnierki w sposób najcięższy, czyli z doświadczenia. Przyszedł do nich z jednego z pułków dywizji American. Po raz pierwszy dowodził w stopniu kapitana.

–Z całą pewnością widziałem równie dużo, a – może więcej walki niż wy, chłopcy. Nie lubię wojny. Ale ją mamy i jest tutaj. Z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że nie lubię w niej wszystkiego.

–Otóż wiem, że wyrabiacie i pijecie ten cholerny „gwóźdz”. Proszę bardzo. Każdy z mojej jednostki może się upijać co noc, ile tylko chce, byleby był gotów – i w formie – stanąć na pobudkę i wykonać każde zadanie, jakie otrzyma. Jeżeli nie da rady, będzie miał przykrości, i to ode mnie. Osobiście.

Przerwał i popatrzał na ludzi otaczających jeep, na który się wdrapał.

–Nie bardzo lubię to słowo „zespół”. Wkrada się ono wszędzie.

Nie ma już pułku, tylko Bojowy zespół Pułkowy. W porządku. Nie bardzo je lubię, ale będę się nim posługiwał, kiedy będę musiał. A więc jesteśmy zespołem. – Po tym wyznaniu znów przerwał, tym razem dla dobitnego podkreślenia.

–Jednakże wolę myśleć o sobie jako o człowieku rodzinnym.

I tym właśnie jesteśmy tutaj wszyscy, czy nam się to podoba, czy nie. Rodziną. Ja jestem ojcem, a... – przerwał znowu – tu obecny sierżant Welsh jest wobec tego matką. – Rozległy się śmiechy: – I czy wam się to podoba, czy nie, wy wszyscy jesteście dziećmi w tej rodzinie. Otóż rodzina może mieć tylko jedną głowę, a jest nią ojciec. Ja. Ojciec jest głową, a matka kieruje rodziną. I tak tutaj będzie. Jeżeli któryś z was zechce zobaczyć się ze mną w jakiejś sprawie, jakiegokolwiek w ogóle, przekonaj się, że jestem do dyspozycji.

Z drugiej strony będę zajęty utrzymywaniem tej rodziny, więc jeśli sprawa nie będzie ważna, może ją załatwić matka. To wszystko, z wyjątkiem jeszcze jednego.

–Jak wszyscy wiecie, przechodzimy teraz szkolenie. Wszystkim wam wiadomo, jakie to jest szkolenie. Otóż postaram się, żeby było możliwie jak najtwardsze dla każdego. Ze mną włącznie. Ale bez względu na to, jak twardym je uczynię, nie może być takie twarde jak walka. Co wszyscy dobrze wiecie. Więc spodziewajcie się tego.

**To wszystko.**

**–...Z wyjątkiem jeszcze jednej rzeczy.**

**–Chcę, abyście wiedzieli, że dopóki wy, chłopcy, będziecie trzymali ze mną, ja będę trzymał z wami. Na całego i wobec kogokolwiek. Każdej jednostki, każdej armii, japońskiej, amerykańskiej czy jakiej jeszcze. Na to możecie liczyć. – Przerwał znowu. – A teraz to już naprawdę wszystko. – Twardy mały człowieczek nie uśmiechnął się ani razu, nawet przy własnych dowcipach.**

**Spodobał się wszystkim. Nawet Welsh go polubił. A jeśli nie polubił, to przynajmniej szanował. Co było bardzo dużo, jak na Welsha. W każdym razie musiał być lepszy niż Łowca Chwały czy Johnny Creo. Tylko John Bell, stojący gdzieś w tyle, miał jakieś podejrzenia, lecz nie był wcale pewny, czy nie wywodzą się bardziej z niego samego niż z kapitana Bosche'a. Ostatecznie czego można żądać od człowieka? Na pewno niczego więcej, niż Bosche zaofiarował. Jeżeli zaś dorastał do tego i dotrzymywał swoich obietnic, nie można było żądać niczego więcej. Jednakże Bellowi przyszła nagła ochota rozeźmiać się szaleńczo i zawołać na cały głos; „Dobrze, ale co to wszystko znaczy?” Zdołał się pohamować. W ostatnich trzech tygodniach Bell dostał siedemnaście listów od żony, wszystkie kochające, ale nie mógł się oprzeć myśli, że może napisała je wszystkie naraz, w wielkim przypiływie energii, tego samego dnia, że je zakleiła, nalepiła znaczki pocztowe, zaadresowała i ułożyła na biurku, by nie zapomnieć wysyłać je po jednym co kilka dni. Zrobił tak kiedyś z listami do rodziców, kiedy był w college'u. W każdym razie przemówienie Bosche'a było lepsze od tego, którego mieli wysłuchać w kilka dni później.**

**W dwa dni po przybyciu Bosche'a do C – jak – Charlie kampania o Guadalcanal się zakończyła. Ostatni Japończycy zostali zabici, wzięci do niewoli albo wyewakuowani przez swoich, a wyspa opanowana. Ta data zbiegła się z awansem dowódcy pułku na brygadiera.**

**Bardziej żeby uczcić to właśnie, niż zakończenie kampanii, ludzie dostali dzień wolny od ćwiczeń. Miało się odbyć przyjęcie – piwna uczta, wydana i opłacona przez pułkownika. Niestety piwo było Ciepłe i okazało się, że jest go niespełna puszka na głowę. Być może to wpłynęło na powszechną recepcję mowy pułkownika.**

**Był on oczywiście dobrze zaprawiony. Tak samo jak wszyscy wyżsi oficerowie siedzący na podium z desek i kozłów. Już przedtem oblewali ten awans. A Wielki Biały Ojciec nigdy nie służył jako wybitny mówca poobiadowy. Kiedy go zapowiedziano, wstał chwiejąc się lekko, z zaczerwienioną, cętkowaną twarzą i powiedział swoim musztrowym tonem:**

**–To dzięki wam, żołnierze, dostałem tę gwiazdkę. – Dotknął swego naramiennika. – A teraz chcę, żebyście ją zdobyli także dla pułkownika Grubbego! – Potem usiadł.**

**Wiwatów nie było.**

**Pułkownik Grubbe, który, chociaż pochodził z Nowej Anglii, ogromnie przypominał długonosego, złośliwego i złośliwie wyglądającego Johnny'ego Creo, zadowolił się powiedzeniem, iż ma nadzieję, że będzie równie dobrym dowódcą jak jego poprzednik, i aby to podkreślić, poprosił o wzniesienie okrzyku na cześć nowego generała.**

**Tym razem rozległo się kilka pobłażliwych i ironicznych wiwatów.**

**John Bell, chociaż nie mógł mówić za innych, odszedł mając ochotę zerzygać się z czystej wściekłości i gniewu, czy może wskutek wypicia ciepłego piwa. Nazajutrz Bosche zrobił go sierżantem – szefem plutonu.**

**Awanse sypnęły się wszędzie jak ulotki propagandowe. Po przybyciu i zainstalowaniu się Bosche'a struktura organizacyjna została odmrożona i mógł wypełniać, kim chciał, wakanse po ostatniej bitwie.**

**Wierny własnej charakterystyce, którą przedstawił w swym przemówieniu, pozwalał, by sierżanci z plutonów udzielali mu rad. Tym razem straty były o wiele mniejsze niż na Tańczącym Słoniu. Nie licząc tych dwunastu, którzy polegli przy zaporze Łowcy Chwały, kompania miała tylko siedmiu zabitych, co w sumie czyniło dziewiętnastu. Rannych też było odpowiednio niewiele, ogółem zaledwie osiemnastu. Z tego siedmiu sierżantów. Na bitwę o Bula Bula i wszystkie walki w gajach kokosowych stoczone w ostatnich dwóch dniach rzucał interesujące światło natury statystycznej fakt, że był nieporównanie większy odsetek ran nóg niż normalnie. Przypisywano to temu, iż Japończycy byli w owym momencie tak wygłodzeni i osłabieni, że nie mieli siły podnosić karabinów, aby celować wyżej. Czy było tak, czy nie, przeszło połowa rannych z C – jak – Charlie miała rany nóg. Jednym z nich był sierżant „Jimmy” Fox z trzeciego plutonu i właśnie ten pluton kapitan Bosche dał Johnowi Bellowi. Inne wakanse w plutonach nie były wcale wynikiem strat i to dziwnie zaskoczyło prawie wszystkich. Z rozkazu, który przyszedł aż od samego dowódcy dywizji, choć w dużej mierze musiało go spowodować i załatwić dowództwo pułku, sierżant Chudy Culn otrzymał liniowy stopień oficerski podporucznika. Był to bodaj, a nawet na pewno, pierwszy przypadek, kiedy ktokolwiek z nich (z wyjątkiem Johna Bella) przekroczył czy przełamał oficerski system kastowy.**

**Ich Stara Armia załamywała się pod naciskiem wojny i Culn, uśmiechając się z pełnym zadowolenia zakłopotaniem, spakował się przed odejściem, zaprzysiężeniem i przydzieleniem do innego pułku. Bosche dał jego pierwszy pluton Charliemu Dale, byłemu drugiemu kucharzowi, który miał już cały kwartowy kamionkowy dzbanek złotych zębów, jako zaczątek swojej kolekcji. Beck oczywiście pozostał na drugim plutonie. Natomiast jego zastępca odpadł wskutek rany odniesionej pod Bula Bula. Na jego miejsce przyszedł sierżant Don Doll, którego w tym celu awansowano do**



sztabowego. A wszędzie na całej linii podniesiono stopnie innym, by zastąpili awansowanych.

W trakcie tego wszystkiego trwało ciągle szkolenie. Na wyspę zaczynały napływać świeże uzupełnienia, które odpowiednio rozdzielano. Po raz pierwszy od dawna C – jak – Charlie miała znów prawie pełny stan. Tych nowych przydzielano do drużyn i włączano w ćwiczenia na strzelnicy, w problemy taktyczne małych jednostek, pozorowane desanty. Nazywano ich „mięsem armatnim” tak jak niegdyś kompanię C, oni zaś spoglądali na takich ludzi jak Beck, Doll i Geoffrey Fife z tym samym respektem, z jakim Beck, Doll i Fife, obecnie sami brodaci, spoglądali niegdyś na brodatych żołnierzy z piechoty morskiej. Jednakże nie mieli pozostać brodaci zbyt długo.

Pod pewnym względem było to dosyć smutne. Ich brody, odkąd zaczęli je zapuszczać w tygodniu, który nastąpił po Tańczącym Słoniem, były cennymi symbolami ich pozycji. Symbolizowały stosunkową swobodę frontowego, bojowego żołnierza piechoty, w porównaniu do surowego, bardziej zdyscyplinowanego, „garnizonowego” rodzaju życia oddziałów tyłowych. Nawet najrzadszą najnierówniej rosnącą brodę dziesięcioletnia hodowca jej nosił z dumą, jako symbol bojowego żołnierza. Teraz, z rozkazu dowódcy dywizji, odbierano im je. W miarę jak oddalała się walka z towarzyszącym jej podnieceniem i histerią – ta sama walka, z której stoczenia byli tacy dumni i uważali, że zasłużyli nią sobie na jakieś uznanie – wtłaczano ich z powrotem w surową dyscyplinę życia garnizonowego, tak jakby byli rzeczywiście żołnierzami garnizonowymi, którzy nigdy nie dali strzału w boju. W istocie przypominało to teraz życie garnizonowe: sobotnie inspekcje, idiotyczne ćwiczenia każdego dnia w tygodniu, służba robocza i porządkowa, wolne niedziele. Wszyscy wiedzieli, że te ćwiczenia są bzdurą, że kiedy znowu pójdą do walki następnym razem, nic nie odbędzie się tak, jak to przewidywały podręczniki szkoleniowe, i całe to pieprzone szkolenie okaże się bezużyteczne. Jedyną rzeczą naprawdę coś wartą była zaprawa na strzelnicy, podczas której uczyli strzelania z karabinu te niewiarygodnie źle wyszkolone uzupełnienia, ale reszta to było gównem. A teraz jeszcze ich brody. Po kilku późnowieczornych spotkaniach oraz namiętnych, natchnionych przez alkohol mowach postanowiono przedłożyć formalny protest kapitanowi Bosche'owi. Wydelegowano w tym celu Milly Becka, jako najstarszego obecnie sierżanta – szefa plutonu. Po raz pierwszy mieli zobaczyć Bosche'a w działaniu, razem z tym jego oświadczeniem: „Trzymajcie ze mną, a ja będę trzymał z wami”.

–Pan kapitan sam wie, że to szkolenie jest na ogół bzdurą – powiedział mu z powagą Milly Beck. – Będzie gównem znaczyło, kiedy znowu pójdziemy się bić. Uważamy...

–Nie, sierżancie – przerwał mu Bosche pocierając swą zawsze nienagannie, gładko ogoloną, drobną, tłustą, krągłą szczękę. – Chcę jasno powiedzieć, że wcale się z tym

nie zgadzam.

–W porządku, panie kapitanie. Tak jak pan mówił, pewnie pan widział więcej walki niż my. Ale dalej uważamy, że to bzdura. Poza strzelaniem na strzelnicy, ma się rozumieć. Mimo to robiliśmy wszystko i nikt się nie uchylał, nikt nie narzekał. Trzymaliśmy z panem na całej linii.

–Wiem o tym, sierżancie – rzekł Bosche.

–No, a teraz chcą nam odebrać brody. To jest zwyczajne, marne, parszywe świństwo. My...

. – Niestety w regulaminie wojskowym jest ustęp, który wyraźnie mówi, że w wojsku nie będzie nosiło się bród. Mam wrażenie, że datuje się to z czasów kawalerii i wojen z Indianami. Dowódca dywizji uznał za stosowne powołać się na ten właśnie przepis. Nie mogę nic a nic na to poradzić.

–No, a czy pan kapitan nie napisałby do niego w naszym imieniu listu z protestem?  
– zapytał poważnie Milly Beck. – Bo my...

–Wiecie, że w wojsku nie wolno pisywać takich listów z protestami, sierżancie – odrzekł spokojnie Bosche. – Kiedy dostaję rozkaz od przełożonego, muszę go usłuchać tak samo jak wy.

–Rozumiem – powiedział Beck. – Więc pan kapitan nie napisze nam tego listu?

–Żadną miarą nie mogę. Nie mogę.

–W porządku. – Beck poskrobał się po kędzierzawym zaroście i pomyślał chwilę. – No, a co z wąsami, panie kapitanie?

–Rozkaz nic nie mówi o wąsach. O ile mi wiadomo, w regulaminie wojskowym nie ma nic o tym, że szeregowcowi nie wolno nosić wąsów. Nawet wydaje mi się, że gdzieś jest ustęp, który wyraźnie na to zezwala.

–Wiem – rzekł Milly Beck. – To znaczy, i mnie się tak zdaje.

Mam wrażenie, że go widziałem. Ale listu w sprawie bród pan kapitan nam nie napisze? O tym, ile one dla nas znaczą?

–Napisałbym – odparł Bosche krótko. – Bardzo chętnie. Ale po prostu nie mogę. Mam związane ręce.

–Okej, panie kapitanie. Tak jest – powiedział Beck i zasalutował.

I to było wszystko, co miał do przyniesienia i zakomunikowania.

Ludzie doszli do wniosku, że przy pierwszym sprawdzeniu swej polityki „trzymajcie ze mną, a ja będę trzymał z wami” Bosche wypadł nieco gorzej, niż to zapowiadała jego obietnica. Okazało się, że jest po prostu taki jak wszyscy na tym świecie, i nie żaden tytan.

Gdyby choć jeden oficer, jeden dowódca kompanii, uznał za właściwe napisać do dowódcy dywizji o doniosłości bród, ten może by odwołał swój rozkaz. Żaden dowódca kompanii tego nie zrobił. Prawie z dnia na dzień zniknęły wszystkie brody na Guadalcanale, z wyjątkiem paru oddziałów pionierów nowozelandzkich i kilku małych jednostek piechoty morskiej, które zresztą nigdy nie oglądały walki.

Natomiast wąsy zostały. Teraz jedynym sposobem protestowania przeciwko utracie bród było zapuszczanie jak najśmieszniejszych, najdziwaczniejszych wąsów, i ci, którzy mieli dostatecznie silny zarost, próbowali tego. A szkolenie trwało nadal.

Wzrastało teraz poczucie zagrożenia. Nikt w gruncie rzeczy nie miał ochoty jechać na Nową Georgię, nawet, największe chojraki, Doll i Fife zostali serdecznymi przyjaciółmi od owej nocy, kiedy Fife stoczył bójkę, i dyskutowali prywatnie o tej sprawie. Fife'a przygniatało głębokie i przejmujące poczucie zguby, które wzrastało w całej dywizji. To natomiast wcale nie nękało Dolla i chociaż przyznawał, że nie ma ochoty jechać, dopatrywał się pewnych emocjonujących i intrygujących rzeczy w wyjeździe na Nową Georgię.

–Mamy tę wojnę i już – powiedział. – Nie możemy na to poradzić ni cholery. Po prostu jest. A w walce są pewne rzeczy, które uważam za przyjemne.

–Wierzysz, że jest jakieś życie po śmierci? – zapytał po chwili.

–Nie wiem – mruknął Fife. – Na pewno nie takie, jak mówią wszystkie kościoły. Japonce wierzą, że jeżeli umierają w walce, idą na zawsze prosto do nieba. Jak bardzo można być prymitywnym?

Po prostu nie wiem. Taka jest prawda.

–Ano, ja także nie wiem – odparł Doll. – Ale czasem muszę się nad tym zastanawiać.

–Chodźmy do składu wziąć trochę owoców w puszkach – uśmiechnął się po chwili.

Była to jedna z ich ulubionych rozrywek od czasu, kiedy zaczęto wyrabiać „gwoździa”. W istocie oni dwaj stali się dostawcami owoców dla całej kompanii C. Fife wiedział, że jest w tym coś zabójczego. Nie był taki jak Doll. A jednak szedł zawsze. Przypominało to gryzienie własnej rany.

Podchodzili z dłońmi na kaburach pistoletów. Byli zawadiakami.

**Fife też miał teraz pistolet, uzyskany pod Bula Bula, gdzie zdjął go z zabitego Amerykanina, którego znalazł leżącego twarzą do ziemi, z palcami stóp skręconymi do wewnątrz, czy może na zewnątrz?**

**Byli naprawdę zawadiakami i Fife'owi to się podobało. Bo przez te krótkie chwile mógł wierzyć, że jest tym, za co go miało to nowe mięso armatnie. Żołnierzem? Piratem? W każdym razie zawadiaką.**

**Od momentu, kiedy głównodowodzący generał dowiedział się o wyrabianiu „gwoźdza”, kazał wystawić uzbrojonych wartowników przy wszystkich składach żywności. Mieli rozkaz strzelać i zabijać.**

**Dlatego było to zabawne.**

**A zatem podchodzili. Uzbrojony wartownik siedział dalej, na wierzchu, z karabinem w ręce, i zawsze był to któryś z mięsa armatniego. Co zrobisz z tym gnatem, bracie? – pytał jeden z nich. Zastrzelisz mnie czy coś takiego? Nikt, kto był naprawdę równy, nie nazywał już tego bronią. Zazwyczaj na nich krzyczano. To mięso armatnie.**

**Następowały groźne gesty. Ktoś, jakiś dowcipniś z kompanii, wymyślił nazwę dla szczególnie słabych, a mianowicie „armatnia konina”. Po prostu stawali i patrzyli na wartownika, z dłońmi spoczywającymi na kaburach. A potem brali, co chcieli, i odchodzili, wzgardliwie odwróciwszy się plecami. Nigdy nie strzelano do nikogo. Ale Fife nie był taki jak Doll. I wiedział o tym.**

**Pierwszy raz uświadomił to sobie w owym niedobrym momencie, kiedy ich opuściło odrętwienie walką, a jeszcze nie dowiedzieli się o „gwoździu”. Nigdy nie przypuszczał, że mogą go przerazić te błahe, niegroźne, małe naloty, ale tak było. A Doll najwyraźniej się nie bał. Fife myślał, że odrętwienie walką jest nowym stanem ducha.**

**Toteż kiedy odeszło i pozostawiło go roztrzęsionego jak galareta, nie był na to przygotowany. Musiał znowu stanąć przed tym samym faktem co przedtem, a mianowicie że nie jest żołnierzem. Wrócił do punktu wyjścia. Trzeba było każdej drobiny odwagi, na jaką mógł się zebrać, aby podczas nalotu dalej siedzieć pod palmą kokosową i popijać, zamiast dać nura do swego rowu. Potrafił się na to zdobyć i tak czynił, lecz kosztowało go to więcej niż innych, takich jak Doll.**

**Zmuszony więc był znów stanąć w obliczu tego starego faktu, o którym zawsze wiedział. Był tchórzem.**

**Może właśnie to, ta świadomość sprawiła, że skorzystał z pewnej furtki, kiedy się nadarzyła, a MacTac, młody sierżant z zaopatrzenia, powiedział mu, że powinien to zrobić. Rzecz jasna, każdy, kto tylko mógł, korzystał z tej furtki. Nawet Doll usiłował z niej skorzystać, ale – był tak obrzydliwie zdrowy, że nie mógł nic zrobić.**

Furtką tą był niedawno wykryty fakt, że szpital dywizyjny rozluźnił surowość swej polityki ewakuacyjnej.

Zaczął się to wszystko od Carniego, nowojorskiego kumpla Mazziego z pierwszego plutonu. Prawie każdy z kompanii, z wyjątkiem paru takich jak Doll, miał teraz malarię. Ale Carni miał taką ciężką, że naprawdę nie mógł funkcjonować. Dzień w dzień zgłaszał się z nią na apel chorych, dostawał garść atabryny i wracał na swoje łóżko polowe, kompletnie niezdolny do niczego. A teraz przez tę atabrynę miał jeszcze na dodatek żółtaczkę. Potem któregoś dnia nie wrócił z apelu. W dwa dni później dowiedzieli się, że został wyewakuowany.

Był pierwszym. Natychmiast prawie każdy, kto miał w ogóle malarię, zgłaszał się na apel chorych. Niestety nie pomogło to prawie nikomu. Ale powoli, w ciągu następnych tygodni, najpierw ten, potem inny z naprawdę poważnie chorych zaczął znikać i nie wracać z apelu. Wysyłano ich, przynajmniej na razie – czy też takie były pogłoski – albo do szpitala nr 3 marynarki wojennej na Efate na Nowych Hebrydach, albo do Nowej Zelandii. Naturalnie Nowa Zelandia była lepsza i prawie w każdej jednostce dręczono się ogromnie myślą o przyjaciółach popijających i dupczących w Auckland, w Nowej Zelandii. Na Efate znajdowało się tylko jedno małe miasteczko, gdzie nie było nikogo poza krajowcami, którzy usiłowali sprzedać każdemu i sobie wzajemnie pamiątki w postaci wyrzeźbionych ręcznie łódek.

A potem Storm załatwił sobie ewakuację i wieko odskoczyło.

Storm był wyjątkiem jako pierwszy znany im człowiek, którego wyewakuowano z powodu zwykłej niezdolności fizycznej, a nie jakiejś choroby, takiej jak malaria czy żółtaczka. Jego niezdolnością fizyczną była zraniona ręka. Nie mając nic innego do wykorzystania, a będąc człowiekiem, który najwyraźniej nie miał nigdy na nic zachorować i przez to musiałby zostać i patrzeć, jak przyjaciele opuszczają go jeden po drugim, Storm postanowił spróbować raz jeszcze ze swoją uszkodzoną ręką, skoro wszystko tak się rozluźniło. Ku jego zdumieniu, zarówno jak wszystkich innych, – został zbadany przez tego samego doktora, który odesłał go z powrotem do służby podczas walk o Tańczącego Słonia, i tym razem wyewakuowany.

Doktor nawet go nie pamiętał. Kiedy Storm zachrobotał przy nim dłonią i opowiedział swoją historię, doktor cmoknął i oświadczył, że ktoś popełnił poważny błąd odsyłając go z powrotem. Stormowi naprawdę potrzebna jest operacja, więc wysłała go do Nowej Zelandii, ponieważ będzie musiał mieć rękę w gipsie przez kilka miesięcy.

Stamtąd mogą go nawet wyprawić do Stanów. Ale nie powinien być nigdy zostać odesłany z powrotem do służby. Storm naturalnie nie powiedział mu, kto to zrobił. Prawie wszyscy z kompanii przyszli pożegnać się z nim w szpitalu, gdzie palił cygara, dobrze jadł i używał sobie, ponieważ w ogóle nie był chory.

**Po sukcesie Storma nieomal każdy próbował uczynić to samo.**

**W miesiąc i dwa tygodnie po wyewakuowaniu Carniego z powodu malarii przeszło 35 procent dawnej kompanii C – jak – Charlie, ci, którzy wrócili ciężarówkami z Bula Bula – zdołało się wyewakuować z takiej czy innej przyczyny. Wielu innych też próbowało, ale bez powodzenia, zaś nieliczni, którzy wiedzieli, że nie mają żadnych szans, nie próbowali w ogóle. A jednemu człowiekowi zaproponowano ewakuację, ale odmówił.**

**Któż mógł to być, jeżeli nie Szalony Eddie Welsh, starszy sierżant?**

**Jego malaria, w przeciwieństwie do malarii Johna Bella, która ustaliła się jako średnio poważny przypadek, pogarszała się ciągle, podobnie jak malaria Carniego. Kiedy któregoś dnia znaleziono go leżącego w głębokim omdleniu twarzą na biurku, z atramentowym ołówkiem w ręku, zaniesiono go do dywizyjnego szpitala i zarządzono ewakuację. Ocknął się w małym pomieszczeniu zarezerwowanym dla wyższych oficerów, na łóżku obok łóżka Storma, Kolorowa kartka ewakuacyjna była już przyczepiona do poręczy.**

**–Aha, ty parszywy draniu! – ryknął. – Więc to ty kazałeś mnie tu przyholować!**

**Jego szalone oczy błyszczały obłądnym rozgorączkowaniem. Storm nie potrafił powiedzieć, czy jest to malaryczna gorączka, czy też po prostu osobowość Welsha.**

**–Odwal się, szefie – powiedział ostrożnie Storm, który właśnie palił cygaro. – Jestem tu pacjentem tak samo jak ty i wysyłają mnie tak samo jak ciebie.**

**–Nigdy ci się to nie uda! – ryknął Welsh. – Nie wygrzesz mnie z mojej funkcji! Jestem za sprytny! A w każdym razie o ile jesteś okej w kuchni, to nie masz głowy do administracji! Ja ciebie znam!**

**Storm znając go po prostu nie mógł uwierzyć, że majaczy. Przejściem nadbiegł z posługaczem wątyły młody podporucznik – lekarz, który prowadził oddział.**

**–Tylko spokojnie, sierżancie – powiedział. – Ma pan wysoką temperaturę.**

**–Pan jest z nim w zмовie! – wrzasnął Welsh.**

**Zamiast odpowiedzi doktor popchnął go z powrotem na poduszkę i włożył mu w usta termometr, ale Welsh od razu przegryzł termometr na dwoje, cisnął go na podłogę, wyskoczył z łóżka i wybiegł z namiotu do swojej kompanii. Nie umarł, tak jak przepowiadał podporucznik, i ciągle polecał wszystkim, uśmiechając się swym chytrym, obłąkanym uśmieszkiem, żeby na wszelkie sposoby próbowali się wyewakuować, póki jeszcze czas.**

Wśród wszystkich tych wydarzeń, niczym zjawą z innego świata, powrócił nagle sierżant Duży Queen. Wierny swojemu słowu przemycił się na statku płynącym na Guadalcanal. Przez jakąś pomyłkę nie wysłano go na Efate ani do Nowej Zelandii, lecz do szpitala w Nowej Kaledonii, co oznaczało, że jeżeli zostanie odesłany do służby, nie wróci do swojej dawnej jednostki, lecz uda się do jakiejś innej dywizji na Nowej Gwinei. Natomiast tamtejsi lekarze – ponieważ kula wyrwała mu spory kawałek kości z górnej części ręki, wskutek czego ręka ta była nieco upośledzona – zaproponowali, że odeślą go do Stanów, gdzie zostałby instruktorem bojowym dla poborowych, Queen odmówił zgody na tę propozycję – i w końcu wymknął się bez przepustki i ukrył na statku płynącym tutaj, na którym, kiedy opowiedział swoją historię, traktowano go jak księcia przez resztę rejsu. Jednakże teraz, widząc, do czego wrócił, osłupiał.

To już nie była jego dawna jednostka. Culn odszedł i został oficerem?

Charlie Dale, eks – kucharz, sierżantem – szefem pierwszego plutonu?

Jimmy'ego Foxa nie ma? Jenks nie żyje? Stein zwolniony? Szeregowiec John Bell też jest sierżantem – szefem plutonu? Kancelista Fife dowódcą drużyny bojowej? Starszy szeregowiec Don Doll na plutonie? Queen, który z powodu swojej nieobecności był nadal tylko zwykłym sierżantem dowódcą drużyny, nie mógł się z tym pogodzić. Tego było dlań za wiele. Po dwóch dniach picia „gwoździa” i wspomnienia, zameldował się z powrotem w szpitalu narzekając na swoją okaleczoną rękę, i został – od razu wyprawiony do Nowej Zelandii.

Nikt nie miał pojęcia, dlaczego doktorzy robią to wszystko. Byli tacy twardzi, dopóki trwała kampania. Teraz natomiast ludzie, którzy wracali, mówili, że doktorzy uśmiechali się do nich, pytali, co im dolega, a nawet pomagali opisywać i wyjaśniać objawy, jeżeli mieli trudności z ich omówieniem. Najwyraźniej nie należało to do polityki dywizji, która była tak samo twarda jak zawsze. Widocznie sami doktorzy uznali, że weterani z tej kampanii dosyć się nacierpieli, wobec czego wzięli na siebie dopomaganie w ewakuacji starych żołnierzy, jeżeli tylko było to medycznie możliwe. Nieomal bez wyjątku nie ewakuowano w ogóle żadnych nowo przybyłych – tylko starych żołnierzy.

Fife, kiedy przyszła jego kolej skorzystania z tej cudownej furtki, nie spodziewał się w gruncie rzeczy, że coś z tego wyjdzie. W istocie namówił go MacTac. Fife miał uszkodzoną kostkę, odkąd na skutek wypadku futbolowego w szkole naderwał sobie jakieś wiązadła, przez co kostka miała skłonność do wyskakiwania. Nauczył się temu zapobiegać w – taki sposób, że przenosił z niej większość swojego ciężaru, nim całkiem wyskoczyła. Także podczas wielu marszów oraz kampanii miał kostkę owiniętą plecionym bandażem, czego nauczył się od starego domowego doktora, który ją pierwotnie kurował. Jednakże myślał o tym rzadko. Wszystko to stało się taką samą częścią jego normalnego życia jak kiepskie zęby czy słabe oczy. A potem

**pewnego dnia, gdy szedł na południowy posiłek z MacTacom, którego akurat spotkał, kostka wyskoczyła mu znowu, kiedy źle stąpnął na podeschniętą błotną koleinę. Podskoczył, by ją odciążyć, ale udało mu się to tylko, częściowo. Ból był niewysłowiony.**

**–Przecież ty jesteś biały jak prześcieradło! – zawołał MacTac.**

**–Co ci się tam stało, do cholery?**

**Fife wzruszył ramionami i wyjaśnił. Po pierwszej minucie już nie bolało, jeżeli uważał, by stawiać stopę absolutnie prosto.**

**MacTac był wyraźnie podniecony.**

**–No, a byłeś z tym u lekarza? Nie? Naprawdę? Chyba całkiem straciłeś rozum. Na takiej podstawie mogą cię wyewakuować.**

**–Naprawdę tak myślisz? – Fife nigdy nie brał tego pod uwagę.**

**–Jasne! – odparł z podnieceniem MacTac. – Znam gości, których wysłali z czymś dużo mniejszym od tego.**

**–A co będzie, jeżeli mnie odrzucą?**

**–No to co masz do stracenia? Nie będzie ci gorzej niż teraz, no nie?**

**–To prawda.**

**–Człowieku, gdybym ja miał coś takiego, poleciałbym tam jak strzała! Ze mną ten kłopot, że jestem tak ohydnie zdrowy, że nigdy mnie stąd nie wyślą.**

**–Naprawdę tak myślisz?**

**–Nie wahałbym się ani sekundy!**

**W dużej mierze ze względu na jego entuzjazm Fife poszedł. Był teraz nadal tak samo niepewny siebie w wielu sprawach jak dawniej, odkąd na nowo odkrył swoje tchórzostwo. Jednakże zmieniły się w nim inne rzeczy. Na przykład walki na pięści. Dawny Fife miał odrazę do walk na pięści, w dużej mierze dlatego, że bał się przegrać. Nowy Fife je uwielbiał i stoczył ich jeszcze sześć czy osiem – od czasu, gdy pobił kaprała Welda. Nie dbał już tak bardzo jak dawniej o to, czy wygra, czy przegra. Każdy guz, jaki nabijał, i każdy guz, jaki mu nabijano, wywoływał w nim olbrzymie poczucie wyzwolenia od czegoś. I nie bał się zaczepić kogokolwiek. To wszystko ujawniło się przy jego pierwszym spotkaniu z Wittem po załatwieniu przeniesienia Kentuckyańczyka. Witt był już z powrotem od dwóch dni i pijany przez**



oba wieczory, a Fife miał jedną bójkę, zanim natknęli się na siebie twarz w twarz. Wtedy Fife podszedł do niego i wyciągnął rękę. Przymrużywszy oczy przechylił głowę lekko w bok, uśmiechnął się i powiedział:

–Cześć, Witt! Czy może dalej ze mną nie rozmawiasz?

Witt uśmiechnął się też i ujął jego dłoń.

–Nie, chyba teraz już z tobą rozmawiam.

–Bo pomyślałem sobie, że jeżeli nie, możemy to z sobą załatwić od razu tutaj – uśmiechnął się Fife.

Witt kiwnął głową, wciąż z uśmiechem. Najwyraźniej widział tę bójkę Fife'a.

–Ano, moglibyśmy to zrobić. Myślę, że jeszcze bym potrafił cię skuć. Tylko że masz bardzo dobrą prawą. Gdybyś mnie rąbnął tą prawą ręką, mógłbyś mnie zrobić. Oczywiście pod warunkiem, że nie potrafiłbym się przed nią uchylić.

–Kiedy właściwie nie ma teraz potrzeby – uśmiechnął się Fife.

–Skoro ze mną rozmawiasz, no nie?

–Właściwie nie ma – rzekł Witt. – - Co byś powiedział, gdybyśmy zamiast tego chlapnęli sobie „gwoździa”?

Tak też zrobili, całkiem cynicznie. I właśnie ta cecha – cynizm, czy jak to nazwać, u licha – podziałała na jego korzyść, gdy poszedł do szpitala na apel chorych po doradzeniu mu tego przez MacTac'a.

Kiedy przyszła jego kolej w ogonku i wezwali go do namiotu oględzin, zobaczył, że badającym lekarzem jest podpułkownik Roth” – ten sam masywny, mięsisty, krętowłosy, pompatyczny podpułkownik Roth, który badał mu ranę głowy i tak pogardliwie mówił o jego zgubionych okularach. Fife pomyślał, że to przesądza sprawę. Tylko że tym razem pułkownik Roth się uśmiechnął.

–No, żołnierzu, co wam dolega? powiedział uśmiechając się jakoś konspiracyjnie. Było widoczne, że nie poznaje Fife'a. I właśnie tak Fife to rozegrał.

Kulminacyjny moment dla Fife'a przyszedł dopiero później. Opowiedział swoją historię i pokazał kostkę. Była jeszcze spuchnięta.

Podpułkownik Roth obejrzał ją starannie, przekręcił w tę i w tamtą stronę, aż Fife się skulił. Kostka na pewno jest uszkodzona – powiedział lekarz. Nie rozumie, jak Ktoś może maszerować i walczyć z czymś takim w trudnym terenie Jak długo Fife to ma?

Fife opowiedział mu prawdę, a potem wspomniał o plecionym bandarzu, i o tym, że zawsze nosi przy sobie przylepiec. Podpułkownik Roth gwizdnął z podziwem, po czym spojrzał na niego bacznie.

–W takim razie dlaczego zdecydowaliście się zgłosić z tym do szpitala dopiero teraz? – zapytał ostro.

Była to ważna chwila dla Fife'a i w jakiś niejasny sposób o tym wiedział. Ale reakcja jego była całkowicie instynktowna. Zamiast zrobić winowajczą czy choćby błagalną minę, rzucił podpułkownikowi Rothowi cyniczne, ostrożne spojrzenie.

–Ano, panie pułkowniku, bo ostatnio o wiele bardziej mi to dokucza – odrzekł i uśmiechnął się.

Wargi Rotha zadrgały, oczy mu zabłyśły, a potem ten sam, identyczny, cyniczny, konspiracyjny uśmiech przemknął mu szybko po twarzy. Pochylił się i znowu zaczął manipulować kostką. No cóż, potrzebna będzie operacja, tego jest pewien, a to będzie wymagało kilku miesięcy w gipsie. Czy Fife jest gotów spędzić kilka miesięcy w gipsie?

Fife znowu uśmiechnął się ostrożnie.

–Ano, jeżeli to pomoże, panie pułkowniku... to chyba tak.

Podpułkownik Roth znowu pochylił głowę. Może to nigdy całkiem nie wydobrzeje, powiedział, ale coś chyba można pomóc. Te operacje wiązań i ścięgien to delikatne sprawy. W szpitalu marynarki nr 3 na Efate jest ortopeda, wybitny specjalista, który naprawdę lubi robić takie delikatne zabiegi chirurgiczne. Potem wyślą Fife'a do Nowej Zelandii, jeżeli będzie musiał tak długo nosić gips. A później... Roth wzruszył ramionami i oczy znów mu zabłyśły.

Obrócił się do pomocnika.

–Przyjąć tego człowieka na ewakuację – powiedział.

Fife bał się uwierzyć, bo a nuż stanie się coś, co to odmieni. Tak po prostu. Tak po prostu i już był wolny. Wolny! Wolny! Nie mówiąc nic pochylił się. i zaczął wkładać skarpetkę i but.

Kiedy wychodził, Roth zawołał za nim. Gdy się obrócił, pułkownik powiedział:

–Widzę, że teraz jesteście sierżantem.

–Słucham, panie pułkowniku?

**Roth uśmiechnął się.**

**–Przedtem byliście kapralem, prawda? Co zrobili w sprawie tych waszych okularów? Nic? No to jak tam dojedziecie, wspomnijcie o tym. Załatwią wam nowe.**

**Nie trzymało się to kupy. Dlaczego raz postępował tak, a potem wręcz przeciwnie? Czy ten podpułkownik Roth, który miał w swoich rękach rozstrzygnięcie o pewnym życiu albo prawdopodobnej śmierci prostych żołnierzy piechoty, czy ten człowiek był ofiarą zmienności i kaprysów emocjonalnych? Tak samo jak każdy inny?**

**Ta myśl była przerażająca. Fife musiał czekać trzy dni na następny statek szpitalny. (Tylko poważne i nagłe wypadki wysyłano samolotami). Były to trzy dni przygnębienia i smutku. Bo teraz, kiedy miał pewność, że odjeżdża, teraz, kiedy był definitywnie bezpieczny, Fife zastanawiał się, czy naprawdę powinien jechać. Czy nie powinien zwać ze szpitala i wrócić do kompanii, tak jak to zrobił Welsh? Usilnie starał się skupić myśli na rozsądnym, trzeźwym Mac – Tac. Ale pytanie pozostawało.**

**Poruszył to w końcu z samym Welshem, gdy starszy sierżant przyszedł do szpitala z rzeczami kogoś innego, kogo wysyłano.**

**–Więc nareszcie ci się udało, co, chłopcze? – Welsh, gdy go zobaczył, łypnął nań czarnymi oczami błyskającymi pogardliwie.**

**–Aha – odrzekł Fife smutnie. Mimo woli był w melancholijnym nastroju. – Ale właśnie tak sobie myślałem, szefie. Może powinienem zostać?**

**–Co takiego? – warknął Welsh.**

**–No właśnie. Bo przecież będzie mi brakowało kompanii. I to...**

**to jest w jakiś sposób ucieczka.**

**Welsh łypnął na niego w milczeniu, szalone oczy mu błyszczały.**

**–Jasne, chłopcze. Jeżeli tak czujesz, to chyba powinieneś wrócić.**

**–Tak szef uważa? Myślałem sobie, że może zwieję stąd dziś wieczorem.**

**–Powinieneś – odparł Welsh i uśmiechnął się z wolna, chytrze.**

**–Chcesz coś wiedzieć, chłopaku? – zapytał cicho. – Chcesz wiedzieć, czemu cię wtedy wylałem z kancelarii? Myślałeś, że dlatego, bośmy sądzili, że nie wracasz, prawda? – Zanim Fife zdążył odpowiedzieć, rzekł: – Otóż nie. Bo był z ciebie taki marny, cholernie zły kancelista, że musiałem to zrobić!**

**Gdyby Fife mógł, uderzyłby go, taki był wściekły. Wiedział, że nie był złym**

kancelistą. Ale leżał na łóżku i zanim zdołał wstać, Welsh już oddalił się przejściem i wyszedł z namiotu. Nawet się nie obejrzał. Fife nie zobaczył go więcej. Nie wymknął się tej nocy, a statek szpitalny odpłynął nazajutrz. Fife'owi było smutno, ale kiedy łódź desantowa przewiozła ich na wielki statek, nie czuł się winny. Cieszył się, że opuszcza ludzi tak przepełnionych nienawiścią.

Był piękny, słoneczny dzień.

Tego samego dnia sierżant John Bell dostał list od żony, na który czekał. Właśnie wracali z porannych ćwiczeń na południowy posiłek, kiedy kapral Weld przyszedł z paczką świeżej poczty. Właściwie list ten był jednym z trzech. Tak jak to zawsze robił, Bell ułożył je według dat stempla pocztowego i najpierw przeczytał najdawniejszy. Dlatego nowy list przeczytał dopiero na końcu. Kiedy go otworzył i zobaczył, jak się zaczyna (było tam napisane: „Drogi Johnie”), wiedział już, co to znaczy i że w istocie jest to list do „drogiego Johna”. Z menażką, pokrywką i kubkiem zwisającymi razem bezwładnie w jednej ręce, odszedł z tym listem na osobność. Drogi Johnie. Inne zaczynały się zawsze: Kochanie, Najdroższy czy Ukochany, czy od innej takiej lipnej bzdury. Więc jednak to robiła. Robiła to. A on nie tknął nikogo ani razu, odkąd odjechał.

Przesądny, głupi dureń, który myślał, że to pomoże czy coś zmieni!

Był głodny jak wilk po porannej zaprawie, ale wiedział, że nie będzie mógł nic wziąć do ust. Cały czuł się chory. Nogi mu się trzęsły, dłonie i ręce się trzęsły. Siadł z listem na pniu palmy kokosowej.

Kiedy wreszcie zdołał, przeczytał list starannie i przytomnie, zamiast po nim bezładnie przeskakiwać. Był napisany także starannie i przytomnie. Tamten był kapitanem lotnictwa w Paterson. Zakochała się w nim głęboko. Prowadził naukowe badania w dziedzinie aerodynamiki i dlatego nie miał być nigdy wysłany za morze.

Chciała dostać rozwód, żeby wyjść za niego. Wiedziała, że Bell może odmówić. Jednakże prosiła go – przez pamięć na wszystko, co razem przeżyli. Wygląda na to, że wojna może trwać bez końca.

A tylko Bóg wie, co potem będzie ze światem. Zakochała się głęboko i chciała tej miłości, póki mogła ją mieć. Myśli, że on zrozumie. A te niezbędne informacje przeplatane były wielokrotnymi prośbami, błaganiami o przebaczenie. O, wszystko tam było. Trzeźwe, sensowne, spokojne i nawet smutne. Pisała właściwie i rozsądnie. Nawet skromnie. Nie było tam natomiast nic o tym, co robili ze sobą. Jak szli do łóżka. Co robili w łóżku. I jakie inne rzeczy robili. Ani słowa o tym, jaki on jest w porównaniu z Bellem. To oczywiście była sprawa prywatna między nią a tym facetem. Coś, do czego Bell nigdy nie mógł zostać dopuszczony. Ale mógł sobie to wyobrazić. Co gorsza, pamiętał. Ba, z tego listu można by sądzić, że w ogóle nie

uprawiali ze sobą seksu, taki był skromny, przyzwoity, uprzejmy i daleki. Daj spokój, dziecinko, przecież ja ciebie rznąłem! Siedział z tym listem, wstrząśnięty, i jako zawodowy żołnierz, całkiem gotowy umrzeć. Marty! Marty!

Nie mógł nic jeść. A podczas popołudniowych ćwiczeń był nieco mniej sprawny niż normalnie.

–Co się z tobą dzieje? – zapytał sierżant Witt, który był teraz jednym z dowódców drużyn. – Straciłeś ikrę?

Kiedy wrócili i rozpuszczono ich, poszedł sam jeden w pasmo dżungli i popróbował przywołać ten przezroczysty, tak realistyczny obraz swej żony, który pojawiał mu się tyle razy i w tylu miejscach na tej wyspie. Przekonał się, że nie może. Wziął list i poszedł do kapitana Bosche'a.

–Tak? Proszę, wejdźcie! No, co tam, Bell? – zapytał dowódca kompanii. Jego twardy, jędrny, mały brzuch był przyciśnięty do krawędzi biurka, kiedy kapitan pochylał się nad swoją robotą. Bell podał mu list bez słowa. Ostatecznie był to formalnie tak przyzwoity list, że mógł go pokazać każdemu. Mógł go pokazać własnej matce.

Reakcja Bosche'a była zdumiewająca, nawet dla niego w tym stanie rozpacz. W miarę jak kapitan czytał, ręce zaczęły mu się tak trząść, że list zaszeleścił. Twarz mu zbliała jak kartka jego własnego papieru korespondencyjnego, z tak ogromnej wściekłości, iż wydawało się, że ta okrągła, drobna twarz nabrzmiewa w twardą, krągłą kulę, tak zwartą, iż mogłaby skruszyć na proch granitową kulę równej wielkości, gdyby na nią spadła. Jednakże jakoś, na pozór powoli, stopniowo, ale w rzeczywistości bardzo prędko, kapitan Bosche odzyskał panowanie nad sobą. Bell nie miał pojęcia, dlaczego tak przejął się tym listem.

–Oczywiście wiadomo wam, że nie musicie zgodzić się na tę prośbę – powiedział Bosche twardym, suchym głosem. – A wasza żona nie może dostać rozwodu czy separacji bez waszego oficjalnego zezwolenia.

–Wiem – odpowiedział Bell słabym głosem.

–Jest jeszcze coś więcej. Mając taki list w swoim posiadaniu macie prawo wstrzymać wszystkie przydziały, wszystkie wypłaty, wszystkie rządowe świadczenia ubezpieczeniowe. – Głos Bosche'a był jeszcze twardszy.

–Tego nie wiedziałem – rzekł Bell.

–No więc tak jest – powiedział Bosche. Jego drobna, krągła szczeka była twarda jak stal.

–Kiedy ja chcę jej to dać – rzekł Bell ze znużeniem. – Chciałem zapytać, czy pan kapitan mógłby wystosować za mnie oficjalne pismo udzielające w moim imieniu zezwolenia.

Kapitan, zaskoczony, nie odpowiadał przez sekundę.

–Nie rozumiem Was – rzekł sztywno. – Dlaczego chcecie to zrobić?

–Ano, trudno wytłumaczyć – odparł Bell i przerwał. Jakże mu to powiedzieć? Skoro sam nie wiedział. – No po prostu dlatego, że jaki jest sens być żonatym z kobietą, która nie chce być moją żoną?

Oczy kapitana Bosche'a zwęziły się w szparki i popatrzały na Bella.

–Cóż, bywają najróżniejsze poglądy i zdania – rzekł po namyśle. – Dzięki temu świat się kręci.

–Napisze mi pan kapitan ten list?

–Jasne, że tak – odrzekł Bosche, a Bell obrócił się do odejścia.

–Aha, poczekajcie! – zawołał kapitan, a kiedy Bell się obrócił, wyciągnął do „niego plik papierów. – To przyszło „dla was wczoraj.

Przetrzymałem to trochę, bo chciałem dopisać moje poparcie. Które już jest napisane. Pomyślałem sobie, że może teraz jest dobry moment, żeby wam to dać. Jest to rozkaz komisji polowej mianujący was pełnym porucznikiem piechoty. – Powiedział to wszystko bezbarwnym tonem, ale nie sposób było nie zauważyć lekkiego nacisku na słowa „pełnym porucznikiem”. Uśmiechnął się.

–Naprawdę? – zapytał Bell. Poczul się głupio.

Bosche się uśmiechał.

–Naprawdę. Zakładałem, że zechcecie to przyjąć i już wypisałem moje serdeczne poparcie.

–Czy mogę przemyśleć to sobie przez chwilę?

–Ma się rozumieć – powiedział skwapliwie Bosche, – Jak długo chcecie. Mieliście dzisiaj kilka ważnych rzeczy. A gdybyście chcieli zmienić zdanie w tamtej drugiej sprawie, to także będzie całkiem w porządku.

–Dziękuję, panie kapitanie.

Wyszedłszy, zasiadł znowu na tym samym pniu palmy kokosowej.

Czy może jakimś innym? Trudno było powiedzieć. Czyżby ona naprawdę obliczyła sobie to wszystko? I napisała ten list dokładnie w taki sposób, który, jak wiedziała, wywołałby u niego rodzaj reakcji, jakiego pragnęła? Prawdopodobnie. Znała go wystarczająco dobrze, aby to zrobić, no nie? Znała go doskonale. Tak samo jak on ją znał. Wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że stanie się z nią to, co miało się stać. I stało się, prawda? Ludzie nie żyją w małżeństwie tak długo bez gruntownego poznania się nawzajem. Czy może nie znają się wcale? Bosche na pewno nie dałby swojej żonie zgody na rozwód, no nie? Dlaczego zareagował tak dziwnie? A może to samo zdarzyło się jemu? Ból przenoszenia własnych doświadczeń miłosnych z Marty na wyobrażenia o jej miłości z tym drugim mężczyzną był nie do wytrzymania. Bell skupił myśli na swoim drugim problemie.

Stopień oficerski? Pełny porucznik piechoty? Uśmiechając się smutnie Bell doszedł do wniosku, że prawdopodobnie wyrządzi tam równie niewiele szkody jak gdziekolwiek indziej. W zapadającym zmierzchu wstał, aby powiedzieć kapitanowi. Nazajutrz, po sporządzeniu i podpisaniu listu ze zgodą na rozwód, spakował się i odjechał, by zostać zaprzysiężonym i przeniesionym. Jeszcze jeden odjazd z poczciwej C – jak – Charlie. Kiedy Bosche go poprosił, aby polecił kogoś na swego następcę, Bell wymienił Thorne'a z drugiego plutonu, ponieważ uważał, że Witt może być trochę nieobliczalny, gdy wpadnie w złość.

I na tym się skończyło. To, co pozostało, prawie wyłącznie nowi, niedoświadczeni ludzie, nie było już tą C – jak – Charlie, która niegdyś wylądowała na tej wyspie. Była to całkowicie odmienna organizacja, z całkowicie odmienną atmosferą. W trzy dni po odjeździe Bella przyszły rozkazy wymarszu i wszystko zostało znów zamrożone. Więcej żadnych przeniesień, żadnych awansów, które mogłyby zabrać kogoś z kompanii, żadnych zmian jakiegokolwiek rodzaju.

Rozkazy, oznaczone jako ŚCIŚLE TAJNE, a znane każdemu prawie natychmiast po ich nadejściu, zarządzały, że winni być gotowi do wyruszenia w ciągu dziesięciu dni do dwóch tygodni. Wszystkie ćwiczenia miały ustać po otrzymaniu tego rozkazu, a prace przygotowawcze przed wymarszem rozpocząć się natychmiast. Rozkazy nie mówiły, dokąd się uda dywizja.

Rzecz prosta, nie musiały tego wymieniać. Wszyscy wiedzieli. Don Doll zaprzyjaźnił się serdecznie ze swoim bezpośrednim przełożonym, Milly Beckiem, teraz kiedy nie było już Fife'a, i obaj rozmawiali o Nowej Georgii. Dolla uważano powszechnie za najlepszego obecnie szefa plutonu w kompanii i był wyraźnie następny w kolejce na pluton. Szczupły Carrie Arbre awansował do stopnia sierżanta dowodzącego dawną drużyną Dolla. On i Doll nadal rozmawiali ze sobą z uważną, ostrożną sztywnością.

Jeszcze jedna rzecz, dar od wdzięcznego narodu, przyszła dla nich przed odjazdem, a były nią medale. Cynicznie zapomnieli o nich, kiedy nie przychodziły, lecz teraz nadeszły w komplecie, razem z pochwałami. Nastąpiło ich wręczenie. Każdy członek

małej grupy szturmowej kapitana Gaffa na Tańczącym Słoniu otrzymał Brązową Gwiazdę albo lepiej. Ta dla Dryblasa Casha była oczywiście pośmiertna. Johnowi Bellowi przesłano jego Gwiazdę. Chudy Culn, przedstawiony do Brązowej Gwiazdy przez Ciotę Steina, dostał ją.

Don Doll, którego kapitan Gaff przedstawił do Krzyża Zasługi Bojowej, otrzymał zamiast niego Srebrną Gwiazdę. Charlie Dale, przedstawiony zarówno przez Steina, jak Łowcę Chwały Banda do Krzyża Zasługi Bojowej za swoją brawurę podczas walk na Tańczącym Słoniu, dostał ten krzyż, jako jedyny w batalionie. Trochę na to psioczono, ale – jak zaraz powiedział pewien dowcipniś – mógł dobrze pasować do jego kolekcji złotych zębów. Wszyscy udawali, że medale nic dla nich nie znaczą, ale każdy, kto jakiś dostał, był w duchu dumny.

Na dwa dni przed odjazdem dotarła do nich ostatnia wiadomość o legendarnym kapitanie Gaffie. Dość świeży egzemplarz magazynu „Yank” wpadł jakoś w ręce jednego żołnierza z C – jak – Charlie, a była w nim zamieszczona całostronicowa fotografia dawnego zastępcy dowódcy batalionu. Ubrany w swój uszyty na zamówienie, oliwkowy mundur (w kraju była teraz zima), z Medalem Honorowym, zawieszonym na wstążce na szyi, kapitan został sfotografowany dla „Yanka”, kiedy wygłaszał przemówienie na wiecu, podczas którego sprzedawano obligacje wojenne. Napis pod zdjęciem głosił, że jego dziś już słynne na całym świecie powiedzenie do małej grupy wyczerpanych, ale niepokonanych – ochotników z piechoty na Guadalcanale (Tu oddzielimy owce od tryków, a mężczyzn od chłopców!) stało się ogólnonarodowym sloganem i widniało w całym kraju wypisane na transparentach wysokimi na stopę literami, a dwaj wydawcy piosenek opublikowali pod tym tytułem patriotyczne pieśni wojenne, z których jedna odniosła sukces i została obecnie włączona do Listy Przebojów.

Ma się rozumieć musieli pomaszerować na plażę, ponieważ chwilowo nie było dla nich wolnych ciężarówek. Trasa ich wiodła obok nowego cmentarza. Gdy brnęli w dusznej wilgoci, potykając się o zwaly błota i porośniętą trawą wypukłości, cmentarz wydał im się bardzo zielony i chłodny. Cały teren dokładnie zdrenowano i obsiano trawą. Duże rozpryskiwaczki wyrzucały w powietrze ponad krzyżami długie, pajęczce, wirujące strumienie wody, a białe krzyże wyglądały bardzo pięknie stojąc długimi, równymi rzędami. Ludzie z kwatermistrzostwa krążyli tu i ówdzie po tej rozległej przestrzeni utrzymując ją w porządku i pielęgnując.

O pół mili dalej, kiedy mijali rdzewiejącą, rozbitą barkę japońską, spotkali żołnierza, który jadł jabłko. Siedząc wysoko na dziobie wraku, spoglądał na nich wprost z góry, niespiesznie pogryzając jabłko.

Jedno jabłko. Jakimś sposobem, przez niewiarygodną pomyłkę w listach przewozowych i frachtach okrętowych, wypisanych w pięciu egzemplarzach, oraz przez grube przeoczenie jakiegoś bezimiennego, ale zazwyczaj sprawnego



**funkcjonariusza, jedno jedyne świeże, czerwone jabłko dostało się między wszystkie puszki, skrzynki i pudła.**

**uprzednio ugotowanej, osuszonej i odwodnionej żywności, i ukryte w jakimś niedostępnym zakamarku przemyciło się przez morze.**

**Dzięki jakiemuś niebywałemu, cudownemu szczęściu ów człowiek znalazł to jabłko i mógł je jeść siedząc wysoko na dziobie rozbitej barki, gdy przechodzili. Ten obcy, gdyby ich znał, mógłby odfajkować ich nazwiska, gdy przechodzili pod nim w makabrycznej defiladzie, zadzierając ku niemu twarze, by chciwie popatrzeć na jabłko: kapitan Bosche, jego oficerowie, starszy sierżant Eddie Welsh, sierżanci – szefowie plutonów Thorne, Milly Beck, Charlie Dale, sierżant sztabowy Don Doll, kapral Weld, sierżant Carrie Arbore, starszy szeregowiec Train, szeregowiec Crown, szeregowcy Tills i Mazzi. – wszyscy oglądający się – na – niego, gdy przechodzili. Ale oczywiście nie mógł tego uczynić, bo byli dla niego obcy.**

**Szalony Welsh, maszerując za krzepką, drobną postacią kapitana Bosche'a, nie dbał ni cholery o jabłko. Miał swoje dwie manierki dżinu. Było to wszystkim, co mógł nieść tym razem, i ukradkiem ich dotykał. W duchu szeptał wciąż od nowa swą starą formułę zrozumienia: „Własność. Własność. Wszystko dla własności” – którą niegdyś wypowiedział z prymitywną naiwnością, gdy przybył na tę wyspę. Ano, to ładny kawał nieruchomości, ta wyspa, no nie? Zaznał już odrętwienia walką – po raz pierwszy pod Bula Bula – i miał nadzieję, że jeśli będzie ciągnęło się dostatecznie długo i powracało dostatecznie często, może naprawdę stać się trwałym i dobroczynnie błogim stanem. Niczego więcej nie żądał.**

**Przed nimi czekały łodzie desantowe piechoty, aby ich zabrać na pokład, i powoli zaczęli kolejno wstępować na nie, by potem wdrapać się po sieciach ładunkowych na duże okręty. Któregoś dnia jeden z nich miał o tym wszystkim napisać książkę, ale żaden by w nią nie uwierzył, ponieważ nikt nie zapamiętał tego w taki sposób.**

# SPIS ROZDZIAŁÓW TOC \o "1-2"

\h \z

[SKŁAD OSOBOWY KOMPANII \(częściowy\) PAGeref\\_Toc169035947 \h 3](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 1. PAGeref\\_Toc169035948 \h 5](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 2. PAGeref\\_Toc169035949 \h 48](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 3. PAGeref\\_Toc169035950 \h 96](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 4. PAGeref\\_Toc169035951 \h 154](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 5. PAGeref\\_Toc169035952 \h 243](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 6. PAGeref\\_Toc169035953 \h 292](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 7. PAGeref\\_Toc169035954 \h 330](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[ROZDZIAŁ 8. PAGeref\\_Toc169035955 \h 388](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2011-02-25

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*